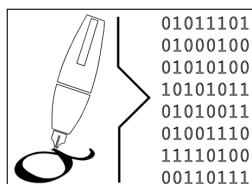


STEPHEN KING

MIASTECZKO SALEM

Przełożyła: Arkadiusz Nakonecznik



Tytuł oryginału:

Salem's Lot

Data wydania polskiego: 1991 r.

Data pierwszego wydania oryginalnego: 1975 r.

Naomi Rachel King
„...z obietnicami, których trzeba dotrzymać”.

Od autora

Nikt nie pisze długiej powieści zupełnie sam, dlatego też chciałbym skorzystać z okazji, aby podziękować niektórym spośród osób, które pomogły mi podczas pracy nad *Miasteczkiem Salem*. O przyjęcie wyrazów wdzięczności proszę: G. Everetta McCutcheona z Hampden Academy za praktyczne rady i zachętę; doktora Johna Pearsona z Old Town w stanie Maine, lekarza sądowego okręgu Penobscot i zarazem specjalistę najwyższej klasy; księdza Renalda Hallee'ego z katolickiego kościoła św. Jana w Bangor w stanie Maine; i oczywiście moją żonę, której krytyczne spojrzenie jest równie ostre i przenikliwe jak zawsze.

Chociaż miasta otaczające Jerusalem są w pełni prawdziwe, to jednak samo miasteczko istnieje wyłącznie w wyobraźni autora, w związku z czym wszelkie podobieństwo między zamieszkującymi je osobami a ludźmi żyjącymi w rzeczywistym świecie jest przypadkowe i nie zamierzone.

S. K.

PROLOG

*Czego tu szukasz, mój stary przyjacielu?
Po latach spędzonych poza domem przybywasz,
Niosąc ze sobą wspomnienia,
Któreś przechowywał pod obcym niebem
Z dala od swej ziemi.*

George Seferis

1

Niemal wszyscy sądzili, że mężczyzna i chłopiec — to ojciec i syn.

Jechali starym citroenem krętą trasą prowadzącą na południowy zachód, trzymając się głównie bocznych dróg i często zmieniając tempo jazdy. Zanim dotarli do celu, zatrzymali się w trzech miejscach: najpierw w Rhode Island, gdzie wysoki, ciemnowłosey mężczyzna pracował w tkalni, potem w Youngstown w stanie Ohio, gdzie przez trzy miesiące był zatrudniony przy montażu ciągników, a wreszcie w niewielkim kalifornijskim miasteczku położonym w pobliżu granicy z Meksykiem, gdzie pracował na stacji benzynowej i naprawiał małe zagraniczne samochody, ku swemu zdziwieniu i zadowoleniu dając sobie z tym całkiem nieźle radę.

Wszędzie, gdzie się zatrzymywali, kupował ukazujący się w *Portland Press-Herald* i szukał w nim informacji dotyczących małego, położonego w południowej części stanu Maine miasteczka Jerusalem. Od czasu do czasu udawało mu się na nie natrafić.

Zanim dotarli do Central Falls, napisał w motelowych pokojach szkic powieści i wysłał go do swego agenta. Milion lat temu, w czasach, kiedy ciemność nie ogarnęła jeszcze jego życia, był cieszącym się umiarkowanym uznaniem pisarzem. Agent zaniósł szkic do wydawcy, który wyraził uprzejme zainteresowanie, lecz nie objawił najmniejszej chęci wypłacenia

jakiegokolwiek zaliczki.

— Dziękuję i proszę wciąż jeszcze są zupełnie za darmo — powiedział mężczyzna do chłopca, drąc list od agenta.

W jego słowach nie było jednak zbyt wiele gorzkości, a wkrótce potem i tak zabrał się do pisania powieści.

Chłopiec mówił bardzo niewiele. Jego twarz była zawsze skupiona, a ciemne oczy zdawały się bezustannie wpatrywać w jakiś ponury, widoczny tylko dla niego horyzont. W restauracjach i na stacjach benzynowych, przy których zatrzymywali się po drodze, był po prostu uprzejmy i nic więcej. Najwyraźniej starał się nie tracić z pola widzenia wysokiego, ciemnowłosego mężczyzny, a kiedy ten musiał opuścić go na chwilę, żeby skorzystać z łazienki, chłopca natychmiast zaczynał ogarniać niepokój. Nie chciał rozmawiać o Jerusalem, choć jego towarzysz usiłował od czasu do czasu sprowadzić rozmowę na ten temat i nie zaglądał do dziennika z Portland, który mężczyzna często celowo kładł w zasięgu jego ręki.

Kiedy powieść została ukończona, mieszkali w chacie stojącej niemal na samej plaży, z dala od autostrady. Bardzo często kąpali się w Pacyfiku, cieplejszym i przyjaźniejszym od Oceanu Atlantyckiego. Nie przynosił żadnych wspomnień. Chłopiec stawał się coraz bardziej brązowy.

Chociaż stać ich było na dach nad głową i trzy solidne posiłki dziennie, życie, jakie prowadzili, zaczęło budzić w mężczyźnie niepokój i wątpliwości. Co praw-

da, cały czas uczył chłopca, który wydawał się nie mieć pod względem edukacji żadnych opóźnień (był bystry i bardzo lubił książki, tak jak on sam), ale widział, że próby zatarcia wspomnień o Jerusaleem nie wychodziły chłopcu na dobre. Nie raz krzyczał przez sen i zrzucał koce na podłogę.

Pewnego dnia przyszedł list z Nowego Jorku. Agent informował, że wydawnictwo Random House jest gotowe zapłacić dwanaście tysięcy dolarów zaliczki i że gwarantuje klubową sprzedaż książki. Czy autor zgodzi się przyjąć te warunki?

Zgodził się.

Zrezygnował z pracy na stacji benzynowej i wraz z chłopcem przejechał na drugą stronę granicy.

2

Los Zapatos, co znaczy „buty” (nazwa ta zawsze wprawiała mężczyznę w znakomity humor), było małą wioską położoną w pobliżu oceanu. Właściwie nie spotykało się tu turystów. Nie było ani dobrej drogi, ani pięknego widoku na Pacyfik, ani żadnych zabytków — trzeba było jechać pięć mil dalej na zachód, żeby mieć to wszystko. W dodatku w miejscowej knajpie aż roiło się od karaluchów, jedyna zaś miejscowa dziwka miała pięćdziesiąt lat i była już babcia.

Opuściwszy Stany znaleźli się w oazie niemal nieziemskiego spokoju. Nad głowami nie latały samoloty, nigdzie nie płaciło się za wejście ani za przejazd, a w promieniu stu mil nikt nie posiadał ani nie marzył o posiadaniu elektrycznej kosiarki do trawy. Mieli radio, ale nawet ono jedynie szumiło bez sensu, bo wszystkie wiadomości były nadawane po hiszpańsku; po pewnym czasie chłopiec zaczął cokolwiek rozumieć, lecz dla mężczyzny audycje miały już na zawsze pozostać niezrozumiałym bełkotem. W programach muzycznych prezentowano niemal wyłącznie opery. Wieczorem czasami udawało im się złapać stację z Monterey, nadającą muzykę pop, ale głos co chwilę zanikał. Jedynym działającym silnikiem w zasięgu słuchu był oryginalny, archaiczny rototiller, stanowiący własność jednego z rolników. Jeśli wiatr wiał akurat z tego kierunku, to do ich uszu docierał jego nieregularny, perkoczący odgłos, przywodzący na myśl jakiegoś niespokojnego ducha. Oni sami czerpali wodę ręcznie.

Raz lub dwa razy w miesiącu, nie zawsze razem, chodzili na mszę do małego kościółka. Żaden z nich nie rozumiał liturgii, ale mimo to tam chodzili. Mężczyzna czasem przyłapywał się na tym, że drzemie w potwornej duchocie, ukołysany monotonnym, znajomym rytmem i ożywiającymi go głosami. Pewnej niedzieli chłopiec przyszedł na skrzypiącą, tylną werandę, gdzie mężczyzna pracował nad nową książką i powiedział mu z wahaniem, że rozmawiał z księdzem na temat swojego ewentualnego chrztu. Mężczyzna skinął głową i zapytał, czy zna na tyle

hiszpański, żeby przyjąć konieczne nauki, ale chłopiec odparł, że to nie powinno stanowić większego problemu.

Raz w tygodniu mężczyzna wyruszał w czterdziestomilową podróż po gazecie z Portland, zawsze pochodzącą co najmniej sprzed kilku dni, a czasem noszącą wyraźne ślady psiego moczu. W dwa tygodnie po tej rozmowie z chłopcem natrafił w niej na obszerny artykuł o miasteczku Salem i innym, położonym w stanie Vermont, noszącym nazwę Momson. W artykule było również wymienione jego nazwisko.

Zostawił gazetę na wierzchu, jednak bez specjalnej nadziei, że chłopiec weźmie ją do ręki. Artykuł zaniepokoił go z kilku powodów; wyglądało na to, że w Salem sprawy nie wróciły jeszcze do normy.

Nazajutrz chłopiec przyszedł do niego, trzymając w ręku gazetę otwartą na artykule zatytułowanym „Czyżby nawiedzone miasto?”

— Boję się — powiedział.

— Ja też — odparł wysoki mężczyzna.

3

CZYŻBY NAWIEDZONE MIASTO?

John Lewis

Jerusalem — niewielkie miasteczko położone na wschód od Cumberland, mniej więcej dwadzieścia mil na północ od Portland. Nie pierwsze w historii Ameryki, które wyludniło się i umarło, ani najprawdopodobniej nie ostatnie, ale za to z pewnością jedno z najbardziej tajemniczych. Na Południowym Zachodzie takie miasta nie należą wcale do rzadkości; powstawały niemal z dnia na dzień wokół nowo odkrytych pokładów złota i srebra, a potem, gdy wyczerpały się żyły kruszcu, niemal równie raptownie znikwały, pozostawiając opuszczone sklepy, hotele i bary.

Jedynym wydarzeniem w Nowej Anglii, które można porównać do tajemniczego wyludnienia Jerusalem czy też Salem, jak często nazywają je okoliczni mieszkańcy, jest to, co spotkało leżące w stanie Vermont miasteczko Momson. Latem roku 1923 zniknęli bez śladu wszyscy jego mieszkańcy — trzysta dwanaście osób. Domy i kilka niewielkich budynków mieszczących urzędy nadal stoją, lecz od pięćdziesięciu dwóch lat są zupełnie puste. Z kilku z nich usunięto całe wyposażenie, ale większość jest nadal całkowicie umeblowana, jakby w środku zwyczajnego dnia powiał nagle jakiś potworny wiatr, unosząc ze sobą wszystkich ludzi. W jednym z domów pozostał nakryty już do wieczornego posiłku stół, w innym zasłano łóżka, jakby szykując się do spoczynku, w sklepie zaś znaleziono leżącą na ladzie sztukę zmurszałej, bawełnianej tkaniny; w okienku kasy

widniała wybita należność: \$ 1,22 — a w samej kasie leżało nietknięte niemal pięćdziesiąt dolarów.

Okoliczni mieszkańcy lubią zabawiać turystów historyjką o tym, jakoby miasteczko było nawiedzone — rzekomo właśnie z tego powodu przez tyle lat nikt się w nim nie osiedlił. Znacznie bardziej prawdopodobnym wytłumaczeniem jest jednak to, że Momson leży w odludnej części stanu, z daleka od głównych dróg. Nie ma w nim nic, co nie mogłoby się znaleźć również w jakiegokolwiek innej podobnej miejscowości — oczywiście z wyjątkiem przypominającej tajemnicę „Mary Celeste” zagadki jego nagłego opustoszenia.

Mniej więcej to samo można powiedzieć o Jerusalemie.

Według spisu z roku 1970 miasteczko Salem liczyło 1319 mieszkańców, co w porównaniu ze spisem sprzed dziesięciu lat oznaczało przyrost dokładnie o sześćdziesiąt siedem osób. Życie toczyło się leniwie i wygodnie, i nie działo się właściwie nic godnego uwagi. Jedynym bardziej znaczącym wydarzeniem, o którym mogli rozmawiać starsi obywatele, regularnie spotykający się w parku lub sklepie ogrodniczym Crossena, był pożar z roku 1951, kiedy to lekkomyślnie rzucona zapalka stała się przyczyną jednego z największych pożarów lasu w historii stanu.

Dla kogoś, kto chciałby spędzić jesień swego życia w małym prowincjonalnym miasteczku, gdzie każdego interesują tylko jego własne sprawy, najważniejszym zaś wydarzeniem każdego tygodnia jest spotkanie Klubu Kobiet, Salem stanowiłoby idealne miejsce. Pod względem demograficznym spis z roku 1970 potwierdził zarówno wyniki badań socjologów, jak i obserwacje wszystkich długoletnich mieszkańców jakiegokolwiek miasteczka w stanie Maine: dużo ludzi starych, trochę biednych i dużo młodych, którzy natychmiast po ukończeniu szkoły uciekali z dyplomami pod pachą, żeby już nigdy tu nie powrócić.

Jednak mniej więcej rok temu w Jerusalemie stało się coś niezwykłego: zaczęli znikać ludzie. To znaczy, zdecydowana większość nie zniknęła w ścisłym znaczeniu tego słowa. Miejscowy policjant Parkins Gillespie mieszka teraz ze swoją siostrą w Kittery. Charles James, właściciel usytuowanej naprzeciw apteki stacji benzynowej, ma obecnie warsztat samochodowy w sąsiednim Cumberland. Pauline Dickens przeniosła się do Los Angeles, Rhoda Curless zaś pracuje przy misji św. Mateusza w Portland. Lista tych, którzy „zniknęli” właśnie w ten sposób, jest bardzo długa.

Jedno, co dziwi u tych ludzi, to ich wspólna niechęć — lub niezdolność — do mówienia o Jerusalemie i o tym, co się tam wydarzyło. Parkins Gillespie popatrzył na piszącego te słowa, zapalił papierosa i powiedział: „Po prostu postanowiłem się przeprowadzić”. Charles James twierdzi, że został zmuszony do przenosin, ponieważ prowadzony przez niego interes przestał przynosić zyski, kiedy miasto wyludniło się. Pauline Dickens, która przez wiele lat pracowała jako kelnerka w Excellent Cafe, w ogóle nie odpowiedziała na mój list, panna Curless zaś ka-

tegorycznie odmówiła udzielenia jakichkolwiek informacji na temat miasteczka Salem.

Zagadkę wielu pozostałych zniknięć można rozwikłać dzięki dedukcji opierającej się na pewnych uprzednich badaniach. Lawrence Crockett, miejscowy pośrednik w handlu nieruchomościami, ulotnił się wraz ze swą żoną i córką, pozostawiając po sobie ślad w postaci wielu budzących poważne wątpliwości transakcji. (Jedna z nich dotyczyła działki budowlanej w Portland, na której obecnie wznosi się duże centrum handlowe.) Royce McDougall i jego żona stracili w tym roku nowo narodzonego syna, więc raczej nic nie trzymało ich w miasteczku. Mogą teraz być dokładnie wszędzie. Podobnie — wielu innych. Oto wypowiedź szefa Policji Stanowej, Petera McFee: „Poszukujemy wielu osób z Jerusalem, ale to nie jest jedyne miasto w stanie Maine, w którym znikają ludzie. Royce McDougall nie spłacił kredytu w banku i jeszcze w dwóch instytucjach finansowych. . . Moim zdaniem, to typowy oszust, który postanowił w ten sposób wymigać się od kłopotów. Prędzej czy później skorzysta z którejś z kart kredytowych, które miał w swoim portfelu i wtedy komornicy dostaną go w swoje ręce. W Ameryce nagłe zniknięcia ludzi nie są niczym nadzwyczajnym. Żyjemy w zmotoryzowanym społeczeństwie; ludzie co dwa lub trzy lata pakują manatki i ruszają w drogę, nieraz zapominając o zostawieniu nowego adresu. Szczególnie zatwardziali dłużnicy”.

Jednak pomimo nieugiętego rozsądku, emanującego ze słów kapitana McFee, trzeba przyznać, że w miasteczku Salem stykamy się z wieloma nie wyjaśnionymi zagadkami. Wśród zaginionych znajduje się między innymi Henry Petrie wraz z żoną i synem, a przecież pana Petrie’ego, długoletniego urzędnika firmy ubezpieczeniowej, trudno jest nazwać zatwardziałym dłużnikiem. Na liście budzącej niepokój swoją długością figurują także nazwiska miejscowego grabarza, bibliotekarki i kosmetyczki.

W sąsiednich miasteczkach zaczęła się już szerzyć epidemia plotek, dająca zwykle początek narodzinom nowej legendy. Jerusalem zyskało sobie opinię nawiedzonego miejsca. Krążą słuchy, jakoby nad przecinającą miasto linią wysokiego napięcia widywano tajemnicze, kolorowe światła, a na rzuconą mimochodem uwagę, że być może wszyscy mieszkańcy zostali porwani przez UFO, nikt nie reaguje śmiechem. Mówi się również o „mrocznym sprzysiężeniu” młodych ludzi, którzy odprawiali w miasteczku czarne msze i w ten sposób ściągnęli na nie Gniew Boży, który unicestwił wszystkich żyjących w miejscowości noszącej tę samą nazwę, co najważniejsze miasto Ziemi Świętej, natomiast ci o nieco bardziej sceptycznym nastawieniu wspominają o znanej sprawie z Houston w Teksasie, gdzie trzy lata temu odkryto zbiorowe groby wielu zaginionych osób.

Po wizycie w Salem tego rodzaju przypuszczenia wydają się znacznie mniej nieprawdopodobne. Nie działa ani jeden sklep. Jako ostatnia zamknęła swoje podwoje apteka Spencera, zaprzestając działalności w styczniu tego roku. Sklep ogrodnicy Crossena, sklep z narzędziami, antykwariat Barlowa i Strakera, Excel-

lent Cafe, a nawet siedziba Rady Miejskiej są pozabijane na głucho deskami. Nowa szkoła podstawowa stoi pusta, podobnie jak szkoła średnia, wzniesiona w roku 1967 i grupująca młodzież z dwóch sąsiednich osad. W oczekiwaniu na wyniki referendum w pozostałych miejscowościach tego regionu całe wyposażenie obydwu szkół oraz książki przeniesiono do zastępczego budynku w Cumberland, ale wszystko wskazuje na to, że z chwilą rozpoczęcia roku szkolnego nie zjawi się żadne dziecko z Jerusalem. Po prostu dlatego, że nie ma tu dzieci, tylko opuszczone sklepy, porzucone domy, zarośnięte trawniki i puste ulice.

Wśród osób których miejsce pobytu chciałaby ustalić policja stanowa, znajdują się między innymi: John Groggins, pastor kościoła metodystów, ojciec Donald Callahan, proboszcz katolickiej parafii św. Andrzeja, Mabel Werts, wdowa pełniąca wiele społecznych funkcji, Lester i Harriet Durham, oboje pracujący w tkalni i przedzalni Gatesa, prowadząca miejscowy pensjonat Eva Miller. . .

4

W dwa miesiące po ukazaniu się artykułu chłopiec przyjął chrzest, po czym poszedł do pierwszej spowiedzi i wyznał wszystko.

5

Ksiądz był starym, siwowłosym mężczyzną o opalonej, pokrytej gęstą siatką zmarszczek twarzy, w której tkwiły oczy zdumiewające swoją bystrością i żywotnością. Były bardzo błękitne i bardzo irlandzkie. Kiedy przy jego domu pojawił się wysoki mężczyzna, kapłan siedział na werandzie w towarzystwie ubranego po miejsku człowieka i pił herbatę. Obcy miał przedziałek na środku głowy i napomadowane włosy — wysokiemu mężczyźnie przypominał ludzi z portretowych zdjęć z końca XIX wieku.

— Nazywam się Jesus de la rey Muñoz — powiedział oschle obcy. — Ojciec Gracon zaprosił mnie jako tłumacza, bo nie zna angielskiego. Ojciec Gracon kiedyś wyświadczył mojej rodzinie wielką przysługę, o której nie opowiem. . . Będę równie dyskretny w sprawie, którą teraz chce omówić. Czy to panu odpowiada?

— Tak.

Uścisnął rękę Muñoz, a potem Gracona. Kapłan uśmiechnął się i powiedział coś po hiszpańsku. Miał tylko pięć zębów, ale jego uśmiech był pogodny i szczerzy.

— Pyta, czy zechce pan napić się herbaty. To zielona herbata, bardzo orzeźwiająca.

— Z przyjemnością.

— Chłopiec nie jest pańskim synem — stwierdził ksiądz, kiedy wymienili już wszystkie konieczne uprzejmości.

— Nie jest.

— Jego spowiedź była bardzo dziwna. Prawdę mówiąc, nigdy w czasie mojego kapłaństwa nie słyszałem tak dziwnej spowiedzi.

— Domyślam się.

— Płakał — powiedział ojciec Gracon popijając herbatę. — Płakał szczerze i głęboko, całą duszą. Czy muszę zadać pytanie, które w związku z tą spowiedzią ciśnie mi się na usta?

— Nie — odparł wysoki mężczyzna. — Nie musi ksiądz. On mówił prawdę.

Gracon skinął głową, zanim Munoz przetłumaczył odpowiedź, a jego twarz spoważniała. Pochylił się do przodu, opierając obie ręce na kolanach i zaczął mówić. Mówił długo, a Munoz słuchał uważnie, starając się, żeby jego twarz pozostała całkowicie bez wyrazu.

— Mówi, że na świecie dzieją się różne dziwne rzeczy — odezwał się, kiedy kapłan skończył. — Czterdzieści lat temu pewien rolnik z El Graniones przyniósł mu jaszczurkę, która krzyczała kobiecym głosem. Widział człowieka ze stygmatami Męki Pańskiej, na którego stopach i dłoniach w każdy Wielki Piątek pojawiały się ślady krwi. Mówi, że to jest okropna, straszna rzecz, bardzo niebezpieczna zarówno dla pana, jak i dla chłopca. Szczególnie dla chłopca. To go pożera. On mówi, że. . .

Gracon podjął na nowo przemowę, ale tym razem szybko zamilkł.

— Pyta, czy pan zdaje sobie sprawę z tego, co pan zrobił w ty Nowym Jerusale.

— Jerusale — poprawił go mężczyzna. — Tak, zdaje sobie. Kapłan ponownie się odezwał.

— Pyta, co pan zamierza uczynić. Wysoki mężczyzna pokręcił powoli głową.

— Nie wiem.

Gracon powiedział jedno krótkie zdanie.

— Mówi, że będzie się za was modlił.

6

Tydzień później obudził się z koszmarne go snu zlanym zimnym potem i zawołał chłopca.

— Wracam — powiedział.

Chłopiec pobladał pod warstwą opalenizny.

— Zostaniesz ze mną? — zapytał mężczyzna.

— A kochasz mnie?

— Tak. O Boże, tak!

Chłopiec zaczął szlochać, a mężczyzna objął go mocno.

7

Sen nie chciał nadejść. W cieniach czały się twarze, nadlatując niespodziewanie ku niemu niczym niesione wiatrem płatki śniegu, a kiedy mocniejszy podmuch uderzył w dach gałęzią drzewa, aż podskoczył ze strachu.

Jerusalem.

Zamknął oczy, przycisnął do nich dłonie i wszystko zaczęło wracać. Niemal widział przed sobą szklany przycisk w kształcie kuli; kiedy się nią potrząsnęło, w środku przez chwilę szalała śnieżna zamieć.

CZEŚĆ PIERWSZA
Dom Marstenów

Żaden żywy organizm nie może długo funkcjonować normalnie w warunkach absolutnej realności; niektórzy uważają, że nawet skowronki i koniki polne muszą mieć jakieś sny. Dom Na Wzgórzu, bynajmniej nienormalny, stał samotnie, wypełniony ciemnością. Stał tak już od osiemdziesięciu lat i mógł stać osiemdziesiąt następnych. W jego wnętrzu wszystkie ściany wznosiły się prosto ku górze, cegły przylegały szczelnie jedna do drugiej, podłogi były równe, a drzwi szczelnie pozamykane. We wzniesionym z drewna i kamieni Domu Na Wzgórzu panowała całkowita cisza i jeżeli ktokolwiek w nim był, był zupełnie sam.

Shirley Jackson
Dom Na Wzgórzu

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Ben (I)

1

Kiedy Ben Mears minął Portland, skręcając na północ za rogatkami miasta, ogarnęło go przyjemne uczucie podniecenia. Był 5 września 1975 roku i lato znajdowało się jeszcze w pełni swego późnego rozkwitu. Drzewa kipiały zielenią, czyste niebo miało kolor delikatnego błękitu, kiedy zaś spojrzął w bok, w kierunku Falmouth, spostrzegł na biegnącej równoległe do szosy drodze sylwetki dwóch chłopców maszerujących z wędkami zarzuconymi na ramiona niczym karabiny.

Zjechał na prawy pas i zwolnił, rozglądając się w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby pobudzić jego pamięć. Początkowo nie mógł niczego takiego dojrzeć i zaczął być niemal pewien rozczarowania. Miałeś wtedy zaledwie siedem lat. Od tego czasu pod mostem przepłynęło dwadzieścia pięć lat wody. Miejsca zmieniają się tak jak ludzie.

Czteropasmowa szosa numer 295 jeszcze wtedy nie istniała. Jeżeli ktoś chciał dostać się z miasteczka do Portland, musiał jechać drogą numer 12 do Falmouth, a stamtąd skręcić na jedynekę. Cóż, czas nie czeka. . .

Przestań chrzanić.

Ale to wcale nie było takie łatwe, szczególnie jeżeli. . .

Nagle lewym pasem tuż koło niego przemknął duży motocykl z wysoką, wygiętą kierownicą. Prowadził jakiś dzieciak w podkoszulku, a za nim siedziała dziewczyna w czerwonej kurtce i dużych, lustrzanych okularach. Zjechali na prawy pas tuż przed maską jego samochodu i Ben wdepnął gwałtownie hamulec, naciskając obiema dłońmi przycisk klaksonu. Motocykl raptownie przyśpieszył, wypuszczając z rury wydechowej kłąb niebieskiego dymu, a dziewczyna odwróciła się, pokazując mu wyprostowany środkowy palec.

Zwiększył prędkość żałując, że nie ma papierosa. Drżały mu ręce. Motocykl zniknął już prawie z oczu. Szczeniaki. Cholettee szczeniaki. Poczul, że ogarniają go wspomnienia, znacznie świeższe od tych, którymi zajmował się przed chwilą, ale odepchnął je od siebie. Już prawie od dwóch lat nie prowadził motocykla i nie miał najmniejszego zamiaru tego robić.

Kątem oka zarejestrował po lewej stronie coś czerwonego; spojrzął tam i poczul przyływ pełnej uniesienia radości. Daleko, na wznoszącym się lekko ku

górze polu tymotki i koniczyny stała ogromna, czerwona stodoła z pomalowanym na biało dachem. Była tam wtedy i była teraz. Wyglądała dokładnie tak samo. Może jednak wszystko będzie w porządku. Po chwili drzewa przesłoniły widok.

Jechał teraz przez okręg Cumberland, dostrzegając coraz więcej znajomych rzeczy. Royal River, gdzie jako chłopcy łapali pstrągi i szczupaki, migająca przez gałęzie drzew panorama Cumberland Village, w dali wieża ciśnien z wymalowanym wielkimi literami hasłem ZOSTAWCIE NAM WSZYSTKIE DRZEWA. Ciotka Cindy zawsze mawiała, że ktoś powinien jeszcze dopisać: I PRZYWIEŹCIE TROCHĘ FORSY.

Czując, jak jego podniecenie narasta z każdą chwilą, przyspieszył jeszcze bardziej, wypatrując znajomego znaku. Pojawił się po pięciu milach, błyszcząc już z daleka swoją odblaskową zielenią.

DROGA NUMER 12 JERUSALEM OKRĘG CUMBERLAND

Nagle otuliła go czarna zasłona, tłumiąc jego dobry nastrój tak jak rzucony w ogień piasek. Zdarzały mu się takie stany od czasu, kiedy (chciał w myślach wypowiedzieć imię Miranda, ale nie mógł) nastąpiło to straszne wydarzenie, lecz tym razem odczucie było potwornie, przerażająco silne.

Co właściwie chce osiągnąć, wracając do miasteczka, w którym spędził cztery lata swego dzieciństwa, usiłując odnaleźć coś, co jest już bezpowrotnie stracone? Czy spacerując drogami, które zapewne zostały starannie wyasfaltowane, wyprostowane i zasypane wyrzucanymi przez turystów puszkami po piwie, ma nadzieję odnaleźć magię dawnych lat? Ta magia już dawno zniknęła, zarówno czarna, jak i biała. Zniknęła dokładnie tej nocy, kiedy stracił panowanie nad motocyklem, a przed nim pojawiła się ta żółta furgonetka i rosła błyskawicznie w oczach, a on słyszał krzyk swojej żony, coraz głośniejszy, gwałtownie urwany. . .

Po prawej stronie pojawił się zjazd z autostrady i przez chwilę Ben zastanawiał się, czy go nie minąć i nie pojechać dalej, do Chamberlain lub Lewiston, zjeść tam lunch, a potem wrócić. Tylko dokąd? Do domu? Śmiechu warte. Jeżeli gdziekolwiek miał jakiś dom, to właśnie tutaj. Nawet jeśli tylko przez cztery lata.

Włączył kierunkowskaz, zwolnił i skręcił w prawo. W miejscu, gdzie zjazd łączył się z drogą numer 12 (która w pobliżu miasteczka zamieniała się w Joiner Avenue), spojrział w kierunku linii horyzontu; to, co zobaczył, sprawiło, że gwałtownie nacisnął na hamulec obiema stopami. Citroen zatrzymał się z piskiem opon.

Wznoszący się łagodnie ku wschodowi teren był porośnięty sosnowo-świerkowym lasem. Z miejsca, w którym Ben się znajdował, nie było widać miasteczka, tylko tłoczące się drzewa, na samej zaś linii horyzontu sterczący pomiędzy ich gęstwiny stromy dach Domu Marstenów.

Wpatrywał się w niego zafascynowany, a przez jego twarz przemijały z zaskakującą prędkością sprzeczne uczucia.

— Wciąż jeszcze stoi — mruknął półgłosem. — Mój Boże...

Opuścił wzrok i spojrzał na swoje ramiona. Były pokryte gęsią skórą.

2

Celowo minął miasteczko, żeby skręcić w Burns Road i wjechać do niego od zachodu. Zdziwił się, jak mało się zmieniło. Spostrzegł zaledwie kilka domów, których nie pamiętał, niewielki zajazd na samej granicy miasta i parę żwirowych, świeżych ścieżek. Zniknęło także trochę drzew, ale stary, metalowy znak wskazujący drogę do wysypiska śmieci znajdował się na swoim miejscu, prowadząca tam droga zaś nadal była nie utwardzona, pełna dziur i wykrotów.

Przez przecinkę w lesie, na której wznosiły się potężne słupy biegnącej z północnego zachodu na południowy wschód linii energetycznej dostrzegł Szkolne Wzgórze. Farma Griffenów wyglądała tak samo jak dawniej, jeśli nie liczyć powiększonej stodoły. „Ciekawe, czy nadal butelkują i sprzedają swoje mleko?” — pomyślał. Znak firmowy stanowiła szeroko roześmiana krowa, a powyżej napis: SŁONECZNE MLEKO Z FARMY GRIFFENÓW! Uśmiechnął się. U ciotki Cindy zjadł niejeden talerz płatków kukurydzianych przyrządzonych właśnie z tym mlekiem.

Skręcił w lewo w Brooks Road, minął kutą w żelazie bramę i niski, kamienny mur cmentarza, zjechał w dół i zaczął się wspinać zboczem następnego wzniesienia zwanego Wzgórzem Marstenów.

Z pozbawionego drzew szczytu roztaczała się panorama miasteczka, natomiast po lewej stronie wznosił się Dom Marstenów. Ben zatrzymał samochód, wyłączył silnik i wysiadł.

Wszystko wyglądało dokładnie tak samo. Nie było absolutnie żadnej różnicy, jakby minął co najwyżej jeden dzień.

Przed domem rosła wybujała, dzika trawa, zasłaniając ułożoną z dużych, kamiennych płyt drogę, prowadzącą do frontowych schodów. Grały w niej koniki polne, od czasu do czasu przenosząc się z miejsca na miejsce wysokimi skokami.

Dom stał zwrócony przodem do miasteczka. Był duży, zniszczony i zaniedbany, a przesłonięte okiennicami okna nadawały mu ów złowieszczy wygląd charakterystyczny dla wszystkich domów, w których długo nikt nie mieszka. Deszcze zmyły farbę, pozostawiając szary kolor starego drewna, wiatr zerwał kilka dachówek, a zachodni narożnik dachu zapadł się pod ciężarem leżącego długo którejś zimy śniegu, upodabniając budynek do garbatego człowieka. Na prawej poręczy schodów wisiała przybita gwoździem zmurszała tabliczka z napisem zakazującym wstępu.

Ben poczuł silną pokusę, żeby pójść zarośniętą ścieżką wśród skaczących spod nóg świerszczy, wejść na schody i zajrzeć przez szpary między spaczonymi deskami do hallu albo salonu, a może nawet nacisnąć klamkę i gdyby drzwi okazały się otwarte, wejść do środka.

Niemal jak zahipnotyzowany wpatrywał się bez ruchu w dom na szczycie wzgórza, a on odpowiadał mu idiotycznie obojętnym spojrzeniem.

W hallu byłoby wyraźnie czuć zapach wilgotnego tynku i butwiejących tapet, a pod ścianami przemykałyby myszy. Podłoga z pewnością jest zawalona najróżniejszymi rupieciami i mógłby coś podnieść, na przykład przycisk do papieru, i wsadzić go do kieszeni. Na końcu hallu, zamiast wejść do kuchni, skręciłby w lewo i wspiął się po schodach, zostawiając za sobą ślady w gipsowym pyłe, który w ciągu lat opadł z sufitu. Stopni jest dokładnie czternaście, z tym że ostatni jest znacznie niższy od pozostałych, jakby dodano go po to, żeby uniknąć złowroźnej liczby. U szczytu schodów spojrzalby na wprost, na znajdujące się na samym końcu korytarza zamknięte drzwi, po czym ruszyłby powoli w ich stronę, patrząc, jak stają się coraz większe, aż wreszcie dotarłby do nich, wyciągnął rękę i położył dłoń na poczerńiałej, srebrnej klamce. . .

Odwrócił się tyłem do domu, wypuszczając raptownie powietrze z ust. Jeszcze nie teraz. Może później, ale nie teraz. Na razie wystarczy mu świadomość, że wszystko jest na swoim miejscu. Czekają na niego. Oparł się dłońmi o maskę samochodu i spojrzal na miasteczko. Dowie się, do kogo obecnie należy Dom Marstenów i być może go wynajmie. Kuchnia powinna znakomicie nadać się na pracownię, a spać będzie mógł w salonie, ale na pewno nie wejdzie na piętro.

W każdym razie nie wcześniej, niż okaże się to absolutnie konieczne.

Wsiadł do samochodu, uruchomił silnik i zaczął zjeżdżać ze wzgórza do miasteczka Salem.

ROZDZIAŁ DRUGI

Susan (I)

1

Siedząc na ławce w parku zauważył, że przygląda mu się jakaś dziewczyna. Była bardzo ładna i miała jasne włosy związane jedwabną wstążką. W tej chwili właśnie czytała książkę, ale tuż obok leżał także szkicownik i ołówek. Był wtorek, 16 września — pierwszy dzień szkoły, dzięki czemu jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki park opustoszał z najbardziej hałaśliwych spacerowiczów. Pozostały jedynie matki z małymi dziećmi, kilku staruszków siedzących wokół pomnika i ta dziewczyna w usianym plamkami światła cieniu starego, poskręcane wiązu.

Podniosła głowę i napotkała jego wzrok. Na jej twarzy pojawił się nagle wyraz zaskoczenia; spojrzała na książkę, potem ponownie na niego, zrobiła ruch, jakby chciała wstać, ale rozmyśliła się, tylko po to jednak, żeby się unieść i ponownie usiąść.

Wstał z ławki i trzymając w dłoniach kieszonkowe wydanie jakiegoś westernu podszedł do niej.

— Dzień dobry — powiedział uprzejmie. — Czy my się znamy?

— Nie — odparła, — To znaczy... Pan jest Benjamin Mears, prawda?

Uniósł brwi.

— Tak.

Roześmiała się niepewnie, spojrzawszy mu przelotnie w oczy, jakby chciała sprawdzić, w jakim jest nastroju, a następnie wbiła wzrok w ziemię. Najwyraźniej nie należała do dziewcząt, które codziennie rozmawiają w parku z obcymi mężczyznami.

— Wydawało mi się, że zobaczyłam ducha — powiedziała. Uniosła książkę, którą czytała; zdążył zauważyć stempel „Biblioteka Publiczna Jerusalem”. Był to *Powietrzny taniec*, jego druga powieść. Pokazała mu na obwolucie jego zdjęcie pochodzące sprzed czterech lat. Widoczna na nim twarz sprawiała wrażenie chłopcęcej, a jednocześnie zatrwającą poważnej — oczy przypominały dwa czarne diamenty.

— Z tak nieistotnych przypadków biorą swój początek całe dynastie — uważał i choć miał to być tylko żart, to zdawało się, że jego słowa zawisły w powietrzu niczym wypowiedziane z całą powagą proroctwo. Za ich plecami kilkoro dzieci pluskało się radośnie w brodziku, a jakaś matka upominała Roddy'ego, żeby nie huśtał swojej siostrzyczki aż tak wysoko. Mimo to siostrzyczka za każdym wahnięciem huśtawki wzlatywała z rozwianą sukienką coraz wyżej, jakby chciała dosięgnąć pogodnego nieba. Tę chwilę zapamiętał na wiele lat, niczym specjalny, mały kawałek odcięty dla niego z tortu czasu. Jeżeli między dwojgiem ludzi nic się nie dzieje, to takie chwile wkrótce nikną w rumowisku zapomnienia.

Dziewczyna roześmiała się i podała mu książkę.

— Da mi pan autograf?

— Na książce z biblioteki?

— Kupię im inny egzemplarz.

Znalazł w kieszeni swetra mechaniczny ołówek i otworzył książkę na stronie tytułowej.

— Jak się nazywasz?

— Susan Norton.

Napisał szybko, bez zastanowienia: „Susan Norton, najładniejszej dziewczynie w parku, z wyrazami uszanowania. Ben Mears”. Podpisał się i uzupełnił całość datą.

— Teraz będziesz musiała ją ukraść — powiedział, wręczając jej książkę z powrotem. — Z tego, co wiem, nakład został już wyczerpany.

— Złożę zamówienie u jednego z tych antykwariuszy w Nowym Jorku. — Zawahała się i ponownie spojrzała mu w oczy, tym razem nieco dłużej. — To bardzo dobra książka.

— Dziękuję. Kiedy ją przeglądam, zastanawiam się, w jaki sposób w ogóle udało mi się ją wydać.

— A często ją pan przegląda?

— Owszem, ale staram się od tego odzwyczać.

Uśmiechnęła się, a w chwilę potem oboje się roześmieli i wszystko stało się bardziej naturalne. Dopiero dużo później miał okazję zastanowić się nad tym, jak gładko i szybko to poszło. Myśli, jakie w związku z tym go nawiedzały, nie należały do najprzyjemniejszych, nieodmiennie bowiem wywoływały z zakamarków mózgu obraz losu, bynajmniej nie ślepego, lecz wyposażonego w sokoli wzrok i zajmującego się mieleniem bezsilnych śmiertelników w ogromnych żarnach wszechświata na mąkę, z której następnie miał powstać jakiś tajemniczy chleb.

— Czytałam też *Córkę Conwaya*. Bardzo mi się podobała. Pewnie ciągle pan to słyszy.

— Wręcz przeciwnie — odparł najzupełniej szczerze. Miranda również lubiła tę powieść, ale większość spośród jego kawiarnianych przyjaciół była nieprzejednana, krytycy zaś dosłownie ją zgnoili. Cóż, w końcu od tego właśnie są.

— A ja często to słyszałam.
— Czytałaś już najnowszą?
— *Billy kazał nam tak trzymać?*. Jeszcze nie. Panna Coogan mówi, że jest bardzo pikantna.

— Do licha, według mnie jest prawie purytańska — odparł Ben. — Język jest dosyć obcesowy, ale jeśli się pisze o niewykształconych wiejskich chłopcach, nie można... Słuchaj, mogę cię zaprosić na oranżadę albo na coś w tym rodzaju? Sam właśnie zaczynałem mieć na to ochotę.

Spojrzała mu w oczy po raz trzeci, a potem uśmiechnęła się ciepło.

— Jasne, z przyjemnością. Najlepszą mają u Spencera.

I tak się właśnie zaczęło.

2

— Czy to jest panna Coogan? — zapytał Ben przyciszonym głosem, spoglądając na wysoką, szczupłą kobietę w czerwonym płaszczu narzuconym na biały kostium. Miała włosy o lekko błękitnawym odcieniu, ułożone w liczne drobne fale.

— Tak. Przychodzi co czwartek do biblioteki z małym wózekkiem na dwóch kółkach i wypełnia całą masę rewersów, co strasznie złości pannę Starcher.

Siedzieli, w barze na obitych czerwoną skórą stołkach. Ben pił oranżadę czekoladową, a Susan truskawkową. Apteko-cukiernia Spencera pełniła również funkcję dworca autobusowego i z miejsca, które zajmowali, mogli zajrzeć przez szerokie, zwieńczone staromodnym łukiem wejście do poczekalni, gdzie siedział z ponurą miną młody mężczyzna w mundurze Sił Powietrznych, trzymając między nogami walizkę stojącą na podłodze.

— Nie wygląda na to, żeby się cieszył ze swojej podróży — zauważyła Susan, podążając spojrzeniem za jego wzrokiem.

— Pewnie skończyła mu się przepustka — odparł Ben. Teraz zapyta mnie, czy służyłem w wojsku, pomyślał.

— Któregoś dnia ja też będę czekać na ten o dziesiątej trzydzieści — usłyszał zamiast tego. — Żegnaj, Salem. Na pewno będę równie smutna Jak ten chłopiec.

— Dokąd się wybierasz?

— Chyba do Nowego Jorku. Żeby się wreszcie przekonać, czy mogę stać się zupełnie samowystarczalna.

— A tu coś jest nie tak?

— W Salem? Uwielbiam to miasteczko, ale chodzi o moich rodziców. Zawsze będą mnie kontrolować, a ja tego nie lubię. Poza tym młoda ambitna dziewczyna raczej nie może tutaj liczyć na zbyt interesujące perspektywy.

Wzruszyła ramionami i pochyliła się nad swoją słomką. Miała opalony, wspólnie umięśniony kark. Pod luźną, kolorową koszulą kryła się cudowna figura.

— Jaka praca cię interesuje?

— Skończyłam sztuki piękne i anglistykę na Uniwersytecie Bostońskim, ale szczerze mówiąc ten mój dyplom nie jest wart nawet papieru, na którym został wydrukowany. Takie zakwalifikowanie do kategorii wykształconych idiotów. Nie potrafiłabym nawet urządzić wnętrza biura. Większość dziewcząt, z którymi chodziłam do ogólniaka, ma teraz wygodne posadki sekretarek, a ja ledwo zaliczyłam podstawowy kurs maszynopisania.

— Co ci w takim razie pozostaje?

— Bo ja wiem... Może jakieś wydawnictwo albo czasopismo? Na przykład praca związana z reklamą. Tam zawsze potrzebują ludzi, którzy potrafią narysować coś na zamówienie, a ja to umiem. Mam całą teczkę prac.

— Dostałaś już jakieś propozycje? — zapytał łagodnie.

— No... Nie, ale...

— Bez konkretnych propozycji nie masz po co jechać do Nowego Jorku — powiedział. — Możesz mi wierzyć, tylko zedrzesz sobie obcas. Uśmiechnęła się niepewnie.

— Chyba ma pan rację.

— Sprzedałaś już coś?

— Och, tak! — Roześmiała się głośno. — Największym nabywcą jak do tej pory była Cinex Corporation. Otworzyli w Portland nową trójwymiarową kinę i kupili hurtem dwanaście obrazów, żeby powiesić je w hallu. Zapłacili mi siedemset dolarów, a ja wszystko wydałam na pierwszą ratę za samochód.

— Powinnaś wynająć sobie w Nowym Jorku pokój w hotelu na jakiś tydzień i zaatakować ze swoją teczką każde pismo i wydawnictwo, jakie tylko uda ci się znaleźć — powiedział. — Umów się ze wszystkimi pół roku wcześniej, żeby na pewno cię przyjęli, ale, na litość boską, nie jedź tam zupełnie na wariata.

— A pan? — zapytała, odkładając słomkę i zabierając się do lodów. — Co pan robi w kwitnym, liczącym sobie tysiąc trzysta dusz miasteczku Salem w stanie Maine?

Wzruszył ramionami.

— Usiłuję napisać powieść. Natychmiast się ożywiła.

— Tutaj? A o czym? Dlaczego właśnie w Salem? Czy pan...

Spojrzał na nią przeciągle.

— Kapią ci lody.

— Słucham? Ach, rzeczywiście. Przepraszam. — Wytarła chusteczką blat. — Nie chciałam być wścibska.

— Nie szkodzi — odparł. — Wszyscy pisarze lubią mówić o swoich książkach. Czasem, kiedy leżę wieczorem w łóżku, przygotowuję się do wywiadu dla

Playboya, ale to strata czasu, bo ich interesują tylko ci autorzy, którzy zdobyli popularność w środowisku uniwersyteckim.

Młody lotnik wstał z miejsca. Przed poczekalnię, posapując pneumatycznymi hamulcami, zjechał autobus.

— W dzieciństwie mieszkałem tu przez cztery lata. Na Burns Road, dokładnie rzecz biorąc.

— Burns Road? Teraz tam nie ma nic oprócz moczarów i małego cmentarza na Wzgórzu Spokoju.

— Mieszkałem u ciotki Cindy. Nazywała się Cynthia Stowens. Mój ojciec umarł, a matka przeszła... hm, powiedzmy, że coś w rodzaju załamania nerwowego. Wysłała mnie do ciotki Cindy, żeby mieć czas się jakoś pozbierać. Mniej więcej w miesiąc po wielkim pożarze ciotka zapakowała mnie do autobusu, który jechał z powrotem na Long Island. — Spojrzał na swoje odbicie w lustrze po drugiej stronie baru. — Płakałem opuszczając mamę i płakałem wyjeżdżając z Salem i od ciotki Cindy.

— Ja się właśnie wtedy urodziłam — powiedziała Susan. — Ten pożar to było największe wydarzenie, jakie tu kiedykolwiek miało miejsce, a ja go po prostu spokojnie przespałam!

Ben roześmiał się.

— W takim razie jesteś o siedem lat starsza, niż myślałem w parku.

— Naprawdę? — Sprawiała wrażenie zadowolonej. — Chyba powinnam za to panu podziękować. Dom pańskiej ciotki spłonął do fundamentów.

— Tak — skinął głową. — To jedno z moich najwyraźniejszych wspomnień. Przyszli jacyś ludzie z przenośnymi sikawkami na plecach i powiedzieli, że musimy uciekać. To było szalenie ekscytujące. Ciotka uwijała się jak szalona, łapiąc, co jej wpadło pod rękę i ładując to do swojego hudsona. Boże, co za noc!

— Była ubezpieczona?

— Nie, ale to był wynajęty dom, a nam udało się wynieść właściwie wszystko, co miało jakąś wartość, z wyjątkiem telewizora. Próbowaliśmy go podnieść, ale on nawet nie drgnął. Pamiętam, że nazywał się Video King i miał siedmioocalowy ekran z dużym szkłem powiększającym. Prawdziwy koszmar dla oczu. Zresztą i tak odbierał tylko jeden kanał — masa muzyki country, informacje dla rolników i programy rozrywkowe.

— A teraz wrócił pan tutaj, żeby napisać książkę — powtórzyła z zastanowieniem.

Nie odpowiedział od razu. Panna Coogan rozpakowywała kartony papierosów, ustawiając je w gablocie obok kasy. Aptekarz, niejaki pan Labree, uwijał się za wysoką ladą niczym biały duch. Młody pilot stał przy drzwiach autobusu, czekając, aż kierowca wróci z łazienki.

— Tak — powiedział wreszcie Ben. Odwrócił się i po raz pierwszy spojrzął jej prosto w oczy. Miała bardzo ładną twarz o szczyrych, niebieskich oczach i wy-

sokim, gładkim, opalonym czole. — Czy ty także się tu wychowałaś?

— Tak. Skinął głową.

— W takim razie wiesz, o co mi chodzi. Zapamiętałem to miejsce jako dziecko i teraz, kiedy tu wracałem, niewiele brakowało, żebym pojechał dalej. Bałem się, że wszystko będzie zupełnie inne.

— Tutaj nic się nie zmienia — odparła. — W każdym razie niewiele.

— Bawiłem się na moczarach w wojnę z dziećmi Gardenerów, koło Królewskiego Stawu w piratów, a w parku w chowanego. Po wyjeździe stąd włączyłem się z matką po różnych niezbyt przyjemnych miejscach. Zabiła się, kiedy miałem czternaście lat, ale już dużo wcześniej straciłem bezpowrotnie znaczną część tego, co się nazywa „czarem dzieciństwa”. Wszystko, co zostało, było tutaj. I jest nadal. Miasto prawie wcale się nie zmieniło. Kiedy tak patrzę na Jointer Avenue, to wydaje mi się, że trzymam przed oczami kawałek cienkiej, lodowej tafli — takiej, jaka tworzy się na zbiorniku wody po pierwszych listopadowych przymrozkach — i spoglądam przez nią na swoje dzieciństwo. Obraz jest niewyraźny, zamglony, a miejscami w ogóle zanika, ale większość jest nadal na swoim miejscu.

Zamilkł, zdumiony, że wygłosił aż taką przemowę.

— Mówi pan dokładnie tak samo jak w swoich książkach — powiedziała z zachwytem. Roześmiał się.

— Zdarzyło mi się to po raz pierwszy w życiu. Przedtem tylko tak myślałem.

— Co pan robił po tym, jak... po śmierci pańskiej matki?

— Włączyłem się tu i tam — odparł krótko. — Zainteresuj się swoimi lodami. Zrobiła to.

— Jednak trochę się zmieniło — powiedziała po pewnej chwili. — Umarł pan Spencer. Pamięta go pan?

— Jasne. Co czwartek ciotka Cindy robiła zakupy u Crossena i wysyłała mnie tutaj, żebym w tym czasie napił się kwasu chlebowego. Wtedy to był prawdziwy kwas chlebowy z Rochester. Dawała mi pięciocentówkę zawiniętą w małą chusteczkę.

— Za moich czasów ta przyjemność kosztowała już dziesięć centów. Pamięta pan, co zawsze powtarzał?

Ben zgarbił się, oparł na blacie wykręconą artretyzmem dłoń i wykrzywił usta w stanowiącym pozostałość częściowego porażenia grymasie.

— Uważaj na pęcherz! — szepnął. — Rozregulujesz sobie pęcherz, chłoptasiu!

Jej śmiech wzbili się ku obracającemu się powoli nad ich głowami wentylatorowi. Panna Coogan zerknęła na nich podejrzliwie.

— Dokładnie tak! Tyle tylko, że do mnie mówił „dziewuszko”. Popatrzyli na siebie z zachwytem.

— Nie poszłabyś dzisiaj wieczorem do kina? — zapytał.

— Z przyjemnością.
— Jakie jest najbliżej? Zachichotała.
— Właśnie Cinex w Portland, to udekorowane nieśmiertelnymi dziełami Susan Norton.

— A jakie filmy lubisz?
— Ekscytujące, najlepiej takie, gdzie ścigają się samochodami.
— W porządku. Pamiętasz kino „Nordica”? Było tu, w samym mieście.
— Oczywiście. Zamknęli je w 1968. W ogólniaku chodziłam tam na randki. Kiedy film nam się nie podobał, rzucaliśmy w ekran torebkami po przalonej kukurydzy. — Uśmiechnęła się. — Czyli prawie za każdym razem.

— Pokazywali najczęściej arcydzieła w rodzaju *Rakietowego człowieka*, *Powrotu rakietowego człowieka* czy *Szalonego Callahana* i *Czarnego Bożka*.

— Oj, to było jeszcze przed moją epoką.

— Co tam teraz jest?

— Biuro handlu nieruchomościami Larry’ego Crocketta — odparła. — Nie miało szansy konkurować z nowym kinem dla zmotoryzowanych w Cumberland, no i z telewizją.

Przez jakiś czas siedzieli w milczeniu, pogrążeni we własnych myślach. Zegar w poczekalni pokazywał 10.45.

— A pamiętasz. . . — zaczęli jednocześnie.

Spojrzeli na siebie i tym razem nie tylko panna Coogan, ale i pan Labree obejrzeni się na nich, zaintrygowani głośnym wybuchem śmiechu.

Rozmawiali jeszcze przez kwadrans, aż wreszcie Susan z ociąganiem wstała z miejsca mówiąc, że teraz ma niestety do załatwienia kilka spraw, ale o siódmej trzydzieści będzie już wolna. Kiedy wyszli, kierując się w przeciwne strony, każde z nich myślało o tym samym: w jaki przypadkowy, ale naturalny i niewymuszony sposób połączyły się ich losy.

Ben zatrzymał się na skrzyżowaniu z Brock Street i zerknął od niechcienia w kierunku Domu Marstenów. Pamiętał, że podczas pożaru lasu w roku 1951 wiatr zmienił kierunek niemal dokładnie w chwili, gdy płomień dotarły do progu budynku.

Może powinien był wtedy spłonąć, pomyślał. Może tak byłoby lepiej.

3

Nolly Gardener wyszedł z budynku Rady Miejskiej i usiadł na schodkach obok Parkinsa Gillespie w samą porę, żeby zobaczyć, jak Ben i Susan wchodzi do Spencera. Parkins palił pallmalla i czyścił scyzorykiem swoje poźółkłe paznokcie.

— To ten pisarz, nie? — zapytał Nolly.

— Aha.

— A ta z nim to Susan Norton?
— Aha.
— No, no, interesujące — mruknął Nolly i podciągnął pas. Na jego pier-
si błyszczała dostojnie gwiazda zastępcy szeryfa. Otrzymał ją z redakcji pisma
dla policjantów, miasteczko bowiem nie przydzielało odznak zastępcom szeryfa.
Gwiazdę dostał tylko Parkins, lecz nosił ją w portfelu, czego Nolly nigdy nie po-
trafił zrozumieć. Oczywiście, wszyscy mieszkańcy doskonale wiedzą, jaką pełni
funkcję, ale przecież istnieje jeszcze coś takiego jak tradycja i odpowiedzialność.
Kiedy jest się stróżem porządku publicznego, nie można o tym zapominać. Nolly
nie zapominał, choć był zastępcą szeryfa tylko na pół etatu.
Ostrze scyzoryka ześlizgnęło się i skaleczyło Parkinsa w opuszek kciuka.
— Cholera — zaklął bez większego przekonania.
— Myślisz, Park, że on naprawdę jest pisarzem?
— Jasne, że jest. W bibliotece stoją jego trzy książki.
— Prawdziwe czy wymyślone?
— Wymyślone. — Parkins schował scyzoryk i głęboko westchnął.
— Floyd Tibbits nie będzie zachwycony, że ten facet prowadzi się z jego
dziewczyną.
— Przecież nie są małżeństwem — odparł Parkins. — A ona już skończyła
osiemnaście lat.
— Ale na pewno mu się to nie spodoba.
— Jeżeli o mnie chodzi, to Floyd może nawet nasrać sobie do kapelusza i no-
sić go tył naprzód — powiedział Parkins. Zgasił papierosa na schodku, wyjął
z kieszeni puste pudełko po sucretsach, wrzucił do niego niedopałek i schował
je z powrotem.
— Gdzie mieszka ten gryziپیórek?
— U Ewy. — Szeryf zaczął dokładnie przyglądać się zranionemu palcowi. —
Wczoraj oglądał Dom Marstenów. Miał dziwną minę.
— Jak to, dziwną?
— Po prostu dziwną. — Parkins wyjął papierosa. Czuł na twarzy przyjem-
ne, ciepłe promienie słońca. — Potem pojechał do Larry'ego Crocketta. Chciał
wynająć tę chałupę.
— Dom Marstenów?
— Aha.
— Głupi czy co?
— Możliwe. — Parkins zgonił muchę z kolana i śledził ją wzrokiem, gdy
bzyząc odleciała w słoneczne przedpołudnie. — Ten Crockett ma teraz sporo
roboty. Słyszałem, że ostatnio sprzedał starą pralnię.
— Tę rudę?
— Aha.
— A na co ona komu?

— Nie wiem.

— Dobra — Nolly podniósł się z miejsca i ponownie podciągnął pas. — Chyba przejdę się po mieście.

— W porządku — powiedział Parkins, zapalając papierosa.

— Pójdiesz ze mną?

— Nie, jeszcze trochę tutaj posiedzę.

— Jak chcesz. No to, na razie.

Nolly zszedł po stopniach zastanawiając się (zresztą nie po raz pierwszy), kiedy Parkins zdecyduje się wreszcie przejść na emeryturę, żeby on, Nolly, mógł dostać cały etat. W jaki sposób można wykrywać przestępstwa, siedząc na schodkach budynku Rady Miejskiej?

Parkins spoglądał za nim z uczuciem lekkiej ulgi. Nolly był dobrym chłopcem, tyle tylko, że cholernie gorliwym. Wyjął scyzoryk, rozłożył go i ponownie zajął się czyszczeniem paznokci.

4

Miasto Jerusalem zostało założone w roku 1765 (dwieście lat później uczciło okrągłą rocznicę fajerwerkami i festynem w parku; kostium Debbie Forester zajął się ogniem od iskry, a Parkins Gillespie musiał za naruszenie porządku publicznego wsadzić do paki sześć osób), dokładnie dwadzieścia pięć lat przed utworzeniem stanu Maine.

Swoją niezwykłą nazwę miasteczko zawdzięcza bardzo prozaicznemu wydarzeniu. Jednym z pierwszych osadników w tej okolicy był twardy, uparty farmer nazwiskiem Charles Belknap Tanner. Hodował świnie, a jedna z jego największych macior nosiła imię Jerusalem. Pewnego dnia Jerusalem uciekła z zagrody do lasu, gdzie zdziczała i pozostała już na zawsze. Jeszcze przez wiele lat potem Tanner opierał się o swoją bramę i ostrzegał dzieci suchym, skrzypiącym głosem: „Pamiętajcie, bachory, jeżeli nie chcecie mieć bebechów w portkach, to uważajcie na Jerusalem!” I tak już zostało, co nie dowodzi niczego, być może poza tym, że w Ameryce nawet świnia ma szansę na nieśmiertelność.

Główna ulica, zwana początkowo Portlandzką, otrzymała swą obecną nazwę w roku 1896. Elias Jointer był przez sześć lat członkiem Izby Reprezentantów (aż do swojej śmierci na syfilis w wieku pięćdziesięciu ośmiu lat) i zarazem najbardziej „wybitną osobistością”, jaka kiedykolwiek w miasteczku się urodziła, jeśli oczywiście nie liczyć sławnej maciory i Pearl Ann Butts, która w roku 1907 uciekła do Nowego Jorku i zaczęła występować w teatrze.

Skrzyżowanie Brock Street z Jointer Avenue stanowi niemal dokładnie środek miasta, które ma kształt prawie idealnego koła, wyjąwszy lekkie spłaszczenie na wschodnich krańcach, gdzie granica biegnie wzdłuż brzegu płynącej szerokimi

zakosami Royal River. Na mapie miasto wraz z dwiema ulicami krzyżującymi się w jego środku do złudzenia przypomina obraz, jaki widać w myśliwskiej lunecie.

Północno-zachodnia część miasta stanowi jego najbardziej zalesiony rejon, położony na wzniesieniu, choć z pewnością nie zauważyłby tego nikt, kto urodził się gdzie indziej niż na Środkowym Zachodzie. Wiekowe, poprzecinane wyrąbanymi w lesie drogami wzgórze schodzą łagodnie do samego miasteczka; na ostatnim z nich wznosi się Dom Marstenów.

Część północno-wschodnią zajmują pola, porośnięte głównie zwykłą trawą, tymotką i lucerną. Płyń tu Royal River, której niezmiennie od wielu stuleci koryto werzło się głęboko w grunt, sięgając niemal położonych głębiej skał. Prze-cisnąwszy się pod drewnianym mostkiem na Brock Street rozlewa się szerokimi, lśniącymi zakosami, żeby po pewnym czasie dotrzeć do północnego skraju miasta, gdzie tuż pod cienką warstwą gleby znajdują się pokłady twardego granitu. Tutaj w ciągu milionów lat udało się jej wyrzeźbić kamienne urwisko pięćdziesięcio-stopowej wysokości. Dzieci nazywają to miejsce Pijanym Skokiem, ponieważ kilka lat temu Tommy Rathbun, wiecznie uchłany brat Virge'a Rathbuna, spadł na dół szukając odpowiedniego miejsca, żeby się wysikać. Royal River wpada do okropnie zanieczyszczonej Androscoggin, ale jej samej udało się uniknąć losu swej większej siostry; jedynym zakładem przemysłowym w Salem jest już od dawna nieczynny tartak. Latem często można zobaczyć siedzących na moście wędkarzy, którym zazwyczaj udaje się w pełni wyczerpać dzienny limit połowów.

Najpiękniejsza jest część południowo-wschodnia. Teren ponownie się tutaj wznosi, ale nigdzie nie sposób dostrzec jakichkolwiek blizn pozostawionych przez ogień ani pogorzeliisk. Tereny po obu stronach Griffen Road należą do Charlesa Griffena, największego producenta mleka na południe od Mechanic Falls; ze Szkolnego Wzgórza widać jego olbrzymią oborę o aluminiowym dachu, błyszczącym w promieniach słońca niczym jakichś monstrualnych rozmiarów heliograf. W okolicy znajdują się także inne farmy, a sporo domów należy do ludzi jeżdżących codziennie do pracy do Portland lub Lewiston. Stojąc jesienią na szczycie Szkolnego Wzgórza, czuło się aromatyczny zapach palonej trawy, w oddali zaś widziało się przypominający zabawkę samochód Ochotniczej Straży Pożarnej z Salem, gotowy do akcji w razie najmniejszego nawet zagrożenia. Nikt jeszcze nie zapomniał o lekcji z roku 1951.

Właśnie ten rejon upodobali sobie ludzie mieszkający w wielkich samochodowych przyczepach, przynosząc ze sobą swoisty pas asteroidów: stare, ustawione na słupkach z cegieł samochody, huśtawki zrobione z przywiązanej do mocnej liny opony, zalegające w rowach puste puszkę po piwie, mokre rzeczy schnące na sznurkach rozwieszonych między wbitymi specjalnie w tym celu słupami, wszechobecną woń odpadków i nieczystości. Stojące w pobliżu Zakrętu domki przywodziły na myśl drewniane szałas, ale niemal na każdym dachu tkwiła błyszcząca antena, większość telewizorów zaś kupionych na kredyt u Granta lub

Searsa odbierała program w kolorze. Placyki przed przyczepami zwykle roily się od dzieci, najróżniejszych zabawek, półciężarówek, skuterów śnieżnych i motocykli. Część tych domów na kołach była bardzo zadbana, ale większość właścicieli uważała sprzątanie za całkowicie zbędny wysiłek, pozwalając, żeby mlecze i dzika trawa wokół domu sięgały niemal do kolan. Nieco bliżej granicy miasta, gdzie Brock Street zamieniała się w Brock Road, stał zajazd Delia, w którym w każdy piątek grał zespół rockowy, a w sobotę grupa uprawiająca muzykę country. Zajazd spłonął doszczętnie w roku 1971, ale został odbudowany. Dla większości okolicznych kowbojów było to jedyne miejsce, gdzie mogli przyjść wieczorem ze swymi dziewczynami i napić się piwa, a czasem stoczyć także jakąś niegroźną bójkę.

Jeden numer telefoniczny przypadał na kilka rodzin, dzięki czemu ludzie zawsze mieli kogo obgadywać. W małych miasteczkach skandale smażą się nieustannie na małym ogniu, gotowe w każdej chwili do podania na stół, dokładnie tak samo jak fasola u ciotki Cindy. Większość sensacji brała swój początek właśnie tutaj, na Zakręcie, ale od czasu do czasu także ktoś o wyższej pozycji w hierarchii społecznej dodawał co nieco do wspólnego garnka.

Władzę w mieście sprawowało walne zebranie mieszkańców i chociaż już od roku 1965 mówiło się o planach zorganizowania wyborów do Rady Miejskiej (istniał nawet przeznaczony specjalnie dla niej budynek), której obrady na temat budżetu byłyby jawne, nie zdołano zrealizować tego pomysłu. Miasto nie rozwijało się aż tak szybko, żeby dały się wyraźnie odczuć niedogodności starego systemu, choć obowiązująca w nim archaiczna demokracja niejednego przybysza wprawiała w skrajne osłupienie. Istniały cztery urzędy wybieralne: szeryf, opiekun społeczny, administrator (żeby zarejestrować u niego nowy samochód, należało pojechać daleko, aż na sam koniec Taggart Stream Road i stawić mężnie czoło dwóm biegającym po podwórzu psom) oraz komisarz oświatowy. Ochotnicza Straż Pożarna otrzymywała, co prawda, roczną dotację w wysokości trzystu dolarów, ale jej siedziba pełniła przede wszystkim rolę miejsca towarzyskich spotkań podeszłych wiekiem emerytów. Kulminacyjny punkt roku stanowiła dla nich pora wypalania traw, pozostałe zaś miesiące spędzali, opowiadając sobie wydarzenia minionych lat. Wydział Robót Publicznych nie istniał z tego prostego powodu, że w mieście nie było publicznych wodociągów, gazociągów ani kanalizacji. Linia przesyłowa wysokiego napięcia przecinała miasteczko z północnego zachodu na południowy wschód, biegnąc przez las szeroką na 150 stóp przecinką. Jeden z gigantycznych słupów wznosił się w pobliżu Domu Marstenów, górując nad nim niczym jakiś tajemniczy strażnik.

Niemal wszystko, co mieszkańcy Salem wiedzieli na temat wojen, katastrof i kryzysów gabinetowych, pochodziło z telewizyjnych programów Waltera Cronkite'a. Co prawda, chłopak Potterów został zabity w Wietnamie, a syn Claude'a Bowie'ego wrócił ze sztuczną stopą (nastąpił na minę), ale dostał pracę na poczcie, gdzie pomagał Kenny'emu Dalesowi, więc wszystko było w porządku. Być

może dzieciaki nosiły nieco dłuższe włosy niż ich rodzice i nie czesały ich tak często jak oni, ale poza tym nikt niczego nie zauważył. Kiedy w miejscowej szkole średniej postanowiono zrezygnować z obowiązku noszenia jednakowych strojów, Aggie Corliss napisała list do ukazującego się w Cumberland Ledgera, ale Aggie pisywała tam co tydzień od wielu lat, głównie na temat zagrożeń płynących z nadużywania alkoholu oraz radości, jaką daje przyjęcie do serca Jezusa Chrystusa i uznanie w nim swego zbawcy.

Niektóre dzieciaki zażywały czasem narkotyki. Frank, chłopak Kilby'ego, stanął w sierpniu przed sądem i dostał grzywnę w wysokości pięćdziesięciu dolarów (sędzia Hooker zgodził się, żeby kara została zapłacona z pieniędzy pochodzących ze sprzedaży kilku porcji), ale znacznie poważniejszy problem stanowił alkohol. Od chwili, gdy zaczęto go sprzedawać każdemu, kto ukończył osiemnaście lat, w zajeździe Delia roiło się od smarkaczy. Później wracali samochodami po pijanemu i chociaż dostawali w domu lanie, to i tak często zdarzały się wypadki, jak choćby ten, kiedy Billy Smith, jadąc z prędkością dziewięćdziesięciu mil na godzinę, rąbnął w drzewo na Deep Cut Road, zabijając na miejscu siebie i swoją dziewczynę, LaVerne Dube.

Nie licząc tych spraw, wiedza mieszkańców na temat gnębiących świat wstrząsów była czysto akademicka. Tutaj czas biegł zupełnie innym rytmem. W takim miłym, małym miasteczku nie mogło wydarzyć się nic nieprzyjemnego.

Wszędzie, ale nie tutaj.

5

Ann Norton właśnie prasowała, kiedy jej córka wpadła do domu z torbą pełną zakupów, podstawiła jej pod nos książkę ze zdjęciem jakiegoś szczupłego, młodego człowieka na obwolucie i zaczęła trąkotać.

— Zwolnij trochę — poprosiła ją matka. — Wyłącz telewizor i powtórz mi wszystko od początku.

Susan przerwała w pół zdania Peterowi Marshallowi, wydającemu tysiące dolarów w kolejnym odcinku „Hollywood Squares” i opowiedziała jej o spotkaniu z Benem Mearsem. Pani Norton zmusiła się do spokojnego, życzliwego potakiwania. Zawsze, kiedy Susan wspominała o nowym chłopcu, w świadomości matki zapalały się ostrzegawcze żółte światła; zresztą, coraz częściej dotyczyło to mężczyzn, chociaż do pani Norton jeszcze w pełni nie dotarło, że Susan jest aż tak dorosła. Dzisiaj światła były bardziej jaskrawe niż zwykle.

— To brzmi interesująco — zauważyła, kładąc na deskę kolejną koszulę swego męża.

— Był bardzo miły — powiedziała Susan. — I taki naturalny.

— Och, moje nogi! — westchnęła pani Norton, po czym odstawiła żelazko na bok, usiadła w bujanym fotelu przy oknie i zapaliła papierosa, którego wyjęła z paczki leżącej na małym stoliku do kawy. — Jesteś pewna, że to porządny człowiek, Susie?

— Oczywiście. Wygląda jak... bo ja wiem? Wykładowca z college'u albo ktoś w tym rodzaju.

— Podobno Szalony Podpalacz wyglądał jak zwykły ogrodnik — zauważyła pani Norton.

Susan machnęła lekceważąco ręką.

— Głupia gadanina.

— Pokaż mi tę książkę — poprosiła matka.

Susan podała powieść, przypomniawszy sobie nagle o scenie homoseksualnego gwałtu w więzieniu.

— *Powietrzny taniec*... — mruknęła w zamyśleniu Ann Norton i zaczęła przerzucać kartki. Susan przyglądała się jej z rezygnacją. Matka zawsze musiała wtrącić swoje trzy grosze.

Przez otwarte okna wpadały delikatne podmuchy przedpołudniowego wiatru, wydymając wiszące w kuchni żółte zasłony. Dom był ładny, zbudowany z solidnej cegły, trochę trudny do ogrzania zimą, ale za to przyjemnie chłodny latem. Stał na łagodnym wzniesieniu z dala od Brock Street i z okna, przy którym siedziała pani Norton, roztaczał się rozległy widok na miasteczko. Szczególnego uroku nabierał zimą, kiedy wszystkie poziome płaszczyzny pokryte były nieskazitelną warstwą białego puchu, a widoczne w oddali domy rzucały na śnieg żółte plamy światła.

— Zdaje się, że czytałam w gazecie recenzję tej powieści. Nie była zbyt pochlebna.

— Mnie się podoba — odparła spokojnie Susan. — On zresztą też.

— Floyd pewnie także go polubi — zauważyła od niechcienia pani Norton. — Powinnaś ich sobie przedstawić.

Susan poczuła ostre ukłucie gniewu. Wydawało jej się, że przeszły już z matką przez wszystkie burze i konflikty wieku dorastania, ale w tym momencie okazało się, że wcale tak nie jest. Wróciły do odwiecznego sporu między niezależnością sądów córki a doświadczeniem życiowym matki jak do starej, odłożonej na jakiś czas do kąta robótki.

— Przecież już rozmawialiśmy o Floydzie, mamó. Mówiłam ci, że to jeszcze nie jest nic pewnego.

— W gazecie napisali, że w tej książce są jakieś ostre sceny w więzieniu. Chłopcy z chłopcami czy coś takiego.

— Rany boskie, mamó! — Sięgnęła po papierosa.

— Nie ma potrzeby od razu się złościć — odparła z niewzruszonym spokojem pani Norton. Odłożyła książkę i strząsnęła z papierosa długi słupek popiołu do ceramicznej popielniczki w kształcie ryby. Otrzymała ją od jednej z przyjaciółek

z Klubu Kobiet. Widok tej popielniczki w jakiś nieokreślony sposób zawsze irytował Susan; wydawało jej się, że w strząsaniu popiołu do gardła okonia jest coś nieprzyzwoitego.

— Wyjmę zakupy — powiedziała, wstając z miejsca.

— Chodziło mi tylko o to, że jeżeli masz zamiar wyjść za Floyda Tibbitsa, to... — zaczęła matka, ale Susan nie pozwoliła jej dokończyć. Irytacja zamieniła się w piekący, dobrze znany gniew.

— Skąd, do licha, przyszedł ci do głowy taki pomysł? Nie przypominam sobie, żebym coś mówiła na ten temat!

— Wydawało mi się...

— W takim razie źle ci się wydawało — powiedziała z przekonaniem większym od tego, które czuła, ale było faktem, że w ciągu ostatnich kilku tygodni uczucia, jakie żywiła wobec Floyda, zdecydowanie ostygły.

— Wydawało mi się, że skoro spotykasz się z tym samym chłopcem od półtora roku, to chyba chodzi o coś więcej niż o zwykłe trzymanie się za ręce.

— Floyda i mnie łączy rzeczywiście coś więcej niż tylko przyjaźń — przyznała Susan. Teraz przynajmniej matka będzie miała o czym myśleć.

Nie wypowiedziane słowa zawisły między nimi.

Spałaś z nim?

Nie twój interes.

Kim jest dla ciebie ten Ben Mears?

Nie twój interes.

Masz zamiar zadurzyć się w nim i popełnić jakąś głupotę?

Nie twój interes.

Kocham cię, Susie. Tata i ja bardzo cię kochamy.

Na to nie było już odpowiedzi. Ani na żadne z następných pytań. Właśnie dlatego przenosiny do Nowego Jorku, czy w jakiegokolwiek inne miejsce, stały się niezbędną koniecznością. Prędzej czy później zawsze dochodziło do zderzenia z ich miłością, niewzruszoną niczym obite miękkim tworzywem ściany celi. Autentyczność tego uczucia sprawiała, że dalsza sensowna dyskusja stawała się zupełnie niemożliwa, wszystkie zaś wypowiedziane wcześniej słowa nagle traciły znaczenie.

— No cóż... — westchnęła pani Norton. Zgasła papierosa na dolnej wardze okonia i wrzuciła niedopałek do jego brzucha.

— Pójdę na górę — powiedziała Susan.

— Dobrze. Czy będę mogła przeczytać tę książkę, kiedy ją skończysz?

— Jeśli chcesz...

— Chciałabym również go poznać.

Susan rozłożyła ręce i wzruszyła ramionami.

— O której wrócisz wieczorem?

— Nie wiem.

— Co mam powiedzieć Floydowi, gdyby dzwonił? Napłynęła kolejna fala gniewu.

— Powiedz mu, co chcesz. Zresztą, i tak byś to zrobiła.

— Susan!

Weszła po schodach, nie oglądając się za siebie.

Pani Norton pozostała na miejscu, spoglądając przez okno niewidzącym wzrokiem. Z góry dobiegł odgłos kroków Susan, a potem stukot rozstawianych sztalug.

Wstała i wzięła się ponownie za prasowanie. Po pewnym czasie, kiedy uznała, że Susan zdążyła już całkowicie pograżyć się w pracy (choć nawet sama przed sobą nie chciała przyznać się do tej myśli), wyszła do kuchni i zadzwoniła ze znajdującego się tam aparatu do Mabel Werts. W trakcie rozmowy wspomniała mimochodem, że dowiedziała się od Susie, jakoby w mieście przebywał jakiś słynny pisarz, na co Mabel prychnęła pogardliwie i powiedziała, że pewnie chodzi o tego faceta, który napisał *Córkę Conwaya*, pani Norton odparła, że tak, chyba właśnie o niego, a Mabel na to, że w całej tej książce chodzi wyłącznie o seks, o nic innego, po czym pani Norton zapytała, czy zatrzymał się w motelu, czy też może...

Okazało się, że zamieszkał w jedynym w miasteczku pensjonacie Evy Miller. Pani Norton poczuła przyływ ulgi; Eva Miller była przyzwoitą wdową, która z pewnością nie dopuści do żadnych ekscesów w swoim domu. Zasady, jakimi kierowała się, udzielając zgody na pobyt kobiet w wynajmowanych przez gości pokojach, były proste: jeśli to twoja matka lub siostra, proszę bardzo. Jeśli nie, to możecie porozmawiać w kuchni. Od tej reguły nie było żadnych wyjątków.

Po piętnastu minutach pani Norton odłożyła słuchawkę, umiejętnie zamaskowawszy prawdziwy powód rozmowy kilkoma ploteczkami.

Och, Susan, pomyślała, biorąc ponownie do ręki żelazko. Czy nie rozumiesz, że ja robię to wszystko dla twego dobra?

6

Wracali z Portland szosą numer 295. Nie było jeszcze wcale późno, bo dopiero minęła jedenasta. Na drodze obowiązywało ograniczenie prędkości do pięćdziesięciu pięciu mil na godzinę i Ben tak właśnie jechał. Światła citroena rozcinały ciemność.

Film podobał się obydwójgu, ale wyrażali swoje uznanie ostrożnie, jak ludzie, którzy chcą najpierw wy badać reakcję drugiej osoby. W pewnej chwili przypomniała sobie pytanie swojej matki.

— Gdzie się zatrzymałeś? Wynająłeś jakiś dom?

— Mam małą komórkę na drugim piętrze w pensjonacie Evy Miller przy Railroad Street.

— To okropne! Tam musi być strasznie gorąco!

— Mnie to nie przeszkadza — odparł. — Dobrze mi się wtedy pracuje. Rozbieram się do pasa, włączam radio i wypijam galon piwa. Dziennie odwalam przeciętnie do dziesięciu stron. Poza tym mieszka tam paru interesujących dziwaków, a kiedy wyjdzie się na werandę, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. . .

Prawdziwy raj.

— Bo ja wiem. . . — mruknęła z powątpiewaniem.

— Chciałem wynająć Dom Marstenów — dodał od niechcienia. — Nawet zacząłem się starać, ale powiedzieli mi, że został już sprzedany.

— Dom Marstenów? — Uśmiechnęła się. — Niemożliwe. Myślisz pewnie o innym miejscu.

— Wcale nie. Na pierwszym wzgórzu na północny zachód od miasta. Jedzie się Brooks Road.

— Sprzedany? Kto, na litość boską, chciałby. . .

— Ja również zadałem sobie to pytanie. Nieraz podejrzewano mnie o to, że nie mam wszystkich klepek, ale nawet mnie nie przyszło do głowy nic poza wynajęciem. Facet z biura pośrednictwa nie chciał mi nic powiedzieć. Tak jakby to była jakaś głęboka, mroczna tajemnica.

— Może ktoś spoza stanu chce przerobić go na dom letniskowy — powiedziała z namysłem. — W każdym razie, ktokolwiek to jest, jest wariatem. Owszem, można jakiś dom wyremontować i nawet ja bym się tego podjęła, ale ta rudera nie nadaje się już do żadnego remontu. Odkąd pamiętam, to była zawsze ruina. Co ci przyszło do głowy, żeby właśnie tam zamieszkać?

— Byłaś kiedyś w środku?

— Nie, ale zagłądałam przez okno. A ty byłeś?

— Tak. Raz.

— Okropne miejsce, prawda?

Zamilkli, myśląc o Domu Marstenów. To wspomnienie nie miało w sobie nic z pastelowych kolorów wszystkich pozostałych wspomnień. Skandal i tragedia związane z tym domem wydarzyły się, kiedy jeszcze nie było ich na świecie, ale w małych miasteczkach pamięć o takich zdarzeniach trwa długo i wraz ze wszystkimi okropnymi szczegółami jest przekazywana z pokolenia na pokolenie.

Historia Huberta Marstena i jego żony Birdie była dla miasteczka tym, czym dla szanującej się rodziny znaleziony w szafie szkielet. W latach dwudziestych Hubie Marsten pełnił funkcję prezesa dużej firmy transportowej; według niektórych jej dochody pochodziły głównie ze szmuglowania whisky z Kanady do Massachusetts.

W roku 1928 małżeństwo osiadło w Salem, a już w następnym, podczas krachu na giełdzie, straciło znaczną część swego majątku (jednak ile dokładnie, tego nie wiedziała nawet Mabel Werts).

W latach między Wielkim Krachem a dojściem Hitlera do władzy Marstenowie prowadzili w swoim domu na wzgórzu życie pustelników. W miasteczku widywano ich jedynie w środowe popołudnia, kiedy udawali się po zakupy. Pełniący w owym czasie funkcję listonosza Larry McLeod informował wszystkich zainteresowanych, że Hubie Marsten prenumerował cztery dzienniki, *The Saturday Evening Post*, *The New Yorker*, a także groszowe czasopismo zatytułowane *Amazing Stories*. Raz w miesiącu otrzymywał także czek od firmy, w której niegdyś pracował, mającej swą siedzibę w Fall River, Massachusetts. Larry był pewien, to czek, kiedyś bowiem zgiął kopertę i zajrzał w okienko adresowe.

To on właśnie znalazł ich martwych latem 1939 roku. Nie odbierana od pięciu dni poczta wypełniła całkowicie skrzynkę, więc Larry wziął wszystko i ruszył w kierunku domu, mając zamiar zostawić listy i gazet pod drzwiami.

Był upalny sierpień i rosnąca przed wejściem zielona, bujna trawa sięgała powyżej łydek. Przy zachodniej ścianie budynku rosło dziczące kapryfolium, a tłuste pszczoły bzycały leniwie wokół śnieżnobiałych wonnych kwiatów. W tamtych latach, pomimo nie koszonej trawy budowla prezentowała się jeszcze bardzo okazale, według zaś tak zwanej opinii publicznej Hubie Marsten, zanim oszalał, wybudował najładniejszy dom w całym miasteczku.

Zgodnie z wersją wypadków, przekazywaną każdej nowej członkini Klubu Kobiet, już w połowie drogi Larry poczuł nieprzyjemny zapach, przypominający woń gnijącego mięsa. Zapukał do frontowych drzwi, lecz nie otrzymał żadnej odpowiedzi, a zajrzawszy przez szybę nie mógł niczego dostrzec w panującym we wnętrzu półmroku. Zdecydował się pójść do tylnych drzwi, co, jak się okazało, ocaliło mu życie. Tutaj przykry zapach był jeszcze bardziej wyraźny. Larry nacisnął klamkę, przekonał się, że drzwi są otwarte i wszedł do środka. Birdie Marsten leżała w kącie kuchni z szeroko rozrzuconymi, bosymi nogami. Brakowało jej połowy czaszki, odstrzelonej najwyraźniej z bardzo bliskiej odległości.

(— Muchy — mówiła zawsze w tym momencie Audrey Hersey. — W kuchni roiło się od much. Latały wszędzie, siadały na... wiecie, na czym i znowu zrywały się do lotu. Mnóstwo much.)

Larry McLeod odwrócił się na pięcie i popędził do miasteczka, gdzie zgarnął Norrisa Varneya, który w owym czasie sprawował funkcję szeryfa, oraz trzech czy czterech wałkoni przesiadujących u Crossena — sklep prowadził wtedy jeszcze ojciec Milta. Znajdował się wśród nich najstarszy brat Audrey, Jackson. Wrócili na wzgórze chevroletem Norrisa i pocztową furgonetką Larry'ego.

Nikt z miasteczka nie był nigdy wcześniej w Domu Marstenów, więc wydarzenie to stanowiło nie lada sensację. Kiedy pierwsze emocje opadły, portlandzki *Telegram* zamieścił obszerny artykuł na ten temat. Dom Huberta Marstena okazał się zdumiewająco zagraconym szczurzym gniazdem, pełnym rupieci oraz stert poźółkłych czasopism i książek, niejednokrotnie bardzo cennych. Za sprawą poprzedników Loretty Starcher pełne wydania Dickensa, Scotta i Mariatta trafiły na

półki Biblioteki Publicznej w Salem, gdzie pozostają do chwili obecnej.

Jackson Hersey wziął do ręki egzemplarz *Saturday Evening Post*, zaczął przeglądać go od niechcienia i o mało nie usiadł na podłodze: do każdej strony był starannie przyklejony jednodolarowy banknot.

Tym, który odkrył, jak wiele szczęścia miał Larry, decydując się na wejście do domu przez kuchenne drzwi, był Norris Varney. W hallu przed frontowymi drzwiami stało krzesło z przywiązaną do niego strzelbą. Napięty sznurek łączył język spustu z klamką drzwi.

(— Strzelba była nabita i odbezpieczona — mówiła w tym momencie Audrey. — Wystarczyło jedno pociągnięcie i Larry McLeod przeniósłby się na łono Abrahama.)

Odnaleziono także inne, mniej niebezpieczne pułapki. Na krawędzi uchylonych drzwi jadalni balansowała paka starych gazet ważąca co najmniej czterdzieści funtów. Jedna z desek w prowadzących na piętro schodach została podpiłowana, co dla tego, kto by na nią nierozważnie nastąpił, mogło skończyć się złamaniem nogi. Wkrótce stało się jasne, że Hubie Marsten nie był nieszkodliwym dziwakiem, lecz klasycznym wariatem.

Znaleziono go w sypialni na piętrze, wiszącego na sznurze przerzuconym przez stropową belkę.

(Susan i jej przyjaciółki straszyły się nawzajem aż do rozkosznego znużenia zasłyszczanymi od dorosłych opowieściami. Amy Rawcliffe miała na swym podwórzu drewniany domek, wybudowany specjalnie z myślą o dziecięcych zabawach; zamykały się w nim i siedząc w ciemności powtarzały sobie przerażające historie o Domu Marstenów, który zaczęto tak nazywać jeszcze przed napaścią Hitlera na Polskę, wzbogacając je o wszystkie najpotworniejsze szczegóły, jakie tylko mogły narodzić się w ich wyobraźni. Nawet teraz, w osiemnaście lat później, każda myśl o Domu Marstenów działała na Susan jak magiczne zaklęcie, przywołując bolesne wspomnienie dziewczynek przyciśniętych w ciemności do siebie, ściskających się za ręce i Amy mówiącej groźnym, tajemniczym tonem: „Miał obrzmiałą twarz i czarny wywalony język, po którym łąziły muchy. Moja mama mówiła o tym pani Werts”.)

— ... miejsce.

— Słucham? — Powrót do rzeczywistości kosztował ją sporo niemal fizycznego wysiłku. Ben skręcał w zjazd prowadzący do Salem.

— Mówię, że to okropne, nawiedzone miejsce.

— Opowiedz mi o tym, jak tam wszedłeś.

Roześmiał się bez śladu wesołości w głosie i włączył długie światła. Dwupasmowa czarna opustoszała szosa biegła między szpalerami sosen i świerków.

— Zaczęło się jako zupełna dziecinada i możliwe, że nigdy niczym więcej nie było. Pamiętaj, że działo się to w roku 1951, kiedy dzieciaki musiały same wymyślić sobie coś, co zastąpiłoby im wacchanie kleju modelarskiego, którego jeszcze

wtedy nie wynaleziono. Bawiłem się często z chłopakami z Zakrętu. . . Teraz pewnie większość z nich już się stąd wyprowadziła. Czy to miejsce w dalszym ciągu nazywane jest Zakrętem?

— Tak.

— Włóczyłem się wtedy z Davie'm Barclayem, Charlesem Jamesem na którego wszyscy wołali Sonny, Haroldem Raubersonem, Floydem Tibbitsem. . .

— Z Floydem? — zapytała zaskoczona.

— Tak. A co, znasz go?

— Chodziłam z nim kiedyś — odparła, a potem dodała szybko zaniepokojona, że jej głos mógł ją zdradzić:

— Sonny James też jeszcze tu mieszka. Ma stację benzynową przy Jinter Avenue. Harold Rauberson umarł na białaczkę.

— Wszyscy byli o rok lub dwa starsi ode mnie. Założyli ekskluzywny klub Krwawych Piratów, do którego można się było dostać, przedstawiając referencje z trzech niezależnych źródeł. — Chciał, żeby zabrzmiało to lekko i beztrudno, lecz w jego głosie dała się wyraźnie słyszeć nuta gorzkości. — Ale ja byłem bardzo uparty. Nie marzyłem o niczym innym, tylko o tym, żeby zostać Krwawym Piratem. To była dla mnie najważniejsza rzecz na świecie. . . Tamtego lata, w każdym razie. Wreszcie ustąpili i oznajmili mi, że mogę zostać przyjęty, jeśli przejdę przez próbę, którą Davie wymyślił na poczekaniu. Mieliśmy wszyscy pójść na Wzgórze Marstenów, moje zadanie zaś polegało na tym, żeby wejść do Domu i przynieść z niego jakiś fant. — Chciał się roześmiać lecz przekonał się, że gardło ma zeschnięte na wiór.

— I co było dalej?

— Dostałem się do środka przez okno. Choć minęło już dwanaście lat od tamtej historii, dom nadal był pełen najróżniejszych rupieci. Podczas wojny zabrano wszystkie gazety, ale cała reszta została nie ruszona. W hallu stał stół, a na nim jedna z tych kryształowych, śnieżnych kul. Wiesz, jak to wygląda? We wnętrzu znajduje się mały domek, a kiedy potrząśnie się kulą, zaczyna padać śnieg. Schowałem ją do kieszeni, ale nie wyszedłem. Postanowiłem sprawdzić się do końca więc poszedłem na górę, tam, gdzie powiesił się Hubie Marsten.

— O, mój Boże. . . — wyszeptała.

— Możesz dać mi papierosa? Są w schowku. Staram się odzwyczaić ale teraz się bez tego nie obejdzie.

Podawała mu jednego i wcisnęła zapalniczkę.

— Dom cuchnął. Nawet nie uwierzysz, jak bardzo. Pleśnią, zgnilizną zjełczalym masłem i jakimiś żywymi istotami, gnieźdzącymi się w ścianach i piwnicy. To był taki żółty, wilgotny zapach.

Wchodziłem po schodach: mały, dziewięcioletni, potwornie przerażony szczeniak. Dom skrzypiał i trzeszczał, a ja słyszałem, jak jakieś stworzenia uciekają przede mną po drugiej stronie ściany. Cały czas wydawało mi się że słyszę za

plecami odgłosy czyichś kroków, ale bałem się odwrócić, żeby nie zobaczyć Hubie'ego Marstena kuśtykającego z powrozem w dłoni i poczerniałą, opuchniętą twarzą.

Ben zacisnął dłonie na kierownicy. Resztki rozbawienia zniknęły z jego twarzy. Intensywność, z jaką przeżywał swoje wspomnienia, nieco przstraszyła Susan. Białe światło przyrządów wydobywało z mroku poorlyaną głębokimi bruzdami twarz człowieka zapuszczającego się po raz kolejny na znienawidzone tereny, których jednak nigdy nie udało mu się na dłużej opuścić.

— Znalazłszy się u szczytu schodów zebrałem w sobie całą odwagę i pobiegłem korytarzem do drzwi sypialni. Miałem zamiar wpaść do środka, złapać pierwszą rzecz, jaka nawinie mi się pod rękę i czym prędzej stamtąd uciec. Drzwi na końcu korytarza były zamknięte. Zbliżałem się do nich coraz bardziej, widząc, że opuściły się na zawiasach i że ich dolna krawędź osiadła na progu. Widziałem srebrną klamkę, wytartą nieco w miejscach, w których dotykały jej dłonie. Kiedy nacisnąłem ją i pociągnąłem, drzwi zaskrzypiały niczym krzycząca z bólu kobieta. Wydaje mi się, że gdybym był wtedy zdolny do racjonalnego myślenia, uciekłbym, gdzie pieprz rośnie, ale ja miałem w żyłach niemal samą adrenalinę, więc chwyciłem klamkę obiema rękami i pociągnąłem z całej siły. Drzwi otworzyły się z hukiem, a ja ujrzałem Hubie'ego, wiszącego na linie między mną a rozjaśnionym blaskiem słońca oknem.

— Ben, chyba nie... — próbowała mu przerwać.

— Mówię prawdę — pokręcił z uporem głową. — Przynajmniej taką prawdę, jaką widział dziewięcioletni chłopiec i jaką w dwadzieścia cztery lata później pamięta dorosły mężczyzna. Hubie wisiał na linie przerzuconej przez sufitową belkę, a jego twarz wcale nie była czarna, tylko zielona. Miał opuchnięte, zamknięte powieki i upiorne ręce, a potem... Potem otworzył oczy.

Ben zaciągnął się głęboko papierosem i wyrzucił go przez uchylone okno.

— Wrzasnąłem tak, że chyba słyhać mnie było w promieniu dwóch mil potem rzuciłem się do ucieczki. Zbiegłem na dół przeskakując po kilka stopni naraz, przewróciłem się, natychmiast zerwałem się na nogi, opadłem przez drzwi i popędziłem przed siebie drogą. Chłopcy czekali na mnie w odległości mniej więcej pół mili w dole wzgórza. Dopiero po pewnym czasie zauważyłem, że w dłoni cały czas ściskam kryształową kulę. Mam ją do tej pory.

— Chyba nie wierzysz, że naprawdę go widziałeś, Ben? — Daleko z przodu Susan z ulgą dostrzegła migające pomarańczowe światła na głównym skrzyżowaniu miasteczka.

— Nie wiem — powiedział niechętnie po długiej chwili milczenia, jakby żałując, że nie może powiedzieć „nie” i zakończyć w ten sposób całej sprawy. — Niewykluczone, iż byłem tak podniecony, że to wszystko sobie wymyśliłem, ale z drugiej strony chyba coś jednak jest w przekonaniu, że domy wchłaniają wszystkie uczucia i doznania mieszkańców, magazynując je jak swego rodzaju akumula-

tor. Być może ktoś o odpowiedniej osobowości, na przykład obdarzony bujną wyobraźnią chłopiec, potrafi uwolnić te zapasy i doprowadzić do pojawienia się... no, właśnie, czegoś. Nie chodzi mi wyłącznie o duchy, ale o coś w rodzaj trójwymiarowej, psychicznej wizji. Niewykluczone, że może to być żywa istota, a może nawet jakiś potwór, jeśli sobie życzysz.

Susan zapaliła papierosa.

— W każdym razie, jeszcze przez wiele tygodni potem spałem przy zapalonym świetle i śniłem, że wciąż otwieram te przeklęte drzwi. Ten sen wraca zawsze, kiedy znajduję się w stresogennej sytuacji.

— To okropne.

— Wcale nie — zaprzeczył. — A przynajmniej nie bardzo. Wszyscy miewamy czasem nieprzyjemne sny. — Wskazał gestem dłoni na mijane właśnie milczące, pogrążone we śnie domy przy Jointer Avenue. — Nieraz zastanawiam się, czemu same domy nie zaczynają w pewnej chwili krzyżeć, przerażone śnionymi w nich okropieństwami. — Zamilkł na chwilę. — Jeśli masz ochotę, to pojedź ze mną do pensjonatu. Nie zaproszę cię do środka, bo złamałbym obowiązujące tam przepisy, ale przyniosłbym colę i rum i moglibyśmy trochę posiedzieć na werandzie.

— Z przyjemnością.

Ben skręcił w Railroad Street, wyłączył światła i wjechał na mały parking przeznaczony dla mieszkańców pensjonatu. Na werandzie znajdującej się z tyłu budynku, pomalowanej na czerwono i biało, stały trzy plecione fotele. Rozciągająca się w dole rzeka wyglądała jak przeniesiona z jakiegoś urokliwego snu: blask zbliżającego się do pełni księżyca padał na wodę, malując na niej srebrzystą ścieżkę. W nocnej ciszy Susan słyszała wyraźnie szum wody sączącej się przez przepusty w tamie.

— Siadaj, proszę. Zaraz wracam.

Wszedł do domu, zamykając za sobą cicho drzwi, a ona usiadła w jednym z bujanych wiklinowych foteli.

Ben był trochę dziwny, mimo to bardzo jej się podobał. Susan nie wierzyła w miłość od pierwszego wejrzenia, ale wierzyła w istnienie takiego właśnie pożądanego (znanego pod bardziej niewinną nazwą zauroczenia). On jednak nie należał do mężczyzn, o których pisze się po kryjomu w pamiętniku. Był nieco zbyt szczupły jak na swój wzrost i dość blady, miał delikatną, zamkniętą w sobie twarz i oczy, których wyraz niezwykle rzadko odzwierciedlał stan jego myśli. Do tego wszystkiego należało jeszcze dodać strzechę czarnych włosów, wyglądających tak, jakby ich właściciel cesał je raczej palcami niż grzebieniem.

A teraz jeszcze ta historia...

Ani *Córka Conwaya*, ani *Powietrzny taniec* nie wskazywały na to, że ich autor może mieć takie ponure myśli. Pierwsza książka opowiadała o córce pewnego pastora, która ucieka z domu, przyłącza się do grupy włóczęgów i odbywa au-

tostopem długą, pełną przygód podróż przez niemal cały kraj. Bohaterem drugiej był Frank Buzzy, zbiegły więzień, usiłujący rozpocząć nowe życie w innym stanie jako mechanik samochodowy. Obie tryskały życiem i energią i na żadnej z nich z pewnością nie kładł się cień wiszącego na naprężonej linii Huberta Marstena.

Nieświadomie oderwała spojrzenie od roziskrzonej blaskiem księżyca rzeki i skierowała je w górę, nieco w lewo, ku szczytowi wzgórza najbardziej wysuniętego w kierunku miasteczka.

— Już jestem — oznajmił Ben, wkraczając na werandę. — Mam nadzieję, że...

Nie pozwoliła mu dokończyć.

— Spójrz na Dom Marstenów — powiedziała. Paliło się tam światło.

7

Szklanki były już puste, minęła północ, a księżyc niemal zniknął za horyzontem. Po niezobowiązującej rozmowie o niczym nastąpiło krótkie milczenie, które przerwała Susan.

— Bardzo cię lubię, Ben.

— I ja ciebie. Jestem zaskoczony... Nie, nie tak chciałem to powiedzieć. Pamiętasz, jak idiotycznie zachowałem się wtedy w parku? To wszystko wydaje mi się zbyt wspaniałe, żeby mogło być prawdziwe.

— Chciałabym się z tobą jeszcze spotkać. Oczywiście, jeżeli ty też tego chcesz.

— Chcę.

— Ale nie śpiesz się za bardzo. Pamiętaj, że jestem tylko dziewczyną z małego miasteczka. Uśmiechnął się.

— A ja myślałem, że to Hollywood, ale w najlepszym sensie. Czy powinienem cię teraz pocałować?

— Tak — powiedziała poważnie. — Wydaje mi się, że powinienes.

Siedział koło niej w fotelu i nie przestając się bujać nachylił się i przycisnął wargi do jej ust, nie wysuwając języka ani nie starając się jej objąć. Usta miał pełne i twarde, a nozdrza Susan wychwyciły delikatny zapach rumu i papierosów.

Zaczęła także się kołysać, co sprawiło, że ich pocałunek zamienił się w coś zupełnie nowego, stając się to mocniejszy, to znów słabszy. Smakuje mnie, pomyślała, czując jednocześnie, jak budzi się w niej skrywane, czyste pożądanie. Odsunęła się, zanim zdążyło ją całkowicie ogarnąć.

— O, rety — powiedział Ben.

— Przyjdiesz jutro do nas na kolację? — zapytała. — Rodzice na pewno chcieliby cię poznać. — Chwila była tak piękna i spokojna, że powiedziała to niemal z czystym sumieniem.

— Domowe jedzenie?
— Najbardziej domowe, jakie tylko może być.
— W takim razie, zgoda. Odkąd się tu sprowadziłem, żywię się niemal wyłącznie mrożonkami.
— Może być o szóstej? U nas na prowincji jada się dosyć wcześnie.
— Jasne. A jeżeli już mówimy o domu, to będzie lepiej, jeśli cię odwiozę. Chodźmy.

W samochodzie milczeli aż do chwili, gdy dostrzegła światło lampy, zapalanej przez matkę zawsze, kiedy córka wychodziła na dłużej z domu.

— Ciekawe, kto tam jest? — powiedziała, spoglądając w kierunku Domu Marstenów.

— Najprawdopodobniej nowy właściciel — odparł zdawkowo.

— To światło nie wyglądało na elektryczne — zastanawiała się na głos. — Było zbyt żółte i słabe. Może to lampa naftowa albo coś w tym rodzaju.

— Prawdopodobnie nie zdążyli jeszcze włączyć prądu.

— Może. Ale każdy z odrobiną oleju w głowie zawiadomiłby elektrownię na kilka dni przed przeprowadzką.

Ben nie odpowiedział. Zatrzymał samochód przed jej domem.

— Czy twoja nowa książka będzie o Domu Marstenów? — zapytała niespodziewanie.

Roześmiał się i pocałował ją w czubek nosa.

— Już późno. Uśmiechnęła się do niego.

— Nie chciałam być wścibska.

— Nie szkodzi. Ale lepiej porozmawiajmy o tym przy innej okazji. W dzień.

— Zgoda.

— Zmykaj do łóżka, dziewczynko. Jutro o szóstej?

Spojrzała na zegarek.

— O szóstej, ale dzisiaj.

— Dobranoc, Susan.

— Dobranoc.

Wysiadła i pobiegła lekko ścieżką prowadzącą do bocznych drzwi, a potem odwróciła się, żeby mu pomachać. Zanim weszła do domu, dopisała na kartce dla mleczarza zsiadłe mleko. W połączeniu z pieczonymi ziemniakami będzie interesującym urozmaiceniem kolacji.

Potem jeszcze przez co najmniej minutę wpatrywała się w górujący nad miasteczkiem Dom Marstenów.

8

Znalazłszy się w swym pokoiku rozebrał się nie zapalając światła i nagi wśliznął do łóżka. Pierwsza miła dziewczyna, jaką spotkał od śmierci Mirandy. Miał

nadzieję, że nie usiłuje przeistoczyć jej w nową Mirandę; byłoby to niezmiernie bolesne dla niego i bardzo nieuczciwe wobec niej.

Leżał na wznak, pozwalając myślom na nieskrępowaną niczym wędrówkę. Tuż przed zaśnięciem uniósł się na łokciu i spojrzał ponad kwadratowym cieniem maszyny do pisania w okno. Wybrał akurat ten pokój, ponieważ widać było z niego Dom Marstenów.

W budynku na wzgórzu w dalszym ciągu płonęło światło. Tej nocy po raz pierwszy, odkąd przybył do miasteczka, nawiedził go zapamiętany z dzieciństwa koszmar. Z równą intensywnością śnił mu się jedynie podczas pierwszych, okropnych nocy po śmierci Mirandy w wypadku motocyklowym. Znowu biegł wąskim korytarzem, słyszał przeraźliwe skrzypienie drzwi, widział wiszącą postać i jej opuchnięte, otwierające się nagle oczy...

A kiedy ogarnięty paniką odwracał się, żeby uciec, okazywało się, że drzwi są zamknięte.

ROZDZIAŁ TRZECI

Miasteczko (I)

1

Miasteczko budzi się wcześnie, bo takie są prawa codzienności. Ruch zaczyna się wtedy, gdy krawędź słonecznej tarczy leży jeszcze głęboko za horyzontem, a ziemię spowija głęboka ciemność.

2

4.00.

Chłopcy Griffena — osiemnastoletni Hal i czternastoletni Jack -oraz dwaj najemni pracownicy rozpoczęli poranny udój. Biała, błyszcząca obora stanowiła cud czystości. Przez środek, między ciągnącymi się wzdłuż boksów taśmociągami, biegło cementowe koryto. Hal pstryknął przełącznikiem, uruchamiając w ten sposób elektryczną pompę tłoczącą wodę z jednej z dwóch znajdujących się na terenie farmy studni artezyjskich. Był dość pośepnym chłopcem, niespecjalnie bystrym, tego dnia zaś w dodatku w wyjątkowo złym humorze. Poprzedniego wieczoru doszło do ostrej sprzeczki z ojcem. Hal chciał zrezygnować ze szkoły, której serdecznie nienawidził. Nienawidził panującej w niej potwornej nudy, konieczności spędzania w całkowitym niemal bezruchu ogromnych, pięćdziesięciminutowych kawałów czasu, a także wszystkich przedmiotów, z wyjątkiem zajęć w stolarni i plastyki. Angielski doprowadzał go do furii, historia była głupia, matematyka niezrozumiała, a co najważniejsze, wszystkie razem nie miały kompletnie żadnego znaczenia. Krów nie obchodzi, czy robisz błędy gramatyczne ani kto był dowódcą jakiejś cholernejszej Armii Potomacu podczas tej debilnej Wojny Domowej, co do matematyki zaś, to przecież, na litość boską, jego rodzony ojciec nie zdołałby dodać dwóch piątych do jednej drugiej nawet wtedy, gdyby postawić go przed plutonem egzekucyjnym. Właśnie dlatego musiał zatrudniać księgowego. Cóż to za facet! Niby kształcony w college'u, i pracuje dla takiego głupka jak ojciec! Stary nie raz i nie dwa powtarzał mu że czytanie książek to za mało, żeby dobrze prowadzić interes, a przecież mleczna farma to taki sam interes, jak każdy inny. Podstawę stanowiła znajomość ludzi. Mimo to ojciec, który sam z trudem dobrnął

do szóstej klasy, uwielbiał wygłaszać pochwalne mowy na cześć wykształcenia. Sam czytał wyłącznie *Readers Digest*, a mimo to farma przynosiła rocznie szesnaście tysięcy zysku. Trzeba znać ludzi, podawać im rękę i zawsze pamiętać imiona ich żon. Hal znał ludzi. Dzielił ich na dwa rodzaje: tych, których można było ustawiać, jak się chciało, i tych, z którymi lepiej było tego nie próbować. Pierwsi przewyższali liczebnie drugich w stosunku dziesięć do jednego.

Niestety, ojciec należał do tych drugich.

Hal obejrzał się przez ramię na Jacka, który sennie przerzucał siano do czterech pierwszych boksów. Mól książkowy, ulubieniec tatusia. Cholerne, małe gówno.

— Dalej, ruszaj się! — wrzasnął. Otworzył schowek i wyciągnąwszy jedną z czterech dojarek potoczył ją przed sobą nieskazitelnie czystym przejściem, marszcząc brwi nad błyszczącą, chromowaną pokrywą.

Szkoła. Znowu ta pieprzona, cholerna szkoła.

Najbliższe dziewięć miesięcy wydawało mu się równie ponure jak bezdenne grobowiec.

3

4.30.

Mleko z wczorajszego wieczornego udoju zostało już przetworzone i znajdowało się teraz w powrotnej drodze do Salem, tym razem nie w metalowych bańkach, lecz kartonowych pudełkach z kolorowymi etykietkami Mleczarni Slewfoot Hill. Ojciec Charlesa Griffena sam sprzedawał mleko pochodzące z jego farmy, lecz teraz stało się to już nieopłacalne. W walce z kolosami małe firmy nie miały żadnych szans.

Rejon zachodniego Salem obsługiwał Irwin Purinton; swój codzienny objazd rozpoczynał zawsze od Brock Street, znanej w okolicy raczej jako Brock Road lub po prostu Cholerna Tarka, a następnie zbliżał się stopniowo do centrum miasteczka, by opuścić je, przesuając się wzdłuż Brooks Road.

Win skończył w sierpniu sześćdziesiąt jeden lat i dopiero teraz zbliżająca się emerytura stała się dla niego czymś realnym i prawdopodobnym. Jego żona, wstrętna wiedźma imieniem Elsie, zmarła jesienią 1973 roku (była to jedyna miła rzecz, jaką zrobiła dla niego podczas dwudziestu siedmiu lat małżeństwa), więc z chwilą przejścia na emeryturę zamierzał zabrać swego psa Doca i przeprowadzić się do Pemaquid Point, gdzie będzie sypiał codziennie do dziewiątej rano i już nigdy nie wstanie przed wschodem słońca.

Zatrzymawszy samochód przed domem Nortonów, wystawił ich codzienne zamówienie: sok pomarańczowy, dwa kartony mleka, tuzin jaj. Strzyknięcie w kolanie, które zawsze odczuwał przy wysiadania z kabiny, tym razem było bardzo słabe. Zapowiadał się ładny dzień.

Na kartce znajdował się dopisek sporządzony okrągłym, wyraźnym pismem Susan: „Win, proszę jeszcze o karton zsiadłego mleka. Dzięki”.

Purinton wrócił do samochodu, myśląc, że będzie to także jeden z tych dni, kiedy wszyscy mają jakieś dodatkowe życzenia. Zsiadłe mleko! Spróbował tego kiedyś i o mało się nie wyrzygał.

Niebo nad wschodnim horyzontem wyraźnie pojaśniało, a na polach otaczających miasteczko rozbłysły kropelki rosy, przypominające m sypane przez jakiegoś rozrznego monarchę diamenty.

4

5.15.

Eva Miller, ubrana w mocno zniszczoną podomkę i różowe, rozdeptane kapcie, była na nogach już od dwudziestu minut. Właśnie przygotowywała sobie śniadanie: jajecnicę z czterech jaj, osiem plasterków boczku, trochę frytek. Ten skromny posiłek miały uzupełnić dwie kanapki z dżemem, szklanka soku pomarańczowego i dwie filiżanki kawy ze śmietanką. Eva była potężną, ale nie tłustą kobietą; zbyt ciężko pracowała nad utrzymaniem porządku w swoim pensjonacie, żeby mieć szansę obrosnąć w tłuszcz. Kształty jej ciała przypominały postaci z utworów Rabelais’ego. Obserwując ją w akcji przy ośmiopalnikowej elektrycznej kuchence, można było odnieść wrażenie, że patrzy się na przypyływ oceanu lub wędrówkę piaskowych wydm.

Lubiła jeść śniadanie w samotności, planując czekającą ją tego dnia pracę. Dzisiaj było jej więcej niż zwykle, zawsze bowiem w środy zmieniała pościel. Obecnie gościła dziewięciu lokatorów, wliczając w to tego nowego, pana Mearsa. Dom miał dwa piętra i siedemnaście pokoi, a także całą masę podłóg do czyszczenia, schodów do skrobania, poręczy do polerowania oraz olbrzymi dywan w salonie, który należało od czasu do czasu wytrzeć. Poprosi Weasela Craiga, żeby jej trochę pomógł chyba że ten znowu będzie odsypiał jakieś nocne pijaństwo.

Siadała właśnie do stołu, kiedy otworzyły się tylne drzwi.

— Cześć, Win. Jak się miewasz?

— Znośnie. Trochę mi strzyka w kolanie.

— To przykre. Czy mógłbyś zostawić dodatkowo karton mleka i galon lemoniady?

— Jasne — wzruszył z rezygnacją ramionami. — Wiedziałem, że to będzie taki dzień.

Zajęła się jajecnicą, puszczając mimo uszu tę uwagę. Win Purinton zawsze potrafił znaleźć coś, co stanowiło powód do narzekań, choć powinien być najszczęśliwszym człowiekiem na świecie, odkąd ta megiera, z którą się nieopatrznie związał, spadła ze schodów do piwnicy i skrzyła sobie kark.

Za piętnaście szosta, kiedy Eva właśnie dokończyła drugą filiżankę kawy i zapaliła chesterfielda, w ścianę domu łupnął zwinięty w ciasny rulon *Press-Herald*, spadając następnie prosto na klomb róż. To już trzeci raz w tym tygodniu; ten szczeniak Kilby w końcu się doigra. Niewykluczone, że od tego rannego wstawania coś poprzestawiało mu się w głowie. Cóż, gazeta może sobie jeszcze trochę poczekać. Przez wschodnie okna zaczynał się sączyć delikatny niczym najcenniejsze złoto blask wstającego słońca. To była najprzyjemniejsza pora dnia i Eva nie miała najmniejszego zamiaru jej niczym zakłócać.

Mieszkańcy pensjonatu mogli korzystać zarówno z kuchenki, jak i lodówki — było to, podobnie jak cotygodniowa zmiana bielizny, wliczone w opłatę — więc i tak wkrótce spokój pryśnie, gdy Grover Verrill i Mickey Sylvester zjedzą na dół, by przed wyjściem do tkalni w Gates Falls, gdzie obaj pracowali, wlać w siebie swą codzienną porcję płatków na mleku.

Zupełnie jakby jej myśli miały moc wywoływania zdarzeń, z toalety na piętrze dobiegł odgłos spuszczonej wody, a w chwilę potem schody zatrzeszczały pod ciężkimi stąpnięciami Sylvestra. Eva dzwignęła się z miejsca i poszła po gazetę.

5

6.05.

Kiedy piskliwe zawodzenie dziecka przedarło się przez płytki, poranny sen, Sandy McDougall wstała z łóżka i z zamkniętymi oczami poszła sprawdzić, co się dzieje.

— Cholera! — zakłęła na głos, uderzywszy się w łydkę o nogę nocnego stolika.

Dziecko, usłyszawszy jej głos, rozkrzyczało się jeszcze głośniej.

Zamknij się! — wrzasnęła. — Już idę.

Poszła wąskim korytarzykiem przyczepy do kuchni — szczupła dziewczyna, tracąca z dnia na dzień resztki i tak nigdy nie rewelacyjna urody. Wyjąwszy z lodówki butelkę Randy'ego zastanowiła się przez chwilę, czyby jej nie podgrzać, ale potem machnęła ręką. Jeśli naprawdę jesteś głodny, krzykaczu, to zjesz i zimne.

Weszła do pokoiku dziecka i spojrzała na nie z niechęcią. Randy miał już dziesięć miesięcy, ale był bardzo chorowity i krzykliwy. Zaczął raczkować dopiero niecały miesiąc temu. Może przechodził polio albo coś w tym rodzaju. Teraz z kolei miał czymś wymazane rączki, a ta sama substancja znajdowała się także na ścianie nad łóżeczkiem. Sandy nachyliła się nad nim, zastanawiając się, co też tym razem mogło się wydarzyć.

Liczyła sobie siedemnaście lat, a w lipcu wraz ze swoim mężem obchodziła pierwszą rocznicę ślubu. Kiedy wychodziła za Royce'a McDougalla — w szóstym miesiącu ciąży, pękata niczym ludzik z reklamy Michelina — małżeństwo

wydawało się jej tym, za co uważał je ojciec Callahan, który udzielał im ślubu — błogosławionym wyjściem awaryjnym. Teraz doszła do wniosku, że nie było niczym innym, jak tylko kupą gówna.

Z odrazą spostrzegła, że to właśnie była owa tajemnicza substancja rozmazana na ścianie, a także na rączkach i włosach Randy'ego. Stała wpatrując się w niego tępo i ściskając w dłoni zimną butelkę. A więc właśnie dla tego zrezygnowała ze szkoły, z przyjaciół, z nadziei na to, że zostanie modelką. Dla obskurnej przyczepy stłoczonej wraz z innymi na Zakręcie, z meblami z obłazącą okleiną; dla męża, który całymi dniami pracował w tkalni, wieczory zaś spędzał na pijaństwie lub grze w karty ze swoimi podejrzanymi kolesiami; dla dziecka, podobnego jak dwie krople wody do swego tatusia i rozmazującego kupę wszędzie, gdzie się dało.

Randy wrzeszczał co sił w płucach.

— Zamknij się! — ryknęła i cisnęła w niego plastikową butelką. Uderzyła go w czoło, a on upadł na wznak, płacząc i wierzgając rozpaczliwie rączkami i nóżkami. Tuż pod linią włosów pojawiło się czerwone półkole i Sandy poczuła, jak do gardła podpełza jej dławiąca fala satysfakcji, żalu i nienawiści. Chwycała go jak szmacianą lalkę i wyrwała z łóżeczka.

— Zamknij się! Zamknij się! Z a m k n i j s i ę ! — Uderzyła go dwukrotnie, zanim zdołała nad sobą zapanować, ale wtedy jego rozpacz była już zbyt wielka, by mógł wyrazić ją głosem. Rzuciła go z powrotem na posłanie, a on leżał z fioletową twarzą, chwytając rozpaczliwie powietrze.

— Przepraszam... — wymamrotała. — Mój Boże, przepraszam! Nic ci nie jest, Randy? Zaczekaj chwilkę, mamusia zaraz cię umyje.

Kiedy wróciła z wilgotną ścierką, pod oczami i na powiekach dziecka wystąpiły już wyraźne sińce, ale kiedy dała mu butelkę i otarła główkę i ręce, obdarzył ją szerokim, bezzębnym uśmiechem.

Powiem Royowi, że spadł mi ze stołu przy przewijaniu, pomyślała. powinien w to uwierzyć. O Boże, spraw, żeby uwierzył.

6

6.45.

Większość robotniczej populacji Salem znajdowała się w drodze do pracy. Mikę Ryerson należał do nielicznych, którzy pracowali w miasteczku. W corocznych sprawozdaniach finansowych figurował jako konserwator zieleni, lecz w rzeczywistości do jego obowiązków należała opieka nad trzema znajdującymi się na terenie miasta cmentarzami. Latem oznaczało to pracę niemal od świtu do nocy, ale nawet zimą nie było niczym łatwym, wbrew temu, co wydawał się myśleć ten durny George Middler ze sklepu przemysłowego. Mikę zatrudniał się bowiem również u Carla Foremana, miejscowego przedsiębiorcy pogrzebowego, a tak się jakoś składało, że większość starych ludzi umierała właśnie zimą.

Jechał w kierunku Burns Road swoją furgonetką załadowaną grabiami, elektrycznym sekatorem do przycinania żywopłotów, łomem pomocnym przy podnoszeniu przewróconych nagrobków, dziesięciogalonowym kanistrem benzyny i dwiema kosiarkami do trawy firmy Briggs & Stratton.

Dziś rano miał zająć się porządkowaniem Wzgórza Spokoju, a po południu przenieść się na cmentarz na Szkolnym Wzgórzu, odwiedzany czasem przez wycieczki przyprowadzane przez nauczycieli, a to ze względu na wymarłą przed wieloma laty osadę kwakrów, którzy grzebali tam swoich zmarłych.

Jednak spośród wszystkich trzech Mikę najbardziej lubił ten na Wzgórzu Spokoju. Nie był to cmentarz specjalnie stary, ale przyjemny i cienisty. Mikę miał nadzieję, że kiedyś on sam także tam spocznie — powiedzmy, za jakieś sto lub trochę więcej lat.

Teraz liczył ich sobie dwadzieścia siedem, zdążywszy w trakcie dosyć burzliwej kariery zaliczyć trzy lata college'u. Żywił nadzieję, że kiedyś uda mu się tam wrócić i dokończyć edukacji. Miał przyjemny, sympatyczny wygląd, w związku z czym zdobywanie zaufania samotnych pań u Delia lub w barach w Portland nie sprawiało mu najmniejszych kłopotów. Niektórym z nich nie podobała się jego praca, czego w żaden sposób nie mógł zrozumieć. Było to bardzo przyjemne zajęcie, na świeżym powietrzu, bez zagląającego wiecznie przez ramię szefa, a nawet jeżeli od czasu do czasu musiał wykopać grób albo poprowadzić należący do Carla Foremana karawan, to co z tego? Ktoś przecież musiał to robić. Jeżeli od niego chodziło, to za jedyną rzecz bardziej naturalną od śmierci uważał seks.

Pogwizdując pod nosem, skręcił w Burns Road i u podnóża wzniesienia wrzucił drugi bieg. Spod kół samochodu wzbijały się tumany kurzu. Poprzez lekko przywiedniętą zieleń po obu stronach drogi mógł dostrzec przypominające szkielety, pozbawione liści drzewa, stanowiące pozostałość wielkiego pożaru z 1951 roku. Wiedział, że pełno tam było głębokich wykrotów i że brak ostrożności mógł się łatwo skończyć złamaniem nogi. Choć minęło już dwadzieścia pięć lat, blizny wciąż jeszcze były dobrze widoczne. Cóż, nawet w pełnym blasku życia zawsze towarzyszy nam cień śmierci...

Cmentarz znajdował się na szczycie wzgórza. Mikę skręcił w droga dojazdową, wiedząc, że za chwilę wysiadzie i otworzy bramę... i wdepnął z całej siły hamulec, blokując koła, które zaszurgotały na sypkim żwirze.

Na wykonanej z kutyh, żelaznych prętów bramie wisiało łbem w dół ciało psa. Ziemia pod nim przesiąknięta była krwią.

Mikę wyskoczył z samochodu i zakładając wyciągnięte z tylnych kieszeni spodni robocze rękawice podbiegł do bramy. Uniósłszy łeb psa, który poddał się temu z potworną, bezwładną łatwością, spojrział w puste, szkliste ślepie Doca, ukochanego kundla Wina Purintona. Pies został wbity na ostro zakończony pręt niczym poleć mięsa u rzeźnika. Muchy, jeszcze odrętwiałe od nocnego chłodu, łażyły leniwie po martwym ciełe.

Mikę z wysiłkiem ściągnął psa z bramy, starając się nie zwracać uwagi na towarzyszące temu obrzydliwe, wilgotne odgłosy. Cmentarny wandalizm nie stanowił niczego nowego; miał z nim często do czynienia, szczególnie w okolicy Wszystkich Świętych, ale do pierwszego listopada pozostało jeszcze półtora miesiąca, a poza tym coś takiego widział po raz pierwszy w życiu. Zwykle dowcipnie zadowalali się przewróceniem kilku nagrobków, namazaniem paru świńskich wyrazów lub powieszeniem na bramie wyciętego z papieru szkieletu. Jeżeli w tej sprawie również maczały palce jakieś dzieciaki, to były to prawdziwe sukinsyny. Win będzie zrozpaczony.

Przez chwilę zastanawiał się, czy nie powinien zawieźć od razu psa do miasta i pokazać go Parkinsowi Gillespie, ale doszedł do wniosku, że to i tak nic nie da. Weźmie biednego Doca, kiedy będzie jechał na obiad, choć nic nie wskazywało na to, że będzie miał dzisiaj ochotę na specjalnie obfity posiłek.

Otworzywszy bramę zerknął na powalane krwią rękawice. Trzeba będzie jeszcze oskrobać żelazne pręty, więc raczej nie uda mu się pojechać po południu na Szkolne Wzgórze. W milczeniu wsiadł do samochodu i wjechał na teren cmentarza. Urok zapowiadającego się pięknie dnia prysnął bezpowrotnie.

7

Rozklekotane szkolne autobusy jeździły swoimi zwykłymi trasami, zbierając dzieci czekające przy krawężniku ze starannie zapakowanymi śniadaniem w dłoniach. Za kierownicą jednego z autobusów siedział Charlie Rhodes, jego trasa zaś obejmowała Taggart Stream Road we wschodnim Salem i górną część Joints Avenue.

Dzieci, które woził swoim autobusem, były najgrzeczniejsze w miasteczku, a nawet w całym okręgu. W autobusie numer sześć nie mogło być mowy o żadnych wrzaskach, krzykach czy ciągnięciu dziewcząt za warkocze. Wszyscy smarkacze siedzieli spokojnie i uważali na to, co robią, bo jak nie, to mogli iść na piechotę dwie mile do szkoły i wyjaśnić w sekretariacie przyczynę spóźnienia.

Wiedział dokładnie, co o nim myśleli i wyobrażał sobie, jak nazywali go za jego plecami, ale to mu nie przeszkadzało. W jego autobusie nie będzie żadnych rozrób ani głupot. Niech to sobie zachowają dla swoich mięczakowatych nauczycieli.

Kiedy ukarał małego Durhama trzydniowym chodzeniem na piechotę za to, że chłopiec pozwolił sobie coś głośniej powiedzieć, dyrektor szkoły odważył się zapytać go nieśmiało, czy przypadkiem nie postąpił odrobinę zbyt impulsywnie. Charlie spojrzął mu prosto w oczy i po chwili dyrektor, moczący się jeszcze szczeniakiem ledwo cztery lata po college'u, odwrócił wzrok. Z facetem zarządzającym firmą autobusową nie miał takich nieporozumień, był nim bowiem Dave Felsen,

jego stary kumpel jeszcze z Korei. Rozumieli się nawzajem i widzieli, co dzieje się w kraju. Zdawali sobie doskonale sprawę z ego, że dzieciak, który w roku 1958 „pozwoił sobie coś głośniej powiedzieć” w szkolnym autobusie, był tym samym, który w 1968 szczał na narodową flagę.

Zerknął w szerokie, panoramiczne lustro i zobaczył, jak Mary Kate Griegson podaje jakąś kartkę swojej przyjaciółce, tej małej kurewce Brent Tenney. One wszystkie to małe kurwy. Pieprzą się już od szóstej klasy.

Zahamował raptownie i zatrzymał autobus przy krawężniku. Mary Kate i Brent spojrzały ze strachem w jego kierunku.

— Chcecie sobie pogadać? — zapytał, patrząc w lustro. — Proszę bardzo, możecie już zacząć.

Otworzył drzwi i czekał, aż sobie pójda w cholere.

8

9.00.

Weasel Craig zupełnie dosłownie wytoczył się z łóżka Przez okno jego usytuowanego na pierwszym piętrze pokoju wpadały oślepiające promienie słońca. W głowie czuł nieznośne pulsowanie. Z góry dobiegał go stukot maszyny do pisania. Boże, ten człowiek musi być chyba głupszy od wiewiórki, żeby tak walić w klawisze od rana do wieczora.

Wstał i w samych slipach podszedł do kalendarza, aby sprawdzić, czy to ten sam dzień, kiedy stał się bezrobotny. Nie. Była to środa.

Kac okazał się znacznie mniej dokuczliwy niż przy innych podobnych okazjach. Weasel siedział u Della aż do zamknięcia lokalu, czyli do pierwszej, ale miał tylko dwa dolary, a po ich wydaniu nie udało mu się naciągnąć na piwo zbyt wielu gości. Tracę talent, pomyślał i podrapał się po szczęce.

Wyciągnął gruby podkoszulek, który nosił bez względu na porę roku i zielone, robocze spodnie, a następnie otworzył szafę i wydobył z niej swoje śniadanie — butelkę ciepłego piwa na teraz, paczkę dotowanych przez rząd płatków owsianych na potem. Nienawidził owsianki, lecz obiecał wdowie, że pomoże jej wytrześć dywan, a ona z pewnością nie omieszka obarczyć go także innymi zadaniami.

W gruncie rzeczy nie miał nic przeciwko temu, choć nie ulegało wątpliwości, że stanowiło to znaczny krok wstecz w porównaniu z czasami, kiedy sypiał z Evą Miller w jednym łóżku. Jej mąż zginął w wypadku, jaki miał miejsce w tartaku w roku 1959; było to nawet dosyć zabawne o ile taki okropny wypadek może być zabawny. W tamtych latach tartak zatrudniał sześćdziesięciu czy nawet siedemdziesięciu ludzi, Ralph Miller zaś należał do tych, którym w przyszłości rokowano szanse na objęcie dyrekcji.

To, co go spotkało, było zabawne dlatego, że od roku 1952, czyli od chwili, kiedy zaczął pracować w biurze, nie miał do czynienia z maszynami. Na tym właśnie polegała wdzięczność kierownictwa i Weasel uważał, że Ralph w pełni sobie na nią zasłużył. Kiedy wielki pożar przedarł się przez moczary i gnany wiejącym z prędkością dwudziestu mil na godzinę wiatrem przeniósł się na drugą stronę Jointer Avenue, wydawało się, że tartak jest stracony. Jednostki straży pożarnej z sześciu miasteczek miały dość roboty walcząc o ocalenie ludzi i domów, żeby zawracać sobie głowę jakimś nędznym tartakiem. Ralph Miller utworzył z całej drugiej zmiany oddział ochotników, którzy pod jego dowództwem polewali dach wodą i dokonał tego, czego nie udało się dokonać zawodowym strażakom na zachód od Jointer Avenue — skierował ogień na południe, gdzie w krótkim czasie został całkowicie opanowany.

Siedem lat później, oprowadzając po zakładzie jakichś wysokich urzędników z dużej firmy mającej swoją siedzibę w Massachusetts, wpadł do strugarki. Przekonywał ich, żeby kupili tartak i poślizgnął się w kałuży wody. Nie trzeba dodawać, że wraz z nim w paszczy strugarki zniknęły jakiekolwiek szansę na przeprowadzenie transakcji. Tartak, który Ralph ocalił w roku 1951, uległ ostatecznej likwidacji w 1960.

Weasel stanął przed lustrem pokrytym kroplami wyschniętej wody i przycesał swoje bujne siwe włosy — rzeczywiście piękne i, pomimo jego wieku sześćdziesięciu siedmiu lat, nadal bardzo seksowne. Olbrzymie ilości alkoholu, jakie wypijał, zdawały się im znakomicie służyć. Następnie wciągnął na grzbiet robotczą zielonobrazową koszulę i z pudełkiem płatków pod pachą zszedł na dół.

A teraz, niemal w szesnastcie lat później, zatrudniał się jako pomoc domowa u kobiety, z którą niegdyś sypiał i którą w dalszym ciągu uważał za cholernie atrakcyjną.

W chwili, gdy wszedł do rozświetlonej blaskiem słońca kuchni, wdowa dopadła go niczym sęp.

— Posłuchaj, Weasel, nie wypolerowałbyś po śniadaniu poręczy przy schodach? Miałbyś trochę czasu?

Obydwoje udawali, że jest to z jego strony przyjacielska przysługa, a nie splata cotygodniowej, czternastodolarowej należności za pokój.

— Jasne.

— A co do dywanu w salonie, to...

— Trzeba go wytrzeć. Pamiętam.

— Jak tam twoja głowa? — Zadała to pytanie niemal oficjalnym tonem, nie dopuszczając, żeby zabrzmiała w nim choćby nuta współczucia, ale on i tak wy czuł jego obecność.

— Dziękuję, dobrze — odparł, nastawiając wodę w garnku.

— Pytam, bo zdaje się, że dosyć późno wróciłeś.

— A co, miałaś na mnie ochotę? — Spojrzał na nią unosząc przekornie brew

i z zadowoleniem stwierdził, że Evą nadal potrafi zaczerwienić się jak uczennica, choć przestali dokazywać już prawie dziewięć lat temu.

— No wiesz, Ed. . .

Tylko ona zwracała się do niego w ten sposób. Dla wszystkich innych mieszkańców miasta Salem nazywał się po prostu Weasel. No i bardzo dobrze. Mogą mówić do niego jak chcą.

Chrząknął niezręcznie.

— Nie przejmuj się. Wstałem lewą nogą z łóżka.

— Raczej z niego wypadłeś, sądząc po hałasie — powiedziała szybciej, niż zdążyła pomyśleć, ale Weasel ograniczył się do powtórnego chrząknięcia. Ugotował i zjadł znieawidzone płatki, a potem wziął szmatę, Puskę z woskiem do mebli i nie oglądając się wyszedł z kuchni.

Z drugiego piętra w dalszym ciągu dobiegał stukot maszyny. Vinnie Upshaw, który mieszkał naprzeciwko pisarza, twierdził, że tamten zaczyna o dziewiątej rano, pracuje do południa, zaczyna znowu o trzeciej, pisze do szóstej, a potem jeszcze raz siada do maszyny o dziewiątej i wstaje od niej dopiero około północy. Weasel nie potrafił sobie wyobrazić, jak w jednej głowie może pomieścić się tyle słów.

Mimo to ten Mears sprawiał dosyć przyjemne wrażenie, a poza tym istniała szansa, że któregoś wieczoru uda się naciągnąć go u Della na kilka piw. Weasel słyszał, że większość pisarzy pije jak ryby.

Polerując starannie poręcz, oddał się całkowicie rozmyśleniom, Dotyczyły ponownie wdowy. Dzięki pieniądзом, jakie otrzymała z ubezpieczenia po śmierci męża, przerobiła dom na pensjonat i żyła sobie całkiem nieźle. Zresztą, co w tym dziwnego? Przecież harowała jak wół roboczy. Stary na pewno przyzwyczaił ją do regularnych figlów i potem kiedy minęła rozpacz, potrzeba pozostała. Boże, ależ ona to lubiła!

W tamtych czasach, czyli około roku 1961 i 1962, ludzie jeszcze mówili do niego Ed, a nie Weasel, miał dobrą pracę i to on trzymał butelkę, a nie na odwrót. Aż wreszcie nadeszła ta styczniowa noc 1962 roku.

Zamarł na chwilę w bezruchu i spojrział w zamyśleniu przez jedno z wąskich okienek na półpiętrze. Było wypełnione idiotycznie złotym blaskiem odchodzącego lata, śmiejącego się z chłodnej, szczękającej zębami jesieni i czekającej tuż za nią mroźnej zimy.

Chciał tego zarówno on, jak i ona, lecz kiedy było już po wszystkim i leżeli razem w pogrążonej w mroku sypialni, rozpląkała się i zaczęła mówić, że postąpili źle i niegodnie. Uspokajał ją, że nie może być o tym mowy, nie wiedząc, czy tak było w istocie i nawet nie przywiązując do tego większej wagi. W okiennice uderzał lodowaty, północny wiatr, w pokoju było ciepło i przytulnie, i wreszcie zasnęli, przytuleni do siebie niczym srebrne łyżeczki w szufladzie ze sztućcami.

Boże, czas jest jak rzeka, pomyślał Weasel. Ciekawe, czy ten pisarz wie o tym.

Długimi, posuwistymi ruchami zaczął znowu polerować drewnianą poręcz.

9

10.00.

W szkole podstawowej przy Stanley Street, najnowszym i najbardziej okazałym budynku szkolnym w Salem, trwała długa przerwa. Szkoła była niska, przeszkłona, mieściła cztery sale lekcyjne i sprawiała wrażenie równie nowoczesnej i przestronnej, jak ta przy Brock Street starej i ciasnej. Władze okręgowe jeszcze nie zdołały za nią do końca zapłacić

Richie Boddin, szkolny osiłek, wyszedł dostojnie na boisko, rozsiadając się w poszukiwaniu tego przemądrzałego nowego, który zawsze wszystko wiedział na lekcjach matematyki. Każdy dzieciak, który trafił do j e g o, Richie'ego, szkoły, musiał wiedzieć, kto tu jest szefem. A już szczególnie taki okularnik, nad którym roztkliwiają się wszyscy nauczyciele.

Richie miał jedenaście lat i ważył 140 funtów. Odkąd pamiętał, matka zawsze chwaliła się przed wszystkimi, jakiego to ma dużego syna, więc wiedział, że jest naprawdę duży. Czasem lubił sobie wyobrażać, że gdy idzie, ziemia trzęsie się pod jego nogami. Postanowił sobie, że kiedy dorośnie, będzie palił camele — dokładnie tak jak jego stary.

Wśród czwarto- i piątklasistów wzbudzał nieopisane przerażenie, młodsza dzieciarnia zaś uważała go za szkolnego bożka. Kiedy przejdzie do siódmej klasy na Brock Street, ich panteon straci najgroźniejszego diabła. Ta świadomość sprawiała mu ogromną przyjemność.

Oto i mały Petrie, biorący udział w wybieraniu składów dwóch drużyn piłkarskich, które miały rozegrać podczas przerwy skrócony mecz.

— Hej! — ryknął Richie.

Obejrzeni się wszyscy z wyjątkiem Petrie'ego. W każdej parze oczu można było dostrzec najpierw strach, a potem ulgę, gdy jej właściciel przekonywał się, że to gromkie wezwanie nie dotyczyło jego osoby.

— Hej, ty! Okularnik!

Mark Petrie odwrócił się i spojrzał na Richie'ego. Przedpołudniowe słońce zabłysło w stalowych oprawkach jego okularów. Dorównywał wzrostem Richie'emu, co oznaczało, że górował nad większością rówieśników, lecz był szczupły i miał bezbronną twarz mola książkowego.

— Do mnie mówisz?

— „Do mnie mówisz?” — powtórzył szyderczo Richie falsetem. — Gadasz jak pedał, okularniku, wiesz o tym?

— Nie, nie wiem — odparł Mark Petrie. Richie postąpił krok naprzód.

— Założę się, że zawsze obsysasz, pinglarzu. Bierzesz w usta i ssiesz.

— Naprawdę? — Ten grzeczny ton doprowadzał do szału.

— Naprawdę. Tak często, jak tylko możesz.

Wokół nich zaczęli gromadzić się uczniowie, pragnący zobaczyć, jak nowy chłopiec zostanie wdeptany w ziemię. Panna Holcomb, która w tym tygodniu dyżurowała na przerwach, była na placu zabaw, gdzie pilnowała młodszych dzieci.

— O co ci chodzi? — zapytał Mark Petrie przyglądając się otyłemu chłopcu tak, jakby właśnie odkrył nowy, interesujący gatunek chrząszcza.

— „O co ci chodzi?” — Znowu ten szyderczy falset. — O nic mi nie chodzi. Po prostu słyszałem, że jesteś cholernym pedałem, i to wszystko.

— Doprawdy? — zdziwił się uprzejmie Mark. — A ja słyszałem, jesteś wielkim, głupim, tłustym kołkiem.

Zapadła całkowita cisza. Dzieciaki wybałuszyły z zainteresowaniem oczy, bo żadne z nich nie widziało jeszcze faceta, który dobrowolni podpisał na siebie wyrok śmierci. Richie, zdumiony nie mniej pozostałych, stał niczym słup soli.

Mark zdjął okulary i wręczył je jednemu z uczniów.

— Mógłbyś je potrzymać?

Chłopiec wziął je, nie spuszczać z Marka oszołomionego wzroku.

Richie ruszył do ataku. Był to ciężki, powolny trucht, pozbawiony choćby odrobiny gracji lub finezji. Ziemia zatrzęsała się pod jego stopami. Chłopca wypełniała pewność siebie i radosna chęć miażdżenia wszystkiego co znalazłoby się na jego drodze. Wziął potężny zamach, przygotowując się do zadania ciosu, po którym zęby tego bezczelnego szczeniaki rozprysną się jak klawisze fortepianu. Zamów sobie numerkę do dentysty pedale. Już nadchodzę.

Mark Petrie uchylił się i cofnął o krok. Potężna dłoń zakreśliła półkole nad jego głową, pociągając za sobą napastnika, tak że Markowi nie pozostało nic innego, jak tylko wyciągnąć nogę. Richie Boddin runął z łoskotem na ziemię. Z jego piersi wyrwało się zduszone stęknienie, a zgromadzony wokół tłumek odpowiedział przeciągłym „aaaaa!”.

Mark wiedział doskonale, że jeśli ten wielki, niezdarny chłopiec podniesie się na nogi i odzyska przewagę, to sprawi mu ciężkie lanie. On sam był zwinny, lecz sama zwinność nie na wiele przydaje się w takich sytuacjach. Gdyby działo się to na ulicy, należałoby w tej chwili odwrócić się i rzucić do ucieczki, czekając na dogodną okazję, żeby zniecka rąbnąć prześladowcę w nos, ale to nie była ulica, a poza tym Mark zdawał sobie sprawę, że jeśli teraz nie pokona tego niedorozwiniętego kołka, to narazi się na nieustanne upokorzenia i poniżenia.

Te wszystkie myśli przemknęły mu przez głowę w ciągu jednej piątej sekundy.

W następnej chwili skoczył Boddinowi na plecy.

Richie jęknął, tłum zaś zareagował kolejnym westchnieniem. Mark chwycił grube ramię i wykręcił je z całej siły. Richie wrzasnął z bólu.

— Poddaj się! — zażądał Mark.

Odpowiedź, jaką otrzymał, usatysfakcjonowałaby w pełni nawet marynarza z dwudziestoletnim doświadczeniem.

Mark wzmógł nacisk, podciągając ramię aż do łopatki i Richie wrzasnął po raz drugi. Był jednocześnie oburzony, przerażony i zdumiony. Coś takiego jeszcze nigdy mu się nie przydarzyło. To nie mogła być prawda. To niemożliwe, żeby jakiś pedalski okularnik siedział mu ni grzbiecie, wykręcał rękę i upokarzał przed jego poddanymi.

— Poddaj się — powtórzył Mark.

Richie uniósł się na kolana, lecz Mark ścisnął nogi niczym jeździec dosiadający na oklep konia i utrzymał się na jego grzbiecie. Obydwaj byli brudni i zakurzeni, ale Richie wyglądał bez porównania gorzej: miał zadrapany policzek czerwona, obrzmiałą twarz, wybałuszone oczy i zadrapany policzek.

Spróbował strząsnąć z siebie napastnika, lecz Mark szarpnął jeszcze raz i tym razem Richie już nie wrzasnął lecz zawył.

— Poddaj się albo złamię ci rękę!

Koszula Richie'ego wylazła ze spodni, bolał go brzuch, podrapany o nawierzchnię boiska. Łkając rozpaczliwie usiłował zrzucić z pleców gniotący go ciężar, ale ten okropny chłopiec trzymał się mocno. Ramię paliło żywym ogniem.

— Złaż ze mnie, ty sukinsynu! Nie walczysz uczciwie!

Następna eksplozja bólu.

— Poddaj się.

— Nie!

Zachwiał się na klęczkach i runął twarzą w dół na boisko. Ból stał się wręcz nie do zniesienia. W usta i w oczy wciskała się ziemia. Wierzgał bezradnie nogami, zapomniawszy zupełnie, jaki jest d u ż y. Zapomniał o tym, że grunt trząsł się pod jego nogami i że postanowił w przyszłości palić camele tak samo jak jego ojciec.

— Poddaję się! Poddaję się! Poddaję się! — ryknął Czuł, że mógłby tak krzyknąć całymi godzinami, a nawet dniami, jeśli tylko zaraz potem przestałoby go boleć.

— Powiedz; jestem wstrętnym, tłustym kołkiem.

— Jestem wstrętnym, tłustym kołkiem! — załkał Richie.

— W porządku.

Mark Petrie puścił go i odsunął się przezornie na kilka kroków.

Bolały go uda i miał nadzieję, że Richie'emu przeszła już ochota do walki. Jeżeli nie, tłusty chłopiec rozmazałby go jak ciepłe masło.

Richie podniósł się na nogi. Rozejrzał się dookoła, lecz nikt nie spojrzął mu w oczy. Wszyscy jak na komendę odwrócili się i powrócili do swoich poprzednich zajęć. Tylko mały Glick stał koło tego przeklętego okularnika, wpatrując się w niego jak w jakieś bóstwo.

Richie został zupełnie sam, nie mogąc jeszcze uwierzyć w to, jak szybko nastąpił jego upadek. Łzy wściekłości i wstydu wyślubiły w pokrywającym policzki kurzu głębokie bruzdy. Zaświtała mu myśl, czy nie rzucić się teraz na Petrie'ego,

lecz nie pozwoliły mu na to zarówno wstyd, Jak i zupełnie nowy, wielki i błyszczący strach. Nie, jeszcze nie teraz. Ramię bolało niczym dziurawy ząb. Cholerny sukinsyn. Jeśli tylko cię kiedyś dorwę i dostanę pod siebie. . .

Ale nie dzisiaj. Odwrócił się i ruszył przed siebie, a grunt wcale, ale to wcale nie trząsał się pod jego nogami. Wpatrywał się w ziemię, żeby przypadkiem nie spojrzeć nikomu w twarz.

Za nim rozległ się szyderczy, dziewczęcy śmiech, rozbrzmiewa w czystym powietrzu z okrutną wyrazistością.

Nie podniósł wzroku, żeby sprawdzić, kto ośmielił się z niego naigrywać.

10

11.15.

Miejskie wysypisko śmieci było usytuowane w zamkniętej w roku 1945 żwirowni, dwie mile za cmentarzem na Wzgórzu Spokoju, przy końcu drogi odchodzącej od Burns Road.

Dud Rogers słyszał przytłumione, dobiegające z oddali perkotanie kosiarki Mike'a Ryersona, ale ten odgłos, podobnie jak wszystkie inne miał już wkrótce zostać zagłuszony przez trzaskanie płomieni.

Dud sprawował pieczę nad wysypiskiem od roku 1956, a jego coroczny ponowny wybór na walnym zebraniu mieszkańców odbywał się przez aklamację. Mieszkał w miejscu swojej pracy, w schludnym baraczki oklejonym papą, na którego drzwiach widniała tabliczka z napisem „Kierownik wysypiska”. Od trzech lat, czyli od chwili, gdy udało mu się załatwić piec akumulacyjny, ani razu nie odwiedził swego mieszkania w Jerusalemie.

Miał garb i dziwacznie przechyloną głowę, co sprawiało wrażenie jakby Bóg przed wypuszczeniem go na świat dał mu na pożegnanie tęgiego kuksańca. W jego zwisających poniżej kolan rękach drzemała nadzwyczajna siła. Trzeba było aż czterech mężczyzn, żeby wynieść ze sklepu przemysłowego i wstawić na ciężarówkę starą szafę pancerną; pod jej ciężarem samochód wyraźnie przysiadł na resorach. Dud Rogers z nabrzmiałymi na czole żyłami i mięśniami napiętymi jak okrętowe liny zdjął ją jednak zupełnie sam i osobiście wrzucił do głębokiego wykopu.

Dud bardzo lubił swoje wysypisko. Lubiał przeganiać dzieciaki przychodzące tu po to, żeby tłuc butelki, i kierować przyjeżdżające samochody tam, gdzie akurat tego dnia uznał za stosowne, a także grzebać w stertach odpadków, co stanowiło jego wyłączny, związany z piastowanym stanowiskiem przywilej.

Przypuszczał, że ludzie wyśmiewają się z niego widząc, jak przechadza się między górami śmieci w gumowcach sięgających do połowy uda, skórzanych rękawicach z przytroczonym do biodra pistoletem, workiem przewieszonym przez

plecy i nożem spoczywającym bezpiecznie w kieszeni. Niech się śmieją na zdrowie. Nieraz znajdował całe kłęby miedzianego drutu, a czasem nawet silniki z nie-naruszonymi uzwojeniami; za miedź płacono w Portland niezłą cenę. Trafiały się stare biurka, krzesła i kanapy, które można było wyremontować i sprzedać handlarzom antykami. Dud oszukiwał handlarzy oni zaś z kolei oszukiwali turystów — czy to nie wspaniałe, że wszystko na tym świecie ma swoje miejsce? Dwa lata temu znalazł drewniane łóżko z pękniętą ramą, doprowadził je do porządku i sprzedał dwieście dolarów jakiemuś pedałowi od Wellsa, roztkliwiającemu się nad oryginalnością i wiekiem rupiecica. Biedak nie wiedział, ile trudu kosztowało Duda wydrapanie umieszczonego z tyłu zagłówka napisu „Made in Grand Rapids”.

W najodleglejszej części wysypiska znajdowało się złomowisko samo — chodów, wypełnione buickami, fordami, chevroletami i jeszcze czym tylko dusza zapragnie. Boże, co ci ludzie zostawiali w swoich samochodach, kiedy już im się znudziły! Najlepsze były chłodnice, ale nawet za wymyty benzyną stary wał korbowy można było dostać siedem dolarów, nie wspominając już o pasach, lampach, szybach, kierownicach i dywanikach.

Tak, wysypisko było w porządku. Stanowiło mieszankę Disneylandu i Shangri-La, ale wcale nie ze względu na pieniądze upchnięte w czarnym pudełeczku, zagrzebanym w ziemi pod fotelem.

Przede wszystkim ze względu na ogień i szczury.

Dud podpalał wysypisko w niedziele i środy rano, a także w poniedziałki i piątki wieczorem. Wieczne pożary były najładniejsze. Uwielbiał przytłumiony pomarańczowy blask bijący od płonących toreb, gazet i skrzynek. Jeżeli jednak chodzi o szczury, to lepsze efekty uzyskiwał rano.

Dud siedział wygodnie w fotelu i obserwował rozprzestrzeniający się ogień, trzymając luźno w dłoni swój pistolet kalibru 22 i czekając na pojawienie się szczurów.

Kiedy już wychodziły, robiły to całymi masami. Były wielkie, brudnoszare, o różowych oczach. Na grzbietach niosły stada pcheł i kleszczy, a ogony ciągnęły się za nimi niczym grube, różowe druty. Dud uwielbiał strzelać do szczurów.

— Kupujesz masę naboju. Dud — mawiał niemal za każdym razem George Middler, kładąc na ladzie paczkę amunicji Remingtona. — Miasto za to płaci?

Był to stary dowcip, przed kilku laty bowiem Dud przedstawił ubraniemu mieszkańców zapotrzebowanie na dwa tysiące sztuk wydrażonych pocisków kalibru 22 i Bili Norton kazał mu wynosić się z tym do diabła.

— Przecież wiesz, George, że to wyłącznie funkcja społeczna — odpowiadał Dud.

Są. Ten duży, tłusty, utykający na tylną łapę to George Middler.

Z pyska sterczało mu coś, co przypominało częściowo przeżutą k wątrobę.

— To dla ciebie, George — powiedział Dud i nacisnął spust. Huk wystrzału nie był zbyt donośny, ale szczur przeokołkował dwa razy i rozciągnął się na ziemi, drgając konwulsyjnie. Wydrążone pociski to jest to. Kiedyś kupi sobie dużą czterdziestkę piątkę albo magnum i zobaczymy, co wtedy powiedzą te małe sukinsyny.

Ten następny to mała Ruthie Crockett, która nigdy nie nosi stanika i zawsze chichocze z koleżankami, gdy Dud przechodzi po drugiej stronie ulicy. Bach! Żegnaj, Ruthie.

Szczury rzuciły się do ucieczki, lecz i tak Dud zdołał położyć trupem sześć sztuk, co stanowiło całkiem niezły wynik. Gdyby teraz nachylił się nad którymś i przyjrzał stygnącemu ciału, zobaczyłyby pchły i kleszcze uciekające we wszystkie strony, jak... jak szczury z tonącego okrętu.

Porównanie wydało mu się tak zabawne, że odchylił do tyłu przekrzywioną dziwacznie głowę, oparł się na garbie i ryknął donośnym śmiechem, podczas gdy wśród stosów śmieci pełzały w dalszym ciągu pomarańczowe języki ognia.

Mimo wszystko życie było wspaniałe.

11

12.00.

Nad miasteczkiem rozległ się donośny, trwający dokładnie dwanaście sekund gwizd, oznaczający dla uczniów wszystkich trzech szkół nadejście przerwy obiadowej i witający początek drugiej połowy dnia. Lawrence Crockett, zastępca przewodniczącego zebrania mieszkańców, a zarazem właściciel Agencji Ubezpieczeń i Handlu Nieruchomościami Crockett odłożył na bok książkę *Zniewolone miłośnice Szatana*, nastawił dokładnie zegarek, po czym wstał z miejsca, podszedł do drzwi i wywiesił tabliczkę z napisem „Wracam o 13.00”. Już od dłuższego czasu jego rozkład części dnia wyglądał dokładnie tak samo: spacer do Excellent Cafe, cheeseburgery z dodatkami i papieros, a wszystko to urozmaicone tęsknymi spojrzeniami rzucanymi na nogi Pauline.

Nacisnął klamkę sprawdzając, czy drzwi na pewno są zamki i ruszył przed siebie Jointer Avenue. Przystanąwszy na rogu spojrzął w górę, w kierunku Domu Marstenów; przed budynkiem stał jakiś samochód. Widok błyszczącej w promieniach słońca karoserii wywołał w jego piersi ukłucie niepokoju. Ponad rok temu sprzedał Dom Marstenów wraz z budynkiem starej Pralni Miejskiej i była to najdziwniejsza transakcja jego życia, a zawierał już wiele b a r d o dziwnych.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa samochód należał do człowieka nazwiskiem Straker, R.T. Straker. Właśnie dziś rano otrzymał od niego przesyłkę.

Osobnik ów zjawił się w biurze Crocketta pewnego słonecznego lipcowego popołudnia ubiegłego roku. Wysoki, ubrany w starannie skrojony, trzyczęściowy

garnitur męczyzna wysiadł z samochodu i przed wejściem do budynku przystanął na chwilę na chodniku. Na jego łysej niczym bilardowa kula głowie nie sposób było dostrzec ani kropli potu. Brwi przypominały proste, czarne kreski, głęboko osadzone oczy zaś nasuwały skojarzenie z wywierconymi za pomocą grubego wiertła dziurami. W dłoni trzymał niewielką, czarną aktówkę. Larry był akurat w biurze zupełnie sam, jego zatrudniona na pół etatu sekretarka bowiem (pochodząca z Falmouth dziewczyna o najwspanialszych cyckach, jakie kiedykolwiek widziało oko człowieka) po południu pracowała u jakiegoś prawnika z Gates Falls.

Łysy męczyzna usiadł w przeznaczonym dla interesantów fotelu, oparł aktówkę na kolanach i utkwiał w Croquette wzrok. Był całkowicie pozbawiony wyrazu, co bardzo zaniepokoiło Larry'ego. Lubił wiedzieć, czego chce klient, zanim ten zdążył otworzyć usta. Ten człowiek jednak nawet nie spojrzał na przypięte do tablicy zdjęcia okolicznych nieruchomości, nie podał ręki, nie przedstawił się, a nawet nie powiedział dzień dobry.

— Czym mogę panu służyć? — zapytał Larry.

— Zostałem przysłany, aby kupić w tym miłym miasteczku rezydencję mieszkalną i obiekt nadający się do prowadzenia interesu — odparł nieznajomy jednostajnym, pozbawionym jakiegokolwiek akcentu głosem, który Larry'emu natychmiast skojarzył się z telefoniczną informacją o pogodzie.

— Bardzo mi miło. Dysponujemy bogatą ofertą różnych nieruchomości, z których...

— Nie ma potrzeby — przerwał mu łysy męczyzna, unosząc dłoń. Larry natychmiast zwrócił uwagę na zadziwiająco długość jego palców; środkowy liczył sobie co najmniej cztery lub pięć cali. — Obiekt, który wymieniłem jako drugi w kolejności, jest usytuowany przecnicę za budynkiem Rady Miejskiej. Stoi frontem do parku.

— To rzeczywiście dobry wybór. Była tam kiedyś pralnia, ale zamknięto ją w ubiegłym roku. Trudno o lepsze miejsce, szczególnie jeśli...

.- Co się zaś tyczy rezydencji — nie dał mu dokończyć nieznajomy — interesuje mnie ta znana w miasteczku jako Dom Marstenów.

Larry zbyt długo już zajmował się tym biznesem, żeby dać po sobie poznać choćby najgwałtowniejsze uczucia.

— Naprawdę?

— Tak. Nazywam się Straker, Richard Throckett Straker. Wszystkie dokumenty będą opiewały na moje nazwisko.

— Znakomicie — powiedział Larry. Jedno nie ulegało najmniejszej wątpliwości: ten człowiek wiedział, czego chciał. — Żądana cena za Dom Marstenów wynosi czternaście tysięcy dolarów, choć jestem pewien, że moi klienci dadzą się namówić na jej pewne obniżenie. Jeśli zaś chodzi o starą pralnię...

— To nie ma znaczenia. Zostałem upoważniony, żeby zapłacić za wszystko jednego dolara.

— Jednego...? — Larry przechylił głowę jak człowiek, który czegoś nie dośłyszał.

— Tak. Będzie pan uprzejmy zapoznać się z tymi dokumentami. Długie palce Strakera odsunęły zatrzaski aktówki, otworzyły i wydobyły plik papierów w niebieskich, przezroczystych okładkach. Larry Crockett wpatrywał się w obcego ze zmarszczonymi brwiami

— Proszę je przeczytać. Oszczędzimy sobie w ten sposób wiele czasu.

Larry wyjął papiery z okładek i spojrzał na pierwszą stronę z miną człowieka, który czyni zadość życzeniu natrętnego dziecka. Jego wzrok wędrował przez chwilę po dokumencie, a potem nagle znieruchomiał, przykuty do jednego miejsca.

Straker uśmiechnął się blado. Sięgnąwszy do wewnętrznej kieszeni marynarki wydobyl złotą papierosnicę, wyjął papierosa, wetknął go do ust i zapalił. Po pokoju rozszedł się ostry zapach tureckiego tytoniu.

Przez kolejne dziesięć minut w biurze panowała całkowita cisza zakłócana jedynie szumem wentylatora i dochodzącymi z zewnątrz stłumionymi odgłosami ulicznego ruchu. Straker wypalił papierosa do końca, zdusił niedopałek w palcach i wyciągnął następnego.

Wreszcie Larry uniósł pobladłą, wstrząśniętą twarz.

— To... To chyba jakiś żart. Kto pana do tego namówił? John Kelly

— Nie znam żadnego Johna Kelly'ego. Nigdy nie żartuję.

— Te dokumenty... Zrzeczenie się roszczeń... Prawo własności., Dobry Boże, człowieku! Czy pan nie zdaje sobie sprawy z tego, że ten kawałek ziemi jest wart półtora miliona dolarów?

— Pan się myli — wycedził Straker. — Jest wart cztery miliony a wkrótce będzie wart jeszcze więcej, kiedy zostanie wybudowane centrum handlowe

— Czego pan chce? — zapytał ochrypłym głosem Larry.

— Już panu powiedziałem. Wraz ze współnikiem zamierzamy w miasteczku otworzyć interes. Chcemy mieszkać w Domu Marstenów.

— A jaki to ma być interes? Morderstwa na zamówienie?

Straker uśmiechnął się chłodno.

— Obawiam się, że niestety najzwyczajniejszy handel meblami, ze specjalnym uwzględnieniem gustów kolekcjonerów staroci. Mój współnik jest w tej dziedzinie kimś w rodzaju eksperta.

— Gówno prawda — powiedział twardo Larry. — Dom Marstenów moglibyście kupić za osiem i pół, a pralnię za szesnaście tysięcy. Pański współnik z pewnością zdaje sobie z tego sprawę, podobnie jak z tego, że w takim miasteczku nie da się wyżyć z handlu antykami.

— Mój współnik dysponuje rozległą wiedzą na każdy temat, jaki go interesuje — odparł Straker. — Między innymi wie o tym, że miasteczko jest położone w pobliżu uczęszczanej przez turystów autostrady. Na nich właśnie liczymy jako

na naszych głównych, potencjalnych klientów. Ale to nie powinno pana interesować. Czy według pana dokumenty są w porządku?

Larry położył dłonie na niebieskich okładkach.

— Wydaje się, że tak. Ale muszę z góry pana uprzedzić, że mnie nie jest łatwo wykiwać.

— Wiem o tym — odparł Straker z ledwie ukrywaną pogardą w głosie. — Ma pan w Bostonie prawnika, niejakiego Francisca Walsha.

— Skąd pan o tym wie? — warknął Larry.

— Nieważne. Proszę pokazać mu te papiery. On potwierdzi ich autentyczność. Teren, na którym ma powstać centrum handlowe, będzie pański, jeśli spełni pan trzy warunki.

— Aha — powiedział znacząco Larry i wyraźnie się odprężył. — Warunki. — Rozparłszy się wygodnie w fotelu wyjął papierosa ze stojącego na biurku ceramicznego pojemnika, potarł zapałkę o podeszwę buta i zaciągnął się głęboko dymem. — A więc nareszcie przechodzimy do rzeczy. Proszę strzelać.

— Warunek pierwszy: sprzeda mi pan Dom Marstenów i starą pralnię za jednego dolara. Klientem, który zlecił panu sprzedaż domu, jest korporacja z Bangor, natomiast budynek pralni należy obecnie do jednego z portlandzkich banków. Jestem pewien, że obydwie te instytucje nie będą miały nic przeciwko temu, jeśli wypłaci im pan najniższą z możliwych do zaakceptowania sumę. Odjąwszy uprzednio swoją prowizję, rzecz jasna.

— Gdzie pan zdobywa takie informacje?

— To nie powinno pana interesować, panie Crockett. Warunek drugi: nikt nigdy nie dowie się o zawartej dzisiaj transakcji. Gdyby sprawa kiedykolwiek wypłynęła na światło dzienne, wie pan tylko tyle, ile panu powiedziałem — że jesteśmy dwoma wspólnikami mającymi zamiar otworzyć sklep z myślą o przejeżdżających tędy turystach. To bardzo ważne.

— Nie jestem plotkarzem.

— Mimo to pozwolę sobie jeszcze raz podkreślić znaczenie tego warunku. Może nadejść taki dzień, kiedy zechce pan pochwalić się przed kimś, jaki to wspomniały interes ubił pan kiedyś ze mną. Gdyby pan to zrobił, z pewnością dowiem się o tym i zrujnuję pana. Rozumie pan?

— Mówi pan jak na marnych filmach gangsterskich — powiedział Larry. Pożornie był zupełnie spokojny, ale wewnątrz czuł obrzydliwy podpełzający do gardła strach. Słowa „zrujnuję pana” zabrzmiały równie naturalnie, jak „dzień dobry”, nabierając przez to niepokojącego prawdopodobieństwa. Skąd, do diabła, ten facet wiedział o Franku Walshu? O istnieniu bostońskiego prawnika nie miała pojęcia nawet żona Larry'ego

— Czy pan mnie rozumie, panie Crockett?

— Tak — skinął głową Larry. — Jestem przyzwyczajony do zachowywania dyskrecji.

Na twarzy Strakera ponownie pojawił się blady uśmiech.

— Oczywiście. Właśnie dlatego do pana przyszedłem.

— Jaki jest trzeci warunek?

— Dom będzie wymagał pewnego remontu.

— Bardzo oględnie pan to ujął — zauważył Larry.

— Mój wspólnik zamierza zająć się tym sam, ale będzie mu potrzebna pańska pomoc. Od czasu do czasu otrzyma pan pewne zlecenia, dotyczące między innymi przewiezienia różnych rzeczy do domu lub sklepu. Nikomu nie piśnie pan o tym ani słówka.

— Tak, rozumiem. Niech mi pan powie: chyba nie pochodzi pan z tych stron? Straker uniósł brwi.

— Czy to ma jakieś znaczenie?

— Oczywiście, że ma. To nie Boston ani Nowy Jork. Nie wystarczy, że ja będę trzymał gębę na kłódkę. Ludzie zaczną gadać. Choćby ta stara raszpla z Railroad Street, Mabel Werts: przesiaduje cały dzień przy oknie z lornetką w dłoniach i...

— Ani mnie, ani mojego wspólnika nie obchodzi ludzie z miasteczka. Oni zawsze lubią plotkować. Pod tym względem niczym się nie różnią srok siedzących na drutach telefonicznych. Wkrótce nas zaakceptują.

Crockett wzruszył ramionami.

— To już pańska sprawa.

— Zgadza się — skinął głową Straker. — Będzie pan płacił za wszystkie usługi i zatrzymywał rachunki dla siebie. Oczywiście, wydatki zostaną zwrócone. Zgadza się pan?

Larry powiedział Strakerowi prawdę: istotnie przywykł do zachowywania w interesach ścisłej dyskrecji, a w dodatku cieszył się opinią jednego z najlepszych pokerzystów w okręgu Cumberland. Teraz jednak, choć udało mu się zachować pozory chłodnej rzeczowości, trawiła go gorączka. Układ, który proponował mu ten wariat, należał do rzeczy jakie zdarzają się raz w życiu, ale nie częściej. Może jego szef był jednym z tych zwariowanych milionerów, którzy...

— Czekam na pańską odpowiedź, panie Crockett.

— Zgoda, ale pod dwoma warunkami.

— Tak? — zapytał z uprzejmym zainteresowaniem Straker.

— Po pierwsze, te dokumenty zostaną dokładnie sprawdzone.

— Oczywiście.

— Po drugie, jeżeli zamierzacie robić tu coś nielegalnego, nie chcę o tym nic wiedzieć. Szczególnie, jeśli...

Straker odchylił głowę do tyłu i wybuchnął głośnym, pozbawionym nawet odrobiny wesołości śmiechem.

— Powiedziałem coś zabawnego?

— Ależ skąd, panie Crockett. Proszę mi wybaczyć. Pańska uwaga rozbawiła mnie z powodów, które z pewnością nie będą dla pana zrozumiałe. Zdaje się, że

chciał pan jeszcze coś dodać?

— Chodzi o ten remont. Nie załatwię panu niczego, co by mogło narazić mnie na choćby najmniejsze kłopoty. Jeżeli chce pan tam pędzić bimber, produkować LSD, handlować materiałami wybuchowymi albo założyć jakąś tajną sektę, to jest to wyłącznie pańska sprawa.

— Zgoda.- Uśmiech zniknął z twarzy Strakera. — W takim razie mogę chyba rozumieć, że umowa stoi?

— Jeżeli dokumenty okażą się autentyczne, to wszystko wskazuje na to, że tak — odparł Larry z ociąganiem niezrozumiałym nawet dla niego. — Choć wygląda na to, że pan załatwia jakieś swoje interesy, a ja zgarniam całe pieniądze.

— Dzisiaj jest poniedziałek. Czy mogę pana odwiedzić w czwartek po południu?

— Powiedzmy w piątek.

— Znakomicie. — Straker wstał z fotela. — Do zobaczenia, panie Crockett.

Dokumenty były prawdziwe. Prawnik potwierdził, że tereny, na których miało powstać nowe centrum handlowe Portland, zostały zakupione przez firmę składającą się wyłącznie z nazwy i dwóch pustych, zakurzonych pokoi w Chemical Bank Building w Nowym Jorku.

Straker zjawił się w piątek i Larry podpisał wszystkie niezbędne papiery, ale czyniąc to odczuwał w dalszym ciągu poważne wątpliwości. Po raz pierwszy postąpił wbrew jedynej maksymie, jakiej starał się przestrzegać w życiu: nie sraj tam, gdzie jesz. Profity zapowiadały się nadzwyczaj wysokie, lecz w chwili, gdy Straker schował dokumenty do aktówki, Larry zdał sobie nagle z całą mocą sprawę, że od tej chwili jest praktycznie rzecz biorąc zdany na łaskę i niełaskę

tego faceta, a także jego nieobecnego współnika, niejakiego Barlowa.

Minął sierpień, następnie lato ustąpiło miejsca jesieni, a ta z kolei zimie i Larry zaczął stopniowo odczuwać coraz większą ulgę. Na wiosnę zdołał już niemal zapomnieć o transakcji, w wyniku której nabył dokumenty spoczywające teraz bezpiecznie w jego sejfie w banku.

A potem zaczęły się dziać różne rzeczy.

Najpierw, półtora tygodnia temu, pojawił się ten pisarz z pytaniem czy mógłby wynająć Dom Marstenów. Kiedy dowiedział się, że budynek został sprzedany, obrzucił Larry'ego dziwnym spojrzeniem.

Wczoraj w porannej poczcie znalazła się długa tuba i krótki list od Strakera: „Uprzejmie proszę, by zechciał pan powiesić otrzymany plakat w oknie sklepu. R. T. Straker”. Sam plakat niczym specjalnym się nie wyróżniał, jeśli nie brać pod uwagę jego nadzwyczajnej lakoniczności

„Otwieramy za tydzień, Barlow & Straker. Piękne meble, atrakcyjne antyki, duży wybór”

A teraz przed Domem Marstenów stał jakiś samochód. Wciąż jeszcze patrzył w tamtym kierunku, kiedy tuż przy nim odezwał się czyjś głos

— Zasnąłeś, Larry?

Podskoczył nerwowo i obejrzwawszy się przez ramię ujrzał Parkinsa Gillespie zapalającego papierosa.

— Nie — odparł i roześmiał się niepewnie. — Tak tylko, trochę myślałem.

Parkins spojrział w górę na Dom Marstenów i lśniący w promieniach słońca samochód, a potem na budynek pralni z afiszem w oknie.

— Zdaje się, że nie ty jeden. Zawsze dobrze mieć nowych ludzi w mieście. Podobno ich poznałeś?

— Jednego. W ubiegłym roku.

— Barlowa czy Strakera?

— Strakera.

— Wygląda na przyjemnego faceta, nie?

— Trudno powiedzieć — odparł Larry. Chciał zwilżyć usta językiem ale przekonał się, że nie ma ani odrobiny śliny. — Rozmawialiśmy tylko o interesach. Wydawał się w porządku.

— To dobrze. Chodź, odprowadzę cię kawałek.

Kiedy przechodzili na drugą stronę ulicy, Lawrence Crockett myślał o paktach z diabłem.

12

13.00,

Susan Norton weszła do Salonu Piękności Babs, uśmiechnęła się do Babs Griffen (najstarszej siostry Hala i Jacka) i powiedziała:

— Dzięki, że zgodziłaś się przyjąć mnie prawie od razu.

— W środku tygodnia to żaden problem — odparła Babs, włączając wentylator.

— Rety, ale pogoda. Założę się, że po południu będzie burza. Susan spojrzała na nieskazitelnie błękitne niebo.

— Naprawdę tak myślisz?

.- Oczywiście. Jak mają wyglądać, kochanie?

— Naturalnie — powiedziała Susan, myśląc o Benie. — Jakby mnie tutaj nigdy nie było.

— Tak mówią prawie wszystkie — westchnęła ciężko Babs. Wraz z westchnieniem do Susan doleciał delikatny zapach owocowej gumy do żucia. Babs zapytała, czy Susan wie, że jacyś ludzie otwierają w starej pralni sklep z zabytkowymi meblami. Wygląda na to, że będzie tam dosyć drogo, ale właściwie to i tak powinna kupić nową lampę do mieszkania, a w ogóle to przeprowadzka z domu do miasta była najmądrzejszą rzeczą, jaką zrobiła w życiu, tyle tylko, że lato już chyba zbliżało się do końca, a szkoda, bo było wspaniałe, nieprawdaż?

13

15.00.

Bonnie Sawyer leżała w dużym, podwójnym łóżku w swoim domu przy Deep Cut Road. Był to prawdziwy, solidny dom na fundamentach i z piwnicą, a nie jakaś nędzna przyczepa. Jej mąż, Reg, całkiem nieźle zarabiał jako mechanik w stacji Pontiac w Buxton.

Była zupełnie naga, jeśli nie liczyć przezroczystych, błękitnych majteczek, i co chwilę zerknęła niecierpliwie na stojący przy łóżku zegar. 15.02. Gdzie on jest, do diabła?

Jakby za sprawą jej myśli drzwi do sypialni uchyliły się lekko i do środka zajrzał Corey Bryant.

— W porządku? — zapytał szeptem. Miał zaledwie dwadzieścia dwa lata, od dwóch pracował w firmie telefonicznej, a związek z zamężną kobietą — szczególnie taką jak Bonnie Sawyer, która w roku 1973 była Miss okręgu Cumberland — sprawiał, że czuł się jednocześnie onieśmielony, słaby i nadzwyczaj dziarski.

Bonnie uśmiechnęła się do niego, pokazując swoje równiutkie zęby.

— Gdyby coś było nie w porządku, kochanie — odparła — miałbyś już w brzuchu taką dziurę, że można by przez nią oglądać telewizję.

Wślizgnął się na palcach do sypialni. Szeroki, służący do wchodzenia na słupy pas dyndał zabawnie wokół jego bioder.

Bonnie zachichotała i wyciągnęła ramiona. Lubię cię, Corey. Jesteś taki fajny.

Wzrok Coreya spoczął na czarnym trójkącie, doskonale widocznym pod błękitnym, przezroczystym materiałem i chłopak poczuł, jak staje się coraz bardziej dziarski, a mniej nerwowy. Zapomniawszy o wszelkich środkach ostrożności ruszył ku niej zdecydowanym krokiem a kiedy leżeli już razem w łóżku, za oknem zaczęła głośno ćwierka cykada.

14

16.00.

Ben Mears wstał zza biurka, skończywszy popołudniowy seans pisania. Świadomie zrezygnował ze spaceru po parku, żeby pracować bez przerw cały dzień i potem z czystym sumieniem pójść na kolację do Nortonów. Przeciągnął się, słysząc, jak trzeszczy jego kręgosłup, a następnie wyjął z szafy świeży ręcznik, żeby wziąć prysznic, zanim pozostali mieszkańcy pensjonatu wrócą z pracy i na dobre zablokują łazienkę.

Przewiesiwszy ręcznik przez ramię podszedł do okna, dostrzegł bowiem przez nie coś, co zwróciło jego uwagę. Nie było to nic w mieście, oddającym się popołudniowej drzemce pod niebem tego szczególnego ciemnobłękitnego koloru, charakterystycznego dla późnego lata w Nowej Anglii.

Jego spojrzenie powędrowało nad płaskimi, krytymi papą dachami jednopiętrowych domów przy Joints Avenue, ponad parkiem, wypełnionym dzieciarnią przybyłą już do domów ze szkoły i nad północno-wschodnią częścią miasteczka, gdzie Brock Street niknęła za wypukłością pierwszego porośniętego lasem wzgórza, a potem w górę do skrzyżowania Burns Road i Brooks Road i jeszcze wyżej, aż do górującego nad miastem Domu Marstenów.

Z tej odległości wydawał się nie większy od domku dla lalek. I tak było lepiej. Teraz bez trudu mógł sobie z nim poradzić — wystarczyło wyciągnąć rękę i zakryć go dłonią.

Na podjeździe stał jakiś samochód.

Ben stał bez ruchu przy oknie czując, jak w jego żołądku z każdą chwilą coraz bardziej pęcznieje kłęb strachu, którego nawet nie starał się pojąć. Uzupełniono dwie brakujące okiennice, przez co dom upodobił się do ślepca wpatrującego się przed siebie niewidzącymi oczami.

Usta Bena poruszyły się, wypowiadając bezgłośnie słowa, których nikt, nawet on sam, nie potrafił zrozumieć.

15

17.00.

Matthew Burke wyszedł ze szkoły, trzymając w lewej ręce teczkę, i skierował się na ukos przez parking do swego starego chevroleta biscayne, mającego wciąż jeszcze założone szerokie błotno-śniegowe opony.

Matt liczył sobie sześćdziesiąt trzy lata i choć już tylko dwa dzieliły go od obowiązkowego przejścia na emeryturę, wciąż jeszcze prowadził w pełnym wymiarze godzin lekcje angielskiego, a także zajęcia dodatkowe. Tej jesieni najważniejszym z nich było szkolne przedstawienie, trzyaktowa farsa zatytułowana *Kłopoty Charleya*. Właśnie zakończyły się wstępne przesłuchania potencjalnych aktorów, ujawniając jak zwykle masę kompletnych antytalentów, jakichś dziesięciu osobników, którzy przynajmniej byli w stanie zapamiętać tekst, a następnie wydukać go monotonnym, drżącym głosem, oraz troje z prawdziwą iskrą bożą. W piątek rozdzieli między nich role, a w następnym tygodniu rozpocznie próby, które potrwają do 30 października, na kiedy wyznaczono termin przedstawienia. Matt ukuł własną teorię, że każde szkolne przedstawienie powinno być takie samo jak zupa w szkolnej stołówce — pozbawione jakiegoś sprecyzowanego smaku, ale zdadne do przełknięcia. Rodziny i tak będą zachwycone, a krytyk z *Ledgera* zamieści sążnistą recenzję pełną wielosylabowych, pochlebnych określeń, co zresztą jest jego obowiązkiem, bo właśnie za to dostaje pieniądze. Podczas popremierowego przyjęcia odtwórczym głównej roli kobiecej (w tym roku będzie nią najprawdopodobniej Ruthie Crockett) zakocha się w jednym z amantów i niechybnie wkrótce

potem straci dziewictwo, on zaś, Matthew Burke, wreszcie zyska trochę spokoju i będzie mógł poświęcić więcej czasu na pracę z kółkiem dyskusyjnym.

Pomimo swego wieku Matt nadal bardzo lubił uczyć. Nie traktował zbyt rygorystycznie dyscypliny, przez co zaprzepaścił wszystkie szansę, jakie miał na podjęcie pracy w administracji (był zbyt rozkojarzony, żeby pełnić choćby funkcję zastępcy dyrektora), ale ta cecha jego charakteru nigdy mu specjalnie nie przeszkadzała. Czytał sonety Szekspira w klasach, w których było aż ciemno od latających w powietrzu papierowych samolotów i gum do żucia, siadał na podrzuconych na jego krzesło krabach i wyrzucał je obojętnie do kąta, polecając uczniom, żeby otworzyli podręczniki na stronie 467, oraz wiele razy wysuwał szufladę swego biurka tylko po to, żeby znaleźć tam świerszcze, żaby, a raz nawet czarnego węża liczącego sobie siedem stóp długości.

Miotał się wszerek i wzdłuż języka angielskiego niczym samotny, pogrążony w błogim samozadowoleniu Latający Holender. Steinbeck, przerwa, Chaucer, przerwa, zdanie główne, a tuż przed obiadem jeszcze funkcja rzeczownika odsłownego. Jego palce były żółte od kredy, nie od nikotyny, ale to również świadczyło o tym, że padł ofiarą nałogi trudnego do wyleczenia.

Dzieci nie podziwiała go ani nie kochały, bo nie był geniuszem kryjącym się w wiejskim zakątku Ameryki i czekającym na chwilę, kiedy go odkryją, lecz wielu spośród jego uczniów zaczęło go z biegiem czasu darzyć dużym szacunkiem, najbystrzejsi zaś zrozumieli dzięki niemu, że nawet z pozoru najdziwaczniejsza, najskromniejsza pasja jest czymś bardzo, ale to bardzo cennym. Lubiał swoją pracę.

Teraz wsiadł do samochodu i uruchamiając silnik, nacisnął za mocno pedał gazu, w wyniku czego zalał świece. Odczekawszy chwilę ponowił próbę, tym razem z sukcesem, po czym nastawił radio na stację nadająca non stop rock and rolla i rozkręcił na cały regulator. Według niego rock and roll to była wspaniała muzyka. Wycofał samochód, tym razem dodając za mało gazu, w związku z czym silnik zgasł, więc musiał uruchomić go po raz trzeci.

Mieszkał w małym domku przy Taggart Stream Road. Miał niewielu przyjaciół, a że nigdy się nie ożenił, nie posiadał także rodziny, jeśli nie liczyć pracującego w jakiejś firmie naftowej brata, który mieszkał w Teksasie i nie odpisywał na listy. Był samotnym człowiekiem, lecz samotność nie wycisnęła na nim żadnego piętna.

Przyhamował przed żółtym migającym światłem na skrzyżowaniu Jointer Avenue z Brock Street i skręcił w kierunku domu. Cienie z każdą chwilą stawały się coraz dłuższe, a ciepły, słoneczny dzień rozbłyskiwał złotymi barwami jakby przeniesionymi z jakiegoś impresjonistycznego obrazu. Zerknął w lewo, w kierunku Domu Marstenów, po czym natychmiast wrócił tam spojrzeniem.

— Okiennice — powiedział na głos do pustego, wypełnionego jazgotem muzyki wnętrza samochodu. — Założyli nowe okiennice. We wstecznym lusterku

dostrzegł, że przed domem stoi zaparkowany samochód. Pracował w Salem od 1952 roku i nigdy wcześniej nie zauważył niczego takiego.

— Czyżby ktoś tam zamieszkał? — mruknął w pustkę i nacisnął energiczniej pedał gazu.

16

18.00.

Bili Norton, ojciec Susan i urzędujący przewodniczący walnego zebrania mieszkańców Salem, stwierdził ze zdziwieniem, że bardzo polubił Bena Mearsa. Bili był potężnym, ciemnowłosym mężczyzną, zbudowanym jak duża ciężarówka, ale zupełnie nie otyłym, mimo przekroczonej wyraźnie pięćdziesiątki. Będąc w jedenastej klasie, za zgodą rodziców wstąpił do marynarki, gdzie mozolnie piał się w górę szczebel po szczeblu, niemal w ostatniej chwili zdając egzaminy końcowe w czymś stanowiącym odpowiednik szkoły średniej. Miał wtedy dwadzieścia cztery lata. Nie był zaślepionym, gburowatym antyintelektualistą, w jakich zamienia się wielu prostych ludzi, którzy z takich lub innych przyczyn nie mogą albo nie chcą uzyskać solidniejszego wykształcenia, ale nie miał również cierpliwości do „pięknoduchów”, jak określał długowłosych chłopców o cielejącym spojrzeniu, których Susan czasem przyprowadzała ze szkoły. Nie miał nic przeciwko ich włosom czy strojom; niepokoiło go przede wszystkim to, że żaden z nich nie wydawał się zdolny do konkretnego, opierającego się na realiach myślenia. Nie podzielał sympatii, jaką jego żona żywiła wobec Floyda Tibbitsa, z którym Susie chodziła niemal od ukończenia szkoły, lecz na pewno nie można było powiedzieć, żeby go nie lubił. Floyd miał niezłą, samodzielną posadę w Falmouth i Bili uważał go za w miarę rozsądnego chłopaka. Poza tym pochodził z Salem, ale to samo można było powiedzieć o tym Mearsie — w pewnym sensie, rzecz jasna.

— Tylko nie zaczynaj mu od razu wyklądać swojej teorii o „pięknoduchach” — powiedziała Susan, podrywając się na dźwięk dzwonka. Miała na sobie jasnozieloną, letnią sukienkę, a jej przystrzyżone i ułożone u fryzjera włosy były zgarnięte do tyłu i związane dużą, zieloną wstążką.

Bili roześmiał się.

— Mówię o nich to, co myślę, kochanie. Nie bój się, postaram się nie zrobić ci wstydu. Zresztą, chyba mi się to raczej nie zdarza, co?

Posłała mu niepewny, nerwowy uśmiech i poszła otworzyć drzwi.

Wprowadziła szczupłego mężczyznę o delikatnej twarzy i ze strzechą kruczoczarnych włosów, bez wątpienia świeżo umytych, choć mających tendencję do przetłuszczania. Sposób, w jaki był ubrany, wywarł na Billu jak najlepsze wrażenie: nowe, czyste dzinsy i biała koszula o podwiniętych do łokci rękawach.

— Ben, to moi rodzice, Bili i Ann Norton. Mamo, tato, to jest Ben Mears.

— Dobry wieczór. Miło mi państwa poznać.

Uśmiechnął się z rezerwą do pani Norton, a ona odpowiedziała:

— Dobry wieczór, panie Mears. Po raz pierwszy mamy okazję zobaczyć z bliska prawdziwego pisarza. Susan jest tym o k r o p n i e podekscytowana.

— Proszę się nie obawiać, nie cytuję w kółko swoich książek. — uśmiechnął się ponownie.

— Witam — powiedział Bill podnosząc się z fotela. Od wielu lat pracował w stoczni w Portland, ostatnio pełniąc tam nawet funkcji przewodniczącego związku zawodowego, więc uścisk jego ręki nie należą do najdelikatniejszych, lecz ku swemu zdziwieniu stwierdził, że dłoń Mearsa nie jest miękka i flakowata, jak u większości „pięknoduchów”. Postanowił bezzwłocznie przejść do drugiej części sprawdzianu. ,

— Napije się pan piwa? Mam kilka puszek w pojemniku z lodem- zaproponował, wskazując zapraszającym gestem niewielkie, przez niego własnoręcznie wybudowane patio. Wszystkie pięknoduchy nieodmiennie natychmiast zaczynały się wymawiać. Każdy z nich ćpał, ile wlezie, ale nie potrafił docenić zalet wymienitego trunku.

— Z przyjemnością. — Uśmiech na twarzy Bena wyraźnie rozszerzył. — Wypiję. Nawet dwa lub trzy.

Śmiech Billa zahuczał we wnętrzu domu.

— W takim razie równy gość z pana. Chodźmy.

W wyrazie twarzy dwóch kobiet zaszła wyraźna zmiana. Czoło Ann Norton zmarszczyło się, podczas gdy Susan wygładziło, zupełnie jaka niepokój i rozdrażnienie przeszły z jednej na drugą za pomocą jakiegoś nowego telepatycznego sposobu.

Ben podążył za Billem na werandę. W rogu na niskim stoliku stało metalowe wiadro z lodem, wypełnione po brzegi puszkami Pabsta. Bill wyjął jedną i rzucił Benowi, który złapał ją delikatnie, żeby zbytnio wstrząsnąć.

— Bardzo tu miło — powiedział, spoglądając na wzniesiony z równych, czerwonych cegieł murek, porośnięty zielonymi pnączami. Nad jego rozgrzaną powierzchnią leciutko drżało powietrze.

— Sam go zbudowałem — poinformował gościa Bili — więc musi być w porządku.

Ben pociągnął spory łyk piwa i beknął, zyskując kolejny plus.

— Susie bardzo pana polubiła.

— To miła dziewczyna.

— Miła i rozsądna — dodał Norton z zamyśleniem i również beknął. — Mówi, że napisał pan trzy książki i że je panu wydali.

— Zgadza się.

— Dobrze poszły?

— Pierwsza tak — odparł Ben i umilkł. Bili Norton skinął lekko głową, wyrażając tym samym aprobatę dla mężczyzny, który ma dosyć oleju w głowie, żeby nie rozpowiadać wszem i wobec o swoich dochodach.

— Pomoże pan przy żarciu?

— Jasne.

— Będzie pan nacinał parówki. Potrafi pan?

— Tak. — Wykonał w powietrzu poprzeczny ruch wskazującym palcem. Ponacinane parówki podgrzewały się bardziej równomiernie i nie przypiekały się tak łatwo.

— Racja, przecież pan też z tych stron — przypomniał sobie Bill Norton. — Niech pan weźmie te bułki, a ja przyniosę parówki. Tylko proszę nie zapomnieć piwa.

— Nie ma obawy.

Zanim weszli do domu. Bill zawahał się przez chwilę i spojrzał na Bena unosząc jedną brew.

— Czy jest pan rozsądnym facetem? — zapytał.

Ben uśmiechnął się z odrobiną melancholii.

— Raczej tak.

— To dobrze. — Bill skinął głową i wszedł do środka. Przeczucie Babs Griffen, że będzie padał deszcz, okazało się całkowicie mylne, dzięki czemu kolacja na świeżym powietrzu była bardzo udana. Zerwał się lekki wiatr, rozciągając nad żywo płótem delikatną zasłonę dymu z orzechowego drewna, co rozwiązało problem komarów. Panie sprzątnęły papierowe talerze i resztki jedzenia, po czym wróciły na patio, aby napić się piwa i pośmiać z tego, jak Bill, wprawny gracz, wykorzystując nagłe, zdradliwe podmuchy wiatru, pokonał Bena w meczu badmintona 21:6. Ben z żalem odmówił rewanżu, wskazując na zegarek.

— Przykro mi, ale siedzę nad książką i dzisiaj muszę jeszcze napisać co najmniej sześć stron. Jeśli się upiję, jutro rano nie będę nawet w stanie przeczytać tego, co nasmaruję.

Przyszedł na piechotę, więc Susan odprowadziła go do furtki. Bill pokiwał głową i zajął się gaszeniem ognia. Ben powiedział, że jest rozsądnym facetem i on, ojciec Susan, gotów był mu uwierzyć. Trzeba przyznać, że ktoś, kto pracuje nawet po kolacji, ma spore szansę zostać Kimś, i to nawet z dużej litery.

Mimo to Ann Norton do końca wieczoru zachowała rezerwę.

17

19.00.

Floyd Tibbits wjechał na zwirowy parking przed knajpą Della mniej więcej dziesięć minut po tym, jak Delbert Markey, właściciel i barman w jednej osobie,

włączył nowy różowy neon składający się z liter trzystopowej wysokości tworzących napis DELL'S, w którym apostrofem była szklaneczka whisky.

Miejsce jasnego, słonecznego blasku zajął fioletowy zmierzch. Wkrótce w zagłębieniach gruntu zaczną się tworzyć coraz gęściejsze kłaki mgły, a za jakąś godzinę w barze powinni się pojawić pierwsi bywalcy odwiedzający go co wieczór.

— Cześć, Floyd — powiedział Dell wyciągając z lodówki butelkę Micheloba.
— Jak minął dzień?

— Nie najgorzej — odparł Floyd. — Ale to piwo wygląda znacznie lepiej.

Był wysokim mężczyzną, nosił starannie przystrzyżoną jasną brodę. Miał na sobie szerokie spodnie i sportową marynarkę — strój, w którym zwykle stawiał się do pracy. Pełnił dość odpowiedzialną funkcję w dziale kredytów banku Granta i lubił swoje zajęcie w ten szczególnie sposób, który niemal z dnia na dzień może zamienić się w śmiertelną nudę. Miał poczucie, że coraz bardziej zbliża się do tej chwili, ale specjalnie się tym nie niepokoił. Była przecież Suze. Chyba już niedługo powinno z te wyjść coś konkretnego i wtedy zastanowi się poważnie, co ma ze sobą zrobić.

Położył na ladzie dolara, napełnił szklankę piwem, opróżnił ją skwapliwie i nalał ponownie. Jedyńm klientem oprócz niego był młody chłopak w kombinzonie firmy telefonicznej, zdaje się syn Bryantów. Siedział przy stoliku pociągając piwo i słuchając melodii nastrojowej romantycznej piosenki z szafy grającej.

— Co nowego w mieście? — zapytał Floyd, znając z góry odpowiedź na to pytanie: nic. Co najwyżej jakiś szczeniak przyszedł zawiany szkoły, ale z pewnością nic ponadto.

— Ktoś zabił psa twojego wuja.

Floyd znieruchomiał ze szklanką w pół drogi do ust.

— Co takiego? Doca?

— Zgadza się.

— Przejechali go samochodem?

— Raczej nie. Znalazł go Mikę Ryerson. Pojechał na Wzgórze Spokoju, żeby kosić trawę i znalazł Doca wiszącego na bramie cmentarza. Ktoś rozpruł psa od góry do dołu.

— Sukinsyn! — powiedział ze zdumieniem Floyd.

Dell skinął ponuro głową, zadowolony z wrażenia, jakie udało mu wyrzucić. Znał jeszcze jedną, najświeższą wiadomość — że widział dziewczynę Floyda w towarzystwie tego pisarza, który mieszkał w pensjonacie Evy. Ale o tym chłopak musi sam się dowiedzieć.

— Ryerson przywiózł psa Parkinsowi — podjął — a ten wpadł na pomysł, że może pies zdechł sam z siebie, a dzieciaki powiesiły go tylko dla hecy.

— Gillespie nie potrafi odróżnić własnej dupy od dziury w ziemi.

— Może i nie potrafi, ale powiem ci, co j a myślę. — Dell położył swoje grube ramiona na bufecie i nachylił się do Floyda. — Też uważam, że to jakieś

szczeniaki, ale założę się, że to coś poważniejszego niż zwykły kawał. Popatrz na to. — Sięgnął pod ladę i wyjął rozłożoną na jednej ze środkowych stron gazetę.

Floyd przysunął ją do siebie. Tytuł głosił: CZCICIELE SZATANA ZBEZCZEŚCILI KOŚCIÓŁ NA FLORYDZIE. Szybko przebiegł wzrokiem artykuł. Grupa wyrostków włamała się w nocy do katolickiego kościoła w Clewiston i odprawiła tam jakieś ohydne obrzędy. Ołtarz został zdewastowany, na ścianach i konfesjonalech powypisywano wulgarne słowa, a na podłodze w bocznej nawie znaleziono ślady krwi. Analiza laboratoryjna wykazała, że część krwi była pochodzenia zwierzęcego, lecz większość to z całą pewnością krew ludzka. Miejscowy szeryf przyznał, że na razie policja nie wpadła na żaden konkretny ślad.

Floyd odłożył gazetę.

— Czcciele szatana w Salem? Daj spokój, Dell. Tym razem chyba przesadziłeś.

— Mówię ci, gówniarzom zaczyna odbijać palma — powtórzył z uporem barman. — Tylko patrzeć, jak na pastwisku Griffena zaczną składać ofiary z ludzi. Chcesz się założyć?

— Nie, dziękuję — odparł Floyd schodząc ze stołka. — Chyba zajrzę do wujka Wina. Był bardzo przywiązany do tego kundla.

— Pozdrów go ode mnie — powiedział Dell, chowając gazetę, eksponat numer jeden na dalszą część wieczoru, pod kontuar. — Cholernie mi przykro, że to się stało.

Floyd przystanął w połowie drogi do drzwi i powiedział na głos, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa do samego siebie:

— Powiesili go na bramie, powiadasz? Boże, chciałbym ich dostać w swoje ręce!

— Mówię ci, to czcciele diabła! — zawołał za nim Dell. — Nie mam pojęcia, dlaczego ludziom przychodzą do głowy takie rzeczy.

Floyd wyszedł, a chłopak Bryantów wrzucił do szafy kolejną monetę i wewnątrz baru wypełnił głos Dicka Curlessa śpiewającego „Zakopcie tę butelkę wraz ze mną”.

18

— Nie wracajcie zbyt późno — powiedziała Marjorie Glick do swego starszego syna, Danny'ego. — Pamiętaj, że jutro idziecie do szkoły. Twój brat musi być w łóżku najpóźniej piętnaście po dziewiątej.

Danny przestąpił z nogi na nogę.

— A czy ja muszę koniecznie brać go ze sobą?

— Oczywiście, że nie musisz — odparła Marjorie z podejrzaną serdecznością. — Możesz przecież zostać w domu.

Odwróciła się do stołu, na którym oporządzała rybę i Ralphie wywalił język. Danny pogroził mu pięścią, lecz jego młodszy brat tylko się uśmiechnął.

— W porządku — mruknął Danny i ruszył do drzwi, a Ralphie za nim.

— Pamiętaj, o dziewiątej.

— Dobrze, dobrze

Tony Glick siedział w salonie przed telewizorem z nogami opartymi wygodnie na fotelu i oglądał mecz Red Sox z Yankees.

— Dokąd idziecie, chłopcy?

— Do tego nowego chłopaka, Marka Petrie'ego — odpowiedział Danny

— Tak — potwierdził Ralphie. — Chcemy obejrzyć jego... elektryczną kolejkę.

Danny rzucił bratu piorunujące spojrzenie, ale ojciec nie zwrócił uwagi ani na chwilowe wahanie, ani na szczególny ton, z jakim Ralphie wypowiedział ostatnie słowa. Do pola rzutów właśnie zbliżał się Doug Griffen.

— Tylko nie wracajcie zbyt późno — upomniął ich odruchowo.

Choć słońce już zaszło, niebo wciąż jeszcze jaśniało przytłumiona fioletem.

— Powiniennem cię porządnie stłuc, smarkaczu — powiedział Danny kiedy szli przez rozciągający się za domem trawnik.

— Tylko spróbuj, a wszystko powiem — odparł z bezczelnym uśmiechem Ralphie. — Powiem, dlaczego n a p r a w d ę chciałeś tam iść.

— Ty gówniarzu — wycedził bezsilnie Danny.

Przy końcu trawnika zaczynała się wydeptana ścieżka, prowadząc dół zbocza i dalej, do lasu. Dom Glicków stał przy Brock Street natomiast Mark Petrie mieszkał przy południowej Joints Avenue. Jeżeli miało się dwanaście lub dziewięć lat i chciało się oszczędzić trochę czasu przeskakując po kamieniach na drugą stronę strumienia, to ścieżka stanowiła wręcz wymarzony skrót. Pod stopami chłopców trzeszczały gałązki i igły, wokół nich zaś cykały głośno świerszcze i słychać było zawodzenie lelka.

Danny popełnił poważny błąd, mówiąc swemu młodszemu bratu o tym, że Mark Petrie ma całą kolekcję plastikowych potworów -wilkołaka, mumię, Draculę, Frankensteina, szalonego doktora, a nawet całą Komnatę Grozy. Matka była święcie przekonana, że tego rodzaju rzeczy są bardzo szkodliwe i niewskazane, i Ralphie błyskawicznie przekształcił się w małego szantażystę. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że był jeszcze strasznym szczylem.

— Jesteś szczyl, wiesz?

— Wiem — potwierdził z dumą Ralphie. — A co to znaczy?

— To znaczy, że się sika w majtki i w ogóle jest się do niczego.

— Odczep się — powiedział Ralphie. Szli wzdłuż szemrzącego leniwie potoku, który po następnych dwóch milach wpadał do strumienia Taggart, a następnie wraz z nim do Royal River.

Danny pierwszy ruszył na drugą stronę, przeskakując z kamienia na kamień i wyteżając wzrok, by w gęstniejącym mroku dobrze odmierzyć kolejne susy.

— Zaraz cię popchnę i wpadniesz do wody!— zawołał wesoło Ralphie.- Popchnę cię i wpadniesz do wody!

— Tylko spróbuj, a wrzucę cię w lotne piaski, pijawo — odparł Danny.

Dotarli do drugiego brzegu.

— Tu nie ma żadnych lotnych piasków — powiedział Ralphie wydymając pogardliwie wargi, ale na wszelki wypadek przysunął się bliżej do brata.

— Tak myślisz? — zapytał groźnym tonem Danny. — Kilka lat temu zginęło w nich dziecko. Słyszałem, jak rozmawiali o tym w sklepie.

— Naprawdę? — Oczy Ralphie’ego zrobiły się okrągłe niczym spodki.

— Naprawdę. To był chłopiec. Krzyczał i wrzeszczał, aż piasek doszedł mu do ust i wtedy zrobił tylko aaaagghhhh i już było po nim.

— Ojej -wyszeptał Ralphie. Z każdą chwilą robiło się coraz ciemniej i w lesie zaroilo się od tajemniczych, ruchliwych cieni. — Lepiej stąd chodźmy.

Zaczęli wspinać się na stromy brzeg, ślizgając się po leżących na ziemi igłach. Chłopiec, o którym słyszał Danny, miał dziesięć lat i nazywał się Jerry Kingfeld. Możliwe, że zginął w lotnych piaskach, wołając na próżno o pomoc, ale nawet jeśli tak było, to nikt tego nie widział ani nie słyszał. Wiadomo było tylko tyle, że przed sześcioma laty wyszedł na ryby i zaginął bez śladu na moczarach. Niektórzy podejrzewali lotne piaski, a inni gotowi byli przysiąc, że zabił go jakiś zbrojeniec.

— Podobno w tym lesie straszy jego duch — powiedział z powagą Danny, nie uznając za stosowne poinformować swego brata, że od moczarów dzielą ich ponad cztery mile.

— Przestań, Danny — poprosił niepewnym głosem Ralphie. Nie po ciemku. . .

Las szeptał coś tajemniczo. W chwili, gdy umilkł lelek, gdzieś za ich plecami trzasnęła złamana gałąź. Ostatni poblask dnia zniknął z mroczniejącego nieba.

— Co jakiś czas, kiedy jakiś szczyłowaty dzieciak idzie po ciemku przez las, duch chłopca o nabrzmiałej, pokrytej piaskiem twarzy nadlatuje na czarnych skrzydłach nietoperza i. . .

— Danny, proszę!

W głosie chłopczyka pojawiła się nuta autentycznego przerażenia więc Danny umilkł. Szczerze mówiąc, sam również miał duszę na ramieniu. Otaczały ich czarne, chropawe drzewa, chwiejące się lekko w powiewach wiatru i skrzypiące delikatnie w takt swoich poruszeń. Trzasnęła kolejna gałąź, tym razem z lewej strony.

Danny nagle zaczął żałować, że nie poszli szosą.

Jeszcze jeden suchy trzask.

— Boję się, Danny — wyszeptał Ralphie.

— Nie bądź głupi — odparł również szeptem jego brat. — Chodź. Ponownie ruszyli w drogę. Pod ich stopami szeleściły suche igły i Danny powtarzał sobie,

że nic poza tym nie słyszy, żadnych trzasków, tylko ten szelest. Krew huczała mu w skroniach. Jego dłonie były lodowato zimne. Licz kroki, pomyślał. Jeszcze dwieście kroków i będziemy na Jointer Avenue. W drodze powrotnej pójdziemy szosą, żeby smarkacz się nie bał. Najdalej za minutę zobaczymy światła i będzie nam głupio, że się baliśmy, ale to dobrze czuć się głupio z tego powodu, więc licz kroki... Jeden... dwa... trzy...

— Widzę go! — wrzasnął przeraźliwie Ralphie. — Duch! Widzę ducha!

Danny poczuł, jak przerażenie chwyta go za serce zimnymi, stalowymi szczękami. Miał wrażenie, że nogi pęta mu niewidzialny, ale nadzwyczaj mocny drut. Chciał odwrócić się i rzucić do ucieczki, lecz Ralphie przywarł do niego kurczowo.

— Gdzie? — zapytał Danny szeptem zapominając, że to on sam wymyślił tego ducha. — Gdzie go widzisz? — Rozglądał się dookoła, bojąc się tego, co mógłby zobaczyć, ale wszędzie była tylko ciemność.

— Uciekł, ale go widziałem... Oczy. Widziałem oczy. Och, Danny... — Ralphie z trudem wymawiał poszczególne słowa, szczękając przeraźliwie zębami.

— Nie ma żadnych duchów, baranie. Idziemy.

Danny wziął młodszego brata za rękę i ruszył przed siebie, choć czuł się tak, jakby jego nogi były zrobione z tysięcy niezbyt dokładnie ze sobą sklejonych gumek do ołówka. Ralphie przytulał się do niego z całej siły o mało nie spychając go ze ścieżki.

— Obserwuje nas — szepnął.

— Słuchaj no, nie mam zamiaru...

— Naprawdę, Danny. Nie czujesz tego?

Danny zatrzymał się. Nagle nabrał całkowitej, stuprocentowej pewności że nie są sami. W lesie zapanowała złowróżbna cisza. Kołysane wiatrem cienie uwijały się dookoła w szalonym tańcu.

W tym momencie Danny wyczuł zbliżające się niebezpieczeństwo.

Duchów nie ma, ale za to są zbrojeńcy. Jeżdżą czarnymi samochodami i proponują cukierka albo stoją na rogu ulicy... albo idą za tobą do lasu...

A potem...

— Biegnij — powiedział chrapliwie.

Ale Ralphie tylko drżał na całym ciele, chwycony w szpony paralizującego strachu. Wpatrywał się w ciemność szeroko otwartymi oczami, miażdżąc rękę brata w niemożliwym do rozluźnienia uścisku. Nagle jego oczy rozszerzyły się jeszcze bardziej.

— Danny...?

Gdzieś blisko trzasnęła gałąź.

Danny odwrócił się i skierował wzrok tam, gdzie wlepił spojrzenie Ralphie.

W tej samej chwili spłynęła na nich ciemność.

19

21.00.

Mabel Werts była potężną, otyłą kobietą. Miała już siedemdziesiąt cztery lata i nogi coraz częściej odmawiały jej posłuszeństwa. Stanowiła żywą skarbnicę historii miasteczka i plotek po nim krążących, jej pamięć zaś obejmowała ponad pięć dekad zgonów, przestępstw, narodzin i szaleństw. Tworząc i rozpowszechniając plotki, nie chciała nikomu sprawić przykrości, choć ci, którym jej opowieści w taki czy inny sposób zaszkodziły, z pewnością nie chcieliby w to uwierzyć. Mabel Werts po prostu żyła w mieście, miastem i dla miasta. W pewnym sensie ta tłuśta coraz rzadziej wychodząca z domu wdowa była miastem, spędzając większość czasu przy oknie, ubrana w jedwabną, przypominającą namiot suknię, z żółtawosiwymi włosami upiętymi w wysoki, suty kok, z telefonem w zasięgu prawej ręki i japońską lornetką w drugiej. Korzystanie z tych dwóch produktów cywilizacji upodabniało ją do pełnego dobrych intencji pająka siedzącego w samym środku gęstej informacyjnej sieci rozciągającej się od Zakrętu aż do wschodnich krańców Salem.

Z braku bardziej interesujących obiektów obserwowała właśnie Dom Marstonów, kiedy otworzyły się okiennice w oknie z lewej strony werandy, rozjaśniając mrok żółtym blaskiem z całą pewnością nie mającym nic wspólnego z elektrycznością. Zdołała dostrzec tylko ruch czegoś, co mogło być głową i ramionami odwróconego tyłem do okna mężczyzny. Z niewiadomych przyczyn poczuła, jak jej obfitym ciałem wstrząsnął dreszcz niepokoju.

Potem w domu nie było już żadnego ruchu.

Co to za ludzie, że nie można ich nawet sobie spokojnie pooglądać pomyślała.

Odłożyła lornetkę i ostrożnie podniosła słuchawkę telefonu. Dwa głosy — szybko zidentyfikowała je jako należące do Harriet Durham i Glynis Mayberry — rozmawiały o makabrycznym znalezisku, jakiego dokonał na cmentarzu młody Ryerson.

Słuchała z uwagą oddychając powoli przez usta, żeby nie zdradzić swojej obecności na linii.

20

23.59.

Dzień zatrzymał się z drzeniem na krawędzi swojego istnienia. Spowił ciemnością domy spały spokojnie. W centrum pałace się w sklepie z narzędziami. Do mu Pogrzebowym Foremana i Excellent Cafe światła rzucały na chodniki migotliwy blask. W niektórych domach także paliło się światło. George Boyer wrócił właśnie z drugiej zmiany, a Win Purinton siedział przy stole i grał w samotnika,

myśląc cały czas o swoim psie, którego śmierć poruszyła go znacznie bardziej niż śmierć żony. Jednak zdecydowana większość mieszkańców Jerusalemu spała snem sprawiedliwych i spracowanych ludzi.

Przy bramie cmentarza położonego na Wzgórzu Spokoju stała samotna, przygarbiona postać, czekając, aż nadejdzie jej czas. Kiedy to nastąpiło, odezwała się cichym, kulturalnym głosem:

— O mój ojcie, obdarz mnie teraz łaską. Władco Much, spójrz na mnie życzliwie. Przyniosłem ci zgniłe ciało i parszywe mięso. Złożyłem ofiarę na twoją cześć. Przynoszę ci to w mojej lewej dłoni. Uczyni dla mnie znak na tej ziemi, uświęcony twoim imieniem. Czekam na znak abym mógł zacząć wypełniać twoje dzieło.

Głos umilkł. Zerwał się łagodny wiatr, przynosząc ze sobą cichy szelest liści i traw i odór zgnilizny z wysypiska przy drodze.

Poza tym panowała cisza. Postać stała przez chwilę bez ruchu, czym wyprostowała się i wyciągnęła przed siebie ramiona, na których spoczywało nieruchome ciało małego chłopca.

— Oto, co ci przynoszę.

Nie było już nic oprócz ciszy.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Danny Glick i inni

1

Danny i Ralphie Glick otrzymali wyraźne polecenie, żeby wrócić od Marka Petrie'ego najpóźniej o dziewiątej, więc kiedy nie było ich jeszcze po dziesiątej, Marjorie Glick zadzwoniła do państwa Petrie. Pani Petrie powiedziała, że chłopców nie ma. W ogóle ich nie było. Może będzie lepiej, jeśli pani Glick poprosi do telefonu swojego męża, a ona odda słuchawkę Henry'emu. Pani Glick poprosiła męża, czując w żołądku pierwszy skurcz niepokoju.

Mężczyźni omówili dokładnie całą sprawę. Tak, chłopcy poszli ścieżką przez las. Nie, strumień jest o tej porze roku bardzo płytki, szczególnie po tak długim okresie bezdeszczowej pogody. Najwyżej do kolan. Henry zaproponował, że wyruszy ze swojego domu z silną latarką, a pan Glick zacznie szukać od swojej strony. Może chłopcy znaleźli lisią jamę albo palą gdzieś papierosy czy coś w tym rodzaju. Tony zgodził się na ten plan i przeprosił pana Petrie'ego za kłopot. Ale o żadnym kłopotcie nie może być nawet mowy. Tony odłożył słuchawkę i pocieszył zaniepokojoną żonę. Postanowił w duchu, że kiedy już chłopcy się znajdą, żaden z nich przez tydzień nie będzie mógł usiąść na tyłku.

Zanim jednak zdążył ruszyć w drogę, spomiędzy drzew wybiegł zataczając się Danny i osunął bezwładnie na ziemię koło żywopłotu. Był w szoku, mówił z trudem i od rzeczy. Za mankietami miał żdźbła trawy, a we włosach kilka jesiennych liści.

Po pewnym czasie zdołał opowiedzieć ojcu, że bez żadnych kłopotów przeszli z Ralphie'm ścieżką przez las i przedostali się po kamieniach na drugą stronę potoku. Właśnie wtedy Ralphie zaczął opowiadać o duchach Danny wolał nie przyznawać się do tego, że pomysł był jego autorstwa, w chwilę potem wydało mu się, że widzi wśród drzew jakąś twarz. Danny również zaczął się bać, bo choć nie wierzy w żadne duchy czy upiory był pewien, że usłyszał w ciemności jakiś niepokojący odgłos.

Co wtedy zrobili?

Zdaje się, że ruszyli dalej, trzymając się mocno za ręce, ale teraz nie jest już tego pewien. Ralphie bez przerwy bełkotał coś o duchu. Danny starał się uspoko-

ić go powtarzając, że lada chwila zobaczą światła Jointer Avenue. Pozostało im jeszcze najwyżej dwieście kroków, kiedy stało się coś strasznego.

Co?

Tego nie wie.

Krzyczeli na niego i czynili wymówki, ale on tylko kręcił powoli głową. Tak, wie o tym, że powinien pamiętać, ale nie pamięta. Naprawdę. Nie, nie przewrócił się, tylko... Nagle wszystko zrobiło się całkiem czarne, a potem był na ścieżce zupełnie sam. Ralphie zniknął.

Parkins Gillespie zdecydował, że nie ma sensu wysyłać w nocy ludzi do lasu. Zbyt wiele wykrotów i niewidocznych pułapek. Najprawdopodobniej chłopiec po prostu zabłądził. We czwórkę, wraz z Nollyrn Gardenerem, Tonym Glickiem i Henrym Petrie przeszli ścieżką przez las, a następnie jego skrajem wzdłuż południowej Jointer Avenue i Brock Street, nawołując przez przenośny, zasilany z baterii megafon.

Wczesnym rankiem rozpoczęła się akcja ratunkowa prowadzona nie tylko przez policję z Cumberland, ale i stanową. Nie przyniosła żadnych rezultatów, więc postanowiono objąć nią większy teren. Przeczesywanie lasu trwało cztery dni, podczas których państwo Glick wraz z biorącymi udział w akcji zajrzeli w każdy dół i wykrot, stanowiący pozostałość szalejącego przed wieloma laty pożaru, z niespożytą, rozpaczliwą nadzieją wołając co sił w płucach swego syna.

Kiedy i to nie dało żadnych wyników, sprawdzono dokładnie koryto potoku i rzeki. Bez powodzenia.

Rankiem piątego dnia, dokładnie o 4.00, przerażona i rozhisteryzowana Marjorie Glick obudziła swojego męża. Danny zemdlął w drodze do łazienki. Karetka zabrała go do szpitala, gdzie wstępnie stwierdzono że chłopiec jest w stanie szoku.

Pełniący dyżur lekarz nazwiskiem Gorby poprosił pana Glicka stronę.

— Czy pański syn chorował kiedykolwiek na astmę? Pan Glick zamrugał raptownie powiekami i potrząsnął głową. W ciągu ostatniego tygodnia postarzał się o dziesięć lat.

— A na reumatyzm?

— Danny? Nie, nigdy.

— Czy w ciągu ostatniego roku miał przeprowadzoną próbę tuberkulinową?

— Tuber...? Mój chłopiec ma gruźlicę?

— Panie Glick, my tylko staramy się ustalić...

— Margie! Margie, chodź tutaj!

Marjorie Glick wstała z krzesła i powoli szła korytarzem. Miała bladą twarz i nie uczesane włosy. Wyglądała tak, jakby cierpiała na poważną migrenę.

— Czy Danny miał w szkole robioną próbę na gruźlicę?

— Tak — odparła głucho. — Na początku roku. Żadnej reakcji.

— Kaszle w nocy? — kontynuował wywiad doktor Gorby.

— Nie.

— Skarży się na bóle w piersi lub stawach?
— Nie.
— Odczuwa ból przy oddawaniu moczu?
— Nie.
— Miewa jakieś krwotoki z nosa? Ciemny stolec albo nawet większą niż u innych ilość zadrapań i siniaków?
— Nie.
Gorby uśmiechnął się i skinął głową.
— Jeżeli można, chcielibyśmy przeprowadzić kilka badań.
— Jasne — odparł Tony.
— Ma bardzo spowolnione reakcje — wyjaśnił lekarz. -Zrobimy prześwietlenie, badanie szpiku, test na liczbę białych ciałek we krwi...
Oczy Marjorie rozszerzyły się raptownie.
— Czy Danny ma białaczkę? — wyszeptwała.
— Pani Glick, nie możemy...
Ale ona już zemdląca.

2

Ben Mears był jednym z ochotników biorących udział w poszukiwaniach Ralpie'ego Glicka, lecz jedynym rezultatem jego wysiłków były mankiety spodni pełne igieł i nawrót kataru siennego, spowodowany pyłkami leśnych roślin, kwitnących późnym latem.

Po trzecim dniu poszukiwań wszedł do kuchni w pensjonacie Miller, mając zamiar pochłonąć cały garnek ravioli, a potem uciąć sobie krótką drzemkę przed wieczorną turą pisania. Ku swemu zdziwieniu zastał tam Susan Norton, uwijającą się wokół kuchenki przygotowującą coś w rodzaju casserole. Mężczyźni siedzieli wokół stołu udając, że są pogrążeni w rozmowie, ale w rzeczywistości zajęci przede wszystkim wybałuszaniem na nią oczu. Miała na sobie luźną, związaną w pasie koszulę i krótkie szorty. Eva Miller prasowała w przylegającej do kuchni alkowie.

— A co ty tutaj robisz? — zapytał.

— Usiłuję uratować cię przed zagłodzeniem na śmierć. — Eva parsknęła głośnym śmiechem, a Ben poczuł, że pieką go uszy.

— Dobrze gotuje — odezwał się Weasel. — Wiem, bo się przyglądałem.

— Tak żeś się przyglądał, że ci o mało gały nie powypadały -zarechotał Grover Verrill.

Susan przykryła garnek i wstawiła go do piekarnika, po czym wyszli we dwójkę na tylną werandę. Płomienskie czerwone słońce chyliło się ku zachodowi.

— Znaleźliście coś?

— Nic. — Wyciągnął z kieszeni na piersi wymiętą paczkę papierosów i zapalił jednego.

— Pachniesz tak, jakbyś wylał na siebie w kąpielni całą butelkę płynu — powiedziała.

— Żeby to jeszcze cokolwiek dało. — Wyciągnął rękę, demonstrując bąble po ukąszeniach i świeże zadrapania. — Cholerne komary i krzaki.

— Jak myślisz, co się z nim stało?

— Jeden Bóg wie. — Zaciągnął się głęboko. — Może ktoś podkradł się od tyłu, dzielił w głowę starszego, złapał dzieciaka i uciekł?

— Sądzisz, że nie żyje?

Ben spojrział na nią, żeby sprawdzić, czy zależy jej na szczerzej odpowiedzi, czy na tym, żeby usłyszeć słowa pocieszenia. Wziął ją za rękę.

— Tak — powiedział krótko. — Myślę, że nie żyje. Na razie nie ma na to żadnego dowodu, ale tak mi się wydaje. Pokręciła powoli głowę.

— Mam nadzieję, że się mylisz. Moja mama i kilka innych kobiet poszły odwiedzić panią Glick. Podobno niemal odchodzi od zmysłów tak samo jak jej mąż. A ten drugi chłopiec snuje się niczym cień.

— Uhm — mruknął Ben. Wpatrywał się w Dom Marstenów właściwie nie słysząc, co do niego mówi. Wszystkie okiennice były zamknięte. Otworzą się dopiero później, o zmroku. Zawsze otwierały się dopiero zachodzie słońca. Poczł zimny, przejmujący dreszcz.

— ... wieczorem.

— Co proszę? — Drgnął i spojrział na dziewczynę.

— Powiedziałam, że tata chciałby, żebyś wpadł do nas jutro wieczorem. Co ty na to?

— A ty będziesz?

— Jasne — odpowiedziała i spojrzała na niego.

— W porządku, dobrze. — Miał ochotę patrzeć na nią bez końca była śliczna w świetle zachodzącego słońca — ale Dom Marsten przyciągał jego spojrzenie niczym magnes.

— Przyciąga cię, prawda? — zapytała, jakby czytając w jego myślach, co było wręcz niesamowite.

— Owszem.

— Ben, o czym będzie ta nowa książka?

— Jeszcze nie teraz — odparł. — Daj mi trochę czasu. Powiem ci natychmiast, jak tylko będę mógł. To... To musi samo dojrzeć.

Chciała powiedzieć „kocham cię” w tym właśnie momencie, tak naturalnie i po prostu, jak o tym pomyślała, ale w ostatniej chwili zacisnęła wargi. Powie mu to później, nie teraz, kiedy patrzy... kiedy patrzy t a m, w górę. Wstała.

— Zajrzę do piecyka.

Kiedy wchodziła do domu, Ben palił papierosa, nie odrywając spojrzenia od Domu Marstenów.

3

Dwudziestego drugiego rano Lawrence Crockett siedział w swoim biurze i udawał, że przegląda poniedziałkową korespondencję, w rzeczywistości nie spuszczać ani na moment oka z biustu swojej sekretarki. Jego myśli obracały się wokół tego, co udało mu się osiągnąć w Salem, wokół małego błyszczącego samochodu stojącego przed Domem Marstenów, a także paktów z diabłem.

Jeszcze przed skonsumowaniem układu ze Strakerem (to dobre słowo, pomyślał, wpatrując się w obcisłą bluzkę sekretarki) Lawrence Crockett był bez wątpienia najzamożniejszym człowiekiem w Salem i jednym z najbogatszych w całym okręgu Cumberland, choć nie wskazywał na to ani wygląd jego biura, ani jego samego. Biuro było stare, wiecznie zakurzone i oświetlone dwiema żółtymi lampami w kształcie kul upstrzonymi przez muchy. Równie stare biurko ugięło się pod ciężarem najróżniejszych papierów, długopisów i korespondencji; po jednej stronie stał słoik z klejem, po drugiej zaś szklany, sześcienny przycisk do papierów prezentujący na swych ściankach rodzinne zdjęcia. Na szczycie stosu rejestrów niebezpiecznie balansowało puste, okrągłe akwarium, wypełnione po brzegi pudełkami zapalek, a na nim widniał napis: „Tylko dla przyjaciół”. Poza za tym, oprócz trzech ognioodpornych stalowych szaf i biurka sekretarki w małej wnęce, pomieszczenie było puste.

Oczywiście, jeżeli nie liczyć zdjęć.

Wisiąły wszędzie — oprawione i nie, powieszzone, przybite lub przyklejone na każdym pustym miejscu. Część z nich była nowa, część stara, podkolorowana, inne jeszcze czarno-białe i pożółkłe ze starości, liczące na pewno co najmniej piętnaście lat. U dołu każdego z nich znajdował się stosowny napis: „Wspaniały, sześciopokojowy dom na wsi!” lub „Okazja! Zaledwie 32 tysiące dolarów za tę piękną posiadłość przy Taggart Stream Road!” albo „Uwaga! Dziesięciopokojowy, wiejski dom przy Burns Road”. Kojarzyło się to raczej z jakimś dorywczym niezbyt poważnym interesikiem, czym zresztą Biuro Pośrednictwa było aż do roku 1957, kiedy to Larry Crockett, uważany przez wszystkich szacownych mieszkańców Salem za kogoś niewiele lepszego od kompletnej niezdary doszedł do wniosku, że przyszłość ludzkości jest związana z przyczepami campingowymi. W tamtych czasach przyczepa campingowa kojarzyła się przeciętnemu obywatelowi z cacuszkowatym, srebrzystym bąblem, który doczepiało się do samochodu, jadąc wraz z całą rodziną na wycieczkę do parku Yellowstone. Nikt wówczas jeszcze nie przypuszczał, nie wyłączając samych producentów, że już niebawem te srebrzyste bąble zamienią się w domy na kółkach, toczące się posłusznie za

zderzakiem twojego chevroleta lub zamontowane bezpośrednio na podwoziu jakiegoś samochodu.

Larry również nie zdawał sobie z tego sprawy, ale okazało się, i w niczym mu to nie zaszkodziło. Czując się jak ktoś w rodzaj trzeciorzędnego wizjonera, poszedł po prostu do miejskiego urzędu (wtedy jeszcze nie tylko nie był jednym z najbardziej wpływowych mieszkańców, ale nie mógł nawet marzyć o tym, żeby powierzono mu choćby urząd rakaarza) i zapoznał się dokładnie z obowiązującymi wówczas przepisami. Fatyga w pełni się opłacała, między wierszami najróżniejszy paragrafów i punktów bowiem dostrzegł czekające na niego tysiące dolarów. Prawo stanowiło między innymi, że nie wolno było trzymać na swoim terenie więcej niż trzech unieruchomionych samochodów, chyba że posiadało się zgodę odpowiednich władz na prowadzenie składowiska złomu, oraz nie można było zainstalować chemicznej toalety - pod tą dumną nazwą rozumiano najzwyczajniejszy wychodek — bez aprobaty- urzędnika z Wydziału Zdrowia.

Larry'emu nic więcej nie było trzeba.

Wysuptał co do grosza wszystkie swoje oszczędności, pożyczył dwa razy więcej i kupił trzy przyczepy — nie srebrzyste bąble, lecz długim wybite wewnątrz pluszem, olbrzymie potwory, wyposażone w oklejone fornirem meble i kompletne łazienki. Dla każdej z nich zakupił jednoakrowy spłachetek ziemi na Zakręcie, postawił je na szybko skleconych byle jakich fundamentach i zabrał się za sprzedawanie. Potrzebował na to trzech miesięcy, podczas których musiał przełamać opór ludzi odnoszących się dość nieufnie do pomysłu, żeby mieszkać w domu przypominającym wagon kolejowy. Larry zarobił na czysto dziesięć tysięcy dolarów. Do Salem dotarł pierwszy powiew nowoczesności, a on był tym, który najszybciej chwycił go w żagle.

W dniu spotkania R.T. Strakera Crockett był wart dwa miliony dolarów. Udało mu się to osiągnąć w wyniku spekulacji terenami w okolicznych miasteczkach (ale nie w Salem; jego dewizą było: „Nie sraj tam, gdzie jesz”), które robił wychodząc z założenia, że przemysł mieszkaniowo-przyczepowy będzie rozwijał się w szalonym tempie. Rozwijał się, a wraz z nim rosło konto Crocketta.

W roku 1965 Larry został cichym współnikiem człowieka nazwiskiem Romeo Poulin, który budował w Auburn nowoczesny supermarket. Poulin był starym wyjadaczem, co w połączeniu z umiejętnościami Larry'ego dało każdemu z nich okrągłą sumkę 750 tysięcy dolarów, z czego wuja Sama należało poinformować tylko o jednej trzeciej. Był to bardzo dobry interes, a że w nowym supermarkecie niemal od chwili otwarcia zaczął przeciekać dach. . . Cóż, takie jest życie.

W latach 1966–1968 Larry wykupił kontrolne pakiety udziałów w trzech firmach działających na terenie stanu Maine, zajmujących się przyczepami mieszkaniowymi, stosując różne, najczęściej bardziej nielegalne niż legalne metody, żeby wyeliminować groźnych konkurentów. W rozmowie z Poulinem porównał kiedyś swoje działanie do wycieczki do lunaparku, podczas której wjeżdżasz do

Tunelu Miłości z dziewczyną A, w środku rżniesz siedzącą w sąsiednim wagoniku dziewczynę B, a wyjeżdżając trzymasz się znowu za ręce z dziewczyną A. Doszedł do tego, że kupował przyczepy sam od siebie, co stanowiło tak wspaniały interes, że aż trudno było w to uwierzyć.

Może być i pakt z diabłem, pomyślał Larry przerzucając zalegające na biurku papiery. Tyle tylko, że forsa będzie trochę śmierdziała siarką.

Przyczepy kupowali głównie należący do niższej klasy średniej robotnicy i urzędnicy, którzy nie mogli sobie pozwolić na wpłacenie pierwszej raty za większy, tradycyjny dom, oraz starsi ludzie, szukający sposobów na zapewnienie sobie spokojnej starości. Idea posiadania zupełnie nowego, sześciopokojowego domu była dla nich nadzwyczaj nęcąca, dla bardziej zaawansowanych wiekiem zaś miała jeszcze jedną zaletę, której nie omieszkał dostrzec zawsze czujny Larry: wszystkie pomieszczenia znajdowały się na jednym poziomie, dzięki czemu odpadała niedogodność wspinania się po schodach.

Sprawy finansowe również nie należały do skomplikowanych. Żeby się wprowadzić, wystarczyło wpłacić pięćset dolarów, w bezwzględnych zaś latach sześćdziesiątych fakt, że pozostałe dziewięć tysięcy pięćset dolarów było oprocentowane w wysokości 24 procent rocznie, bynajmniej nie zniechęcał tych stęsknionych za własnym kątem ludzi.

Forsa płynęła, że aż miło.

Larry Crockett niewiele się zmienił, nawet po zawarciu nieprawdopodobnego układu ze Strakerem. Nie ściągnął żadnego dekoratora wewnątrz, żeby przemeblował mu biuro, zamiast klimatyzacji nadal wystarczał mu tani, elektryczny wentylator, wciąż nosił te same wyświechta garnitury lub sportowe marynarki z powypychanymi łokciami, palił tanie papierosy i w soboty wieczorem wpadał do Della, żeby wypić kilka piw i zagrać z chłopcami w bilard. Fakt, że trzymał rękę na handlu nieruchomościami w miasteczku, przynosił mu korzyści dwojakiego rodzaju: po pierwsze, zawsze był wybierany do prezydium nowego zebrania mieszkańców, a po drugie, dziwnym zbiegiem okoliczności wszystkie jego oficjalne operacje co roku zatrzymywały się ćwierć kroku przed krytycznym punktem, po którego przekroczeniu zwałiby mu się kark dotkliwy podatek. Oprócz Domu Marstenów miał w swojej kartotece dokumenty trzydziestu kilku innych opuszczonych posiadłości usytuowanych w pobliskiej okolicy. Kilka spośród nich mogło przynieść spory zysk, ale Larry starał się nie robić niczego na siłę, bo przecież pieniądze i tak płynęły obfitym strumieniem.

Może nawet zbyt obfitym. Zdawał sobie doskonale sprawę z tego że w każdej chwili może przechytrzyć samego siebie. Wjedzie do Tunelu Miłości z dziewczyną A, w środku zerżnie dziewczynę B, a po drugiej stronie obie rzucą się na niego i stłuką na kwaśne jabłko. Czternaście miesięcy temu Straker powiedział, że da o sobie znać. A co by było gdyby. . .

Właśnie w tej chwili zadzwonił telefon.

4

— Pan Crockett? — zapytał znajomy, pozbawiony jakiegokolwiek akcentu głós.

— Tak. Pan Straker, prawda?

— W istocie.

— Właśnie o panu myślałem. Może mam jakieś zdolności para psychiczne.

— To bardzo zabawne, panie Crockett. Chciałem prosić o przysługę.

— Tak przypuszczałem.

— Wynajmie pan dużą ciężarówkę. Dziś wieczorem, punktualnie o siódmej, ma przyjechać na nabrzeże w Portland, do Portowego Składu Celnego. Powinno wystarczyć dwóch ludzi.

— W porządku.

Larry podsunął sobie kartkę papieru i nabazgrał: „H. Peters, R. Snow najp. o 6”. Nawet się nie zdziwił, dlaczego dokładne wypełnianie polecenia Strakera wydaje mu się czymś tak bardzo ważnym.

— Będzie do przeniesienia kilka skrzyń. Wszystkie, z wyjątkiem jednej, mają znaleźć się w sklepie. Ta jedna to nadzwyczaj cenny kredens, Hepplewhite. Pańscy ludzie bez trudu go zidentyfikują, bo jest największy. Trzeba go zawieźć do domu. Rozumie pan?

— Tak.

— Wstawią go do piwnicy. Zewnętrzne wejście pod oknami kuchni będzie otwarte. Rozumie pan?

— Tak, oczywiście. Czy mają też...

— Nic więcej od nich nie oczekuję. Kupi pan pięć solidnych kłódek firmy Yale. Wie pan, jak wyglądają?

— Każdy wie. Czy...

— Pańscy ludzie zamkną za sobą tylne drzwi sklepu i zostawią klucze od wszystkich pięciu kłódek w domu, na stole w piwnicy. Wychodząc zamkną zejście do piwnicy, frontowe i tylne drzwi, a także komórkę. Rozumie pan?

— Tak.

— Dziękuję panu, panie Crockett. Proszę dokładnie wykonać wszystkie instrukcje. Do widzenia.

— Jedną chwileczkę... Połączenie zostało przerwane.

5

Za dwie siódma biało-pomarańczowa ciężarówka z wielkimi napisami „Przeprowadzki Henry’ego” podjechała do rampy Portowego Składu Celnego przy nabrzeżu w Portland. Właśnie zaczynał się przyływ i na szkarłatnym niebie roiło się od skrzeczających niespokojnie mew.

— Cholera, tu nikogo nie ma — powiedział Royal Snow, wysączając ostatnie krople pepsi. Rzucił pustą puszkę na podłogę kabiny. — Wezmą nas za złodziei.

— Ktoś idzie — odparł Hank Peters. — Chyba glina. Okazało się jednak, że to nie glina, tylko nocny strażnik.

— Któryś z was to Lawrence Crewcut? — zapytał, świecąc na nich latarką.

— Crockett — poprawił go Royal. — Jesteśmy od niego. Mamy zabrać jakieś skrzynie.

— Dobra. — Strażnik skinął głową. — Chodźcie do biura. Musicie mi podpisać kwit odbioru. — Machnął ręką w stronę siedzącego za kierownicą Petersa — Cofnij pod te podwójne drzwi, tam gdzie ta ciężarówka. Widzisz?

— Aha.

Zazgrzytał wrzucany wsteczny bieg.

Royal Snów poszedł ze strażnikiem do biura, gdzie wesoło perkotał ekspres do kawy. Wiszący nad kalendarzem z rozebraną panienką zegar wskazywał 19.04. Strażnik pogrzebał w rozrzuconych na biurku papier i wydobył kilka spiętych razem kartek.

— Podpisz tutaj.

Royal złożył autograf we wskazanym miejscu.

— Uważajcie, jak będziecie wchodzić. Zapalcie sobie światło, bo tam pełno szczurów.

— Jeszcze nie widziałem szczura, który by przed tym nie spietrał powiedział Royal, unosząc stopę tkwiącą w ciężkim, roboczym bucie.

— To są portowe szczury, synu — odparł sucho strażnik. — Dawały już sobie radę z większymi od ciebie.

Royal wyszedł z biura i ruszył w kierunku drzwi magazynu. Strażnik stanął na progu i patrzył w ślad za nim.

— Uważaj — powiedział Royal do Petersa. — Staruszek mówi, tutaj są szczury.

— W porządku. — Peters zarechotał ponuro. — Kochany Larry Crewcut.

Royal namacał wyłącznik i przekręcił go. Powietrze we wnętrzu magazynu, przesycone zapachem soli, zgniłego drewna i wilgoci, wywoływało dziwny niepokój, który potęgowała świadomość obecności szczurów.

Skrzynie stały dokładnie pośrodku obszernego, poza tym pustego pomieszczenia, w związku z czym wyglądały trochę niesamowicie. Kredens znajdował się z całą pewnością w największej, jedynej, na której nie było wyraźnego napisu: „Barlow & Straker, 27 Jointer Avenue, Jerusale Maine”.

— Nawet nie wygląda to najgorzej — zauważył Royal. Zerknął do kopii kwitu i przeliczył skrzynie. — Tak, zgadza się.

— Szczury — powiedział Hank. — Słyszysz je?

— Aha. Paskudne zwierzaki. Nienawidzę ich. Zamilkli na chwilę, wsłuchując się w dobiegające z mrocznych kątów popiskiwanie i szelesty.

— Dobra, bierzmy się do roboty — zdecydował Royal, — Najpierw wstawimy tę największą, żeby potem nie przeszkadzała przy wyładunku.

— Okay.

Kiedy podeszli do skrzyni, Royal wyciągnął scyzoryk, otworzył i rozciął szarą, gumowaną taśmę na jednej z krawędzi.

— Ej, co robisz? — zapytał Hank. — Myślisz, że powinniśmy...

— Chyba musimy wiedzieć, czy bierzemy to, co trzeba, nie? Jak spieszymy, to Larry powiesi nas za dupy na swojej tablicy ogłoszeń. Wyjął z kieszeni kwit i ponownie do niego zajrzał.

— Co tam jest napisane? — zainteresował się Hank.

— Że to heroina — odparł szeptem Royal. — Dwieście funtów. Oprócz tego dwa tysiące świerszczyków ze Szwecji, trzysta tuzinów francuskich wibratorów...

— Daj mi to. — Hank wyrwał mu papier z dłoni. — Kredens — przeczytał na głos. — Czyli tak, jak nam powiedział Larry. Londyn, Anglia, Portland, Maine. A temu zachciało się francuskich wibratorów, niech mnie licho. Schowaj to.

Royal złożył starannie kwit.

— Coś tu mi się nie podoba — mruknął.

— Jasne. Wolałbyś te świerszczyki.

— Nie, bez jaj. Na tym grzmocie nie ma stempla odprawy celnej. Na kwicie zresztą też.

— Pewnie teraz maczają je w tym tuszu, który widać tylko w specjalnym świetle.

— Kiedy pracowałem w porcie, nigdy o czymś takim nie słyszałem. Walili stemple, gdzie popadnie, w piątek i świątek. Jak tylko czegoś się dotknąłeś, od razu byłeś w tuszu po łokcie.

— Dobra, cieszę się. Wiesz, tak się składa, że moja żona chodzi wcześniej spać, a ja miałem nadzieję jeszcze dzisiaj wykręcić z jeden numerek.

— Może gdybyśmy zajrzeli do środka...

— Nie ma mowy. Przestań gadać i bierz się do roboty.

Royal wzruszył ramionami. Kiedy przechylili skrzynię, w środku coś się ciężko przesunęło. Unieśli ją z najwyższym trudem. To rzeczywiście mógł być jeden z tych staromodnych kredensów. One zwykle ważyły tyle, co sto nieszczęść.

Postępując z wysiłku dotaszczyli skrzynię do samochodu i z identycznymi sapnięciami ulgi postawili ją na hydraulicznym podnośniku. Royal cofnął się obserwując, jak Hank uruchamia urządzenie. Kiedy powierzchnia kłapy zrównała się z poziomem skrzyni ładunkowej, wskoczyli do środka i przepchnęli ciężar na przód ciężarówki.

Było jeszcze coś, co nie dawało mu spokoju, coś więcej niż brak fioletowych stempli. W zamyśleniu przyglądał się potężnemu pakunkowi, wreszcie przywołał go do rzeczywistości głos Hanka.

— Chodźże! — zawołał. — Bierzmy resztę.

Pozostałe skrzynie były ostemplowane, z wyjątkiem trzech, które nadeszły z różnych miejsc Stanów. Royal odhaczał każdą załadowaną sztukę na swojej kopii kwitu. Układali je z tyłu samochodu, z dala od kredensu.

— Rany boskie komu oni chcą to wszystko sprzedać? — zdumiał się na głos Royal, kiedy skończyli załadunek. — Bujany fotel z Polski, zegar z Niemiec, kołowrotek z Irlandii. . . Założę się, że będą chcieli za to fortunę.

— Turyści — odparł z mądrą miną Hank. — Turyści kupią wszystko. W Bostonie i w Nowym Jorku są tacy, którzy kupiliby nawet worek krowiego łąjna, pod warunkiem, że to byłby s t a r y worek.

— Coś jest nie tak z tą dużą skrzynią — powtórzył z namysłem Royal. — Bez stempla. . . Cholera wie, o co tu może chodzić.

— Dobra, pora w drogę.

Jechali do Salem nie odzywając się ani słowem. Hank mocno naciskał na gaz. Zależało mu na tym, żeby jak najszybciej skończyć i wrócić do domu. On także uważał, że w tym wszystkim jest coś dziwnego.

Zajechał od tyłu do nowego sklepu; tak jak powiedział Larry, drzwi były otwarte. Royal spróbował zapalić światło, ale bez rezultatu.

— Ładne rzeczy — mruknął. — Będziemy to wszystko nosić po ciemku. . . Słuchaj, tu jakoś dziwnie pachnie, no nie?

Hank pociągnął nosem. Rzeczywiście, w powietrzu unosił się jakiś niezbyt przyjemny, trochę suchy, a trochę jakby kwaśny zapach czegoś zepsutego, który jednak nie kojarzył mu się z niczym znajomym.

— Po prostu za długo było tu zamknięte — powiedział, omiatając światłem latarki podłużne, obszerne pomieszczenie. — Trzeba porządnie przewietrzyć i tyle.

— Albo spalić — dodał Royal. W tym miejscu było coś niepokojącego. — W porządku, do roboty. Może uda nam się nie połamać nóg.

Najszybciej, jak tylko mogli, ale zarazem ostrożnie, przenieśli do środka ładunek. W pół godziny później Royal z westchnieniem zatrzasnął drzwi i zamknął je za pomocą jednej z nowych klódek.

— No, połowę mamy z głowy — powiedział.

— Łatwiejszą połowę — poprawił go Hank. Spojrzał w kierunku pogrążonego w ciemności Domu Marstenów. — Wcale nie jestem zachwycony, że musimy tam jechać i nie wstydę się tego powiedzieć. Jeżeli nawiedzone domy naprawdę istnieją, to to jest jeden z nich. Ci faceci są kopnięci, jeśli naprawdę chcą tam mieszkać. Zresztą, to i tak na pewno pedały.

— Tak jak ci wszyscy dekoratorzy wewnątrz — potwierdził Royal. — Pewnie go odpicują jako reklamę swojego interesu.

— No, jeśli mamy dzisiaj to załatwić, to trzeba ruszać. Rzucili ostatnie spojrzenie na stojącą z przodu ciężarówkę skrzynię i Hank z hukiem zatrzasnął kłapę,

po czym zajął miejsce za kierownicą i pojechali w górę Jointer Avenue, a potem skręcili w Burns Road. Wkrótce przed nimi pojawiła się ciemna, ponura sylwetka Domu Marstenów. Royal poczuł, jak do żołądka po raz pierwszy wpełza mu autentyczny strach.

— Boże, co za zakazane miejsce — mruknął Hank. — Nie wyobrażam sobie, kto miałby ochotę tu mieszkać.

— Ja też nie. Widzisz jakieś światło za okiennicami?

— Nie.

Dom zdawał się nachylać w ich stronę, jakby oczekując ich przybycia. Hank skręcił, podjeżdżając z boku budynku. Obydwaj starali się nie przyglądać zbyt dokładnie fragmentom podwórza wyławianym z ciemności światłem reflektorów, w obawie przed tym, co mogliby tam zobaczyć. Serce Hanka ścisnęło się strachem większym nawet od tego, jaki czuł w Wietnamie, choć tam bał się niemal przez cały czas. Ale tamten strach był zwyczajny, możliwy do wyjaśnienia. Bał się, żeby nie wejść na minę i nie zobaczyć w powietrzu swojej oderwanej stopy, bał się, że jakiś szczeniak w czarnej piżamie, którego imienia nawet nie byłbyś w stanie wymówić, rozwali ci łeb serią z ruskiego karabinu, bał się, że wylosujesz przydział do patrolu, którego zadaniem będzie zrównanie z ziemią jakiejś wioski sprzyjającej partyzantom. Ten strach, który czuł teraz, nie miał z tamtym nic wspólnego. Dom to dom — deski, belki, gwoździe i okna. Nie istniał żaden, ale to żaden powód, by przypuszczać, że każde skrzypnięcie, każdy trzask stanowią sygnał świadczący o obecności czającego się Zła. Tylko dureń mógł myśleć w ten sposób. Duchy? Po , Wietnamie Hank nie wierzył już w żadne duchy.

Dopiero za drugim razem udało mu się wrzucić wsteczny bieg i niepewnie cofnąć ciężarówkę do piwnicznego wejścia. Zardzewiałe drzwi były otwarte. W przyćmionym blasku tylnych świateł niknące w czarnej otchłani schody zdawały się prowadzić do samego piekła.

— Nic z tego nie kapuję — powiedział Hank i spróbował się uśmiechnąć, ale uzyskał tylko tyle, że twarz wykrzywiła mu się w paskudnym grymasie.

— Ja też nie.

Popatrzyli na siebie w słabym blasku rzucanym przez oświetlone wskaźniki na tablicy rozdzielczej. Zdawali sobie doskonale sprawę z tego, że obydwaj się boją, ale wiedzieli także, że nie są już dziećmi i nie mogą nie wykonać zadania tylko z powodu irracjonalnego strachu. W jaki sposób wytłumaczyliby to nazajutrz, przy świetle dziennym? Nie było wyjścia: robota musiała być dokończona.

Hank wyłączył silnik. Wysiedli z szoferki i przeszli do tyłu ciężarówki. Royal wspiał się na stopień, szarpnął za rygiel i otworzył klapę.

Zakurzona skrzynia stała na swoim miejscu.

— Boże, nie chcę tego tam znosić! — wykrztusił Hank Peters.

— Dawaj — rzucił Royal. — Pozbądźmy się tego raz, dwa.

Wytaszczyli skrzynię na podnośnik i opuścili z sykiem uciekającego powietrza. Kiedy znalazła się na poziomie pasa, Hank zatrzymał podnośnik. Uchwycili ładunek z dwóch stron.

— Powoli... — wystękał Royal, cofając się w kierunku schodów. — Powoli... Jeszcze trochę... — W czerwonym blasku tylnych świateł jego wykrzywiona twarz przypominała twarz człowieka, który właśnie miał atak serca.

Schodził tyłem po jednym stopniu. Kiedy skrzynia przechyliła w jego stronę, poczuł, jak znajdujący się w jej wnętrzu martwy ciężar, osuwa się na niego niczym kamień. Później zdał sobie sprawę z tego, iż skrzynia owszem, była ciężka, ale nie tak ciężka, jak niektóre spośród ładunków, jakie przewozili dla Larry'ego Crocchetta. To panująca w tym domu atmosfera mroziła serce i wysysała z człowieka siły.

Schody były śliskie. Dwa razy zachwiał się, o mało nie tracąc równowagi.

— Rany boskie, Hank! — zawołał słabo. — Uważaj! A potem znaleźli się już na dole. Pomieszczenie było niskie, więc nieśli ciężar przygięci niczym skurczone ze starości wiedźmy.

— Tutaj! — wysapał Hank. — Już nie dam rady!

Postawili skrzynię z hukiem na podłodze. Cofnąwszy się o krok spojrzeli sobie w oczy i dostrzegli, że strach widoczny w nich wcześniej zamienił się w paniczne przerażenie. Nagle piwnica wypełniła się tajemniczymi, szeleszczącymi odgłosami; może były to szczury, a może coś o czym lepiej było nawet nie wiedzieć.

Niewiele myśląc rzucili się do ucieczki. Pierwszy wypadł na zewnątrz Hank, podążający zaś o krok za nim Royal potężnym szarpnięciem zatrasnął za sobą klapę.

W mgnieniu oka znaleźli się w szoferce i Hank uruchomił silnik. W mroku panującym we wnętrzu samochodu na jego twarzy widać było wyłącznie ogromne, wybałuszone oczy. Nagle Royal chwycił go za ramię.

— Hank, nie założyliśmy kłódek!

Obydwaj spojrzeli na pęk nowiutkich kłódek, związanych razem kawałkiem drutu. Hank sięgnął do kieszeni i wy dobył z niej kółko z pięcioma kluczami; jeden z nich był od tylnych drzwi sklepu, wszystkich zaś znajdowały się eleganckie przywieszki.

— Boże! -jęknął. — Słuchaj, może przyjedziemy tu jutro z same rana i...

Royal wyjął ze schowka latarkę.

— Nie da rady i ty o tym doskonale wiesz — powiedział. Ponownie wysiedli, czując na czołach pokrytych potem powiew zimnego nocnego wiatru.

— Idź do tylnych drzwi — polecił Royal — a ja zajmę się frontowy i schowkiem.

Ruszyli, każdy w swoją stronę. Hank stanął przy tylnych drzwiach niemal słysząc, jak serce łomocze mu w piersi. Dopiero za drugim razem udało mu się

przełożyć pałąk kłódki przez metalowe ucho. Zapach starości i zgnilizny był tutaj tak intensywny, że niemal namacalny. Nagle przypomniały mu się wszystkie opowieści o Hubercie Marstanie, wyśmiewane w dzieciństwie, i piosenka, którą straszili dziewczynki: „Uważaj, uważaj, bo Hubie się skrada! Uważaj, uważaj, bo...”

— Hank?

Drgnął gwałtownie i druga kłódka wypadła mu z dłoni. Schylił się, żeby ją podnieść.

— Musisz tak się skradać? — burknął. — Czy już...?

— Tak. Słuchaj, który z nas zejdzie do piwnicy i położy klucze na stole?

— Nie wiem — odpowiedział po prostu Hank Peters. — Nie wiem.

— Może wylosujemy?

— Tak, chyba tak.

Royal wyjął dwudziestopięciocentową monetę.

— Powiesz, kiedy rzucę. — I rzucił.

— Orzeł.

Royal złapał monetę, przyklepał ją na przedramieniu i odsunął dłoń. W półmroku błysnęły szeroko rozłożone skrzydła orła.

— O Boże — jęknął Hank, ale wziął latarkę i pęk kluczy, i otworzył nachylone ukośnie drzwi.

Zmusił swoje nogi, żeby zeszły po schodkach, a kiedy znalazł się już na dole, włączył latarkę i oświetlił widoczną część piwnicy, która miała kształt litery L i zakręcała w odległości jakichś trzydziestu stóp od niego; jak daleko sięgała, nie miał najmniejszego pojęcia. Snop światła wydobył z ciemności stół nakryty potwornie zakurzonym obrusem. Na stole siedział duży szczur; kiedy padło na niego światło, nie uciekł, tylko usiadł na tylnych nogach i jakby się uśmiechnął.

Hank ruszył w kierunku stołu.

— Kszsz! Psik!

Szczur zeskoczył na podłogę i potruchtał niespiesznie w mrok, niknąc za zakrętem. Hank drżącą ręką prznosił snop światła z miejsca na miejsce, zatrzymując go na ułamek sekundy na starej beczce, rozsypującym się biurku, stercie pożółkłych gazet...

Ponownie skierował latarkę w tamtą stronę i wstrzymał oddech. Obok gazet, po lewej stronie, na podłodze...

Koszula? Czy na pewno? Zwinięta jak stara szmata, trochę dalej coś jakby niebieskie dzinsy, a obok... za jego plecami rozległ się ostry, suchy trzask.

Ogarnięty paniką cisnął na oślep klucze w kierunku stołu, odwrócił się i rzucił do ucieczki. Przebiegając obok skrzyni zobaczył, co było przyczyną hałasu: pękła jedna z opasujących ją aluminiowych taśm i teraz zwisała smętnie, kołysząc się niczym martwy palec skierowany ku podłodze.

Wbiegł na górę po schodach, z rozmachem zatrzasnął za sobą drzwi (nawet nie zdawał sobie sprawy z tego, że całe jego ciało pokryło się gęsią skórka), trzęsącymi się dłońmi założył kłódkę i pognął do samochodu. Niczym zraniony pies chwycił powietrze gwałtownymi, płytkimi łykami. Niczym przez watę usłyszał, że Royal pyta go, co się stało, po czym wrzucił pierwszy bieg i ciężarówka z potwornym rykiem silnika ruszyła z miejsca, omijając narożnik domu na dwóch kołach i wzbijając w powietrze fontanny ziemi. Zwolnił dopiero wtedy, kiedy znaleźli się na Brooks Road i niemal w tej samej chwili jego ciałem zaczęły wstrząsać tak gwałtowne dreszcze, iż bał się, że lada chwila straci panowanie nad kierownicą.

— Co się stało? — zapytał po raz kolejny Royal. — Co tam zobaczyłeś?

— Nic — wykrztusił Hank Peters, oddzielając poszczególne słowa szczękaniem zębów. — Nic... nie widziałem... i już nigdy więcej... nie chcę... tego oglądać...

6

Larry Crockett miał już zamknąć biuro i iść do domu, kiedy rozległo się pukanie do drzwi i wszedł Hank Peters. Na jego twarzy wciąż jeszcze malował się strach.

— Zapomniałeś czegoś, Hank? — zapytał Larry. Kiedy poprzedniego dnia Hank i Royal wrócili z Domu Marstenów z takimi minami, jakby ktoś pozgniał im jaja w imadłach, dał każdemu dodatkowo po dziesięć dolarów, dorzucił jeszcze dwa kartony whisky i zasugerował, że byłoby dobrze, gdyby nikomu nie opowiadali o wydarzeniach tego wieczoru.

— Muszę ci powiedzieć — wykrztusił Hank. — Nic na to nie poradzę, Larry. Muszę ci powiedzieć.

— Jasne, Hank. — Larry wysunął najniższą szufladę, wyjął butelkę Johnnie Walkera i rozlał do dwóch szklaneczek. — Co cię gryzie?

Hank wlał część zawartości swojej szklanki do ust, przełknął i skrzywił się.

— Kiedy zaniósłem na dół klucze, coś zobaczyłem. Jakby ubrania czy coś w tym rodzaju. Koszulę i chyba spodnie. I trampki. To znaczy tak mi się wydaje, że to były trampki.

Larry uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

— I co z tego?

Miał wrażenie, jakby ktoś położył mu na piersi ogromny kawał lodu.

— Ten mały Glick miał dzinsy. Czytałem w *Ledgerze*. Dzinsy, czerwoną koszulkę i Trampki. Larry, a co jeśli...

Crockettowi uśmiech przymarzył do twarzy.

Hank konwulsyjnie przełknął ślinę.

— A co, jeśli ci faceci, którzy kupili sklep i Dom Marstenów, porwali tego dzieciaka ? — Wreszcie udało mu się to z siebie wydusić. Opróżnił szklankę do dna.

— Może widziałeś też ciało? — zapytał wciąż uśmiechnięty Crockett.

— N-nie, ale...

To by była sprawa dla policji — powiedział Larry Crockett i nalał ponownie Hankowi. Jego ręka nie trzęsła się ani odrobinę. Była niewzruszona jakby wycięto ją z lodu. — Sam bym z tobą poszedł do Parkinsa, ale... — potrząsnął głową. - Wiesz, przy okazji na pewno wyszłoby na jaw całe mnóstwo nieprzyjemnych rzeczy. Na przykład to, co robisz z tą kelnerką od Della... Jak ona ma na imię? Jackie?

Twarz Hanka upodobniła się kolorem do kartki papieru.

— O czym ty mówisz, do diabła?

— Poza tym na pewno do grzebaliby się tego, że wyrzucili cię z poprzedniej pracy... Ale oczywiście, nie mogę zabronić ci spełnienia obowiązku. Rób, jak uważasz, Hank.

— Nie widziałem żadnego ciała — wyszeptał Peters.

— Tak już lepiej. — Larry ponownie się uśmiechnął. — Może też wcale nie widziałeś żadnego ubrania, tylko po prostu jakieś szmaty.

— Szmaty — powtórzył głucho Hank.

— Wiesz przecież, jak to jest w tych starych ruderach. Zawsze pełno tam najróżniejszych śmieci. To mogła być stara koszula czy coś w tym rodzaju, którą ktoś kiedyś podarł na szmaty.

— Jasne — powiedział Hank Peters i powtórnie wychylił szklankę do dna. — Ty potrafisz odpowiednio na wszystko spojrzeć, Larry.

Crockett sięgnął do kieszeni, wyjął portfel, odliczył pięć dziesięciodolarowych banknotów i położył je na stole.

— A to co, Larry?

— Zapomniałem zapłacić ci za tę robotę w zeszłym tygodniu u Brennana. Powinieneś się upomnieć, Hank. Wiesz przecież, jaką mam pamięć.

— Ale przecież...

— Na przykład — przerwał mu Crockett z szerokim uśmiechem — mógłbyś tu siedzieć i o czymś mi mówić, a ja już jutro rano nie potrafiłbym sobie niczego przypomnieć. To okropne, nie sądzisz?

— Owszem... — szepnął Hank. Wyciągnął drżącą rękę, zebrał z biurka banknoty i pośpiesznie wepchnął je do kieszeni kurtki, jakby zależało mu na tym, żeby jak najkrócej trzymać je w dłoni, po czym zerwał się tak raptownie, że o mało nie przewrócił przy tym krzesła. — Muszę już iść, Larry. Ja... Właściwie to... Tak, koniecznie muszę iść.

— Weź ze sobą butelkę - zaproponował mu Crockett, ale Hank był już za drzwiami.

Larry usiadł głębiej w fotelu i nalał sobie kolejnego drinka. Jego dłoń nadal była zupełnie spokojna. Zrezygnował z wyjścia do domu, tylko nalał sobie jeszcze raz, i jeszcze. Myślał o paktach z diabłem. Kiedy zadzwonił telefon, podniósł słuchawkę i przez dłuższą chwilę słuchał w milczeniu.

— Już się tym zająłem — powiedział wreszcie.

Słuchał jeszcze przez jakiś czas, a potem odłożył słuchawkę i nalał sobie po raz kolejny.

7

Nazajutrz Hank Peters obudził się wcześniej rano. Śniły mu się ogromne szczury wyłazące z rozkopanego grobu, w którym spoczywało zielone, rozkładające się ciało Huberta Marstena z zadzierzgniętym na szyi zmurszałym kawałkiem konopnej liny. Zlany potem Peters przez kilka minut leżał podparty na łokciu i ciężko dyszał, a kiedy żona dotknęła jego ramienia, wrzasnął przeraźliwie ze strachu.

8

Sklep spożywczy Milta Crossena znajdował się na rogu Jointer Avenue i Railroad Street, stanowiąc w dżdżyste dni, kiedy nie można było siedzieć w parku, przystań dla lekko zdziwaczałych staruszków nie mających co robić z czasem. Podczas długich zim byli oni tu codziennymi gośćmi.

Kiedy Straker zatrzymał przed sklepem swego packarda rocznik 1939 — a może 1940? — padał drobny kapuśniaczek, a Milt Crossen i Pat Middler prowadzili chaotyczną dyskusję na temat, czy nosząca imię Judy córka Freddy'ego Overlocka uciekła z domu w 1957, czy raczej w 1959 roku. Obydwaj byli pewni tego, że uciekła z komiwojażerem z Vermont oraz że zarówno on, jak i ona nie byli wiele warci, lecz na tym kończyła się zgodność ich opinii.

W chwili, kiedy do sklepu wszedł Straker, wszystkie rozmowy ucichły. Potoczył spojrzeniem po twarzach obecnych — byli tam jeszcze Joe Crane, Vinnie Upshaw i Clyde Corliss — i uśmiechnął się bez śladu wesołości.

— Dzień dobry panom — powiedział.

Milt Crossen wyprostował się i obciągnął fartuch.

— Czym mogę służyć?

— Chciałbym nabyć coś z mięs — odparł Straker.

Kupił befsztyki, hamburgery, trochę żeberek i funt cielej wątroby, do tego cukier, mąkę, fasolę i kilka bochenków świeżego chleba.

Wszystko -odbywało się w całkowitej ciszy. Stali bywalcy sklepu siedzieli wokół starego węglowego pieca, który ojciec Milta przystosował do oleju, palili

papierosy, obserwowali z zainteresowaniem sufit i rzucali na obcego ukradkowe spojrzenia.

Kiedy Milt zapakował wszystko do dużego kartonowego pudła, Straker zapłacił gotówką — położył obok kasy dwudziestkę i dziesiątkę — po czym wziął pudło pod pachę i rozejrzał się z tym samym ponurym uśmiechem na ustach.

— Życzę panom miłego dnia — powiedział i wyszedł. Joe Crane zaczął wpychać do swojej fajki podwójną porcję tytoniu, Clyde Corliss splunął z rozmachem do poobijanego wiadra stojącego obok pieca, Vinnie Upshaw zaś wydobył z kieszeni kamizelki swoją antyczną maszynkę do skręcania papierosów i palcami powykręcany artretyzmem wsunął do niej bibułkę.

Przyglądali się, jak obcy wkłada pudło do bagażnika. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że musiało ważyć co najmniej trzydzieści funtów, a mimo to Straker wziął je pod pachę niczym piórko. Zatrzasnąwszy bagażnik usiadł za kierownicą, uruchomił silnik i ruszył w górę Jointer Avenue, po czym skręcił w lewo w Brooks Road. W chwilę po tym samochód zniknął im z oczu, żeby pojawić się za jakiś czas, zmniejszony odległością do rozmiarów dziecięcej zabawki. Skręcił na podjazd prowadzący do Domu Marstenów i tym razem zniknął na dobre.

— Dziwny facet — powiedział Vinnie. Wetknął gotowego papierosa do ust, strząsnął kilka wystających z końca żdźbeł tytoniu i wyjął pudełko kuchennych zapalek.

— To chyba jeden z tych, co kupili starą pralnię — zauważył Joe Crane.

— I Dom Marstenów — dodał Vinnie.

Clyde Corliss wypuścił gazy. Pat Middler z wielkim zainteresowaniem zaczął oglądać odcisk na swojej lewej dłoni.

Minęło pięć minut.

— Myślisz, że wyjdą na swoje? — zapytał nie bardzo wiadomo kogo Clyde.

— Możliwe — odparł Vinnie. — Teraz, latem, mogą trafić trochę jeleni. W dzisiejszych czasach nic nie wiadomo.

Odpowiedział mu twierdzący pomruk.

— Mocny facet — zauważył Joe.

— No — kiwnął głową Vinnie. — Widzieliście tego packarda? Rocznic 1939 i ani śladu rdzy.

— To był rocznik 1940 — poprawił go Clyde.

— W czterdziestym nie robili już wystających progów — odparł Vinnie.

— Mówię ci, że 1939.

— Mylisz się — powiedział Clyde.

Minęło kolejne pięć minut. Milt przyglądał się bacznie dwudziestce którą dostał od Strakera.

— Fałszywa? — zapytał Pat. — Dał ci fałszywą forszę, Milt?

— Nie, ale popatrzcie. — Milt podał ją im przez ladę. Była znacznie większa od powszechnie spotykanych banknotów.

Pat uniósł ją do światła i dokładnie obejrzał ze wszystkich stron.

— To chyba seria E dwadzieścia, nie, Milt?

— Aha — potwierdził Milt. — Przestali je robić jakieś czterdzieści pięć albo pięćdziesiąt lat temu. Założę się, że w antykwariacie w Portland można zgarnąć za nią sporo forsy.

Wszyscy po kolei przyglądali się banknotowi, w zależności od rodzaju wady wzroku trzymając go blisko lub daleko od oczu. Kiedy Joe Crane zwrócił go Miltowi, ten schował go na dno kasy, razem z czekami.

— Dziwny facet — mruknął z zastanowieniem Clyde.

— Aha — potwierdził leniwie Vinnie. — Mówię wam, że to był rocznik 1939. Mój przyrodni brat Vic miał takiego. Jego pierwszy samochód w życiu. Kupił używany wóz w 1944. Któregoś dnia wyciekł cały olej i silnik diabli wzięli.

— Chyba jednak 1940 — odparł Clyde — bo pamiętam faceta, który jeździł po domach i naprawiał krzesła, i ten facet. . .

W ten sposób dyskusja toczyła się dalej, -posuwając się naprzód bardziej w chwilach milczenia niż dzięki wypowiedziom jej uczestników, niczym rozgrywana korespondencyjnie partia szachów. Wydawało się, że czas stanął w miejscu, zamieniając się w wieczność.

Vinnie Upshaw sięgnął po bibułkę i z cudowną, artretyczną powolnością zaczął skręcać kolejnego papierosa.

9

Kiedy rozległo się pukanie do drzwi, Ben był zajęty pisaniem. Właśnie minęła trzecia po południu w środę, 24 września. Deszcz uniemożliwił dalsze prowadzenie poszukiwań Danny'ego Glicka; powszechnie panowało przekonanie, że wznawianie ich nie ma już najmniejszego sensu. Chłopiec zniknął na dobre.

Otworzywszy drzwi ujrzał stojącego za nimi z papierosem w ustach Parkinsa Gillespie. Gillespie trzymał w dłoni książkę i Ben z pewną dozą rozbawienia zauważył, że jest to kieszonkowe wydanie *Córki Conwaya*.

.- Proszę wejść, szeryfie — powiedział. — Mokra dzisiaj na dworze.

— Co nieco — odparł Parkins, wchodząc do pokoju. — Wrzesień to paskudny miesiąc. Zawsze noszę kalosze. Śmieją się ze mnie, ale dzięki temu od trzydziestu lat ani razu nie miałem grypy.

— Może pan położyć płaszcz na łóżku. Przykro mi, ale nawet nie mam kawy.

— Lepiej nie, bo je zamoczę. — Parkins strząsnął popiół do kosza na śmieci. — A kawę wypilem przed chwilą u Pauline w Excellent.

— W takim razie, czym mogę panu służyć?

— Moja żona przeczytała tę książkę — wskazał na *Córkę Conwaya*. — Słyszała, że przyjechał pan do miasta, ale jest trochę nieśmiała. Chciała pana prosić, żeby pan jej się podpisał, czy coś w tym rodzaju.

Ben wziął od niego książkę.

— Z tego, co mówił Weasel Craig, wynika, że pańska żona umarła czternaście czy piętnaście lat temu.

— Naprawdę? — zapytał Parkins nie zdradzając żadnego zaskoczenia. — Ten Weasel to lubi gadać. Pewnego dnia rozdziawi tę swoją jadaczkę tak szeroko, że sam w nią wpadnie.

Ben nic nie odpowiedział.

— W takim razie, czy mógłby pan podpisać ją dla mnie?

— Z przyjemnością. — Wziął leżący na biurku długopis, otworzył książkę na stronie tytułowej i napisał: „Z najlepszymi życzeniami szeryfowi Gillespie od Bena Mearsa, 24 września 1975”, po czym wręczył ją z powrotem właścicielowi.

— Piękne dzięki — powiedział Parkins nie spojrzawszy nawet na dedykację. Schylił się i zgniótł papierosa o wewnętrzną ściankę kosza. — To jedyna książka z autografem, jaką mam.

— Przyszedł pan po to, żeby mnie przesłuchać? — zapytał z uśmiechem Ben.

— Bystrzak z pana — odparł Gillespie. — Rzeczywiście, pomyślałem sobie, że dobrze by było wpaść do pana i zadać jedno lub dwa pytania. Czekałem tylko, kiedy Nolly sobie gdzieś pójdzie. To dobry chłopak, ale strasznie lubi gadać. A teraz aż roi się od plotek.

— Co chciałby pan wiedzieć?

— Przede wszystkim, gdzie pan był wieczorem w zeszłą środę.

— Wtedy, kiedy zaginał Ralphie Glick?

— Właśnie.

— Czyżbym był podejrzany, szeryfie?

— Nie. Na razie nie mam żadnych podejrzanych. Zresztą, to sprawa nie mojego formatu, można powiedzieć. Wyciąganie pijaczków od Della czy pilnowanie spokoju w parku to coś w sam raz dla mnie. Ot, po prostu trochę węszyć tu i tam.

— A jeżeli nie miałbym ochoty panu powiedzieć?

Parkins wzruszył ramionami i wyjął paczkę papierosów.

— To już twoja sprawa, synu.

— Byłem na kolacji u Susan Norton i grałem w badmintona z jej ojcem.

— Założę się, że wygrał. Z Nollym wygrywa, kiedy chce, a ten się wścieka i potem nie gada o niczym innym, tylko o tym, jak bardzo chciałby dołożyć kiedyś Billowi Nortonowi. O której pan wyszedł?

Ben roześmiał się, ale w jego głosie nie sposób było doszukać się zbyt wiele wesołości.

— Przechodzi pan od razu do rzeczy, co?

— Wie pan — mruknął Parkins — gdybym był jednym z tych nowojorskich detektywów, których pokazują w telewizji, mógłbym pomyśleć, że ma pan coś do ukrycia, skoro nie chce mi pan odpowiadać wprost na moje pytania.

— Nie mam nic do ukrycia — odparł Ben. — Po prostu jestem już trochę zmęczony tym, że wszyscy oglądają się za mną na ulicy, pokazują palcami w sklepie, a w bibliotece szepczą za moimi plecami. A teraz pan zjawia się tu, żeby sprawdzić, czy przypadkiem nie trzymam w szafie skalpu Ralphie'ego Glicka.

— Wcale nie miałem takiego zamiaru. — Gillespie zaciągnął się papierosem i spojrzął na Bena zmrużonymi oczami. — Po prostu chcę pana odhaczyć i mieć spokój. Gdybym podejrzewał, że maczał pan w tym palce, miałbym pana u siebie w pace.

— W porządku. — Ben skinął ze znużeniem głową. — Wyszedłem od Nortonów mniej więcej piętnaście po siódmej i poszedłem na piechotę w kierunku Szkolnego Wzgórza. Kiedy zrobiło się ciemno, wróciłem tutaj, pisałem jeszcze przez jakieś dwie godziny i położyłem się spać.

— O której pan przyszedł ze spaceru?

— Przypuszczam, że mniej więcej piętnaście po ósmej.

— W takim razie nie jest pan kryty tak dobrze, jak miałem nadzieję. Widział pan kogoś?

— Nikogo.

Parkins mruknął coś tajemniczo i podszedł do biurka.

— O czym pan pisze?

— To nie pański interes — odparł Ben, rezygnując z zachowania choćby pozorów uprzejmości. — Byłbym wdzięczny, gdyby zechciał pan trzymać się od tego z daleka. Chyba że ma pan nakaz przeszukania.

— Coś pan taki nerwowo? Przecież i tak ludzie będą czytać tę książkę.

— Kiedy przejdzie przez trzy korekty, zostanie złożona i wydrukowana, ośmiście prześlę panu cztery egzemplarze z autografami. Na razie jest wyłącznie moją prywatną własnością.

Parkins uśmiechnął się i cofnął o krok.

— W porządku. Zresztą i tak wątpię, czy przyznał się pan w niej do czegokolwiek.

Ben odpowiedział uśmiechem.

— Mark Twain powiedział kiedyś, że każda powieść stanowi przyznanie się do winy kogoś, kto absolutnie niczego złego nie popełnił. Parkins wydmuchnął kłęb dymu i skierował się do drzwi.

— Dobra, nie będę panu bardziej moczył dywanu, panie Mears. Dzięki, że zechciał mi pan poświęcić trochę czasu, a tak między nami, to wątpię, czy w ogóle widział pan na oczy tego dzieciaka, ale taki mam zawód, że muszę zadawać pytania.

Ben skinął głową.

— Rozumiem.

— Poza tym powinien pan wiedzieć, jak wygląda życie w takich miejscach jak Salem, Milbridge czy Guilford: przestaje się być obcym dopiero wtedy, kiedy

mieszkało się w nich co najmniej dwadzieścia lat.

— Wiem. Przepraszam, jeśli byłem nieuprzejmy, ale po tygodniu poszukiwań... — Ben wzruszył ramionami.

— Jasne — odparł Parkins. — Najgorsza sprawa z jego matką. Okropnie to przeżywa. No, to niech pan uważa na siebie.

— Oczywiście.

— Nie gniewa się pan?

— Skądże znowu. — Zawahał się przez chwilę. — Powie mi pan coś?

— Jeśli będę mógł.

— Ale uczciwie: skąd pan wziął tę książkę?

Na twarzy Parkinsa Gillespie pojawił się szeroki uśmiech.

— W Cumberland jest facet, który prowadzi sklep z używanymi meblami. Straszny nudziarz, nazywa się Gendron. Sprzedaje wydania kieszonkowe po dziesięć centów. Miał tego pięć sztuk.

Ben wybuchnął donośnym śmiechem, a Parkins wypuścił jeszcze jeden kłęb dymu i wyszedł z pokoju. Ben stanął przy oknie i patrzył, jak szeryf przechodzi w czarnych, błyszczących kaloszach na drugą stronę ulicy, starannie omijając głębokie kałuże.

10

Zanim Parkins zapukał do drzwi nowego sklepu, zajrzał najpierw przez frontowe okno. Kiedyś, kiedy jeszcze mieściła się tu pralnia, ujrzałby gromadę tłustych kobiet, żujących bez przerwy gumę, dosypujących proszek i uwijających się przy maszynach, ale od wczoraj, kiedy przed budynek zajęchała ciężarówka dekoratora wnętrz z Portland wygląd pomieszczenia uległ daleko idącym zmianom.

Zaraz za oknem ustawiono coś w rodzaju podwyższenia nakrytego jasnozielonym, puszystym dywanem. Dwa niewidoczne reflektory oświetlały trzy umieszczone na nim przedmioty: zegar, staroświecki kołowrotek i sekretarzyk z czereśniowego drewna. Przy każdym przedmiocie stała elegancka karteczka z ceną; Boże, czy ktoś przy zdrowych zmysłach zapłaci sześćset dolarów za stary kołowrotek, skoro może pójść do sklepu i kupić sobie nowiutkiego Singera za 48 dolarów 95 centów?

Parkins westchnął z głębi piersi i zastukał do drzwi.

Otworzyły się niemal od razu, jakby ten nowy facet stał cały czas tuz za nimi i czekał, żeby go wpuścić do środka.

— Pan inspektor! — wykrzyknął Straker z czymś w rodzaju uśmiechu na twarzy. — Jak to miło, że zechciał pan do nas zajrzeć!

— Daleko mi jeszcze do inspektora — powiedział Parkins, zapalił pallmalla i wkroczył do wnętrza. — Jestem Parkins Gillespie. Miło mi pana poznać.

Wyciągnął rękę; ręka została ujęta przez dłoń suchą, bez wątpienia niezwykle silną, krótko uściśnięta i natychmiast wypuszczona.

— Richard Throckett Straker — przedstawił się łysy mężczyzna.

— Tak sobie pomyślałem, że to będzie pan — powiedział Parkins rozglądając się dookoła. Podłoga została pokryta nową, dywanową wykładziną, a malowanie ścian dobiegało właśnie końca. Zapach świeżej farby był nawet dość przyjemny, lecz spod niego przebijał inny, zdecydowanie mniej atrakcyjny. Na razie jednak Gillespie nie mógł go z niczym skojarzyć, więc ponownie skoncentrował uwagę na Strakerze.

— Czym mogę panu służyć w ten jakże uroczy dzień? — zapytał Straker.

Parkins zerknął przez okno na lejące się z nieba strugi deszczu.

— Och, niczym specjalnym. Wpadłem tylko tak sobie, żeby zobaczyć, jak leci, i życzyć powodzenia w nowym miejscu.

— To nadzwyczaj miło z pańskiej strony. Zechce pan napić się kawy? A może sherry? Mam na zapleczu i to, i to.

— Nie, dziękuję. Nie mam za dużo czasu. Jest może pan Barlow?

— Pan Barlow wyjechał w interesach do Nowego Jorku. Nie spodziewam się go wcześniej niż dziesiątego października.

— Czyli otworzy pan interes bez niego — zauważył Parkins myśląc w duchu, że Straker nie będzie miał chyba kłopotu z nadmiarem klientów, sądząc po wystawionych w oknie cenach. — Aha, tak przy okazji: jak właściwie ma na imię pan Barlow?

Straker ponownie obdarzył go ostrym jak brzytwa uśmiechem.

— Czy pyta pan jako osoba oficjalna... eee... szeryfie?

— Nie, tylko tak, z ciekawości.

— Mój wspólnik nazywa się Kurt Barlow — powiedział Straker. — pracowaliśmy razem w Londynie i Hamburgu, a teraz postanowiliśmy przejść na emeryturę. — Zatoczył dokoła ręką. — Skromnie, ale ze smakiem. Nie chcemy zarabiać więcej, niż będzie nam trzeba na utrzymanie, jednak mamy nadzieję zdobyć w okolicy renomę, obydwaj bowiem nadzwyczaj kochamy przeróżne starocie... Czy sądzi pan, że uda nam się to osiągnąć, szeryfie Gillespie?

— Wszystko jest możliwe — mruknął Parkins, rozglądając się w poszukiwaniu popielniczki. Nigdzie żadnej nie dostrzegł, więc strząsnął popiół do kieszeni płaszcza. — W każdym razie mam nadzieję, że wam się wszystko uda. Proszę przekazać panu Barlowowi, po jego powrocie, że jeszcze kiedyś tu wpadnę.

— Zrobię to — skłonił głowę Straker. — Będzie zachwycony, bo bardzo lubi towarzystwo.

— To dobrze — powiedział Gillespie. Ruszył do drzwi, ale odwrócił się jeszcze i napotkał przenikliwe spojrzenie łysego mężczyzny. — A jak się panu podoba ten stary dom?

— Trzeba będzie włożyć w niego bardzo dużo pracy — odparł Straker — ale nam się nigdzie nie śpieszy.

— Też tak mi się wydaje — zgodził się Parkins. — Nie pętają się tam jakieś smarki?

Brwi Strakera powędrowały w górę.

— Smarki?

— Dzieciaki -wyjaśnił cierpliwie Parkins. — Wie pan, jak to nieraz lubią naprzykrzać się nowym mieszkańcom. Rzucają kamieniami albo dzwonią do drzwi i chowają się w krzakach. . .

— Nie, nie widziałem tam żadnych dzieci.

— Ostatnio jedno nam się zgubiło.

— Doprawdy?

— Tak. Wszyscy uważają, że już go nie znajdziemy. W każdym razie, nie żywe.

— To przykre — stwierdził obojętnie Straker.

— Pewnie. Jakby pan coś zauważył. . .

— Oczywiście natychmiast pana zawiadomię — dokończył Straker z lodowatym uśmiechem.

— To dobrze. — Parkins otworzył drzwi i z rezygnacją popatrzył na zacinający deszcz. — Proszę powiedzieć panu Barlowowi, że z przyjemnością go poznam.

— Na pewno mu to powiem, szeryfie. Ciao. Parkins obejrzał się ze zdziwieniem.

-He?

Uśmiech Strakera wyraźnie się rozszerzył.

— Do widzenia, szeryfie. „Ciao” znaczy po włosku właśnie „do widzenia”.

— Ach, tak? Cóż, uczymy się całe życie, no nie? Żegnam. — Wyszedł na deszcz i zamknął za sobą drzwi. — Pierwsze słyszę — mruknął pod nosem. Papieros, który wyciągnął z kieszeni płaszcza, był zupełnie przemoknięty. Wyrzucił go z niesmakiem i ruszył przed siebie ulicą.

Straker stał przy oknie, odprowadzając go spojrzeniem. Już się nie uśmiechał.

11

— Nolly? Jesteś tu, Nolly?! — zawołał Parkins, znalazłszy się z powrotem w swoim biurze.

Odpowiedziała mu cisza. Parkins skinął głową. Nolly był dobrym chłopcem, tyle tylko, że trochę mało rozzagarniętym. Zdjął płaszcz, ściągnął kalosze i usiadłszy przy biurku znalazł potrzebny numer w książce telefonicznej Portland, po czym podniósł słuchawkę. Nie musiał długo czekać na zgłoszenie się rozmówcy.

— Tu biuro FBI w Portland, agent Hanrahan.

— Mówi Parkins Gillespie, szeryf z Jerusalem. Zgłaszaliśmy wam zaginięcie chłopca.

— Wiem — odparł krótko Hanrahan. — Ralph Glick, dziewięć lat, wzrost cztery stopy trzy cale, włosy czarne, oczy niebieskie. Co, stwierdziliście porwanie?

— Nie, nic z tych rzeczy. Moglibyście sprawdzić dla mnie kilku facetów?

Hanrahan odpowiedział twierdząco.

— Pierwszy to Benjamin Mears. M-E-A-R-S. Pisarz. Napisał *Córkę Conwaya*. Dwaj następni są jakby razem. Kurt Barlow. B-A-R-L-O-W. Drugi. . .

— Tego Kurta pisze się przez „c” czy „k”? — zapytał Hanrahan.

— Nie wiem.

— Dobra, co dalej?

Parkins poczuł, że jest cały mokry od potu. Zawsze, kiedy rozmawiał z przedstawicielami prawdziwego prawa, czuł się jak prowincjonalny osioł.

— Drugi nazywa się Richard Throckett Straker. Throckett przez dwa „t” na końcu, a Straker tak, jak się wymawia. On i ten Barlow zajmują się handlem antykami. Właśnie otwierają u nas sklep. Straker twierdzi, że Barlow wyjechał w interesach do Nowego Jorku i że wcześniej obydwaj pracowali w Londynie i Hamburgu.

— Podejrzewa ich pan w związku ze sprawą Glicka?

— Na razie nawet nie wiem, czy w ogóle jest jakaś sprawa, ale wszyscy zjawili się w miasteczku mniej więcej właśnie w tym czasie.

— Myśli pan, że istnieje jakiś związek między Mearsem a tymi dwoma?

Parkins oparł się w fotelu i spojrzał z zamyśleniem przez okno.

— Właśnie tego chciałbym się dowiedzieć — powiedział.

12

W pogodne, chłodne dni druty telefoniczne wydają dziwny, brzęczący odgłos, zupełnie jakby pod wpływem przebiegających przez nie plotek wpadały w tajemniczą wibrację. Jest to dźwięk jedyny w swoim rodzaju, niespotykany w całym kosmosie. Mrozy i wiatry wiejące zimą przechyliły szare, omszałe słupy, ustawiając je w pozycji na „spocznij”. W przeciwieństwie do swoich betonowych kuzynów nie mają one nic wspólnego ani z ostrą musztrą, ani nawet ze służbistą obowiązkowością. Jeżeli stoją przy szosie, ich podstawy są zbryzgane kropelkami smoły, a jeśli przy polnej drodze, to spoczywa na nich gruba warstwa kurzu i pyłu. Stare, ledwo widoczne napisy informują, że monterzy naprawiali coś na nich w roku 1946, 1952 albo 1969. Ptaki — wrony, jaskółki, drozdy i szpaki — przygarbione siedzą w milczeniu na brzęczących drutach, być może odbierając poprzez zaciśnięte kurczowo pazurki tajemnicze, ludzkie głosy. Jeśli nawet tak

jest, to nie sposób tego odczytać w ich oczach świecących niczym czarne paciorki. Miasteczko nie wie, co to historia, ale wie doskonale, co to czas i wiedzę tę zdaje się dzielić z telefonicznymi słupami. Gdyby przyłożyć do któregoś z nich dłoń, można by wyczuć głęboko w spróchniałym drewnie drgania, które zsunęły się tam ze śliskich drutów i teraz rozpaczliwie starają się wydostać na zewnątrz.

... i wyobraź sobie, Mable, że zapłacił starą dwudziestką, jedną z tych dużych. Clyde mówi, że ostatni raz widział coś takiego w 1930, kiedy...

... to bardzo dziwny człowiek, Evvie. Widziałam go przez lornetkę, jak chodził z taczkami koło domu. Ciekawe, czy mieszka tam sam, czy...

... Crockett na pewno wie, ale nie powie. Trzyma gębę na kłódkę. Zawsze...

... z tym pisarzem, co mieszka u Evy. Ciekawe, czy Floyd Tibbits wie, że jego...

... bardzo dużo czasu w bibliotece. Loretta Starcher twierdzi, że jeszcze nigdy nie spotkała człowieka, który wiedziałby tyle o...

... powiedziała, że przedstawił się jej jako...

... tak, Straker, R. T. Straker. Matka Kenny'ego Danlesa wstąpiła tam na chwilę, kiedy robiła zakupy, i podobno na wystawie stoi autentyczny stylowy sekretaryk zaledwie za osiemset dolarów, wyobrażasz to sobie? Od razu...

... dziwne, że ledwo się zjawił, od razu zniknął ten...

... a czy nie sądzisz...

... nie, ale przyznasz, że to dziwne, prawda? Aha, czy masz jeszcze ten przepis...

A druty brzęczą i brzęczą, i brzęczą...

13

23.09.1975.

Nazwisko i imię: Glick, Daniel Francis

Adres: Brock Road, Jerusalem, Maine 04270

Wiek: 12 lat. Płeć: M. Rasa: kaukaska

Przyjęty: 22.09.1975

Objawy: Szok, częściowa utrata pamięci, nudności, brak łaknienia, obstrukcja, ogólne osłabienie.

Badania (patrz zał.):

1. Próba tuberk. skórna: —

2. Bad. tuberk. moczu i śliny: —

3. Cukrzyca: —

4. Białe ciała: —

5. Czerwone ciała: 45% hemoglobiny

6. Bad. szpiku: —

7. Prześw. klatki pierś.: —

Wstępna diagnoza: Złośliwa anemia, pierwotna lub wtórna; poprzednie badania wykazują 86% hemoglobiny. Wtórna anemia mało prawdopodobna; wcześniej żadnych wrzodów, hemoroidów, krwawych stolców. Możliwa anemia pierwotna, połączona z szokiem psychicznym. Zalecenia: dodatkowe prześwietlenie w celu ew. wykrycia wewn. krwawienia, witamina B12, leki według zał. Jeżeli następne badania nic nie wykryją, wypisać.

**Lek. prowadzący
G. M. Gorby**

14

24 września o pierwszej w nocy pielęgniarka weszła do pokoju Danny'ego Glicka, żeby podać mu lekarstwa, ale zatrzymała się w progu i zmarszczyła brwi; łóżko było puste.

Jej wzrok przesunął się niżej, na leżący na podłodze kształt.

— Danny?

Pewnie wstał do łazienki i zemdłał, pomyślała, nachylając się nad nim.

Delikatnie przekręciła go na plecy i zanim zdała sobie sprawę z tego, że chłopiec nie żyje, przemknęła jej myśl, że witamina B12 bardzo mu pomogła. Wyglądał znacznie lepiej, niż w chwili przyjęcia do szpitala.

Dopiero potem uświadomiła sobie, że jego ciało jest zupełnie zimne i pobiegła prędko do dyżurki, żeby zameldować o zgonie pacjenta.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Ben (II)

1

25 września Ben ponownie został zaproszony na kolację do Nortonów. Był czwartek i na posiłek składały się tradycyjne dania — fasola i kiełbaski. Bill Norton podpiekł je na rożnie ustawionym na patio, Ann zaś już od dziewiątej rano dusiła fasolę w specjalnym sosie. Zjedli kolację przy rozstawianym stole pod gołym niebem, a potem siedzieli w czwórkę, paląc leniwie papierosy i przyglądając się bez specjalnego zainteresowania, jak bostończycy tracą kolejną szansę na zwycięstwo.

W powietrzu dało się wyczuć delikatną zmianę; nadal było dość ciepło, nawet w koszuli z krótkim rękawem, niemniej jednak pojawiły się pierwsze, kąśliwe podmuchy chłodu. Jesień puknęła już niemal do drzwi. Stojący przed pensjonatem Evy Miller ogromny wiekowy klon okrył się już szkarłatną czerwienią.

Jeżeli chodzi o stosunki Bena z Nortonami, to wszystko układało się po staremu. Uczucia, jakie Susan żywiła dla niego, były szczerze, proste i naturalne, a on ze swej strony także bardzo ją lubił. Wyczuwał, że Bill czuje do niego coraz większą sympatię, powściąganą jedynie działaniem usytuowanego głęboko w podświadomości tabu, nakazującego wszystkim ojcom podejrzewać, że inni mężczyźni przychodzą do ich domów nie dla nich samych, lecz wyłącznie z powodu ich córek. Jeżeli się lubi jakiegoś faceta i jest się wobec niego szczerym, rozmawia się z nim przy piwie o wszystkim, a przede wszystkim o kobietach i polityce. Czy można jednak w pełni otworzyć serce przed człowiekiem, który nosi między nogami potencjalne narzędzie defloracji twojej córki? Bena uderzyła myśl, że po ślubie, kiedy to, co do tej pory tylko możliwe, stanie się już faktem, znacznie łatwiej jest się zaprzyjaźnić z kimś, kto co noc rżnie ukochaną córeczkę. Zastanawiał się nawet przez chwilę, czy jest w tym może ukryty jakiś głębszy morał, ale doszedł do wniosku, że chyba jednak nie.

Ann Norton w dalszym ciągu zachowywała pewien dystans. Poprzedniego wieczoru Susan powiedziała mu, jak wygląda sprawa z Floydem Tibbitsem i o tym, że matka miała już nadzieję na ostateczne i, co najważniejsze, w pełni ją satysfakcjonujące rozwiązanie problemu wyboru przyszłego zięcia. Floyd należał

do ludzi, po których wiadomo, czego się spodziewać; był usatkwony. Z kolei Ben Mears pojawił się nie wiadomo skąd i w każdej chwili mógł tam zniknąć, unosząc ze sobą w kieszeni serce jej córki. Ann instynktownie, w typowy dla małomiasteczkowej mentalności sposób nie ufała mężczyźnie zajmującemu się pracą twórczą (zjawisko to bez najmniejszego problemu rozpoznałoby zarówno Edward Arlington Robinson, jak i Sherwood Anderson), Ben zaś mógłby się założyć, że w jej duszy tkwił zakodowany głęboko stereotyp: tacy to zawsze pomyłenci, maniacy i potencjalni samobójcy; przesyłają dziewczynom paczki ze swoim obcętym uchem. Aktywność, z jaką Ben brał udział w poszukiwaniach Ralphie'ego Glicka, raczej podsyciła jej obawy, niż uspokoiła i wszystko wskazywało na to, że przekonanie jej będzie, przynajmniej na razie, zupełnie niemożliwe. Bena najbardziej interesowało jedno: czy matka Susan wie o wizycie Parkinsa Gillespie w jego pokoju.

Ann przerwała leniwy bieg jego myśli.

— To okropne, co się stało z tym chłopcem.

— Z Ralphie'm? Tak, rzeczywiście.

— Nie, ze starszym. Nie żyje. Ben spojrzał na nią ze zdumieniem.

— Danny?

— Umarł wczoraj nad ranem. — Ann nie posiadała się ze zdziwienia, że mężczyźni o tym nie wiedzą. W miasteczku nie mówiło się o niczym innym.

— Słyszałam, jak rozmawiali u Milta — powiedziała Susan. Znalazła pod stołem rękę Bena i ujęła ją serdecznie. — A co z rodzicami?

— To samo, co byłoby i ze mną — odparła Ann. — Odchodzą od zmysłów.

Nic dziwnego, pomyślał Ben. Jeszcze dziesięć dni temu ich życie toczyło się zwykłym, spokojnym rytmem, a teraz rodzina przestała właściwie istnieć. Miał wrażenie, że po grzbiecie musnął go mroźny powiew.

— Myślisz, że znajdą tamtego chłopca? — zapytał Bill.

— Nie. — Ben pokręcił głową. — Wydaje mi się, że on też nie żyje.

— Zupełnie jak dwa lata temu w Houston — zauważyła Susan. — Jeżeli rzeczywiście nie żyje, to mam nadzieję, że go nie znajdą. Ten, kto mógł zrobić coś takiego małemu bezbronnemu chłopcu...

— Zdaje się, że policja prowadzi intensywne poszukiwania — powiedział Ben. — Wyłapują i przesłuchują wszystkich zboczeńców.

— Jeżeli złapią tego faceta, powinni powiesić go za kciuki — warknął Bill Norton. — Zagramy w badmintona, Ben? Ben podniósł się z miejsca.

— Nie, dziękuję. I tak ogrywasz mnie, jak chcesz. Piękne dzięki za kolację, ale muszę jeszcze dziś trochę popracować.

Ann Norton bez słowa uniosła brwi.

— Jak ci idzie ta książka? — zapytał Bill, również wstając z fotela.

— Nieźle — odparł krótko Bill. — Przejdiesz się ze mną, Susan? Moglibyśmy napić się oranżady u Spencera.

— Doprawdy, nie wiem — wtrąciła się pośpiesznie Ann Norton. — Po tym, co przytrafiło się Ralphie'emu. . .

— Mamo, jestem już dużą dziewczynką — przerwała jej Susan. — Poza tym, ulica jest oświetlona.

— Oczywiście, odprowadzę cię do domu — oznajmił oficjalnym tonem Ben. Zostawił samochód na parkingu przed pensjonatem Ewy. Wieczór był tak piękny, że aż prosiło się o spacer.

— Nic im nie będzie — odezwał się uspokajająco Bill. — Za bardzo się przejmujesz, mamusku.

— Możliwe. Młodzi zawsze wszystko wiedzą najlepiej, prawda? — Uśmiechnęła się bez przekonania.

— Tylko wezmę kurtkę — szepnęła Susan do Bena i pobiegła na górę. Miała na sobie czerwoną, sięgającą powyżej kolan spódnice, która podczas wchodzenia po schodach odsłaniała niemal całe nogi. Ben patrzył w ślad za nią, wiedząc, że z całą pewnością widzi to także Ann Norton. Jej mąż dogaszał żarzące się na grillu węgle.

— Jak długo masz zamiar zostać w naszym miasteczku, Ben? — zapytała z uprzejmym zainteresowaniem Ann.

— Na pewno przynajmniej tak długo, dopóki nie napiszę tej książki — odparł.

— Co będzie potem, sam nie wiem. Poranki są tu prześliczne, a powietrze takie, że aż chce się oddychać. — Uśmiechnął się, patrząc jej prosto w oczy. — Możliwe, że zostanę trochę dłużej.

Odpowiedziała mu uśmiechem.

— Ostatnio mamy bardzo mroźne zimy. O k r o p n i e mroźne.

Na schodach pojawiła się Susan w narzuconej na ramiona lekkiej kurtce.

— Gotów? Postanowiłam, że wypiję czekoladę. Pal diabli linię.

— Twojej linii z pewnością to nie zaszkodzi — zauważył, po czym zwrócił się ponownie do jej rodziców: — Jeszcze raz bardzo dziękuję.

— Jeśli masz ochotę, wpadnij jutro z kartonem piwa — powiedział Bill. — Pośmiejemy się z tego cholernego Yastrzemskiego.

— To brzmi bardzo zachęcająco — zgodził się Ben — ale co byśmy robili w drugiej połowie?

Głośny, szczery śmiech Billa Nortona odprowadził ich aż za próg domu.

2

— Nie mam ochoty iść do Spencera — powiedziała, kiedy niespiesznym krokiem schodzili ze wzgórza. — Zajrzyjmy lepiej do parku.

— A co z opryszkami, młoda damo?

— W Salem wszystkie opryszki muszą być o siódmej wieczorem w domu, takie są przepisy. A teraz jest dokładnie trzy po ósmej.

Zapadła już całkowita ciemność, pozwalając ich ceniom pojawiać się i znikać w świetle mijanych kolejno latarni.

— W takim razie macie bardzo przyzwoitych opryszków — zauważył. — Nikt nie chodzi do parku po zmroku?

— Czasem trafia się jakaś parka, której nie stać na pokój w motelu. — Mru-gnęła do niego figlarnie. — Jeśli więc zobaczysz, że coś się rusza w krzakach, patrz w inną stronę.

Park był spowity mrokiem i przypominał nieco obraz ze snu. Wybetonowane ścieżki wiły się między drzewami, a w tafli sadzawki odbijały się drżącym blaskiem uliczne światła. Jeżeli nawet ktoś oprócz nich tutaj był, to Ben nie mógł go dostrzec.

Minęli Pomnik Ofiar Wojny z wrytą na tablicy długą listą nazwisk; najstarsze pochodziły z Wojny Wyzwoleńczej, najświeższe z Wietnamu. Wśród tych ostatnich znajdowało się sześć należących do młodych ludzi pochodzących z najbliższej okolicy. Błyszczały niczym świeże blizny. To miasto ma niewłaściwą nazwę, pomyślał Ben. Powinno nazywać się Czas. Tknięty nagłym impulsem obejrzał się, żeby popatrzeć na Dom Marstenów, ale wzgórze było zasłonięte przez mroczną sylwetkę budynku Rady Miejskiej.

Susan zauważyła ten nagły ruch i zmarszczyła brwi. Kiedy ignorując ławki rozpostarli na trawie kurtki i usiedli na nich, powiedziała:

— Mama mówiła, że był u ciebie Parkins Gillespie. Wygląda na to, że nowy chłopiec ukradł klasowe pieniądze, albo coś w tym rodzaju.

— To niezły typek — mruknął Ben.

— Według relacji mamy zostałeś już właściwie osądzony i skazany. — Było to powiedziane lekkim tonem, pod którym jednak kryło się coś znacznie poważniejszego.

— Twoja mama chyba niezbyt mnie lubi, prawda?

— Tak — potwierdziła Susan, trzymając go za rękę. — Obawiam się, że to typowy przypadek niechęci od pierwszego wejrzenia. Przykro mi.

— W porządku. I tak mam nie najgorsze notowania.

— Myślisz o tacie? — Uśmiechnęła się. — On po prostu zna się na ludziach.

— Uśmiech zniknął. — Ben, o czym jest ta nowa książka?

— Trudno powiedzieć. — Ściągnął buty i zagłębił palce w wilgotną trawę.

— Chcesz zmienić temat?

— Wcale nie. Z przyjemnością ci opowiem.

Ku swemu sporemu zdziwieniu stwierdził, że to prawda. Do tej pory zawsze myślał o powstających książkach jak o słabych, bezradnych dzieciach, które należy chronić i pielęgnować. Zbyt częste pokazywanie ludziom mogłoby im bardzo zaszkodzić, a nawet je zabić. Nigdy nie powiedział Mirandzie ani słowa o *Córcie*

Conwaya i Powietrznym tańcu, choć widział, że wprost rozsadza ją ciekawość. Ale Susan była zupełnie inna. Rozmawiając na ten temat z Mirandą, zawsze miał wrażenie, że jest poddawany przesłuchaniu.

— Tylko pozwól mi się zastanowić, od czego zacząć — poprosił.

— Czy tymczasem mógłbyś mnie pocałować? — zapytała, kładąc się na trawie. Nagle zdał sobie sprawę, że jej spódniczka jest jeszcze krótsza, niż mu się wydawało.

— Obawiam się, że to mogłoby zakłócić moje myśli — odparł — ale spróbujmy.

Nachylił się i pocałował ją, położywszy delikatnie jedną dłoń na jej biodrze. Oddała mu mocno pocałunek, obejmując go ręką za szyję, a w chwilę potem po raz pierwszy poczuł w ustach jej język. Przysunęła się do niego, aby pocałunek był głębszy, a szelest jej bawełnianej spódniczki doprowadzał go niemal do szału.

Przesunął dłoń w górę, napotykał jej pełną, miękką pierś. Po raz drugi od chwili, kiedy ją poznał, poczuł się tak, jakby miał znowu szesnaście lat i pędził przed siebie z szaloną prędkością sześciopasmową, zupełnie pustą autostradą.

— Ben. . .

— Tak?

— Chcesz się ze mną kochać?

— Tak — odparł. — Chcę.

— Tutaj na trawie?

— Tak.

Wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami.

— Chcę, żeby było dobrze.

— Ja też.

— Powoli. . . Powoli. . . Tutaj. . .

Wtopili się w spowijającą park ciemność.

Och, Susan. . . — wyszeptał.

3

Spacerowali jeszcze przez jakiś czas po parku, a potem skierowali się w stronę Brock Street.

— Żałujesz? — zapytał.

Uniosła głowę i uśmiechnęła się do niego.

— Wcale nie. Jestem szczęśliwa. ’

— To dobrze.

Przez jakiś czas szli w milczeniu, trzymając się za ręce.

— A co z książką? — przypomniała. — Miałeś mi o niej opowiedzieć.

— Książka jest o Domu Marstenów — powiedział powoli. — Początkowo myślałem, że będzie o całym miasteczku, ale wygląda na to, że starałem się sam siebie oszukać. Zbadałem dokładnie historię Huberta Marstena. Był gangsterem, a firma przewozowa stanowiła tylko przykrywkę dla jego prawdziwej działalności.

Spojrzała na niego ze zdumieniem.

— Od kogo się tego dowiedziałeś?

— Trochę od bostońskiej policji, ale przede wszystkim od niejakiej Minelli Corey, siostry Birdie Marsten. Ma teraz siedemdziesiąt dziewięć lat i nie potrafi sobie przypomnieć, co jadła na śniadanie, ale za to pamięta wszystko, co wydarzyło się przed 1940 rokiem.

— I ona powiedziała ci...

— Wszystko, co sama wiedziała. Mieszka w domu starców w New Hampshire i od wielu lat nikt nigdy nie miał czasu, żeby jej wysłuchać. Zapytałem ją, czy to prawda, że Hubert Marsten był mordercą do wynajęcia. Skinęła głową. „Ilu?” — zapytałem. Podniosła dłonie i zaczęła zginać i rozprostowywać palce. „Potrafi pan policzyć?” — zapytała.

— O, mój Boże!

— W roku 1927 szefowie bostońskiego gangu zaczęli się poważnie niepokoić o Huberta Marstena — ciągnął dalej Ben. — Dwa razy był zatrzymywany przez policję, raz w Bostonie, a raz w Malden. Gang miał wszędzie potężne wpływy, więc najdalej po kilku godzinach Marsten wychodził na wolność, ale najciekawsze jest to, że o ile w Bostonie chodziło o normalne, gangsterskie sprawy, to w Malden przesłuchiowano go w sprawie zabójstwa jedenastoletniego chłopca. Chłopiec został zabity, a następnie dokładnie wypatroszony.

— Ben... -jęknęła słabo Susan.

— Wpływowi sponsorzy zatuszowali sprawę, lecz oznaczało to jednocześnie koniec aktywnej działalności Marstena. Sprowadził się do Salem jako spokojny emerytowany pracownik szacownej firmy, co miesiąc otrzymujący pocztą tłusty czek. Prawie nie wychodził z domu — to znaczy, tak to przynajmniej pozornie wygląda.

— Jak to?

— Spędziłem sporo czasu w bibliotece, przeglądając stare roczniki *Ledgera*, od 1928 do 1939. W tym okresie w okolicy zniknęło bez śladu czworo dzieci. Na wsi to nic dziwnego, bo pełno przecież najróżniejszych żwirowisk, glinianek, a i do lasu nie jest zbyt daleko. To przykre, ale się zdarza.

— Ty jednak uważasz, że w tym przypadku chodziło o coś innego?

— Nie wiem. Jest jednak faktem, że nie odnaleziono ani jednego dziecka z tej czwórki. W ciągu następnych lat żaden myśliwy nie znalazł w lesie szkieletu, w żadnym ze żwirowisk nie natrafiono na ludzkie kości. Wiadomo tylko tyle, że Hubert i Birdie mieszkali w tym domu przez jedenaście lat i właśnie w tym czasie

zniknęło czworo dzieci. Ja jednak nadal myślę o tym chłopcu z Malden. Czy znasz Dom na wzgórzu Shirley Jackson?

— Tak.

— „I jeżeli ktokolwiek w nim był, to był zupełnie sam” — zacytował Ben półgłosem. — Chciałaś wiedzieć, o czym jest moja książka. Otóż, mówiąc w największym skrócie, jest o mocy odradzającego się Zła.

Położyła mu dłoń na ramieniu.

— Chyba nie sądzisz, że Ralphie Glick. . .

— . . . został porwany przez żadnego zemsty ducha Huberta Marstena, pojawiającego się w każdy nieparzysty rok przy pełni księżyca?

— Właśnie, coś w tym rodzaju.

— Jeżeli chcesz, żebym cię uspokoił, to zwróciłaś się do niewłaściwej osoby. Nie zapominaj, że to ja jestem tym chłopcem, który otworzył drzwi do sypialni na piętrze i zobaczył go wiszącego na stryczku.

— To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

— Rzeczywiście, nie jest. W takim razie pozwól, że zanim ci jej udzielię, opowiem ci jeszcze o jednej rzeczy, o której dowiedziałem się od Minelli Corey. Otóż staruszka powiedziała mi, że na świecie istnieją ludzie stanowiący uosobienie samego Zła. Czasem o nich słyszymy, ale najczęściej ich poczynania skrywa najgłębsza ciemność. Powiedziała, że w swoim życiu wiedziała o dwóch takich ludziach: jednym z nich był Adolf Hitler, a drugim jej szwagier, Hubert Marsten. — Ben umilkł na chwilę. — W dniu, kiedy Hubie zastrzelił jej siostrę, Minella mieszkała trzysta mil stąd, w Cape Cod, u zamożnej rodziny, której prowadziła dom. Przygotowywała właśnie sałatkę w dużej, drewnianej misce. Było dokładnie piętnaście po drugiej, kiedy nagle poczuła potworny ból w głowie i usłyszała wyraźny huk wystrzału. Twierdzi, że padła bez czucia na podłogę i podniosła się dopiero po dwudziestu minutach. Kiedy spojrzała do miski, wrzasnęła z przerażenia, odniosła bowiem wrażenie, że jest po brzegi wypełniona krwią.

— O, mój Boże — westchnęła Susan.

— W chwilę potem wszystko wróciło do normy. Ból głowy zniknął bez śladu, a w misce zamiast krwi znowu była sałatka, lecz Minella wiedziała, że jej siostra nie żyje, zabita strzałem w głowę.

— Chyba nie ma żadnego dowodu na potwierdzenie swojej historii?

— Owszem, nie ma, ale nie jest też jakąś gawędziarką plotącą niestworzone historie, tylko starą kobietą, stojącą już niemal nad otwartym grobem. Ale nie o to chodzi, a w każdym razie, nie o to przede wszystkim. Istnieje już dosyć udokumentowanych dowodów na istnienie sił parapsychicznych, żeby każdy mógł dokonać wyboru na własną rękę, czy chce w nie wierzyć czy nie. Pomysł, że Birdie przesłała na odległość trzystu mil wiadomość o swojej śmierci, nie wydaje mi się nawet w połowie tak nieprawdopodobny jak to, co widzę, albo wydaje mi się, że widzę, w tym domu na wzgórzu.

Zapytałaś mnie, co o tym myślę, więc ci powiem. Otóż wydaje mi się, że ludziom stosunkowo łatwo jest uwierzyć w takie zjawiska jak telepatia czy jasnowidzenie, ponieważ w gruncie rzeczy nic ich to nie kosztuje i nie zmusza ich do budzenia się z przerażeniem w środku nocy. Jednak uwierzyć w to, że zło, które ludzie czynią za życia, żyje jeszcze po ich śmierci, to już zupełnie inna sprawa.

Popatrzył w górę, na Dom Marstenów.

— Mam wrażenie, że ten dom jest pomnikiem, jaki Hubert Marsten wystawił Złu, a jednocześnie czymś w rodzaju psychicznej płyty rezonansowej lub, jeśli wolisz, latarni rzucającej mroczne, niewidzialne światło. Stoi tam od wielu lat, przechowując w swoich butwiejących ścianach to, co stanowiło esencję zła tkwiącego w Hubercie Marstenie. A teraz ponownie pojawili się w nim mieszkańcy i jednocześnie zniknęło kolejne dziecko. — Odwrócił się do dziewczyny i ujął w dłonie jej zwróconą ku niemu twarz. — Decydując się tu przyjechać, zupełnie nie brałem pod uwagę takiej możliwości. Liczyłem się z tym, że dom mógł zostać zburzony, ale nawet w najdzikszych snach nie przypuszczałem, że ktoś go kupił. Wyobrażałem sobie, że go wynajmę i... bo ja wiem co? Może stanę twarzą w twarz z dziecięcymi koszmarami, może zabawię się w egzorcystę i w imieniu wszystkich świętych wygnam precz Hubie'ego Marstena, a może po prostu wchłonę panującą w nim atmosferę i napiszę książkę tak przerażającą, że zarobię na niej milion dolarów? To nie ma już żadnego znaczenia. Najważniejsze, że czułem się panem sytuacji. Nie byłem już dziewięciolatkiem, gotowym uciec, gdzie pieprz rośnie, przed czymś, co być może stanowiło jedynie wytwór jego własnej wyobraźni. Teraz jednak...

— Co, Ben?

— Tam ktoś mieszka! — wybuchnął i uderzył pięścią w dłoń. — Nie mam na to żadnego wpływu! Zniknął chłopiec, a ja nie wiem, co o tym myśleć. Może jego zniknięcie nie ma nic wspólnego z tym domem, ale... nie, nie wierzę w to. — Ostatnie słowa wypowiedział prawie szeptem.

— Duchy? Upiory?

— Niekoniecznie. Może to jakiś w gruncie rzeczy nieszkodliwy facet, który kupił dom, bo kiedyś przejeżdżał tędy i dom bardzo mu się spodobał, a teraz ten człowiek został... opętany.

— Czy wiesz coś o... — zapytała z niepokojem.

— O nowym właścicielu? Nie, to tylko moje domysły. Szczerze mówiąc wolałbym, żeby tak właśnie było.

— A jeśli nie?

— Jeśli nie — powiedział spokojnie — to znaczy, że mamy do czynienia z następnym bardzo złym człowiekiem.

4

Ann Norton obserwowała ich ze swego okna. Wcześniej zadzwoniła do sklepu. Nie, odpowiedziała panna Coogan z czymś w rodzaju złośliwej satysfakcji, nie było ich tutaj.

Gdzie jesteś, Susan? Gdzie jesteś?

Jej usta wykrzywiły się w odrażającym, bezsilnym grymasie.

Niech pan stąd odejdzie, panie Mears. Niech pan odejdzie i zostawi ją w spokoju.

5

— Czy możesz coś dla mnie zrobić, Ben? — zapytała, kiedy wypuścił ją z ramion.

— Co tylko zechcesz.

— Nie mów o tym nikomu z miasteczka. Nikomu.

Uśmiechnął się niewesoło.

— Nie obawiaj się. Nie chcę, żeby uważano mnie za wariata.

— Czy zamykasz na noc swój pokój?

— Nie.

— Więc zacznij to robić. — Spojrzała na niego poważnie. -Najwyższa pora, żebyś zaczął uważać się za podejrzanego.

— Ty też mnie podejrzewasz?

— Nie, ale tylko dlatego, że cię kocham.

Pobiegła prowadzącą do drzwi ścieżką pozostawiając go samego i zdumionego tym, co powiedziała, a szczególnie ostatnimi słowami.

6

Po powrocie do pensjonatu przekonał się, że nie może ani pisać, ani spać. Wydarzenia ostatnich godzin zbyt mocno tkwiły mu w pamięci. Wsiadł do samochodu, uruchomił silnik i po chwili wahania pojechał do Della.

W środku było tłoczno, głośno i gęsto od papierosowego dymu. Uprawiający muzykę country zespół pod nazwą „The Rangers” wykonywał właśnie swoją wersję utworu *Nigdy nie dotarłeś aż tak daleko*, nadrabiając mocą głośnika pewne braki jakościowe wykonania. Na parkiecie kolebało się jakieś czterdzieści par, większość w dżinsach.

Stółki przy barze zajęte były przez robotników pociągających piwo z identycznych szklanek i mających na nogach niemal takie same, solidne buty o grubej podeszwie.

Między stolikami uwijały się trzy wytapirowane kelnerki w białych bluzkach z wyhaftowanymi złotą nitką imionami (Jackie, Toni, Shirley). Dell znajdował się na swoim zwykłym miejscu za barem, gdzie nalewał piwo, a obok niego stał mężczyzna o krogulczych rysach i zaczesanych do tyłu włosach, pochłonięty całkowicie przyrządzaniem drinków. Z niewzruszonym wyrazem twarzy odmierzał specjalnymi szklaneczkami odpowiednie dawki poszczególnych trunków, wlewał je do srebrnego naczynia i uzupełniał niezbędnymi dodatkami.

Ben ruszył skrajem parkietu w kierunku baru, kiedy nagle zatrzymał go czyjś głos:

— Ben! Ej, koleś! Jak się masz?

Ben rozejrzał się dookoła i przy jednym ze stolików spostrzegł Weasela Craiga, siedzącego samotnie naprzeciw do połowy opróżnionej szklanki piwa.

— Cześć, Weasel — powiedział, siadając obok niego. Ucieszył się, widząc znajomą twarz, a poza tym zdążył już polubić starszego człowieka.

— Postanowiłeś zasmakować nocnego życia, co? — roześmiał się Weasel i klepnął go mocno po ramieniu. Musiał chyba dostać jakieś pieniądze, bo jego oddech lada chwila mógł ulec samozapaleniu.

— Zgadłeś — powiedział Ben. Wyjął dolara i położył go na stoliku, pokrytym niezliczonymi kółeczkami pozostawionymi przez wypite przy nim szklanki piwa.

— Jak leci?

— Całkiem nieźle. Co myślisz o tym nowym zespole? Świetny, nie?

— Tak, nie najgorszy. Dokończ to piwo, zanim ci się zagotuje. Ja stawiam.

— Kurczę, cały wieczór czekałem, żeby ktoś to powiedział! Jackie! Piwo dla mojego przyjaciela. Budweiser!

Jackie przyniosła butelkę na tacy, na której leżały także drobne monety obficie polane piwem, i postawiła ją na stole, prezentując przy tym biceps, jakiego nie powstydziliby się zawodowy bokser. Spojrzała na banknot tak, jakby był to jakiś nowy rodzaj karalucha.

— Dolar czterdzieści — powiedziała.

Ben wyjął jeszcze jeden banknot, a ona sprawnym ruchem wyłowiła z tacy sześć dziesiątek i rzuciła je na stół.

— Jeżeli jeszcze raz zaczniesz wrzeszczeć jak zarzynany kogut, skrećę ci kark! — poinformowała Weasela.

— Jesteś cudowna, kochanie — odparł Weasel. — To jest Ben Mears. Pisze książki.

— Miło mi — warknęła Jackie i zniknęła za zasłoną z tytoniowego dymu.

Ben napełnił swoją szklankę. Weasel poszedł w jego ślady, wykorzystując do maksimum pojemność naczynia; wzburzona piana wyrosła pianistym wianuszkiem nad krawędź, po czym uspokoiła się i cofnęła.

— Twoje zdrowie, koleś.

Ben uniósł szklankę i pociągnął spory łyk.

— Jak tam twoje pisanie?

— W porządku, Weasel.

— Widziałem cię z dziewczyną Nortonów. Niezła laseczka, lepszej, byś tutaj nie znalazł.

— Owszem, ale...

— Matt! — ryknął Weasel i Ben o mało nie upuścił szklanki. Boże, on naprawdę wrzeszczy jak zarzynany kogut, pomyślał.

— Matt Burke! — Weasel zamachał raptownie ręką. Siwowłosa mężczyzna skinął mu głową i zaczął przepychać się przez tłum. — Matt to facet, którego powinieś poznać — poinformował Bena Weasel. — Cholernie bystry sukinsyn.

Mężczyzna, któremu wreszcie udało się przedostać do ich stolika, wyglądał na jakieś sześćdziesiąt lat. Był wysoki, ubrany w czystą, flanelową koszulę, jego zaś siwe, jak u Weasela włosy były obcięte równo na wysokości uszu.

— Cześć, Weasel — powiedział.

— Jak się masz, staruszkule? Poznaj kolesia, który mieszka ze mną u Ewy. Ben Mears, pisarz. Bardzo porządny facet. — Spojrzał na Bena. — Z Mattem sikaliśmy razem w majtki, tylko że on poszedł do szkoły, a ja do roboty — zarechotał.

Ben wstał z krzesła i uściśnął wyciągniętą dłoń Matta.

— Miło mi pana poznać.

— Mnie również. Czytałem jedną z pańskich książek, panie Mears. *Powietrzny taniec*.

— Na imię mam Ben. I jak się podobała?

— Chyba bardziej niż krytykom — odparł Matt, siadając przy stoliku. — Ale wydaje mi się, że z czasem zaczął ją doceniać. A co u ciebie, Weasel?

— W porządku, jak nigdy. Jackie! — ryknął straszliwym głosem. — Szklanka dla Matta!

— Za chwilę, ty stary kogucie! — odrzyknęła Jackie, wywołując przy kilku stolikach wybuch śmiechu.

— Wspaniała dziewczyna — zachwycił się Weasel. — Córka Maureen Talbot.

— Owszem. — Matt skinął głową. — Miałem ją u siebie w klasie. Skończyła szkołę w 1971, a jej matka w 1951.

— Matt uczy angielskiego — wyjaśnił Weasel. — Na pewno będziecie mieli o czym pogadać.

— Zdaje się, że przypominam sobie tę Maureen Talbot — powiedział Ben. — Brała od mojej ciotki bieliznę do prania i przynosiła ją potem w wiklinowym koszyku z jednym uchem.

— Jesteś z tego miasteczka, Ben? — zapytał Matt.

— Mieszkałem tu jakiś czas jako chłopiec u ciotki Cynthii.

— Cindy Stowens?

— Tak.

Jackie przyniosła czystą szklankę i Matt nalał sobie piwa.

— Jednak świat jest naprawdę mały. Twoja ciotka kończyła szkołę w tym roku, kiedy zacząłem tu uczyć. Jak się miewa?

— Umarła w 1972.

— To przykre.

— Na szczęście nie cierpiała — powiedział Ben i ponownie napełnił swoją szklankę. Zespół zrobił sobie przerwę, muzycy przypuścili zdecydowany szturm na bar, a rozmowy przy stolikach odrobinę przycichły.

— Wróciłeś do Jerusalem, żeby napisać o nim książkę? — zapytał Matt.

W umyśle Bena zabrzmiał ostrzegawczy dzwonek.

— W pewnym sensie — odparł.

— W takim razie miasteczko zyskało znakomitego kronikarza. *Powietrzny taniec* bardzo mi się podobał. Wydaje się, że w Salem wisi w powietrzu jeszcze jedna znakomita książka. Kiedyś miałem nadzieję, że może uda mi się ją napisać.

— Więc dlaczego tego nie zrobiłeś?

Matt uśmiechnął się pogodnie, bez śladu cynizmu czy zgorzknienia.

— Zabrakło mi jednej bardzo ważnej rzeczy: talentu.

— Nie wierz mu — wtrącił się Weasel, pociągając ze szklanki. — Stary Matt ma kupę talentu. Być nauczycielem to wspaniała sprawa. Nikt ich nie docenia, ale... — Zachwiał się na krześle, usiłując w jakiś efektowny sposób dokończyć zdanie. Był już bardzo pijany. — ...ale oni to prawdziwa sól ziemi — zakończył triumfalnie. — Przepraszam was na chwileczkę. — Wstał niezbyt pewnie z krzesła. — Idę się wysikać.

Odmaszerował zamaszystym krokiem, objając się o ludzi i pozdrawiając każdego z nich po imieniu. Przesuwali go dalej z niecierpliwością lub rozbawieniem, tak że patrząc w ślad za nim miało się wrażenie, że jest bezustannie odbijaną, wędrującą po elektrycznym bilardzie kulą.

— Tak wygląda wrak bardzo porządnego człowieka — powiedział Matt i podniósł w górę palec. Kelnerka zjawiła się niemal od razu, zwracając się do niego „panie Burke”. Wydawała się nieco zgorzonna, że jej dawny nauczyciel angielskiego pociąga piwo w towarzystwie osobników pokroju Weasela Craiga. Kiedy poszła po kolejną butelkę, Ben miał wrażenie, że Matt odczuł już wpływ tej niewielkiej ilości alkoholu, jaką zdążył wypić.

— Lubię Weasela — odezwał się Ben. — Mam wrażenie, że kiedyś był zupełnie inny. Co mu się stało?

— Och, nic nadzwyczajnego. Po prostu zainteresowała go butelka. Co roku interesowała go coraz bardziej, a teraz poza nią nie widzi już świata. Podczas wojny dostał pod Anzio Srebrną Gwiazdę. Jakiś cynik mógłby stwierdzić, że jego życie miałoby większy sens, gdyby tam zginął.

— Nie jestem cynikiem i mimo to nadal go lubię — odparł Ben. — Chyba jednak będzie lepiej, jeśli odwiozę go dzisiaj do domu.

— Bardzo słusznie. Przychodzę tu czasem, żeby posłuchać muzyki. Lubię głośną muzykę, szczególnie od chwili, kiedy zacząłem gorzej słyszeć. Podobno interesuje cię Dom Marstenów. Czy książka będzie właśnie o nim?

Ben aż podskoczył ze zdumienia.

— Kto ci o tym powiedział?

Matt uśmiechnął się lekko.

— Jak to było w tej piosence Marvin'a Gaye'a? „Szepnęła mi to kiść winogron”. Piękna przenośnia, choć jeśli się zastanowić, to trochę dziwna. Wyobrażasz sobie kogoś stojącego z głową wetkniętą w krzak winorośli? Coś mi się wydaje, że gadam głupoty. Ostatnio zdarza mi się to coraz częściej, ale nawet nie próbuję specjalnie z tym walczyć. Mówiąc serio: dowiedziałem się o tym ze źródła, które w prasie określono by jako „dobrze poinformowane”, a dokładniej rzecz biorąc od Loretty Starcher, bibliotekarki w naszej miejscowej świątyni literatury. Przeglądałaś tam kilka razy numery *Ledgera* z informacjami dotyczącymi pewnego skandalu sprzed wielu lat, a także wypożyczyłaś dwie książki zawierające wzmianki na ten temat. A tak przy okazji: ta Lubera jest bardzo dobra, bo autor był tu w 1946 i zapoznał się dokładnie z całą sprawą, natomiast to, co napisał Snow, to tylko nie potwierdzone plotki.

— Wiem — powiedział odruchowo Ben.

Kelnerka postawiła na stole kolejne piwo, on zaś ujrzał oczami wyobraźni niepokojący obraz: rybkę pływającą jakby nigdy nic między wodorostami i kamykami, nie mającą najmniejszego pojęcia, że jej swoboda jest nieodwołalnie ograniczona szklanymi ścianami akwarium.

— To straszne, co tam się wydarzyło — odezwał się ponownie Matt, zapłaczniejszy kelnerce. — W dodatku wtopiło się już na stałe w świadomość mieszkających tu ludzi. Co prawda, takie opowieści zawsze są przekazywane z pokolenia na pokolenie, wzbogacane ciągle nowymi, mrożącymi krew w żyłach szczegółami, ale w tym przypadku wydaje mi się, że chodzi o coś więcej, o coś w rodzaju geograficznego fenomenu.

— To prawda — wyrwało się Benowi. Stary nauczyciel wypowiedział na głos to, co od chwili przyjazdu do Salem tkwiło w jego podświadomości, nie dając mu ani chwili spokoju. — Dom stoi na wzgórzu nad miasteczkiem jak... jak jakiś ponury bożek. — Zaśmiał się, żeby nadać swoim słowom nieco mniejszą wagę. Wydawało mu się, że skoro posunął się już tak daleko, musi przed tym nieznanym człowiekiem otworzyć duszę do końca. Zdawał sobie sprawę z tego, że Matt nagle zaczął przyglądać mu się ze zdwojoną uwagą.

— Właśnie na tym polega talent — powiedział Burke.

— Proszę?

— Sformułowałaś to najprecyzyjniej, jak tylko można. Dom Marstenów patrzy na nas od prawie pięćdziesięciu lat, na wszystkie nasze świństewka, zaniedbania i grzechy, dokładnie tak, jakby był jakimś bożkiem.

— Może widział też i dobre rzeczy — zauważył Ben.

— W takich małych, sennych miasteczkach nie dzieje się zbyt wiele dobrego. Najczęściej panuje w nich obojętność urozmaicana od czasu do czasu nieświadomym lub, co gorsza, świadomym złem. Zdaje się, że Thomas Wolfe napisał na ten temat co najmniej siedem funtów książek.

— Wydawało mi się, że nie jesteś cynikiem.

— Ty to powiedziałeś, nie ja. — Matt uśmiechnął się, i pociągnął łyk piwa.

Członkowie zespołu oderwali się od baru i pozełowali w kierunku estrady. Solista wziął do ręki gitarę i zaczął ją stroić.

— Zdaje się, że jeszcze nie odpowiedziałeś mi na moje pytanie. Czy ta książka będzie o Domu Marstenów?

— Chyba tak, przynajmniej w pewnym sensie.

— Wygląda na to, że ciągnę cię za język. Przepraszam.

— W porządku — powiedział Ben. Nagle przysłała mu na myśl Susan i poczuł coś w rodzaju wyrzutów sumienia. — A co z Weaselem? Długo go nie widać.

— Czy mimo naszej dość krótkiej znajomości mógłbym cię prosić o pewną przysługę? Jeśli się nie zgodzisz, w pełni to zrozumiem.

— Wał śmiało.

— Prowadzę coś w rodzaju warsztatów literackich — wyjaśnił Matt. — Chodzą tam mądre dzieciaki, głównie z jedenastej i dwunastej klasy. Chciałbym im pokazać kogoś, kto zarabia pisaniem na życie. Kogoś, kto... jak by to powiedzieć?... bierze słowo i sprawia, że staje się ono ciałem.

— Będzie mi bardzo miło — odparł Ben, nie wiadomo dlaczego czując się tak, jakby mu bardzo pochlebiono. — Ile trwają te zajęcia?

— Pięćdziesiąt minut.

— W takim razie jest szansa, że nie zdążę ich za bardzo znudzić.

— W tej konkurencji nie masz ze mną najmniejszych szans — zapewnił go Matt. — A mówiąc serio jestem pewien, że będą bardzo zainteresowani. Więc co, w najbliższym tygodniu?

— Nie ma problemu. Powiedz tylko, kiedy.

— Może we wtorek na czwartej lekcji? To będzie od jedenastej do za dziesięć dwunasta. Na pewno nikt cię nie wygwizdże, ale za to wszystkim będzie już porządnie burczało w brzuchach.

— Przyniosę zatyczki do uszu.

Matt roześmiał się.

— Bardzo się cieszę, że się zgodziłeś. Spotkamy się u mnie w gabinecie, jeśli nie zrobi ci to różnicy.

— Znakomicie. A co z... —

— Panie Burke — przerwała im Jackie, ta z bicepsami. — Weasel zasnął w męskiej toalecie. Czy może... —

— Co takiego? Tak, oczywiście. Ben, jeśli...

— Jasne.

Wstali i ruszyli przez salę. Zespół śpiewał coś o jakichś dzieciakach z Muskoguee, które bardzo lubią swego nauczyciela.

W łazience czuć było kwaśną woń moczu i chloru. Weasel siedział na podłodze oparty o ścianę między dwoma pisuarami, a jakiś chwiejący się na nogach osobnik w marynarskim mundurze sikał mniej więcej dwa cale od jego prawego ucha.

Weasel spał z otwartymi szeroko ustami. Wyglądał potwornie staro, jakby był we władaniu nieludzkich, obojętnych sił. Do Bena, nie po raz pierwszy zresztą, dotarła ze zdwojoną mocą świadomość, że z każdym dniem te siły dokonują również i na nim swego dzieła zniszczenia. Współczucie, które podплыnęło mu do gardła gorzkim, lodowatym strumieniem, dotyczyło zarówno Weasela, jak i jego samego.

— Podniesiemy go, jak tylko ten gentleman skończy — powiedział Matt.

Ben spojrział na marynarza, który flegmatycznie strzepywał ostatnie krople.

— Mógłbyś się trochę sprężyć, kolego?

— A niby czemu? Jemu chyba nigdzie się nie śpieszy. Mimo to zapiął rozprek i cofnął się o krok?

Ben nachylił się, zarzucił sobie ramię Weasela na szyję i dźwignął go niczym porzucony przez kogoś worek. Matt stanął z drugiej strony i we dwóch powlekli go do drzwi.

— Uwaga, idzie Weasel! — zawołał czyjś podpity głos, wywołując wybuch śmiechu.

— Dell w ogóle nie powinien mu sprzedawać — wysapał Matt. — Przecież wie, jak to się zawsze kończy.

Wyszli z sali do szatni, a potem na zewnątrz i po drewnianych schodach na parking.

— Ostrożnie — stęknął Ben. — Żeby go nie upuścić. Wlokące się za nimi nogi Weasela zadudniły na stopniach niczym kłody drewna.

— W ostatnim rzędzie, citroen. . .

W powietrzu czuć już było wyraźnie ostry, jesienny chłód i należało się spodziewać, że nazajutrz większość liści przybierze szkarłatną barwę. Weasel wybełkotał coś niezrozumiale.

— Dasz radę sam zanieść go do łóżka? — zapytał Matt.

— Chyba tak.

— To dobrze. Popatrz, tam nad drzewami widać dach Domu Marstenów.

Ben spojrział we wskazanym kierunku. Matt miał rację; tuż nad czarną linią sosen można było dostrzec ostry, zakłócający jej przebieg szczyt. Ben odwrócił wzrok i otworzył drzwi po stronie pasażera.

— Wsadźmy go tutaj.

Wepchnął Weasela na fotel i zatrzasnął drzwi. Głowa nieprzytomnego mężczyzny oparła się bezwładnie o szybę.

— A więc we wtorek o jedenastej?

— Zgoda.

— Wspaniale. I dziękuję w imieniu Weasela. — Matt wyciągnął dłoń, którą Ben mocno uściśnął.

Wsiadł do samochodu, uruchomił silnik i ruszył w kierunku miasteczka. Świecący jasno neon zniknął za pierwszym zakretem. Szosę spowijała całkowita ciemność. Na pewno teraz tu straszny, pomyślał Ben.

Weasel jęknął przeraźliwie. Ben drgnął nerwowo i samochód skręcił nagle na środek szosy.

Dlaczego mi to przyszło do głowy?

Nikt mu nie odpowiedział.

7

Otworzył małą szybkę, tak że do wnętrza wpadał strumień zimnego powietrza, dzięki czemu w chwili, gdy zatrzymał samochód przed pensjonatem, Weasel częściowo odzyskał przytomność.

Ben wprowadził go po tylnych schodach do kuchni, oświetlonej fluorescencyjnym blaskiem zegara zainstalowanego w kuchence. Weasel ponownie jęknął, a potem wymamrotał ledwo zrozumiałe:

— To wspaniała kobieta, Jack... Ale mężatka... W kuchni pojawił się jakiś cień. Była to Eva, w podomce i papilotach. Jej pokryta kremem twarz świeciła w półmroku upiornym blaskiem.

— Ed... — wyszeptała. — Och, Ed... Nie możesz przestać, prawda? Na dźwięk jej głosu otworzył oczy, a na jego twarzy pojawiło się coś w rodzaju uśmiechu.

— Pewnie, że nie mogę — wymamrotał. — Ty chyba najlepiej wiesz...

— Da pan radę zaprowadzić go do pokoju? — zapytała Bena.

— Oczywiście.

Ujął go mocniej i jakoś wciągnął niemal bezwładnego mężczyznę po schodach. Drzwi do pokoju były otwarte, więc zataszczył go od razu do środka i położył na łóżku. W chwili, gdy głowa Weasela dotknęła poduszki, opuściły go resztki świadomości i zapadł w głęboki sen.

Ben rozejrzał się dookoła. Pokój był niemal sterylnie czysty, wszystkie zaś znajdujące się na wierzchu przedmioty ułożone w wojskowym porządku. Zaczął rozwiązywać Weaselowi sznurowadła, ale powstrzymał go głos Ewy:

— Nie trzeba, panie Mears. Może pan iść już spać.

— Ale...

— Ja się tym zajmę. — Jej twarz była pełna spokojnego smutku. — Rozbiore go i natrę mu alkoholem skronie, żeby rano nie bolała go głowa. Robiłam to już wiele razy.

— W porządku — powiedział Ben i nie oglądając się poszedł na górę.

Rozbierał się powoli, a potem pomyślał, czy nie warto by wejść pod prysznic, ale zrezygnował z tego. Leżał wpatrując się w sufit i bardzo długo nie mógł zasnąć.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Miasteczko (II)

1

Jesień i wiosna przychodzą do Salem równie nagle, jak wschód i zachód słońca w tropikach. Zmiana pory roku może nastąpić nawet w ciągu jednego dnia. Jednak wiosna w Nowej Anglii nie jest najpiękniejszą porą roku — jest zbyt krótka, zbyt niepewna i mija, zanim, na dobrą sprawę, ktokolwiek zdąży ją zauważyć. Mimo to są takie kwietniowe dni, których wspomnienie pozostaje nawet wtedy, gdy zapomniało się miękkości ciała żony lub dotknięcia bezzębnych ust dziecka na piersi. Począwszy od połowy maja słońce wschodzi ze zdecydowanie większą pewnością siebie i stając o siódmej rano na ganku swego domu z kanapkami zapakowanymi w foliową torbę wiesz, że najdalej o ósmej znikną ostatnie krople rosy z pól, że kurz wzbity na polnej drodze kołami przejeżdżającego samochodu będzie wisiał nieruchomo w powietrzu przez co najmniej pięć minut i że o pierwszej po południu w tkalni, w której pracujesz, będzie już panował potworny upał, a koszula przyklei ci się do spoconego grzbietu tak samo, jak w gorące czerwcowe lub lipcowe dni.

Kiedy pewnego dnia w drugiej połowie września nadchodzi jesień, wyganiając ociągające się lato celnym, zdecydowanym kopniakiem, zatrzymuje się zawsze na dłużej niż stary, dawno nie widziany przyjaciel. Osiada na ziemi, tak jak on zawsze siada na swoim ulubionym fotelu, wyjmując fajkę, zapala ją i opowiada o miejscach, które widział, i rzeczach, które robił przez ten czas, kiedy był daleko od ciebie.

Zostaje przez cały październik, a czasem nawet jeszcze przez część listopada. Dzień w dzień niebo ma intensywnie niebieski kolor, obłoki zaś przesuwane się po nim z zachodu na wschód przypominają dostojne, białe statki o pomalowanych na szaro kilach. Wiatr wieje bez chwili przerwy, popędzając przemykających ulicami ludzi i szeleszcząc wirującymi w obłądnym tańcu liśćmi. Wywołuje w człowieku ból umiejscowiony znacznie głębiej niż w ciele, a mianowicie w duszy, poruszając tam tkwiącą od zarania gatunku strunę krzyczącą rozpaczliwie: „Ruszać w drogę, bo umrzesz! Ruszać w drogę, bo umrzesz!” Nawet kiedy siedzisz w domu, skryty bezpiecznie za jego ścianami i słyszysz, jak wiatr uderza w mury

i okna swymi bezcielesnymi pięściami, nie możesz się powstrzymać, żeby w pewnej chwili nie odłożyć tego, co akurat robisz, i wyjść na dwór, żeby zobaczyć, co się dzieje. Stanąwszy późnym popołudniem w drzwiach lub na schodach ujrzysz, jak cienie obłoków gnają na oślep przez pastwisko Griffenów i Szkolne Wzgórze, niczym na przemian otwierane i zamykane żaluzje w oknach jakichś tajemniczych bogów, a także kępy akacji, najpiękniejszych i najbardziej odpornych drzew Nowej Anglii, chylące się w podmuchach wiatru niczym milczący tłum żałobników. Jeżeli akurat nie słysząc żadnych samochodów ani samolotów, jeżeli w lesie nie poluje żaden myśliwy i jeżeli jedynym odgłosem jest bicie twego serca, to możesz usłyszeć jeszcze inny odgłos — odgłos życia układającego się do snu i czekającego na nadejście pierwszego zimowego śniegu.

2

Tego roku pierwszym dniem jesieni (tej prawdziwej, nie kalendarzowej) był 28 września — dzień, w którym Danny Glick został pochowany na cmentarzu na Wzgórzu Spokoju.

W uroczystościach kościelnych brała udział wyłącznie rodzina, lecz na cmentarzu stawiała się znaczna część ludności miasteczka — koledzy szkolni, ciekawscy, a przede wszystkim ludzie podeszli wiekiem, dla których wraz z mijającymi latami udział w takich ceremoniach staje się wewnętrznym nakazem niemożliwym do przewyciężenia.

Samochody jechały Burns Road długim szeregiem, niknącym za szczytem następnego wzgórza. Wszystkie, pomimo jasnego dnia, miały włączone światła. Kondukt otwierał karawan Carla Foremana o tylnych szybach zastawionych kwiatami, za nim jechał mercury Tony'ego Glicka, prychając nierówno z powodu uszkodzonego tłumika, w czterech zaś następnych samochodach członkowie rozproszonej niemal po całym kraju rodziny. Wśród pozostałych uczestników tej smutnej uroczystości znajdowali się między innymi: Mark Petrie (do którego tamtej nocy wybierali się Ralphie i Danny) wraz z matką i ojcem; Richie Boddin z rodziną; państwo Norton, a z nimi Mabel Werts (siedząc z tyłu, z laską opartą na podłodze między opuchniętymi nogami opowiadała bez chwili przerwy o wszystkich pogrzebach, w jakich brała udział począwszy od roku 1930); Lester Durham z żoną Harriet; Paul Mayberry z żoną Glynis; Pat Middler, Joe Crane, Vinnie Upshaw i Clyde Corliss, wszyscy w samochodzie prowadzonym przez Milta Crossena (przed wyjazdem Milt wyjął z lodówki sześć puszek piwa, które wysączyli, siedząc w milczeniu wokół pieca); Eva Miller w towarzystwie swoich dwóch przyjaciółek, Loretty Starcher i Rhody Curless; Parkins Crillespie i Nolly Gardner w wozie policyjnym, czyli w fordzie Parkinsa z wystawionym na dach migającym światłem; Lawrence Crockett wraz ze swoją niezbyt zdrowo wyglądającą

żoną; Charles Rhodes, zgorzkniały kierowca szkolnego autobusu, uczęszczający z zasady na wszystkie pogrzeby bez wyjątku; rodzina Charlesa Griffena łącznie z Halem i Jackie'm, jedynymi spośród synów, którzy nadal mieszkali z rodzicami.

Mike Ryerson i Royal Snow wykopali wcześniej rano grób, przykrywając sterty świeżej ziemi sztuczną, soczyście zieloną trawą. Zgodnie z życzeniem rodziny zmarłego, Mike zapalił duży znicz. Cały czas wydawało mu się, że Royal jest jakiś nieswój. Zwykle bez przerwy opowiadał najróżniejsze dykteryjki i wyśpiewywał zabawne piosenki dotyczące ich zajęcia, natomiast tego ranka był bardzo milczący, a nawet ponury. Może ma kaca, pomyślał Mike. Zdaje się, że razem z tym swoim umięśnionym kolegą, Petersem, tankowali u Della do późnej nocy.

Kilka minut temu, kiedy na zboczu wzgórza odległego o mniej więcej milę dostrzegł karawan Carla jadący na czele konduktu, otworzył szeroko bramę, nie mogąc się powstrzymać, by nie rzucić okiem po raz kolejny na żelazne pręty, na których znalazł martwego Doca. Następnie wrócił pośpiesznie nad otwarty grób, przy którym czekał już ojciec Donald Callahan, proboszcz miejscowej parafii. Miał na sobie stulę, w dłoniach zaś trzymał książkę otwartą na modlitwach przewidzianych podczas pogrzebów dzieci. Mike wiedział, że znajdują się na tak zwanej trzeciej stacji. Pierwsza była w domu zmarłego, druga w niewielkim kościółku św. Andrzeja, trzecia zaś i ostatnia tu, na Wzgórzu Spokoju.

Czując dziwny niepokój, spojrzął na jaskrawą, sztuczną trawę. Dlaczego korzysta się z niej podczas każdego pogrzebu? Przecież wygląda dokładnie na to, czym jest — marną imitacją życia, kryjącą pod sobą ciężkie, brunatne grudy ziemi stanowiącej koniec wszystkiego. — Już jada, ojczce.

Callahan był wysokim mężczyzną o przenikliwych, błękitnych oczach, stalowoszarych włosach i zawsze różowej twarzy. Ryerson, który ostatni raz był w kościele w wieku szesnastu lat, lubił go najbardziej spośród wszystkich miejscowych kapłanów. Pastor John Groggins od metodystów był nieszczerym głupkiem, Patterson zaś z Kościoła Świętych Dnia Ostatniego i Czcieli Krzyża miał najzwyczajniejszego szmergla. Dwa lata temu, podczas pogrzebu jednego ze swoich kapłanów, rzucił się na ziemię i zaczął się tarzać jak wariat. Jak na papistę Callahan był zupełnie w porządku. Wszystkie pogrzeby załatwiał sprawnie, mówił z sensem, a co najważniejsze, krótko. Co prawda Ryerson żywił pewne wątpliwości, czy ta różowa cera księdza i popękane żyłki wokół nosa wzięły się wyłącznie z nadmiaru modlitewnego zapału, ale nawet jeśli Callahan trochę sobie popijał, to czy można go było potępiać? Biorąc pod uwagę to, co działo się na świecie, i tak należało się dziwić, że wszyscy duchowni nie kończyli na przymusowym odwyku.

- Dziękuję, Mike — powiedział ojciec Callahan i spojrzął w pogodne niebo.
- To nie będzie miłe.
- Też tak mi się wydaje. Jak długo?
- Nie więcej niż dziesięć minut. Nie chcę niepotrzebnie przedłużać! cierpień

tych ludzi. Będą ich jeszcze mieli pod dostatkiem.

— Jasne — odparł Mikę i ruszył w kierunku tylnej części cmentarza. Przejdzie przez kamienny mur, wejdzie do lasu i spokojnie zje spóźniony lunch. Wiedział z doświadczenia, że dla rodziny pogrążonej w rozpaczynie najmniej pożądanym widokiem podczas pogrzebu jest grabarz w kombinezonie wysmarowanym ziemią. Szczególnie wtedy, jeśli kapłan akurat roztacza wizję wiecznego życia i niebiańskich bram.

Znalazłszy się przy murze nachylił się, by na jednym z grobów poprawić przekrzywioną płytę. Kiedy przypadkowo rzucił okiem na znajdujący się na niej napis, poczuł, jak całe ciało pokrywa mu się gęsią skórą.

HUBERT BARCLAY MARSTEN

6 października 1889

12 sierpnia 1939

**Anioł Śmierci, dzierżący w dłoniach brązową lampę
Zabrał Cię ze sobą w mroczne odmęty**

A niżej jeszcze jedna linijka, niemal zupełnie starta trzydziestosześcioletnim działaniem mrozu i deszczu:

Boże, spraw, aby spoczywał w pokoju.

Mikę Ryerson przeszedł przez mur i wszedł między drzewa, z niewiadomych przyczyn czując nie dający się uciszyć niepokój.

3

Na samym początku nauki w seminarium jeden z przyjaciół ojca Callahana dał mu w podarunku plakietkę z bluźnierczą sentencją, która wówczas wywołała u niego wybuch przerażonego śmiechu, ale po latach okazała się znacznie bardziej prawdziwa, niż mógł przypuszczać: „Boże, użyż mi **pogody ducha**, abym godził się z tym, czego nie mogę zmienić, **odwagi**, abym zmieniał to, co mogę zmienić,

i **szczęścia**, aby mi się jedno z drugim nie popieprzyło”. Litery były eleganckie i ozdobne, w tle zaś namalowane było wschodzące słońce.

Teraz, kiedy stał przed żałobnikami przybyłymi na pogrzeb Danny’ego Glicka, przypomniał sobie tę sentencję.

Krewni chłopca niosący trumnę postawili ją na ziemi. Marjorie Glick ubrana w czarny płaszcz i kapelusz chwiała się lekko, podtrzymywana przez swego ojca, ściskając w rękę torebkę z taką siłą, jakby od tego zależało jej życie. Twarz widoczna zza fałd woalki była biała niczym twaróg. Tony Glick stał kilka kroków od niej. Podczas mszy kilka razy rozglądał się ze zdumieniem dookoła, jakby chciał się upewnić, że to wszystko dzieje się naprawdę, ale mimo to wyraz jego oczu świadczył o tym, że to, co się wokół niego odbywa, traktuje jak senny koszmar.

Kościół nie pomoże mu obudzić się ze snu, pomyślał ojciec Callahan. Ani Kościół, ani cała pogoda ducha, odwaga i szczęście, jakie można znaleźć na świecie. Wszystko już się dokumentnie popieprzyło. Pokropił grób i trumnę święconą wodą.

— Módlmy się — powiedział. Słowa, melodyjne i kształtne, popłynęły mu gładko z gardła jak zawsze, niezależnie od tego, gdzie je wypowiadał ani czy był akurat trzeźwy, czy pijany.

— Boże Ojcze, przez Twoją łaskę ci, którzy w Tobie żyją, znajdują wieczny spokój. Pobłogosław ten grób i ześlij Swego anioła, aby go strzegł. Żegnając Daniela Glicka prosimy Cię, przyjmij go do Swojej światłości i pozwól, aby wraz z Twoimi świętymi cieszył się szczęściem wiecznym, przez Chrystusa, Pana naszego. Amen.

— Amen — odpowiedzieli wierni, a wiatr porwał to słowo i rozwlókł je w strzępach po cmentarzu. Tony Glick rozglądał się wokół szeroko otwartymi oczami, a jego żona przyciskała do ust chusteczkę.

— Wierząc w Jezusa Chrystusa, przynosimy oto ciało tego dziecka, by w swej ludzkiej niedoskonałości zostało złożone do grobu. Módlmy się do Boga, dawcy wszelkiego życia, by zechciał wskrzesić je do życia w Swojej chwale.

Przerzucił strony mszału. Kobieta w trzecim rzędzie zaczęła głośno szlochać. Gdzieś w lesie zaświergotał jakiś ptak.

— Módlmy się za duszę naszego brata. Daniela Glicka, do Pana naszego Jezusa Chrystusa, który nam powiedział: „Ja jestem zmartwychwstaniem i życiem. Ten, kto we mnie wierzy, będzie żył wiecznie”. Boże, który przywróciłeś do życia Łazarza, Twego przyjaciela, pociesz nas w naszym bólu. Ciebie prosimy. . .

— Wysłuchaj nas. Panie — odpowiedzieli wierni.

— Ty zmartwychwstając pokonałeś śmierć. Daj naszemu bratu Danielowi wieczne życie. Ciebie prosimy. . .

— Wysłuchaj nas. Panie. — W oczach Tony’ego Glicka pojawiła się iskra zrozumienia.

— Nasz brat Daniel przyjął chrzest w Twoje imię. Przyjmij go do grona Swych świętych. Ciebie prosimy. . .

— Wysłuchaj nas, Panie.

— Karmił się Twoim ciałem i krwią. Udziel mu miejsca przy stole w Niebieskim Królestwie. Ciebie prosimy. . .

— Wysłuchaj nas, Panie. Marjorie Glick zaczęła głośno jęczeć, kotysząc się w przód i w tył.

— Pociesz nas, pogrążonych w rozpacz po śmierci naszego brata. Pozwól, aby nasza wiara napełniła nas nieprzemijającą nadzieją. Ciebie prosimy. . .

— Wysłuchaj nas, Panie.

Callahan zamknął mszał.

— Módlmy się tak, jak nas nauczył Pan — powiedział cicho. — Ojcze nasz, któryś jest w niebie. . .

— Nie! — ryknął Tony Glick i rzucił się w stronę grobu. — Nie zakopiecie do ziemi mojego chłopca!

Wyciągnęły się ręce, żeby go powstrzymać, ale było już za późno. Przez chwilę zachwiał się na krawędzi dołu, a potem poślizgnął się na sztucznej trawie i wpadł do grobu, lądując z potwornym łoskotem na trumnie.

— Danny, natychmiast wychodź! — zawołał.

— Och, mój Boże! — szepnęła Mabel Werts, przyciskając do ust czarną chusteczkę, przeznaczoną specjalnie na tego typu okazje. Obserwowała wszystko szeroko otwartymi oczami, chłonąc i gromadząc informacje jak wiewiórka zbierająca zapasy na zimę.

— Danny, do cholery, przestań się wreszcie wygłupiać!

Callahan skinął głową i dwaj mężczyźni wskoczyli do otwartego grobu, ale w ich ślady musiało pójść jeszcze trzech, w tym Parkins Gillespie i Nolly Gardner, zanim wrzeszczący i wściekłe kopiący Glick został wyciągnięty.

— Danny, natychmiast się uspokój! Przestraszyłeś mamę! Czekał, zaraz ci za to zerznę tyłek! Puśćcie mnie! Puśćcie mnie, skurwysyny! Ja muszę do mojego chłopca!

— Ojcze nasz, któryś jest w niebie. . . — zaczął ponownie ojciec Callahan. Inne głosy dołączyły się do niego, niosąc modlitwę w kierunku obojętnej kopuły nieba.

— . . . święć się imię Twoje, przyjdź królestwo Twoje, bądź wola Twoja. . .

— Danny, wracaj, słyszysz? Natychmiast wracaj!

— . . . jako w Niebie, tak i na ziemi. Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj i odpuść nam. . .

— Daaaannnyyyyy!

— . . . nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom. . .

— On nie umarł! Mówię wam, wy cholerni skurwiele, że on nie umarł!

— . . . i nie wódź nas na pokuszenie, ale nas zbaw ode złego. Amen.

— On nie umarł — szlochał Tony Glick. — To niemożliwe. Do cholery, on przecież ma dopiero dwanaście lat. — Szloch zamienił się w płacz i Tony o mało nie upadł, choć podtrzymywało go kilku mężczyzn. Osunął się na kolana przed Callahanem i chwycił go za spodnie rękami ubrudzonymi ziemią. — Oddajcie mi mojego chłopca. Błagam, nie dręczcie mnie już dłużej!

Ksiądz delikatnie położył mu na głowie swoje dłonie.

— Módlmy się — powiedział. Czuł, jak ciało Glicka drży spazmatycznie, wstrząsane potwornym łkaniem.

— Boże, ześlij uspokojenie na udręczone dusze tego człowieka i jego żony. Tyś oczyścił ich dziecko w wodzie Swego chrztu i dałeś mu nowe życie. Spraw, abyśmy kiedyś połączyli się z nim i dzielili wraz z nim życie wieczne. Prosimy Cię o to w imię syna Twojego Jezusa Chrystusa. Amen. Uniósł głowę i zobaczył, jak Marjorie Glick osuwa się na ziemię.

4

Kiedy wszyscy już poszli. Mike Ryerson wrócił do grobu i usiadł na jego krawędzi, żeby dokończyć ostatnią kanapkę i poczekać na Royała.

Pogrzeb rozpoczął się o czwartej, teraz zaś dochodziła niemal piąta. Cienie wydłużyły się, a promienie słońca padały już przez zasłonę utworzoną z gałęzi dębów rosnących przy zachodnim murze cmentarza. Ten skunks Royal obiecał, że wróci najpóźniej za kwadrans piąta, więc gdzie on się pęta, do cholery?

Kanapka była z mielonką i serem, a więc jego ulubiona. Jedną z zalet życia w samotności jest to, że zawsze można jadać swoje ulubione kanapki, pomyślał przetykając ostatni kęs, po czym otrzepał ręce, rzucając na trumnę kilka okruszków.

K t o ś g o o b s e r w o w a ł .

Poczuł to nagle, ale nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości. Powiódł dokoła przestraszonym spojrzeniem.

— Royal? To ty, Royal?

Żadnej odpowiedzi. Wiatr poruszał gałęziami drzew, zmuszając je do tajemniczego szeptu. W cieniu spowijającym teren przy samym murze Mike widział wyraźnie nagrobek Huberta Marstena i nagle, nie wiadomo czemu, przyszedł mu na myśl pies Wina wiszący bez życia na żelaznych prętach bramy.

Spojrzenie. Zimne i pozbawione emocji. Wlepione w niego.

C i e m n o ś c i , n i e z a s t a ń m n i e t u t a j .

Poderwał się na nogi, bo wydawało mu się, że ktoś powiedział to na głos.

— Niech cię szlag trafi, Royal — mruknął. Wiedział już, że Snow na pewno nie przyjdzie i że będzie musiał wszystko zrobić sam. Zajmie mu to dużo czasu.

Być może aż do zmroku. Zabrał się do pracy, nie starając zrozumieć przyczyny dręczącego go niepokoju i nie zastanawiając się, dlaczego to, co wielokrotnie robił bez najmniejszych oporów, teraz napawa go obezwładniającym lękiem.

Szybkimi, oszczędnymi ruchami zdjął z wydobytej z wykopu ziemi pasy sztucznej trawy i zwinawszy je w ciasne rulony zaniósł do zaparkowanego przed bramą samochodu. W chwili, gdy wyszedł poza teren cmentarza, przykre wrażenie, że jest obserwowany, natychmiast minęło.

Wziął z samochodu łopatę i ruszył z powrotem, ale niemal od razu zawahał się i przystanął, spoglądając niepewnie w kierunku rozkopanego grobu.

Uświadomił sobie teraz, że to uczucie zniknęło nieco wcześniej, wtedy, gdy stracił z oczu stojącą na dnies dołu trumnę. Bez trudu mógł sobie wyobrazić Danny'ego Glicka leżącego na jedwabnej poduszce z szeroko otwartymi oczami. Nie, to nie miało żadnego sensu; przecież nieboszczykom zawsze zamyka się oczy. Widział kilka razy, jak robi to Carl Foreman. „Kleimy je”, powiedział kiedyś Carl. „Głupio by było, gdyby umarłak zaczął nagle mrugać do żałobników, nie?”

Stanąwszy ponownie nad grobem nabrał pełną łopatę ziemi i rzucił ją w dół. Upadła na błyszczącą, mahoniową skrzynię z głuchym łoskotem. Mike skrzywił się, bo poczuł coś w rodzaju zawrotu głowy i wyprostował, spoglądając na leżące nie opodal wieńce. Co za cholerna strata pieniędzy, pomyślał. Do jutra wszystkie kwiaty zwiędną. Nigdy nie potrafił tego zrozumieć. Jeżeli już ktoś naprawdę ma za dużo forsy, to dlaczego nie wpłaci jej na konto Fundacji Walki z Rakim albo nie da Pomocy Społecznej? Wtedy przynajmniej byłby z tego jakiś pożytek.

Wrzucił do dołu kolejną łopatę ziemi i ponownie znieruchomiał.

Albo weźmy na przykład tę trumnę: piękna, mahoniowa trumna, warta pewnie co najmniej tysiąc dolarów, a on jakby nigdy nic zasypuje ją ziemią. Glickowie wcale nie śmierzili forszą, a ubezpieczenie też pewnie za to nie zapłaciło, bo kto ubezpiecza dwunastoletnie dzieci na wypadek śmierci? Na pewno zadłużyli się po uszy tylko po to, żeby kupić drewnianą skrzynię, która i tak zgnije w ziemi.

Nachylił się, wbił łopatę po raz trzeci i z ociąganiem strząsnął ziemię do grobu. Znowu ten okropny łoskot. Wierzch trumny był już przysypany ziemią, ale i tak wypolerowany mahoń błyszczał oskarżycielsko spod cienkiej warstwy piachu.

P r z e s t a ń n a m n i e p a t r z e ć .

Następna łopata.

Łup.

Cienie robiły się coraz dłuższe. Mike przerwał, spojrział w górę i zobaczył Dom Marstenów. Wschodnia ściana, na którą zawsze padały pierwsze promienie zwiastującego nowy dzień słońca, wpatrywała się zamkniętymi ślepiami okien w bramę cmentarza, na której. . .

Zmusił się, żeby wykonać jeszcze jeden ruch.

Łup.

Część ziemi zsunęła się po bokach trumny, osiadając na metalowych zawiasach. Gdyby teraz otworzyć jej wieko, rozległoby się głośnie, przeraźliwe skrzywienie.

Przestań na mnie patrzeć, do cholery!

Zamachnął się łopata, ale doszedł do wniosku, że musi chwilę odpocząć. Czytał kiedyś — zdaje się, że w *National Enquirer* — o naftowym bogaczu z Teksasu, który kazał się pochować w nowiutkim cadillaku Coupe de Ville. Zrobili to, a jakże. Wykopali koparką dół i opuścili samochód za pomocą dźwigu. Cholera, i pomyśleć, że ludzie jeżdżą gruchotami, które trzymają się wyłącznie na słowo honoru, a jakaś bogata świnia każe się zagrzebać w ziemi z samochodem wartości dziesięciu tysięcy dolarów, nie licząc dodatkowego wyposażenia. . .

Potrząsnął raptownie głową i cofnął się o krok. Niewiele brakowało, a wpadłby w jakiś trans, czy coś w tym rodzaju. Wrażenie, że jest bezustannie obserwowany, wyraźnie się nasiliło. Rozejrzawszy się stwierdził z przerażeniem, że zaczęło się już zmierzchać. Promienie słońca oświetlały już jedynie piętro Domu Marstenów. Zegarek wskazywał dziesięć po szóstej. Boże, minęła cała godzina, a on przerzucił zaledwie kilka łopat ziemi!

Wziął się ostro do pracy, starając się o niczym nie myśleć. Łup, łup, łup, a potem odgłos każdego następnego uderzenia stawał się coraz bardziej przytłumiony, w miarę jak rosła warstwa ziemi, z boku sięgając już solidnej, przewleczonej przez metalowe ucha kłódki.

Z rozpędu machnął łopata jeszcze dwa razy, po czym znieruchomiał.

Kłódka?

Dlaczego ktoś wpadł na pomysł, żeby zamknąć trumnę na kłódkę? Czyżby bali się, że ktoś będzie chciał dostać się do środka? Chyba tak, bo chyba nie chodziło o to, żeby. . .

— Przestań na mnie patrzeć, do cholery! — powiedział na głos Mike Ryerson i niemal jednocześnie poczuł, że serce podchodzi mu do gardła. Najbardziej na świecie pragnął teraz jednego: uciec stąd jak najszybciej i jak najdalej. Opanował się jedynie z najwyższym trudem. To tylko przywidzenia, próbował się uspokoić. Jak się pracuje na cmentarzu, to prędzej czy później musi się coś takiego przytrafić. Zupełnie jak na jakimś pieprzonym horrorze: dwunastoletni martwy dzieciak z szeroko otwartymi oczami. . .

— Boże, przestań! — jęknął, kierując przerażone spojrzenie na Dom Marstenów. Słońce oświetlało już tylko dach. Było piętnaście po szóstej.

Pośpiesznie zabrał się do roboty, usiłując za wszelką cenę nie dopuścić do siebie cisnących się ze wszystkich stron myśli. Uczucie, że jest obserwowany, zamiast osłabnąć, przybrało jeszcze na sile, a każdy kolejny ruch przychodził mu z coraz większym trudem. Trumna zniknęła już pod cienką warstwą ziemi, ale nadal było wyraźnie widać jej podłużny kształt.

Ku swemu zdziwieniu stwierdził, że odmawia po cichu modlitwę za zmarłych.

Słyszał ją niedawno, gdy siedział w lesie i jadł kanapkę.

Módlmy się za naszego brata do Pana naszego, Jezusa Chrystusa, który...

(O, mój ojczy, obdarz mnie swą łaską.)

Przerwał i zajrzał do grobu. Był głęboki. Bardzo głęboki. Cienie nadchodzącej nocy już go wypełniły niczym jakaś złowroga, żywa istota. Dzisiaj nie uda mu się go zasypać. Nie ma nawet mowy.

Ja jestem zmartwychwstaniem i życiem. Ten, kto żyje we mnie, żyć będzie wiecznie...

(Władco Much, obdarz mnie swą łaską.)

Tak, oczy są otwarte. To dlatego wciąż wydaje mu się, że ktoś go obserwuje. Carl pożałował kleju, powieki uniosły się niczym zasłony w oknie i teraz mały Glick wpatruje się prosto w niego. Coś trzeba z tym zrobić.

...i nikt, kto wierzy we mnie, nie zazna wiecznej śmierci...

(Przynoszę ci w ofierze zgniłe mięso i rozkładające się ciało.)

Trzeba odgarnąć ziemię. Odgarnąć ją, rozwalić łopata kłódkę, otworzyć trumnę i zamknąć te okropne oczy. Nie ma przy sobie kleju, ale znalazł w kieszeni dwie srebrne monety. Srebro. Tak, właśnie tego chłopcu trzeba.

Wiszące nad Domem Marstenów słońce oświetlało już jedynie najdalsze, zachodnie krańce miasteczka. Choć wszystkie okiennice były zamknięte. Mike nie miał najmniejszych wątpliwości, że dom na wzgórzu wpatruje się w niego z natężeniem.

Ty wskrzesiłeś martwych, przywołując ich z powrotem do życia. Prosimy Cię, daj naszemu bratu Danielowi życie wieczne...

(Spełniłem ofiarę na twoją cześć. Daję ci ją moją lewą ręką.)

Nagle Mike wskoczył do otwartego grobu i zaczął gwałtownymi ruchami odkopywać trumnę, wyrzucając w górę brunatne fontanny ziemi. Kiedy łopata uderzyła w drewniane wieko, odrzucił ją, padł na kolana i dokończył dzieła rękami, po czym ponownie wziął narzędzie do ręki i raz za razem począł uderzać w zatrzaśniętą kłódkę.

Od strony strumienia zaczęły dobiegać pierwsze dźwięki wieczornego koncertu żab, a w lesie rozległo się płaczliwe zawodzenie lelka.

Za dziesięć siódma.

Co ja robię, przemknęło mu przez głowę zdumione pytanie. Boże, co ja robię?

Znieruchomiał na chwilę, usiłując się nad tym zastanowić, ale jakiś drażący najgłębsze pokłady jego świadomości głos popędzał go, żeby się spieszył, dopóki nie zaszło słońce...

Ciemności, nie zastań mnie tutaj.

Zamachnął się łopata, uderzył jeszcze raz i kłódkę odskoczyła z głośnym trzaskiem. W ostatnim przebłysku zdrowego rozsądku przez kilka sekund wpatrywał się w nią wytrzeszczonymi oczami, a potem, nie zważając na strużki potu złościące

jasne smugi na jego pokrytej brudem twarzy wypełził z grobu, położył się na brzuchu tuż przy jego krawędzi, chwycił za wystające uchwyty przy wieku trumny i pociągnął z całej siły do siebie.

Na niebie pojawiła się jasna plamka Wenus.

Wiek zaskrzypiał dokładnie tak, jak sobie wyobrażał, odsłaniając najpierw różowy jedwab, potem ciemny rękaw (Danny został pochowany w garniturku od Pierwszej Komunii), a potem... potem twarz.

Mike zakrztusił się własnym oddechem.

Oczy były otwarte. Dokładnie tak, jak się tego spodziewał. Szeroko otwarte i błyszczące. W różowej, niemal tryskającej energią twarzy nie sposób było doszukać się żadnych znamion śmierci.

Mike usiłował oderwać spojrzenie od tych roziskrzonych, wpatrujących się w niego oczu, ale nie mógł.

— Boże... - jęknął.

Czerwona tarcza słońca zniknęła za horyzontem.

5

Mark Petrie pracował w swoim pokoju nad modelem potwora doktora Frankensteina, słuchając jednocześnie dobiegającej z dołu rozmowy rodziców. Jego pokój znajdował się na piętrze domu przy południowej Jointer Avenue; co prawda, obecnie dom był ogrzewany za pomocą nowoczesnego pieca olejowego, ale w ścianach pozostały jeszcze stare przewody wentylacyjne z zamkniętymi metalowymi kratkami otworami. W dawnych czasach docierało nimi z kuchni ciepłe powietrze, ale i tak kobieta, która wraz ze swoim mężem mieszkała w tym domu od roku 1873 do 1896, zawsze brała do łóżka gorącą, zawiniętą we flanelową szmatkę cegłę. Teraz przewody wentylacyjne służyły innemu celowi, bo równie znakomicie przenosiły wszelkie dźwięki.

Chociaż rodzice siedzieli w salonie, słyszał ich tak dobrze, jakby stali tuż za jego drzwiami.

Kiedyś, kiedy jeszcze w starym domu ojciec przyłapał go na podsłuchiwanie — Mark miał wtedy sześć lat — zacytował mu stare, angielskie porzekadło: Nigdy nie staraj się słuchać zbyt pilnie, bo możesz usłyszeć coś, co ci się wcale nie spodoba.

Można na to było odpowiedzieć innym przysłowiem: Zawsze lepiej dmuchać na zimne.

Mając dwanaście lat Mark był mniejszy i delikatniej zbudowany od większości swoich rówieśników, natomiast poruszał się z wdziękiem i lekkością rzadko spotykaną w tym wieku, kiedy to chłopcy wydają się składać niemal wyłącznie z kolan, łokci i strupów. Miał jasną, prawie mleczną cerę i rysy twarzy, które

w przyszłości powinny stać się orlimi, a na razie wydawały się po prostu kobiece. Jeszcze przed potyczką z Richie'm Boddinem doznawał z tego powodu różnych przykrości, ale postanowił, że zawsze sam będzie sobie dawał radę ze wszystkim. Przekonał się, że większość szkolnych zabijaków to wielcy, brzydcy i niezgrabni chłopcy. Inni bali się ich, ponieważ tamci byli silni i nigdy nie walczyli fair, z czego wypływał wniosek, że ten, kto nie obawiał się otrzymać kilku szturchańców i potrafił walczyć jeszcze bardziej nieczysto, miał poważne szansę na pokonanie każdego z nich. Richie Boddin stanowił pierwsze pełne potwierdzenie tej teorii; on, a także pewien osiłek ze szkoły w Kittery. Tamten, pokonany, ale nie upokorzony, obwieścił szkolnej społeczności, że on i Mark są od tej pory najlepszymi kumplami, Mark zaś, choć uważał go za chodzącą stertę gówna, temu nie zaprzeczył, udowadniając w ten sposób, że wie, czym jest dyplomacja. Z osiłkami się nie rozmawia, tylko ich bije, jest to jedyny język, jaki rozumieją. Mark podejrzewał, iż to jest jedna z przyczyn, dla których świat wygląda tak właśnie, a nie inaczej. W dniu, w którym stłukł Boddina, został odesłany do domu i kiedy już wysłuchał reprimendy rozgniewanego ojca i przygotował się z rezygnacją na tradycyjne lanie zwiniętą gazetą, powiedział, że Hitler był w sercu takim właśnie Richie'm Boddinem. Ojciec wybuchnął wtedy niepohamowanym śmiechem, który udzielił się nawet matce, i lanie zostało darowane.

— Czy sądzisz, że to w jakiś sposób na niego wpłynęło. Henry? — zapytała June Petrie.

— Trudno... powiedzieć. — Mark domyślił się, że w przerwie między dwoma słowami ojciec zapalał fajkę. — Zawsze ma twarz pokerzysty.

— Cicha woda płynie głęboko — zauważyła matka. Ciągłe powtarzała, że cicha woda płynie głęboko albo że to długa droga bez powrotu. Bardzo kochał ich obydwoje, lecz czasem wydawali mu się niemal tak samo nadęci, jak oprawione w twarde okładki książki w bibliotece. I tak samo zakurzeni.

— Szli przecież właśnie do niego — podjęła po chwili milczenia. — Chcieli pobawić się kolejką... A teraz jeden nie żyje, a drugi zaginął! Nie staraj się sam siebie oszukać, Henry. On musi w związku z tym coś czuć.

— Na szczęście stoi mocno obiema nogami na ziemi — odparł ojciec. — Cokolwiek czuje, na pewno daje sobie z tym znakomicie radę.

Mark przykleił potworowi lewe ramię. Był to specjalny, świecący w ciemności zielonym, fosforyzującym blaskiem model firmy Aurora, podobnie jak plastikowy Jezus, którego dostał na religii za nauczenie się na pamięć całego Psalmu nr 119.

— Nieraz wydaje mi się, że powinniśmy mieć jeszcze jedno dziecko — powiedział ojciec. — Przede wszystkim byłoby to z korzyścią dla Marka.

— Chyba nie chcesz powiedzieć, że nie próbowaliśmy — zauważyła figlarnym tonem matka.

Ojciec tylko mruknął coś niewyraźnie w odpowiedzi. Zapadła długa cisza. Mark wiedział, że ojciec w tym czasie przegląda *Wall Street Journal*, matka zaś

czyta książkę Jane Austen albo Henry'ego Jamesa. Czytała je niemal bez przerwy, co napawało go niejakim zdumieniem, nie rozumiał bowiem, po co wracać jeszcze raz do książki, którą już się przeczytało.

— Myślisz, że można mu pozwolić chodzić do lasu za domem? — przerwała milczenie matka. — W miasteczku mówili, że są tam jakieś lotne piaski, czy coś w tym rodzaju. . .

— Kilka mil stąd.

Mark przykleił drugie ramię. Miał już cały zestaw plastikowych potworów, ustawionych w sposób zmieniający się za każdym razem, kiedy przybywał nowy element. To był bardzo dobry zestaw. W rzeczywistości tamtej nocy, kiedy stało się. . . to, co się stało, Mark i Ralphie chcieli właśnie obejrzeć jego potwory.

— Chyba można — uzupełnił ojciec swoją odpowiedź. — Tylko nie po ciemku, oczywiście.

— Mam nadzieję, że po tym okropnym pogrzebie nie będzie mu się śniło nic złego.

Mark niemal zobaczył, jak ojciec wzrusza ramionami.

— To na pewno przykre, ale śmierć i rozpacz także stanowią część życia. Chyba już pora, żeby zaczął się do tego przyzwyczajać.

— Może masz rację.

Kolejna, długa chwila milczenia. Co będzie teraz? Może „Dziecko rośnie po to, żeby stać się dorosłym”? Albo „Jeśli zegniesz gałązkę, nachyli się całe drzewo”? Mark przykleił potwora do podstawki, którą stanowił nagrobek o mocno przechylonej płycie.

— Życiu zawsze towarzyszy śmierć. Wiem tylko tyle, że mnie na pewno coś się przyśni.

— Tak?

— Ten Foreman to prawdziwy artysta, choć to brzmi trochę głupio.

Chłopiec wyglądał zupełnie tak, jakby spał. Tylko czekałam, aż otworzy oczy, ziewnie i. . . Nie rozumiem, dlaczego ludzie zadają sobie ból, odprawiając wszystkie uroczystości przy otwartej trumnie. Jest w tym coś pogańskiego.

— No, ale już po wszystkim.

— Tak, na szczęście. To chyba dobry chłopiec, prawda?

— Mark? Najlepszy, jakiego można sobie wymarzyć.

Mark uśmiechnął się.

— Jest coś ciekawego w telewizji?

— Sprawdzę.

Mark przestał słuchać; poważna rozmowa dobiegła końca. Ustawił model do wyschnięcia na parapecie. Najdalej za piętnaście minut matka zawoła z dołu, żeby już kładł się spać. Wyjął z szafki pizamę i zaczął się rozbierać.

W gruncie rzeczy matka zupełnie niepotrzebnie tak bardzo troszczy się o jego psychikę, która wcale nie jest specjalnie delikatna. Zresztą, nie istnieje za-

den szczególny powód, dla którego miałyby taką być. Mimo pewnej oszczędności i gracji ruchów był zupełnie normalnym, dwunastoletnim chłopcem. Jego rodzina należała do górnej warstwy średniej z szerokimi perspektywami, małżeństwo rodziców zaś było w pełni udane. Kochali się szczerze i głęboko, choć może okazywali swe uczucia w nieco szorstki sposób. Życie Marka nie obfitowało w żadne tragiczne wydarzenia, kilka zaś szkolnych bójek, w jakich brał udział, nie pozostało w jego psychice najmniejszego śladu. Był pod wieloma względami podobny do swoich rówieśników i miał zbliżone zainteresowania.

Tym, co go od nich różniło, była chłodna i rzeczowa samokontrola niespotykana w tym wieku. Nikt mu jej nie wpajał, po prostu się z nią urodził. Kiedy jego ukochany pies Chopper został potrącony przez samochód, Mark uparł się, żeby iść razem z matką do weterynarza, kiedy zaś weterynarz powiedział: „Będę musiał pomóc mu zasnąć, chłopcze”, odparł: „Pan nie pomoże mu zasnąć, tylko go zabije, prawda?” Weterynarz przyznał mu rację, a wtedy Mark zgodził się, ale najpierw mocno ucałował psa. Było mu bardzo smutno, lecz nie płakał i nawet nie odczuwał takiej potrzeby. Matka zalewała się łzami, ale w trzy dni później już prawie nie pamiętała o Chopperze, natomiast Mark postanowił nigdy o nim nie zapomnieć. Taki właśnie był pożytek z nieplakania; płakać znaczyło tyle, co wysikać wszystko na ziemię.

Zarówno zniknięcie Ralphie’ego Glicka, jak i późniejsza śmierć Danny’ego wstrząsnęły nim, ale go nie przeraziły. Usłyszał w sklepie, jak jeden z mężczyzn mówił, że Ralphie’ego najprawdopodobniej porwał jakiś zboczeniec seksualny. Mark wiedział, kim są zboczeńcy. Robili ci coś, od czego mieszało im się w głowie, a potem cię dusili (we wszystkich komiksach duszone ofiary zawsze mówiły „Arrrggh”) i wrzucali do żwirowni albo chowali pod podłogą opuszczonej szopy. Gdyby jemu jakiś zboczeniec zaproponował kiedyś cukierka czy coś w tym rodzaju, kopnąłby go prosto w jaja i uciekł, gdzie pieprz rośnie.

— Mark? — dobiegł z dołu głos matki.

— Tak, tak, już się kładę — odpowiedział i ponownie się uśmiechnął.

— Tylko nie zapomnij umyć uszu.

— Dobrze.

Poruszając się z wdziękiem i gracją zszedł po schodach, żeby życzyć im dobrej nocy. W progu przystanął na chwilę i rzucił przelotne spojrzenie na stół zastawiony plastikowymi potworami. Szczerzący kły Dracula nachylał się groźnie nad leżącą na ziemi dziewczyną. Szalony Doktor torturował rozciągniętą na specjalnym rusztowaniu kobietę, Mr Hyde zaś podkradał się od tyłu do wracającego spokojnie do domu mężczyzny.

Zrozumieć śmierć? Proszę bardzo. Śmierć przychodzi wtedy, kiedy dopadnie cię któryś z potworów.

6

Roy McDougall zajechał przed wejście do swojej przyczepy o wpół do dziewiątej wieczorem, dwa razy nacisnął mocno pedał gazu i przekręcił kluczyk w stacyjce starego forda. Tłumik był kompletnie przerdzewiały, nie działał żaden kierunkowskaz, a w przyszłym miesiącu trzeba będzie zapłacić następną ratę. Wspaniały samochód. Wspaniałe życie. Z wnętrza domu dochodził płacz dziecka i wrzask usiłującej je uspokoić Susan. Wspaniałe małżeństwo.

Wysiadł z wozu i niemal natychmiast potknął się o jeden z kamieni, które ubiegłego lata naznosił przed dom, mając zamiar ułożyć z nich ścieżkę prowadzącą od podjazdu do samych drzwi.

— Niech to szlag — mruknął, rozcierając stłuczoną łydkę.

Był bardzo pijany. Skończył robotę o trzeciej, a potem siedział u Della pijąc na umór z Hankiem Petersem i Buddym Mayberrym. Hank ostatnio był przy forsie i wszystkim stawiał. Roy doskonale wiedział, co Susan myśli o jego koleżkach. I bardzo dobrze, niech ją drzwi ścisną. Co to, człowiek nawet w sobotę czy w niedzielę nie może wypić paru piw, choć cały tydzień haruje jak dziki osioł i nawet bierze nadgodziny w weekend, żeby trochę dorobić? Co ona, chce zgrywać jakąś świętą, czy co? Siedzi cały dzień w domu i nie ma nic innego do roboty jak tylko sprzątać, gadać o głupotach z listonoszem i pilnować dzieciaka, żeby nie wpełzł do piekarnika. Ostatnio coś słabo go pilnowała, bo cholerny gówniarz spadł jej ze stołu w czasie przewijania.

Gdzieś ty była, do diabła?

Trzymałam go, Roy, naprawdę, ale on tak strasznie się wrywa.

Wrywa się, niech to szlag.

Czując, jak wzbiera w nim wściekłość, ruszył w kierunku drzwi. Stłuczona noga bolała jak diabli, ale ona na pewno nie okaże mu nawet odrobiny współczucia. Co ona właściwie robi, kiedy on wyciska z siebie siódme poty, żeby nie podpaść temu skurwielowi mistrzowi? Czyta jakieś durnowate piśmidła i wsuwa wiśnie w czekoladzie albo ogląda telewizję i wsuwa wiśnie w czekoladzie, albo plotkuje przez telefon i wsuwa wiśnie w czekoladzie. Miała coraz więcej pryszczu na twarzy i na tyłku. Jeszcze trochę, a nie będzie można odróżnić jednego od drugiego.

Otworzył z rozmachem drzwi i wszedł do środka.

Widok, jaki ujrzał, uderzył go z wstrząsającą siłą, przebijając się przez mgłę alkoholowego zamroczenia niczym chłasięcie mokrym ręcznikiem : dziecko, nagie i zapłakane, z krwią ciekącą z nosa; trzymająca je oburącz Sandy w bluzce wysmarowanej krwią, spoglądająca przez ramię w kierunku drzwi z wyrazem zaskoczenia na twarzy; leżąca na podłodze pieluszka. Randy, wciąż jeszcze z podsiniaczonymi oczami, uniósł obie rączki w błagalnym geście.

— Co tu się dzieje? — zapytał powoli Roy.

-Nic, on tylko...

— Uderzyłaś go -stwierdził bezbarwnym tonem.

— Nie chciał leżeć spokojnie przy przewijaniu więc go uderzyłaś.

— Nie! — zaprzeczyła pośpiesznie. — Po prostu wyszarpnął się i uderzył w nos, to wszystko.

— Powiniennem cię stłuc na kwaśne jabłko — powiedział.

— Roy, on tylko uderzył się w nos...

Poczuł, że nagle opuszcza go cała energia.

— Co jest na kolację? — zapytał.

— Hamburgery — odparła potulnie i wytarła dziecku nos skrajem bluzki, odsłaniając fałdę tłuszczu na brzuchu. Już nigdy nie będzie wyglądała tak, jak przed dzieckiem, pomyślał Roy. Nawet się nie stara.

— Zrób coś, żeby się zamknął.

— Przecież...

— Ma się zamknąć, rozumiesz! — ryknął Roy i Randy, który już właściwie tylko cicho pochlipywał, rozwrzeszczał się ponownie.

— Dam mu jeść — powiedziała Sandy.

— Mnie też. — Ściągnął kurtkę. — Jezu, ale tu burdel. Co ty robisz przez cały dzień? Pieprzysz się sama ze sobą, czy jak?

— Roy! — wykrztusiła, sprawiając wrażenie lekko zszokowanej, a potem zachichotała bez sensu. Niedawny napad wściekłości spowodowany przez dziecko, które nie chciało dać się spokojnie przewinać, wydawał się już czymś odległym i nierzeczywistym. Równie dobrze mogła o tym czytać albo oglądać w telewizji.

— Daj mi kolację i trochę posprzątaj ten pierdolnik.

— Dobrze, Roy. Oczywiście.

Wyjęła z lodówki butelkę i dała ją dziecku. Randy natychmiast zaczął łapczywie ssać, przenosząc spojrzenie małych, zapuchniętych oczu z matki na ojca i z powrotem.

— Roy?

— Czego?

— Już się skończyło.

— Niby co?

— No, wiesz. Masz dzisiaj ochotę?

— Pewnie — odpowiedział. — Pewnie — powtórzył po chwili. Wspaniałe życie, pomyślał. Nie ma co, wspaniałe życie.

7

Nolly Gardener słuchał stacji nadającej non stop przeboje rock and rollowe i pstrykał palcami w takt muzyki, kiedy zadzwonił telefon.

- Przycisz trochę, co? — poprosił Parkins odkładając krzyżówkę.
- Jasne. — Nolly przekreślił gałkę, ale nie przestał wybijać rytmu.
- Halo? — powiedział Parkins podnosząc słuchawkę.
- Szeryf Gillespie?
- Tak.
- Mówi agent Tom Hanrahan. Mam informacje, o które pan prosił.
- Miło mi, że tak szybko się uwinęliście.
- Niestety, nie jest tego zbyt dużo.
- Trudno — odparł Parkins. — W takim razie, słucham.
- Ben Mears był przesłuchiwany w związku z tragicznym wypadkiem motocyklowym w stanie Nowy Jork, ale nie wniesiono przeciwko niemu żadnego oskarżenia. Zginęła jego żona, Miranda. Według zeznań świadków jechał powoli, a w krwi nie stwierdzono alkoholu. Najprawdopodobniej trafił na kałużę, czy coś w tym rodzaju. Jeżeli chodzi o przekonania polityczne, to zawsze był trochę lewicowy. Brał udział w marszu pokojowym w Uniwersytecie Princeton w 1966, przemawiał podczas antywojennego zlotu w Brooklynie w 1967, a potem w czasie marszów na Waszyngton w 1968 i 1970. Aresztowany raz, w trakcie pokojowego marszu w San Francisco w listopadzie 1971. I to wszystko, co o nim wiemy.
- A tamci dwaj?
- Kurt Barlow, przez „k”. Jest naturalizowanym Brytyjczykiem. Urodzony w Niemczech, uciekł w 1938 do Anglii, najprawdopodobniej prześladowany przez Gestapo. Nie mamy dostępu do żadnych wcześniejszych informacji, ale wszystko wskazuje na to, że powinien mieć gdzieś około siedemdziesiątki. W rzeczywistości nazywa się Breichen. Od 1945 ma firmę handlową w Londynie, ale raczej pozostaje w cieniu. Mniej więcej od tego czasu współpracuje ze Strakerem, który załatwia wszystkie formalności.
- Tak?
- Straker urodził się w Anglii. Ma teraz pięćdziesiąt osiem lat. Jego ojciec miał w Manchesterze wytwórnię mebli. Zostawił synowi sporo pieniędzy, a on też wiedział, jak należy robić interesy. Razem z tym Barlowem przyjechali do Stanów półtora roku temu i zwrócili się o zgodę na przedłużenie pobytu. Nic więcej o nich nie mamy, może tylko to, że chyba są pedałami.
- No tak — westchnął Parkins. — Mniej więcej tego właśnie się spodziewałem.
- Gdyby pan potrzebował czegoś więcej, możemy poprosić o pomoc Wydział Przestępstw i Scotland Yard.
- Nie, nie trzeba.
- Aha, nie stwierdziliśmy żadnego związku między Mearsem a tymi dwoma. Chyba że to coś zakamuflowanego.
- W porządku. Bardzo dziękuję.
- Od tego jesteśmy. Gdyby pan jeszcze czegoś chciał, proszę dać nam znać.

- Oczywiście. Jeszcze raz dziękuję.
- Odłożył słuchawkę na widełki i zapatrzył się na nią z namysłem.
- Kto to był, Park? — zapytał Nolly, ponownie nastawiając głośniej radio.
- Excellent Cafe. Nie mają szynki, tylko ser i sałatę.
- Jeśli chcesz, to w mojej szufladzie stoi dżem truskawkowy.
- Nie, dzięki — mruknął Parkins i ponownie westchnął.

8

Nad wysypiskiem ciągle unosił się dym.

Dud Rogers szedł skrajem hałdy, wdychając ostry, intensywny zapach. Pod jego stopami trzeszczało szkło, a każdy krok wzbijał w górę obłoczki czarnego popiołu. Tuż obok, w rytm podmuchów wiatru to przygasały, to znów rozżarzały się intensywniejszym, różowym blaskiem częściowo zwęglone szczątki i nie dopalone fragmenty trudnych do zidentyfikowania przedmiotów. Co jakiś czas rozlegała się stłumiona eksplozja, gdy wybuchała jakaś żarówka lub pusty pojemnik po aerozolu. Dziś rano spod śmieci wyszło bardzo dużo szczurów, więcej niż kiedykolwiek. Zastrzelił równe trzy tuziny, a kiedy wreszcie schował pistolet do kabury, lufa była tak gorąca, że nie mógł jej dotknąć. Potężne okazy, niektóre po dwie stopy długości. Ciekawe, że ich liczebność zmieniała się niemal co roku. Pewnie miało to jakiś związek z pogodą. Jeżeli zaczniesz ich szybko przybywać, będzie musiał zacząć rozsypywać trutkę, czego nie robił od 1964 roku.

O, jeszcze jeden, pod metalową płytą pełniącą rolę zapory przeciwogniowej.

Dud wyciągnął pistolet, odbezpieczył go, wycelował i nacisnął spust. Pocisk trafił w ziemię tuż przed pyskiem szczura, obsypując go fontanną piachu, ale zwierzę, zamiast rzucić się do ucieczki, usiadło na tylnych łapach i spojrzało na niego świecącymi czerwono ślepiami. Cholera, niektóre to są odważne!

— Żegnam, panie szczurze — powiedział Dud i wycelował ponownie.

Bach. Szczur szarpnął się i padł na ziemię, wstrząsany drgawkami. Dud podszedł do niego i szturchnął go stopą. Szczur ostatkiem sił wbił zęby w podeszwę buta.

— Sukinsyn — wycedził Dud, rozgniatając mu obcasem głowę. Kiedy się nachylił, żeby mu się dokładniej przyjrzeć, przyszła mu na myśl Ruthie Crockett, która nigdy nie nosiła stanika. Często paradowała w cienkich, wełnianych sweterkach i wtedy można było dostrzec jej sutki, rysujące się wyraźnie pod delikatnym materiałem. Gdyby chwycić ją za te cycuszki i trochę pomiętosić, mała suczka na pewno od razu. . .

Chwycił szczura za ogon i zakręcił nim młynka.

— Co byś powiedziała, Ruthie, gdybyś znalazła go w piórniku? — zapytał na głos. Ten pomysł bardzo mu się spodobał, więc zarechotał chrapliwie, kiwając swoją przekrzywioną na bok głową.

Cisnął szczura daleko na dymiącą hałdę. Kiedy się odwrócił, dostrzegł po prawej stronie, w odległości jakichś pięćdziesięciu stóp, wysoką, nadzwyczaj chudą postać.

Dud wytarł dłonie w swoje zielone spodnie i ruszył w tamtym kierunku.

— Wysypisko jest zamknięte, proszę pana.

Mężczyzna odwrócił się do niego. Miał myślącą twarz, z wystającymi kośćmi policzkowymi, oświetloną pełgającym blaskiem dogasającego ognia, włosy niemal białe, przetykane pasmami stalowej szarości, zaczesane do tyłu jak u tych wyfraczonych pianistów, których czasem pokazywali w telewizji, jego oczy zaś, w których odbijały się rozżarzone węgle, miały barwę krwistoczerwoną.

— Doprawdy? — zapytał uprzejmie z ledwie uchwytnym, trudnym do określenia akcentem. Mógł być zabojadem albo emigrantem ze środkowej Europy.

— Przyszedłem, żeby popatrzeć na ogień. Jest nadzwyczaj piękny.

— Aha — przyznał mu rację Dud. — Pan gdzieś tu mieszka?

— Owszem, od niedawna, w waszym uroczym miasteczku. Dużo pan zabija szczurów?

— Sporo. Ostatnio strasznie ich się namnożyło. Czy to przypadkiem nie pan jest tym facetem, który kupił Dom Marstenów?

— Drapieżniki — powiedział nieznajomy, zakładając ręce do tyłu.

Dud spostrzegł ze zdziwieniem, że mężczyzna ma na sobie kompletny, elegancki garnitur. — Kocham nocne drapieżniki. Szczury... sowy... wilki... Czy w tej okolicy są wilki?

— Gdzież tam — odparł Dud. — Dwa lata temu jakiś gość z Durham zastrzelił kojota. Co najwyżej trafiają się dziczące psy...

— Psy! — przerwał mu z obrzydzeniem obcy. — Wstrętne stworzenia, służalcze i trzęsące ze strachu na każdy nieznany odgłos. Potrafią tylko wyc i skamleć. Wypatroszyć je, powiadam, wszystkie wypatroszyć!

— Eee... Jakoś nigdy w ten sposób o tym nie myślałem — bąknął niepewnie Dud, cofając się odruchowo o krok. — Wie pan, przyjemnie tak sobie z kimś od czasu do czasu pogawędzić, ale wysypisko jest zamknięte od szóstej, a teraz jest już prawie wpół do dziesiątej, więc...

— Oczywiście.

Mimo to nic nie wskazywało na to, żeby nieznajomy miał zamiar odejść. Dud pomyślał, że trafiła mu się niemała gratka; całe miasteczko — może z wyjątkiem Crocketta, który chyba coś wiedział — zastanawiało się, kto jest tajemniczym współnikiem Strakera. Następnym razem, kiedy będzie kupował naboje u tego pieprzonego Middlera, powiem jakby nigdy nic: „Wiecie, parę dni temu spotkałem tego faceta. Kogo? No, wiecie, tego z Domu Marstenów. Dostyc miły gość, tylko mówi trochę dziwnie, jak Węgier albo Polak”.

— Są jakieś duchy w tym domu? — zapytał, kiedy upłynęło kilka chwil, a tamten nadal stał bez ruchu.

— Duchy! — Nieznajomy uśmiechnął się, ale w jego uśmiechu było coś bardzo niepokojącego. W ten sposób mogłaby się uśmiechać na przykład barracuda.
— Nie, nie ma tam żadnych duchów. — Ostatnie słowo wypowiedział z dziwnym naciskiem, jakby chcąc dać w ten sposób do zrozumienia, że za to jest coś innego, może nawet bardziej przerażającego.

— Eee... Późno już się zrobiło. Nie wiem, czy nie powinien już pan iść, panie...

— Kiedy tak miło mi się z panem rozmawia — odparł mężczyzna i po raz pierwszy skierował na Duda spojrzenie płonących czerwienią oczu. Nie sposób było oderwać od nich wzroku. — Mam nadzieję, że nie będzie pan miał nic przeciwko temu, jeśli jeszcze przez chwilę sobie pogawędzimy?

— No, chyba nie... — wykrztusił Dud, prawie nie słysząc swego głosu. Oczy nieznajomego zdawały się gwałtownie powiększać, wreszcie przypominały czarne, obramowane czerwienią studnie, do których można było wpaść i utonąć.

— Dziękuję panu — powiedział mężczyzna. — Proszę mi powiedzieć... Czy ten garb nie przeszkadza panu w pracy?

— Nie — odparł Dud. Nadal wydawało mu się, że znajduje się bardzo, bardzo daleko. Niech mnie szlag, ten gość mnie zahipnotyzował, pomyślał. Zupełnie jak ten sztukmistrz na festynie w Topsham... Jak on się nazywał? Aha, Mr Mephisto. Usypiał ludzi i kazał im robić różne śmieszne rzeczy, na przykład gdać jak kura albo opowiedzieć, co się działo podczas ich szóstych urodzin. Zahipnotyzował starego Sawyera, kurczę, ależ była zabawa...

— A może przeszkadza panu w jakiś inny sposób?

— No... Boja wiem...

Oczy przyciągały go z fascynującą siłą.

— No, no — skarcił go łagodnie nieznajomy. — Przecież jesteśmy przyjaciółmi, prawda? Proszę mi śmiało powiedzieć

— No... dziewczyny... wie pan...

— Oczywiście — odparł uspokajającym tonem szczupły mężczyzna — Dziewczyny śmieją się z pana, prawda? Nie wiedzą, jaki pan jest męski i silny.

— To prawda — szepnął Dud. — Śmieją się. O n a się śmieje.

— Kto to jest „ona”?

— Ruthie Crockett. Ona... ona... — Myśl gdzieś mu umknęła, ale nawet się tym nie przejął. To nie miało żadnego znaczenia. Nic nie miało znaczenia, z wyjątkiem tego wspaniałego, kojącego spokoju.

— Żartuje sobie, prawda? Chichocze z koleżankami, kiedy pana widzi?

— Tak...

— A pan jej pragnie, czyż nie tak?

— Och, tak...

— Będzie pan ją miał, jestem tego pewien.

W tym wszystkim było coś... przyjemnego. Wydawało mu się, że gdzieś daleko słyszy chór śpiewający pieśń, w której były same nieprzyzwoite słowa... srebrne dzwonki... białe twarze... głos Ruthie Crockett. Niemal widział, jak dziewczyna obejmuje dłońmi swoje piersi i wypycha w górę, ku głęboko wyciętemu dekolтови swetra szepcząc: „Całuj je, Dud... Ssij je... Pieść...”

Miał wrażenie, że tonie w czarnych, płonących czerwienią oczach. W chwili, gdy nieznajomy zaczął się do niego zbliżać, Dud wszystko zrozumiał. Ból, który poczuł, był słodki jak srebro i zielony jak spokojna woda w ciemnej otchłani.

9

Ręka już tak mu drżała, że zamiast uchwycić butelkę, stracił ją z biurka na podłogę. Cenna zawartość zaczęła wylewać się z gulgotem na zielony dywan.

— Cholera! — zaklął ojciec Donald Callahan i schylił się, aby podnieść butelkę, zanim wszystko zostanie stracone. Szczerze mówiąc, nie było już tego zbyt dużo. Postawił ją na biurku (tym razem daleko od krawędzi) i poszedł do kuchni po jakąś ścierkę i płyn do czyszczenia dywanów. Nie byłoby dobrze, gdyby pani Curless znalazła płamę cuchnącą whisky. I tak już miał dosyć jej łagodnych, boleściwych spojrzeń, szczególnie w te szare poranki, kiedy nie czuł się najlepiej...

Kiedy jesteś skacowany, chciałeś powiedzieć.

Bardzo dobrze, skacowany. Bądźmy szczerzy, jak najbardziej. Odrobina szczeroci i wszystko będzie okay. Niech żyje szczeroci.

Znalazł butelkę z napisem „E-Vap”, co natychmiast skojarzyło mu się z odgłosem beknięcia i wrócił z nią do gabinetu. Prawie się nie zataczał. N-n-niech pan sssspojrzy, p-p-panie władzo, przejdę p-p-po tym krawężzzzzniku aż do światel... .

W wieku pięćdziesięciu trzech lat Callahan sprawiał imponujące wrażenie. Miał srebrne włosy, niebieskie oczy (ostatnio coraz częściej bywały nabiegłe krwią), otoczone siecią powstałych w wyniku częstego uśmiechania się zmarszczek, zdecydowanie zarysowane usta i lekko wystającą, mocną szczękę. Czasem, kiedy spoglądał na swoje odbicie w lustrze, przychodziła mu do głowy myśl, żeby rzucić sutannę, pojechać do Hollywood i wystąpić jako Spencer Tracy.

— Ojcie Flanagan, gdzie jesteś, kiedy cię potrzebujemy? — mruknął, klękając na podłodze przy biurku. Marszcząc czoło przeczytał wydrukowany na etykiecie przepis użycia, po czym odkręcił butelkę i wylał na płamę dwie nakrętki płynu, który w zetknięciu z przesiąkniętym alkoholem dywanem natychmiast zaczął się gwałtownie pienić i zmienić kolor na intensywnie biały. Lekko zaniepokojony Callahan ponownie skoncentrował spojrzenie na etykiecie.

— W przypadku szczególnie silnego zabrudzenia pozostawić na siedem do dziesięciu minut — przeczytał dźwięcznym, niskim głosem, który zjednał mu wśród wiernych, przyzwyczajonych do jednostajnego brzęczenia świętej pamięci ojca Hume’a, wielu wielbicieli.

Uniósł się z podłogi i podszedł do okna, wychodzącego na Elm Street i stojący po drugiej stronie kościół św. Andrzeja.

Proszę, proszę, pomyślał. Niedziela wieczór, a ja znowu jestem uchłany.

Pobłogosław mi, Ojcze, bo zgrzeszyłem.

Jeżeli pił powoli, nie przerywając pracy (w długie, samotne wieczory ojciec Callahan spisywał Notatki. Pracował nad nimi już od siedmiu lat, mając nadzieję wykorzystać je kiedyś w dziele o historii Kościoła w Nowej Anglii, ale ostatnio coraz częściej podejrzewał, że książka nigdy nie zostanie napisana. Jeżeli chodzi o ścisłość, to zaczął tworzyć Notatki dokładnie wtedy, gdy zaczął pić. Początek Księgi Rodzaju: „Na początku była whisky, a ojciec Callahan rzekł: Niech się staną Notatki. . .”), to nie zdawał sobie sprawy z postępującego zamroczenia. Wyszkolił już rękę w ten sposób, żeby nie odczuwała zmniejszającego się ciężaru butelki.

Minął już cały dzień od mojej ostatniej spowiedzi.

Dochodziła wpół do dwunastej; patrząc przez okno widział roztaczającą się wszędzie, jednolitą ciemność, rozpraszaną jedynie blaskiem świecącej przed kościołem latarni. Lada chwila powinien pojawić się Fred Astaire w swoim płaskim kapeluszu, fraku, białych butach i z laseczką w dłoni. Spotka Ginger Rogers i razem zatańczą upojnego walca.

Oparł czoło o szybę pozwalając, żeby jego przystojna twarz, będąca w pewnym sensie także jego przekleństwem, przybrała wyraz bolesnego zmęczenia.

Ojcze, jestem pijakiem i złym księdzem.

Natychmiast, kiedy zamknął oczy, ujrzał panującą we wnętrzu konfesjonału ciemność i poczuł, jak jego palce odsuwają zasłonę skrywającą wszystkie tajemnice ludzkiego serca, w jego zaś nozdrza uderzył stęchły zapach pluszu wygniecionego na klęcznikach i potu starych ludzi.

Pobłogosław mi, Ojcze. . .

(Zepsułem samochód brata, uderzyłem żonę, podglądałem panią Sawyer, kiedy się przebierała, kłamałem, oszukiwałem, miałem grzeszne myśli)

. . . bo zgrzeszyłem.

Otworzył oczy, lecz Fred Astaire jeszcze się nie pojawił. Może o północy. Całe miasto było pogrążone we śnie, z wyjątkiem. . .

Uniósł wzrok. Tak, na wzgórzu paliło się światło.

Przyszła mu na myśl ta dziewczyna (Bowie? Nie, teraz nazywa się McDougall), szepcząca ledwo słyszalnym głosem, że uderzyła swoje dziecko. Kiedy zapytał ją, ile razy, mógł niemal dostrzec kółeczka obracające się w jej głowie, liczące, rachujące, dodające. Smutny los człowieka. Chrzcił to dziecko. Randall Fratus McDougall. Poczęty na tylnym siedzeniu wozu Royce'a McDougalla, najprawdopodobniej podczas seansu w kinie dla zmotoryzowanych. Mała, rozwrzeszczana istota. Ciekawe, czy dziewczyna zdawała sobie sprawę z tego, że on ma ochotę otworzyć zakratowane okienko, wyciągnąć ręce i ścisnąć jej duszę tak, żeby wyła

i skamlała o litość. Twoją pokutą będzie sześć uderzeń w głowę i solidny kopniak w dupę. Idź i nie grzesz więcej.

— Nudy — powiedział na głos.

Ale to nie nuda konfesjonału, a w każdym razie nie tylko, popychała go w kierunku szeroko otwartych drzwi coraz liczniejszego klubu noszącego nazwę „Kapłani kieliszka i butelki”. Głównym powodem była nieustająca, monotonna praca kościelnej maszynierii, spychającej wytrwale w otchłań podczas nie kończącej się wędrówki ku Niebu wszystkie większe i mniejsze grzechy, jakie stały na jej drodze; rytualne traktowanie Zła przez Kościół poświęcający coraz więcej czasu i energii złu doczesnemu, walkę z tym pierwszym odziewający w strojne szaty i ceremoniał przeznaczony głównie dla starszych dam, których rodzice mówili najrozmaitszymi europejskimi językami. To doczesne zło było głupie, bezmyślne, nie zasługujące ani na litość, ani na przebaczenie. Pięść spadająca na twarz dziecka, nóż przecinający oponę samochodu, bójka w knajpie, zyletka wetknięta do jabłka i wszystkie inne, nudne, obrzydliwe brudy, które jest w stanie wypluć z siebie ludzki umysł. Panowie, to wszystko mogą załatwić lepsze więzienia, lepsi policjanci, lepsza opieka społeczna, lepsza kontrola urodzeń, lepsze metody sterylizacji, lepsze aborcje. Panowie, jeśli wyrwiemy ten oto płód z łona matki, nigdy nie wyrośnie z niego człowiek, który młotkiem zatłucze staruszkę na śmierć. Szanowne panie, jeśli przywiążemy tego oto osobnika do specjalnego krzesła i usmażymy go niczym plaster szynki w kuchence mikrofalowej, nigdy więcej nie zamorduje już w okrutny sposób żadnego chłopca. Rodacy, gwarantuję wam, że z chwilą, gdy zostanie uchwalona ta ustawa dotycząca eutanazji, nigdy już. . .

Niech to szlag.

Od mniej więcej trzech lat zaczęła do niego powoli docierać prawda. Niemal z każdym dniem zyskiwała na wyrazistości, jak wyświetlany na rozregulowanym projektorze film, który stopniowo staje się coraz bardziej ostry, aż wreszcie można dostrzec na nim każdy, nawet najmniejszy kształt. Szukał swojego Wyzwania. Inni księża mieli swoje: dyskryminacja rasowa, ruch wyzwolenia kobiet, homoseksualizm, bieda, szaleństwo, choroby. Obserwując ich odczuwał coś w rodzaju wewnętrznego niepokoju. Kiedy jeszcze trwała wojna w Wietnamie, czuł się w miarę dobrze jedynie w towarzystwie tych kapłanów, którzy występowali czynnie przeciwko jej dalszemu .prowadzeniu; teraz, kiedy ich sprawa zwyciężyła, spotykali się nadal, wspominając marsze pokojowe i demonstracje w taki sam sposób, w jaki stare małżeństwa wspominają swoje miodowe miesiące. Callahnowi jednak to nie wystarczyło. Czuł się jak konserwatysta, który nagle stracił zaufanie do swoich podstawowych przekonań. Chciał poprowadzić armię (Czyją? Boga, Dobra, Jasności? Te wszystkie nazwy odnosiły się do jednej i tej samej rzeczy) i stanąć z nią do walki przeciwko Złu. Chciał wydawać rozkazy i tworzyć plany bitew, a nie stać na zimnie przed supermarketem i wciskać ludziom ulotki nawołujące do bojkotu tego czy tamtego. Chciał ujrzeć Zło w jego czystej postaci

i walczyć z nim jak Muhammad Ali z Joe Frazierem, jak Celtics z Knicksami, jak Jakub z Archaniołem. Pragnął, aby jego walka była czysta, wolna od brzemienia polityki czepiającej się grzbietu każdej, najszlachetniejszej nawet sprawy niczym jakiś zdeformowany, syjamski bliźniak. Pragnął tego od chwili, kiedy postanowił zostać księdzem, a postanowił to w wieku czternastu lat, gdy przeczytał historię o świętym Szczepanie, pierwszym męczenniku, który został ukamienowany i w chwili śmierci ujrzał Jezusa Chrystusa. W porównaniu z rozkoszą walki — a może i śmierci — w służbie Boga, Niebo stanowiło doprawdy mizerną atrakcję.

Tymczasem nie było żadnych bitew, tylko co najwyżej jakieś potyczki o niepewnych rezultatach, Zło zaś nie miało jednej twarzy, lecz nieskończenie wiele, a wszystkie bezmyślne lub nawet zidiociałe. W pewnym momencie doszedł do wniosku, że na świecie w ogóle nie ma Zła, tylko co najwyżej zło, a może nawet (zło). W takich chwilach podejrzewał, że Hitler był w gruncie rzeczy jedynie zbzikowanym biurokrata, sam Szatan zaś jest upośledzonym umysłowo osobnikiem o poczuciu humoru żalowanym w szczątkowej formie, dla którego najlepszy dowcip stanowi rzucanie mewom grudek chleba z ukrytymi w środku ziarnami piekącej papryki.

Zamiast wielkich społecznych, moralnych i duchowych bitew wszystkich minionych wieków miał Sandy McDougall tłukącą po twarzy swoje zasmarkane dziecko, które dorosnie i będzie to samo robiło ze swoim dzieckiem i tak w kółko, bez końca, alleluja. Święta Mario, łaskiś pełna, ześlij mi mocnego belta.

To było więcej niż tylko nudne; to było po prostu okropne, jeśli pomyślało się o jakiejś sensownej definicji życia czy nawet Nieba. Co tam czekało? Wesole miasteczko z karuzelami ozdobionymi krzyżami i dozorcami w białych, powłóczystych szatach?

Spojrzał na wiszący na ścianie zegar. Sześć minut po północy i wciąż ani śladu Freda Astaire'a ani Ginger Rogers, czy choćby Mickeya Rooneya. Ale „E-Vap” chyba zdążył już zadziałać. Teraz zbierze go odkurzaczem, dzięki czemu rano pani Curless nie obdarzy go współczującym spojrzeniem i życie potoczy się dalej swoim rytmem. Amen.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Matt

1

Kiedy po skończonej trzeciej lekcji we wtorek Matt wszedł do swojego gabinetu, zastał tam czekającego Bena Mearsa.

— Cześć — przywitał go. — Wcześniej przyszedłeś. Ben wstał i podał mu rękę.

— Obawiam się, że to choroba rodzinna. Mam nadzieję, że te dzieciaki nie pożąra mnie żywcem, co?

— Uważam, że należy się z tym poważnie liczyć — odparł Matt. — Chodźmy.

Był lekko zaskoczony, gdyż Ben miał na sobie schludną, sportową kurtkę, szare, starannie uprasowane spodnie i buty sprawiające wrażenie niemal zupełnie nowych. Matt gościł już na swoich lekcjach kilku literatów; najczęściej byli ubrani, oględnie mówiąc, byle jak, a czasem wręcz cudacznie. Rok temu poprosił dość znaną poetkę, która wygłaszała odczyt w Uniwersytecie Maine w Portland, czy nie zechciałaby następnego dnia przyjechać do Salem i powiedzieć kilka słów na temat poezji. Przyjechała w wąskich spodniach do kolan i butach na wysokim obcasie, zupełnie jakby chciała powiedzieć: Patrzcie na mnie, przyjęłam reguły gry, jakie mi narzucił system, i zwyciężyłam. Teraz ja sama ustanawiam dla siebie prawa.

Ben zyskał w jego oczach kolejny, dodatni punkt. Po trzydziestu latach pracy w zawodzie nauczyciela Matt nabrał przekonania graniczącego z pewnością, że jeszcze nikomu nie udało się wygrać z systemem, a ci, którzy myślą inaczej, są kompletnymi idiotami.

— Bardzo przyjemny budynek — zauważył Ben, gdy szli razem korytarzem. — Nie ma porównania z tym, do którego ja chodziłem. Większość okien była wielkości okrętowych bulajów.

— Pierwszy błąd — powiedział Matt. — To nie jest „budynek”, tylko „obiekt”, tablice to „pomoce wizualne”, a dzieciaki to „wyodrębniony, koedukacyjny zespół nastoletnich uczniów”.

— Tylko im pozazdrościć — odparł z uśmiechem Ben.

— Ja też tak uważam. Powiedz mi, byłeś w college’u?

— Byłem, ale zrezygnowałem, bo doszedłem do wniosku, że wszyscy są tam pochłonięci intelektualną odmianą gry w dwa ognie. Wiesz — ten, kto trafi przeciwnika piłką zwalając go z nóg, zyskuje natychmiastową sławę i rozgłos. Kiedy ukazała się *Córka Conwaya*, ładowałem skrzynki z coca — colą na ciężarówce.

— Powiedz o tym dzieciakom. Na pewno ich to zainteresuje.

— Lubisz uczyć? — zapytał Ben.

— Jasne, że lubię. Nie robiłbym tego od czterdziestu lat, gdyby było inaczej.

Rozległ się donośny dzwonek. Korytarz był zupełnie pusty, jeśli nie liczyć samotnego ucznia podpierającego ścianę tuż pod wielką, drewnianą strzałką z napisem „Pracownia modelarska”

— Jak tu wygląda sprawa z prochami?

— Tak samo jak w każdej innej szkole w Ameryce. Mam wrażenie, że u nas znacznie poważniejszy problem stanowi picie, nie ćpanie.

— Naprawdę?

— Uważam, że z marihuaną nie mamy prawie żadnych kłopotów. Podobne zdanie mają nasze władze, szczególnie wtedy, gdy wleje się w nie parę szklaneczek whisky i porozmawia nieoficjalnie na stronie. Nie zmienia tego nawet fakt, że nasz kurator rejonowy, znakomity fachowiec zresztą, lubi pociągnąć parę dymków od czasu do czasu i pójść potem do kina. Ja też tego spróbowałem. Wrażenia były nawet dość przyjemne, ale miałem potem ostrą niestrawność.

— Ty...?

— Ciii! — Matt przyłożył palec do ust. — Wielki Brat jest wszędzie. Poza tym, oto moja klasa.

— O, Boże.

— Tylko się nie denerwuj — poradził mu Matt i wprowadził do sali. — Jak się macie — przywitał dwudziestu kilku uczniów przyglądających się z zainteresowaniem Benowi. — Przedstawiam wam pana Bena Mearsa.

2

W pierwszej chwili Ben pomyślał, że pomylił adres. Kiedy Matt Burke zaprosił go na kolację, powiedział wyraźnie, że mieszka w małym, drewnianym domku zaraz za dużym z czerwonej cegły. Opis się zgadzał, ale z otwartych okien dobiegały głośnie dźwięki rock and rolla.

Ben zastukał mosiężną kołatką, a kiedy nie otrzymał odpowiedzi, zapukał jeszcze raz. Tym razem muzyka nieco przycichła, we wnętrzu domu zaś rozległ się głos należący bez wątpienia do Matta:

— Wejdz, otwarte!

Ben wszedł, rozglądając się dokoła z zaciekawieniem. Znalazł się od razu w niewielkim, zagraconym salonie, w którym przedmiotem najbardziej rzucają-

cym się w oczy był nieprawdopodobnie stary telewizor firmy Motorola. Muzyka wydobywała się z czterech głośników, umieszczonych w rogach pokoju.

Z kuchni wyszedł Matt ubrany w kraciasty, biało-czerwony fartuch, a za nim — intensywny zapach sosu do spaghetti.

— Przepraszam za ten hałas — powiedział gospodarz. — Jestem trochę przygłuchy, więc u mnie zawsze wszystko gra głośniej niż u innych.

— Dobra muzyka.

— Jestem fanem rock and rolla od czasów Buddy Holly’ego. Głodny?

— Owszem — przyznał Ben. — Jeszcze raz dziękuję za zaproszenie. Odkąd przyjechałem do Salem, jadłem poza domem więcej razy niż chyba w ciągu ostatnich pięciu lat.

— To życzliwe miasteczko. Mam nadzieję, że nie będzie ci przeszkadzać, że usiądziemy w kuchni. Kilka miesięcy temu przyszedł do mnie jakiś facet z antykwariatu i dał mi dwieście dolarów za stół z salonu. Od tamtej pory nie miałem czasu, żeby kupić nowy.

— Oczywiście, że nie. Moja rodzina od pokoleń jadała niemal wyłącznie w kuchni.

Pomieszczenie, do którego weszli, było nienagannie czyste. Na małej czteropalnikowej kuchence stał wielki gar spaghetti i mniejszy, pełen sosu gotującego się na wolnym ogniu. Niewielki rozkładany stół zastawiony był naczyniami pochodzącymi z różnych kompletów; na szklankach widniały kolorowe postaci z filmów animowanych. Ben poczuł się niemal jak w domu.

— W szafce nad zlewem jest bourbon, whisky i wódka — powiedział Matt, wskazując palcem. — W lodówce powinny być jakieś soki, ale obawiam się, że raczej nienadzwyczajne.

— Wystarczy mi bourbon z wodą.

— Więc go sobie weź, a ja spróbuję coś zrobić z tym bałaganem. Ben zajął się przyrządzaniem drinka.

— Podobały mi się twoje dzieciaki — powiedział po chwili. — Zadawały dobre pytania. Ostre, ale dobre.

— Jak na przykład: „Skąd pan bierze swoje pomysły?” — zapytał Matt, naśladując uwodzicielski głosik Ruthie Crockett.

— Niezły z niej towar.

— A jakże. Aha, byłbym zapomniał; w lodówce za puszką z anansem Jest butelka dwunastoletniej szkockiej. Kupiłem ją specjalnie na tę okazję.

— Matt, chyba...

— Och, daj spokój. Nieczęsto mamy okazję gościć w naszym miasteczku autora bestsellerów.

— Mimo wszystko uważam, że to pewna przesada. Ben dokończył swego drinka, wziął od Matta talerz z dymiącym spaghetti, polał je obficie sosem i skosztował.

— Fantastyczne — oznajmił z pełnymi ustami. — Mamma mia.

— Ja myślę — odparł Matt.

Po niedługim czasie Ben stwierdził ze zdziwieniem, że jego talerz jest pusty. Nieco zawstydzony otarł usta.

— Jeszcze?

— Może trochę. Jest naprawdę wspaniałe. Matt ponownie nałożył mu z czubem.

— Jeśli my tego nie zjemy, wszystko dostanie mój kot. To nieszczęśliwe zwierzę. Waży dwadzieścia funtów i z trudem dopełza do miski.

— Dobry Boże, dlaczego go nie zauważyłem? Matt uśmiechnął się.

— Gdzieś polazł. Czy ta nowa książka to powieść?

— Raczej coś w rodzaju zbeletryzowanego dokumentu. Szczerze mówiąc, pi-szę ją dla pieniędzy. Sztuka to wspaniała rzecz, ale postanowiłem przynajmniej raz zgarnąć przy okazji trochę forsy.

— Jakie masz na to szansę?

— Raczej marne — przyznał szczerze Ben.

— Chodźmy do pokoju — zaproponował Matt. — Krzesła nie są najwygodniejsze, ale i tak o niebo lepsze od tych potwornych taboretów. Jesteś jeszcze głodny?

— Chyba żartujesz.

Kiedy znaleźli się w salonie, Matt nastawił kolejną płytę, po czym zajął się zapalaniem długiej fajki o dużym, okrągłym cybuchu.

— Nie — powiedział, gdy już mu się udało, a efektem była chmura gęstego, niebieskiego dymu. — Nie widać go stąd.

Ben stojący przy oknie drgnął raptownie.

— Czego nie widać?

— Domu Marstenów. Założę się o pięć centów, że właśnie za nim się rozglądasz.

Ben uśmiechnął się z przymusem.

— Nie przyjmuję zakładu.

— Czy w swojej książce opisujesz miasteczko podobne do Salem? Ben skinął głową.

— Miasteczko i ludzi. Następuje w nim seria seksualnych morderstw i napa-dów. Na początku jest opis jednego z nich, a potem dokładna, szczegółowa relacja z kolejnych wydarzeń. Czytelnik musi w to wejść po uszy. Miałem już opracowa-ny pomysł na tę część, ale akurat wtedy zniknął Ralphie Glick i... No, wszystko zaczęło wyglądać trochę inaczej.

— Opierasz się na tym, co się tu wydarzyło w latach trzydziestych? Ben spoj-rzał na niego uważnie.

— Wiesz o tym?

— Oczywiście. Podobnie, jak większość starszych mieszkańców, takich jak na przykład Mabel Werts, Glynis Mayberry czy Milt Crossen. Niektórzy z nich już sobie wszystko skojarzyli.

— To znaczy co?

— Daj spokój, Ben. Związek jest chyba oczywisty, prawda?

— Chyba tak. Kiedy ostatnio ktoś tam mieszkał, w ciągu dziesięciu lat zniknęło czworo dzieci. Teraz, po trzydziestu sześciu latach ponownie pojawiają się w nim ludzie i niemal natychmiast niknie Ralphie Glick.

— Uważasz, że to może być przypadek?

— Nie wiem — odparł ostrożnie Ben, przypomniawszy sobie słowa przestrogi, jakie usłyszał od Susan. — W każdym razie, jest w tym coś dziwnego. Przejrzałem wszystkie roczniki *Ledgera* od roku 1939 do 1970. W tym czasie zaginęło troje dzieci. Jednego chłopaka złapano w Bostonie, drugie po miesiącu wyłowiono z Androscoggin, a trzecie znaleziono w Gates na poboczu szosy, potrącone przez nieznany samochód. Tak więc wszystkie przypadki zostały wyjaśnione.

— Być może tak samo będzie z Glickiem.

— Być może.

— Ani trochę w to nie wierzysz, Ben. Powiedz mi, co wiesz o tym Strakerze?

— Kompletnie nic. Nie jestem nawet pewien, czy miałbym ochotę się z nim spotkać. Ta książka jest ściśle związana z Domem Marstenów i jego mieszkańcami. Gdyby się okazało, że to jakiś najzwyczajniejszy w świecie businessman, mogłoby mi to trochę popsuć koncepcję.

— Nie sądzę, żeby tak się stało. Właśnie dzisiaj otworzył ten swój sklep. Widziałem, jak wchodziła tam Susie Norton z matką. Do diabła, zdaje się, że większość kobiet zdążyła już tam wpaść przynajmniej na chwilę. Według Della Markeya, do którego wiarygodności nie można mieć najmniejszych zastrzeżeń, w pobliżu widziano nawet kuśtykającą Mabel Werts. Facet wywiera podobno duże wrażenie: elegancki, szycowny, czarujący, a do tego kompletnie łysy. Podobno nawet już sprzedał parę drobiazgów.

Ben uśmiechnął się.

— To wspaniale. A czy ktokolwiek widział jego wspólnika?

— Rzekomo wyjechał w interesach.

— Dlaczego „rzekomo”? Matt wzruszył ramionami.

— Nie wiem. Prawdopodobnie wszystko jest w jak najlepszym porządku, ale ten dom nie daje mi spokoju. Zupełnie, jakby ci dwaj specjalnie go wyszukali. Tak jak powiedziałeś, spogląda na miasteczko z góry niczym jakiś bożek.

Ben skinął głową.

— W dodatku zaraz potem niknie Ralphie, a jego brat umiera w wieku dwunastu lat na złośliwą anemię.

— Co w tym niezwykłego? Oczywiście, to bardzo przykre, ale...

— Mój lekarz jest bardzo młodym gościem, nazywa się Jimmy Cody. Był kiedyś moim uczniem i cholernym piekielnikiem, a teraz jest dobrym lekarzem. Pamiętaj, że to, co ci teraz powiem, to tylko plotka. Albo pogłoska, jeśli wolisz.

— Dobra.

— Byłem akurat u niego na badaniu i wspomniałem mimochodem, że to okropne, co się stało z tym chłopcem, szczególnie jeśli weźmie się pod uwagę, że wcześniej zaginał jego brat. Jimmy powiedział mi na to, że rozmawiał z George'em Gorbym. Chłopiec miał rzeczywiście cholerną anemię. W jego wieku ilość czerwonych ciałek powinna wynosić od osiemdziesięciu pięciu do dziewięćdziesięciu ośmiu procent, a u niego było tylko czterdzieści pięć procent.

— Cholera — mruknął Ben.

— Podali mu dożylnie witaminę B 12, karmili cielecą wątroba i wydawało się, że wszystko będzie okay. Następnego dnia miał zostać wypisany do domu, a tu nagle trach, i nie żyje.

— Lepiej nie powtarzaj tego Mabel Werts — poradził mu Ben. — W chwilę później przysięgnie, że widziała w parku Indian z zatrutymi strzałami.

— Jesteś pierwszą i zarazem ostatnią osobą, która to ode mnie słyszy. A tak przy okazji, Ben: na twoim miejscu nie mówiłbym nikomu, o czym ma być twoja książka. Gdyby pytała cię o to Loretta Starcher, powiedz jej, że o architekturze.

— Już ktoś udzielił mi takiej samej rady.

— Z całą pewnością Susan Norton.

Ben zerknął na zegarek i uniósł się z miejsca.

— Właśnie, skoro o niej mowa. . .

— Tokujący samiec w całej okazałości — przerwał mu Matt. — Tak się składa, że akurat muszę iść do szkoły. Właśnie ustawiamy trzeci akt naszego przedstawienia. Będzie to komedia o niezwykle doniosłej wymowie społecznej pod tytułem *Kłopoty Charleya*.

— A jakież są te jego kłopoty?

— Pyszczce — odparł z uśmiechem Matt.

Ruszyli razem do drzwi. Matt zatrzymał się, żeby założyć wypłowiałą kurtkę, a Ben pomyślał, że jego gospodarz przypomina z wyglądu raczej podstarzałego trenera lekkiej atletyki, niż prowadzącego siedzący tryb życia nauczyciela angielskiego, oczywiście jeśli nie liczyć jego twarzy, inteligentnej, zamyślonej i w jakiś dziwny sposób niewinnej.

— Masz konkretne plany na piątek wieczór? — zapytał Matt, kiedy wyszli z domu.

— Jeszcze nie. Zamierzałem pójść z Susan do kina. To zdaje się jedyne, co tu można zrobić.

— Mam lepszy pomysł. Co ty na to, żebyśmy pojechali we trójkę do Domu Marstenów i w imieniu mieszkańców miasteczka poznali nowego właściciela?

— Ma się rozumieć, powodowani wyłącznie zwykłą uprzejmością? — zapytał Ben.

— Zwykłą, prowincjonalną uprzejmością — potwierdził Matt.

— Powiem o tym Susan. Myślę, że powinna się zgodzić.

— To dobrze.

Matt uniósł dłoń i pomachał odjeżdżającemu Benowi, a ten w odpowiedzi dwukrotnie zatrząbił. W chwilę potem tylne światła citroena zniknęły za wyniosłością wzgórza.

Od chwili, gdy warkot silnika ucichł w oddali, minęła już ponad minuta, lecz mimo to Matt nadal stał bez ruchu z dłońmi wbitymi głęboko w kieszenie i wpatrywał się w dom stojący na szczycie wzniesienia.

3

W czwartek wieczorem nie było próby, więc około dziewiętej Matt podjechał do Della, żeby wypić jedno lub dwa piwa. Jeżeli ten cholerny kutwa Jimmy Cody nie da mu wreszcie czegoś na sen, to on sam sobie coś przepisze.

W dni, kiedy nie występował żaden zespół, lokal świecił pustkami. Matt dostrzegł tylko trzy znane sobie osoby: Weasela Craiga, sączącego powoli w kącie samotne piwo, nachmurzonego Floyda Tibbitsa (w tym tygodniu trzy razy rozmawiał z Susan, dwa razy przez telefon, a raz osobiście, w jej domu, ale żadna z tych rozmów nie przebiegła po jego myśli) oraz Mike'a Ryersona siedzącego przy stoliku pod ścianą.

Matt podszedł do baru, za którym stał Dell Markey, wycierając szklanki i oglądając na przenośnym telewizorku kolejny odcinek Ironside.

— Cześć, Matt. Co słychać?

— Po staremu. Mały ruch dzisiaj, co? Dell wzruszył ramionami.

— Ano. W kinie mają jakiś nowy film z motocyklistami. Nie mam co konkurować. Kufel czy szklanka?

— Kufel.

Dell napełnił naczynie, zdjął wierzchnią warstwę piany i dolał jeszcze trochę złocistego płynu. Matt zapłacił, wziął kufel do ręki i po krótkim wahaniu skierował się do stolika, przy którym siedział Ryerson. Mike był kiedyś jego uczniem, podobnie jak większość młodych ludzi w Salem, i zapisał się korzystnie w jego pamięci. Będąc przeciętnie inteligentnym osiągał ponadprzeciętne wyniki, a to dzięki temu, że dużo pracował i tak długo pytał o wszystko, czego nie rozumiał, aż pojął całość zagadnienia. W dodatku miał pogodne usposobienie i poczucie humoru, więc cieszył się powszechną sympatią.

— Jak się masz, Mike. Pozwolisz, że się przysiadę?

Mike Ryerson uniósł opuszczoną głowę. Na widok jego twarzy Matt doznał niemal wstrząsu. Naćpany, pomyślał. Naćpany po uszy.

— Oczywiście, panie Burke. Bardzo proszę — powiedział bezbarwnym głosem. Miał nieprawdopodobnie bladą cerę i podkrążone, niespokojne oczy, jego dłonie zaś poruszały się w półmroku panującym w barze niczym białe zjawy. Na stoliku przed nim stała nietknięta szklanka piwa.

— Co słyszeć. Mike? — zagadnął Matt, usiłując zapanować nad własnymi dłońmi, które nagle zaczęły mu drżeć w nie kontrolowany sposób.

Jego życie toczyło się spokojnym, ustabilizowanym rytmem, jedynym zaś, co zakłócało płaski wykres świadczący o braku zarówno wielkich uniesień, jak i wstrząsających tragedii, był smutny koniec, jaki spotykał niektórych spośród jego uczniów. Billy Royko zginął w Wietnamie na dwa miesiące przed zawieszeniem broni; Sally Greer, chyba najmądrzejsza i najbardziej energiczna dziewczyna, jaką w życiu spotkał, została zamordowana przez swego pijanego chłopaka, kiedy oświadczyła mu, że z nim zrywa; Gary Coleman ośleplł z powodu jakiejś tajemniczej choroby nerwu wzrokowego; Doug Mayberry, jedyny porządny dzieciak w tym niedorozwiniętym klanie, utonął na plaży Old Orchard. Oprócz tego były jeszcze narkotyki. Nie wszyscy, którzy zanurzyli się na chwilę w strumieniu zapomnienia, wracali, żeby się w nim kąpać, ale było ich wystarczająco dużo. Dzieciaki, dla których sny stały się sensem i treścią życia.

— Co słyszeć? — powtórzył powoli Mike. — Nie wiem, proszę pana. Chyba nic dobrego.

— Czym się naszprycowałeś, Mike? — zapytał łagodnie Matt. Mike spojrzał na niego, nie rozumiejąc.

— Kokaina? Marihuana? A może...

— Nie brałem żadnych prochów — odparł Mike. — Chyba jestem chory.

— Jesteś pewien?

— W życiu nie brałem niczego takiego. — Wydawało się, że każde słowo sprawia mu fizyczny ból. — Parę razy trawkę, ale to już dawno... Jestem chory, zaczęło się chyba w poniedziałek. W niedzielę zasnąłem na cmentarzu i obudziłem się dopiero w poniedziałek rano. — Potrząsnął z wysiłkiem głową. — Czułem się okropnie. Cały czas czuję się okropnie. Z każdym dniem gorzej. — Westchnął i zadrżał na całym ciele niczym martwy, szarpany listopadowym wiatrem liść.

Matt nachylił się, zaniepokojony.

— Czy to stało się po pogrzebie Danny'ego Glicka?

— Tak. — Mike ponownie spojrzał na niego podkrążonymi oczami. — Jak już wszyscy sobie poszli, mieliśmy z Royalem zasypać grób, ale ten skurwy... — przeprasza, panie Burke — ... ale Royal nie przyszedł. Czekałem na niego bardzo długo i chyba wtedy to się zaczęło, bo wszystko, co było potem... Rany boskie, jak mnie łupie głowa. Nie mogę myśleć.

— Pamiętasz coś. Mike?

— Czy coś pamiętam? — Zajrzał do swojej szklanki i przez chwilę przyglądał się, jak bąbelki powietrza odrywają się od ścianek i unoszą ku powierzchni. —

Pamiętam, jak ktoś śpiewał. Najładniej, jak w życiu słyszałem. A potem czułem się tak, jakbym... jakbym tonął, ale to byłoby nawet przyjemne, gdyby nie te oczy. Te o c z y...

Zadrżał ponownie.

— Czyje oczy? — zapytał z napięciem Matt.

— Czerwone. Okropne.

— Tak, ale c z y j e ?

— Nie pamiętam. Nie było żadnych oczu. Przywidziało mi się. — Matt widział, jak chłopak stara się odepchnąć od siebie przerażające wspomnienie. — Nic nie pamiętam. W poniedziałek rano obudziłem się na ziemi koło grobu. Byłem tak zmęczony, że z początku nawet nie mogłem wstać, ale w końcu mi się udało. Słońce już wzeszło i myślałem, że spiekę się na raka, więc poszedłem między drzewa, nad strumień. Byłem tak zmęczony, że znowu się położyłem i spałem gdzieś do czwartej albo piątej. — Z jego ust wydobyło się coś w rodzaju bezbarwnego chichotu. — Kiedy się obudziłem, leżałem pod stertą liści. Czułem się trochę lepiej, więc wstałem i poszedłem do samochodu. — Powoli przesunął dłonią po twarzy. — Najdziwniejsze, że wszystko było już skończone, a ja nic nie pamiętam.

— Skończone?

— No, grób zasypany, kwiaty ułożone i tak dalej. Bardzo porządnie. Musiałem być już bardzo chory, kiedy to robiłem, bo nic nie pamiętam.

— Gdzie spałeś w nocy z poniedziałku na wtorek?

— U siebie, a gdzież by indziej?

— I jak się czułeś we wtorek rano?

— Nie wiem, bo spałem cały dzień. Obudziłem się dopiero wieczorem.

— A wtedy?

— Okropnie. Zupełnie, jakbym miał nogi z gumy. Wstałem, żeby napić się wody i o mało nie upadłem. Szedłem do kuchni trzymając się mebli. — Zmarszczył brwi. — W lodówce miałem przyszykowany befsztyk, ale nie mogłem go przełknąć. Od samego patrzenia robiło mi się niedobrze. Wie pan, jakbym miał potężnego kaca, a ktoś kazał mi jeść.

— Więc nic nie jadłeś?

— Próbowałem, ale od razu wszystko zwróciłem. Mimo to poczułem się odrobinę lepiej. Wyszedłem na dwór i przeszedłem się trochę, a potem znowu położyłem do łóżka. — Jego palce przesuwają się powoli po stoliku. — Bałem się jak dziecko, któremu pokazano Gabinet Grozy. Sprawdziłem, czy wszystkie okna są zamknięte, i zostawiłem zapalone światło.

— A wczoraj rano?

— Co? Nie, wstałem dopiero gdzieś o dziewiątej wieczorem. — Ponownie spróbował się roześmiać. — Pomyślałem sobie, że jak tak dalej pójdzie, to będę spał dwadzieścia cztery godziny na dobę. Tak robią wszystkie umarlaki.

Matt przypatrywał mu się z uwagą. Floyd Tibbits wstał ze swego miejsca, podszedł do szafy grającej i zaczął wybierać utwory.

— To zabawne — przerwał krótkotrwałe milczenie Mike. — Kiedy się obudziłem, okno w sypialni było otwarte. Pewnie sam je otworzyłem. Śniło mi się, że... że ktoś jest za tym oknem, a ja wstaję i wpuszczam go do środka. Zupełnie, jakby to był przyjaciel, zmarznięty albo... głodny.

— Kto to był?

— To tylko sen, panie Burke.

— Nie szkodzi. Kto to był?

— Nie wiem. Chciałem coś zjeść, ale na samą myśl o tym mało się nie wyrzygałem.

— Co zrobiłeś potem?

— Oglądałem w telewizji program Johnny'ego Carsona. Myślałem, że parę piw rozrusza mnie trochę, ale nie mogę wypić nawet jednego. Pociągnąłem łyk i o mało się nie udławiłem. W poprzednim tygodniu... To wszystko przypomina mi jakiś okropny sen. Boję się. Strasznie się boję. — Po jego bladej twarzy pociekły łzy.

— Mike? Cisza.

— Posłuchaj, Mike. — Odciągnął jego dłonie od twarzy. — Będziesz dzisiaj spał u mnie, w gościnnym pokoju. Zgoda?

— W porządku, wszystko mi jedno. — Z letargiczną powolnością otarł rękawem oczy.

— A jutro pójdziemy razem do doktora Cody'ego.

— Dobrze.

— W takim razie, chodźmy.

Przyszło mu do głowy, czy nie należałoby zadzwonić do Bena, ale zrezygnował z tego pomysłu.

4

— Proszę wejść — powiedział Mike Ryerson, kiedy Matt zapukał do drzwi.

— Przyniosłem ci piżamę — oznajmił Matt. — Może być trochę za duża, ale...

— Dziękuję, panie Burke. Śpię w slipach.

Był już rozebrany i Matt dostrzegł, że całe jego ciało jest nieprawdopodobnie blade, a zebra sterczą ostro pod cienką jak pergamin skórą.

— Przekręć głowę, Mike. Nie tak, w drugą stronę. Mike posłusznie zrobił, co mu kazano.

— Skąd masz te ślady?

Ryerson uniósł dłoń i dotknął szyi.

— Te? Nie mam pojęcia.

Matt przez chwilę stał bez ruchu, jakby nie mogąc się na coś zdecydować, po czym podszedł do okna. Było szczelnie zamknięte, lecz mimo to szarpnął kilka razy za uchwyt, aż poczuł ból w ręce.

— W razie czego natychmiast mnie zawołaj, rozumiesz? Nawet, gdybyś miał tylko zły sen. Zrobisz to, Mike?

— Tak.

— Mówię serio. Natychmiast. Jestem na końcu korytarza.

— Dobrze, proszę pana.

Matt zawahał się, po czym wyszedł, mając przeczucia graniczące z pewnością, że nie zrobił wszystkiego, co powinien.

5

Nie mógł zasnąć, a przed sięgnięciem po telefon i wykręceniem numeru Bena Mearsa powstrzymywała go jedynie świadomość, że o tej porze w pensjonacie z pewnością już wszyscy będą spali. Większość mieszkańców stanowili ludzie podeszli wiekiem, którym telefon dzwoniący o tak późnej godzinie nasunąłby przede wszystkim skojarzenia z czyjąś śmiercią.

Leżał niespokojnie obserwując, jak fosforyzujące wskazówki budzika przesuwają się z wpół do dwunastej na dwunastą. W domu panowała nadzwyczajna cisza — być może dlatego, że cały czas nasłuchiwał z natężeniem, gotów wyłowić najmniejszy nawet odgłos. Był to stary, solidny budynek, w którym już dawno przestały się rozlegać trzaski i poskrzypywania dopasowujących się do siebie desek. Słyszać było tylko tykanie budzika i dobiegający z zewnątrz szum wiatru. Tak późno w nocy po Taggart Stream Road nie jeździły żadne samochody.

To, o czym myślisz, to szaleństwo.

Mimo to z każdą chwilą coraz bardziej w to wierzył. Jako odczytany człowiek pomyślał o tym natychmiast, kiedy tylko Jimmy Cody opowiedział mu o przypadku Danny'ego Glicka. Podzielił się swymi podejrzeniami z lekarzem i obydwaj setnie się uśmieali. Możliwe, że teraz musiał właśnie za to zapłacić.

Zadrapania? To nie były zadrapania, tylko ukłucia.

Wszystko, czego człowiek uczył się w życiu, przemawiało za tym, że takie rzeczy nie mogą dziać się w rzeczywistości, że *Cristabel Coleridge*'a i opowieści Brama Stokera należą do zupełnie innego, fantastycznego świata. Oczywiście, potwory istnieją naprawdę: ludzie trzymający w sześciu krajach świata palce na czerwonych guzikach wyzwalających termonuklearną zagładę, porywacze, mordercy, zboczeńcy znęcający się nad dziećmi. Ale nie t o. Zawsze można znaleźć jakieś inne wytłumaczenie. Diabelskie znamię na kobiecej piersi to jedynie niewinny pieprzyk, człowiek, który wstał z trumny i zjawił się na własnym pogrzebie,

cierpiał tylko na szczególny przypadek śpiączki, upiór czający się w kącie dziecięcej sypialni to tylko sterta koców. Niektórzy twierdzili, że nawet Bóg, ten stary, siwowłosy wojownik, już od dawna nie żyje.

Nie została w nim ani jedna kropla krwi.

Z sypialni na drugim końcu korytarza w dalszym ciągu nie dobiegał żaden, nawet najdrobniejszy odgłos. Na pewno śpi jak kamień, pomyślał Matt. Zresztą, co w tym dziwnego? Przecież zaprosił Mike'a właśnie po to, by chłopak spokojnie spędził noc, nie przerywaną... Właśnie, czym? Złymi snami? Wstał z łóżka, włączył lampkę i podszedł do okna. Z tego miejsca mógł dostrzec jedynie dach Domu Marstenów skąpany w zimnym, księżycowym blasku.

Boję się.

To nie był strach, tylko przerażenie. Zaczął gorączkowo myśleć o prastarych zabezpieczeniach przed nie nazywanym po imieniu niebezpieczeństwem: czosnek, woda święcona, hostia, bieżąca woda. Nie miał żadnych świętych przedmiotów, był nie praktykującym metodystą, w duchu zaś uważał, że John Groggins jest największym durniem w całym zachodnim świecie.

Jedynym przedmiotem związanym z religią, jaki znajdował się w domu, był...

W śmiertelnej ciszy rozległ się spokojny, wyraźny głos Mike'a Ryersona:

— Tak. Wejdz, proszę.

Matt wstrzymał na chwilę oddech, a potem wypuścił go z płuc w bezdźwięcznym wrzasku przerażenia. Miał wrażenie, że za chwilę zemdleje ze strachu i że żołądek zamienił mu się w ołowianą kulę. Posłuszne podświadomemu rozkazowi jądra skurczyły się w ułamku sekundy. Na Boga, kto został zaproszony do jego domu?

Kolejny odgłos, tym razem przekręcanej klamki w oknie, a następnie przeciągłe skrzypienie.

Mógł jeszcze zbiec na dół, wyciągnąć biblię z szuflady w salonie, wrócić na górę, otworzyć drzwi gościnnego pokoju i wejść, trzymając ją przed sobą w wyciągniętych rękach. W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego, rozkazuję ci, odejdz!

Ale kto tam był?

Zawołaj mnie, gdybyś czegokolwiek potrzebował.

Nie mogę, Mike. Jestem starym człowiekiem. Boję się.

Noc ogarnęła nagle jego umysł, zaludniając go niewyraźnymi, tańczącymi w szaleńczym tempie postaciami. Białe twarze clownów, wielkie oczy, ostre zęby, cienie wyciągające z mroku ręce...

Jęknął rozpaczliwie i zasłonił rękami twarz.

Nie mogę. Boję się.

Nie wstałby nawet wtedy, gdyby zobaczył, jak porusza się klamka u drzwi jego pokoju. Był sparaliżowany strachem i myślał tylko o tym, że nie powinien być w ogóle jechać wieczorem do Della.

Boję się.

A potem, w śmiertelnej ciszy spowijającej dom, siedząc bezradnie na brzegu łóżka z twarzą schowaną w dłoniach, usłyszał wysoki, słodki, złowrogi śmiech dziecka...

... a potem odgłosy ssania...

CZEŚĆ DRUGA
Cesarz
lodów śmietankowych

*Wezwijcie osiłka, co zwija wielkie cygara
I kaźcie mu ubijać w kuchennych naczyniach
Tłuste pożądlivością masło.
Niech dziewczki włóczą się w dowolnie wybranych
Sukniach, a chłopcy niech przynoszą kwiaty
Zawinięte w zeszlomiesięczne gazety.
To będzie koniec zaszłości światowych.
Prawdziwym cesarzem jest cesarz lodów śmietankowych.*

*Weźcie z komody uczynków,
Tej bez trzech szklanych galek, ową chustkę,
Na której wyhaftowała kiedyś trzy wachlarze
I rozpostarła ją, by zasłonić nimi swoją twarz.
A jeżeli pokaże swe zrogowaciale stopy, to tylko
Po to, byśmy pojeli całą jej głupotę.
Niech lampa rozjaśni mrok chmur burzowych.
Prawdziwym cesarzem jest cesarz lodów śmietankowych.*

Wallace Stevens

*W tej kolumnie jest Dziura.
Czy widzisz przez nią
Królową Śmierci?*

George Seferis

ROZDZIAŁ ÓSMY

Ben (III)

1

Musiał już od dłuższego czasu słyszeć pukanie, bo jego echo docierało do niego w krętych uliczkach snu, którymi wędrował mozolnie do przebudzenia. Było zupełnie ciemno, a kiedy sięgnął po budzik stojący przy łóżku, żeby sprawdzić godzinę, strącił go na podłogę. Czuł się zdezorientowany i przestraszony z jakiegoś niejasnego powodu.

— Kto tam? — zapytał.

— Eva Miller, panie Mears. Telefon do pana.

Wstał, wciągnął spodnie i nie zakładając koszuli otworzył drzwi. Eva miała na sobie swoją białą podomkę i wyraz twarzy kogoś, kto jeszcze nie rozbudził się na dobre. Ktoś zachorował? A może umarł? — przemknęło mu przez myśl.

— Zamiejskowa?

— Nie, to Matthew Burke.

Wcale nie podziałało to na niego uspokajająco.

— Która godzina?

— Kilka minut po czwartej. To chyba coś bardzo pilnego. Ben zszedł na dół i podniósł leżącą obok aparatu słuchawkę.

— Co się stało, Matt?

W słuchawce usłyszał gwałtowny, chrapliwy oddech.

— Możesz do mnie przyjechać? Natychmiast?

— Tak, oczywiście. O co chodzi? Jesteś chory?

— Nie przez telefon. Przyjedź jak najszybciej.

— Będę za dziesięć minut.

— Ben. . .

— Tak?

— Masz krucyfiks? Medalik ze świętym Krzysztofem albo coś w tym rodzaju?

— Do licha, nie. Jestem, to znaczy byłem, baptystą.

— Trudno. Przyjeżdżaj, czekam.

Ben odłożył słuchawkę i szybko poszedł na górę. Eva stała na piętrze z dłonią opartą o poręcz schodów i twarzą, na której malowały się sprzeczne uczucia: ciekawość i niechęć do wtrącania się w nie swoje sprawy.

— Czy pan Burke jest chory?

— Twierdzi, że nie, ale zapytał mnie. . . Czy pani jest katoliczką?

— Mój mąż chodził do kościoła.

— Ma pani krucyfiks, różaniec albo medalik ze świętym Krzysztofem?

— To znaczy. . . W sypialni mam krzyż. . . Chyba mogłabym. . .

— Bardzo panią proszę.

Odeszła, szurając ciepłymi kapciami po wytartym chodniku. Ben wszedł do swego pokoju, wciągnął wczorajszą koszulę i założył buty. Kiedy ponownie wyszedł na korytarz, Eva już czekała na niego, ściskając w dłoniach krzyż błyszczący srebrem.

— Dziękuję pani — powiedział, biorąc go od niej.

— Pan Burke poprosił, żeby pan mu go przywiózł?

— Tak.

Zmarszczyła brwi. Z jej twarzy zniknęły już resztki senności.

— To dziwne. Nie jest katolikiem i wątpię, czy w ogóle chodzi do kościoła.

— Nie powiedział mi, o co chodzi.

— Aha. — Skinęła głową, jakby to wszystko wyjaśniało. — Tylko proszę na niego uważać. To dla mnie cenna pamiątka.

— Oczywiście.

— Mam nadzieję, że z panem Burke wszystko w porządku. To bardzo dobry człowiek.

Ben zszedł na parter i poszedł do samochodu. Trzymając w prawej dłoni krzyż, nie bardzo mógł wyciągnąć z kieszeni kluczyki, lecz zamiast po prostu przełożyć go do lewej, powiesił sobie na szyi. Srebrny ciężar dotknął uspokajająco jego piersi, ale pogrążony w domysłach Ben wsiadając do samochodu nawet nie zwrócił na to uwagi.

2

Na parterze domu Matta we wszystkich oknach paliło się światło, a on sam pojawił się na schodkach natychmiast, gdy tylko blask reflektorów samochodu skręcającego na podjazd przesunął się po frontowej ścianie.

Ben wysiadł, przygotowany na najgorsze. Matt najwyraźniej był w szoku; śmiertelnie błąd, drżące usta i szeroko otwarte, przerażone oczy.

— Chodźmy do kuchni — powiedział.

Kiedy Ben przekraczał próg, światło zamigotało na krzyżu.

— Przywiozłeś go.

— Pożyczyła mi Eva Miller. Co się stało?
— W kuchni — powtórzył Matt. Kiedy mijali schody wiodące na piętro, spoj-
rzył w górę i jego ciałem wstrząsnął nagły dreszcz.
Stół, przy którym nie tak dawno jedli spaghetti, był teraz pusty, jeśli nie liczyć
trzech przedmiotów zupełnie do siebie nie pasujących: filiżanki z kawą, sfatygo-
wanego egzemplarza Biblii i rewolweru kaliber 38.
— Powiedz wreszcie, o co chodzi, Matt. Wyglądasz okropnie.
— Może to wszystko tylko mi się przyśniło, ale dzięki Bogu, że jesteś. —
Matt wziął ze stołu rewolwer i zaczął niepewnie obracać go w dłoniach.
— Mów, co się stało. I przestań się tym bawić. Jest naładowany? Matt odłożył
broń i przesunął dłonią po włosach.
— Tak, jest naładowany... Choć nie sądzę, żeby mógł cokolwiek pomóc.
Chyba że strzeliłbym sobie w łeb. — Roześmiał się nienaturalnym, histerycznym
śmiechem.
— Uspokój się!
Ostry ton głosu zabrzmiał w kuchni niczym trzaśnięcie biczem. Matt potrząsnął
głową, nie w geście negacji, lecz tak, jak czynią to niektóre zwierzęta po wyjściu
z zimnej wody.
— Na górze jest martwy człowiek — powiedział.
— Kto?
— Mike Ryerson. Opiekował się miejską zielenią.
— Jesteś pewien, że nie żyje?
— Tak, chociaż nawet na niego nie spojrzałem. Nie miałem odwagi, bo z dru-
giej strony... on może wcale nie być martwy.
— Matt, to nie ma żadnego sensu!
— Myślisz, że tego nie wiem? Gadam bez sensu, chodzą mi jakieś wariactwa
po głowie, ale zadzwoniłem do ciebie, bo jesteś jedyną osobą w Salem, która...
która... — przerwał i ponownie potrząsnął głową, po czym zaczął od początku.
— Pamiętasz, rozmawialiśmy o Dannym Glicku.
— Tak.
— I o tym, że umarł na złośliwą anemię, czyli na coś, co nasi dziadkowie
nazywali „wyniszczeniem”.
— Zgadza się.
— Mike go pochował. I to właśnie Mike znalazł psa Wina Purintona nadzia-
nego na bramę cmentarza. Spotkałem go wczoraj wieczorem u Della i...

3

— ...ale nie mogłem tam wejść — zakończył. — Po prostu nie i mogłem.
Siedziałem na łóżku przez prawie cztery godziny, a potem wymknąłem się na dół
jak złodziej i zadzwoniłem do ciebie. Co o tym wszystkim myślisz?

Ben tymczasem zdjął krzyż z szyi i teraz od niechcienia przesuwiał między palcami ogniwa grubego, srebrnego łańcucha. Dochodziła już piąta rano i zza horyzontu powoli wstawał blask wschodzącego słońca.

— Myślę, że powinniśmy pójść do pokoju gościnnego i rozejrzeć się tam. Na razie nic innego nie przychodzi mi do głowy.

— Teraz, kiedy skończyła się noc, to wszystko mnie samemu wydaje się snem szaleńca. — Matt roześmiał się niepewnie. — Mam nadzieję, że tak właśnie było i że Mike śpi spokojnie jak dziecko.

— W takim razie, chodźmy zobaczyć. Matt zawahał się.

— Zgoda — wykrztusił wreszcie z widocznym wysiłkiem, po czym zerknął niepewnie na przedmiot trzymany przez Bena w dłoniach.

— Oczywiście — powiedział Ben i założył mu łańcuch na szyję.

— Wiesz, to śmieszne, ale naprawdę od razu lepiej się czuję. Sądysz, że każą mi go zdjąć, kiedy będą mnie odwozić do czubków?

— Chcesz rewolwer? — zapytał Ben.

— Nie, lepiej nie. Jeszcze wetknę go za pasek i odstrzelę sobie jaja.

Weszli po schodach — Ben pierwszy, Matt tuż za nim. Na piętrze znajdował się krótki korytarz, biegnący w obie strony. Drzwi do sypialni Matta były po prawej stronie, otwarte, odsłaniając fragment wnętrza oświetlonego blaskiem nocnej lampki.

— W lewo — powiedział Matt.

Ben stanął pod drzwiami pokoju gościnnego. Co prawda, nie uwierzył w potworności, o jakich opowiedział mu Matt, niemniej jednak poczuł, że ogarnia go niemożliwy do opanowania strach.

Otwierasz drzwi, a on wisi na konopnym powrozie z opuchniętą, czarną twarzą, otwiera okropne, wybałuszone oczy i w i d z i cię, cieszy się, że przyszedłeś...

Wspomnienie powróciło z taką siłą, że przez chwilę stał jak sparaliżowany, nie mogąc wykonać najmniejszego ruchu. Niemal czuł zapach wilgotnego tynku i woń niewidocznych zwierząt. Wydawało mu się, że te zwyczajne, lakierowane drzwi stanowią jedyną przegrodę oddzielającą go od tajemnic piekła.

Nacisnął klamkę i pchnął drzwi. Matt stał tuż za jego plecami, ściskając mocno w dłoni srebrny krzyż.

Okno wychodziło dokładnie na wschód i widać było przez nie krawędź słońca wyłaniającego się właśnie zza linii wzgórz. Pierwsze nieśmiałe promienie wpały do wnętrza pokoju i wydobywając z pozornie idealnie czystego powietrza kilkanaście złotych, tańczących pyłków, kładły się jasną plamą na białym prześcieradle, pod którym leżał Mike Ryerson.

— Nic mu nie jest — szepnął Ben. — Śpi. Matt pokręcił głową.

— Okno jest otwarte — powiedział bezbarwnym tonem. — Wczoraj wieczorem było zamknięte, jestem tego pewien.

Uwagę Bena przyciągnęła mała, czerwona plamka, odcinająca się wyraźnie od białego tła prześcieradła okrywającego pierś Ryersona.

— On chyba nie oddycha — wyszeptał Matt. Ben zrobił dwa kroki w kierunku łóżka.

— Mike? Mike Ryerson! Obudź się, Mike!

Żadnej odpowiedzi. Rzęsy Mike'a rzucały na jego policzki nieruchome cienie. Miał lekko zmierzwiłone włosy i Ben pomyślał, że w delikatnych promieniach wschodzącego słońca przypomina piękny, nieruchomy grecki posąg. Skóra na jego twarzy i dłoniach miała zdrowy, różowy odcień.

— Oczywiście, że oddycha — odparł ze zniecierpliwieniem. — Po prostu ma mocny sen, i to wszystko. Mike... — Położył dłoń na ramieniu mężczyzny leżącego w łóżku i potrząsnął nim lekko. Ręka Mike'a zsunęła się bezwładnie z prześcieradła, przewieszając przez krawędź łóżka; dłoń dotknęła podłogi, a kostki palców stuknęły głośno w drewnianą posadzkę.

Matt nachylił się, podniósł nieruchome ramię i przycisnął swój wskazujący palec do przegubu.

— Nie ma pulsu — stwierdził po chwili.

Nie chcąc, aby powtórzyło się złowieszcze stuknięcie, położył rękę z powrotem na łóżku. Zaczęła się ponownie zsuwać, więc przytrzymał ją z niechętnym grymasem.

Ben nie mógł w to uwierzyć. Mike na pewno śpi, co do tego nie było żadnych wątpliwości. Zdrowa cera, giętkość mięśni, lekko uchylone, jakby dla zaczerpnięcia oddechu, usta... Czuł się tak, jakby nagle znalazł się w samym środku jakiegoś nieprawdopodobnego snu. Dotknął ciała mężczyzny i przekonał się, że jest zupełnie zimne.

Nie dowierzając samemu sobie, poślinił palec i przysunął go do na wpół otwartych ust. Żadnego, nawet najśłabszego oddechu.

Popatrzyli z Mattem na siebie.

— Ślady na szyi? — zapytał cicho Matt. Ben ujął w obie dłonie głowę Ryersona i przekręcił ją delikatnie. Ręka po raz drugi z martwym stuknięciem dotknęła podłogi. Na szyi Mike'a nie było żadnych śladów.

4

Ponownie siedzieli przy stole w kuchni. Była 5.35. Z pastwiska znajdującego się w dole wzgórza, zasłoniętego licznymi krzewami i zaroślami, dobiegało leniwe porykiwanie krów Griffena.

— Według ludowych wierzeń, po śmierci ofiary ślady natychmiast znikają — odezwał się niespodziewanie Matt.

— Wiem o tym — odparł Ben. Zapamiętał ten szczegół z *Draculi* Stokera i filmów wytwórni Hammer z Christopherem Lee w roli głównej.

— Musimy przebić mu serce jesionowym kołkiem.

— Na twoim miejscu jeszcze bym się nad tym zastanowił — powiedział Ben, unosząc do ust filiżankę z kawą. — Nie wiem, w jaki sposób wytłumaczyłbyś to policji. W najlepszym razie wsadziliby cię do ciupy za zbezczeszczenie zwłok, w najgorszym wylądowałbyś w domu wariatów.

— Myślisz, że oszalałem? — zapytał spokojnie Matt.

— Nie — odparł Ben bez najmniejszego wahania.

— Wierzysz mi, jeśli chodzi o te ślady?

— Nie wiem. Chyba muszę. Dlaczego miałbyś kłamać? Nie widzę w tym dla ciebie żadnych korzyści. Co innego, gdybyś go zabił.

— Więc może to zrobiłem — powiedział Matt, przypatrując mu się uważnie.

— Nie sądzę, i to z trzech powodów. Po pierwsze, jaki miałbyś motyw? Wybacz mi, Matt, ale jesteś za stary, żeby mogło to być coś klasycznego, jak na przykład pieniądze albo zazdrość. Po drugie, w jaki sposób miałbyś tego dokonać? Jeżeli za pomocą trucizny, to musiałaby być jakaś niezmiernie łagodnie działająca, bo Mike nie sprawia wrażenia kogoś, kto walczył z nadchodzącą śmiercią. To eliminuje większość tych najbardziej dostępnych.

— A trzeci powód?

— Żaden normalny morderca nie wymyśliłby jako swojego alibi takiej historii.

— Tym samym znowu wróciliśmy do problemu mojego zdrowia psychicznego — westchnął Matt. — Spodziewałem się tego.

— Ja wcale nie uważam, że zwariowałeś — powiedział Ben, akcentując wyraźnie pierwsze słowo. — Wydajesz mi się zupełnie normalny.

— Ale ty przecież nie jesteś lekarzem, a wariaci często znakomicie potrafią udawać normalnych ludzi — odparł Matt. Ben skinął głową.

— Zgadza się. W takim razie, gdzie jesteśmy?

— Znowu w punkcie wyjścia.

— Nie. Na to nie możemy sobie pozwolić, bo piętro wyżej w łóżku leży nieżywy człowiek i niedługo będziemy musieli wyjaśnić, jak to się stało. Będziemy wypytywani przez szeryfa, lekarza, a potem także przez szeryfa okręgowego. Matt czy nie mogło być tak, że Mike złapał gdzieś jakiegoś wirusa, chodził z nim przez cały tydzień, a potem przypadkowo umarł właśnie w twoim domu?

Po raz pierwszy od chwili, kiedy zeszli na dół, Matt dał po sobie poznać podniecenie.

— Przecież mówiłem ci, co mi powiedział! Na własne oczy widziałem ślady na jego szyi, a potem słyszałem, jak zapraszał kogoś do mojego domu! A potem... Boże, słyszałem ten śmiech! — Jego oczy ponownie stały się szkliste i osłupiałe.

— W porządku. — Ben wstał i podszedł do okna, usiłując uporządkować myśli. Nie szło mu to najlepiej. Tak jak powiedział Susan, sprawy zaczynały mu się wymykać z rąk.

Przyląpał się na tym, że znowu szuka wzrokiem Domu Marstenów.

— Czy wiesz, co się stanie, jeśli komuś piśniesz o tym choćby słowo?

Matt nie odpowiedział.

— Ludzie zaczną stukać się w czoło za twoimi plecami, a dzieciaki będą wyskakiwać zza krzaków i szczerzyć na ciebie plastikowe kły. Wkrótce któryś wymyśli jakąś rymowaną w rodzaju „Raz, dwa trzy, wampir zły!” Potem podchwycą ją starsi uczniowie i będą powtarzać na korytarzach. Koledzy zaczną na ciebie dziwnie patrzeć, a do domu będą dzwonić ludzie podający się za Danny’ego Glicka lub Mike’a Ryersona. Twoje życie zamieni się w koszmar, a najdalej po pół roku będziesz musiał się stąd wynieść.

— Nie zrobią tego. Znają mnie przecież.

Ben odwrócił się od okna.

— Kogo znają? Zabawnego, starego dziwaka, który mieszka samotnie przy Taggart Stream Road. Już tylko to, że nie jesteś żonaty, da im podstawy do przypuszczeń, że brakuje ci którejś klepki. A czy ja mogę ci jakoś pomóc? Widziałem tylko ciało, nic więcej. Zresztą, nawet gdyby było inaczej, powiedzieliby, że jestem obcy, a może nawet zaczęliby szeptać, że jesteśmy parą pedałów i dlatego trzymamy się razem.

Matt spoglądał na niego z rosnącym z każdą chwilą przerażeniem.

— Jedno słowo, Matt, i jesteś tutaj skończony.

— Więc nic nie możemy zrobić.

— Owszem, możemy. Masz pewną teorię na temat, kto czy też co zabiło Mike’a Ryersona. Wydaje mi się, że będzie stosunkowo łatwo ją obalić lub potwierdzić. Muszę ci powiedzieć, że jestem w kropce. Nie wierzę, że zwariowałeś, ale nie wierzę również, że Danny Glick wstał z grobu i wyszał z Mike’a całą krew, a potem go zabił. Mimo to mam zamiar to sprawdzić, a ty musisz mi w tym pomóc.

— Jak?

— Zadzwoń do swojego lekarza. Jak on się nazywa? Cody, prawda? Potem zawiadom Parkinsa Gillespie. Niech maszyna zacznie działać. Opowiedz im, że pojechałeś wczoraj do Della i przysiadłeś się do Ryersona, a on powiedział ci, że od niedzieli czuje się bardzo niezdrow, więc zaprosiłeś go do siebie do domu. W nocy nic nie słyszałeś, ale obudziłeś się około wpół do czwartej, poszedłeś sprawdzić, czy u niego wszystko w porządku, lecz nie mogłeś go obudzić, więc, zadzwoniłeś do mnie.

— I to wszystko?

— Wszystko. Kiedy będziesz rozmawiał z Codym, nawet nie mów, że Mike nie żyje.

— Jak to?

— Boże, a czy jesteś pewien, że on naprawdę nie żyje? — wybuchnął Ben.
— Nie mogłeś znaleźć pulsu, a ja nie czułem jego oddechu, ale gdybym wiedział,

że ktoś tylko na takiej podstawie wpakuje mnie do grobu, to zawsze nosiłbym ze sobą kilka kanapek. Szczególnie, gdybym wyglądał tak zdrowo jak on.

— Więc tobie także nie daje to spokoju?

Rzeczywiście, nie daje — przyznał Ben. — Przypomina jakąś cholerną kukłę z wosku.

— W porządku — podjął decyzję Matt. — To, co mówisz, ma sens, o ile oczywiście w tej sytuacji cokolwiek może go mieć. Zdaje się, że gadałem trochę od rzeczy.

Ben już otworzył usta, żeby zaprzeczyć, ale Matt powstrzymał go ruchem ręki.

— Przypuśćmy jednak... tylko teoretycznie, rzecz jasna... że moje podejrzenia okażą się słuszne. Czy dopuściłbyś wtedy do siebie możliwość, choćby nawet najmniejszą, że... że Mike wróci?

— Już ci powiedziałem, że twoja teoria powinna łatwo dać się potwierdzić lub obalić. Zresztą, jeśli mam być szczerzy, nie to mnie najbardziej niepokoi.

— A co?

— Zaraz, po kolei. Udowodnienie jej albo obalenie nie będzie niczym innym jak ćwiczeniem z logiki. Pierwsza możliwość: Mike umarł na jakąś chorobę, na przykład wirusową. Jak sądzisz, w jaki sposób można to stwierdzić?

Matt wzruszył ramionami.

— Zbadać go.

— Właśnie. To samo dotyczy ewentualnego otrucia, podania w jedzeniu kawałka drutu kolczastego, pchnięcia nożem lub strzału w tył głowy.

— Zdarzały się już morderstwa, których nie sposób było stwierdzić.

— Oczywiście. Mimo to przypuszczam, że badanie powinno rozwiązać zagadkę.

— A jeśli tak nie będzie?

— Wtedy po pogrzebie odwiedzimy cmentarz i sprawdzimy, czy nocą wstaje z grobu. Jeśli tak będzie — w co, szczerze mówiąc, trudno mi uwierzyć — wszystko stanie się jasne. Jeśli nie, staniemy wobec ewentualności, która napawa mnie największym niepokojem.

— Czyli mojego szaleństwa — dokończył powoli Matt. — Ben, przysięgam ci na pamięć mojej matki, że widziałem te ślady na jego szyi, że słyszałem, jak otwiera się okno, że...

— Wierzę ci — powiedział spokojnie Ben.

Matt umilkł i znieruchomiał z wyrazem twarzy człowieka przygotowanego na bolesne uderzenie, które jednak nie nadeszło.

— Wierzysz? — zapytał niepewnie.

— Ujmę to trochę inaczej: Nie wierzę, że zwariowałeś albo miałeś halucynacje. Ja sam doświadczyłem kiedyś przeżycia... związanego z tym przeklętym domem na wzgórzu... i od tamtej pory wiem, jak czują się ludzie, których opowieści

w świetle racjonalnej wiedzy wydają się zupełnie nieprawdopodobne. Kiedyś ci o tym opowiem.

— Dlaczego nie teraz?

— Nie mamy czasu. Zaraz będziesz musiał zadzwonić, a ja mam do ciebie jeszcze jedno pytanie. Zastanów się dobrze, zanim odpowiesz. Czy masz jakichś wrogów?

— Na pewno nie takich, którzy byliby zdolni do czegoś takiego.

— Może jakiś rozgoryczony były uczeń?

Matt roześmiał się, bo zdawał sobie doskonale sprawę z tego, w jak niewielkim stopniu jego praca wpływała na życie wychowanków.

— Dobra, wierzę ci na słowo. — Ben potrząsnął głową. — To wszystko bardzo mi się nie podoba. Najpierw ten pies na bramie cmentarza, potem zniknięcie Ralpie'ego Glicka, śmierć jego brata, a teraz Mike. Niewykluczone, że to wszystko ma ze sobą jakiś związek, ale... Nie, nie mogę w to uwierzyć.

— Chyba już zadzwonię do Cody'ego — powiedział Matt wstając z miejsca. — O tej porze Parkins też pewnie będzie jeszcze w domu.

— Zawiadam szkołę, że dzisiaj nie przyjdiesz, bo źle się czujesz.

— Słusznie. — Matt uśmiechnął się bezbarwnie. — To będzie pierwszy raz od ponad trzech lat. No, ale to prawdziwa okazja.

Przeszedł do salonu i usiadł przy aparacie. Po wykręceniu numeru czekał dość długo, aż dzwonek telefonu obudzi śpiących głębokim, porannym snem ludzi. Żona Cody'ego najprawdopodobniej skierowała go do szpitala w Cumberland, bo wybrał jeszcze jeden numer, poprosił o połączenie z lekarzem dyżurnym i po chwili oczekiwania przedstawił swoją opowieść.

— Jimmy przyjedzie za godzinę — zawołał w kierunku kuchni, odłożywszy słuchawkę.

— Dobra — odpowiedział Ben. — Wracam na górę.

— Tylko niczego nie dotykaj.

— Jasne.

Znalazszy się w korytarzyku na piętrze słyszał jeszcze, jak Matt rozmawia przez telefon z Parkinsem Gillespie, a potem, gdy zbliżył się do zamkniętych drzwi sypialni, słowa dobiegające z parteru zamieniły się w niewyraźny szmer.

Przyglądając się drzwiom poczuł, że ponownie ogarnia go strach częściowo zapamiętany z dzieciństwa, a częściowo zupełnie świeży. Oczami wyobraźni widział, jak wchodzi do środka i znajduje się w obszernym pomieszczeniu, oglądanym z perspektywy dziecka. Ciało leży tak, jak je zostawił; opuszczona ręka dotyka podłogi, a odwrócona w lewo głowa jest przytulona policzkiem do poduszki. Nagle oczy otwierają się i spoglądają na niego z wyrazem niesamowitego triumfu, drzwi zatrząskują się, wykręcona niczym szpony drapieżnego ptaka dłoń unosi się w górę, a usta wykrzywiają w drapieżnym uśmiechu, odsłaniając zadziwiająco długie, ostre kły...

Drżącą ręką pchnął drzwi, które otworzyły się z cichym skrzypnięciem długiego zawiasu.

Ciało leżało tak, jak je zostawił; opuszczona ręka dotykała podłogi, a odwrócona w lewo głowa. . .

— Parkins zaraz tu będzie — odezwał się stojący u szczytu schodów Matt i Ben o mało nie wrzasnął z przerażenia.

5

Nawet nie przypuszczał, że zdanie, które niedawno wypowiedział, okaże się tak bliskie prawdy. „Niech maszyna zacznie działać”. Rzeczywiście; to, co się zaczęło, bardzo przypominało działanie skomplikowanej maszynerii, złożonej z wielu drobniutkich kółeczek i przekładni.

Pierwszy pojawił się zaspany Parkins Gillespie i poinformował ich, że już zawiadomił okręgowego lekarza sądowego.

— Sukinsyn powiedział, że sam nie przyjedzie, ale ma przysłać zastępcę i faceta od zdjęć — mruknął Parkins z papierosem w kąciku ust. — Dotykaliście zwłok?

— Zsunęła mu się ręka — wyjaśnił Ben. — Chciałem położyć ją na łóżku, ale znowu spadła.

Parkins zmierzył go przeciągłym spojrzeniem, lecz nic nie powiedział. Ben przypomniał sobie odgłos, z jakim martwa dłoń Mike'a osunęła się na podłogę i poczuł, jak w żołądku wzbiera mu histeryczny śmiech. Przełknął kilka razy ślinę, żeby go tam zatrzymać.

Kiedy znaleźli się w sypialni, Parkins kilka razy obszedł ciało dookoła, przyglądając mu się ze wszystkich stron.

— Jesteście pewni, że nie żyje? — zapytał wreszcie. — Próbowaliście go obudzić?

Wkrótce potem, bezpośrednio po odebraniu porodu, przyjechał z Cumberland James Cody. Po wymienieniu wszystkich niezbędnych uprzejmości (Parkins Gillespie mruknął „miłomi” i wetknął sobie do ust kolejnego papierosa), ponownie, tym razem we czwórkę, wrócili na piętro. Gdybyśmy teraz mieli jakieś instrumenty, pomyślał Ben, moglibyśmy odegrać mu całą mszę żałobną. Histeryczny śmiech podpełzał mu już do gardła.

Cody odsunął prześcieradło i przez chwilę przyglądał się ciału ze zmarszczonymi brwiami.

— Przypomina mi to, co mówiłeś o tym małym Glicku, Jimmy — powiedział Matt z zadziwiającym spokojem.

— To były moje nieoficjalne spostrzeżenia, panie Burke — odparł z rezerwą Cody. — Gdyby usłyszeli to jego rodzice, mogliby podać mnie do sądu.

— I wygraliby?
— Raczej nie.
— O co chodzi z tym chłopcem? — zapytał groźnym tonem Parkins.
— O nic. — Jimmy wzruszył ramionami. — To nie ma żadnego związku.
— Przyłożył słuchawkę do piersi Ryersona, mruknął coś pod nosem, uniósł mu powiekę i zaświecił w oko małą latarką.
Z miejsca, w którym stał, Ben dostrzegł wyraźnie, że źrenica raptownie się skurczyła.
— Boże!
— Interesujące, prawda? — Jimmy puścił powiekę, a ta opuściła się z groteskową powolnością, jakby zmarły mrugał do nich. — David Prine ze szpitala Hopkinsa stwierdził, że u niektórych zwłok źrenice reagują na światło nawet w dziewięć godzin po zgonie.
— Teraz udaje uczonego, a z wypracowań ledwo dostawał tróje — mruknął Matt.
— Tylko dlatego, że nie lubiłeś czytać o sekcjach zwłok, ty stary obłudniku — zrewanżował się Jimmy, wyjmując z walizeczki niewielki młotek. Jak miło, pomyślał Ben. Zachowuje przy łóżku niewymuszoną pogodę ducha nawet wtedy, kiedy pacjent jest już umarlakiem, jak by Powiedział Parkins.
— Nie żyje? — zapytał Parkins, strząsając popiół do pustego wazonu. Matt skrzywił się nieznacznie.
— I to jeszcze jak — odparł Jimmy. Wstał, zsunął prześcieradło z nóg Ryersona i uderzył młotkiem w prawe kolano. Żadnej reakcji. Ben zauważył, że Mike ma na stopach żółty, zrogowaciały naskórek i przypomniał sobie wiersz Stevensa o martwej kobiecie.
— „I to był koniec zaszłości światowych” — zacytował niezbyt dokładnie. — „Prawdziwym cesarzem jest cesarz lodów śmietankowych”.
Matt spojrział na niego ostro i przez chwilę wydawało się, że opuści go osiągnięty z takim trudem spokój.
— Co to ma być? — zapytał Parkins.
— Wiersz — wyjaśnił Matt. — Wiersz o śmierci.
— A mnie się wydawało, że jakaś reklamówka, czy coś w rodzaju — powiedział Parkins, ponownie strząsając popiół do wazonu.

6

— Czy my się znamy? — zapytał Jimmy, spoglądając na Bena.
— Podejrzewam, że tylko przelotnie — odparł Matt. — To Jimmy Cody, miejscowy znachor, a to Ben Mears, miejscowy pismak.

— Zawsze starał się być miły — zauważył Jimmy. — Właśnie w ten sposób doszedł do swoich pieniędzy.

Uścisnęli sobie dłonie nad leżącym nieruchomo ciałem.

— Może mi pan pomóc przekreślić go na brzuch, panie Mears? Ben zrobił to, odczuwając coś w rodzaju lekkich mdłości. Zwłoki w dotyku okazały się chłodne, ale nie zimne, kończyny zaś wciąż jeszcze giętkie. Jimmy uważnie przyjrzał się plecom nieboszczyka, a następnie zsunął mu szorty z pośladków.

— Po co to? — zapytał Parkins.

— Próbuję określić czas zgonu na podstawie stopnia zsinienia skóry — wyjaśnił Jimmy. — Kiedy ustaje akcja serca, krew, jak każdy płyn, spływa do najniżej położonego miejsca.

— Aha. Ale to chyba robota dla lekarza sądowego, nie?

— Wiesz przecież, że nie przyjedzie sam, tylko przyśle Norberta — odparł Jimmy — a Norbert nigdy nie miał nic przeciwko koleżeńskiej pomocy.

— On nawet z latarką nie potrafiłby znaleźć własnej dupy — mruknął Parkins i wyrzucił niedopałek papierosa przez otwarte okno. — Aha, Matt: urwały ci się okiennice. Leżą na dole, przy ścianie.

— Tak? — zdziwił się uprzejmie Matt starając się, żeby jego głos brzmiał możliwie obojętnie.

Cody wydobył ze swojej walizeczki termometr i wsunął go do odbytnicy Ryersona, po czym zdjął z ręki zegarek i położył go na śnieżnobiałym prześcieradle w złotej plamie słonecznego blasku. Było piętnaście po siódmej.

— Chyba zejdem na dół — odezwał się Matt zduszonym głosem.

— Właściwie to wszyscy możecie iść — powiedział Jimmy. — Ja jeszcze zostanę tu przez chwilę. Może pan nastawić kawę, panie Burke?

— Oczywiście.

Ben wyszedł ostatni, zamykając za sobą drzwi. Widok, jaki ujrzał przed wyjściem obrzuciwszy spojrzeniem pokój, miał na długo pozostać mu w pamięci: zalana słonecznymi promieniami sypialnia, czyste, odsunięte prześcieradło, zegarek rzucający złociste refleksy na tapetę i rudowłosa Cody siedzący nieruchomo przy zwłokach niczym odlany z brązu pomnik.

Matt właśnie przyrządzał kawę, kiedy przed dom zajechał stary, szary dodge, a w nim Brenton Norbert, asystent okręgowego lekarza sądowego i jeszcze jakiś mężczyzna, uzbrojony w aparat fotograficzny potężnych rozmiarów.

— Gdzie? — zapytał Norbert.

Gillespie wskazał kciukiem w kierunku schodów.

— Jest tam Jim Cody.

— Mam nadzieję, że nie zlał się ze strachu — powiedział Norbert i wraz z fotografem poszedł na górę.

Parkins Gillespie nalał sobie śmietanki do kawy, rozlewając ją przy okazji na spodeczku, po czym zebrał palcem, wytarł go o spodnie, zapalił kolejnego

pallmalla i zapytał:

— Jak pan się w to wplątał, panie Mears?

Ben i Matt natychmiast przedstawili swoją opowieść. Chociaż w gruncie rzeczy nic z tego, co mówili, nie było kłamstwem, pominęli milczeniem wystarczająco dużo szczegółów, żeby poczuć się współnikami w konspiracji, Benowi zaś nasunęła się nawet niepokojąca myśl, czy to, w czym bierze udział, jest jedynie nieszkodliwym dziwactwem, czy też może czymś innym, znacznie poważniejszym. Matt powiedział, iż zadzwonił do niego dlatego, że Ben był jedynym człowiekiem w Salem, który mógł uwierzyć w jego słowa. Bez względu na stan zdrowia psychicznego starego nauczyciela trzeba było przyznać, że znał się na ludziach. A to także bardzo Bena niepokoiło.

7

O wpół do dziesiątej było już po wszystkim.

Karawan Carla Foremana odjechał sprzed domu, zabierając ze sobą ciało Mike'a Ryersona, a także wiadomość o jego śmierci, która błyskawicznie rozeszła się po całym miasteczku. Jimmy Cody wrócił do szpitala, a Norbert i fotograf do Portland, żeby zdać relację lekarzowi sądowemu.

Parkins Gillespie stał przez chwilę na schodkach wiodących na ganek domu i z papierosem tkwiącym w kąciку ust spoglądał w ślad za oddalającym się karawanem.

— Założę się, że Mike nie przypuszczał, jak szybko znajdzie się w nim jako klient — mruknął, po czym zwrócił się do Bena. — Pan chyba jeszcze nie wyjeżdża, prawda? Chciałbym, żeby złożył pan oświadczenie w biurze koronera, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

— Nie, nie wyjeżdżam.

Szeryf utkwiał w nim spojrzenie swoich wyblakłych, błękitnych oczu.

— Sprawdziłem pana przez FBI — powiedział. — Jest pan czysty.

— Miło to usłyszeć.

— Podobno obskakuje pan córkę Billa Nortona.

— Przyznaję się do winy.

— To fajna laseczka — stwierdził Parkins bez uśmiechu. Karawan zniknął już z pola widzenia, a po chwili ucichł nawet odgłos jego silnika. — Zdaje się, że ostatnio w ogóle przestała się spotykać z Floydem Tibbitsem.

— Park, zdaje się, że czeka cię jakaś papierkowa robota, prawda? — wtrącił się Matt.

Parkins westchnął i wyrzucił niedopałek papierosa.

— Jak cholera. Dwa egzemplarze, trzy egzemplarze, nie zginać, nie łamać i w ogóle. Od paru tygodni mam więcej roboty niż przez cały ostatni rok. Nie wiem, może to przez ten cholerny Dom Marstenów.

Ben i Matt zachowali kamienny spokój.

— No, to na razie. — Parkins podciągnął spodnie i poczłapał do samochodu. Otworzywszy drzwi odwrócił się i spojrzął na nich. — Mam nadzieję, że nie ukrywacie nic przede mną?

— Nie mamy co ukrywać, Park — odparł Matt. — On nie żyje i już.

Przypatrywał im się jeszcze przez chwilę, po czym westchnął ciężko.

— Na to wygląda — powiedział. — Tyle tylko, że to wszystko cholernie dziwne. Najpierw pies, potem jeden Glick, drugi, a teraz Mike. Jak na takie małe zasrane miasteczko to trochę za dużo. Moja babcia zawsze powtarzała, że wszystkie niedobre rzeczy zdarzają się po trzy, nie po cztery naraz.

Wsiadł do samochodu, uruchomił silnik i cofnął na ulicę. Po chwili zniknął za wyniosłością wzgórza, pożegnawszy ich krótkim trąbnięciem. Matt odetchnął głęboko.

— No, to po wszystkim.

— Aha — zgodził się Ben. — Jestem wykończony, a ty?

— Też, ale czuję się tak jakoś... dziwnie. Wiesz, jak określają to szczeniaki?

— No?

— Mają takie słowo, kiedy wracają z haju i zastają wszystko takim, jakim było: „zrypani”. — Otarł twarz dłonią. — Boże, na pewno myślisz, że zwariowałem. To wszystko musiało brzmieć jak brednie szaleńca, prawda?

— I tak, i nie — odparł Ben, kładąc mu uspokajająco rękę na ramieniu. — Wiesz, Gillespie ma rację: tu się coś dzieje, a ja jestem prawie pewien, że ma to jakiś związek z Domem Marstenów. Mieszkają tam jedyni, z wyjątkiem mnie, nowi ludzie w miasteczku, a ja przecież nic nie zrobiłem. Czy nadal chcesz tam się wybrać dziś wieczorem z powitalną wizytą?

— A ty?

— Tak. Teraz trochę się prześpij, a ja skontaktuję się z Susan i wpadniemy wieczorem po ciebie.

— Dobrze. — Matt zamyślił się na chwilę. — Ben, jest jeszcze jedna sprawa. Nie dawała mi spokoju od chwili, kiedy wspomniałeś o autopsji.

— Tak?

— Otóż ten śmiech, który słyszałem... albo wydawało mi się, że słyszę... to był śmiech dziecka. Okrutny i szydrczy, ale na pewno dziecięcy. Czy w związku z tym nie nasuwa ci się myśl o Dannym Glicku?

— Oczywiście, że tak.

— Wiesz, na czym polega proces balsamowania?

— Niezbyt dokładnie. Zdaje się, że ze zwłok odciąga się krew i zastępuje ją jakimś płynem. Kiedyś był to aldehyd mrówkowy, ale jestem pewien, że teraz wymyślili coś bardziej wyrafinowanego. Aha, nieboszczyk jest oczywiście patroszony.

— Zastanawiam się, czy tak właśnie stało się z Dannym.

- Znasz Carla Foremana na tyle dobrze, żeby go o to dyskretnie spytać?
- Tak, jeśli uda mi się go spotkać.
- Więc to zrób.
- Dobrze.

Przez chwilę patrzyli na siebie bez słowa. W spojrzeniu każdego z nich oprócz przyjaźni było jeszcze coś innego: u Matta wstyd, jaki odczuwałby każdy rozsądny człowiek zmuszony do opowiadania nieprawdopodobnych historii, u Bena zaś nie do końca uświadomiony strach przed siłami, których nawet nie był w stanie pojąć.

8

Kiedy zjawił się w pensjonacie, Eva oglądała w telewizji teleturniej *Zadzwoń po wygraną*. W puli było czterdzieści pięć dolarów.

— Już wiem — powiedziała, kiedy otworzył lodówkę, żeby wyjąć coca-colę.
— To okropne. Biedny Mike.

— Tak, to rzeczywiście straszne. — Sięgnął do kieszeni i wyjął z niej pożyczony krzyż.

— Czy już wiadomo...

— Jeszcze nie — odparł Ben. — Jestem bardzo zmęczony, pani Miller. Chyba się trochę prześpię.

— Oczywiście. Tam u pana na pewno jest bardzo gorąco. Jeśli pan chce, może pan położyć się w pokoju piętro niżej. Pościel jest czysta.

— Nie, dziękuję. W swoim znam już wszystkie skrzypnięcia.

— Rzeczywiście, człowiek do wszystkiego się przyzwyczaja — stwierdziła ze zrozumieniem. — Niech mi pan tylko powie, po co panu Burke był potrzebny krucyfiks Ralpa?

Ben przystanął na schodach, przez chwilę nie wiedząc, co powiedzieć.

— Pewnie myślał, że Mike Ryerson był katolikiem — wykrztusił wreszcie.

Eva położyła na desce do prasowania kolejną koszulę.

— To dziwne — zauważyła. — Przecież uczył go angielskiego. Powinien pamiętać, że w tej klasie wszyscy byli luteranami.

Ben nic nie odpowiedział. Poszedł do swego pokoju, rozebrał się i położył do łóżka. Sen nadszedł szybko, ciężki i nie dający odpoczynku.

9

Kiedy się obudził, zegarek wskazywał piętnaście po czwartej. Choć leżał zupełnie odkryty, był cały zlany potem, ale czuł się znacznie lepiej. Poranne wydarzenia wydawały się odległe i niemal nierzeczywiste, fantazje zaś Matta straciły

znacznie na swojej wyrazistości. Zadanie na dzisiejszy wieczór będzie polegało na tym, żeby go uspokoić, starając się w miarę możliwości mu nie sprzeciwić.

10

Zadecydował, że zadzwoni do Susan od Spencera i tam się spotkają. Pójdą do parku, gdzie opowie jej o wszystkim od początku do końca, w drodze do Matta dowie się, co ona o tym myśli, a następnie wspólnie wysłuchają wersji starego nauczyciela. A potem... Potem do Domu Marstenów. Na samą myśl o tym poczuł, jak jeża mu się włosy na głowie.

Był tak pogrążony w myślach, iż nie zauważył, że ktoś siedzi w jego samochodzie. Zorientował się dopiero wtedy, gdy otworzyły się drzwi i z wozu wysiadł wysoki człowiek. Przez ułamek sekundy był zbyt oszołomiony, żeby podjąć jakiegokolwiek działania; słońce stojące nisko na niebie oświetlało swymi promieniami zdumiewającą postać, wydobywając wszystkie szokujące szczegóły: stary, z szerokim rondem kapelusz nasunięty głęboko na czoło, duże okulary przeciwsłoneczne, wymięty płaszcz z postawionym kołnierzem i grube, robocze rękawice.

— Kim... — wykrztusił z najwyższym trudem.

Człowiek zbliżył się, zaciskając ukryte w rękawicach dłonie. Ben poczuł przykry zapach, kojarzący się ze starością, w którym po chwili rozpoznał naftalinę. Nieznajomy oddychał głośno przez nos.

— Ukradłeś mi dziewczynę, ty skurwysynu — powiedział Floyd Tibbits zgrzytliwym, cichym głosem. — Zabiję cię za to.

Ruszył do ataku, podczas gdy Ben daremnie usiłował w dalszym ciągu zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Susan (II)

1

Susan przyjechała z Portland kilka minut po trzeciej i weszła do domu, dźwigając trzy foliowe torby wypchane po brzegi. Udało się jej sprzedać trzy obrazy za łączną kwotę nieco ponad osiemdziesięciu dolarów, więc postanowiła trochę zaszaleć. W torbach znajdowały się dwie nowe spódnice i wełniana kamizelka.

— Czy to ty. Susie? — rozległ się głos matki.

— Tak, to ja. Właśnie. . .

— Pozwól tutaj, Susan. Chciałabym z tobą porozmawiać.

Rozpoznała od razu ten ton, choć nie słyszała go już od bardzo dawna, a dokładniej od czasu, kiedy chodziła do szkoły i kłótnie na temat długości sukienek oraz nowych chłopców powtarzały się niemal codziennie.

Postawiła torby na podłodze i weszła do salonu. W stosunku do Bena Mearsa matka zajmowała coraz bardziej sztywne stanowisko i Susan przypuszczała, że teraz będzie miała okazję usłyszeć jej Ostatnie Słowo w Tej Sprawie.

Matka siedziała przy oknie w fotelu na biegunach i robiła na drutach. Telewizor był wyłączony. Wszystko wskazywało na to, że rozmowa będzie naprawdę poważna.

— Przypuszczam, że nie słyszałaś najświeższych nowin — powiedziała pani Norton. Druty migotały w jej dłoniach, splatając nitki grubej ciemnozielonej wełny. Powstawał nowy zimowy szalik. — Rano wyszłaś bardzo wcześnie z domu.

— Jakich nowin?

— Dziś w nocy w domu Matthew Burke'a umarł Mike Ryerson, a przy jego łożu śmierci był nie kto inny, jak oczywiście twój przyjaciel, ten wymoczkowaty Ben Mears!

— Mike. . . ? Ben. . . ? Jak to?

Pani Norton uśmiechnęła się ponuro.

— O dziesiątej rano zadzwoniła Mabel i wszystko mi powiedziała. pan Burke twierdzi, że spotkał wczoraj wieczorem Mike'a w barze Della — choć doprawdy nie wiem, co sądzić o nauczycielu, który włóczy się nocami po knajpach — i zabrał go ze sobą do domu, ponieważ Mike jakoby nie wyglądał zbyt dobrze. Umarł w nocy, ale najciekawsze jest to, że nikt nie wie, co tam robił pan Ben Mears!

— Znali się — odparła machinalnie Susan. — Ben mówił, że kiedyś nawet się lubili. Mamo, co się stało Mike'owi?

Lecz pani Norton nie dała się tak łatwo zbić z tropu.

— Sporo osób uważa, że od chwili, kiedy w naszym miasteczku pojawił się ten pisarz, dzieje się tu zbyt wiele rzeczy trudnych do wytłumaczenia.

Zdecydowanie zbyt wiele!

— Przecież to głupota! — wybuchnęła Susan. — Powiedz mi, na co umarł Mike?

— Jeszcze tego nie stwierdzono — odparła matka, rozpoczynając następny motek. — Niektórzy twierdzą, że mógł się czymś zarazić od małego Glicka.

— Jeżeli tak by miało być, to dlaczego nikt więcej się nie zaraził? Na przykład rodzice?

— Młodzi ludzie zawsze uważają, że zjedli wszystkie rozumy — zauważyła z przekąsem pani Norton. Druty zamieniły się w dwie błyskawice.

Susan wstała z miejsca.

— Pójdę do miasta i zobaczę...

— Usiądź jeszcze na chwilę — przerwała jej matka. — To nie wszystko, co miałam ci do powiedzenia.

Susan posłuchała, starając się niczego po sobie nie pokazać.

— Czasem jednak okazuje się, że nie wiedzą czegoś, o czym powinni wiedzieć — podjęła poprzednią myśl pani Norton. Susan natychmiast zdwoiła czujność, w głosie matki bowiem pojawił się ton fałszywego współczucia.

— Na przykład?

— Cóż, wygląda na to, że kilka lat temu pan Ben Mears miał poważny wypadek. Zaraz po tym, jak ukazała się jego druga książka. Jechał po pijanemu motocyklem i zabił swoją żonę.

Susan ponownie wstała z fotela.

— Nie mam zamiaru tego słuchać.

— Mówię ci to wyłącznie dla twego dobra.

— Kto ci o tym powiedział? — Susan nie czuła ani dobrze znanego, bezsilnego gniewu, ani pokusy, żeby uciec do swojego pokoju i zaszyć się w najciemniejszym kącie. Była opanowana i spokojna, jakby przyglądała się wszystkiemu z pewnego oddalenia. — Na pewno Mabel Werts, prawda?

— Nieważne. Istotne jest tylko to, że to prawda.

— Oczywiście. Podobnie jak to, że wygraliśmy w Wietnamie i że codziennie w południe w środku miasteczka pojawia się Jezus Chrystus w gokarcie.

— Mabel cały czas wydawało się, że gdzieś go już widziała, więc przejrzała dokładnie stare roczniki gazet i...

— Masz zapewne na myśli popołudniowe brukowce, specjalizujące się w astrologii, wypadkach drogowych i cymbałach aktorek? Tak, to doprawdy źródło godne zaufania! — Susan roześmiała się szyderczo.

— Nie staraj się być wulgarna. Wszystko było napisane czarno na białym. Ta kobieta — niby żona, rozumiesz — jechała z nim na motocyklu, którym uderzyli w bok jakiejś ciężarówki. W gazecie podali, że musiał dmuchać w balonik. W balonik, wyobrażasz sobie? — zapytała z triumfem w głosie pani Norton, podkreślając wagę swych słów ruchami drutów trzymanyh w obu dłoniach.

— Więc dlaczego nie siedzi w więzieniu?

— Ci artyści zawsze mają masę znajomych — odparła z niezachwianą pewnością siebie. — Ktoś go z tego wyciągnął i tyle. Wystarczy być odpowiednio bogatym. Sama zresztą wiesz, co wyrabiali bracia Kennedy.

— Czy miał sprawę w sądzie?

— Powiedziałam ci przecież, że musiał. . .

— Wiem, mammo, ale chcę wiedzieć, czy był pijany.

— Mówię ci, że był! — Na policzki Ann Norton wystąpiły rumieńce. — Przecież nie każe się dmuchać w balonik komuś, kto jest trzeźwy, prawda? To tak samo, jak z Kennedym! Dokładnie tak samo!

— Postanowiłam się wyprowadzić — powiedziała powoli i spokojnie Susan. — Właśnie miałam zamiar ci o tym powiedzieć. Powinnam była zrobić to już dawno. Ze względu na nas obie, mammo. Rozmawiałam z Babs Griffen i podobno jest do wynajęcia ładne, trzypokojowe mieszkanie przy Sistefs Lane. . .

— Proszę bardzo, teraz jest obrażona! — powiedziała z wyrzutem pani Norton. — Ktoś odważył się zakłócić jej wizję wspaniałego, nieskazitelnego mężczyzny, więc jest tak wściekła, że nie może nawet splunąć! — Kilka lat temu to właśnie zdanie okazało się najbardziej

skuteczne.

— Mammo, co ci się stało? — zapytała Susan bezradnie. — Nigdy nie zachowywałaś się tak. . . tak. . .

Ann Norton cisnęła druty na podłogę, zerwała się z fotela, chwyciła córkę za ramiona i potrząsnęła nią solidnie.

— Słuchaj, smarkulo! Nie pozwolę, żebyś latała jak wywłoka za jakimś przybłądą, który postanowił zawrócić ci w głowie, rozumiesz? Nie pozwolę!

Susan uderzyła ją w twarz.

Ann Norton zamrugała raptownie, po czym wytrzeszczyła oczy w straszliwym zdumieniu. Przez chwilę dwie kobiety wpatrywały się w siebie bez słowa. Susan poczuła w gardle twardy, niemożliwy do przełknięcia kłębek.

— Idę na górę — wykrztusiła wreszcie. — Wyprowadzę się najpóźniej we wtorek.

— Był tu Floyd — powiedziała matka. Palce córki odznaczyły się na jej policzku czerwonymi pręgami.

— Zerwałam z nim — oświadczyła bezbarwnym tonem Susan. — Zaczynj pomału przyzwyczajając się do tej myśli. Najlepiej powiedz o tym przez telefon swojej przyjaciółce Mabel. Może wtedy wyda ci się to bardziej realne.

— Ale on cię kocha! To... To go zniszczy! Załamał się i wszystko mi opowiedział. — Jej oczy zaszyły łzami. — Mówię ci, płakał przede mną jak dziecko!

Susan wiedziała, że było to zupełnie niepodobne do Floyda i zastanawiała się, czy przypadkiem nie jest to kolejne zmyślenie matki. Kiedy jednak spojrzała jej w oczy, zrozumiała, że nie.

— I takiego człowieka chciałabyś dla mnie, mamó? Płaczliwego niedojdę? A może po prostu przyzwyczyłaś się już do myśli o jasnowłosych wnukach? Przypuszczam, że sprawiam ci niemały kłopot, bo ty postanowiłaś, że nie spocziesz, dopóki nie wyjdę za mężczyznę, który będzie ci się podobał, i dopóki nie będę miała natychmiast całej gromady dzieci, zgadza się? Tego właśnie chcesz, prawda? A nie przyszło ci nigdy na myśl zapytać, czego ja chcę?

— Susan, ty po prostu nie wiesz, czego chcesz.

Matka powiedziała to z taką pewnością, że niewiele brakowało, a Susan by jej uwierzyła. Nagle pomyślała o tym, jak muszą teraz wyglądać, matka przy swoim fotelu, ona przy drzwiach, związane ze sobą słabą, przetartą od częstego szarpania nicią. Obraz ten niemal natychmiast ustąpił miejsca innemu, przedstawiającemu jej matkę w myśliwskim kapeluszu, ozdobionym licznymi metalowymi znaczkami, usiłującą rozpaczliwie wyciągnąć z wody wielkiego pstrąga ubranego w żółtą, luźną koszulę i wrzucić go do wiklinowego koszyka. Tylko po co? Żeby go dościsnąć, czy zjeść?

— Nieprawda, mamó. Wiem, czego chcę. Bena. Odwróciła się i zaczęła wchodzić po schodach. Matka wybiegła do hallu i zawołała piskliwym głosem:

— Nie możesz wynająć mieszkania! Nie masz pieniędzy!

— Mam w banku ponad czterysta dolarów — odpowiedziała chłodno Susan.

— Poza tym na pewno dostanę pracę u Spencera. Pan Labree już kilka razy mi ją proponował.

— Myśli tylko o tym, żeby zaglądać ci pod sukienkę! — Głos Ann Norton obniżył się o oktawę, ona sama zaś zaczęła odczuwać coś w rodzaju niepokoju.

— Niech zagląda. Będę nosiła długie majtki.

— Kochanie, nie denerwuj się. — Pani Norton weszła na pierwszy schodek.

— Chodzi mi tylko o twoje...

— Daruj to sobie, mamó. Przepraszam, że cię uderzyłam. Bardzo tego żałuję. Kocham cię, ale mimo to wyprowadzę się. Już dawno powinnam była to zrobić. Ty też na pewno zdajesz sobie z tego sprawę.

— Przemyśl to sobie jeszcze. — Teraz nie ulegało już najmniejszej wątpliwości, że pani Norton po prostu się boi. — Jestem pewna, że mam rację. Widziałam już takich jak on. Zależy im wyłącznie na...

— Wystarczy, mamó. Odwróciła się i ruszyła w górę. Matka weszła na kolejny stopień.

— Kiedy Floyd stąd wychodził, był w okropnym stanie! — zawołała. — Nie wiem, czy...

Odpowiedziało jej trzaśnięcie zamykanych drzwi.

Susan leżała na łóżku — jeszcze nie tak dawno było zastawione pluszowymi zwierzakami, wśród których najważniejsze miejsce zajmował olbrzymi pies z ukrytym w brzuchu radiem — wpatrując się w ścianę i starając się o niczym nie myśleć. Na ścianach wisiały teraz plakaty przedstawiające różne egzotyczne krajobrazy, zastąpiwszy zdjęcia jej idoli — Jima Morrisona, Johna Lennona, Dave’a van Ronka i Chucka Berry’ego. Wspomnienia tamtego okresu tłoczyły się wokół niej niczym złe duchy.

Potrafiła sobie doskonale wyobrazić tytuł na pierwszej stronie taniej popołudniówki: *Podejrzany wypadek motocyklowy młodego, popularnego pisarza i jego żony* i całą resztę, pełną starannie dobranych niedomówień. Do tego może jeszcze zdjęcie wykonane przez jakiegoś miejscowego fotografa, zbyt wstrząsające dla jakiegokolwiek innej gazety.

Najgorsze jednak było to, że w jej duszy zaczęło kiełkować ziarno wątpliwości. Idiotka. Myślałaś, że do tej pory trzymano go w lodówce? Że zjawił się tutaj zapakowany w celofanową torebkę, jak kubek do zębów w motelu? Kretynka. Mimo to ziarno kiełkowało w dalszym ciągu, a wraz z nim coś, co nie było już zwykłą złością, jaką czuje nastolatka do swojej matki, ale mroczną nienawiścią przybierającą coraz bardziej na sile.

Próbowała odsunąć od siebie takie myśli — choćby nawet chciała, nie mogła ich zupełnie odrzucić — i zapadła w niespokojną drzemkę, przerwana najpierw przez dobiegający z dołu dzwonek telefonu, a potem przez głos jej matki:

— Susan! To do ciebie!

Schodząc na dół zauważyła, że jest już po wpół do szóstej. Słońce zniżało się ku zachodowi. Matka krzątała się w kuchni, przygotowując obiad, a ojciec jeszcze nie wrócił do domu.

— Halo?

— Susan? — Głos był znajomy, ale nie potrafiła od razu skojarzyć go z osobą.

— Tak, kto mówi?

— Eva Miller. Mam złe nowiny.

— Coś z Benem? — Poczula, że w ustach robi jej się zupełnie sucho.

Odruchowo uniosła rękę do szyi. Matka stanęła w drzwiach kuchni z łyżką w dłoni i znieruchomiała ze wzrokiem utkwionym w jej twarzy.

— Doszło do bójki. Po południu przyszedł Floyd Tibbits. . .

— Floyd!

Powiedziała to takim tonem, że pani Norton aż skrzywiła się odruchowo.

— . . . powiedziałałam mu, że pan Mears śpi, a on na to, że nie szkodzi i że przeprasza, ale był strasznie dziwnie ubrany. Zapytałam go, czy dobrze się czuje. Miał na sobie stary, wymiętoszony płaszcz, śmieszny kapelusz i trzymał ręce w kieszeniach. Zapomniałam o tym powiedzieć panu Mearsowi, kiedy wstał, bo tyle było zamieszania i . . .

— Niech mi pani powie, co się stało!
— No... Floyd go pobił — wykrztusiła z trudem Eva. — Tutaj, na parkingu przed pensjonatem. Sheldon Corson i Ed Craig musieli wyjść i Floyda obezwładnić.
— Co z Benem? Stało mu się coś?
— Obawiam się, że chyba tak.
— Co mu jest? — Jej dłoń zacisnęła się kurczowo na słuchawce.
— Floyd zupełnie oszalał i pchnął pana Mearsa, a on uderzył tyłem głowy w swój samochód i stracił przytomność. Carl Foreman zawiózł go do szpitala w Cumberland. Nie wiem nic więcej, ale gdybyś...
Susan rzuciła słuchawkę na widełki, podbiegła do szafy i ściągnęła z wieszaka swój płaszcz.
— Co się stało?
— Ten twój uroczy Floyd Tibbits napadł na Bena! — powiedziała Susan, nie zdając sobie sprawy z tego, że płacze. — Ben wylądował w szpitalu.
Wybiegła z domu, nie czekając na odpowiedź.

2

Dotarła do szpitala w pół do siódmej. Siedząc na niewygodnym, plastikowym krześle wpatrywała się w kolorowe pismo. Jestem tu zupełnie sama, pomyślała. Przyszło jej do głowy, żeby zadzwonić do Matta Burke'a, ale powstrzymała ją myśl, że w tym czasie może wyjść do niej lekarz.

Zegar wiszący pod sufitem poczekalni odmierzał kolejne minuty z okrutną powolnością. Za dziesięć siódma do pomieszczenia wszedł lekarz, niosąc w objęciach stertę jakichś papierów.

— Panna Norton?
— Tak. Czy Benowi nic nie jest?
— W tej chwili nie mogę odpowiedzieć na pani pytanie. To znaczy, wydaje mi się, że nie, ale na wszelki wypadek zatrzymamy go na dwa lub trzy dni — dodał szybko, ujrawszy przerażenie malujące się na jej twarzy. — Ma rozciętą skórę na głowie, masę siniaków i zadrapań, a także wspaniale podbite oko.

— Czy mogę go zobaczyć?
— Nie, jeszcze nie dzisiaj. Dostał środek uspokajający.
— Chociaż na minutkę! Bardzo pana proszę! Lekarz westchnął ciężko.
— Jeśli pani chce, może pani na niego popatrzeć. I tak najprawdopodobniej będzie spał. Proszę nic do niego nie mówić, chyba że on pierwszy się odezwie.

Pojechał z nią na drugie piętro i zaprowadził do pokoju usytuowanego na końcu korytarza wypełnionego zapachem lekarstw. Mężczyzna zajmujący drugie łóżko uniósł wzrok znad rozłożonej gazety i spojrzał na nich obojętnie.

Ben leżał z zamkniętymi oczami, nakryty po samą brodę. Był tak blady i nieruchomy, że przez jedną okropną chwilę Susan miała wrażenie, że on nie żyje, że umarł, kiedy rozmawiała z lekarzem w poczekalni. Potem jednak dostrzegła, jak jego pierś porusza się w powolnym, jednostajnym rytmie i poczuła przypływ tak wielkiej ulgi, że aż zachwiała się na nogach. Przyjrzała się jego twarzy, bardzo pokiereszowanej, ale Susan nie zwracała na to uwagi. Matka nazwała go wymoczkim i teraz dziewczyna wiedziała, skąd przyszło jej do głowy to określenie; miał wyraziste, ale bardzo delikatne rysy (wolałaby, żeby było na to jakieś inne określenie; słowo „delikatny” kojarzyło jej się zawsze z chuderlawym bibliotekarzem pisującym w wolnych chwilach kliwie sonety) i tylko jego włosy były rzeczywiście męskie w tradycyjnym znaczeniu tego słowa. Gęste i czarne jak smoła zdawały się unosić nad nieruchomą twarzą niczym ciemna chmura, kontrastując wyraźnie z białym bandażem, zakrywającym skroń i część czoła.

Kocham tego człowieka, pomyślała. Zdrowiej szybko, Ben. Zdrowiej, żebyś mógł skończyć swoją książkę i wyjechać ze mną z miasteczka, oczywiście, jeżeli będziesz tego chciał. Tutaj nam obojgu źle się żyje.

— Myślę, że powinna pani już iść — powiedział lekarz. — Może jutro. . .

Ben poruszył się, a z jego gardła wydobył się zduszony, chrapliwy jęk. Zapuchnięte powieki powoli uniosły się, opuściły i ponownie uniosły. Wzrok miał szklisty i niezbyt przytomny, ale bez wątplenia zdawał sobie sprawę z jej obecności. Uśmiechnęła się do niego i uściśnęła delikatnie jego rękę, czując, jak jej własne oczy zachodzą łzami.

Poruszył ustami, więc nachyliła się, żeby usłyszeć, co mówi.

— Macie tu prawdziwych zabijaków. . .

— Ben, strasznie mi przykro.

— Zdaje się, że zdążyłem mu wybić co najmniej dwa zęby — wyszeptał. — Nieźle jak na pisarza, prawda?

— Ben. . .

— Wystarczy, panie Mears — wtrącił lekarz. — Niech pan pozwoli wyschnąć temu klejowi, którym zlepiliśmy panu głowę. Ben z wysiłkiem przeniósł na niego spojrzenie.

— Jeszcze chwileczkę, doktorze.

Lekarz bezradnie wzniosł oczy ku niebu.

— Zawsze to samo.

Ben przymknął na chwilę powieki, po czym ponownie je uniosł i wyszeptał coś niezrozumiałego. Susan nachyliła się jeszcze bliżej.

— Co mówisz, kochanie?

— Czy jest już ciemno?

— Tak.

— Pojedź do. . . do. . .

— Do Matta? Skinął głową.

— Powiedz... że proszę go, żeby ci o wszystkim opowiedział. Zapytaj, czy zna ojca Callahana. On zrozumie.

— Dobrze, zaraz do niego pojedę — powiedziała Susan. — A teraz śpij, Ben. Śpij dobrze.

— Okay. Kocham cię. — Mruknął coś jeszcze, po czym zamknął oczy i zaczął równo, głęboko oddychać.

— Co on powiedział? — zapytał lekarz.

— Coś jakby: „Zamknijcie dobrze okna”... — powiedziała Susan ze zmarszczonymi brwiami.

3

Kiedy wyszła do poczekalni, ujrzała tam Evę Miller i Weasela Craiga. Eva miała na sobie jesionkę z kołnierzem z rudego lisa, bez wątpienia jej najbardziej elegancki, wyjściowy strój, Weasel zaś niemal tonał w zdecydowanie zbyt obszernej, motocyklowej kurtce. Ich widok sprawił Susan ogromną przyjemność.

— Jak się czuje? — zapytała Eva.

— Myślę, że wkrótce wydobrzeje. — Powtórzyła to, co powiedział lekarz i twarz Ewy wyraźnie się rozpogodziła.

— Tak się cieszę. Pan Mears jest bardzo miłym człowiekiem. Muszę powiedzieć, że coś takiego zdarzyło się u mnie po raz pierwszy. Parkins Gillespie musiał wsadzić Floyda do aresztu, chociaż on wcale nie był pijany, tylko jakby... zdezorientowany i zagubiony.

Susan potrząsnęła głową.

— To do niego zupełnie niepodobne.

Zapadło niezręczne milczenie.

— Ben to porządny facet — przerwał je Weasel i poklepał Susan po dłoni. — Zobaczysz, że nic mu nie będzie.

— Jestem tego pewna — odparła Susan, ściskając jego rękę w swoich dłoniach. — Eva, czy ojciec Callahan jest proboszczem u świętego Andrzeja?

— Tak, a czemu pytasz?

— Tak tylko, z ciekawości... Strasznie wam dziękuję, że przyszliście. Gdybyście mogli wpaść jutro...

— Wpadniemy — odparł Weasel. — Jasne, że wpadniemy. Prawda, Eva? — Objął ją ramieniem. Musiał się porządnie wysilić, żeby to wykonać, ale w końcu mu się udało.

— Oczywiście.

Susan wyszła z nimi na parking i również wróciła do miasteczka.

4

W odpowiedzi na jej pukanie Matt nie ryknął „Wchodzić!”, jak to było w jego zwyczaju, tylko ostrożnym, cichym głosem, który ledwo rozpoznała, zapytał:

— Kto tam?

— Susan Norton, panie Burke.

Kiedy otworzył drzwi, zdumiała ją zmiana, jaka w nim zaszła.

Wyglądał staro i nieświeżo, a na jego szyi wisiał ciężki, ozdobny złoty krzyż. W połączeniu flanelowej, kraciastej koszuli i tandetnie wykonanej postaci rozpiętej na błyszczącym krzyżu było coś tak groteskowego, że o mało się nie roześmiała.

— Wejdz, proszę. Gdzie jest Ben?

Kiedy opowiedziała mu, co się stało, jego twarz wydłużyła się.

— A więc spośród wszystkich ludzi właśnie Floyd Tibbits postanowił odegrać rolę kochanka zranionego w swoich uczuciach? Jeśli mam być szczery, to nie mógł tego zrobić w bardziej niewłaściwym momencie. Po południu Carl Foreman przywiózł z Portland zwłoki Mike’a Ryersona, żeby przygotować je do pogrzebu. Przypuszczam, że będziemy musieli przełożyć naszą wyprawę do Domu Marstenów...

— Jaką wyprawę? Co się stało z Mike’em?

— Napijesz się kawy? — zapytał niespodziewanie Matt.

— Nie. Chcę się dowiedzieć, o co tutaj chodzi. Ben powiedział, że pan może mi to wyjaśnić.

— Obawiam się, że trochę mnie przecenił. Bardzo łatwo kazać wszystko opowiedzieć, natomiast dużo trudniej wykonać. Cóż, mimo wszystko spróbuję.

— Co...

Przerwał jej, unosząc w górę dłoń.

— Najpierw to ja muszę cię o coś zapytać. Podobno wczoraj byłeś z matką w tym nowym sklepie?

Susan zmarszczyła brwi.

— To prawda. A bo co?

— Czy możesz mi powiedzieć o wrażeniu, jakie wywarło na tobie to miejsce, a przede wszystkim właściciel?

— Pan Straker?

— Tak.

— Cóż, jest bardzo elegancki — odparła — a chyba nawet wytworny. Pochwalił sukienkę Glynis Mayberry, a ona zarumieniła się jak pensjonarka. Zapytał panią Boddin, dlaczego ma zabandażowaną rękę i kiedy dowiedział się, że oparzyła się gorącym tłuszczem, dał jej przepis na domową maść. Potem przyszła Mabel i wtedy... — Roześmiała się na to wspomnienie.

— Tak?

— Posadził ją w fotelu, a właściwie nie w fotelu, tylko na czymś w rodzaju tronu z rzeźbionego mahoni. Przyniósł go z zaplecza, cały czas flirtując z kobietami, choć ten rupieć na pewno ważył co najmniej trzysta funtów, po czym postawił go na środku, podał Mabel ramię i posadził ją w nim. Mówię panu, ona chichotała, a jeśli widział pan chichoczącą Mabel, to widział pan już wszystko.

Potem podał kawę, mocną, ale bardzo dobrą.

— Podobał ci się? — zapytał Matt, przypatrując się jej uważnie.

— To ma jakiś związek z tym, co się tutaj dzieje, prawda?

— Być może.

— Dobrze, w takim razie powiem panu, co czułam. Z jednej strony bardzo mi się podobał, a z drugiej nie za bardzo. Przypuszczam, że pociągał mnie seksualnie: starszy mężczyzna, doskonale ułożony, elegancko ubrany... Patrząc na niego jest się pewnym, że poradzi sobie w restauracji z francuskim menu i że zna się na winach, łącznie z rocznikami i winnicami. To na pewno ktoś zupełnie niepodobny do ludzi, których spotyka się tu na co dzień. Delikatny, ale nie zniewieściany, a przy okazji bardzo silny, jak zawodowy tancerz. Poza tym, to chyba oczywiste, że ktoś tak bezwstydnie łysy musi przyciągać uwagę kobiet. — Uśmiechnęła się trochę bezradnie, zdając sobie sprawę z tego, że na jej policzki wystąpiły rumieńce i zastanawiając się, czy nie powiedziała więcej, niż zamierzała.

— Aż drugiej strony... Wzruszyła ramionami.

— Trudno wskazać coś konkretnego. Wydaje mi się... Wydaje mi się, że pod tą kulturalną powierzchnią wyczuwałam pogardę i cynizm, jakby tylko grał jakąś rolę, zdając sobie doskonale sprawę z tego, że nie będzie musiał korzystać z całego swego talentu, żeby nas oszukać. Był taki... protekcyjny. — Spojrzała niepewnie na Matta. — Nie wiem czemu, ale odniosłam wrażenie, że jest bardzo okrutnym człowiekiem.

— Czy ktoś coś kupił?

— Niewiele, ale on nie sprawiał wrażenia kogoś, kto się tym przejmuje. Mama kupiła małą, rzeźbioną półeczkę z Jugosławii, a pani Petrie niewielki, rozkładany stolik i to wszystko, co widziałam. Mimo to chyba nie był zawiedziony. Prosił tylko, żeby powiedzieć znajomym, że jego sklep już działa i żeby wpadać zawsze, kiedy przyjdzie nam na to ochota. Jednym słowem, gentleman w każdym calu.

— Sądysz, że klientki były oczarowane?

— Raczej tak — odparła Susan, porównując w myśli entuzjastyczne opinie swojej matki na temat R. T. Strakera z jej niechętnym, a nawet wrogim stosunkiem do Bena.

— Widziałaś jego współnika?

— Pana Barlowa? Nie, wyjechał w interesach do Nowego Jorku.

— Doprawdy? — mruknął do siebie Matt. — Mocno w to wątpię.

— Panie Burke, czy nie powinien mi pan wreszcie powiedzieć, co się tu właściwie dzieje?

Westchnął z głębi piersi.

— W każdym razie, na pewno muszę spróbować. To, co przed chwilą od ciebie usłyszałem, bardzo mnie zaniepokoiło. Wszystko do siebie pasuje, aż za bardzo. . .

— Co pasuje?

— Zacznę od mojego wczorajszego spotkania z Mike'em u Della — powiedział Matt. — Wydaje się, że to już wieki temu. . .

5

Kiedy skończył swą opowieść, było dwadzieścia po ósmej, a każde z nich zdążyło już wypić po dwie filiżanki herbaty.

— Myślę, że to wszystko — oświadczył. — Czy teraz powinienem postąpić jak Napoleon i opowiedzieć ci o moich astralnych rozmowach z Toulouse-Lautrekiem?

— Proszę nie żartować. Rzeczywiście wygląda na to, że coś się dzieje, ale na pewno nie to, o czym pan myśli.

— Też tak mi się wydawało. Aż do ostatniej nocy.

— Jeżeli nikt nie próbował zrobić panu głupiego dowcipu, jak sugerował Ben, to może Mike sam otworzył okno, na przykład w gorączce. — Brzmiało to raczej mało przekonująco, ale starała się nie zwracać na to uwagi. — Albo zasnął pan, nie zdając sobie z tego sprawy i wszystko się panu po prostu przyśniło. Nawet mnie zdarzało się nieraz, że drzemałam nad książką i budziłam się po piętnastu lub dwudziestu minutach.

Matt wzruszył ze znużeniem ramionami.

— W jaki sposób można udowodnić autentyczność wydarzeń, w które nie uwierzyłby żaden rozsądnie myślący człowiek? Słyszałem to, co słyszałem. Na pewno nie spałem. Jest jeszcze coś, co mnie bardzo niepokoi: według starych przekazów literackich, wampir nie może ot tak, po prostu wejść do domu człowieka i wyssać jego krew. Musi najpierw zostać zaproszony. Wczoraj Mike Ryerson zaprosił Danny'ego Glicka, a wcześniej ja zaprosiłem Mike'a!

— Matt, czy Ben powiedział panu o swojej nowej książce?

Wziął do ręki fajkę, ale jej nie zapalił.

— Bardzo niewiele. Właściwie tylko tyle, że jest w jakiś sposób związana z Domem Marstenów.

— Nie opowiedział panu o tym, co przeżył w tym domu jako dziecko?

Spojrzał na nią ostro.

— W środku? Nie.

— Miał w ten sposób dowieść swojej odwagi i udowodnić, że może zostać przyjęty do klubu, który założyli inni chłopcy. Zadanie polegało na tym, żeby wejść do środka i przynieść jakiś fant. Zrobił to, ale postanowił jeszcze pójść do

sypialni, w której znaleziono powieszonoego Huberta Marstena. Kiedy otworzył drzwi, zobaczył Hubie'ego wiszącego na sznurze, a w chwilę potem trup spojrział na niego. Ben uciekł, ale to wspomnienie dręczyło go niemal bez przerwy przez całe dwadzieścia cztery lata. Wrócił do miasteczka, żeby o tym napisać i w ten sposób wreszcie się uwolnić.

— O, Boże... — wyszeptał Matt.

— Ben ma pewną teorię dotyczącą Domu Marstenów. Opiera ją częściowo na własnych przeżyciach, a częściowo na pewnym odkryciu, jakiego udało mu się dokonać, gdy badał dokładnie historię życia Hubie'ego...

— Chodzi o kult Szatana? Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

— Skąd pan o tym wie?

Matt uśmiechnął się niezbyt wesoło.

— Wśród plotek, jakich zawsze pełno w każdym małym miasteczku, są też i takie, które otacza głęboka tajemnica. W Salem należały do nich prawie wszystkie, jakie dotyczyły Hubie'ego Marstena. Obecnie wie o nich najwyżej kilkoro spośród najstarszych mieszkańców, w tym także, rzecz jasna, Mabel Werts. Działo się to już bardzo dawno temu, Susan, ale te historie należą do tych, których nie dotyczy ustawa o przedawnieniach. Nawet Mabel nie ma odwagi rozmawiać o Marstanie z nikim spoza grona jej najbardziej zaufanych przyjaciół, a i wtedy rozprawiają przede wszystkim o morderstwie i śmierci Hubie'ego. Gdy jednak zapytać o dziesięć lat, jakie tutaj spędził, robiąc Bóg wie co, do głosu dochodzi natychmiast nadzwyczaj surowy, psychiczny cenzor — chyba najbliższy odpowiednik tabu, jaki zna nasza zachodnia cywilizacja. Przed laty szeptano o tym, jakoby Hubert Marsten porywał małe dzieci i składał je w ofierze swoim okrutnym bogom. Dziwię się, że Benowi udało się tak wiele dowiedzieć. Tajemnica, jaka otacza ten aspekt życia Hubie'ego i jego żony, funkcjonuje w miasteczku niemal na prawach sacrum.

— Nie zdobył tych informacji w Salem.

— W takim razie, to co innego. Podejrzewam, że jego teoria opiera się w znacznej mierze na starym, popularyzowanym przez parapsychologów przekonaniu, że ludzie wytwarzają i pozostawiają po sobie zło w taki sam sposób, jak odchody czy odciski palców, a ono zostaje już na zawsze. W myśl tej zasady Dom Marstenów może być czymś w rodzaju akumulatora naładowanego złymi uczynkami.

— Dokładnie tak to ujął. — Susan spojrzała na niego ze zdziwieniem.

Matt roześmiał się chrapliwie.

— Najwidoczniej czytaliśmy te same książki. A co ty o tym myślisz, Susan? Czy w twojej osobistej filozofii jest miejsce na coś poza niebem i ziemią?

— Nie — odparła bez śladu wątpliwości w głosie. — Domy to tylko domy, a zło niknie w chwili, gdy przestaje się je wyrządzać.

— Sugerujesz, że fantazje Bena mogą poprowadzić mnie dalej ścieżką wiodącą ku szaleństwu, na której już się znalazłem?

— Nie, oczywiście, że nie. Nic takiego nie przyszło mi na myśl, ale musi pan sobie zdawać sprawę z tego, że...

— Cicho.

Przechylił głowę, nasłuchując z wyężeniem. Nic, jeśli nie liczyć trzaśnięcia jakiejś suchej deski. Spojrzała na niego pytająco, ale on tylko potrząsnął głową.

— Zdaje się, że ci przerwałem.

— Tak się przypadkowo złożyło, że to nie jest najlepszy czas na odprawianie egzorcyzmów nad duchami zapamiętanymi z dzieciństwa. Odkąd w Domu Marstenów znowu pojawili się ludzie, w mieście aż huczy od plotek, które zresztą nie ominęły także samego Bena. Wiadomo przecież, że niewłaściwie odprawiane egzorcyzmy mogą obrócić się przeciwko egzorcystcie. Myślę, że Ben powinien stąd jak najprędzej wyjechać i że panu także nie zaszkodziłby długi urlop, panie Burke.

Mówiąc o egzorcyzmach przypomniała sobie o prośbie Bena, żeby wspomnieć Mattowi o ojcu Callahanie, ale tknięta jakimś impulsem postanowiła tego nie robić. Nie miała teraz najmniejszych wątpliwości, co nim kierowało, lecz uznała, że byłoby to tylko dolewanie oliwy do ognia i tak już niebezpiecznie wysokiego. Jeśli Ben ją o to zapyta, powie mu po prostu, że zapomniała.

— Wiem, że to brzmi jak wierutne bzdury — powiedział Matt. — Nawet dla mnie, choć na własne uszy słyszałem skrzypienie otwieranego okna i śmiech, a rano widziałem zrzucone okiennice. Jeśli jednak to w jakiś sposób uśmierzy twoje obawy, powiem ci, że Ben zareagował na wszystko bardzo spokojnie. Zaproponował, żebyśmy rozpatrzyli tę sprawę jako teorię, którą można potwierdzić albo obalić i... — Przerwał, ponownie nasłuchując. Tym razem milczenie trwało znacznie dłużej. Kiedy odezwał się ponownie, w jego głosie słychać było chłodną, przerażającą pewność.

— Ktoś jest na górze.

Susan przez dłuższą chwilę wsłuchiwała się w ciszę panującą we wnętrzu domu.

— Wydawało się panu.

— Znam swój dom — odpowiedział spokojnie. — Ktoś jest w pokoju gościnnym... Słyszysz?

Rzeczywiście, tym razem usłyszała — wyraźne skrzypnięcie deski, Jeden z tych niezliczonych odgłosów, jakie wypełniają każdy stary dom, ale ona odniosła wrażenie, że za tym szczególnym skrzypnięciem kryje się coś złowrogiego.

— Idę na górę — oświadczył Matt.

— Nie! — wyrwało jej się, zanim zdążyła pomyśleć. Refleksja przyszła dopiero później: i kto teraz siedzi przy kominie, nasłuchując z przerażeniem wyjącego za oknem wiatru?

— Wczoraj bałem się, nic nie zrobiłem i stało się coś okropnego. Teraz tam pójde.

— Panie Burke...

Zorientowała się, że obydwójce mówią przyciszonymi głosami. Poczwała, jak jej mięśnie napinają się bez udziału woli, jakby w oczekiwaniu na jakieś wydarzenie. Może rzeczywiście ktoś tam jest, pomyślała. Na przykład włamywacz.

— Mów — szepnął do niej. — Kiedy tam pójde, mów cały czas. Obojętnie, na jaki temat.

Zanim zdołała go powstrzymać, uniósł się z krzesła i po cichu, z zaskakującą zwinnością ruszył w kierunku schodów. Stanąwszy u ich podnóża obejrzał się na nią, ale nie mogła nic odczytać w jego oczach.

Czuła się lekko oszołomiona tempem, w jakim zmieniał się otaczający ją świat. Nie dalej jak dwie minuty temu rozmawiali spokojnie o ostatnich wydarzeniach, siedząc w obojętnym, racjonalnym blasku elektrycznego światła, a teraz znajdowała się w szponach obezwładniającego lęku. Pytanie: jeżeli zamknie się w jednym pokoju psychologa i człowieka, który uważa, że jest Napoleonem, i zostawi ich się na rok albo na dziesięć lub dwadzieścia lat, czy po tym czasie zastaniemy w pokoju dwóch psychologów, czy dwóch Napoleonów? Odpowiedź: brak wystarczającej liczby danych.

— Chcieliśmy z Benem pojechać w niedzielę do Camden — powiedziała głośno. — Wie pan, do tego miasteczka, w którym kręcili *Peyton Place*, ale teraz wygląda na to, że będziemy musieli trochę poczekać. Jest tam prześliczny, mały kościółek...

Mówiła bardzo naturalnie i z wielką łatwością, choć zaciskała dłonie z siłą, o jaką by się nawet nie podejrzewała. Strach nie brał się z jej umysłu, który był wciąż jasny i spokojny, nie poruszony opowieściami o wampirach i żywych trupach, lecz ze znacznie starszych, powstałych przed milionami lat ośrodków nerwowych w rdzeniu kręgowym.

6

Wspinaczka po schodach okazała się najtrudniejszą rzeczą, jakiej Matt Burke dokonał w całym swoim życiu. Nie można z tym było niczego porównać, może z wyjątkiem jednego jedyne go wydarzenia.

Mając osiem lat należał do drużyny młodszych skautów. Szałas, w którym się zbierali, znajdował się ponad milę od ostatnich zabudowań i szło się tam bardzo miło, bo był dzień i świeciło słońce, ale powrót odbywał się zawsze o zmierzchu, gdy na drogę wylęgały zastępy poskręcanych, drżących cieni, lub nawet w zupełnej ciemności, jeśli akurat spotkanie było szczególnie interesujące i trwało nieco dłużej niż zwykle. Szedł wtedy zupełnie sam.

Sam. Tak, to kluczowe słowo, najokropniejsze w całym słowniku. „Zbrodnia” brzmi w porównaniu z nim zupełnie niewinnie, a „piekło” stanowi jedynie bardzo odległy, łagodny odpowiednik.

Droga prowadziła obok starego, zrujnowanego kościółka metodystów, wznoszącego się na skraju zaniedbanego trawnika i kiedy wchodziłeś w zasięg bezmyślnego spojrzenia jego pustych, powybijanych okien, nagle twoje kroki stawały się niezwykle głośne, wesołe pogwizdywanie zamierało ci na ustach i zaczynałeś myśleć o tym, co musi być we wnętrzu — o poprzewracanych ławkach, gnijących śpiewnikach, roztrzaskanym ołtarzu, stanowiącym miejsce nocnych schadzek dla myszy — a także zastanawiałeś się, kto jeszcze może się tam spotykać, jacy szaleńcy i jakie potwory. Może właśnie teraz wpatrują się w ciebie swymi żółtymi, gadzimi oczami? A może w pewnej chwili dojdą do wniosku, że samo patrzenie to za mało i otworzą nagle przeraźliwie skrzypiące drzwi, a ty spojrzysz na to, co w nich stanie i to jedno jedyne spojrzenie wystarczy, byś zupełnie oszalał?

Nie mogłeś o tym powiedzieć ani matce, ani ojcu, istotom żyjącym w świetle dnia. Dokładnie tak samo, jak nie mogłeś im opowiedzieć wspomnienia z wczesnego dzieciństwa, kiedy miałeś trzy lata i nagle ujrzałeś, jak koc leżący w nogach łóżeczka zamienia się w kłębowisko wijących się węży. Żadne dziecko nigdy nie pokonało tego lęku. Nie można pokonać lęku niemożliwego do wyartykułowania, a strach zamknięty w dziecięcym mózgu jest zwykle zbyt wielki, żeby mógł znaleźć ujście przez nieduże usta. Prędzej czy później wracałeś z kimś do tych miejsc, które niegdyś napełniały cię niewysłowionym przerażeniem i napawałeś się smakiem spóźnionego zwycięstwa, aż wreszcie przychodziła ta noc, podczas której okazywało się, że dawne lęki nie zniknęły z twojej podświadomości, lecz tylko zostały na jakiś czas zamknięte w małych, dziecięcych trumienkach pokrytych kwiatami dzikiej róży.

Nie zapalając światła Matt wchodził powoli po schodach, pamiętając o ominięciu szóstego stopnia, który skrzypiał. Dłoń, w której ścisnął krzyż, była spocna i śliska.

Dotarłszy na piętro odwrócił się bezszelestnie i obrzucił spojrzeniem krótki korytarzyk. Drzwi pokoju gościnnego były uchylone, choć doskonale pamiętał, że je zamknął. Z dołu dobiegał monotony szmer głosu Susan.

Stawiając ostrożnie stopy, ruszył korytarzem i po chwili stanął przed drzwiami. Oto kwintesencja wszystkich ludzkich lęków, pomyślał. Ciemność i tajemniczo uchylone drzwi. Pchnął je drżącą dłonią.

Na łóżku leżał Mike Ryerson.

Przez okno wpadało światło księżyca, zamieniając pokój w srebrzystoszarą kałużę snu. Matt potrząsnął głową, jakby chciał odzyskać jasność widzenia. Miał wrażenie, że nagle cofnął się w czasie do ostatniej nocy. Za chwilę zejdzie na dół i zadzwoni do Bena, który jeszcze nie trafił do szpitala. . .

Mike otworzył oczy.

Przez chwilę błyszcząły w świetle księżyca, srebrne z krwistoczerwonymi obwódkami i puste niczym starannie wytarte tablice. Nie sposób było w nich dostrzec żadnej ludzkiej myśli ani uczucia. „Oczy są oknami duszy”, powiedział Wordsworth. Jeśli tak było w istocie, to przez te okna zaglądało się do zupełnie pustego pokoju.

Ryerson usiadł na łóżku. Białe prześcieradło zsunęło się z jego piersi i Matt ujrzał wyraźny, świeży szew, wykonany sprawną dłonią lekarza sądowego. Mike uśmiechnął się, odsłaniając ostre, białe kły. Sam uśmiech był wyłącznie skurczem mięśni twarzy i w żaden sposób nie dotyczył oczu, które pozostały martwe i puste.

— Spójrz na mnie — powiedział bardzo wyraźnie. Matt zrobił to. Tak, oczy istotnie były całkowicie puste, ale zarazem niezmiernie głębokie. Mógł w nich niemal dostrzec własne miniaturowe, srebrzyste odbicia, zapadając się w ślad za nimi coraz głębiej, tam gdzie zarówno świat, jak i wypełniający go strach traci wszelkie znaczenie. . .

— Nie! — krzyknął, cofając się o krok i wyciągnął, przed siebie krucyfiks.

To, co kiedyś było Mike'em Ryersonem zasyczało, jakby ktoś chlusnął mu w twarz wrzącą wodą i uniosło ręce w obronnym geście. Matt zmusił się, żeby zrobić krok do przodu, a wtedy Mike zerwał się z łóżka i cofnął w kierunku okna.

— Odejdź! — wyskrzeczwał Matt. — Odwołuję moje zaproszenie! Ryerson wrzasnął przeraźliwie wysokim, pełnym bólu i nienawiści głosem. Zatoczył się do tyłu, uderzając nogami w parapet okna i zachwiał się przez chwilę, usiłując na próżno odzyskać równowagę.

— Odwiedzę cię, kiedy będziesz spał, nauczycielu!

Przechylił się i wypadł w ciemność z uniesionymi w górę rękami. Białe ciało błysnęło w promieniach księżyca, prezentując w całej okazałości grube, wykonane czarną nicią szwy, układające się na brzuchu i klatce piersiowej w kształt olbrzymiej litery Y.

Matt wydał jakiś zupełnie nieludzki skowyt i jednym susem znalazł się przy oknie. Nic jednak nie zobaczył, z wyjątkiem chmury pyłu zawieszanej w srebrzystym promieniu księżyca, która zawirowała, przybierając na mgnienie oka zdumiewająco humanoidalny kształt, po czym rozplynęła się w nicość.

Odwrócił się, żeby czym prędzej stąd uciec, lecz właśnie w tej chwili poczuł potworny, obezwładniający ból w klatce piersiowej. Zgiął się wpół i zatoczył bezradnie, a ból rozszerzył się, ogarniając palącym płomieniem lewe ramię. Chwiejnym krokiem skierował się do drzwi, trzymając ręce przyciśnięte do piersi; w dłoni nadal ścisnął kurczowo krucyfiks, a przed sobą widział białe ciało Mike'a Ryersona zawieszony w powietrzu.

— Panie Burke!

— Mój lekarz nazywa się James Cody — wyszeptał ustami zimnymi niczym płatki śniegu. — Numer telefonu jest w notesie przy aparacie. Zdaje się, że mam atak serca.

Runął twarzą w dół na podłogę.

7

Susan wykręciła numer, który znalazła w notesie obok zapisu: JIMMY CODY, KONOWAŁ. Litery były duże i starannie wykaligrafowane, takie, jakie zapamiętała ze szkoły. Po chwili w słuchawce rozległ się kobiecy głos.

— Czy zastałam doktora? To bardzo pilne!

— Tak, już go proszę.

— Tu doktor Cody.

— Mówi Susan Norton. Jestem w domu u pana Burke'a. Przed chwilą miał atak serca.

— Kto? Matt Burke?

— Tak, jest nieprzytomny. Co mam. . .

— Proszę wezwać z Cumberland karetkę, numer 841–4000. Niech pani przy nim zostanie i nakryje go kocem, ale proszę go nie ruszać. Rozumie pani?

— Tak.

— Będę tam za dwadzieścia minut.

— Czy. . .

Usłyszała stukot odkładanej słuchawki.

Potem, kiedy wezwała karetkę, ponownie została zupełnie sama. Musiała wrócić na górę.

8

Spoglądała na schody z drzeniem, jakiego nie odczuwała jeszcze nigdy w życiu. Pragnęła tylko tego, żeby to wszystko okazało się nieprawdą, ale nie ze względu na Matta, tylko po to, by opuścić ją ten nieprawdopodobny strach. Jeszcze niedawno nie wierzyła w nic z tego, co usłyszała, traktując opowieść Matta w kategoriach narzucanych przez jej realistyczny sposób widzenia świata, a teraz nagle solidna podstawa usunęła się jej spod nóg i Susan przekonała się, że spada w nic.

Siedząc w salonie usłyszała dobiegający z góry głos, mający tyle wspólnego z ludzkim, co szczekanie psa: „Odwiedzę cię, kiedy będziesz spał, nauczycielu”.

Pokonując opór własnego ciała zaczęła wchodzić na piętro. Zapaliła światło, ale niewiele to pomogło. Matt leżał tam, gdzie go zostawiła, z prawym policzkiem przyciśniętym do podłogi, chwytając powietrze raptownymi, płytkimi łykami. Nachyliła się i rozpięła mu dwa górne guziki koszuli, po czym weszła do sypialni, żeby wziąć koc.

W pokoju panował przenikliwy chłód. Okno było szeroko otwarte, a na szafce pod ścianą leżały złożone koce. Wzięła jeden z nich i odwróciła się, żeby wyjść na korytarz, kiedy jej uwagę przykuł jakiś błyszczący przedmiot, leżący na podłodze przy oknie w plamie księżycowego światła. Nachyliła się, wzięła go do ręki i rozpoznała niemal od razu: pamiątkowy sygnet z ogólniaka. Na wewnętrznej powierzchni widniały wyryte trzy litery: M. C. R.

Michael Corey Ryerson.

Stojąc w ciemności rozjaśnionej tylko srebrzystym blaskiem uwierzyła we wszystko. W ostatniej chwili powstrzymała krzyk podchodzący jej do gardła, a sygnet wypadł z jej odrętwiałych palców i potoczył się po podłodze, by znieruchomieć w plamie księżycowego światła.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Miasteczko (III)

1

Miasteczko wiedziało wszystko o ciemności.

Wiedziało wszystko o ciemności, która okrywa ziemię, gdy słońce skryje się za linią horyzontu, a także o tej, która panuje w ludzkiej duszy. Ono samo składało się z trzech części dających łącznie dużo więcej, niż mogło to wynikać z ich prostego dodania do siebie: ludzi, którzy w nim mieszkali, budynków i ziemi. Ludzie są potomkami Szkotów, Anglików i Francuzów. Innych nie spotyka się zbyt wielu, a jeżeli już, to stanowią oni odpowiednik garści zmielonego pieprzu wrzuconego do garnka soli. Akurat ten tygiel nigdy nie działał zbyt dobrze. Co do budynków, to niemal wszystkie postawiono z litego drewna. Znaczna część tych najstarszych ma od frontu dwa piętra, od tyłu zaś tylko jedno i pyszni się szerszymi, niż one same, fasadami, choć nikt nie potrafi powiedzieć, dlaczego. Wszyscy o tym wiedzą i traktują to jak coś oczywistego, podobnie jak fakt, że Loretta Starcher nosi sztuczny biust. Ziemia to lity granit pokryty cienką warstwą nieurodzajnej gleby. Praca na roli jest niewdzięczną, ciężką, beznadziejną harówką. Podczas orki lemiesz co chwila trafia na potężne kamienie, a na wiosnę, kiedy tylko pole trochę obeschnie, wyjeżdżasz z chłopcami ciągnikiem, zbierasz je na przyczepę i zrzucasz na wielką, ciągle rosnącą stertę, czyniąc to bez przerwy od 1955 roku, kiedy po raz pierwszy postanowiłeś chwycić byka za rogi. Nazajutrz, kiedy niemal nie czujesz opuchniętych palców, a za paznokciami masz żałobne obwódki z ziemi niemożliwe do usunięcia, przystępujesz do orki i najdalej za drugim nawrotem łamiesz lemiesz na kamieniu, który umknął twojej uwagi. W chwili, gdy najstarszy chłopak podtrzymuje zaczep, żebyś mógł założyć nowe ostrze, koło twego ucha przemyka pierwszy wiosenny komar z obrzydliwym, doprowadzającym do szału brzęczeniem. Chyba właśnie ten dźwięk słyszą wariaci, zanim pozabijają swoje dzieci albo zamkną oczy i wcisną do końca pedał gazu, albo pociągną za spust przyłożonej do czoła strzelby. Chłopak próbuje go odgonić, wypuszcza zaczep i jedno ze lśniących, wygiętych ostrzy opada ci na rękę, a ty spoglądasz z rozpaczą na otaczającą cię ziemię, czując, że mógłbyś w tej chwili pójść do najbliższego baru i zalać się w trupa albo zadzwonić do banku, który

udzielił ci kredytu, i powiedzieć, że masz już dosyć, ale jednocześnie wiesz, że ją kochasz i wiesz, że ona rozumie wszystkie rodzaje ciemności. Przykuła cię do siebie, do domu, do kobiety, w której zakochałeś się jeszcze w szkole (tylko że ona była wtedy jeszcze dziewczyną, a ty nic nie wiedziałeś o dziewczynach, więc po prostu przykleiłeś się do niej, a ona wypisywała twoje imię na okładkach zeszytów, a potem ona ciebie ośmieliła, a potem ty ją, a potem było wam już bardzo dobrze), do dzieciaków poczętych w skrzypiącym, drewnianym łóżku o pękniętej ramie. Zawsze robiliście je w ciemności, sześcioro, siedmioro albo dziesięcioro. Wszyscy mają cię w garści: sprzedawca samochodów, sklep w Lewiston, handlarz sprzętem rolniczym w Brunswick, ale przede wszystkim samo miasto, bo znasz je równie dobrze, jak kształt piersi swojej żony. Wiesz, kogo możesz spotkać o każdej porze dnia w sklepie Crossena, kto ma kłopoty ze swoją żoną, jak na przykład Reggie Sawyer, którego stara puszcza się z tym chłopakiem z firmy telefonicznej. Wiesz, skąd i dokąd prowadzą wszystkie drogi i że w każdy piątek wieczorem możesz spotkać się z Hankiem i Nollym Gardenerem i wypić parę piw albo coś mocniejszego. Znasz wszystkie zdradliwe miejsca i wiesz, jak przejść w kwietniu przez moczary, nie wpadając po kolana w wodę. Wiesz wszystko o miasteczku, a ono o tobie. Wie, jak boli cię krocze po całym dniu spędzonym na siodełku ciągnika, wie że guz na ramieniu to nic poważnego, w przeciwieństwie do tego, co powiedział w pierwszej chwili lekarz i jak intensywnie główkujesz nad rachunkami, przychodzącymi pocztą w ostatnim tygodniu każdego miesiąca. Zna na wylot wszystkie twoje kłamstwa, nawet te, którymi próbujesz oszukać sam siebie; że w przyszłym roku pojedziesz z żoną i dziećmi do Disneylandu, że być może przyszłą jesienią uda ci się kupić nowy telewizor i że wszystko na pewno będzie dobrze. Życie w miasteczku i z miasteczkiem przypomina gwałtowny akt płciowy, trwający bez przerwy całą dobę, przy którym to, co robisz z żoną w skrzypiącym łóżku, przypomina zdawkowy uścisk dłoni. Jest to jednocześnie prozaiczne, zmysłowe i upajające, kiedy więc zapadnie ciemność, należycie już tylko do siebie i śpisz na jego łonie tak twardo, jak kamienie na twoim polu. Nie ma tu życia, tylko powolne umieranie kolejnych dni, więc kiedy pojawia się zło, jego nadejście wydaje się czymś od dawna przepowiedzianym, słodkim i uspokajającym, zupełnie jakby miasto wiedziało, pod jaką postacią tym razem zjawi się ten nieproszony gość.

Miasto ma również swoje tajemnice i dobrze ich strzeże. O wielu z nich ludzie nie mają najmniejszego pojęcia. Wiedzą na przykład, czy też raczej wydaje im się, iż wiedzą, że żona Albie'ego Crane'a uciekła z komiwojażerem z Nowego Jorku, natomiast w rzeczywistości Albie roztrzaskał jej głowę siekierą, przyłapawszy ją na flircie z nieznanym, po czym przywiązał do nóg kilka cegieł i wrzucił do starej studni na swoim podwórzu. W dwadzieścia lat później Albie umarł spokojnie w łóżku na atak serca, podobnie jak już niedługo umrze jego syn Joe, a pewnego dnia być może jakieś dziecko natknie się na starą studnię zarośniętą ze wszystkich

stron jeżynami, odchylił pokrywę i ujrzy spoczywający na jej dnie biały szkielet z uniesioną do góry głową i opierającym się na pustej klatce żeber wisiorkiem, otrzymanym w prezencie od komiwojażera.

Wiedzą o tym, że Hubie Marsten zamordował swoją żonę, lecz nie mają pojęcia, do czego ją najpierw zmuszał ani co wydarzyło się w kuchni zalanej słonecznymi promieniami i przesyconej zapachem kapryfolium kilka chwil przedtem, zanim odstrzelił jej połowę głowy. Nie wiedzą, że błagała go, by to uczynił.

Kilka najstarszych kobiet — na przykład Mabel Werts, Glynis Mayberry i Audrey Hersey — pamięta, że Larry McLeod znalazł w kominku na piętrze jakieś częściowo spalone papiery, lecz żadna z nich nie wie, iż była to korespondencja, jaką w ciągu dwunastu lat Hubert Marsten prowadził z rozbrajająco staroświeckim austriackim arystokratą nazwiskiem Breichen, że korespondencja ta przechodziła w całości przez biurko pewnego mieszkającego w Bostonie handlarza książkami, który zginął paskudną śmiercią w roku 1933, oraz że Hubie spalił te listy bezpośrednio przed popełnieniem samobójstwa, wrzucając je pojedynczo w ogień i obserwując, jak zwijają się i czernieją, a płomień unicestwia ślad, pisane niezwykle starannym charakterem litery. Nie wiedzą, że uśmiechał się przy tym dokładnie w taki sam sposób, w jaki teraz uśmiecha się Larry Crockett, myśląc o pewnych zupełnie nieprawdopodobnych dokumentach spoczywających w jego skrytce bankowej w Portland.

Wiedzą, że Coretta Simons umiera w męczarniach na raka zżerającego jej wnętrzności, lecz nie mają najmniejszego pojęcia o tym, iż za odłóżką, częściowo zbutwiałą tapetą w jej pokoju jest ukrytych ponad trzydzieści tysięcy dolarów, które zbierała na czarną godzinę przez całe życie, a teraz, gdy gadzina ta okazała się bardziej czarna, niż ktokolwiek mógł przypuszczać, zupełnie o nich zapomniała.

Wiedzą, że we wrześniu 1951 roku szalejący pożar strawił niemal połowę miasteczka, ale nie wiedzą o tym, że był on wynikiem podpalenia oraz że chłopiec, który to zrobił, w roku 1953 skończył z wyróżnieniem szkołę i przeniósł się na Wali Street, gdzie niemal natychmiast zaczął zarabiać sto tysięcy dolarów rocznie, ale nawet gdyby o tym wiedzieli, to i tak nic by im to nie dało, nie zdawaliby sobie bowiem sprawy ani z pobudek, które skłoniły go do dokonania tego czynu, ani z koszmarów, które dręczyły go przez pozostałe dwadzieścia lat życia, dopóki nie umarł na zator mózgu. Nie wiedzą, że wielebny John Groggins budzi się często w środku nocy, mając wciąż jeszcze przed oczami okropny obraz, jaki mu się przyśnił — siebie nagiego i z potężnym wzwodem, uczącego religii klasę dorastających panienek, pożerających go łakomie oczami. . .

że Floyd Tibbits włóczył się na pół przytomny przez cały piątek, czując, jak słońce atakuje wściekle jego niezwykle wrażliwą skórę. Nie pamiętał ani swej wizyty u Ann Norton, ani bijatyki z Benem Mearsem, ale powitał zachód słońca z ogromną ulgą i wdzięcznością, oczekując nadejścia czegoś wspaniałego i do-

brego...

że Hal Griffen ma schowanych w szafie sześć świerszczyków, przy których onanizuje się, korzystając z każdej nadarzającej się sposobności...

że George Middler ukrywa w swoim mieszkaniu nad sklepem walizkę pełną jedwabnych majteczek i biustonoszy i że czasem zaciąga żaluzje, zamyka starannie drzwi, po czym ubiera się w tę bieliznę i staje przed dużym lustrem w sypialni, a następnie jego oddech robi się coraz szybszy i płytszy, aż wreszcie George osuwa się na kolana i masturbuje...

że Carl Foreman chciał krzyknąć, kiedy Mike Ryerson leżący w jego zakładzie na metalowym stole poruszył się nagle i usiadł, ale głos uwiązł mu w gardle niczym szklana kula, a potem Mike otworzył oczy i spojrzał prosto na niego...

że dziesięciomiesięczny Randy McDougall wcale nie wierzgał, kiedy Danny Glick wślizgnął się przez okno sypialni, wyjął go z łóżeczka i zatopił kły w jego karku, na którym wciąż jeszcze było widać siniaki po uderzeniach matki...

Takie właśnie są tajemnice miasteczka. Część z nich wyjdzie później na światło dzienne, a część pozostanie na zawsze w cieniu. Miasto ukrywa je wszystkie za swoim nieprzeniknionym obliczem.

Sprawy Szatana interesują je w równie małym stopniu, co sprawy Boga. Ono wie wszystko o ciemności, a to zupełnie wystarcza.

2

Sandy McDougall od razu, jak tylko się obudziła, wiedziała, że stało się coś złego, ale nie była pewna co. Druga połowa łóżka była pusta; Roy miał wolne i pojechał z przyjaciółmi na ryby. Mówił, że wróci około południa. Nie czuła woni spalenizny i nic ją nie bolało, więc co właściwie ją zaniepokoiło?

Słońce. Coś nie w porządku ze słońcem.

Ciepła plama, sącząca się przez gałęzie rosnącego tuż za oknem klonu, drżała delikatnie wysoko na ścianie. Zwykle Randy budził ją dużo wcześniej, zanim słońce wspięło się na wystarczającą wysokość, żeby zajrzeć do ich małżeńskiej sypialni.

Wciąż nie bardzo rozumiejąc, co się stało, spojrzała na budzik stojący na nocnej szafce. Dziesięć po dziewiątej.

Gardło ścisnęło się jej w ostrzegawczym skurczu.

— Randy? — zawołała, biegnąc wąskim korytarzykiem, ciągnącym się wzdłuż całej przyczepy. Poły cienkiego szlafroka rozwinęły się za nią niczym skrzydła. — Randy, kochanie...

Dziecinny pokój był zalany rozproszonym światłem wpadającym do wnętrza przez niewielkie okno nad łóżeczkiem. Okno było otwarte, choć poprzedniego wieczoru jak zawsze starannie je zamknęła.

Łóżeczko było puste.

— Randy...? — szepnęła.

Dopiero wtedy go zobaczyła.

Małe ciało, ubrane w kolorowe, sprane śpioszki, leżało w kącie niczym rzucona niedbale stara szmaciana lalka. Jedna nóżka sterczała groteskowo w górę niczym wykrzyknik.

— Randy!

Z wykrzywioną spazmatycznie twarzą osunęła się na kolana przy dziecku i objęła je ramionami. Małe ciało było zupełnie zimne.

— Randy, najśłodszy, obudź się... Słoneczko, nie śpij... Wszystkie siniaki zniknęły, co do jednego. Skóra była zdrowa i różowa i po raz pierwszy od chwili jego narodzin dostrzegła w nim piękno.

Krzyknęła przeraźliwie, porażona tym widokiem.

— Randy, obudź się! Randy! Randy!

Podniosła go i przyciskając do piersi pobiegła z powrotem korytarzem, nie czując, że szlafrok zsunął jej się z jednego ramienia. Specjalne wysokie krzeselko stało w kuchni na swoim zwykłym miejscu, z tacką wciąż pokrytą zaschniętymi resztkami wczorajszej kolacji. Posadziła w nim dziecko, ale jego główka opadła bezwładnie na pierś, a tułów przechylił się przez drewniane poręcze, by znieruchomieć nad brudną tacą.

— Randy? — wyszeptła, wpatrując się w niego oczami, które prawie wyszły jej z orbit przypominając zbyt duże, jasnoblękitne kamienie. Poklepała go po policzkach. — Obudź się, Randy. Pora na śniadanie. Dzidzius nie jest głodny? Boże... O mój Boże...

Zostawiła go na chwilę, gwałtownym szarpnięciem otworzyła jedną z wiszących na ścianie szafek i zaczęła w niej gorączkowo grzebać, wysypując pudełko grysiku ryżowego, paczkę specjalnych pierożków, a wreszcie strąciła butelkę oleju. Ciężki, tłusty płyn zaczął wylewać się na kuchenny blat i na podłogę. Znalazszy napoczęty słoiczek z czekoladą odkreśliła go i złapała jedną z plastikowych łyżeczek schnących przy zlewozmywaku.

— Masz, kochanie. Twoje ulubione papu. Patrz, Randy, mamusia przyniosła ci czekoladę. — Nagle ogarnęła ją fala wściekłości zmieszanej z przerażeniem. — Obudź się, do cholery! — wrzasnęła, opryskując go kropelkami śliny. — Obudź się, ty gówniarzu, słyszysz?

Nabrała pełną łyżeczkę. Dłoń, która już знаła prawdę, trzęsła się tak bardzo, że większość czekolady znalazła się na podłodze, ale resztę udało się jej wepchnąć między nieruchome, na wpół rozchylone wargi. łyżeczka zazgrzytała o drobne zębki, a brązowa masa natychmiast wypadła z ust dziecka i spadła na tackę z okropnym mokrym odgłosem.

— Randy — jęknęła błagalnie. — Nie oszukuj mamusi. Uniosła jego główkę drugą dłonią, otworzyła szerzej usta, zebrała z tacy łyżką część czekolady i we-

pchnęła mu ją ponownie.

— O, widzisz... — Na jej twarzy pojawił się uśmiech pełen rozpaczliwej nadziei. Usiadła wygodniej, rozluźniając mięśnie napięte do granic wytrzymałości. Teraz wszystko będzie dobrze. Teraz mały już wie, jak ona bardzo go kocha i skończy tę okrutną zabawę. — Dobrze? — zamruczała kojącym głosem. — Dobra czekolada, Randy? Uśmiechniesz się do mamusi? No, bądź grzecznym chłopcem i uśmiechnij się do mnie...

Wyciągnęła dłoń i drżącymi palcami uniosła ku górze kąciki ust swego dziecka.

Chlap.

Czekolada ponownie pacnęła na tacę.

Sandy zaczęła przeraźliwie krzyczeć.

3

W sobotę rano Tony Glick obudził się w chwili, gdy jego żona upadła na podłogę w salonie.

— Margie? — zawołał, spuszczać nogi z łóżka. — Margie? Po dłuższej chwili z dołu nadeszła odpowiedź:

— Nic mi nie jest, Tony.

Usiadł na krawędzi łóżka, wpatrując się tępo w swoje bose stopy. Miał na sobie tylko pasiaste spodnie od piżamy z dyndającymi na wierzchu tasiemkami. Potargane włosy sterczały mu na głowie we wszystkie strony. Były gęste i czarne, i obaj synowie odziedziczyli je po nim. Ludzie sądzili, że jest Żydem, choć fakt, że te kruczoczarne włosy ani trochę się nie kręca, powinien dać im trochę do myślenia. Jego dziadek nazywał się Gliccucchi, lecz kiedy ktoś powiedział mu, że w Ameryce znacznie korzystniej jest mieć jakieś amerykańskie nazwisko, najlepiej krótkie i łatwe do zapamiętania, dziadek zmienił je na Glick, nieświadom tego, że jednocześnie zmienia autentyczną przynależność do jednej grupy narodowościowej na pozorną do innej. Tony Glick był mocno zbudowany, miał ciemną cerę i silnie rozwinięte mięśnie, a ostatnio także lekko oszołomiony wyraz twarzy człowieka, który wychodząc z baru po obficie zakrapianym wieczorze dostał jeszcze od kogoś w szczękę.

Wziął zwolnienie z pracy i większość mijającego tygodnia po prostu przespał. O niczym wtedy nie myślał i nic mu się nie śniło. Kładł się do łóżka o wpół do ósmej wieczorem, wstawał o dziesiątej rano, a po południu ucinął sobie jeszcze co najmniej godzinną drzemkę. Wszystko, co przeżył między sceną, jaką urządził podczas pogrzebu Danny'ego, a tym słonecznym sobotnim przedpołudniem, wydawało mu się jakieś zamglone i nierzeczywiste. Ludzie przynosili im taką masę jedzenia- pierożki, ciasta, torty, pieczenie — że Margie nie wiedziała, co ma

z tym robić. Żadne z nich nie odczuwało głodu. W środę wieczorem spróbowali się kochać, ale skończyło się na wspólnym płaczu.

Margie nie wyglądała najlepiej. Jej sposób na stawienie czoła losowi polegał na sprzątanii domu od piwnic aż po dach; robiła to z maniacką zawziętością, wykluczając pojawienie się jakiegokolwiek innej myśli. Każdy dzień rozbrzmiewał odgłosami zmywania i odkurzania, w powietrzu zaś bezustannie unosiła się ostra woń lizolu. Kiedy w czwartek rano wyszedł z sypialni, ujrzał pudła z ubraniami i zabawkami chłopców, stojące jedno obok drugiego, opatrzone starannie wykonanymi napisami i przeznaczone dla Armii Zbawienia. W życiu nie widział równie wstrząsającego widoku jak te milczące szare pudła. Wywlokła na dwór wszystkie chodniki i dywany, powiesiła je na sznurach przeznaczonych do suszenia bielizny i trzepała bezlitośnie tak długo, aż nie pozostała w nich ani odrobina kurzu. Jednak, mimo że Tony pozostawał przez cały czas w stanie lekkiego oszołomienia, zauważył, jak bardzo blada jest jego żona. Jej wargi straciły niemal zupełnie swój naturalny kolor, pod oczami zaś pojawiły się głębokie brązowe cienie.

Wszystkie te myśli przemknęły mu przez głowę znacznie szybciej, niż można o nich opowiedzieć. Kiedy chciał już z powrotem się położyć, usłyszał odgłos ponownego upadku; zawołał, lecz tym razem nie otrzymał żadnej odpowiedzi.

Wstał z łóżka i poczłapał powoli na dół, gdzie zobaczył swoją żonę leżącą na podłodze salonu. Łapała powietrze gwałtownymi, płytkimi łykami i wpatrywała się szklistym wzrokiem w sufit. Zajmowała się chyba przestawianiem mebli, bo wszystkie sprzęty stały wyciągnięte na środek pokoju, nadając mu niezwykle, zdeorganizowany wygląd.

To coś, co ją niszczyło, musiało bardzo nasilić się w ciągu minionej nocy, wyglądała bowiem tak niedobrze, że uderzyło go to pomimo stanu, w jakim sam się znajdował. Poły szlafroka, który wciąż miała na sobie, rozchyliły się, odsłaniając nogi koloru jasnego marmuru; z wakacyjnej opalenizny nie zostało nawet najmniejszego śladu. Jej ręce poruszały się po omacku, usta chwytały rozpaczliwie powietrze, jakby nie mogła nabrać go wystarczająco dużo w płuca, zęby zaś wydawały się jakby dłuższe niż zwykle, lecz Tony doszedł do wniosku, że to z powodu padającego pod niezwykle kątem światła.

— Margie? Co się stało, kochanie?

Widział, że usiłuje mu odpowiedzieć, ale nie może. Poczuł, jak po grzbiecie przemknął mu zimny dreszcz strachu i odwrócił się, żeby pójść do telefonu i wezwać lekarza.

— Nie... Nie... — wyszeptała z trudem. Udało jej się unieść do pozycji siedzącej. W domu zalanym słonecznymi promieniami nie było słyhać nic oprócz jej chrapliwego, nierównego oddechu. — Pomóż mi... Słońce... Takie gorące...

Kiedy nachylił się i podniósł ją, zdumiało go, że jest taka lekka. Ważyła nie więcej niż worek z suchymi patykami.

— Na kanapę. . .

Położył ją, opierając plecy na podglówku. Kiedy tylko znalazła się w cieniu, jej oddech wyrównał się i stał odrobinę lżejszy. Przymknęła na chwilę oczy, a on ponownie zdziwił się, jak długie i białe są jej zęby, nawet w porównaniu z wyblakłymi wargami. Nagle zapragnął ją pocałować.

— Wezwę lekarza — powiedział.

— Nie trzeba, już mi lepiej. To słońce. . . Zupełnie, jakby mnie paliło. To dlatego zemdlałam. Teraz naprawdę mi lepiej. — Na jej policzkach pojawił się ślad rumieńców.

— Jesteś pewna?

— Tak, nic mi nie jest.

— Zbyt ciężko pracujesz, kochanie.

— Masz rację — powiedziała obojętnie, wpatrując się przed siebie niewidzącym wzrokiem. Tony przesunął dłonią po włosach.

— Musimy się z tego otrząsnąć, Margie. Musimy. Wyglądasz. . . — Umilkł, nie chcąc sprawić jej przykrości.

— Okropnie — dokończyła za niego. — Wiem o tym. Wczoraj wieczorem spozrzałam na siebie w lustrze i z trudem się w ogóle zobaczyłam. Zupełnie jakby. . . — Uśmiechnęła się blado. - Jakby było mnie mniej niż przedtem.

— Mimo wszystko wolałbym, żeby zbadał cię doktor Reardon. Ale ona zdawała się go nie słyszeć.

— Od kilku nocy mam ten sam cudowny sen — powiedziała rozmarzonym głosem. — Jest taki wyraźny, jakby to się działo naprawdę. Widzę Danny'ego, który przychodzi do mnie i mówi: „Mamo, mam, tak się cieszę, że znowu jestem w domu!” A potem mówi, że. . . że. . .

— Że co? — zapytał łagodnie.

— Że jest znowu moim małym synkiem, którego karmiłam piersią, a ja pozwalałam mu ssać i czuję taką niesamowitą słodycz zaprawioną odrobiną goryczy, dokładnie tak samo jak wtedy, kiedy zaczęły mu się wyrzynać pierwsze ząbki i czasem ugryzł mnie w sutkę. . . Och, wiem, że to straszne, co mówię. Zupełnie jak na seansie u psychoanalityka.

— Wcale nie — powiedział. Uklęknął przy kanapie, a Margie objęła go za szyję i rozplakała się. Jej ręce były bardzo zimne.

— Nie dzwoń po lekarza, Tony — poprosiła. — Dzisiaj trochę sobie odpocznę.

— W porządku — skinął głową, czując przy tym jakiś nieokreślony niepokój.

— To taki cudowny sen, Tony — wyszeptwała. Poruszenia jej warg, odsłaniających na ułamek sekundy mocne, białe zęby, wydały mu się nagle nadzwyczaj zmysłowe. Poczul, że ma nasilającą się erekcję. — Mam nadzieję, że dzisiaj znowu mi się przyśni.

— Być może — powiedział, gładząc delikatnie jej włosy. — Być może będzie, jak pragniesz.

4

— Mój Boże, ależ wspaniale wyglądasz! — powiedział Ben. Rzeczywiście, na tle szpitalnej bieli i wyblakłej zieleni Susan Norton prezentowała się naprawdę znakomicie. Miała na sobie jaskrawożółtą bluzkę w czarne, pionowe pasy i krótką niebieską spódniczkę.

— Ty też — odparła, podchodząc do jego łóżka.

Pocałował ją w usta, gładząc jednocześnie jej zaokrąglone biodro.

— Ejże! — zaprotestowała, przerywając pocałunek. — Wyrzuć cię stąd!

— Mnie na pewno nie.

— Słusznie, raczej mnie. Spojrzeli sobie głęboko w oczy.

— Kocham cię, Ben.

— Ja też cię kocham.

— Gdybym mogła teraz wskoczyć do...

— Zaczekaj, tylko odsunę kołdrę.

— A co powiemy łapiduchom?

— Że robisz mi gorący okład.

Potrząsnęła z uśmiechem głową i przysunęła sobie krzesło.

— Od wczoraj sporo się zdarzyło. Natychmiast spowaźniał.

— Na przykład?

Zawahała się przez krótką chwilę.

— Nie wiem, jak ci powiedzieć nawet o tym, co sama widziałam. Delikatnie mówiąc, jestem trochę zdezorientowana.

— W takim razie wal po kolei, a ja już to wszystko uporządkuję.

— W jakim jesteś stanie, Ben?

— To nic poważnego. Lekarz Matta, niejaki Cody...

— Chodzi mi o stan twojego umysłu. Wierzysz w te bajki o hrabim Draculi?

— Hmm... Więc Matt ci o wszystkim opowiedział?

— Matt jest tutaj, w szpitalu. Leży na oddziale intensywnej opieki piętro wyżej.

— Co takiego? — Ben uniósł się raptownie na łokciu. — Co mu się stało.

— Miał atak serca.

— A t a k s e r c a?

— Doktor Cody twierdzi, że jego stan już się ustabilizował. To znaczy, nadal jest zapisany jako „poważny”, ale tak jest zawsze przez pierwsze czterdzieści osiem godzin. Byłam tam, kiedy to się stało.

— Powiedz mi wszystko, co pamiętasz.

Pogodny nastrój zniknął bez śladu z jego twarzy, zastąpiony wyrazem troski i skupienia. W tym białym szpitalnym pokoju odniosła ponownie wrażenie, że ma do czynienia z człowiekiem balansującym na wąskiej krawędzi, być może bardzo niebezpiecznej.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie, Ben.
- O to, co myślę o historyjce Matta?
- Właśnie.
- Odpowiem ci mówiąc, co ty myślisz na ten temat. Otóż wydaje ci się, że Dom Marstenów rzucił mi się na mózg do tego stopnia, że zaczynam już widywać duchy w biały dzień. Co, nie mam racji?
- Może i masz, ale ja nigdy nie myślałam o tym w taki... brutalny sposób.
- Wiem, Susan. Spróbuję przedstawić ci tok mego rozumowania. Może to pomoże mi wszystko trochę uporządkować. Sądząc z wyrazu twojej twarzy wydarzyło się coś, co porządnie tobą wstrząsnęło, prawda?
- Tak, ale ja nie wierzę... To znaczy, nie mogę uwierzyć, że...
- Zatrzymaj się na chwilę. To „nie mogę” blokuje nam drogę do jakiegokolwiek postępu. Ze mną było dokładnie tak samo. Cholerne, ostateczne, przeklęte „nie mogę”. Nie wierzyłem Mattowi, bo rzeczy, o których mówił, po prostu się nie zdarzają, lecz choć bardzo się starałem, nie potrafiłem znaleźć w jego wersji wydarzeń najmniejszej sprzeczności. Najbardziej oczywistym wnioskiem, jaki się nasuwał, był ten, że staruszek po prostu zbzikował.
- To prawda.
- Czy odniosłaś wrażenie, że jest wariatem?
- Nie, ale...
- Stój! — Uniósł dłoń w ostrzegawczym geście. — Zdaje się, że znowu pojawiło się to nieszczęsne „nie mogę”, prawda?
- Chyba tak — przyznała mu rację.
- Na mnie także nie sprawił wrażenia pomyłeńca, a obydwójce wiemy, że paranoidalne fantazje czy manie prześladowcze nie pojawiają się ot, tak sobie, z dnia na dzień. Potrzebują czasu, żeby powstać i w pełni się rozwinąć, a także starannej i cierplivej pielęgnacji. Czy dotarły do ciebie jakieś plotki, że Mattowi brakuje piątej klepki? Czy słyszałaś kiedykolwiek, że ma jakichś zaprzysięgłych wrogów? Czy wiesz o tym, żeby należał do jakichś pomyleńczych organizacji, jak na przykład Stowarzyszenie Przeciwko Fluoryzowaniu Zębów albo Synowie Amerykańskich Patriotów? Czy ostatnio przejawiał wzmożone zainteresowanie takimi zjawiskami jak reinkarnacja, poznanie pozazmysłowe czy komunikacja astralna? Czy był kiedykolwiek aresztowany?
- Nie — odparła. — Odpowiedź na to wszystko brzmi nie, ale... Wierz mi, że niechętnie o tym mówię, bo bardzo go lubię, ale czasem ludzie wariują zupełnie po cichu, we wnętrzu...
- Nie wierzę w to — stwierdził kategorycznie. — Zawsze są jakieś oznaki. Nieraz nie można ich od razu rozpoznać, ale potem wszystko staje się jasne. Gdybyś była członkiem sądu, czy uwierzyłyabyś w zeznania Matta dotyczące wypadku samochodowego?
- Tak.

— A uwierzyłabyś, gdyby powiedział, że widział, jak przez okno wszedł do jego domu włamywacz i zabił Mike’a Ryersona? — Chyba tak.

— Ale w t o nie wierzysz.

— Ben, nie mogę. . .

— Proszę bardzo, znowu to powiedziałaś. — Chciała zaprotestować, lecz powstrzymała ją gestem ręki. — Nie chcę się sprzeczać, Susan, tylko usiłuję przedstawić ci mój sposób myślenia, w porządku?

— W porządku. Mów dalej.

— Moja druga teoria zakładała, że to sprawka kogoś, komu Matt zalażł kiedyś za skórę.

— Ja również o tym pomyślałam.

— On jednak twierdzi, że nie ma żadnych wrogów, a ja mu wierzę.

— Każdy ma jakichś wrogów.

— Owszem, ale do pewnego stopnia. Nie zapominaj, że w tym wszystkim jest już jeden trup. Gdyby to był ktoś, komu zależy na dokonaniu zemsty, oznaczałoby to, że to on zamordował Mike’a.

— Dlaczego?

— Bo inaczej nie miałoby to najmniejszego sensu, ale skądinąd wiemy, że Matt spotkał się z Mike’em zupełnie przypadkowo. Nikt nie zwabił go do Della, nie otrzymał żadnej anonimowej wiadomości ani nic w tym rodzaju. Przypadkowość tego spotkania praktycznie wyklucza jakikolwiek przemyślany plan.

— W takim razie, co nam pozostaje spośród racjonalnych wyjaśnień?

— Że Mattowi wszystko się przyśniło, a Mike umarł z jakiegoś naturalnego, choć nie znanego powodu.

— Ale ty w to także nie wierzysz.

— Nie wierzę, że przyśniło mu się skrzypienie otwieranego okna, bo rano okno rzeczywiście był otwarte, a okiennice leżały na trawniku. Zwrócił na to uwagę także Parkins Gillespie, lecz ja zauważyłem jeszcze coś innego: te okiennice są zakładane z zewnątrz, a od środka można je zdjąć tylko za pomocą dużego śrubokręta lub jakiegoś bolca, przy czym z pewnością pozostałyby jakieś ślady. Żadnych nie widziałem. I jeszcze jedno: ziemia bezpośrednio pod oknem jest dość miękka, a żeby dostać się do okiennic na pierwszym piętrze, trzeba skorzystać z drabiny, która również zostawiłaby wyraźne ślady. Właśnie to najbardziej mnie niepokoi: ktoś zdjął okiennice z okna na pierwszym piętrze, lecz wszystko świadczy o tym, że nie używał drabiny.

Popatrzyli na siebie niewesoło.

— Myślę nad tym od rana — podjął po krótkiej przerwie — a im więcej myślę, tym bardziej prawdopodobna wydaje mi się historia Matta. Postanowiłem więc zaryzykować i na jakiś czas zrezygnować z tego nieszczęsnego „nie mogę”. A teraz opowiedz mi o wszystkim, co się wczoraj wydarzyło. Jeżeli okaże się, że

to wyjaśni cały ten galimatias w jakiś prosty i sensowny sposób, nikt nie będzie bardziej szczęśliwy ode mnie.

— Obawiam się, że nic z tego. — Pokręciła zrezygnowana głową. — Jeżeli już, to chyba wręcz przeciwnie. W chwili, kiedy skończył opowiadać mi o Mike’u, usłyszał coś na górze. Bał się, ale tam poszedł. — Ścisnęła dłonie, jakby bała się, że gdzieś nagle polecą. — Przez jakiś czas było zupełnie cicho, a potem usłyszałam jego głos. Zdaje się, że odwoływał jakieś zaproszenie, czy coś w tym rodzaju. A potem... Naprawdę, nie wiem, jak mam to...

— Śmiało, przestań się wreszcie dręczyć.

— Potem ktoś... ktoś inny... zasyczał albo zaśmiał się i coś upadło na podłogę. — Wpatrywała się tępo w Bena. — Niemal jednocześnie ten sam głos powiedział: „Odwiedzę cię, kiedy będziesz spał, nauczycielu”. Jestem pewna, że zapamiętałam to słowo w słowo. Kiedy później weszłam do sypialni po koc dla Matta, znalazłam to.

— Wyjęła z kieszeni bluzki sygnet i położyła mu na dłoni.

Ben obejrzał go dokładnie i odczytał na głos wygrawerowane inicjały: — M. C. R. Mike Ryerson?

— Mike Corey Ryerson. Upuściłam go, ale zaraz znowu podniosłam, bo pomyślałam, że ty albo Matt będziecie chcieli to zobaczyć. Zatrzymaj to. Nie chcę go.

— Kiedy na niego patrzysz, czujesz się...

— Źle. Po prostu bardzo źle. — Uniosła dłoń w obronnym geście. — Ben, to wszystko urąga zdrowemu rozsądkowi. Już chyba wolałabym uwierzyć, że Matt zamordował Mike’a Ryersona, a potem z sobie tylko znanych powodów wymyślił tę historię o wampirach. Podważył od środka okiennice, zabawił się w brzuchomówcę, podrzucił na podłogę sygnet...

— A wreszcie zorganizował sobie mały atak serca, żeby wszystko wyglądało bardziej naturalnie — dokończył z przekąsem Ben. — Możesz mi wierzyć, że ja także nie przestałem liczyć na racjonalne rozwiązanie. Niemal modłę się, żeby jednak jakieś się znalazło. Nie mam nic przeciwko potworom w filmach, ale myśl o tym, że miałyby naprawdę uganiać się po nocy, wcale mi się nie podoba. Rzeczywiście, okiennica mogła zostać podważona, czy nawet ściągnięta za pomocą zaczepionej o dach liny. Proszę bardzo, posuńmy się nawet o krok dalej: Matt jest z pewnością wykształconym człowiekiem, więc mógł gdzieś trafić na recepturę niemożliwej do wykrycia trucizny działającej właśnie w taki, a nie inny sposób. Co prawda miałby pewne trudności z wprowadzeniem jej do organizmu Mike’a, który właściwie nic nie jadł...

— To Matt tak twierdzi — przypomniała mu Susan.

— Nie kłamałby, bo wie, że sprawdzenie zawartości żołądka jest jedną z pierwszych czynności, jakie wykonuje się podczas autopsji, a gdyby zrobił Mike’owi zastrzyk, to również dałoby się to później stwierdzić. Jednak dobrze: przyj-

mijmy, że coś takiego rzeczywiście miało miejsce i że Matt następnie przyjął jakiś środek, który wywołał u niego sfingowane objawy ataku serca. Wciąż pozostaje nam do rozwiązania najważniejszy problem: motyw.

Susan potrząsnęła bezradnie głową.

— Nawet jeżeli założymy, że istotnie jakiś miał, to czemu zadawałby sobie tyle trudu, żeby wymyślić tak nieprawdopodobną historię?

— Ale... To szaleństwo, Ben...

— Owszem. Podobnie jak Hiroszima.

— Przestań wreszcie zgrywać się na cynicznego intelektualistę! — zaatakowała go niespodziewanie. — To zupełnie do ciebie nie pasuje. Przecież mówimy o snach, przesądach, psychozie, czy jak sobie chcesz to nazwać...

— To nie wszystko — odparł. — Jeśli połączysz te wszystkie rzeczy, to okaże się, że zaczyna się walić cały świat, a ty wybrzydzasz na kilka wampirów.

— Mieszkam w Salem — powiedziała z uporem. — To, co się tu dzieje, to rzeczywistość, a nie filozofia.

— W zupełności się z tobą zgadzam — mruknął ponuro, dotykając bandaża spowijającego mu głowę. — Twój były amant nie pozostawił mi co do tego cienia wątpliwości.

— Strasznie mi przykro. Nie przypuszczałam, że będzie zdolny do czegoś takiego.

— Gdzie jest teraz?

— Trzeźwieje w areszcie. Parkins Gillespie powiedział mojej mamie, że właściwie powinien od razu przekazać go szeryfowi okręgowemu, ale postanowił poczekać i zapytać cię, czy będziesz chciał wnieść oskarżenie.

— A co ty myślisz na ten temat?

— Nic — odpowiedziała głucho. — Nic mnie już z nim nie wiąże.

— Nie wniosę oskarżenia.

Susan uniosła brwi.

— Ale chciałbym z nim porozmawiać.

— O nas?

— Chcę wiedzieć, dlaczego czekał na mnie ubrany w płaszcz, kapelusz, z przeciwslonecznymi okularami na twarzy i roboczymi rękawicami na dłoniach.

— Co takiego?

Ben spojrzał wprost na nią.

— Świeciło słońce — powiedział. — Zdaje się, że bardzo mu przeszkadzało.

Przez dłuższą chwilę wpatrywali się w siebie bez słowa. Wiele wskazywało na to, że powiedzieli już wszystko, co na ten temat było do powiedzenia.

5

Kiedy Nolly przyniósł Floydowi śniadanie z Excellent Cafe, chłopak spał głębokim snem. Nolly doszedł do wniosku, że byłoby sadyzmem budzić go z powodu dwóch jajek na twardo i kilku plasterków tłustej szynki, więc zjadł je sam, wypijając także całą kawę. Trzeba przyznać, że Pauline robi znakomitą kawę, pomyślał. Kiedy jednak przyniósł do celi obiad, a Floyd nadal leżał w tej samej pozycji, Nolly nieco się zaniepokoił; postawił tacę na podłodze, podszedł do kraty i zabębnił w pręty łyżką.

— Wstawaj, Floyd! Przyniosłem ci obiad!

Floyd nie zareagował, więc Nolly wyciągnął z kieszeni pęk kluczy, żeby otworzyć drzwi celi. Przed włożeniem klucza do dziurki zawahał się przez chwilę, przypomniał sobie bowiem artykuł z ostatniego numeru *Gunsmoke*, w którym opisywano, jak pewien zatwardziały przestępca udawał chorego, a następnie uciekł, obezwładniwszy strażnika, który wszedł do celi. Nolly nie uważał Floyda Tibbitsa za zatwardziałego przestępcę, ale z drugiej strony przecież chłopak nie trafił tu za to, że pogłaskał tego pisarzynę po głowie.

Stał niezdecydowany, trzymając w jednej dłoni łyżkę, a w drugiej pęk kluczy. Był potężnie zbudowanym mężczyzną, na którego białych koszulach rozpiętych pod szyją zawsze widniały w upalne dni rozległe plamy potu. Brał udział w ligowych rozgrywkach kręglarskich, osiągając przeciętnie w jednym meczu 151 punktów, w portfelu zaś, tuż obok luteriańskiego kalendarzyka, nosił listę najweselejszych barów i domów z panienkami w Portland. Charakteryzowało go przyjazne nastawienie do ludzi i powolność reakcji. Mimo tych istotnych zalet nie należał do orłów intelektu, więc przez kilka minut stał przed kratą nie bardzo wiedząc, co właściwie powinien zrobić i ograniczając się do walenia łyżką w pręty oraz wołania do Floyda, żeby ten ruszył się z pryczy. Kiedy wreszcie doszedł do wniosku, że będzie najlepiej, jeśli skontaktuje się z Parkinsem, w drzwiach stanął szeryf we własnej osobie.

— Co ty, do diabła, wyrabiasz, Nolly? Zwołujesz świnie do koryta? Nolly zaczerwienił się po uszy.

— Floyd się nie rusza, Park. Pomyślałem, że może... tego... zachorował.

— I uważasz, że poczuje się lepiej od twojego walenia tą cholerną łyżką w pręty? — zapytał Parkins otwierając drzwi i wchodząc do celi. Nachylił się nad leżącym na pryczy aresztantem. — Floyd? — potrząsnął go za ramię. — Floyd, nic ci nie jest?

Ciało zsunęło się z posłania na betonową podłogę.

— Niech mnie licho... — wyszeptał Nolly. — On nie żyje, no nie? Parkins jakby tego nie usłyszał, wpatrując się w niesamowicie spokojną twarz Floyda Tibbitsa. Nolly dopiero po dłuższej chwili uświadomił sobie, że jego zwierzchnik wygląda tak, jakby zobaczył upióra.

— O co chodzi, Park?

— O nic — wykrztusił z trudem Parkins. — Chodźmy stąd. — A potem, jakby już do samego siebie: — Boże, po co ja go dotykałem. . .

Nolly spojrział na leżące nieruchomo ciało, a w jego oczach pojawił się pierwszy zwiastun paniki.

— Chodźmy — powtórzył Parkins. — Trzeba wezwać lekarza.

6

Po południu przed drewnianą spaczoną bramę, zamykającą Burns Road dwie mile za cmentarzem na Wzgórzu Spokoju, zajechała półciężarówka chevrolet rocznik 1957, a w niej Franklin Boddin i Virgil Rathbun. Pojazd ten, stanowiący własność Franklina, w roku początkującym drugą kadencję Eisenhowera był koloru kości słoniowej, ale teraz barwa ta ustąpiła miejsca nieregularnym, brązowoczerwonym plamom. Skrzynia ładunkowa była zawalona tym, co Franklin określał jako Rupiecie; mniej więcej raz na miesiąc wywozili je z Virgilem na wysypisko, w ich skład zaś wchodziły niemal wyłącznie puste butelki po piwie, puste puszki po piwie, puste butelki po winie i również puste butelki po wódce.

— Zamknięte — stwierdził Franklin Boddin, mrużąc oczy, by przeczytać napis na przybitej do bramy tabliczce. — Cholera, zasypie nas to gównem. — Pociągnął solidnego łyka z butelki, którą podczas jazdy trzymał w bezpiecznym miejscu między udami i otarł sobie usta rękawem. — Dzisiaj sobota, no nie?

— Aha — potwierdził Virgil Rathbun. W rzeczywistości nie miał najmniejszego pojęcia, czy to sobota, czy wtorek. Był tak pijany, że nie wiedział nawet, jaki to miesiąc.

— W soboty zawsze jest otwarte, nie? — zadał retoryczne pytanie Franklin. Ponownie zmrużył oczy. Tabliczka była tylko jedna, ale on widział trzy. Na wszystkich trzech widniał taki sam napis: ZAMKNIĘTE. Był wykonany ciemnoczerwoną farbą, bez wątplenia pochodzącą z dużej puszki, którą zauważył kiedyś w budzie Duda Rogersa.

— Nigdy nie zamykał w soboty — oznajmił Virgil, podnosząc do ust butelkę piwa. Nie trafił i część zawartości znalazła się za jego koszulą. — O, kurwa.

— Zamknięte — powtórzył Franklin z irytacją w głosie. — Ten sukinsyn pewnie leży gdzieś schlany w trupa, i tyle. No, już ja go zaraz zamknę!

Wrzucił bieg i zwolnił sprzęgło. Samochód z nagłym szarpnięciem ruszył z miejsca a piwo chlusnęło z butelki, zalewając Franklinowi spodnie.

— Dawaj, gazu! — ryknął Virgil, podkreślając wagę swych słów potężnym beknieniem. Półciężarówka uderzyła w bramę, odrzucając jej skrzydła na zaśmieczone pobocze; Franklin zmienił bieg i samochód popędził wyboistą drogą, skrzypiąc starymi resorami. Z wnętrza skrzyni ładunkowej dobiegł brzęk tłuczonego szkła, a w powietrze wzbijała się gromada krzyczących przeraźliwie mew.

Mniej więcej ćwierć mili za bramą Burns Road (na tym odcinku częściej nazywana Śmierdzącą Drogą) kończyła się rozległym, płaskim terenem, na którym znajdowało się wysypisko. W pewnej chwili drzewa rozstępowały się, odsłaniając spory szmat ziemi zrytej gąsienicami buldożera, który stał zawsze w pobliżu budy Duda. Nieco dalej znajdował się głęboki dół pozostały po nieczynnej już zwirowni, gdzie obecnie zrucano śmieci, otoczony gigantycznymi wydrami puszek, butelek i najróżniejszych odpadków.

— Wygląda na to, że ten cholerny garbus przez cały tydzień nie kiwnął nawet palcem! — warknął Franklin i wdepnął obiema stopami pedał hamulca, który z przeraźliwym zgrzytem dotarł niemal do podłogi. Samochód zatrzymał się. — Pewnie cały czas chla bez opamiętania.

— Nie wiedziałem, że on pije — zauważył Virgil, wyrzucając przez okno opróżnioną butelkę. Sięgnął w dół do stojącej na podłodze brązowej torby i wyciągnął następną. Kiedy otworzył ją o klamkę drzwi, piwo, wzburzone w wyniku gwałtownych podskoków pojazdu, wypełzło mu na dłoń pianistym wianuszkciem.

— Wszystkie garbusy piją — odparł z mądrą miną Franklin. Splunął przez okno, ale okazało się, że było zamknięte, więc musiał natychmiast wytrzeć szybę rękawem. — Chodź, poszukamy go.

Cofnął samochód szerokim, niepewnym lukiem i zatrzymał przy najświeższej stercie odpadków przywiezionych z miasteczka. Kiedy wyłączył silnik, otoczyła ich nieprawdopodobna cisza, zakłócana jedynie przeraźliwym wrzaskiem zaniepokojonych mew.

— Kurwa, ale tu cicho — mruknął Virgil.

Wysiedli z szoferki i przeszli na tył pojazdu. Franklin szarpnął za zaczepy, pozwalając, żeby tylna kłapa opadła z łoskotem, uderzając w zardzewiały zderzak. W niebo wzbiła się kolejna gromada mew.

Bez słowa wleźli na skrzynię i zaczęli z niej zrzucać Rupiecie. Zielone plastikowe torby spadały z hukiem na ziemię, pękając i rozsypując zawartość. Dla żadnego z nich ta praca nie była pierwszozną. Obaj stanowili część miasteczka, której turyści nie dostrzegali ani nie mieli ochoty dostrzec, po pierwsze dlatego, iż samo miasto starało się ich ignorować, a po drugie, ponieważ w ogóle nie rzucali się w oczy. Kiedy ktoś mijał po drodze starą półciązarówkę Franklina, zapomniał o niej natychmiast, gdy tylko zniknęła we wstecznym lusterku. Kiedy komuś zdarzyło się znaleźć w pobliżu ich obscurnego domu, z którego komina w listopadowe niebo wzbijała się cienka strużka dymu, po prostu go nie dostrzegał. Kiedy ktoś mijał w drzwiach sklepu Virgila, wychodzącego z butelką wódki schowaną do brązowej torby, mówił mu cześć, a za dziesięć sekund nie bardzo potrafił sobie przypomnieć, kogo właściwie pozdrowił; twarz była jakby znana, lecz nazwisko za żadne skarby nie chciało przyjść na myśl. Franklin miał brata, którym był Derek Boddin (ojciec niedawno zdebronizowanego króla szkoły przy Stanicy Street), ale Derek już niemal zapomniał, że Franklin w ogóle żyje i że w dodatku miesz-

ka w tym samym mieście. Przeszedł już etap czarnej owcy i osiągnął coś więcej: całkowitą szarość.

Kiedy samochód był już pusty, Franklin cisnął z rozmachem ostatnią puszkę i podciągnął swoje zielone robocze spodnie.

— Chodź, poszukamy Duda — powiedział.

Zeskoczyli na ziemię. Virgil potknął się o swoje rozwiązane sznurowadło i usiadł z rozmachem.

— Cholera, co za dziadostwo! — mruknął niewyraźnie. Znalazłszy się przy budzie pokrytej papą stwierdzili, że drzwi są zamknięte.

— Dud! — ryknął Franklin. — Hej, Dud Rogers!

Załomotał do drzwi, tak że cała, sklecona byle jak konstrukcja zatrzęsała się, a prymitywny zamek odskoczył i drzwi stanęły otworem. Wnętrze szopy było puste, ale unosił się w nim omdlewająco słodki zapach, który sprawił, że obaj skrzywili się z odrazą, choć podczas swej kariery zdążyli już zapoznać się chyba z każdą, mniej lub bardziej przykrą wonią. Ten szczególny zapach przywiódł Franklinowi na myśl zepsute, pokryte kożuchem pleśni marynaty.

— Niech go szlag trafi — wymamrotał Virgil. — Gorzej niż gangrena. Samo pomieszczenie było utrzymane w nienagannym porządku. Na haczyku nad łóżkiem zasłanym po wojskowemu wisiąca zapasowa koszula Duda, a puszką z czerwoną farbą stała na gazecie za drzwiami.

— Zaraz się wyrzgam — oznajmił Virgil z pozieleniałą twarzą.

Franklin, który czuł się mniej więcej tak samo, wyszedł za nim i zatrzaskał drzwi.

Wspólnie przeszukali wysypisko, przekonując się, że jest równie puste i pozabawione życia jak góry na Księżycu.

— Nie ma go tu — stwierdził Franklin. — Pewnie polazł do lasu i leży pod jakimś drzewem.

— Frank... .

— Czego?

— Drzwi były zamknięte od środka. Skoro go nie ma w budzie, to jak z niej wyszedł?

Zdumiony Franklin odwrócił się i spojrzał na budynek pokryty papą. Chciał już powiedzieć, że przez okno, ale głos uwiązł mu w gardle. Okno zastępowała szczelina wycięta w ścianie, przesłonięta kawałkiem przezroczystej folii. Dud ze swoim garbem nigdy nie zdołałby się przez nią precyzyjnie.

— Nieważne — wychrypiał wreszcie. — Jak się nie chce z nami napić, to jego strata. Zwijamy się stąd.

Idąc do samochodu Franklin poczuł, jak przez ochronną błonę alkoholowego zamroczenia zaczyna się sączyć coś, czego później nie mógł i nie chciał sobie przypomnieć: ohydne, oślizgłe przecucie, że wydarzyło się coś niewyobrażalnie

złego. Zupełnie, jakby wysypisko nagle ożyło i wokół rozległ się odgłos jednostajnych, przerażających uderzeń jego serca.

Opanowała go niepokonana żądza ucieczki.

— Nie ma szurów — powiedział niespodziewanie Virgil. Istotnie, nie było; tylko mewy. Franklin próbował sobie przypomnieć sytuację, kiedy przyjechał na wysypisko i nie zobaczył ani jednego szczura, lecz nie mógł. To także bardzo mu się nie podobało.

— Pewnie wyłożył trutkę, no nie. Frank?

— Spieprzajmy stąd, i to szybko — powiedział Franklin.

7

Po kolacji Benowi pozwolono pójść na górę i odwiedzić Matta. Wizyta nie trwała długo, bo Matt spał. Znad jego łóżka zniknął już jednak namiot tlenowy, a według słów siostry oddziałowej jutro pacjent powinien czuć się znacznie lepiej i być zdolny do przyjęcia krótkich odwiedzin.

Ben odniósł wrażenie, iż twarz Matta jest pokryta gęściejszą niż dotychczas siecią zmarszczek i po raz pierwszy wygląda jak twarz starego człowieka. Leżąc bez ruchu w szpitalnej koszuli wydawał się delikatny i bezbronny. Jeżeli to wszystko prawda, pomyślał Ben, to ci ludzie nie będą w stanie ci nic pomóc. Jeżeli to wszystko prawda, to znaczy, że znaleźliśmy się w samym sercu twierdzy niedowiarków, gdzie z koszmarami walczy się za pomocą lizolu, skalpeli i chemoterapii, nie zaś osinowych kołków, Biblii i tymianku. Oni wszyscy wierzą tylko w sposoby podtrzymywania życia, strzykawki i kroplówki. Nawet jeżeli w kolumnie prawdy znajduje się dziura, to jej nie widzą i nie chcą jej dostrzec.

Podszedł do łóżka i delikatnie przekręcił głowę Matta; na szyi nie było żadnych, nawet najmniejszych śladów.

Zawahał się przez chwilę, po czym otworzył szafę. Wisiało tam ubranie pacjenta, a także duży krzyż, który Matt miał na szyi, kiedy przyjechała do niego Susan. Misternie spleciony łańcuszek błyszczał delikatnie w przyćmionym świetle.

Ben wziął krzyż, zaniósł go do łóżka i założył łańcuszek na szyję Matta.

— Co pan tu robi?

Do pokoju weszła pielęgniarka z dzbankiem wody i basenem nakrytym białym ręcznikiem,

— Zakładam mu na szyję krzyż.

— To on jest katolikiem?

— Teraz już tak — odparł poważnie Ben.

8

Zapadła już noc, kiedy rozległo się ciche pukanie do tylnych drzwi domu Sawyerów stojącego przy Deep Cut Road. Bonnie Sawyer uśmiechając się lekko, poszła otworzyć. Miała na sobie przezroczysty peniuar, buty na wysokim obcasie i nic ponadto.

Kiedy stanęła w otwartych drzwiach, Corey Bryant wybałuszył oczy i rozdziawił usta.

— Bo... Bo... Bonnie...? — wydukał z trudem.

— O co chodzi, Corey? — zapytała przyjmując pozę, w której, jak doskonale wiedziała, jej piersi i nogi prezentowały się najlepiej, jak tylko można było sobie wyobrazić.

— Boże, Bonnie! A gdyby to był... .

— Monter z firmy telefonicznej? — zachichotała, po czym ujęła jego rękę i położyła ją sobie na piersi. — Chcesz sprawdzić stan licznika?

Przyciągnęła go do siebie, a on wydał jakiś trudny do określenia odgłos niczym tonący, który czuje, że wir pociąga go nieodwracalnie na dno, a jednocześnie wie, że zamiast zbawczego kawałka drewna może się chwycić jedynie kobiecej piersi. Jego dłonie natychmiast osunęły się na jej pośladki.

— No, no! — roześmiała się, ocierając się o niego całym ciałem. — Czy mógłby pan zajrzeć do mojej słuchawki, panie monterze? Czekam na ważną rozmowę, ale...

Wziął ją na ręce i kopnięciem zamknął za sobą drzwi. Nie musiała mu mówić, którędy do sypialni. Doskonale znał drogę.

— Jesteś pewna, że nie wróci do domu? — zapytał. Jej oczy błyszczały w ciemności.

— O kim pan mówi, panie monterze? Chyba nie o moim kochanym mężusiu, bo on jest aż w Burlington, w Vermont... . Położył ją w poprzek na łóżku.

— Zapal światło — powiedziała zmienionym, powolnym głosem. — Chcę widzieć, co robisz.

Włączył nocną lampkę i spojrzał na Bonnie; peniuar zsunął się z jednego ramienia, a ciepłe, błyszczące oczy spoglądały na niego spod półprzymkniętych powiek.

— Zdejmij to — wskazał na przezroczystą koszulkę.

— Sam to zrób — odpowiedziała. — Chyba wie pan, jak to się robi, panie monterze.

Pochylił się nad łóżkiem. Przy niej zawsze czuł się jak onieśmielony dzieciak i trzęsły mu się ręce, jakby z jej ciała emanował jakiś silny, tajemniczy prąd. Ani na chwilę nie mógł przestać o niej myśleć. Tkwiła w jego umyśle niczym bolesna ranka na wewnętrznej powierzchni policzka, którą mimo to ciągle dotyka się językiem. Widywał ją nawet w snach, złotoskórą i podniecającą, a jej pomysłowość nie znała żadnych granic.

— Nie, na kolana — zażądała. — Ukłęknij przede mną. Zrobił to niezgrabnie i poczołgał się w jej kierunku, sięgając dłońmi delikatnych tasiemek. Oparła tkwiące w pantoflach stopy na jego ramionach, a on pochylił głowę, by pocałować gładką skórę na wewnętrznej powierzchni uda.

— Dobrze, Corey, dobrze... Teraz wyżej... Jeszcze wyżej...

— Nawet nieźle wam idzie.

Bonnie Sawyer wrzasnęła przeraźliwie.

Corey poderwał głowę, mrugając z niedowierzaniem powiekami.

W drzwiach sypialni, oparty niedbale o futrynę, stał Reggie Sawyer. W dłoniach trzymał dubeltówkę; lufy były skierowane ku podłodze.

Corey poczuł nagle ciepło na nogach i uświadomił sobie, że bezwiednie oddał mocz.

— A więc to prawda... — powiedział z czymś w rodzaju podziwu w głosie Reggie. Uśmiechając się lekko, wszedł do pokoju. — No proszę... Jestem winien Sylwestrowi butelkę piwa. Niech to szlag.

Pierwsza odzyskała głos Bonnie.

— Reggie, posłuchaj! To wcale nie jest tak, jak myślisz! On się tu wdarł jak szaleniiec, mówię ci, jak wariat i...

— Zamknij się, cipo. — Nadal uśmiechał się łagodnie. Był bardzo duży. Miał na sobie tę samą szarą koszulę co dwie godziny temu, kiedy całowała go na pożegnanie.

— Słuchaj — jęknął Corey. Miał wrażenie, że za chwilę utonie we własnej ślinie. — Proszę, nie zabijaj mnie! Nie zabijaj, nawet jeśli na to zasłużyłem. Przecież nie chcesz iść do paki, prawda? Nie za to. Możesz mnie stłuc, należy mi się, ale błagam, nie...

— Wstawaj z kolan — powiedział Reggie Sawyer, nie przestając się uśmiechać. — Masz rozpięty rozporek.

— Panie Sawyer...

— Och, mów mi Reggie. Przecież jesteśmy jak najlepsi kumple. Różnąłem ją zawsze zaraz po tobie, no nie?

— Reggie, to naprawdę nie tak! On chciał mnie zgwałcić i wtedy... Reggie przeniósł na nią łagodne spojrzenie swoich oczu.

— Jeżeli się zaraz nie zamkniesz, to wsadzę ci tę lufę i wykręcę taki numer, jakiego jeszcze w życiu nie miałaś.

Bonnie zaczęła cichutko jęczeć, a jej twarz przybrała barwę naturalnego jogurtu.

— Panie Sawyer... Reggie...

— Nazywasz się Bryant, prawda? Twoim ojcem jest, zdaje się, Pete Bryant?

Corey z zapałem skinął głową.

— Tak, to prawda. Posłuchaj...

— Kiedy jeździłem u Jima Webbera, sprzedawałem mu przepracowany olej przekładniowy — powiedział Reggie, uśmiechając się do swoich wspomnień. — To było cztery albo pięć lat przed tym, jak spotkałem tę sukę. Twój ojciec wie, że tu jesteś?

— Ależ skąd, to by go załamało. Proszę pana, może mnie pan stłuc, ma pan do tego prawo, ale jeśli mnie pan zabije, to zabije pan też mojego ojca i będzie pan miał na sumieniu dwa. . .

— Tak, na pewno o tym nie wie. Chodź na momencik do pokoju, musimy o czymś pomówić. No, chodźże. — Uśmiechnął się łagodnie do Coreya, żeby udowodnić mu, że nie ma wobec niego żadnych złych zamiarów, po czym przeniósł wzrok na Bonnie, która wpatrywała się w niego wybałuszonymi oczami.

— Ty masz tu zostać i siedzieć cicho, zdziro, bo jak nie, to już nigdy nie obejrzysz ostatniego odcinka *Milczącej burzy*. Chodź, Bryant. — Ponaglił go ruchem dubeltówki.

Corey zataczając się wszedł pierwszy do salonu. Wydawało mu się, że nogi ma zrobione z miękkiej gumy i czuł niesamowite swędzenie między łopatkami. Tam właśnie strzeli, pomyślał, dokładnie między łopatki. Ciekawe, czy zdążę jeszcze zobaczyć swoje bebechy na ścianie.

— Odwróć się — polecił Reggie.

Corey zrobił, co mu kazano. Zaczął histerycznie szlochać. Nie chciał, ale szlochał. Przypuszczał, że to nie ma większego znaczenia. Wcześniej i tak już się zmoczył.

Dubeltówka nie opierała się już od niechcenia na przedramieniu Reggie'ego; dwie lufy wpatrywały się czarnymi, bezdennymi dziurami prosto w twarz Coreya.

— Czy wiesz, co zrobiłeś? — zapytał Reggie, tym razem już bez śladu uśmiechu na twarzy.

Corey nie odpowiedział. Było to bardzo głupie pytanie.

— Spałeś z żoną innego faceta, Corey. Tak się nazywasz?

Corey skinął głową, czując, jak po policzkach ściekają mu jedna za drugą łzy.

— Czy wiesz, co spotyka takich jak ty, jeśli dadzą się przyłapać?

Corey ponownie skinął głową.

— Złap za lufę, chłopcze. Tylko ostrożnie! Nacisnąłem już częściowo spust, więc niech ci się zdaje, że. . . że trzymasz cycek mojej żony.

Corey wyciągnął drżącą dłoń i położył ją na lufie dubeltówki. Metal był chłodny, niemal zimny. Z jego gardła wydobył się rozpaczliwy jęk. Wkrótce wszystko się skończy.

— Włóż ją sobie do ust. O tak, bardzo dobrze. Co, nie mieści ci się? Wsuń ją głębiej. Chyba wiesz, jak to się robi?

Corey rozdziawił szczęki najszerzej, jak mógł. Lufa sięgała mu niemal do gardła, wywołując niebezpieczne skurcze żołądka. Na języku czuł ohydny oleisty smak.

— Zamknij oczy.

Corey wybałuszył je z przerażeniem.

Na twarzy Reggie'ego znowu pojawił się łagodny uśmiech.

— Powiedziałem, żebyś zamknął te swoje błękitne oczęta.

Corey zamknął je. Nie wytrzymał jego zwieracz odbyticy, ale chłopak prawie tego nie poczuł.

Reggie nacisnął oba spusty. Rozległy się dwa następujące jedno po drugim trzaśnięcia, kiedy iglice uderzyły w puste komory, a w chwilę później donośny łoskot; Corey osunął się bez przytomności na podłogę.

Reggie przez moment spoglądał na niego z uśmiechem, po czym ujął broń za lufę i z uniesioną w górę kolbą ruszył do sypialni.

— Już idę, kochanie.

Bonnie Sawyer zaczęła przeraźliwie krzyczeć.

9

Zataczając się i potykając Corey Bryant szedł w kierunku swojej służbowej furgonetki. Miał szkliste, nabiegłe krwią oczy, potężnego guza na potylicy, a przede wszystkim potwornie od niego śmierdziało. Starał się skoncentrować wyłącznie na odgłosie, jaki wydawały jego buty szurające po drobnym żwirze i nie myśleć o niczym innym, a już szczególnie o nagłej i całkowitej katastrofie, jaka go spotkała. Było piętnaście po ósmej.

Reggie Sawyer wciąż jeszcze się uśmiechał, wyrzucając go z domu przez tylne drzwi. Z sypialni dochodził rozpaczliwy płacz Bonnie.

— Teraz wsiądziesz grzecznie do samochodu i pojedziesz prosto do miasta. Za piętnaście dziesiąta przyjeżdża autobus z Lewiston do Bostonu. Masz w nim być, bo jeśli jeszcze kiedyś cię tutaj spotkam, to po prostu cię zabiję. Z Bostonu możesz jechać, dokądkolwiek chcesz. O nią się nie martw, nic jej nie będzie. Co prawda przez kilka tygodni będzie musiała nosić spodnie i bluzki z długim rękawem, ale twarz ma w porządku. Pamiętaj, najpierw masz stąd wyjechać, a dopiero potem możesz się umyć i znowu zacząć myśleć o sobie jako o mężczyźnie.

A teraz szedł przed siebie drogą, wiedząc, że musi zrobić to, co kazał mu Reggie Sawyer. Z Bostonu pojedzie gdzieś... gdzieś na południe. Ma odłożone w banku ponad tysiąc dolarów. Matka zawsze chwaliła go za to, że jest taki oszczędny. Każe sobie przestać pieniądze i będzie za nie żył, dopóki nie znajdzie pracy i nie spróbuje zapomnieć tej nocy — smaku naoliwionej lufy i smrodu własnego gówna w spodniach.

— Dobry wieczór, panie Bryant.

Corey wydal przerażony skrzek i wyteżył wzrok, usiłując cokolwiek dostrzec w ciemności. Wiatr kołysał gałęziami drzew, zaludniając drogę cieniami skaczą-

cymi we wszystkie strony. W pewnej chwili spostrzegł, że jeden z nich jest ciemniejszy od pozostałych i stoi przy kamiennym murku, oddzielającym drogę od pastwiska Carla Smitha. Cień przypominał kształtem człowieka, lecz było w nim coś... coś...

— Kim pan jest?

— Przyjacielem, który wiele widzi.

Postać poruszyła się i wyszła na drogę. Corey ujrzał przed sobą mężczyznę w średnim wieku z czarnym wąsem i ciemnymi, błyszczącymi oczami.

— Źle pana potraktowano, panie Bryant.

— Skąd pan o tym wie?

— Wiem bardzo dużo. Na tym polega moje powołanie. Zapali pan?

— Chętnie.

Z wdzięcznością przyjął zaofiarowanego papierosa i włożył go do ust. Mężczyzna zapalił zapałkę i w blasku jej płomyka Corey dostrzegł, że nieznajomy ma wystające, słowiańskie kości policzkowe, wysokie, blade czoło i zaczesane do tyłu czarne włosy. W chwilę potem zapałka zgasła, Corey zaś zaciągnął się gryzącym dymem. Papieros był chyba włoski, ale lepszy taki niż żaden. Od razu trochę się uspokoił.

— Kim pan jest? — powtórzył pytanie.

Nieznajomy wybuchnął donośnym, dźwięcznym śmiechem, który uleciał w noc wraz z podmuchem wiatru tak samo jak dym z papierosa.

— Nazwiska! Och, to wasze amerykańskie zamiłowanie do nazwisk! Proszę kupić ode mnie samochód, bo jestem Bill Smith! Proszę wziąć to, proszę spróbować tamtego! Nazywam się Barlow, jeśli koniecznie chce pan wiedzieć.

Ponownie się roześmiał, a Corey z niedowierzaniem uświadomił sobie, że sam także się uśmiechnął. W porównaniu z zaraźliwym humorem, błyszczącym w tych ciemnych oczach, wszystkie jego kłopoty i zmartwienia wydały mu się nagle odległe i mało istotne.

— Pan jest cudzoziemcem, prawda?

— Pochodzę z wielu różnych miejsc, lecz odniosłem wrażenie, że w tym kraju, a nawet w tej miejscowości aż roi się od cudzoziemców. Rozumie mnie pan? He?

— Nastąpił kolejny wybuch śmiechu i tym razem Corey w pełni się do niego przyłączył. — Tak, cudzoziemcy... — podjął Barlow. — Wspaniali, pełnokrwisści, tryskający życiem i energią. Czy pan zdaje sobie sprawę z tego, jak wspaniali ludzie żyją w pańskim kraju i tym miasteczku?

Corey zachichotał z zakłopotaniem, ale nie odwrócił spojrzenia od twarzy mężczyzny. Nie mógłby tego zrobić, nawet gdyby chciał.

— Nigdy nie zaznali prawdziwego głodu ani niedostatku. Ostatni raz coś takiego zdarzyło im się dwa pokolenia temu, ale i tak było to zaledwie odległe echo tego, co przeżywali inni. Wydaje im się, że wiedzą, co to smutek, lecz jest to smutek dziecka, któremu podczas przyjęcia urodzinowego spadła na ziemię porcja

lodów. Nie ma w nich... jak to się mówi...? Łagodności. Z ogromnym zapalem przelewają ciągle swoją krew. Czy pan zgadza się ze mną?

— Tak — powiedział Corey. Patrząc w oczy obcego mężczyzny widział wiele wspaniałych, cudownych rzeczy.

— Ten kraj jest pełen zadziwiających paradoksów. Gdzie indziej ktoś, kto codziennie jada do syta, staje się coraz bardziej otyły, senny i leniwy, natomiast tutaj wydaje się, że im więcej ktoś ma, tym bardziej jest agresywny. Rozumie pan? Na przykład pan Sawyer: ma tak wiele, a mimo to nie chce podzielić się z panem okruszkami ze swego stołu. Dokładnie tak samo jak dziecko, które odpycha od stołu swoich rówieśników, choć samo nie jest już w stanie przełknąć choćby kęsa.

— Rzeczywiście — potwierdził Corey. Oczy Barlowa były takie wielkie, takie mądre... To wszystko kwestia odpowiedniej...

— To wszystko kwestia odpowiedniej perspektywy, czyż nie tak?

— Właśnie! — wykrzyknął Corey. Nieznajomy znalazł to jedyne, właściwe słowo. Nie zauważył, że papieros wysunął mu się z palców i spadł na ziemię.

— Mogłem ominąć wasze miasteczko — powiedział mężczyzna z melancholią w głosie — i pojechać do jednej z ogromnych metropolii. Ba! — ożywił się raptownie. — Ale co ja wiem o wielkich miastach? Na pewno od razu wpadłbym pod coś, przechodząc przez ulicę, albo udusiłbym się śmierdzącym powietrzem. Musiałbym stykać się z obrzydliwymi, głupimi dyletantami, których troski i kłopoty nic dla mnie nie znaczą. W jaki sposób ktoś tak silnie związany z naturą jak ja miałby poradzić sobie z powierzchownym wyrafinowaniem wielkiego miasta? Nie, nie i jeszcze raz nie! Pluję na wasze miasta!

— Och, tak! — wyszeptał Corey.

— Postanowiłem więc przyjechać tutaj, do miejscowości, o której opowiadał mi pewien wspaniały człowiek. Mieszkał tu kiedyś, ale teraz, niestety, już nie żyje. Ludzie są tutaj wciąż jeszcze pełnokrwisci, przepełnieni agresją i mrocznymi myślami niezbędnymi do... Nie ma na to angielskich słów, ale ufam, że wie pan, do czego zmierzam?

— Tak — szepnął Corey.

— Tutaj ludzie nie odgradzili się skorupą z betonu i żelaza od energii życiowej płynącej z matki ziemi. Ich dłonie wciąż jeszcze zanurzają się w bieżącej wodzie życia. Wyrwali je z ziemi, ciepłe i pulsujące! Proszę mi powiedzieć, czy to nieprawda?

— Tak!

Barlow roześmiał się cicho i położył łagodnie Coreyowi dłoń na ramieniu.

— Jesteś dobrym, silnym chłopcem. Chyba nie chcesz opuszczać tego wspaniałego miasteczka?

— Nie... — wyszeptał Corey, czując, jak niespodziewanie ogarnia go fala strachu i wątpliwości. Ale to nie mogło mieć żadnego znaczenia. Ten człowiek na pewno nie pozwoli, żeby stało mu się coś złego.

— A więc nie będziesz musiał. Już nigdy.

Corey stał jak wmurowany, drżąc spazmatycznie na całym ciele, kiedy głowa Barlowa zbliżyła się do jego szyi.

— Będziesz mógł zemścić się na tych, którzy sycą się tym, czego brakuje innym.

Corey Bryant zanurzył się w wielkiej rzece zapomnienia. Nazywała się Czas, a jej wody były krwistoczerwone.

10

Dochodziła już dziewiąta i na ekranie szpitalnego telewizora rozgrywała się akcja sobotniego filmu, kiedy rozległ się dzwonek stojącego przy łóżku telefonu. Była to Susan i wszystko wskazywało na to, że jedynie z najwyższym trudem panuje nad swoim głosem.

— Ben, Floyd Tibbits nie żyje. Umarł w celi poprzedniej nocy. Doktor Cody mówi, że to ostra anemia, ale ja przecież znałam Floyda! Miał zawsze wysokie ciśnienie! Właśnie dlatego nie wzięli go do wojska.

— Poczekaj, nie tak szybko. — Ben usiadł na łóżku.

— To jeszcze nie wszystko. McDougallowie, mieszkają na Zakręcie. Umarło im dziesięciomiesięczne dziecko. Musieli wsadzić matkę w kaftan bezpieczeństwa.

— Znasz przyczynę zgonu?

— Mama mówiła, że poszła do nich pani Evans, kiedy usłyszała krzyk Sandy McDougall i natychmiast wezwała doktora Płowmana. Doktor nic nie powiedział, ale pani Evans powiedziała mamie, że dziecko wyglądało bardzo dobrze, tyle tylko, że nie żyło.

— A ja i Matt akurat jesteśmy poza miasteczkiem, unieruchomieni w szpitalu — powiedział Ben bardziej do siebie niż do Susan. — Zupełnie, jakby ktoś to zaplanował.

— Mam coś jeszcze.

— Co?

— Zniknął Carl Foreman, a wraz z nim ciało Mike'a Ryersona.

— W takim razie wszystko jasne. — Ben z pewnym zdziwieniem usłyszał swój spokojny głos. — Tak, nie ma żadnych wątpliwości. Jutro muszę stąd wyjść.

— Wypuszczą cię?

— Nie mam najmniejszego zamiaru ich o to pytać — odparł odruchowo, jego myśli bowiem były już zaprzątnięte innym problemem. — Masz może krucyfiks?

— Ja? — zapytała ze zdumieniem Susan. — Skądże znowu!

— Wcale nie żartuję, Susan. Nigdy w życiu nie byłem bardziej poważny. Czy mogłabyś go gdzieś zdobyć? Natychmiast.

— No, może u Marie Boddin. Musiałabym pójść. . .

— Nigdzie nie pójdziesz. Zostań w domu. Zrób sama jakiś krzyż, nawet gdybyś miała po prostu związać dwa patyki. Połóż go przy łóżku.

— Ben, ja nadal nie mogę w to uwierzyć. Może to jakiś wariat, któremu wydaje się, że jest wampirem, ale. . .

— Wierz, w co chcesz, ale koniecznie zrób krzyż.

— A może. . .

— Zrobisz to? Choćby tylko po to, żeby mnie uspokoić?

— Dobrze — powiedziała z ociąganiem.

— Możesz być jutro o dziewiątej w szpitalu?

— Tak.

— To dobrze. Pójdziemy razem na górę i opowiemy p wszystkim Mattowi, a potem porozmawiamy z doktorem Codym.

— Na pewno pomyśli, że zwariowałaś.

— Może i tak jest naprawdę, ale chyba sama przyznasz, że w nocy to trochę inaczej wygląda?

— Tak — przyznała natychmiast. — Mój Boże, to prawda.

Niespodziewanie przyszła mu na myśl Miranda i wypadek: motocykl wpadający w nie kontrolowany poślizg, jej przeraźliwy krzyk, ogarniające go przerażenie i rosnący z ogromną szybkością bok ciężarówki. . .

— Susan. . .

— Słucham?

— Uważaj na siebie. Bardzo cię proszę.

Odłożywszy słuchawkę wpatrzył się niewidzącym spojrzeniem w ekran telewizora. Czuł się nagi i bezbronny. Nie miał krzyża. Jego wzrok powędrował w stronę okna, za którym widać było tylko ciemność. Zaczął go ogarniać stary strach, dobrze znany z dzieciństwa, więc szybko przeniósł spojrzenie na ekran. Mimo to z każdą chwilą bał się coraz bardziej.

11

Okręgowa kostnica w Portland to zimny, aseptyczny pokój wyłożony zielonymi płytkami. Podłoga i ściany mają odcień ciemniejszy, sufit zaś odrobinę jaśniejszy. W ścianach znajdują się rzędy masywnych metalowych drzwiczek, przypominających nieco dworcowe schowki na bagaż. Wnętrze oświetlone jest obojętnym, chłodnym blaskiem jarzeniówek; jego wystrój trudno by było uznać za szczególnie gustowny, ale jak do tej pory nikt spośród klientów nie zgłaszał żadnych zastrzeżeń.

Była sobota, za kwadrans dziesiąta, kiedy dwaj pracownicy pełniący akurat dyżur wtoczyli wózek z nakrytym prześcieradłem ciałem młodego homoseksualisty, którego zastrzelono w śródmiejskim barze. Był to pierwszy nieboszczyk tej

nocy; ofiary wypadków drogowych przywożono zwykle między pierwszą a drugą nad ranem.

Buddy Bascomp opowiadał właśnie dowcip o Francuzach, w którym istotną rolę odgrywał dezodorant przeznaczony do stosowania w okolicy narządów płciowych, kiedy przypadkiem zerknął na rząd drzwiczek oznaczony literami M-Z i umilkł w pół słowa; dwie szafki były otwarte na oścież.

Wraz ze swoim kolegą, Bobem Greenbergiem, zostawili świeżego nieboszczyka i szybko podeszli do drzwiczek. Na pierwszych wisiała kartka z napisem:

TIBBITS, FLOYD MARTIN
Płeć: M
Przywieziony: 4.10.75
Sekcja wyznaczona na: 5.10.75
Wystawca aktu zgonu: dr J. M. Cody

Buddy pociągnął za uchwyt i wyciągnął nosze przesuwające się bezszelestnie na dobrze naoliwionych rolkach. Były puste.

— Hej! — wrzasnął Greenberg. — Tu nic nie ma! Ciekawe, kurwa, kogo się trzymają takie dowcipy!

— Cały czas siedziałem przy biurku — powiedział Buddy. — Mogę przysiąc, że nie ruszałem się z miejsca. To musiało się stać na dyżurze Carty’ego. Jakie jest to drugie nazwisko?

— McDougall, Randall Fratus. Co znaczy małe „d”?

— Dziecko — odparł głucho Buddy. — Jezu, zdaje się, że będziemy mieli niezłe kłopoty.

12

Coś go obudziło.

Leżał bez ruchu w ciemności wypełnionej tykaniem zegarka, patrząc w sufit. Odgłos. Jakiś odgłos. Ale przecież w domu panowała zupełna cisza.

Znowu. Drapanie.

Mark Petrie odwrócił się na bok i spojrział w okno. Z drugiej strony, przez warstwę szkła, wpatrywał się w niego Danny Glick. Miał trupio bladą skórę i czerwone, błyszczące oczy. Usta i broda były wymazane jakąś ciemną substancją; kiedy spostrzegł, że Mark go widzi, uśmiechnął się, odsłaniając nieprawdopodobnie długie i ostre zęby.

— Wpuść mnie — wyszeptał jakiś głos. Mark nie był pewien, czy dobiegł zza okna, czy rozległ się jedynie w jego umyśle.

Dopiero teraz uświadomił sobie, że się boi. Jego ciało wiedziało o tym wcześniej niż mózg. Nigdy w życiu tak się nie bał, nawet wtedy, kiedy wypłynął w morze podczas odpływu i był pewien, że utonie. Jego umysł, wciąż jeszcze pod wieloma względami pozostający umysłem dziecka, w ciągu kilku sekund dokonał trafnej oceny sytuacji: tym razem stawką było coś więcej niż tylko życie.

— Wpuść mnie, Mark. Chcę się z tobą bawić. Potworna istota zaglądnąca przez okno nie miała na czym stać ani czego się trzymać. Pokój Marka znajdował się na piętrze, a za oknem nie było parapetu. Mimo to wisiała w powietrzu albo też przyłgnęła do zewnętrznej ściany niczym jakiś monstrualny robak.

— Mark. . . Wreszcie do ciebie przyszedłem. . . Proszę. . .

Oczywiście. Wcześniej zawsze trzeba zaprosić je do domu. Wiedział o tym z pism o potworach, z tych samych, co do których matka miała takie wątpliwości, czy przypadkiem nie wpłyną niekorzystnie na umysłowy rozwój jej syna.

Wstał z łóżka i omal nie upadł na podłogę. Dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że słowo „strach” zupełnie nie oddawało tego, co czuł. Nie było to także przerażenie. Biała twarz za oknem usiłowała się uśmiechnąć, lecz zbyt długo przebywała w ciemności, żeby pamiętać, jak to się robi. Udało się jej uzyskać jedynie kurczowy grymas — krwawą, tragiczną maskę.

Jednak oczy nie były wcale takie złe. Kiedy się w nie patrzyło, można było zapomnieć o strachu i nagle stawało się zupełnie jasne, że trzeba otworzyć okno i powiedzieć: „Wejź, Danny”, a potem strach w ogóle przestanie istnieć, bo będzie się razem z Dannym i wszystkimi, a przede wszystkim z n i m.

Nie! Właśnie w ten sposób chcą się do ciebie dobrać!

Odwrocił oczy, okupując to ogromnym wysiłkiem woli.

— Wpuść mnie, Mark! Rozkazuję ci! O n ci rozkazuje!

Mark ruszył w kierunku okna. Nie mógł na to nic poradzić. Nie istniał żaden sposób, żeby oprzeć się temu głosowi. Kiedy zbliżył się do szyby, przyciśnięta do niej od drugiej strony twarz zaczęła drżeć i krzywić się z niecierpliwości. Paznokcie czarne od ziemi ponownie zadrapały o framugę. Pomyśl o czymś. Prędko!

— Wlazł kotek na płotek i mruga — wyszeptał ochrypłym głosem. — Ładna to piosenka, niedługa. Niedługa, niekrótka, lecz w sam raz. . .

Danny Glick zasyczał z wściekłością.

— Mark! Otwórz okno!

— Do biedronki przyszedł żuk. . .

— Otwórz okno! To j e g o rozkaz!

— . . . biedroneczka widzi żuka. . .

Słabł z każdą chwilą. Syczący głos przebijał się przez każdą barykadę, a rozkaz był kategoryczny. Wzrok Marka spoczął na stole zastawionym potworami, teraz sprawiającymi tak niewinne wrażenie. . .

Jego oczy rozszerzyły się, gdy ich spojrzenie padło na fragment ekspozycji.

Plastikowe monstrum wędrowało przez plastikowy cmentarz, a jeden z nagrobków miał kształt krzyża.

Nie myśląc, co robi (pomyślałby każdy dorosły, na przykład ojciec, i to by go zdradziło), złamał krzyż, zacisnął go w dłoni i powiedział głośno:

— W takim razie wejdź.

Twarz wykrzywiła się w triumfalnym uśmiechu hieny. Okno otworzyło się, a Danny wszedł do pokoju i zrobił dwa kroki naprzód. Nie sposób opisać woni oddechu, jaki wydobywał się z jego ust; był to odór rozkopanych grobów. Białe dłonie, zimne niczym ryby, opadły na ramiona Marka, głowa przechyliła się, a górna warga uniosła, odsłaniając lśniące kły.

Mark zamachnął się plastikowym krzyżem rozpaczliwie ścisnianym w dłoni i przycisnął go do policzka Danny'ego.

Wrzask był przeraźliwy, niesamowity... i zupełnie bezgłówny. Rozległ się jedynie w zakamarkach umysłu i duszy Marka. Triumfalny uśmiech wykrzywiający usta Danny'ego zamienił się w grymas cierpienia. Z miejsca, w którym krzyż zetknął się z białym ciałem, buchnął śmierdzący dym, a w chwilę potem makabryczna istota rzuciła się do okna, częściowo przez nie wypadła, a częściowo wyskoczyła i zniknęła w ciemności.

Przez ułamek sekundy krzyż emanował jaskrawym światłem, jakby rozgorzał w nim jakiś wewnętrzny płomień. Wkrótce blask przygasł, pozostawiając po sobie poświatę rozproszoną w powietrzu.

Z przewodu wentylacyjnego dobiegło charakterystyczne pstryknięcie wyłącznika nocnej lampki, a następnie głos ojca:

— Co to było, do diabła?

13

W dwie minuty później, kiedy już zdążył doprowadzić wszystko do porządku, otworzyły się drzwi jego pokoju.

— Synu? — zapytał cicho Henry Petrie. — Nie śpisz?

— Chyba nie — odparł sennym głosem Mark.

— Śniło ci się coś niedobrego?

— Nie pamiętam. Może...

— Krzyczałeś przez sen.

— Przepraszam.

— Nie ma za co. — Ojciec zawahał się, a potem sięgnął pamięcią do wspomnień z czasów, kiedy jego syn był znacznie mniejszy i sprawiał w nocy więcej kłopotu, ale za to było zawsze wiadomo, o co mu chodzi. — Może chcesz napić się wody?

— Nie. Dziękuję, tato.

Henry Petrie rozejrzał się po pokoju, nadal nie mogąc zrozumieć, dlaczego obudził się z uczuciem paraliżującego strachu, które zresztą jeszcze do końca nie ustąpiło. Coś szeptało mu w duszy, że o mało nie doszło do jakiegoś straszego nieszczęścia. Jednak wyglądało na to, że wszystko jest w porządku: okno zamknięte, meble na swoich miejscach.

— Mark, czy coś się stało?

— Nie, tato.

— No to... dobranoc.

— Dobranoc.

Drzwi zamknęły się bezszelestnie, a po chwili na schodach rozległy się cichnące kroki ojca. Mark odetchnął głęboko; gdyby na jego miejscu znajdował się ktoś dorosły lub nieco młodsze dziecko, z pewnością nastąpiłby teraz atak histerii, on jednak nie opierał się zalewającej go fali paniki, która wkrótce odpłynęła, pozostawiając po sobie osad odurzającej senności.

Zanim ponownie zasnął, nawiedziła go, nie po raz pierwszy zresztą, refleksja na temat pewnej szczególnej cechy, charakteryzującej dorosłych: niemal wszyscy biorą środki uspokajające, łykają pigułki lub piją alkohol, żeby przyspieszyć nadejście snu, dręczące zaś ich koszmary są swojskie i niewinne — praca, pieniądze, co pomyśli nauczycielka, jeśli nie kupię Jennie nowej sukienki, czy moja żona jeszcze mnie kocha, kim naprawdę są moi przyjaciele. Nie mają najmniejszego pojęcia o tym, co przeżywa dziecko pozostawione samo w ciemnym pokoju, będące w sytuacji o tyle gorszej, że nie może się ono odwołać do pomocy psychoanalityka lub lekarza; musi samo stawić czoło okropnej istocie, która co wieczór wślizguje się pod dywan i najróżniejszym strachom, czającym się tuż poza polem widzenia. Każdej nocy zмага się z tymi koszmarami w samotnej walce, której kres kładzie dopiero paralityczne skostnienie wyobraźni, zwane także dorosłością.

Takie właśnie myśli, choć oczywiście w krótszej, mniej dosłownej formie, przemknęły mu przez głowę. Poprzedniego wieczoru Matt Burke przypłacił atakiem serca spotkanie z tymi samymi mrocznymi siłami; dzisiaj Mark Petrie w dziesięć minut później mocno spał, ściskając w dłoni plastikowy krzyż. Na tym właśnie polega różnica między mężczyznami a chłopcami.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Ben (IV)

1

Był słoneczny niedzielny poranek, dziesięć po dziewiątej i Ben zaczynał już poważnie niepokoić się o Susan, kiedy zadzwonił telefon stojący przy łóżku. Gwałtownym ruchem chwycił słuchawkę.

— Gdzie jesteś, Susan?

— Uspokój się. Na górze, z Mattem, który chętnie zobaczyłby się z tobą jak najszybciej.

— Dlaczego nie...

— Zajrzałam do ciebie wcześniej, ale spałeś jak owieczka.

— Co wieczór szpikują nas tu środkami odurzającymi i w nocy kradną różne organy dla nieuleczalnie chorych milionerów. Jak się czuje Matt?

— Przyjdź tu, to sam zobaczysz.

Nie zdążyła jeszcze nawet odłożyć słuchawki, kiedy Ben był już przy drzwiach, naciągając po drodze szlafrok.

2

Matt wyglądał znacznie lepiej, a nawet młodziej. Kiedy Ben wszedł do pokoju, nauczyciel uniósł dłoń w powitalnym geście. Susan, ubrana w jasnoniebieską sukienkę, siedziała przy łóżku. Ben podsunął sobie jedno z wręcz nieprawdopodobnie niewygodnych szpitalnych krzesel.

— Jak się czujesz?

— Dużo lepiej, choć nadal jestem słaby jak szczeniak. Wieczorem odłączyli mnie wreszcie od kroplówki, a na śniadanie dali mi sadzone jajko. Prawie jak w domu.

Ben pocałował delikatnie dziewczynę; dostrzegł na jej twarzy olbrzymie napięcie, jakby emocje kłębiące się w jej duszy miały lada chwila rozerwać cienką, zewnętrzną warstwę spokoju i wytrysnąć na powierzchnię.

— Wydarzyło się coś nowego?

— Nie wiem, bo wyszłam z domu o siódmej, a w niedzielę miasteczko budzi się trochę później niż zwykle. Ben przeniósł spojrzenie na Matta.

— Czujesz się na siłach, żeby o tym rozmawiać?

— Chyba tak — odparł starszy mężczyzna i lekko poprawił się na posłaniu.

Złoty krzyż, który Ben powiesił mu na szyi, lśnił w promieniach porannego słońca.

— Aha, przy okazji: dziękuję za to. Przynosi mi sporą ulgę, choć kupiłem go w piątek wieczorem na stoisku z przecenionymi towarami u Woolwortha.

— Co mówią o twoim stanie?

— Wczoraj po południu ten młody człowiek nazwiskiem Cody użył określenia „ustabilizowany”. Elektrokardiogram wykazał, że był to tylko lekki atak serca.

— Chrząknął znacząco. — Mam nadzieję, że tak jest w istocie, bo nie dalej niż tydzień temu przeszedłem dokładne badania. Chyba zdarłbym z niego skórę, gdyby się okazało, że znowu się pomylił. — Spojrzał poważnie na Bena. — Powiedział mi, że tego rodzaju historie zdarzają się najczęściej w wyniku jakiegoś poważnego wstrząsu. Na wszelki wypadek trzymałem gębę na kłódkę. Mam nadzieję, że słusznie zrobiłem?

— Jak najbardziej, ale pojawiły się nowe elementy. Mamy zamiar z Susan pójść dzisiaj do Cody'ego i o wszystkim mu opowiedzieć. Jeżeli zaraz potem nie skieruje nas do czubków, przyślemy go do ciebie.

— Usłyszysz ode mnie parę interesujących rzeczy. — Matt skinął ponuro głową.

— Ten cholerny smarkacz zabronił mi palić fajkę.

— Czy Susan już ci opowiedziała, co działo się w Salem od piątku wieczorem?

— Nie. Chciała zaczekać, aż będziemy wszyscy razem.

— Zanim do tego przejdziemy, czy mógłbyś mi zdać dokładną relację z tego, co właściwie wydarzyło się w twoim domu?

Twarz Matta natychmiast spowaźniała i na ułamek sekundy pojawił się na niej wyraz cierpienia. Ben odniósł wrażenie, że oto znowu ma przed sobą tego samego starego człowieka, którego widział poprzedniego dnia pogrążonego we śnie.

— Jeżeli nie jesteś w stanie...

— Oczywiście że jestem. Muszę być, jeśli choć połowa z tego, co podejrzewam, ma się okazać prawdą. — Uśmiechnął się z goryczą. — Zawsze lubiłem o sobie myśleć jako o kimś mającym szerokie horyzonty i nie dającym się łatwo zaszokować, ale nie wiedziałem wtedy, jak mocno umysł potrafi przeciwstawiać się temu, czego nie lubi lub czego się boi. Zupełnie jak magiczne tabliczki, którymi bawiliśmy się jako chłopcy: jeśli nie podobała ci się ta, którą wyciągnąłeś, wystarczyło odłożyć ją na bok i kłopot zniknął.

— Ale jej odcisk pozostawał na zawsze w pamięci — zauważyła Susan.

— Tak — uśmiechnął się do niej. — To bardzo ładna metafora. Szkoda, że Freud nie może tego usłyszeć. Zdaje się jednak, że trochę odbiegliśmy od tematu.

— Spojrzał na Bena. — Susan już ci o tym opowiadała?

— Tak, ale...

— Oczywiście. Chciałem się tylko upewnić, czy mogę sobie darować przydługie wstępy.

Zdał relację głosem bezbarwnym, niemal monotonnym, przerywając tylko raz, kiedy do pokoju bezszelestnie weszła pielęgniarka i zapytała go, czy nie ma ochoty na szklankę napoju chłodzącego. Odparł, że z największą przyjemnością, a następnie dokończył opowieść, pociągając co jakiś czas przez słomkę. Ben zauważył, że w chwili, gdy Matt opowiadał o tym, jak Mike Ryerson zniknął wypadając przez okno, kostki lodu w szklance cichutko zagrzechotały. Jednak jego głos był nadal spokojny, a pod koniec historii nawet nieco się ożywił, upodabniając do tego, jakim Matt najprawdopodobniej prowadził lekcje. Ben nie po raz pierwszy uświadomił sobie, że stary nauczyciel jest wspaniałym człowiekiem.

Zapadło krótkie milczenie, które przerwał ponownie Matt.

— Tak to właśnie wszystko wyglądało — powiedział. — Co myślicie o tej opowieści wy, coście nie widzieli na własne oczy żadnego ze zdarzeń, o których była w niej mowa?

— Wczoraj sporo na ten temat rozmawialiśmy — odparła Susan. — Niech Ben panu powie.

Z początku trochę nieśmiało Ben zaczął po kolei przedstawiać wszystkie możliwe racjonalne wyjaśnienia, następnie bezlitośnie je obalając. Kiedy wspomniał o zamontowanych z zewnątrz okiennicach, miękkiej ziemi pod oknem i braku jakichkolwiek śladów drabiny, Matt wyraźnie się ożywił.

— Bravo! — zawołał. — Dobra detektywistyczna robota. A pani, panno Norton? — zwrócił się do Susan. — Zawsze pisywała pani wypracowania logiczne, doskonale skonstruowane. Co pani myśli na ten temat?

Susan opuściła wzrok na dłonie, miętoszące skraj sukienki bez udziału jej woli, po czym podniosła oczy na swego byłego nauczyciela.

— Wczoraj Ben wygłosił cały wykład na temat lingwistycznych znaczeń wyrażenia „nie mogę”, więc nie będę go używała, ale przyznam się, że bardzo trudno mi sobie wyobrazić stado wampirów grasujące po naszym miasteczku.

— Gdyby dało się to zorganizować bez obudzenia czyjejś ciekawości, chętnie poddałbym się badaniu na wykrywaczu kłamstw — powiedział spokojnie Matt.

Susan oblała się rumieńcem.

— Ależ nie, proszę mnie źle nie zrozumieć! Jestem pewna, że w Salem dzieje się coś... coś okropnego, ale... Delikatnie ujął jej dłoń.

— Doskonale cię rozumiem, Susan. Czy jednak mogłabyś coś dla mnie zrobić?

— Jeśli tylko będę w stanie.

— Otóż proponuję, żebyśmy postępowali tak, jakby to była prawda. Przyjmijmy to jako pewnik aż do chwili, kiedy uda nam się ponad wszelką wątpliwość

udowodnić, że jest inaczej. Trudno o bardziej naukową metodę, nieprawdaż? Zdażyliśmy już wcześniej omówić z Benem sposoby, na jakie powinniśmy przetestować to założenie. Możesz mi wierzyć, że nikomu bardziej ode mnie nie zależy na tym, żeby okazało się nieprawdziwe.

— Ale nie ma pan na to zbyt wielkich nadziei?

— Nie — przyznał cicho. — Długo nad tym myślałem, lecz teraz wiem już na pewno: wierzę, że wszystko wydarzyło się naprawdę.

— Będzie lepiej, jeśli sprawy wiary i niewiary odłożymy na później — wtrącił się Ben. — Na razie nie mają żadnego znaczenia.

— Słusznie — Matt skinął głową. — Jaki proponujesz tryb postępowania?

— Uważam, że powinieneś zostać koordynatorem badań. Masz do tego predyspozycje dzięki swojej wiedzy, a poza tym i tak będziesz unieruchomiony przez jakiś czas.

Oczy Matta zabłysły po raz drugi od chwili, kiedy poinformował ich o zakazie palenia wydanym mu przez Cody'ego.

— Zaraz zadzwonię do Loretty Starcher, żeby przywiozła mi na wózku wszystkie potrzebne książki.

— Dzisiaj jest niedziela — przypomniała mu Susan. — Biblioteka jest zamknięta.

— Otworzy ją dla mnie — uspokoił ją Matt. — Znajdę jakiś powód.

— Weź wszystko, co w jakikolwiek sposób dotyczy tematu. Psychologia, patologia, baśnie, legendy. Absolutnie wszystko, rozumiesz?

— Będę robił notatki! — oznajmił z nową energią Matt. — Boże, po raz pierwszy od momentu, kiedy się tu znalazłem, znowu czuję się jak człowiek! A czym wy się zajmiecie?

— Przede wszystkim Codym — odparł Ben. — Widział ciała Ryersona i Tibbitsa. Może uda nam się go przekonać, żeby nakazał ekshumację Danny'ego Glicka.

— Myśli pan, że on mógłby to zrobić? — zapytała Susan Matta. Nim odpowiedział, pociągnął przez słomkę łyk napoju.

— Jimmy Cody, którego pamiętam ze szkoły, nie wahałby się nawet minuty. Był chłopcem ciekawskim, dysponującym nieograniczoną wyobraźnią, o niebywalej odporności na hipokryzję. Nie mam pojęcia, co z tego zostało po sześciu latach studiów.

— Wydaje mi się, że niepotrzebnie kręcimy się w kółko — powiedziała Susan.

— Po co mamy iść do doktora Cody'ego i ryzykować ośmieszenie? Dlaczego po prostu nie pojedziemy z Benem do Domu Marstenów i na miejscu wszystkiego nie wyjaśnimy? Zdaje się, że jeszcze niedawno mieliście właśnie taki zamiar.

— Zaraz ci wyjaśnię dlaczego — odparł Ben. — Otóż dlatego, iż postanowiliśmy przyjąć założenie, że to wszystko prawda. Tak ci pilno włożyć głowę do paszczy lwa?

— Wydawało mi się, że wampiry śpią w dzień — zauważyła dziewczyna.

— Więc Straker na pewno nie jest wampirem, chyba że stare legendy całkowicie się mylą. Wielokrotnie widywano go w ciągu dnia. W najlepszym razie potraktowałby nas jak nieproszonych gości na swoim terenie i wyrzuciłby, w najgorszym zamknął i przetrzymał do nadejścia nocy w charakterze przekąski dla swego pana.

— Barlow?

Ben wzruszył ramionami.

— Czemu nie? Ta historyjka o wyjeździe w interesach do Nowego Jorku nie wydaje mi się zbyt wiarygodna.

Na twarzy Susan nadal malowały się wątpliwości, ale dziewczyna już nie protestowała.

— Co zrobicie, jeśli Cody was wyśmieje? — zapytał Matt. — Oczywiście zakładając, że nie wpakuje was od razu w kaftany bezpieczeństwa?

— Pójdziemy o zachodzie słońca na cmentarz, żeby obserwować grób Danny’ego Glicka. Jeśli chcesz, możesz to nazwać próbami polowymi.

Matt usiadł na łóżku.

— Obiecuj mi, że będziecie ostrożni! Obiecuj, Ben!

— Będziemy — powiedziała uspokajającym tonem Susan. — Obwiesimy się krzyżami jak choinki.

— Nie żartuj sobie — mruknął Matt, osuwając się z powrotem na poduszkę.

— Gdybyś widziała to, co ja... — Odwrócił głowę w kierunku okna, za którym widać było żółte liście drzewa i pogodne jesienne niebo.

— Nawet jeśli ona żartuje, to ja na pewno nie — powiedział Ben. — Możesz być pewien, że nie zapomnimy o żadnym środku ostrożności.

— Pójdźcie do ojca Callahana — zaproponował Matt. — Poproście, żeby dał wam trochę święconej wody... i hostię, jeśli to możliwe.

— Jaki to człowiek? — zapytał Ben. Matt wzruszył ramionami.

— Trochę dziwny. Niewykluczone, że pijak, ale jeśli tak jest w istocie, to z tych wykształconych i łagodnych. Chyba trochę go irytuje wszechmocna władza papieża.

— Jest pan pewien, że ojciec Callanan to... że on pije? — spytała Susan z oczami rozszerzonymi ze zdziwienia.

— Nie, pewien nie jestem — odparł Matt — ale jeden z moich byłych uczniów, Brad Champion, pracuje w sklepie z alkoholem w Varmouth i twierdzi, że ojciec Callahan należy do stałych klientów. „Jim Beam”. Ma dobry gust.

— Można z nim porozmawiać?

— Nie wiem. Wydaje mi się, że będziesz musiał spróbować.

— Więc w gruncie rzeczy właściwie go nie znasz?

— Raczej nie. Obiło mi się tylko o uszy, że pisze historię Kościoła katolickiego w Nowej Anglii i zdaje się, że sporo wie o poetach naszego tak zwanego

złotego okresu, czyli o Longfellowie, Russellu i Holmesie. W ubiegłym roku zaprosiłem go na lekcję, żeby o nich opowiedział. Spodobał się uczniom, bo jest bystry i odrobinę zgryźliwy.

— W takim razie zobaczę się z nim i zdam się na wyczucie — zdecydował Ben.

Do pokoju zajrzała pielęgniarka, a w chwilę potem drzwi otworzyły się szerzej i wmaszerował Jimmy Cody ze stetoskopem na szyi.

— Co, męczycie mi pacjenta? — zagadnął przyjaźnie.

— Nawet w połowie nie tak bardzo jak ty — odparł Matt. — Chcę moją fajkę.

— Nie ma mowy — odparł Cody, spoglądając na wiszącą w nogach łóżka kartę.

— Cholerny konował — mruknął Matt.

Cody odwiesił kartę na miejsce i częściowo zaciągnął zieloną zasłonę, wiszącą nad łóżkiem na pręcie wygiętym w kształcie litery C.

— Obawiam się, że będę musiał państwa na chwilę przeprosić. Jak pańska głowa, panie Mears?

— Wygląda na to, że nic z niej nie wycieka.

— Słyszał pan już o Floydzie Tibbitsie?

— Tak, Susan mi powiedziała. Gdyby miał pan chwilę czasu po obchodzie, chciałbym z panem o tym porozmawiać.

— Jeśli pan sobie życzy, mogę po prostu przyjść do pana. Powiedzmy, około jedenastej.

— Znakomicie.

— W takim razie, jeśli nie macie nic przeciwko temu. . .

— Żegnajcie, przyjaciele — powiedział Matt. — Zapamiętajcie hasło, żebyśmy mogli się później znowu spotkać.

Zielona zasłona oddzieliła Susan i Bena od łóżka. Po chwili dobiegły zza niej słowa Cody'ego:

— Następnym razem, jak będę miał pana na stole, wytnę panu język i co najmniej połowę płata czołowego.

Uśmiechnęli się do siebie tak, jak uśmiechają się młodzi ludzie, kiedy świeci słońce, a oni nie mają żadnych poważnych trosk, lecz uśmiechy niemal natychmiast zniknęły, a im jednocześnie przemknęła niepokojąca myśl, czy przypadkiem obydwójce nie zwariowali.

3

Dwadzieścia po jedenastej Jimmy Cody wszedł do pokoju Bena.

— Chciałem pana zapytać o. . . — zaczął Ben.

— Najpierw głowa, potem rozmowa — przerwał mu lekarz. Delikatnie rozgarnął mu włosy, jakby czegoś szukał. — To będzie bolało — ostrzegł i jednym gwałtownym szarpnięciem oderwał plaster. Ben aż podskoczył. — Ładny guz — zauważył uprzejmie Cody, po czym założył nieco mniejszy opatrunek.

Zaświecił Benowi małą latarką w oczy, a następnie stuknął go w kolano gumowym młotkiem. Ben zastanawiał się ponuro, czy to ten sam młotek, którym Cody sprawdzał odruchy martwego Mike'a Ryersona.

— Wygląda na to, że wszystko w porządku — oświadczył lekarz, chowając przyrządy do kieszeni fartucha. — Jak brzmi panińskie nazwisko pana matki?

— Ashford — odparł Ben. Zadawano mu już podobne pytania, kiedy po raz pierwszy odzyskał przytomność.

— Wychowawczynie w pierwszej klasie?

— Pani Perkins. Farbowała sobie włosy.

— Drugie imię ojca?

— Merton.

— Jakież zawroty głowy albo nudności?

— Nie.

— Złudzenia zapachowe albo kolorystyczne?

— Nie, nie i jeszcze raz nie. Nic mi nie jest.

— Pozwoli pan, że ja to ocenię — odparł szorstko Cody. — Podwójne widzenie?

— Nie, od czasu, kiedy na jakimś przyjęciu wypłem bez niczyjej pomocy galon whisky.

— W porządku — zdecydował Cody. — Informuję pana, że dzięki cudom współczesnej medycyny, a także własnej twardej głowie, jest pan właściwie zdrow. A teraz, o czym chciał pan ze mną porozmawiać? Zdaje się, że o Tibbitsie i tym małym McDougallu. Mogę panu tylko powtórzyć to, co już powiedziałem Parkinsowi Gillespie. Po pierwsze, cieszę się, że to nie trafiło do prasy, bo w takim małym miasteczku wystarczy w zupełności jeden skandal na sto lat. Po drugie, nie mam najmniejszego pojęcia, kto mógłby zdobyć się na takie szaleństwo. Z pewnością nie był to nikt z okolicy. Owszem, mamy tu trochę najróżniejszych szajbusów, ale... — Przerwał, widząc malujące się na ich twarzach zdumienie. — Co, o niczym nie wiecie?

— To znaczy o czym? — zapytał Ben.

— To jakby coś z powieści Mary Shelley. Ostatniej nocy ktoś wykradł dwa ciała z kostnicy w Portland.

— Jezus, Maria... - wyszeptała zmartwiałyimi wargami Susan.

— O co chodzi? — zainteresował się Cody. — Wiecie coś na ten temat?

— Zaczynam podejrzewać, że chyba tak — odparł Ben.

4

Kiedy skończyli swoją opowieść, było dokładnie dziesięć po dwunastej. Obiad przyniesiony przez pielęgniarkę stał nie tknięty przy łóżku Bena.

W pokoju panowało milczenie, zakłócanie jedynie brzękiem sztućców i naczyń dochodzącym przez uchylone drzwi.

— Wampiry — odezwał się wreszcie Jimmy Cody. — I do tego nie kto inny, jak właśnie Matt Burke. Muszę przyznać, że niełatwo zbyć to jednym uśmiechem.

Ben i Susan milczeli.

— Chcecie, żebym zarządził ekshumację Danny'ego Glicka — powtórzył z zastanowieniem. Wydobył z lekarskiej torby niewielką buteleczkę i rzucił Benowi, który złapał ją bez większego trudu. — Aspiryna — wyjaśnił. — Brał pan ją kiedyś?

— I to nieraz.

— Mój ojciec zawsze powtarzał, że to najlepszy współpracownik każdego dobrego lekarza. Wie pan, na jakiej zasadzie działa?

— Nie — przyznał Ben, obracając fiolkę w dłoniach. Nie znał Cody'ego wystarczająco dobrze, żeby wiedzieć, czego się po nim spodziewać, ale był pewien, że niewielu pacjentów widziało go aż tak zamyślonego. Starał się nie zrobić nic, co mogłoby wytrącić młodego lekarza z tego nastroju.

— Ani ja. Ani nikt inny. Wiemy tylko, że pomaga przy bólach głowy, reumatyzmie i artretyzmie. Nawiasem mówiąc, nie wiemy także, skąd właściwie biorą się te dolegliwości. Dlaczego boli głowa? Przecież w mózgu nie ma żadnych nerwów czuciowych. Skład chemiczny aspiryny jest bardzo zbliżony do LSD, ale dlaczego jeden z tych specyfików usuwa ból głowy, a drugi zapełnia ją kwiatami?

Nie wiemy między innymi dlatego, że w gruncie rzeczy nie mamy najmniejszego pojęcia, czym jest mózg. Nawet najlepiej wykształcony lekarz na świecie w rzeczywistości stoi na maleńkiej wysepce pośrodku oceanu ignorancji. Klekoczemy magicznymi kołatkami, zarzynamy kurczaki na rozstajach dróg i odczytujemy przesłanie zawarte w ich wnętrzościach. Zadziwiające, jak długo już to nam się udaje. Biała magia. Gdyby usłyszeli mnie moi profesorowie, z pewnością powyrywaliby sobie resztki włosów, tak jak już to próbowali robić, kiedy oznajmiłem im, że postanowiłem podjąć pracę w zapadłym zakątku stanu Maine. — Uśmiechnął się. — Gdyby dowiedzieli się, że mam zamiar zarządzić tę ekshumację, prawdopodobnie zaczęliby tarzać się po ziemi w konwulsjach.

— Więc robi pan to? — zapytała z zaskoczeniem Susan.

— A co to może zaszkodzić? Jeśli nie żyje, to nie żyje i już, a jeśli nie, to będę miał z czym pojechać na przyszłoroczny zjazd Stowarzyszenia Lekarzy Amerykańskich. Koronerowi powiem, że chcę znaleźć dowody świadczące o przebyłym zapaleniu mózgu. To jedyne w miarę sensowne uzasadnienie, jakie przychodzi mi na myśl.

— A czy tak nie mogło być w istocie? — zapytała z nadzieją.

— Diabelnie mało prawdopodobne.

— Kiedy mógłby pan to zorganizować?

— Najwcześniej jutro, a jeśli będą jakieś kłopoty, to we wtorek lub środę.

— Jak on będzie wyglądał? To znaczy. . .

— Wiem, co ma pan na myśli. Ciało chyba nie było zabalsamowane, prawda?

— Nie.

— A od zgonu minął tydzień?

— Tak.

— Cóż, kiedy trumna zostanie otwarta, wydobędzie się z niej spora ilość gazów, a wraz z nimi niezbyt przyjemny zapach. Ciało będzie wzdęte, a włosy i paznokcie znacznie dłuższe niż przed pogrzebem. Gałki oczne powinny już niemal na pewno się zapaść.

Susan usiłowała zachować obojętny wyraz twarzy, ale nie bardzo jej się to udawało. Ben nagle odczuł ogromną ulgę, że nie zjadł obiadu.

— W wyglądzie zwłok nie powinny zajść żadne daleko idące zmiany — kontynuował Cody tonem wykładowcy — lecz odpowiednia ilość wilgoci mogła spowodować pojawienie się na policzkach i dłoniach zielonkawej substancji podobnej do mchu zwanej. . . — Przerwał. — Przepraszam. Zdaje się, że macie już dosyć.

— To nie najgorsze, co można zobaczyć — powiedział Ben, starając się, żeby jego głos brzmiał możliwie obojętnie. — Co pan zrobi, jeśli nie dostrzeże pan żadnych z tych objawów, a ciało będzie równie świeże jak w dniu pogrzebu? Co wtedy, przebije mu pan serce kołkiem?

— Nie przypuszczam — odparł Cody. — Przede wszystkim dlatego, że będzie przy tym na pewno obecny koroner albo jego zastępca. Nie wydaje mi się, żeby uznali za całkowicie naturalne, że wyjmuję z torby osinowy kołek i wbijam go w zwłoki dziecka.

— W takim razie, co by pan zrobił?

— Przede wszystkim, mimo całego szacunku, jaki żywię do Matta Burke'a, nie sądzę, żeby coś takiego się stało. Gdyby jednak, to ciało zostałoby zabrane w celu przeprowadzenia szczegółowych badań. Postarałbym się, żeby przeciągnęły się do zachodu słońca, a potem obserwowałbym rozwój wypadków.

— A gdyby wtedy ożył?

— Podobnie jak pan, nie potrafię sobie tego wyobrazić.

— Jeżeli o mnie chodzi, to sprawia mi to coraz mniej kłopotów — zauważył ponuro Ben. — Czy mógłbym być przy tym obecny, gdyby się jednak zdarzyło?

— Coś byśmy wykombinowali.

— W porządku. — Ben wstał z łóżka i podszedł do szafy, w której wisiało jego ubranie. — Teraz nie pozostaje mi. . .

Susan parsknęła śmiechem, a Ben odwrócił się ze zdziwieniem.

— Co się stało?

— Szpitalne koszule są z tyłu rozcięte na całej długości, panie Mears, a taśmki, którymi się je związuje, często zawodzą — wyjaśnił mu z uśmiechem Cody.

— A niech to! — Ben odruchowo sięgnął rękami za plecy. — Rzeczywiście. Aha, przy okazji: na imię mam Ben.

— W tym momencie mnie i Susan nie pozostaje nic innego, jak dyskretnie się oddalić — powiedział Cody, unosząc się z miejsca. — Kiedy już doprowadzisz się do porządku, przyjdź do nas do kawiarni. Po południu czeka nas jeszcze trochę pracy.

— Nas?

— Tak. Trzeba powiedzieć Glickom o podejrzeniach związanych z zapaleniem mózgu. Jeśli chcesz, możesz być moim kolegą po fachu. Nic nie mów, tylko skub się po brodzie i staraj się mądrze wyglądać.

— Chyba nie będą tym zachwyceni, prawda?

— A ty byś był?

— Nie — przyznał Ben.

— Czy oni muszą wyrazić zgodę na ekshumację? — zapytała Susan.

— Teoretycznie — nie, praktycznie — raczej tak. Do tej pory stykałem się z tym zagadnieniem jedynie podczas zajęć z prawa lekarskiego, ale wydaje mi się, że jeśli Glickowie się uprą, być może będziemy nawet musieli zwrócić się do sędziego. Cała sprawa przeciągnie się wtedy do miesiąca, a wówczas moja teoria o zapaleniu mózgu przestanie mieć jakiegokolwiek znaczenie. — Umilkł na chwilę, przypatrując się im z powagą. — Właśnie to mnie w tym wszystkim najbardziej niepokoi: jedynym ciałem, jakie mamy szansę dostać w ręce, są zwłoki Danny'ego Glicka. Wszystkie inne rozplynęły się w powietrzu.

5

Ben i Jimmy dotarli do domu Glicków około pierwszej trzydzieści. Na podjeździe stał samochód Tony'ego Glicka, ale w domu panowała zupełna cisza. Kiedy nikt nie odpowiedział na trzecie z kolei pukanie, przeszli na drugą stronę ulicy. Stał tam niewielki, zaniedbany dom mający z założenia przypominać swoim kształtem wiejską posiadłość; smutna pozostałość prefabrykowanego budownictwa lat pięćdziesiątych, podparta z jednej strony zardzewiałym rusztowaniem. Na skrzynce na listy widniało nazwisko Dickens. Przy prowadzącej do drzwi ścieżce stał różowy sztuczny flaming, a na ganku powitał ich energicznym machaniem ogona mały cocker-spaniel.

Drzwi otworzyła Pauline Dickens, współwłaścicielka i kelnerka w Excellent Cafe. Miała na sobie swój roboczy strój.

— Jak się masz, Pauline — powitał ją Jimmy. — Nie wiesz, gdzie podzieli się Glickowie?

— Chcesz powiedzieć, że o niczym nie wiesz?

— To znaczy o czym?

— Pani Glick umarła dziś rano, a jej męża zawieźli do szpitala. Jest w szoku.

Ben spojrział na Cody'ego; Jimmy sprawiał wrażenie człowieka, który właśnie otrzymał mocne kopnięcie w żołądek.

— Dokąd zabrano ciało? — zapytał pośpiesznie Ben.

Pauline przesunęła dłońmi po biodrach, wygładzając nie istniejące fałdy.

— Jakąś godzinę temu rozmawiałam przez telefon z Mabel Werts i ona powiedziała, że usłyszała od Parkinsa Gillespie, jakoby on sam miał zawieźć ciało pani Glick prosto do żydowskiego domu pogrzebowego w Cumberland, bo w dalszym ciągu nikt nie wie, gdzie się podział Carl Foreman.

— Dziękujemy -wykrztusił wreszcie z trudem Cody.

— To naprawdę okropne — powiedziała Pauline, spoglądając na pusty dom po drugiej stronie ulicy. Samochód Tony'ego Glicka stał przed garażem niczym wielki zakurzony pies, którego przywiązano łańcuchem do budy, a potem zupełnie o nim zapomniano. — Gdybym była przesądna, na pewno zaczęłabym się bać.

— Czego? — zapytał Jimmy.

— Och. . . Takich różnych rzeczy — odparła uśmiechając się lekko i dotykając palcami wiszącego na jej szyi złotego łańcuszka z medalikiem przedstawiającym świętego Krzysztofa.

6

Siedzieli w samochodzie przyglądając się bez słowa, jak Pauline wychodzi z domu i odjeżdża do pracy.

— I co teraz? — zapytał wreszcie Ben.

— Wszystko się pochrzaniło — odparł Jimmy. — Właścicielem tego domu pogrzebowego jest niejaki Maury Green. Wydaje mi się, że powinniśmy pojechać do Cumberland. Dziewięć lat temu jego chłopak o mało nie utonął w jeziorze Sebago. Akurat przypadkiem byłem tam z jakąś dziewczyną i zrobiłem mu sztuczne oddychanie, dzięki czemu żyje. Może to odpowiednia pora, żeby wykorzystać dług wdzięczności?

— A co nam to da? Na pewno koroner zabrał już ciało na autopsję, czy jak wy to nazywacie.

— Wątpię. Nie zapominaj, że mamy niedzielę, a w każdą niedzielę lekarz sądowy ugania się po lesie z młotkiem w dłoni. Jest zapalonym geologiem amatorem. Pamiętasz Norberta?

Ben skinął głową.

— Powinien siedzieć przy telefonie, ale najprawdopodobniej odłożył słuchawkę, żeby spokojnie oglądać mecz w telewizji. Jeżeli zaraz pojedziemy do domu pogrzebowego Maury'ego Greena, to istnieje duże prawdopodobieństwo, że zastaniemy tam ciało w nie naruszonym stanie.

— W porządku — powiedział Ben. — Ruszajmy.

Przypomniał sobie, że miał zadzwonić do ojca Callahana, lecz wszystko wskazywało na to, że na tę rozmowę będzie jeszcze musiał trochę poczekać. Wydarzenia następowały z coraz większą szybkością. Zbyt dużą jak na jego gust. Coraz trudniej przychodziło odróżnić fantazję od rzeczywistości.

7

Pograżeni w myślach jechali w milczeniu aż do chwili, kiedy samochód dotarł do wjazdu na autostradę. Ben roztrząsał to wszystko, co usłyszał od Cody'ego w szpitalu. Carl Foreman zniknął. Ciało Floyda Tibbitsa i dziecka McDougallów zniknęły sprzed nosów dwóch pracowników kostnicy. To samo stało się z Mike'em Ryersonem i Bóg wie, z kim jeszcze. Ilu ludzi w Salem mogło zniknąć bez śladu, nie budząc niczyjego zainteresowania przez tydzień, dwa, a nawet miesiąc? Dwustu? Trzystu? Poczul, jak poca mu się dłonie.

— To wszystko zaczyna powoli przypominać jakiś makabryczny sen — odezwał się Jimmy. — Z naukowego punktu widzenia najbardziej przerażająca jest względna łatwość, z jaką można założyć kolonię wampirów. Na początek wystarczy nawet jeden osobnik. Salem stanowi sypialnię dla Portland, Lewiston i Gates Falls. Nie ma tu zakładów przemysłowych, w których można by zaobserwować wzrost absencji, do szkół zaś przyjeżdżają dzieci z kilku miejscowości. W niedziele sporo ludzi jeździ do kościoła w Cumberland, a jeszcze więcej w ogóle nie chodzi do żadnego. Z powodu telewizji sąsiedzi coraz rzadziej spotykają się na przyjacielskich pogawędkach, jeśli nie liczyć staruszków przesiadujących w sklepie Milta. Jednym słowem, wszystko może się dziać za kulisami, a mimo to nikt nie zauważy niczego niepokojącego.

— Otóż to — Ben skinął głową. — Danny Glick zaraża Mike'a, Mike zaraża... Bo ja wiem? Na przykład Floyda, dziecko McDougallów zaraża matkę i ojca... Właśnie, co z nimi? Ktoś to sprawdzał?

— Niestety, nie są moimi pacjentami. Przypuszczam, że to doktor Plowman zadzwonił do nich dziś rano z informacją, że zagięło ciało ich synka, ale nie mam pojęcia, czy to na pewno zrobił ani czy pofatygował się do nich osobiście.

— Trzeba ich koniecznie sprawdzić. — Ben już wiedział, jak czuje się zwierzę, wokół którego zaciska się pierścień nagonki. — Widzisz, jak łatwo przeoczyć coś naprawdę ważnego? Ktoś spoza miasteczka mógłby przejechać przez sam jego środek i nie zauważyć niczego niepokojącego. Ot, jeszcze jedna dziura zabita

dechami, w której o dziewiątej wieczorem zwijają z ulic chodniki. Kto jednak wie, co się dzieje w domach, za zasłoniętymi oknami? Może ludzie leżą w łóżkach, szafach albo piwnicach i czekają na zachód słońca? A nazajutrz wyjdzie ich na ulicę jeszcze mniej niż wczoraj, i tak każdego następnego dnia. . .

Odchrząknął, usiłując pozbyć się suchego, dławiącego kłębka, który utkwiał mu w gardle.

— Uspokój się — poradził mu Jimmy. — Nie masz na to żadnych dowodów.

— Dowodów są całe stosy — zareplikował Ben — brakuje tylko możliwego do zaakceptowania punktu odniesienia. Gdyby chodziło o tyfus albo nową odmianę grypy, całe miasteczko już dawno zostałoby objęte kwarantanną.

— Wątpię. Nie zapominaj, że jak do tej pory tylko jedna osoba coś rzeczywiście widziała.

— Ale za to na pewno godna zaufania.

— Gdyby to się rozeszło, ludzie chyba ukrzyżowaliby go — zauważył Jimmy.

— Jacy ludzie? Na pewno nie Pauline Dickens. Ona lada chwila zacznie rysować na drzwiach poświęconą kredą magiczne znaki.

— W epoce Watergate i kryzysu naftowego tacy jak ona należą do wyjątków — odparł Jimmy.

Pozostała część podróży upłynęła w milczeniu. Dom pogrzebowy Greena znajdował się na północnym skraju Cumberland. Między wysokim ogrodzeniem a tylnymi drzwiami kaplicy nie noszącej symboli żadnego wyznania stały dwa czarne karawany. Jimmy wyłączył silnik i spojrzał na Bena.

— Gotów?

— Chyba tak. Wysiedli z samochodu.

8

Bunt narastał w niej niemal od rana, osiągając punkt kulminacyjny około drugiej po południu. Zabrali się za to zupełnie bez sensu i od złej strony, usiłując najpierw udowodnić coś, co (przepraszam, panie Burke) było pewnie i tak tylko stekiem bzdur. Postanowiła, że jeszcze tego samego dnia pojedzie do Domu Marstenów.

Poszła na górę po szkiecownik. Matka piekła ciasteczka w kuchni, a ojciec oglądał w telewizji mecz Packersów z Patriotami.

— Wychodzisz? — zapytała pani Norton.

— Tak. Chcę się trochę przejechać.

— Obiad jest o szóstej. Postaraj się wrócić na czas.

— Będę najpóźniej o piątej.

Wsiadła do samochodu stanowiącego przedmiot jej ogromnej dumy.

Nie dlatego, że był to jej pierwszy wóz, lecz ponieważ zapłaciła za niego (prawie zapłaciła; zostało jeszcze sześć rat) z własnych, zarobionych przez siebie pieniędzy. Był to obecnie już prawie dwuletni chevrolet Vega. Wycofała go ostrożnie z garażu i pomachała ręką matce, która przyglądała się jej przez okno. Dzieląca je szczelina nie zasklepiła się, piekąc jak nie zaleczona rana. Wszystkie dotychczasowe kłótnie, choćby bardzo ostre, z biegiem czasu niknęły za mgłą zapomnienia. Życie toczyło się dalej, lecząc wszelkie skaleczenia, aż do chwili, gdy w wyniku następnej sprzeczki świeże jeszcze blizny pękały, powodując zwielokrotniony ból. Jednak tym razem nie była to kłótnia ani sprzeczka, lecz prawdziwa wojna, rany zaś okazały się zbyt głębokie, żeby myśleć o ich zaleczeniu. pozostawała jedynie amputacja. Susan spakowała już większość swoich rzeczy i nie czuła z tego powodu żadnych wyrzutów sumienia. I tak zbyt długo z tym czekała.

W miarę jak jadąc Brock Street oddalała się od domu, czuła coraz wyraźniej ogarniające ją przyjemne uczucie posiadania konkretnego, jasno sprecyzowanego celu, doświadczając jednocześnie wrażenia kłóćącego się z nim i umykającego jednoznacznej definicji, że cały czas stąpa po cienkim lodzie absurdu. Świadomość, że wreszcie może podjąć jakieś konkretne działanie, sprawiała jej ogromną przyjemność. Była prostolinijną dziewczyną i wydarzenia ostatnich dni wprowadziły w jej umyśle spore zamieszanie, pozostawiając ją na środku rozkołysanego, nieznanego morza. Teraz nareszcie nadszedł czas, żeby wziąć się ostro do wioseł!

Tuż za granicą miasteczka zatrzymała samochód na miękkim poboczu, wysiadła i weszła na pastwisko Carla Smitha, gdzie leżała potężna bela przeciwśnieżnego płotu czekającego na nadejście zimy. Wrażenie absurdu nasiliło się jeszcze bardziej, kiedy nachyliła się i szarpiąc w lewo i prawo ułamała ostro zakończoną końcówkę jednego z palików długości około trzech stóp. Zaniósła kołek do samochodu i rzuciła na tylne siedzenie, wiedząc w głębi duszy, do czego może jej być potrzebny (oglądała wystarczająco dużo horrorów, w których przebijano serca wampirów), lecz nie dopuszczając do siebie refleksji, czy byłaby w stanie to zrobić, gdyby wymagały tego okoliczności.

Jadąc dalej minęła mały sklepik, otwarty także w niedzielę, w którym ojciec zawsze kupował świąteczne wydanie *Timesa*, a ona jako dziecko oglądała z wielkim zainteresowaniem wystawioną w szklanej gablocie plastikową biżuterię. Tym razem to ona kupiła gazetę, a także mały krzyż błyszczący złotem. Otyły sprzedawca, nie odrywając ani na chwilę wzroku od ekranu telewizora, przyjął od niej należność w wysokości czterech dolarów i pięćdziesięciu centów.

Skręciła na północ, w County Road pokrytą nową warstwą asfaltu. W to pogodne popołudnie wszystko wydawało się świeże i cudowne, a życie nabierało dodatkowej wartości.

Zza sunącej dostojnie po niebie chmury wychyliło się słońce, zasypując ziemię skrawkami światła i cienia, migoczącymi w rytmie kołyszących się drzew rosnących po obu stronach drogi. W taki dzień nie sposób nie wierzyć w to, że już

zawsze wszystko będzie się dobrze kończyć, pomyślała Susan.

Po jakichś pięciu milach skręciła w nie utwardzoną Brooks Road, wijącą się przez pagórkowaty teren na północny zachód od miasteczka. Nie było tu żadnych domów ani przyczep, większość ziemi zaś należała do pewnej firmy papierniczej wsławionej skierowaną do klientów prośbą, by ci zechcieli nie poddawać produkowanego przez nią papieru toaletowego zbyt wielkim obciążeniom. Na poboczu drogi co sto stóp widniały tablice zabraniające wstępu i polowania. Kiedy Susan mijiała rozwidlenie, na którym skręcało się do wysypiska, poczuła niewyraźne ukłucie niepokoju. Na tym pograżonym zawsze w cieniu odcinku drogi wszystkie szalone myśli stawały się znacznie bardziej prawdopodobne. Nie po raz pierwszy przemknęło jej przez głowę pytanie, dlaczego jakikolwiek normalny człowiek miałby kupić na wpół zrujnowany dom, okryty ponurą sławą, a następnie mieszkać w nim przy zamkniętych szczelnie przez cały dzień okiennicach.

Droga prowadziła stromo w dół, by następnie wspiąć się na zachodnie zbocze Wzgórza Marstenów. Poprzez zasłonę z drzew można było dostrzec zarys domu wznoszącego się na szczycie.

Zatrzymała samochód na dnie parowu, u wylotu od dawna nie używanej drogi, służącej do zwózki drewna, wyłączyła silnik i wysiadła. Po krótkim wahaniu wzięła z tylnego siedzenia kołek i powiesiła sobie na szyi krzyż zakupiony kilkanaście minut wcześniej. Czuła się potwornie głupio, lecz jeszcze gorzej byłoby wtedy, gdyby ktoś znajomy ujrzał ją maszerującą dziarsko z krzyżem na szyi i trzy stopowej długości kołkiem w dłoni.

Cześć, Suze. Dokąd idziesz?

Och, tylko do Domu Marstenów, żeby zabić wampira. Muszę się śpieszyć, bo o szóstej mam obiad.

Postanowiła pójść na skróty, przez las.

Ostrożnie przedostała się na drugą stronę rozpadającego się kamiennego ogrodzenia, błogosławiąc w duchu impuls, który kazał jej założyć spodnie, zdecydowanie najlepszy strój dla pogromców wampirów. Jeszcze zanim na dobre zagłębiła się w las, kilka razy potknęła się o zdradliwe wykroty.

W głębokim cieniu sosen było o kilka stopni chłodniej niż na drodze, a także zdecydowanie ciemniej. Ziemię pokrywał gruby dywan uschniętych igieł, wysoko w gałęziach szumiał wiatr, a w pewnej chwili gdzieś niedaleko rozległ się raptowny szurgot, spowodowany gwałtowną ucieczką jakiegoś niewielkiego zwierzęcia. Susan uświadomiła sobie, że gdyby skręciła w lewo i przeszła nie więcej niż pół mili, znalazłaby się przy kamiennym murze otaczającym cmentarz na Wzgórzu Spokoju.

Powoli pięła się w górę, starając się poruszać jak najciszej. W miarę zbliżania się do szczytu wzniesienia, przez rzednącą kurtynę gałęzi dostrzegła coraz więcej szczegółów górującego nad miasteczkiem budynku, czując jednocześnie rosnący strach. Nie wiedziała, jaka jest jego przyczyna, i pod tym względem był

to strach bardzo podobny do tego, jaki czuła w domu Matta Burke'a. Była niemal w stu procentach pewna, że nikt jej nie słyszy; na jasnym niebie świeciło słońce, niemniej jednak jej barki uginały się pod coraz wyraźniejszym ciężarem pozbawionego wszelkich realnych powodów niepokoju. Miała wrażenie, że uczucie to wdzierają się do jej świadomości z jakiegoś najgłębszego zakamarka mózgu, zwykle uśpionego i równie nieistotnego jak wyrostek robaczkowy. Zniknęła bezpowrotnie cała radość pogodnego dnia, a wraz z nią złudzenie uczestniczenia w jakiejś niewinnej zabawie i przekonanie o posiadaniu konkretnego celu działania. Przed oczami zaczęły pojawiać się jej zapamiętane sceny z horrorów, w których główna bohaterka wspina się na piętro po skrzypiących schodach, żeby sprawdzić, co tak bardzo przstraszyło starą panią Cobham, albo schodzi do pogrążonej w ciemności piwnicy o kamiennych, wilgotnych ścianach, a ona, spoglądając na ekran z dłońmi zaciśniętymi na ramieniu towarzyszącego jej chłopaka, myśli: Co za idiotka! Ja bym nigdy nie zrobiła czegoś takiego! Oto jednak ze zdumieniem musiała stwierdzić, że jednak to robi, przekonując się jednocześnie, jaki wyraźny podział przebiega między ludzkim mózgiem a śródmózgowiem; mózg pcha do działania, choć jego sterująca instynktem część, tak bardzo podobna kształtem i budową do mózgu aligatora, wysyła nieustające ostrzeżenia. Potrafi zmuszać do działania tak długo, aż wreszcie drzwi na poddaszu otwierają się, odsłaniając kryjące się za nimi potworności, albo wzrok pada na skryty w najgłębszym cieniu kąt piwnicy, gdzie...

P r z e s t a ń !

Ogromnym wysiłkiem woli nakazała sobie przestać o tym myśleć i przekonała się, że jest cała zlane potem. A wszystko to na widok zwykłego starego domu o pozamykanych okiennicach. Najwyższa pora, żebyś wreszcie zmądrzała. Idziesz tam po to, żeby się trochę rozejrzeć, to wszystko. Gdybyś stanęła na schodkach, w dole zobaczyłabyś dach swojego domu. Na litość boską, co ci się może stać, kiedy masz w zasięgu wzroku swój własny dom?

Mimo to schyliła się i ścisnęła mocniej w dłoni drewniany kołek, a kiedy zasłona z drzew jeszcze bardziej się przeredziła, zaczęła pełznąć na czworakach. Trzy lub cztery minuty później dotarła do końca lasu, po którym mogła się poruszać nie zauważona. Ze swojej kryjówki za kępą jałowców widziała zachodnią fasadę budynku i kępę ogołoczonego z liści kapryfolium. Trawa była żółta, lecz nadal sięgała do kolan. Nikt nie zadał sobie trudu, żeby ją skosić.

Kiedy ciszę rozdarł nagle warkot silnika, serce podskoczyło jej niemal do gardła. Zdołała jakoś nad sobą zapanować, wbijając palce w ziemię i przygryzając dolną wargę. W chwilę potem zza domu wyjechał tyłem stary czarny samochód, przystanął na krótko przed gankiem, a następnie ruszył drogą prowadzącą w kierunku miasteczka. Zanim zniknął jej z oczu, zdążyła wyraźnie zobaczyć siedzącego za kierownicą mężczyznę: wielka, łysa głowa, głęboko osadzone oczy, a poniżej klapy i kołnierz ciemnego garnituru. Straker. Prawdopodobniejechał po za-

kupy do sklepu Crossena.

Przeniósłszy spojrzenie na budynek dostrzegła, że w większości okiennic znajdują się spore szpary po wyłamanych lub zbutwiałych deszczułkach. W porządku: podkradnie się tam i zajrzy do środka. Zapewne nie zobaczy nic oprócz wnętrza remontowanego domu — puszki z farbami, rolki tapet, drabiny i wiadra. Wszystko równie romantyczne i niesamowite jak mecz w telewizji.

Mimo to strach nie ustępował. Nagle, w ułamku sekundy, zalała ją wzburzoną falą, wypełniając usta smakiem roztopionej miedzi.

Wiedziała, że ktoś jest za nią, jeszcze zanim poczuła na ramieniu dotknięcie ręki.

9

Z każdą chwilą robiło się coraz ciemniej. Ben wstał ze składanego, drewnianego krzesła, podszedł do okna wychodzącego na trawnik rozciągający się za domem pogrzebowym i wyrzwał przez nie, lecz nie dostrzegł niczego szczególnego. Była za piętnaście siódma i wieczorne cienie stawały się coraz dłuższe. Mimo późnej pory roku trawa nadal pyszniła się soczystą zielenią; Ben przypuszczał, że zapobiegliwy przedsiębiorca uczyni wszystko, żeby pozostała taka aż do nadejścia pierwszych śniegów, stanowiąc u schyłku roku symbol wiecznie odradzającego się życia. Ta myśl wydała mu się bardzo przygnębiająca, więc odwrócił się od okna.

— Szkoda, że nie wziąłem papierosów — powiedział.

— To trucizna — odparł Jimmy nie odrywając wzroku od ekranu małego Sony. — Szczerze mówiąc, ja też tego żałuję. Rzuciłem palenie, kiedy dziesięć lat temu pojawiło się na pudełkach to ostrzeżenie ministra zdrowia, bo jako lekarzowi nie wypadało mi postąpić inaczej, ale kiedy idę na nocny dyżur, zawsze mam paczkę w kieszeni.

— Przecież powiedziałeś, że nie palisz?

— Noszę je przy sobie z tego samego powodu, dla którego niektórzy alkoholicy zawsze trzymają na półce w kuchni pełną butelkę whisky: żeby ćwiczyć siłę woli.

Ben spojrzął na ścienny zegar: 18.47. Według sobotnio-niedzielnego wydania gazety zachód słońca miał nastąpić o 19.02.

Jimmy doskonale sobie ze wszystkim poradził. Maury Green otworzył im drzwi w nie zapiętej czarnej kamizelce i śnieżnobiałej koszuli o rozpiętym kołnierzyku. Był raczej niskiego wzrostu, a malujący się na jego twarzy wyraz uprzejmego zainteresowania ustąpił niemal natychmiast miejsca szerokiemu uśmiechowi.

— Szalom, Jimmy! — wykrzyknął. — Jak to dobrze znowu cię widzieć! Co porabiałeś przez tyle czasu?

— Staralem się wymyślić lekarstwo na katar — odparł Cody wyciągając dłoń, którą Green natychmiast zamknął w żelaznym uścisku. — Chciałem ci przedstawić mego przyjaciela, Bena Mearsa.

Maury ujął oburącz dłoń Bena.

— Szalom, szalom. Przyjaciel Jimmy'ego jest także... i tak dalej, i tak dalej. Wchodźcie, proszę. Zadzwoń zaraz do Racheli i...

— Nie trzeba — przerwał mu Jimmy. — Przyjechaliśmy prosić cię o przysługę. O dużą przysługę, żeby od razu uniknąć wszelkich wątpliwości.

Green spoważniał i utkwiał spojrzenie skrytych za szklami okularów oczu w twarzy Cody'ego.

— Proszę, proszę: o poważną przysługę — powtórzył lekko sarkastycznym tonem. — A cóż dla mnie takiego zrobiłeś, nie licząc tego, że mój syn żyje i właśnie skończył szkołę z trzecią lokatą w klasie? Co tylko chcesz, Jimmy.

Jimmy zarumienił się po uszy.

— Na moim miejscu każdy postąpiłby tak samo, Maury.

— Nie mam zamiaru się z tobą kłócić. Mów, o co chodzi. Sprawiacie wrażenie mocno zaniepokojonych. Mieliście jakiś wypadek?

— Nie, nic w tym rodzaju.

Zaprowadził ich do małej kuchni usytuowanej na zapleczu kaplicy i zaparzył kawę w starym, poobijanym dzbanku.

— Czy Norbert przyjechał już po ciało pani Glick? — zapytał Jimmy.

— Chyba żartujesz — wzruszył ramionami Maury, stawiając na stole cukier i śmietankę. — Zjawi się pewnie o jedenastej w nocy i będzie strasznie zdziwiony, że mnie tu nie ma. — Westchnął z głębi piersi. — Biedna kobieta. Taka tragedia w rodzinie. W dodatku wygląda tak, jakby tylko spała. Była twoją pacjentką?

— Nie — pokręcił głową Jimmy — ale Ben i ja... Chcielibyśmy przy niej trochę posiedzieć. Tutaj, dziś wieczorem, Green sięgał właśnie po dzbanek, lecz zamarł w pół ruchu.

— Posiedzieć? Chciałeś powiedzieć — zbadać?

— Nie, tylko posiedzieć — powtórzył spokojnie Jimmy.

— Żartujesz sobie ze mnie? — Spojrzał na nich uważnie. — Nie, chyba nie. Do czego ci to potrzebne?

— Przykro mi, ale nie mogę ci powiedzieć, Maury.

— Aha. — Nalał kawę, usiadł z nimi przy stole i napił się ze swojej filiżanki.

— Niezbyt mocna. Bardzo smaczna. Była na coś chora? Coś zaraźliwego?

Ben i Jimmy wymienili szybkie spojrzenia.

— Coś w tym rodzaju, ale niezupełnie — odparł wreszcie Jimmy.

— I pewnie chciałbyś, żebym nikomu nic o tym nie gadał?

— Właśnie.

— A jeśli akurat zjawi się Norbert?

— Dam sobie z nim radę. Powiem mu, że Reardon kazał mi sprawdzić, czy nie ma jakichś śladów świadczących o przebytych zapaleniu mózgu.

Green skinął głową.

— Norbert nawet nie wie, jak sprawdza się godzinę na zegarku, chyba że ktoś mu podpowie.

— Więc jak będzie, Maury? Zgadzasz się?

— Jasne, jasne. Wydawało mi się, że mówiłeś o jakiejś poważnej przysłudze.

— Ta jest poważniejsza, niż myślisz.

— Jak skończę tę kawę, pojedę do domu zobaczyć, jakie to okropieństwo przygotowała Rachel na niedzielny obiad. Tu macie klucze. Nie zapomnijcie zamknąć drzwi, kiedy będziecie wychodzić. Jimmy schował klucze do kieszeni.

— Oczywiście. Wielkie dzięki, Maury.

— Nie ma o czym gadać. To znaczy, w zamian za to ty możesz mi wyświadczyć pewną przysługę.

— Jaką?

— Zapisz wszystko, co powie pani Glick, żeby można było dać to później do prasy.

Zarechotał z rozbawieniem, ale śmiech zamarł mu na ustach, kiedy zobaczył wyraz ich twarzy.

10

Za pięć siódma. Ben poczuł, jak z wolna ogarnia go coraz większe napięcie.

— Przystań się tak wściepać w ten zegar — odezwał się Jimmy. — Na pewno nie zaczniesz iść szybciej.

Ben poruszył się niepewnie.

— Osobiście wątpię, czy wampiry, o ile w ogóle istnieją, budzą się równo z zachodem słońca — dodał Jimmy. — Wtedy nigdy jeszcze nie jest zupełnie ciemno.

Mimo to wstał i wyłączył telewizor.

Cisza opadła na pokój niczym gruby koc. Ciało Marjorie Glick spoczywało na trzyczęściowym stole z nierdzewnej stali, który można było podnosić, opuszczać lub obracać pod dowolnym kątem. Był bardzo podobny do stołów znajdujących się w szpitalnych salach porodowych.

Natychmiast, kiedy tu weszli, Jimmy zsunął prześcieradło i przeprowadził krótkie badanie. Pani Glick miała na sobie pikowaną, ciemnowiśniową podomkę i zrobione na drutach kapcie, a na lewej łydce przyklejony kawałek plastra opatrunkowego, najprawdopodobniej skrywający jakieś skaleczenie. Ben odwrócił wzrok, ale jakaś przemożna siła kazała mu ponownie spojrzeć na zwłoki.

— I co myślisz? — zapytał Jimmy'ego.

— Najbliższe trzy godziny wszystko nam wyjaśnią, więc na razie nie mam najmniejszego zamiaru się deklarować, ale muszę stwierdzić, że jej stan zadziwiająco przypomina ten, w jakim był Ryerson — żadnego sinienia i ani śladu jakiegokolwiek stężenia pośmiertnego. — Po czym nakrył ciało prześcieradłem i nie odezwał się już ani słowem.

19.02.

— Gdzie masz swój krzyż? — zapytał nagle Jimmy. Ben drgnął nerwowo.

— Krzyż? Jezus, Maria, nie wzięłem go!

— Widać, że nigdy nie byłeś harcerzem — powiedział Jimmy, otwierając swoją lekarską torbę. — Ja zawsze jestem na wszystko przygotowany. Wyjął dwa drewnianka do badań laryngologicznych, zdarł z nich ochronny celofan, złożył je na krzyż i owinał plastrem.

— Pobłogosław go — powiedział, podając krzyż Benowi.

— Co? Nie potrafię... Nie wiem, jak to się robi.

— Więc coś wymyśl — odparł Jimmy z poważną, skupioną twarzą. — Jesteś pisarzem, więc możesz także zostać na chwilę księdzem. Pośpiesz się, na litość boską. Nie czujesz, że zaraz coś się stanie?

Ben czuł. Coś zbierało się w fioletowym mroku, coś niewidzialnego, ale ciężkiego i naładowanego olbrzymią energią. Poczuł, że ma zupełnie sucho w gardle i musiał zwilżyć językiem usta, zanim zdołał cokolwiek powiedzieć.

— W imię Ojca, Syna i Ducha Świętego — zaczął, a potem, tknięty nagłą myślą, dodał: - I w imię Przenajświętszej Marii Panny. Panie, pobłogosław ten krzyż i... i...

Nagle popłynęły z jego ust słowa spokojne, pewne i właściwe.

— Pan jest moim pasterzem, nie brak mi niczego. Pozwala mi leżeć na zielonych pastwiskach. Prowadzi mnie nad wody, gdzie mogę odpocząć; orzeźwia moją duszę...

Do jego głosu dołączył śpiewny głos Jimmy'ego:

— Wiedzie mnie po właściwych ścieżkach przez wzgląd na swoje imię. Choćby wszedł w mroczną dolinę śmierci, zła się nie ulękne...

Ben ze zdumieniem stwierdził, że prawie nie może oddychać, że całe jego ciało pokryło się gęsią skórką, a krótkie włosy na karku zaczęły go potwornie swędzieć, jakby zamieniły się w drobne, dokuczliwe haczyki.

— Twój kij i Twoja laska są tym, co mnie pociesza. Stój dla mnie zastawiasz wobec mych przeciwników; namaszczasz mi głowę olejkami; mój kielich jest przeobfity. Tak, dobroć i laska pójdą w ślad za...

Prześcieradło okrywające ciało Marjorie Glick nagle wyraźnie zadrżało, a w chwilę potem wysunęła się spod niego ręka i zaczęła macać niepewnie w powietrzu, kurczowo zaciskając i rozprostowując palce.

— Boże, czy ja naprawdę to widzę? — wyszeptał Jimmy. Pobladł tak bardzo, że pokrywające jego twarz piegi stały się nagle równie wyraźne, jak muszki

rozbryźnięte na przedniej szybie samochodu.

— ...mną przez wszystkie dni mego życia — dokończył Ben. — Jimmy, spójrz na krzyż.

Krzyż emanował wyraźnym, intensywnym blaskiem. W ciszy rozległ się powolny, zachrypnięty głos, równie ostry jak fragmenty rozbitej porcelany.

— Danny?

Ben poczuł, jak język przywiera mu do podniebienia. Ciało nakryte prześcieradłem usiadło. W pomieszczeniu nagle zaroilo się od ruchomych, zagadkowych cieni.

— Danny? Gdzie jesteś, kochanie?

Prześcieradło zsunęło się z głowy. W półmroku twarz Marjorie Glick przypominała promieniujące bladym, księżycowym światłem koło naznaczone czarnymi dziurami oczu. Dostrzegła ich niemal natychmiast i jej usta wykrzywiły się w ohydny, drapieżny grymasie. Niknący odbłask dnia padł na długie, ostre zęby.

Zsunęła nogi poza krawędź stołu; jeden z kapci spadł na podłogę, ale nie zwróciła na to uwagi.

— Siedź tam! — rozkazał jej Jimmy. — Nie ruszaj się! W odpowiedzi wydała ponury jęk, podobny do skamlenia psa, opuściła stopy na podłogę, wstała i chwiejnym krokiem ruszyła w ich kierunku. Ben z najwyższym trudem oderwał spojrzenie od jej głęboko zapadniętych oczu. Przypominały czarne, zakrwawione galaktyki. Odczuwało się potrzebę, żeby w nie skoczyć i utonąć.

— Nie patrz jej w twarz! — ostrzegł Jimmy'ego. Odruchowo cofali się przed nią, pozwalając się spychać w kierunku wąskiego korytarza, prowadzącego do schodów.

— Spróbuj krzyża, Ben.

Omal nie zapomniał, że go ma. Teraz wyciągnął go przed siebie, a krzyż rozbłysnął blaskiem jeszcze bardziej intensywnym niż do tej pory, zmuszając ich do zmrużenia oczu. Pani Glick zasyczała głośno i raptownie zasłoniła dłońmi twarz, której rysy wydawały się drzeć i wić niczym gniazdo węży. Stała, a po chwili zatoczyła się krok w tył.

— Mamy ją! — ryknął Jimmy.

Ben ruszył naprzód, ściskając w wyprostowanej ręce świecący krzyż. Marjorie Glick usiłowała dosięgnąć go zakrzywioną szponiasto dłonią, lecz Ben uchylił się i gwałtownie zbliżył go do jej twarzy; z gardła kobiety wydobył się przeraźliwy skowyt.

Dla Bena wszystkie następne wydarzenia miały jednolitą, szkarłatną barwę koszmaru. Choć czekały go jeszcze bardziej przerażające przeżycia, to w ciągu kilku najbliższych nocy w swoich snach widział wyłącznie Marjorie Glick cofającą się z wyszczerzonymi zębami w kierunku metalowego stołu, koło którego leżało zmięte prześcieradło i porzucony kapeć.

Cofała się niechętnie, spoglądając to na znienawidzony krzyż, to na odkrytą szyję Bena. Wydawane przez nią syczące i charczące dźwięki nie miały w sobie nic ludzkiego, a jej powolny odwrót upodabniał ją do czegoś w rodzaju ogromnego, niezdarnego owada. Gdyby nie ten krzyż, pomyślał Ben, rzuciłaby się na mnie, rozdarła mi gardło i chłęptałaby chciwie moją krew niczym człowiek, który przebył bez picia całą pustynię. Kapałaby się w niej. Jimmy usiłował zająć ją z boku, lecz ona nie zwracała na niego uwagi. Jej oczy były utkwione wyłącznie w Benie, czarne, wypełnione nienawiścią... i strachem.

Jimmy okrążył stół i w chwili, gdy odwróciła się do niego plecami, rzucił się na nią od tyłu, chwytając ją kurczowo za szyję.

Kobieta zaskrzeczała przeraźliwie i szarpnęła się z ogromną siłą. Ben zdążył dostrzec, jak paznokcie Jimmy'ego wbijają się w jej skórę, a następnie odrywają kawał ciała; rana była sucha niczym pozbawione warg usta. W następnym ułamku sekundy Marjorie Glick strząsnęła z siebie napastnika, odrzucając go w przeciwny koniec pokoju. Jimmy wylądował z łoskotem na podłodze, strącając ze stojaka przenośny telewizor Maury'ego Greena.

W mgnieniu oka znalazła się przy nim, poruszając się z oszałamiającą prędkością zdużającego ku zdobyczy pająka. Oczy Bena zarejestrowały następujące błyskawicznie jeden po drugim obrazy: skok, dłonie rozrywające kołnierzyk koszuli, przechyloną głowę, szeroko otwarte usta z błyszczącymi zębami, gwałtowne ukąszenie.

W pomieszczeniu rozległ się okropny krzyk człowieka, który wie, że już za późno na wszelki ratunek.

Ben rzucił się na nią, potykając o rozwleczone po podłodze szczątki telewizora. Słyszał jej chrapliwy oddech, a przede wszystkim obrzydliwy, wstrętny odgłos ssących łączywie warg.

Chwycił ją za kołnierz podomki i szarpnął w górę, zapominając na moment o krzyżu. Głowa kobiety odwróciła się z zaskakującą szybkością. Żrenice jej oczu były szerokie i błyszczące, a wargi i usta umazane krwią, niemal zupełnie czarną w panującym w pomieszczeniu półmroku.

Oddech, który poczuł na swojej twarzy, cuchnął rozkopanymi grobami. Jakby na zwolnionym filmie dostrzegł język, przesuwany się po sterczących lśniących zębach.

W chwili, gdy z potworną siłą pociągnęła go w swoją stronę, rozpaczliwym gestem wyciągnął przed siebie krzyż. Dwa sklezione plastrem drewnianki zetknęły się z jej ciałem tuż pod brodą, lecz Ben czuł, że jego ręka przesuwa się coraz wyżej, nie natrafiając na żaden opór. Na moment oślepnął, porażony jakimś czarnym blaskiem, którego źródła nie potrafił zlokalizować, a w jego nozdrza uderzył gorący smród przypiekanego ciała. Tym razem jej wrzask był pełen nieopisanego przerażenia. Ben bardziej wyczuł, niż zobaczył, że kobieta rzuciła się do tyłu, potknęła o rozbity telewizor i runęła na podłogę, próbując wyciągniętą ręką

złagodzić impet upadku. Niemal natychmiast z jakąś wilczą zwinnością znalazła się znowu na nogach, wpatrując się w niego oczami wypełnionymi bólem, ale i szaleńczym głodem. Skóra na jej dolnej szczęce była czarna i unosił się z niej cuchnący dym.

— Chodź tu, suko! — wydyszał z trudem. — No, chodź!

Zasłaniając się trzymanym w wyprostowanej ręce krzyżem, zmusił ją do cofnięcia się w przeciwległy kąt pomieszczenia. Miał zamiar unieruchomić ją tam i przycisnąć jej krzyż do czoła. Kiedy już wydawało mu się, że lada chwila będzie mógł tego dokonać, z jej gardła wydobył się przeraźliwy, skrzypiący chichot, przypominający odgłos, jaki można uzyskać skrobiąc ostrym widelcem po porcelanowym talerzu.

Nawet teraz się śmieję! Nawet teraz jestem silniejsza od ciebie!

Jej ciało nagle stało się zupełnie przezroczyste. Jeszcze przez sekundę miał wrażenie, że widzi ją ciągle przed sobą, śmiejącą mu się szyderczo w twarz, a potem rozproszony blask ulicznej latarni padał już tylko na pustą ścianę, jego system nerwowy zaś napięty do granic wytrzymałości przesłał mu niejasną, mało wyraźną informację, z której wynikało, że ohydna postać wtopiła się w mikroskopijne szczeliny w murze niczym rzadki dym, rozchodzący się błyskawicznie w powietrzu.

Marjorie Glick zniknęła.

Jimmy nadal krzyczał.

11

Ben włączył jarzeniówki zainstalowane pod sufitem i ruszył w jego stronę, lecz Jimmy już podniósł się z podłogi, przyciskając palce do szyi. Po dłoniach ciekły mu szkarłatne strużki krwi.

— Ugryzła mnie! — zawodził. — Boże, ona mnie ugryzła! Ben podszedł do niego, chcąc go objąć, ale Jimmy odepchnął go, tocząc dokoła przerażonym spojrzeniem.

— Nie dotykaj mnie! Jestem nieczysty.

— Jimmy...

— Daj mi moją torbę. Boże, Ben, ja to czuję! Czuję, że to we mnie jest! Jezu Chryste, daj mi prędzej torbę!

Leżała w kącie pokoju. Ben podniósł ją z podłogi, a Jimmy wyrwał z ręki i położył na pustym teraz stole. Jego pokryta potem twarz miała sinoblady, trupi kolor. Z rany na szyi wydobywał się pulsujący strumyk krwi. Usiadł na stole obok torby, otworzył ją i oddychając głośno przez na pół otwarte usta, zaczął w niej gorączkowo grzebać.

— Ugryzła mnie... — wymamrotał pod nosem. — Te usta... Boże, te ohydne usta...

Wreszcie udało mu się wydobyć buteleczkę ze środkiem dezynfekującym. Jednym ruchem zerwał z niej zakrętkę, a następnie przechylił głowę i wylał na szyję niemal całą zawartość naczynia. Wymieszana z bezbarwnym płynem krew pociekła na jego ubranie, stół i podłogę. Jimmy zacisnął powieki i krzyknął z bólu, ale dłoń, w której ścisnął buteleczkę, nawet nie zadrżała.

— Jimmy, co mogę. . .

— Za chwilę — wy stękał. — Poczekaj trochę. Zdaje się, że już lepiej. Poczekaj. . .

Rzucił butelkę, która roztrzaskała się na podłodze. Rana była teraz zupełnie czysta i Ben dostrzegł, że składają się na nią dwa ukłucia, umiejscowione w pobliżu żyły szyjnej; jedno z nich było paskudnie rozszarpane.

Jimmy wyjął z torby strzykawkę i jakąś ampułkę. Zdarł z igły ochronną warstwę plastiku i wbił ją w gumową membranę. Ręce tak mu się trzęsły, że udało mu się to zrobić dopiero za drugim razem. Kiedy strzykawka była pełna, podał ją Benowi.

— Przeciwtężcowy — powiedział. — Tutaj. — Wyciągnął rękę, wskazując ruchem głowy na pachę.

— Jimmy, to cię zwali z nóg. . .

— Nie bój się. Zrób to, prędko.

Ben wziął strzykawkę i spojrzał mu pytająco w oczy. Jimmy skinął głową, więc zacisnął zęby i wbił igłę.

Ciało Jimmy'ego wyprężyło się niczym stalowa sprężyna. Przez chwilę przypominał pełną ekspresji rzeźbę, z wyraźnie zaznaczonymi wszystkimi pasemkami mięśni, a potem stopniowo zaczął się odprężać. Ben dostrzegł, że na jego twarzy oprócz grubych kropli potu pojawiły się także łzy.

— Dotknij mnie krzyżem — wyszeptał. — Jeżeli nadal jestem nieczysty, to. . . to coś się stanie.

— Jesteś pewien?

— Tak. Kiedy ją ze mnie zgoniłeś, chciałem wstać i ci pomóc, ale spojrzałem na krzyż. . . i o mało nie zwymiotowałem. Tak było, Bóg mi świadkiem.

Ben przyłożył mu krzyż do policzka. Żadnej reakcji. Tajemniczy blask zniknął, jakby go nigdy nie było.

— W porządku — westchnął Jimmy. — To chyba wszystko, co możemy zrobić. — Poszperał jeszcze raz w torbie, wydobył dwie pastylki i wsadził je do ust. — Środek znieczulający — wyjaśnił. — Wspaniały wynalazek. Dzięki Bogu, że poszedłem do klozetu, zanim. . . zanim to się zdarzyło. Chyba się zlałem, ale nie było tego więcej niż sześć kropli. Mógłbyś zabandażować mi szyję?

— Chyba tak.

Jimmy wręczył mu gazę, plaster i chirurgiczne nożyczki. Kiedy Ben nachylił się nad raną, dostrzegł, że jej brzegi mają brzydkie, krwistosiny kolor. Jimmy drgnął, kiedy opatrunek dotknął poszarpanej tkanki.

— Z początku myślałem, że zwariuję — powiedział. — Dotknięcie jej warg... Ukąszenie... A potem, kiedy zaczęła ssać, było mi dobrze, rozumiesz? To właśnie jest najgorsze. Nie uwierzysz, ale miałem autentyczny wzwód. Gdybyś jej nie odciągnął, pewnie pozwoliłbym... pozwoliłbym, żeby...

— To już nieważne, Jimmy.

— Jest jeszcze jedna rzecz, którą muszę zrobić, choć mi się to wcale nie podoba.

— To znaczy?

— Możesz na mnie spojrzeć?

Ben właśnie uporał się z opatrunkiem i cofnął o pół kroku.

— O co...

Jimmy trzasnął go zaciśniętą pięścią w szczękę. Ben zatoczył się wstecz i usiadł z rozmachem na podłodze. Kiedy sprzed jego oczu zniknęły wirujące, kolorowe koła, spostrzegł, że Jimmy schodzi ostrożnie ze stołu i rusza w jego kierunku. To właśnie nazywa się niespodziewanym zakończeniem, pomyślał rozpaczliwie, macając na oślep wokół siebie w poszukiwaniu krzyża. Ty durniu, ty cholerny, naiwny durniu...

— Nic ci się nie stało? — zapytał Jimmy. — Przepraszam, ale jest znacznie łatwiej, jeśli zrobi się to zniechacka.

— Do diabła, co ty...

Jimmy usiadł obok niego na podłodze.

— Oto historia, jaką będziemy wszystkim opowiadać — powiedział. — Nie należy do najbardziej wymyślnych, ale jestem pewien, że Maury Green ją potwierdzi. Dzięki niej będę mógł w dalszym ciągu wykonywać swój zawód i nie trafimy do ciupy ani do czubków. Najważniejsze jest to, żebyśmy zostali na wolności i mogli walczyć z... tymi istotami. Rozumiesz, do czego zmierzam?

— Chyba tak — odparł Ben, dotykając delikatnie szczęki. Po lewej stronie czuł wyraźne zgrubienie, powiększające się z każdą chwilą.

— Kiedy byłem zajęty badaniem pani Glick, ktoś wtargnął do środka, znokautował cię, a następnie wykorzystał mnie w roli worka treningowego — mówił dalej Jimmy. — Kiedy wzięliśmy się za bary, ugryzł mnie, żeby się uwolnić. To wszystko, co pamiętamy. Wszystko, rozumiesz?

Ben skinął głową.

— Facet miał na sobie ciemny, nieprzemakalny płaszcz, może granatowy, a może zielony i szarą albo zieloną czapkę. Nic więcej nie zdążyłeś zauważyć, jasne?

— Czy nie myślałeś nigdy o tym, żeby powiesić dyplom na ścianie i wziąć się za pisanie książek?

— Moja wyobraźnia działa wyłącznie wtedy, kiedy trzęsą mi się portki — odparł z uśmiechem Jimmy. — Zapamiętałeś, co masz mówić?

— Tak. Moim zdaniem ta historyjka wcale nie jest taka zła. To przecież nie pierwsze ciało, które ostatnio zniknęło w tajemniczych okolicznościach.

— Mam nadzieję, że oni też tak pomyślą, ale szeryf okręgowy ma więcej oleju w głowie, niż Parkins Gillespie kiedykolwiek widział na półce w sklepie. Musimy być bardzo ostrożni. Postaraj się nie przekoloryzować.

— Myślisz, że ktoś może dopatrzeć się jakiegoś związku? Jimmy potrząsnął głową.

— Nie ma na to najmniejszej szansy. Będziemy musieli sami sobie radzić. I nie zapominaj, że od tej chwili jesteśmy przestępcami.

Zaraz potem zadzwonił do Maury'ego Greena, a następnie do szeryfa okręgowego Homera McCaslina.

12

Ben wrócił do pensjonatu mniej więcej piętnaście minut po północy i zaparzył sobie kawę w opustoszałej kuchni, a następnie popijając ją wolno przypominał sobie z najdrobniejszymi szczegółami wszystkie wydarzenia minionego wieczoru, jak człowiek, który o mało nie runął w przepaść z wysokiego urwiska.

Szeryf okręgowy okazał się wysokim, łysiejącym mężczyzną, który ani na chwilę nie przestawał żuć tytoniu. Poruszał się powoli, lecz jego oczy sprawiały wrażenie niezmiernie spostrzegawczych. Z tylnej kieszeni spodni wyciągnął olbrzymich rozmiarów notes, umocowany do długiego łańcuszka, a spod zielonej, wełnianej kamizelki staromodne wieczne pióro. Podczas kiedy przesłuchiwał Bena i Jimmy'ego, jego dwaj zastępcy zajmowali się poszukiwaniem odcisków palców i robieniem zdjęć. Maury Green stał skromnie z boku, od czasu do czasu rzucając na Jimmy'ego zdumione spojrzenia.

Co sprowadziło ich do domu pogrzebowego Greena?

Jimmy wziął to pytanie na siebie, wygłaszając krótki odczyt na temat zapalenia mózgu.

Czy doktor Reardon wie o tym?

Nie, raczej nie. Wydawało im się, że lepiej zbadać to najpierw po cichu, zanim zdecydują się podzielić z kimś swymi podejrzeniami. Doktor Reardon był znany ze swego, powiedzmy, niezdecydowania.

Co z tym zapaleniem? Miała je czy nie?

Prawie na pewno nie. Jimmy skończył badanie w chwili, kiedy wtargnął ten człowiek w płaszczu przeciwdeszczowym. Co prawda, nie może jednoznacznie stwierdzić, na co umarła ta kobieta, ale z całą pewnością nie na zapalenie mózgu.

Czy mogą opisać faceta?

Powtórzyli szeryfowi to, co wcześniej ustalili. Ben z własnej inicjatywy dodał jeszcze parę brązowych butów na grubej podeszwie, żeby ich relacje nie brzmiały tak, jakby były odczytywane z jednej kartki.

McCaslin zadał jeszcze kilka pytań i Ben zaczął już przypuszczać, że wywiną się z tego bez szwanku, kiedy szeryf niespodziewanie zwrócił się ponownie do niego.

— A co pan tu robi, panie Mears? Przecież nie jest pan lekarzem, prawda?

Bystre oczy spoglądały na niego dobronudnie. Jimmy otworzył już usta, żeby coś powiedzieć, ale McCaslin powstrzymał go ruchem dłoni.

Jeżeli szeryf oczekiwał, że to zadane zniemacka pytanie zmusi Bena do okazania niepokoju lub zmieszania, to spotkał go srogi zawód. Ben miał zbyt świeżo w pamięci niedawne przeżycia, żeby zareagować w jakiś wyraźny sposób. W kontekście tego, co przeszedł kilkadziesiąt minut wcześniej, możliwość przychwyceń na kłamstwie nie zrobiła na nim niemal żadnego wrażenia.

— Owszem, nie jestem lekarzem, tylko pisarzem. Piszę książki. Jedną z głównych postaci w tej, nad którą obecnie pracuję, jest syn właściciela domu pogrzebowego. Skorzystałem z okazji i przyjechałem z Jimmym, żeby poznać trochę realiów. Nie pytałem go, co chce tutaj robić, bo sam mi powiedział, że wolałby o tym nie mówić. — Potarł szczękę, na której zdążył już wykwitnąć okazały siniak. — Szczerze mówiąc, nie spodziewałem się niczego w tym rodzaju.

McCaslin nie wydawał się ani zadowolony, ani rozczarowany.

— Ja myślę. To zdaje się pan napisał *Córkę Conwaya*?

— Owszem.

— Moja żona czytała fragment w jakimś kobiecym piśmie, zdaje się, że w *Cosmopolitan*. Ryczała ze śmiechu. Ja też to przeczytałem, ale nie widziałem nic śmiesznego w naćpanej nastolatce.

— Mnie również wcale to nie śmieszyło — powiedział Ben, patrząc szeryfowi prosto w oczy.

— Ta nowa książka, którą pan pisze, ma być o Salem?

— Tak.

— Może powinien pan najpierw dać ją do przeczytania Greenowi — zasugerował McCaslin. — Powie panu, jak wyszły fragmenty z synem właściciela domu pogrzebowego.

— Jeszcze ich nie zacząłem — odparł Ben. — Zawsze najpierw zbieram materiały. To bardzo pomaga w pracy. McCaslin potrząsnął z zastanowieniem głową.

— Wiecie, ta wasza historyjka przypomina mi jakąś marną książeczkę o Fu Manchu. Tajemniczy facet włazi przez zamknięte drzwi, rozkłada na podłodze dwóch silnych mężczyzn i ucieka z ciałem jakiejś biednej kobiety, która zmarła nie bardzo wiadomo na co.

— Posłuchaj, Homer... — zaczął Jimmy.

— Nie mów do mnie Homer — przerwał mu McCaslin. — Nie podoba mi się to imię, podobnie jak cała ta historia. Zapalenie mózgu jest zaraźliwe, zgadza się?

— Tak — przyznał ze znużeniem w głosie Jimmy.

— A mimo to przywiozłeś ze sobą tego pisarza? Wiedząc, że może to złapać?

Jimmy wzruszył ramionami, usiłując sprawić wrażenie lekko zirytowanego.

— Ja nie kwestionuję pańskich zawodowych umiejętności, szeryfie, więc pan musi zaufać moim. Wirusy powodujące zapalenie mózgu rozprzestrzeniają się jedynie za pośrednictwem układu krwionośnego, toteż miałem prawo przypuszczać, że wizyta tutaj nie wiąże się z żadnym ryzykiem. Szczerze mówiąc wolałbym, żeby zaczął pan szukać tego, kto zabrał ciało pani Glick, nawet gdyby miało się okazać, że to rzeczywiście Fu Manchu. Chyba że rozmowa z nami sprawia panu po prostu tak dużą przyjemność. . .

Pokaźny brzuch szeryfa uniósł się w głębokim westchnieniu; McCaslin zamknął notes i wepchnął go z powrotem do tylnej kieszeni.

— Nie bój się, Jimmy, roześlemy informację. Wątpię, czy to cokolwiek da, chyba że ptaszek znowu wyleci z lasu, a ja w to nie wierzę, bo moim zdaniem nikogo takiego po prostu nie było.

Jimmy spojrzał na niego z uniesionymi pytająco brwiami.

— Obydwaj kłamiecie — wyjaśnił cierpliwie szeryf. — Ja to wiem, wiedzą moi zastępcy, wie o tym nawet poczciwy Maury. Nie mam pojęcia, czy kłamiecie od początku do końca, czy tylko trochę, ale zdaję sobie doskonale sprawę z tego, że dopóki któryś z was się nie wygada, nie będę wam mógł niczego udowodnić. Mógłbym wsadzić was do paki, ale niestety macie prawo wezwać prawnika, a nawet najmniejszy adwokacina wyciągnąłby was w ciągu pięciu minut, bo nie mam na was nic oprócz mojego prywatnego Podejrzenia O Jakąś Cholerną Machloję. W dodatku przypuszczam, że wasi prawnicy nie są marnymi adwocinami, zgadza się?

— Zgadza — potwierdził Jimmy.

— Mimo to i tak bym was wsadził, choćby po to, żeby zrobić wam na złość, gdyby nie przecucie, że choć łżecie, aż się kurzy, to nie zrobiliście nic złego. — Kopnął ze złością pedał stojącego przy metalowym stole kubła na śmieci. Błyszcząca pokrywa odskoczyła z trzaskiem, a szeryf splunął do środka brązową od tytoniu śliną. Maury Green podskoczył nerwowo. — Czy ktoś z was chciałby zmienić swoje zeznania? — zapytał bez śladu prowincjonalnego akcentu. — To poważna sprawa. W ostatnim czasie w Salem mieliśmy cztery zgony i wszystkie cztery ciała zniknęły bez śladu. Chcę wiedzieć, co się właściwie dzieje.

— Powiedzieliśmy wszystko, co wiemy — oświadczył spokojnie, lecz stanowczo Jimmy i spojrzał na McCaslina. — Nie możemy dodać nic więcej.

Szeryf przez chwilę przyglądał im się spod zmrużonych powiek.

— Obydwaj robicie ze strachu w portki — oświadczył wreszcie. — Wyglądacie dokładnie tak samo jak chłopcy w Korei, kiedy wracali z linii frontu.

Zastępcy przerwali swoją pracę i spoglądali na nich w milczeniu. Ani Ben, ani Jimmy nie odezwali się ani słowem.

McCaslin westchnął po raz kolejny.

— Dobra, zabierajcie się stąd. Jutro o dziesiątej rano macie być w moim biurze, żeby podpisać zeznania. Jeśli się nie stawicie, wyślę po was radiowóz.

— Nie będzie pan musiał — odparł Ben.

McCaslin obrzucił go ponurym spojrzeniem i potrząsnął głową.

— Powinien pan pisać inne książki, panie Mears. Takie, jak te z Travisem McGee. Tam naprawdę jest co poczytać.

13

Ben wstał, opłukał pod kranem filiżankę i zatrzymał się przy oknie, spoglądając w ciemność roztaczającą się za szybą. Kto dzisiaj czytał się w nieprzeniknionym mroku? Marjorie Glick, która wreszcie odnalazła swojego syna? Mike Ryerson? Floyd Tibbits? Carl Foreman?

Odwrócił się i poszedł na górę.

Kładąc się spać zostawił na stole włączoną lampę, a w zasięgu ręki sklejoną plasterem krzyż, dzięki któremu pokonał panią Glick. W ostatniej chwili przed zaśnięciem przemknęła mu niewyraźna myśl, czy Susan jest bezpieczna i czy aby nic jej nie grozi.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Mark

1

Kiedy usłyszał trzask łamanych gałązek dobiegający ze sporej odległości, schował się za pniem potężnego świerku i czekał na tego, kto się pojawi. Oni nie byli w stanie poruszać się za dnia, co nie znaczyło, że nie mogli mieć na swoich usługach zwykłych ludzi. Jednym ze sposobów na ich zdobycie były pieniądze, lecz Mark wiedział, że nie był to sposób jedyny. Widział przecież w miasteczku tego Strakera; jego oczy przypominały ślepią ropuchy wygrzewającej się na kamieniu. Sprawiał wrażenie kogoś, kto może złamać dziecku rękę, nie przestając się przy tym ani na chwilę uśmiechać.

Dotknął rękojeści spoczywającego w jego kieszeni ciężkiego pistoletu ojca. Przeciwno

n i m kule nie stanowiły żadnej broni — chyba żeby były ze srebra — ale już taki Straker z pewnością nic by nie poradził na starannie wymierzony strzał między oczy.

Jego wzrok spoczął na opartym o pień drzewa długim pakunku, zawiniętym w stary ręcznik. Za domem leżała sterta żółtych przeznaczonych do kominka palików, które wraz z ojcem cięli w lipcu i sierpniu mechaniczną piłą pożyczoną od McCullocha. Mark znał długość każdego palika: trzy stopy, z dokładnością do jednego cala. Ojciec wiedział, jakie wymiary są najbardziej odpowiednie, podobnie jak o tym, że po jesieni nadejdzie zima i że żółty, czysty popiół w kominku będzie dłużej promieniował wesołym ciepłem.

Jego syn natomiast znał jeszcze inne przeznaczenie takich palików. Rano, kiedy rodzice poszli na niedzielną przechadzkę, wziął jeden z nich i naostrzył go swoją harcerską siekierką. Koniec był może niezbyt dokładnie wygładzony, ale powinien spełnić swoją rolę.

W pewnej chwili u podnóża wzgórza dostrzegł mignięcie kolorowego materiału i przywarł do szorstkiej kory, zerkając ostrożnie zza pnia jednym okiem. Niebawem ujrzał postać wspinającą się po zboczu; była to dziewczyna. Poczuł nagły przypływ ulgi zmieszanej z odrobiną rozczarowania: a więc nie jeden z poleczników diabła, tylko córka pani Norton.

Przyjrząwszy się jej uważniej, aż wstrzymał oddech ze zdumienia: ona też niosła zaostrowany kołek! Kiedy zbliżyła się jeszcze bardziej, o mało nie wybuchnął gorzkim śmiechem. Był to fragment przeciwnieźnego płotu. Po dwóch mocnych uderzeniach młotkiem zostałyby z niego tylko drzazgi.

Wszystko wskazywało na to, że minie jego drzewo po prawej stronie. W miarę jak podchodziła bliżej, przesuwiał się wokół pnia uważając, żeby nie nadepnąć na jakąś zdradliwą suchą gałązkę. Wreszcie udało mu się osiągnąć to, co zamierzał: znalazł się za jej plecami, obserwując, jak powoli zbliża się do skraju lasu. Z uznaniem stwierdził, że dziewczyna porusza się bardzo ostrożnie. To dobrze. Świadczyło to o tym, że pomimo tego śmiesznego kołka z płotu zdaje sobie w jakimś stopniu sprawę z tego, co jej grozi. Mogła jednak wpakować się w poważną kabałę, bo Straker był w domu. Mark czatował wśród drzew od wpół do pierwszej i widział, jak tysy mężczyzna wyszedł na zarośnięty trawą podjazd, popatrzył na drogę, a następnie wszedł z powrotem do budynku. Chłopiec usiłował właśnie obmyślić jakiś sensowny plan działania, kiedy pojawiła się ta dziewczyna, wprowadzając do sytuacji nowy, nieoczekiwany element.

Może jednak nic jej się nie stanie. Przycupnęła za kępą krzewów i przyglądała się budynkowi. Mózg Marka pracował na najwyższych obrotach. Najwyraźniej o wszystkim wiedziała. Nieważne skąd, ale na pewno wiedziała, bo w przeciwnym razie nie taszczyłaby ze sobą tego żalosnego kijka. Chyba powinien ostrzec ją, że Straker kręci się po okolicy. Na pewno nie wzięła żadnej broni.

Zastanawiał się właśnie, jak zasygnalizować jej swoją obecność, nie wywołując dzikiego wrzasku przerażenia, kiedy zza budynku dobiegł warkot uruchamianego silnika. Dziewczyna drgnęła wyraźnie i Mark przestraszył się, że rzuci się za chwilę do ucieczki, łamiąc gałęzie i powiadamiając o swojej obecności wszystkich w promieniu co najmniej stu mil, ale zaraz potem skuliła się jeszcze bardziej, wbijając w ziemię palce z taką siłą, jakby się bała, że ta za chwilę może się spod niej wymknąć. Głupia, ale odważna, pomyślał z uznaniem.

Samochód Strakera wyjechał tyłem zza domu — ze swojej kryjówki dziewczyna miała na pewno znacznie lepszy widok, bo on mógł tylko dostrzec czarny dach packarda — przystanął na moment, po czym ruszył drogą w kierunku miasteczka.

Mark zdecydował, że muszą połączyć siły. Wszystko było lepsze od perspektywy samotnej wędrówki po wnętrzu ponurego budynku. Znał już przedsmak panującej w nim zatrutej atmosfery. Wyczuł ją w odległości pół mili, a im bardziej się zbliżał, tym bardziej dawała mu się we znaki.

Pobiegł szybko po grubym dywanie z igieł i położył dziewczynie dłoń na ramieniu. Wyczuł, jak naprężają się jej mięśnie i wiedział, że lada chwila zacznie krzyżeć, więc powiedział szybko:

— Nie wrzeszcz, to tylko ja.

Zamiast krzyku z jej płuc wyrwał się strumień wstrzymanego powietrza. Od-

wróciła do niego swoją pobladłą twarz.

— T-t-to znaczy k-kto?

Usiadł koło niej na ziemi.

— Nazywam się Mark Petrie. Znam cię. Ty jesteś Sue Norton. Mój tata zna twojego tatę.

— Petrie...? Henry Petrie?

— Zgadza się, to mój ojciec.

— Co tu robisz? — Jej oczy wędrowały po nim z niedowierzaniem, jakby jeszcze nie dotarło do niej, że to wszystko dzieje się naprawdę.

— To samo co ty. Tyle tylko, że ten twój kijek do niczego się nie nadaje. Jest...

— zawahał się przez chwilę, wyławiając z pamięci słowo, które znał z lektur i ze słyszenia, ale sam nigdy go nie używał — ... zbyt filigranowy.

Spojrzała na ściskany w dłoni kawałek przeciwnieźnego płotu i zarumieniła się po uszy.

— Ach, to... Znalazłam go w lesie i pomyślałam, że ktoś może się przewrócić i zrobić sobie jakąś krzywdę, więc...

Przerwał niecierpliwie te tak typowe dla dorosłych, bezsensowne usprawiedliwienia.

— Przyszedłeś tu po to, żeby zabić wampira, zgadza się?

— Skąd przyszedł ci do głowy taki pomysł? Dlaczego akurat wampira?

— Bo właśnie wampir próbował się do mnie dobrać dzisiaj w nocy — odparł poważnym tonem. — Prawie mu się udało.

— To absurd. Taki duży chłopak nie powinien...

— To był Danny Glick.

Umilkła i zamrugła raptownie powiekami, jakby stuknął ją dla zabawy w szczękę. Zaciśnęła mocno dłoń na jego ręce. Spojrzeli sobie prosto w oczy.

— Mówisz serio, Mark?

— Tak. — Opowiedział jej w skrócie, co mu się przydarzyło.

— I przyszedłeś tutaj zupełnie sam? — zapytała, kiedy skończył. — Uwierzyłeś, że to prawda, a mimo to przyszedłeś?

— Jak to, uwierzyłem? — Spojrzał na nią z nie udawanym zdziwieniem. — W co niby miałem uwierzyć? Przecież widziałem, no nie?

Na te słowa nie znalazła żadnej odpowiedzi. Nagle poczuła ogromne wyrzuty sumienia z powodu wątpliwości (to i tak było zbyt łagodne określenie), z jakimi odniosła się do relacji Matta.

— A ty skąd się tutaj wzięłaś?

Zawahała się przez chwilę.

— Kilka osób z miasteczka podejrzewa, że w tym domu mieszka ktoś, kogo jeszcze nikt nie widział, i że ten ktoś może być... — Słowo uwięzło jej w gardle, ale Mark skinął głową na znak, że rozumie. Choć poznała go zaledwie kilka minut

temu, wydał się jej nadzwyczajnym chłopcem. — Więc postanowiłam tu przyjść, żeby to sprawdzić — zakończyła raptownie.

Wskazał ruchem głowy na jej kołek.

— Przyniosłaś to, żeby mu wbić w serce?

— Nie wiem, czy dałabym radę.

— Ja bym dał — stwierdził chłodno. — A już na pewno po tym, co widziałem w nocy. Danny unosił się za oknem niczym ogromna mucha, a jego zęby... — Potrząsnął głową, uwalniając się od wspomnień o koszmarze w taki sam sposób, w jaki businessman uwalnia się od myśli o zbankrutowanym kliencie.

— Czy twoi rodzice wiedzą, że tu jesteś? — zapytała Susan, znając z góry odpowiedź.

— Nie — odparł po prostu. — Niedziela to dzień, kiedy zajmują się naturą. Rano chodzą na spacer słuchać śpiewu ptaków, a po południu też robią coś w tym rodzaju. Czasem się z nimi zabieram, a czasem nie. Dzisiaj mieli pojechać nad ocean,

— Niezwykły z ciebie chłopak — zauważyła.

— Wcale nie — zaprzeczył, nie dając po sobie poznać, czy komplement sprawił mu przyjemność. — Ale jego pozbędę się za wszelką cenę. — Spojrzał na wznoszący się przed nimi budynek.

— Jesteś pewien... .

— Jestem. Ty zresztą też. Nie czujesz tego zła? Nie boisz się, kiedy na niego patrzysz?

— Masz rację — przyznała. Logika Marka była logiką nieświadomych impulsów nerwowych i w przeciwieństwie do tej, jaką posługiwali się Ben i Matt, nie sposób było się jej oprzeć.

— Jak to zrobimy? — zapytała, bezwiednie przekazując mu kierownictwo przedsięwzięcia.

— Po prostu wejdziemy tam, znajdziemy go, wbijemy mu kołek — mój kołek — w serce i wyjdziemy. Przypuszczam, że powinien być gdzieś w piwnicy. One lubią ciemność. Masz latarkę?

— Nie.

— Do licha, ja też nie. — Zaszurał niezdecydowanie nogami w gęstym dywanie uschniętych igieł. — Pewnie nie wzięłaś też krzyża?

— Wzięłam — odparła Susan, wyciągając zza bluzki tani łańcuszek.

Mark skinął głową i pokazał jej własny.

— Mam nadzieję, że zdołam odłożyć go na miejsce, zanim staruszkowie wrócą do domu — mruknął niewesoło. — Podwędziłem go ze szkatułki matki. Nieźle by mi się dostało, gdyby to zauważyła.

Rozejrzał się dookoła. Podczas ich rozmowy cienie wyraźnie się wydłużyły, lecz mimo to obydwójce najchętniej siedzieliby tak bez końca.

— Kiedy go znajdziemy, nie patrz mu w oczy — powiedział Mark. — Przed zapadnięciem zmroku nie da rady wyjść ze swojej trumny, ale może cię zahipnotyzować. Znasz na pamięć jakąś modlitwę albo coś w tym rodzaju?

Przedarli się przez krzaki i wyszli na zaniedbany trawnik otaczający Dom Marstenow.

— „Ojcze nasz”...

— Świetnie, ta będzie najlepsza. Ja też ją znam. Będziemy ją odmawiać, kiedy zacznę wbijać kołek.

Dostrzegłszy wyraz odrazy i niepewności malujący się na jej twarzy, wziął ją za rękę i mocno ścisnął. Sposób, w jaki potrafił nad sobą zapanować, nie mieścił się jej po prostu w głowie.

— Posłuchaj: musimy to zrobić. Założę się, że po ostatniej nocy ma już co najmniej połowę miasteczka. Jeśli będziemy czekać, załatwi je całe. Teraz to pójdzie naprawdę błyskawicznie.

— Dlaczego akurat po ostatniej nocy?

— Miałem sen. — Głos Marka był spokojny, ale jego oczy przypominały kolorem zachmurzone niebo. — Widziałem, jak całe ich stada włączyły się od domu do domu i błagały, żeby je wpuścić do środka. Niektórzy ludzie przeczuwali, co ich czeka, ale mimo to je wpuszczali, bo łatwiej im było to zrobić, niż uwierzyć w istnienie czegoś tak potwornego.

— To tylko sen — powiedziała niepewnie Susan.

— Jestem pewien, że dzisiaj mnóstwo ludzi leży w łóżkach za szczelnie zasłoniętymi oknami i zastanawia się, czy przypadkiem nie złapali grypy albo czegoś w tym rodzaju. Są osłabieni, mają zawroty głowy, a na samą myśl o jedzeniu chce im się rzygać.

— Skąd tyle o tym wiesz?

— Czytam pisma grozy i oglądam wszystkie filmy, jakie się da — odparł. — Zwykle mówię mamie, że idę na jakąś kreskówkę Disneya. Nie można wierzyć we wszystko, co pokazują, bo czasem chodzi im tylko o to, żeby było więcej krwi.

Dotarli do ściany budynku. Niezła z nas kompania, pomyślała Susan. Stary nauczyciel, na pół zbzikowany z powodu nadmiaru przeczytanych książek, pisarz, prześladowany zapamiętanymi z dzieciństwa koszmarami, i mały chłopak, doksztalający się z wampiologii za pomocą filmów i tanich czasopism. A ja? Czy ja też w to wierzę? Czy paranoidalne fantazje są zaraźliwe?

Wierzyła.

Mark miał rację: w bezpośredniej bliskości Domu Marstenow nie sposób było zdobyć się na jakąkolwiek kpinę. Nad wszystkimi myślami, a nawet nad najniewinniejszą rozmową unosił się ponury cień, a jakiś głos, który wcale nie był głosem, krzyczał przeraźliwie: Niebezpieczeństwo! Niebezpieczeństwo! Susan czuła raptowne uderzenia serca i pot spływający jej strużkami po ciele, lecz mimo to jej skóra była chłodna dzięki działaniu adrenaliny, rozszerzającej w chwili stresu

naczynia włoskowate i zatrzymującej krew w głębszych warstwach organizmu. Jeszcze nigdy nie miała tak wyostzonego wzroku, rejestrującego wszystkie zadrapania i odpryski farby na drewnianej ścianie budynku. A wszystko to działo się bez żadnego widocznego powodu: nikt nie celował do niej z pistoletu, nie ścigało jej stado krwiożerczych psów, nie czuła zapachu dymu. Z bardzo długiego snu obudził się strażnik znacznie bardziej czujny niż jej pięć zmysłów. Nie należało ignorować ostrzeżenia.

Zajrzała do wnętrza przez szparę w okiennicy.

— Nic jeszcze nie zrobili — powiedziała niemal z gniewem. — Wciąż ten sam bałagan.

— Podsadź mnie.

Splotła mocno dłonie, a on stanął na nich i przycisnął twarz do starej, rozpadającej się okiennicy. Przez brudną szybę dostrzegł obszerny, zaniedbany pokój, którego podłogę pokrywała gruba warstwa kurzu (widać na niej było wiele śladów stóp). Ze ścian odłaziła tapeta, na środku stały trzy drewniane krzesła i porysowany stół, a w kątach pod sufitem wisiały pajęczyny.

Zanim zdołała zaprotestować, Mark zamachnął się i uderzył tępym końcem swojego kołka w przerdzewiałą zasuwkę, która natychmiast oderwała się i spadła na ziemię, okiennice zaś zaskrzypiały przeraźliwie i uchyliły się o cal lub dwa.

— Chyba nie powinienesz... .

— A według ciebie co mamy zrobić? Zadzwoń do drzwi?

Otworzył do końca prawą okiennicę i stuknął w mniejszą, dolną szybę. Pokryte zaciekami i omszałym nalotem szkło rozprysło się z brzękiem na kawałki. Susan po raz drugi tego popołudnia poczuła w ustach ohydny smak gorącej, roztopionej miedzi.

— Możemy jeszcze uciec — wyszeptała bardziej do siebie niż do niego. W spojrzeniu, jakim ją obrzucił, nie było pogardy, tylko zrozumienie i strach niemal równie wielki jak jej.

— Idź, jeśli musisz — powiedział.

— Nie, nie muszę. — Spróbowała przełknąć suchy kłębek, który utkwiał jej w gardle, ale bez powodzenia. — Pośpiesz się, ciężki jesteś.

Oczyścił ramę ze sterczących odłamków szkła, przełożył kołek do drugiej ręki, sięgnął do środka i przekręcił mosiężną kłamkę. Okno jęknęło cicho, gdy naparł na oba jego skrzydła, a potem stanęło otworem.

Mark zeskoczył na ziemię. Przez chwilę obydwójce wpatrywali się bez słowa w otwarte okno. Wreszcie Susan zrobiła krok naprzód, uniosła ręce do góry i chwyciła dłońmi za wyszczerbiony parapet. Strach wypełniał jej brzuch niczym jakiś potworny płód. Dopiero teraz zrozumiała, co czuł Matt Burke, kiedy szedł na spotkanie z tym, co czekało na niego w pokoju gościnnym.

Zawsze do tej pory mniej lub bardziej świadomie przedstawiała sobie strach w formie prostego równania: strach = nieznanne. Żeby je rozwiązać, wystarczy-

ło posłużyć się najprostszymi, zapamiętanymi ze szkoły metodami. Nieznane = skrzypiąca podłoga (albo coś w tym rodzaju); skrzypiąca podłoga = nic, czego należałoby się bać. We współczesnym świecie zasada rozwiązywania równań pozwalała uporać się z najbardziej dokuczliwymi lękami. Oczywiście, niektóre z nich były w pełni uzasadnione (nie prowadź samochodu, jeśli jesteś tak pijana, że nie widzisz kierownicy; nie wyciągaj przyjaznej ręki do ujadających psów; nie umawiaj się z nieznanymi chłopcami), ale aż do tej chwili nie wierzyła, że strach może przerastać wszelką zdolność rozumienia, być wszechogarniający i paraliżujący. To równanie nie miało rozwiązania. Samo zmuszenie się do wykonania kroku naprzód wymagało nieprawdopodobnego heroizmu.

Podskoczyła, podciągając się jednocześnie na rękach, przełożyła nogę przez parapet, usiadła na nim, zeskoczyła na podłogę i rozejrzała się dookoła. Prawie natychmiast poczuła ten zapach, wydobywający się ze ścian niemal dostrzegalnymi oparami. Usiłowała sobie wytłumaczyć, że to tylko woń zmurszałego, wilgotnego tynku i odchodów gnieźdzących się w budynku stworzeń — ptaków, szczurów, może nawet jednej lub dwóch łasic — lecz w tym zapachu było coś więcej niż tylko odór zwierząt, coś znacznie bardziej odstręczającego, kojarzącego się jej z wymiocinami, łzami i ciemnością.

— Hej! — zawołał półgłosem Mark. Nad parapetem pojawiły się jego wyciągnięte ręce. — Pomóż mi trochę.

Wychyliła się, chwyciła go pod pachy i podciągnęła w górę. Kiedy jego dłonie znalazły pewny uchwyt, wciągnął się zwinnie do wnętrza. Zeskoczył głośno na podłogę, a potem w domu znowu zapanowała cisza.

Wsluchiwali się w nią, zafascynowani jej doskonałością. Nie zakłócał jej nawet delikatny, wysoki szum, stanowiący odgłos pracujących na jałowym biegu zakończeń nerwowych. Był tylko martwy, ogromny bezdźwięk i łoskot krwi pulsującej w uszach.

Mimo to obydwójce doskonale wiedzieli, że nie są sami.

2

Pierwszy otrząsnął się Mark.

— Chodźmy — wyszeptał. — Trzeba się rozejrzeć. Ścisnął mocniej w dłoni zaostriżony kołek i rzucił przelotne, tęskne spojrzenie na otwarte szeroko okno.

Razem ruszyli powoli w kierunku hallu. Zaraz za drzwiami stał mały stolik, a na jego blacie leżała samotna książka. Mark wziął ją do ręki.

— Znasz łacinę? — zapytał.

— Uczyłam się trochę w szkole.

— Co to znaczy? — wskazał na grzbiet.

Marszcząc brwi przeczytała tytuł na głos, po czym potrząsnęła głową.

— Nie wiem.

Otworzył książkę na chybił trafił i skrzywił się odruchowo. Ilustracja przedstawiała nagiego mężczyznę trzymającego w wyciągniętych rękach ciało dziecka rozprute od gardła do krocza. Odłożył książkę, zadowolony, że może się jej tak łatwo pozbyć (w dotyku szorstkiej okładki było coś niepokojąco znajomego) i obydwójce skierowali się w stronę kuchni. W tej części hallu panował już niemal półmrok, bo słońce świeciło z innej strony budynku.

— Czujesz to? — zapytał.

— Tak.

— Śmierdzi chyba jeszcze gorzej niż w pokoju.

— Chyba tak.

Przypomniał sobie, jak kiedyś, jeszcze w poprzednim domu, zepsuły się w spiżarni dwa kosze pomidorów. Ten zapach był właśnie podobny do woni wilgotnej papkowatej zgnilizny.

— Boże, ależ się boję! — szepnęła Susan.

Wyciągnął do niej rękę, którą skwapliwie chwyciła i mocno ścisnęła.

Linoleum leżące na podłodze w kuchni było zmurszałe i popękane, a przed porcelanowym zlewem niemal całkowicie wytarte. Centralne miejsce zajmował duży, sfatygowany stół, na którym znajdował się żółty talerz, nóż, widelec i kawałek surowego hamburgera.

Drzwi do piwnicy stały otworem.

— Musimy tam zejść — powiedział Mark.

— Och. . . — jęknęła słabo.

Światło zdawało się nie mieć dość siły, żeby zajrzeć w mroczną czeluść, natomiast wysuwający się z niej język ciemności lizał chciwie podłogę kuchni, czekając na nadejście nocy, kiedy będzie mógł połknąć ją całą. W tym czarnym mroku kryło się coś niewyobrażalnie złowieszczonego. Susan stała jak sparaliżowana, nie mogąc wykrztusić nawet słowa.

Mark podszedł do drzwi, pchnął je, otwierając na oścież i zatrzymał się na chwilę, z zaciśniętymi szczękami spoglądając w otwierającą się przed nim otchłań.

— Wydaje mi się. . . — zaczął, lecz w tej samej chwili Susan usłyszała za sobą jakiś odgłos i odwróciła się, wiedząc już, że i tak jest za późno. Był to Straker. Uśmiechał się.

Mark obejrzał się, zobaczył to samo co ona i rzucił się w bok, usiłując ominąć zagradzającego mu drogę mężczyznę, ale pięść Strakera wykonała krótki zamach i uderzyła go w podbródek, pozbawiając przytomności.

3

Kiedy Mark odzyskał przytomność, przekonał się, że ktoś niesie go po schodach. Jednak z całą pewnością nie były to schody do piwnicy, nie czuł bowiem chłodu ani wilgoci. Pozwalając w dalszym ciągu swojej głowie kołysać się bezwładnie w takt kroków niosącego go człowieka, uchylił nieznacznie oczy; znajdowali się na drewnianych schodach prowadzących na piętro. Widział wszystko bardzo wyraźnie. Słońce jeszcze nie zaszło, więc pozostawała jakaś nadzieja.

W chwili, gdy dotarli do podestu, trzymające go ręce nagle zwolniły swój uchwyt i Mark runął z łoskotem na podłogę, uderzając się boleśnie w głowę.

— Czy myślisz, mój młody panie, że nie potrafię się zorientować, kiedy ktoś udaje nieboszczyka? — zapytał Straker. Patrząc na niego z tej pozycji łatwo można było odnieść wrażenie, że ma co najmniej dziesięć stóp wzrostu. W gęstniejącym mroku jego łysa głowa błyszczała z dyskretną elegancją. Mark dostrzegł z przerażeniem, że mężczyzna ma przewieszony przez ramię zwój liny.

Błyskawicznym ruchem sięgnął do kieszeni po pistolet.

Straker roześmiał się donośnie.

— Pozwoliłem sobie usunąć tę zabaweczkę, młody panie. Mali chłopcy nie powinni bawić się bronią, na której się nie znają, podobnie jak nie powinni zakradać się w towarzystwie młodych dam do domów, do których nikt ich nie zapraszał.

— Co pan zrobił Susan?

Straker uśmiechnął się chłodno.

— Zaprowadziłem ją tam, gdzie sama miała zamiar pójść, czyli do piwnicy. Po zachodzie słońca spotka się tam z człowiekiem, którego chciała poznać. Ty także go poznasz, młody panie, może jeszcze dziś, a może dopiero jutro. Oczywiście, może zostawić cię dziewczynie, ale ja osobiście przypuszczam, że będzie chciał sam się tobą zająć. Ona ma przecież swoich przyjaciół, w tym kilku równie wścibskich jak ty.

Mark wykonał gwałtowne kopnięcie obiema nogami, usiłując trafić Strakera w krocze, ale ten odsunął się płynnym, niemal tanecznym ruchem i w ułamek sekundy później czubek jego buta trafił chłopca w nerkę. Mark zagryzł z całej siły wargi i skulił się na podłodze.

Straker zachichotał.

— Proszę na nogi, młody panie.

— Nie mogę...

— W takim razie będziesz się czołgał — stwierdził Straker z pogardą w głosie. Kopnął Marka ponownie, tym razem w mięsień uda. Ból był okropny, lecz Mark tylko mocniej zacisnął zęby i z trudem uniósł się na kolana, a potem na nogi.

Szarpący ból w nerce przycichł nieco, zamieniając się w tępe pulsowanie.

— Co pan chce ze mną zrobić?

— Związać cię jak kurczaka, mój młody przyjacielu. Potem, kiedy mój Pan już z tobą skończy, zostaniesz uwolniony.

— Tak jak inni?

Straker tylko się uśmiechnął.

W chwili, kiedy Mark pchnął drzwi i wszedł do pokoju, w którym popełnił samobójstwo Hubert Marsten, w jego umyśle zaczęło się dziać coś dziwnego. Strach bynajmniej z niego nie zniknął, ale przestał spełniać rolę zaciśniętego z całej siły hamulca, blokującego dopływ wszelkich użytecznych sygnałów. Myśli przemykały z zadziwiającą szybkością, nie w formie słów ani obrazów, ale coś w rodzaju symbolicznego zapisu stenograficznego. Mark odniósł wrażenie, iż zamiast mózgu ma w głowie żarówkę, do której niespodziewanie dopłynął ożywczy strumień prądu.

Samo pomieszczenie wydawało się najzupełniej zwyczajne. Tapety wisiały w strzępach, odsłaniając biały tynk i szarą zaprawę. Na podłodze leżała gruba warstwa kurzu i gipsowego pyłu; widać w niej było pojedynczy ślad, jakby ktoś wszedł do pokoju, rozejrzał się, a następnie wyszedł. W różnych miejscach pomieszczenia leżały lub stały stosy starych czasopism, żelazne łóżko bez sprężyn i materaca oraz niewielka, metalowa płytką ze starannie wykonanym ornamentem, zamykająca niegdyś otwór wentylacyjny w ścianie kominka. Okiennice były zatrzasknięte, lecz przez szpary sączyło się dość światła, by Mark mógł ocenić, że do zachodu słońca pozostała najwyżej godzina. Pokój emanował atmosferą wiekowego nieładu.

Wejście do pomieszczenia, obrzucenie go spojrzeniem i przejście na jego środek, gdzie zatrzymał się na polecenie Strakera, zajęło mu około pięciu sekund. W tym krótkim czasie jego umysł zdążył przeanalizować trzy najbardziej prawdopodobne warianty dalszego rozwoju sytuacji.

W pierwszym z nich rzucał się raptownie do zamkniętego okna, usiłując przebić się przez szyby i okiennice niczym bohater westernu, ryzykując upadek z nieznanej wysokości. Galopująca wyobraźnia podsunęła mu natychmiast obraz ciała nadziejającego się na sterczące fragmenty maszyn rdzewiejących pod ścianą budynku, a w chwilę potem drugą wersję tego wariantu, kiedy to okiennice okazują się bardziej solidne, niż należało się spodziewać, i Straker odciąga go, krwawiącego obficie z licznych ran, od roztrzaskanej szyby.

W drugim Straker wiązał go i odchodził, a on leżał na podłodze obserwując gasnące światło i szarpiąc się coraz bardziej gwałtownie, co nie znaczy, że efektywnie, a potem na schodach rozlegały się kroki kogoś milion razy bardziej groźnego od Strakera.

W wariacie trzecim użył podstępu, o którym przeczytał niedawno w książce o Houdinim. Houdini był słynnym magikiem, potrafiącym w cudowny sposób wydostać się z każdej, celi, zamkniętych z zewnątrz skrzyń, bankowych skarbów, wydrążonych pni drzew wrzuconych w rwący nurt rzeki, a także uwolnić

z każdych więzów. W książce było napisane, że podczas pokazów, kiedy jeden z widzów zakładał na niego pęta, Houdini wstrzymywał oddech i napinał mięśnie ramion oraz karku. Po rozluźnieniu mięśni zawsze okazywało się, że więzy nie są tak ciasne, jak wydawało się temu, kto je zakładał. Zasada polegała na tym, żeby następnie całkowicie się odprężyć i powoli, konsekwentnie torować sobie drogę do wolności, nie pozwalając ani na moment ogarnąć się panice. Z upływem czasu ciało pokrywało się potem, który działał jak znakomity smar. Czytając książkę można było odnieść wrażenie, że to najprostsza rzecz pod słońcem.

— Odwróć się — polecił Straker. — Będę cię wiązał, a ty masz się w tym czasie nie ruszać. Jeżeli się poruszysz, wy dźbię ci prawe oko. — Mówiąc to pokazał Markowi pięść z uniesionym w górę kciukiem. — Rozumiesz?

Mark skinął głową. Nabrał pełne płuca powietrza, wstrzymał oddech i napiął wszystkie mięśnie.

Straker zdjął z ramienia linę i przerzucił ją przez jedną z belek.

— Połóż się.

Skrępował Markowi ręce za plecami, a następnie splótł pętlę z liny, zarzucił mu na szyję i zacisnął z tyłu wisielczym węzłem.

— Będziesz przywiązany do tej samej belki, na której powiesił się kiedyś przyjaciel i opiekun mego Pana. Mam nadzieję, że ci to pochlebia?

Mark mruknął coś niewyraźnie, a Straker zarechotał pod nosem. Przeprowadził linę między nogami chłopca i szarpnął mocno. Mark jęknął.

— Cóż to, zabolaty cię klejnoty? — zapytał łysy mężczyzna z udawaną troskliwością. — Nie bój się, nie będą ci już potrzebne. Czeka cię długie, ascetyczne życie, mój chłopcze. Bardzo długie.

Owinął linę wokół ud Marka, zacisnął węzeł, oplótł ją dokoła jego kolan, a następnie jeszcze raz wokół kostek. Mark myślał już tylko o tym, żeby wreszcie zaczerpnąć powietrza.

— Drzysz, mój młody panie! — zauważył kpiącym tonem Straker. — Twoje mięśnie są napięte, a ciało blade, ale zapewniam cię, że będzie jeszcze bledsze! Nie masz potrzeby się tak bardzo bać. Mój Pan ma litościwe serce. Jest bardzo kochany, nawet tu, w tym miasteczku. To tylko małe ukłucie, jakby igłą, a potem nieopisana słodycz. Później będziesz wolny. Na pewno odwiedzisz swoich rodziców, prawda? Zjawisz się u nich, kiedy już będą spać.

Podniósł się i obrzucił chłopca dobrotliwym spojrzeniem.

— Tymczasem się pożegnamy, młody panie. Muszę zatroszczyć się o wygodę twej uroczej towarzyszki. Kiedy znowu się zobaczymy, na pewno mnie polubisz.

Wyszedł, zatraskując za sobą drzwi. W dawno nie oliwionym zamku zazgrzytał przekręcany klucz. Kiedy na schodach rozległy się cichnące kroki, Mark z donośnym westchnieniem ulgi wypuścił rozrywające mu płuca powietrze i rozluźnił mięśnie.

Ucisk więzów odrobinę zelżał.

Leżał bez ruchu, zbierając siły. Jego umysł w dalszym ciągu pracował z tą samą nienaturalną, oszłamiającą szybkością. Spojrzał w bok na żelazną ramę łóżka, tuż nad powybrzuszaną, nierówną podłogą. Ze ściany, przy której stało, zwisały strzępy tapety niczym płaty skóry liniejącego węża. Utkwił wzrok w jakimś punkcie na ścianie, usiłując o niczym nie myśleć. W książce było napisane, że najważniejsza jest koncentracja. Należy za wszelką cenę oczyścić umysł ze strachu, podniecenia i paniki. Ciało ma być zupełnie odprężone, każdy ruch zaś musi być najpierw dokładnie przeanalizowany.

Minuty mijały, a on nadal wpatrywał się w ścianę.

Jej powierzchnia była biała i nierówna niczym ekran w starym kinie pod odkrytym niebem. W chwili, kiedy udało mu się rozluźnić każde, nawet najdrobniejsze pasemko mięśni, dostrzegł na niej samego siebie — niedużego chłopca w granatowej koszulce i dżinsach. Chłopiec leżał na boku ze związanymi z tyłu rękoma i dłońmi dotykającymi kręgosłupa tuż nad pośladkami. Gdyby zaczął się szarpać, założona na jego szyję pętla zacisnęłaby się, odcinając dopływ krwi do mózgu.

Wciąż patrzył na ścianę.

Widoczna na niej postać poruszyła się ostrożnie, choć on sam nadal leżał bez najmniejszego ruchu. Łapczywie pożerał wzrokiem maleńką sylwetkę. Udało mu się osiągnąć stopień koncentracji fakirów i joginów, potrafiących całymi dniami wpatrywać się w swoje stopy albo czubek nosa, lub stan, do jakiego doprowadzały się pewne media, bez udziału świadomości przesuwające meble albo wysuwające z różnych części ciała macki ektoplazmy. W gęstniejącym z każdą chwilą mroku nie myślał o Strakerze, nie widział brudnej podłogi, żelaznej ramy łóżka ani nawet samej ściany. Widział tylko małego chłopca wykonującego ledwie dostrzegalny taniec, na który składały się ostrożne, starannie kontrolowane skurcze mięśni.

A potem sam zaczął poruszać dłońmi, zakreślając nimi maksymalnie szerokie półkola. Działy jedynie mięśnie obu przedramion. Nie śpieszył się. Patrzył w ścianę.

Kiedy skóra pokryła się potem, dłonie zaczęły poruszać się swobodniej. Półkola zamieniły się w niemal pełne obroty. Stykały się już nie tylko kciuki, ale także wierzchy dłoni. Zaciśnięta na nich pętla znowu odrobinę się rozluźniła.

Zamarł w bezruchu.

Po pewnym czasie zaczął trzeć kciukami o wewnętrzne powierzchnie dłoni i rytmicznie zaciskać palce. Jego pozbawiona wszelkiego wyrazu twarz przypominała plastikowe oblicze sklepowego manekina.

Minęło pięć minut. Pot ściekał mu po dłoniach grubymi kroplami. Dzięki niezwykłej koncentracji udało mu się uzyskać częściową kontrolę nad współczulnym układem nerwowym, a tym samym, zupełnie bezwiednie, mógł w pewnym stopniu sterować nieświadomymi czynnościami swojego organizmu. Pocił się znacznie bardziej, niż mogło to wynikać z intensywności i zakresu jego ostrożnych

ruchów. Dłonie stały się niemal oleiste śliskie, a kapiące z czoła krople potu znaczyły ciemnymi plamami białą warstwę kurzu zalegającego podłogę. Potem uruchomił bicepsy i mięśnie grzbietu, przesuując ramiona w górę i w dół niczym tłoki w jakichś potężnych cylindrach. Co prawda, pętla na szyi zacisnęła się nieznacznie, ale jednocześnie poczuł, że lina opasująca prawą dłoń zaczęła się wyraźnie ześlizgiwać. Ogarnęła go nagła fala podniecenia, więc natychmiast znieruchomiał, czekając, aż odpłynie. Kiedy to nastąpiło, bezzwłocznie wznowił ruchy. Góra — dół, góra — dół, góra — dół. Za każdym razem zyskiwał jakąś jedną ósmą cala, a potem, zupełnie niespodziewanie, prawa dłoń była już wolna.

Przez jakiś czas poruszał nią ostrożnie, a kiedy odzyskała sprawność, wsunął palce pod linę owiniętą wokół lewej dłoni i rozluźnił ją.

Obie ręce były wolne.

Wyciągnąwszy je przed siebie, przymknął na moment oczy. Teraz dowcip polegał na tym, by nie uwierzyć zbyt wcześnie, że już się udało, w dalszym ciągu należało działać z wielką precyzją.

Podparł się lewą ręką, pozwalając prawej wędrować po zawiłościach węzła zacisniętego na karku. Zrozumiał, że chcąc się uwolnić, będzie musiał niemal się udusić, wzmagając jednocześnie nacisk na przyciśniętą liną jądra, które i tak dawały cały czas znać o sobie tępym, pulsującym bólem.

Odetchnąwszy głęboko zabrał się do rozsupływania węzła. Lina napinała się coraz bardziej, wrzynając się głęboko w jego szyję i krocze. Miał wrażenie, że ktoś wbija mu w gardło niezliczone, drobne igiełki. Węzeł opierał się przez nieskończenie długie chwile. Markowi zaczęły już tańczyć przed oczami czarne kwiaty, wykwitłe nie wiadomo skąd i kiedy, ale nie przyśpieszył ruchów. Ciągnął ostrożnie, niezbyt mocno, aż w pewnym momencie lina naprężyła się jeszcze bardziej, by zaraz potem zwisnąć bezwładnie. Konwulsyjnym szarpnięciem ściągnął pętlę z szyi.

Siedział z opuszczoną głową, chwytając łączywie powietrze i przyciskając dłonie do obolałego krocza. Tępy, pulsujący ból sprawiał, że zbierało mu się na wymioty.

Kiedy po jakimś czasie odrobinę przycichł, Mark uniósł głowę i spojrzał w okno. Światło sączące się przez szczeliny miało barwę ciemnej ochry; słońce musiało już prawie skryć się za horyzontem, a on miał jeszcze do pokonania drzwi zamknięte na klucz.

Ściągnąwszy linę z belki zajął się oswobodzaniem swoich nóg. Krępujące je więzy były zacisnięte z ogromną siłą, z jego zaś niedawnej koncentracji pozostały jedynie żałosne szczątki.

Mimo to udało mu się uwolnić uda, kolana, a wreszcie, po nieskończenie długiej walce, także kostki. Podniósł się z trudem na nogi i natychmiast zatoczył, o mało nie upadając, więc zaczął rozcierać zdrętwiałe kończyny.

Do jego uszu dobiegł jakiś odgłos: kroki.

Ogarnięty paniką rozejrzył się dookoła, a potem doskoczył do okna, usiłując je otworzyć. Było zabite gwoździami.

Kroki zaczęły wspinać się po schodach.

Otarł usta dłonią, obrzucając pomieszczenie przerażonym spojrzeniem. Dwa stosy czasopism. Metalowa płytki. Żelazna rama łóżka.

Podbiegł do niej i szarpnął rozpaczliwie. W tym momencie jacyś nieznani bogowie, widząc, jak bardzo już sam sobie pomógł, postanowili dołożyć i swoją małą cegielkę.

W chwili, gdy kroki dotarły do podestu i ruszyły w kierunku drzwi, Mark skończył odkręcać śrubę mocującą do ramy solidną żelazną nogę.

4

Kiedy drzwi się otworzyły, Mark stał za nimi niczym Indianin z tomahawkiem wystruganym z kawałka drewna, ściskając w obu dłoniach uniesioną nad głową żelazną nogę.

— Młody panie, przyszedłem po. . .

Straker umilkł, dostrzegłszy rozwiązana linę leżącą na podłodze, i co najmniej przez sekundę stał bez najmniejszego ruchu, sparaliżowany zaskoczeniem.

Mark odniósł wrażenie, że bierze udział w odtwarzanej w dużym zwolnieniu akcji. Wydawało mu się, że ma kilka minut na to, by wycelować starannie w łusą czaszkę wysuniętą nieznacznie poza krawędź drzwi.

Zadał cios oburącz, ale nie najmocniej, jak mógł, rezygnując z części siły na rzecz większej dokładności. Żelazna noga trafiła Strakera tuż nad skronią, dokładnie w chwili, gdy zaczął odwracać głowę, żeby zajrzeć za drzwi. Oczy otwarte szeroko ze zdumienia zacisnęły się w paroksyzmie bólu, a z rany na czaszce trysnął zadziwiająco obfity strumień krwi.

Straker zachwiał się i zatoczył w głąb pokoju. Przerażający grymas wykrzywił jego twarz. Wyciągnął przed siebie ręce i w tym momencie Mark uderzył po raz drugi. Masywna noga spadła na łusą czaszkę tuż nad wypukłością czoła.

Straker osunął się bezwładnie na podłogę.

Mark zbliżył się do ciała, wpatrując się w nie wybałuszonymi oczami. Grubszy koniec nogi, którą nadal ściskał w dłoniach, był wymazany krwią. Patrząc na nią czuł, że zbiera mu się na wymioty, ale spoglądając na Strakera nie czuł dokładnie nic.

Zabiłem go, pomyślał. A zaraz potem: to dobrze. To dobrze.

Dłoń Strakera zacisnęła się na jego kostce.

Mark rozpaczliwie wciągnął powietrze, usiłując wyszarpnąć nogę, ale dłoń trzymała niczym stalowa pułapka, Straker zaś wpatrywał się w niego błyszczącymi oczami świecącymi w okrywającej jego twarz szkarłatnej, krwawej masce.

Poruszył ustami, lecz nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Mark szarpnął jeszcze raz, bez rezultatu, więc jęcząc przeraźliwie zaczął okładać żelazną maczugą ciągnącą go z coraz większą siłą rękę. Raz, drugi, trzeci, czwarty. Rozległ się okropny odgłos łamanych palców, uścisk zelżał i Mark wyszarpnął się wreszcie, zataczając z rozpędu aż na korytarz.

Głowa Strakera opadła bezwładnie na podłogę, ale jego zmasakrowana dłoń nadal zaciskała się i otwierała niczym łapa psa, któremu śni się pogoń za kotem. Noga łóżka wysunęła się ze zmartwiałych palców Marka; drżąc na całym ciełe cofał się w kierunku schodów, a potem ogarnięty paniką odwrócił się i zbiegł po nich przeskakując po dwa i trzy stopnie, czepiając się kurczowo dłonią rozeschniętej poręczy. W hallu na parterze panowała przerażająca ciemność.

Wślizgnął się do kuchni, rzucając obłąkane, ukradkowe spojrzenia na szeroko otwarte drzwi do piwnicy. Słońce kryło się właśnie za horyzontem, rozpalając zachodni nieboskłon feerią fioletu, żółci i czerwieni. W oddalonym o szesnaście mil domu pogrzebowym Maury'ego Greena Ben Mears wpatrywał się we wskazówki zegara, które zawahały się między 19.01 a 19.02.

Mark nie miał o tym pojęcia, ale zdawał sobie doskonale sprawę, że nadszedł już czas wampirów. Zostać dłużej oznaczało podjąć ryzyko najgroźniejszej z możliwych konfrontacji; zejść do piwnicy, żeby ratować Susan, równało się dołączeniu do szeregów Wiecznie Żywych.

Mimo to podszedł do drzwi piwnicy i nawet zszedł w dół trzy stopnie, kiedy strach ścisnął go niemal fizycznymi pętami, nie pozwalając uczynić ani kroku więcej. Szlochał i drżał spazmatycznie niczym w ataku malarii.

— Susan! — krzyknął. — Uciekaj!

— To ty, Mark? — rozległ się jej niepewny, oszołomiony głos. — Nic nie widzę, tu jest zupełnie ciemno. . .

Dał się słyszeć nagły, głuchy łoskot, przypominający nieco przytłumiony strzał z broni palnej, a zaraz potem ohydny, bezduszny chichot.

Susan krzyknęła przeraźliwie. . . lecz niemal natychmiast jej krzyk zamienił się w przeciągły jęk, by wreszcie ustąpić miejsca kompletnej ciszy.

Mimo to Mark został na swoim miejscu, choć miękkie jak z wosku nogi w każdej chwili mogły się pod nim ugiąć.

Z piwnicy dobiegł przyjazny głos, zadziwiająco podobny do głosu jego ojca.

— Chodź tu, mój chłopcze. Budzisz we mnie podziw. Potęgą tego głosu była tak wielka, że natychmiast zniknęły pęta krępującego go strachu, a wosk w nogach zamienił się w ołów. W ostatniej chwili zorientował się, że o mało nie zszedł stopień niżej.

— Chodź, chłopcze — powtórzył głos, tym razem znacznie wyraźniejszy i bliższy. Pod wierzchnią warstwą ciepła i troskliwości kryła się niewzruszona stal kategorycznego rozkazu.

— Wiem, jak się nazywasz! — krzyknął w ciemność Mark. — Barlow!

I rzucił się do ucieczki.

Kiedy znalazł się w hallu, przerażenie wróciło z całą swoją mocą; gdyby drzwi nie były otwarte, z pewnością przebiłby się po prostu przez nie, zostawiając wyszarpany zarys swojej sylwetki.

Popędził przed siebie podjazdem zarośniętym trawą (tak samo, jak wiele lat temu mały Benjamin Mears), a następnie środkiem Brooks Road w kierunku miasteczka i wątpliwego schronienia. Czy jednak król wampirów nie podąży w jego ślady?

Skręcił raptownie w las i pognał na oślep między drzewami. Przebiegł z donośnym pluskiem przez strumień, zaplątał się na chwilę w kępę łopianu rosnącą na drugim brzegu, a wreszcie wpadł na swoje podwórko.

Wślizgnął się do domu przez tylne drzwi i zajrzał ostrożnie przez zwieńczone łukiem przejście do salonu, gdzie matka z niepokojem wypisanym wielkimi literami na twarzy rozmawiała z kimś przez telefon.

W pewnej chwili uniosła przypadkiem wzrok; ulga, jaką odczuła na jego widok, była równie widoczna, jak przed chwilą troska.

— Właśnie przyszedł. . .

Nie czekając na odpowiedź odłożyła słuchawkę i podeszła do niego. Zauważył z większą przykrością, niż kiedykolwiek mógłby dać temu wyraz, że płakała.

— Och, Mark. . . Gdzie byłeś?

— Co, wrócił? — zawołał z pokoju ojciec. Choć Mark nie widział jego twarzy, był pewien, że jest czerwona z gniewu.

— Powiedz, gdzie byłeś?! — powtórzyła matka, potrząsając nim z całej siły.

— Na dworze — odpowiedział słabym głosem. — Przewróciłem się, kiedy biegłem do domu.

Tylko tyle mógł im powiedzieć. Najbardziej charakterystyczną cechą dzieciństwa nie jest łatwość, z jaką marzenia mieszają się z jawą, lecz całkowite wyobcowanie. Nie istnieją słowa, które mogłyby opisać mroczne lęki i przeżycia dziecka. Mądre dziecko zdaje sobie z tego sprawę i zgadza się na związane z tym konsekwencje. W momencie, kiedy zaczyna sporządzać dokładny bilans zysków i strat, przestaje być dzieckiem.

— Zapomniałem, że jest późno — dodał. — Właśnie chciałem. . . Przerwał, widząc zbliżającego się ojca.

5

W ciemności, tuż przed poniedziałkowym świtem.

Skrobanie do okna.

Obudził się i oprzytomniał w mgnieniu oka, bez pośredniego etapu odzyskiwania pełni świadomości. Okropieństwa snu i jawy zadziwiająco się do siebie upodobniły.

Biała twarz po drugiej stronie szyby była twarzą Susan.

— Wpuść mnie, Mark. . .

Wstał z łóżka. Bosymi stopami czuł zimno podłogi. Jego ciałem wstrząsnął dreszcz.

— Odejdź — powiedział spokojnie. Zwrócił uwagę, że dziewczyna ma na sobie tę samą bluzkę i spodnie. Ciekawe, czy jej rodzice także się niepokoją, pomyślał.

— To wcale nie jest takie straszne — wyszeptała, wpatrując się w niego pozbawionymi blasku oczami i uśmiechnęła się, odsłaniając lśniące, ostre zęby. — Było bardzo przyjemnie. Wpuść mnie to ci pokażę. Pocałuję cię, Mark. Pocałuję cię tak, jak nigdy nie całowała cię twoja matka.

— Odejdź — powtórzył.

— Któres z nas prędzej czy później cię dosięgnie — powiedziała. — Jest nas teraz bardzo dużo. Pozwól, żebym to była ja. Jestem. . . Jestem głodna. — Usiłowała znowu się uśmiechnąć, lecz tym razem jej twarz wykrzywiła się tylko w ohydny grymasie, od którego zrobiło mu się jeszcze zimniej niż do tej pory.

Uniósł krzyż i przycisnął go do szyby.

Syknęła przeraźliwie i odepchnęła się od okna. Przez chwilę wisiała nieruchomo w powietrzu, podczas gdy jej ciało robiło się coraz bardziej przezroczyste, a potem zniknęła, lecz Mark zdążył jeszcze dostrzec na jej twarzy (a może tylko mu się zdawało?) wyraz przepelnionej bólem rozpacz.

Ponownie zapadła cisza.

Jest nas teraz bardzo dużo.

Pomyślał o rodzicach śpiących piętro niżej, nie zdających sobie sprawy z niebezpieczeństwa, i poczuł, jak strach wypełnia mu wnętrze roztopionym ołowiem.

Zanim weszli do Domu Marstenów, powiedziała mu, że są jeszcze inni, którzy wiedzą lub podejrzewają.

Kto?

Z pewnością ten pisarz, z którym się spotykała. Ben Mears. Mieszka w pensjonacie Evy Miller. Pisarze dużo wiedzą. Tak, to na pewno on. Musi się z nim zobaczyć, zanim ona tego nie zrobi.

Zatrzymał się raptownie w połowie drogi do łóżka.

O ile już jej się to nie udało.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Ojciec Callahan

1

W ten sam niedzielny wieczór, dokładnie za kwadrans siódma, ojciec Callahan wszedł z wahaniem do szpitalnego pokoju Matta. Stolik i kołdra były zasłane książkami, z których część pokrywała gruba warstwa kurzu. Matt zadzwonił do mieszkania Loretty Starcher i nie tylko nakłonił ją do tego, żeby otworzyła w niedzielę bibliotekę, lecz również udało mu się ją przekonać, by dostarczyła mu osobiście wszystkie zamówione książki. Zjawiła się na czele procesji, składającej się z trzech posługaczy uginających się pod ciężarem opasłych tomów, odeszła zaś nieco rozdrażniona, Matt bowiem odmówił wyjaśnień na temat przyczyn, jakie skłoniły go do złożenia tak niezwykłego zamówienia.

Ojciec Callahan obrzucił nauczyciela uważnym spojrzeniem. Chory sprawiał wrażenie dość steranego człowieka, ale nie do tego stopnia i nie w tak przygnębiający, ostępiały sposób, jak większość parafian, których duszpasterz odwiedzał w podobnych okolicznościach. Callahan przekonał się, że najczęstszą reakcją na wiadomość o raku, udarze, zawale serca lub awarii jakiegoś ważnego organu jest poczucie doznanej krzywdy i zdrady. Pacjent z reguły nie może się pościć ze zdumienia, że tak bliski (i lojalny przynajmniej do tej pory) przyjaciel jak jego własne ciało mógł okazać się bydlakiem, który uchyla się od wykonywania swoich obowiązków. Zaraz potem pojawiała się refleksja, iż podobnie niesolidny przyjaciel w ogóle nie zasługuje na to miano, ostateczny zaś wniosek sprowadzał się do konkluzji, że w gruncie rzeczy i tak nie ma to najmniejszego znaczenia. Wobec własnego ciała nie sposób zachowywać wyniosłego milczenia, przestać mu listu utrzymanego w ostrym tonie ani udać, że nikogo nie ma w domu. Ostatnią myślą, jaka nawiedzała przykutych do szpitalnego łóżka ludzi, było mrozące krew w żyłach podejrzenie, iż ciało w rzeczywistości nigdy nie było przyjacielem, lecz wrogiem zdecydowanym za wszelką cenę zniszczyć nadrzędną siłę, która je stworzyła, wykorzystwała, a następnie porzuciła, gdy tylko wdarły się w nie wirusy rozumu.

Kiedyś, w przypiływie pijackiego uniesienia, Callahan zaczął nawet pisać na ten temat monografię dla *Tygodnika Katolickiego*, zamieszczając na stronie tytułowej rysunek przedstawiający mózg balansujący na krawędzi dachu wieżowca.

Budynek (z wyraźną tabliczką „Ciało”) stał w płomieniach (podpisanych słowem „Rak”, choć mogłoby to być cokolwiek innego), cały zaś rysunek nosił tytuł *Zbyt wysoko, by skoczyć*. Jednak już następnego dnia w ostrym ataku trzeźwości podarł zarówno dopiero zaczęta monografię, jak i sam rysunek; w katolickiej doktrynie nie było miejsca ani dla jednego, ani dla drugiego, chyba żeby dorysować jeszcze helikopter z napisem „Jezus” i dyndającą drabinką sznurową. Mimo to czuł, że jego przemyślenia były słuszne i że rezultatem takiej „łózkowej” logiki niemal zawsze jest ostra depresja. Wśród objawów należało wymienić zamglone spojrzenie, powolne reakcje, głębokie westchnienia, a czasem także łzy pojawiające się na widok księdza, tego czarnego kruka, którego rola nie nasuwała najmniejszych wątpliwości każdemu, kto od jakiegoś czasu roztrząsał problem własnej, i nie tylko, śmiertelności.

Matt Burke nie wykazywał żadnych objawów tego typu. Wyciągnął rękę i z zaskakującą siłą uściśnął Callahanowi dłoń.

— Cieszę się, że ksiądz przyszedł.

— Ja także, mój synu. Dobrzy nauczyciele, niczym mądre żony, to rzadki i nadzwyczaj cenny skarb.

— Nawet tacy zatwardziali agnostycy jak ja?

— Szczególnie tacy — odparł Callahan z nie ukrywaną satysfakcją. — Być może uda mi się przyłapać pana z opuszczoną gardą. Mówiono mi, że w okopach podczas wojny liczba ateistów maleje w zastraszającym tempie, a na oddziałach intensywnej terapii trzeba ich szukać ze świecą w ręku.

— Ale mnie mają niedługo przenieść.

— Nieważne — machnął ręką Callahan. — Zobaczysz pan, że już niebawem będzie pan klepał zdrowaśki i ojczyznaszki.

— Niewykluczone, że nawet wcześniej, niż ksiądz myśli — odparł z powagą Matt.

Ojciec Callahan przysunął sobie krzesło i usiadł przy łóżku, trącąc je przy tym niechcący kolanem. Nieporządnie ułożony stos książek zachwiał się i runąłby na podłogę, gdyby go w porę nie złapał. Odkładając książki na łóżko czytał na głos ich tytuły.

— *Dracula, Gość Draculi, W poszukiwaniu Draculi, Złota gałąź, Historia naturalna wampirów*. Jak to, naturalna? *Węgierskie baśnie ludowe, Potwory z ciemności, Potwory w codziennym życiu, Peter Kurtin, potwór z Dusseldorfu*. A to...

— Zdmuchnął z okładki grubą warstwę kurzu, odsłaniając rysunek przedstawiający koszmarną postać nachylającą się groźnie nad śpiącą pięknością. — *Wampir Varney albo krwawa uczta*. Dobry Boże, czy to lektury obowiązkowe dla wszystkich pacjentów po ataku serca?

Matt uśmiechnął się.

— Stary, dobry Varney. Dawno temu, jeszcze na uniwersytecie, wziąłem go sobie jako lekturę dowolną z literatury romantycznej. Profesor, dla którego wszel-

ka fantastyczność zaczynała się na *Beowulfie*, a kończyła na *The Screwtape Letters*, był nieco zszokowany. Dostałem troję z plusem i pisemne polecenie podniesienia moich zainteresowań na nieco wyższy poziom.

— Ale już przypadek Petera Kurtina jest dosyć interesujący — zauważył Callahan. — Może niezbyt miły, ale na pewno interesujący.

— Zna ksiądz tę historię?

— W każdym razie większą jej część. Jako kleryk bardzo interesowałem się takimi opowieściami. Przed znacznie sceptyczniej nastawionymi przełożonymi usprawiedliwiałem się mówiąc, że po to, by zostać dobrym księdzem, powinienem poznać nie tylko wyżyny, na jakie wspięła się ludzka dusza, ale także jej upadki. Wszystko to było tylko mydleniem oczu, rzecz jasna. Po prostu pociągał mnie dreszczyk emocji. Z tego, co pamiętam, Kurtin jeszcze jako chłopiec utopił w rzece swoich dwóch kolegów. Podpłynął do nich łódką, kiedy się kąpali, i tak długo wpychał ich pod wodę, aż wreszcie zupełnie opadli z sił.

— Zgadza się — skinął głową Matt. — Nieco później dwukrotnie usiłował zamordować rodziców dziewczyny, która nie zgodziła się z nim spotykać, a następnie spalił ich dom. Ale, jeśli mam być szczery, bardziej interesują mnie inne aspekty jego hm... działalności.

— Domyśliłem się tego z doboru pańskich lektur. — Callahan wziął do ręki pismo, na którego okładce kobieta w bardzo obcisłym stroju wysysała krew młodego mężczyzny. Wyraz jego twarzy stanowił zdumioną mieszaninę najwyższego przerażenia i nieopisanej rozkoszy. Pismo było zatytułowane *Vampirella* i zapewne takie właśnie imię nosiła kobieta. Callahan odłożył je na kołdrę, jeszcze bardziej zaintrygowany niż do tej pory.

— Kurtin zamordował ponad dziesięć kobiet — powiedział — a kilkanaście innych zmasakrował młotkiem. Jeżeli akurat miały okres, pił ich krew.

Matt ponownie skinął głową.

— Napastował także zwierzęta, choć o tym już się tak powszechnie nie wie. W szczytowym okresie swojej obsesji uciął głowy dwóm łabędziom i wysssał krew tryskającą z kikutów.

— Czy to wszystko ma jakiś związek z powodem, dla którego chciał się pan ze mną widzieć? — zapytał Callahan. — Pani Curless przekazała mi, że wspominał pan o jakiejś bardzo ważnej sprawie.

— Owszem, ma ksiądz rację.

— W takim razie, cóż to za sprawa? Jeśli chodziło panu o to, żeby mnie zaintrygować, to już się panu udało.

Matt utkwiał w nim poważne spojrzenie.

— Mój dobry przyjaciel, Ben Mears, miał się dziś skontaktować z księdzem. Gospodyni powiedziała mi, że tego nie zrobił.

— Rzeczywiście. Od drugiej po południu z nikim się nie widziałem.

— Nie mogłem go nigdzie znaleźć. Opuścił szpital w towarzystwie mojego lekarza, doktora Jamesa Cody'ego. On również zniknął bez śladu, podobnie jak młoda przyjaciółka Bena, Susan Norton. Wyszła z domu wczesnym popołudniem, obiecując rodzicom, że wróci około piątej. Zaczynają się już powoli niepokoić.

Callahan wyprostował się na krześle. Znał trochę Billa Nortona, który kiedyś przyszedł do niego z prośbą o radę w sprawie dotyczącej alkoholowych problemów jednego z jego współpracowników.

— Podejrzewa pan coś?

— Pozwoli ksiądz, że zadam mu pytanie? — odparł Matt. — Proszę potraktować je bardzo poważnie i dobrze się zastanowić przed udzieleniem odpowiedzi. Czy ostatnio w naszym miasteczku nie zauważył ksiądz czegoś dziwnego?

Już na samym początku Callahan odniósł wrażenie, że stary nauczyciel posuwa się naprzód krok po kroku, starając się go za wszelką cenę nie spłoszyć. Teraz wrażenie to w pełni się potwierdziło, dobór zaś zalegających w pokoju książek sugerował, co mógł mieć na myśli leżący w łóżku człowiek.

— Wampiry w Salem? — zapytał.

Według jego teorii istniała możliwość uniknięcia ataku ostrej depresji, następującego zwykle po jakiejś poważnej chorobie, pod warunkiem, że dotknięty nią pacjent miał w życiu jakąś pasję. Do tej grupy ludzi należeli między innymi malarze, pisarze, muzycy czy na przykład cieśle, myślący bezustannie o rozpoczętej budowie domu. Pasja ta mogła mieć także związek z niewinną (choć wcale niekoniecznie) psychozą, której rozwój miał swój początek jeszcze przed pojawieniem się choroby.

Callahan rozmawiał kiedyś ze starszym człowiekiem nazwiskiem Horris, który leżał w szpitalu stanowym z zaawansowanym rakiem jelita grubego. Pomimo bez wątpienia potwornego bólu rozprawiał on z ożywieniem o istotach z Urana, pojawiających się jakoby masowo na Ziemi.

— Jeszcze dzisiaj facet, który nalewa benzynę na stacji u Sonny'ego, to Joe Blow z Falmouth — mówił ten żywy, leżący w łóżku szkielet — a już jutro to stwór z Urana, który tylko wygląda jak on. Mówi jak Joe i ma nawet jego wspomnienia, a to dlatego, że oni odżywiają się naszymi falami alfa!

Według Horrisa on sam nie cierpiał na raka, lecz na chorobę spowodowaną komplikacjami po postrzale z lasera. Istoty z Urana, zaniepokojone wiedzą, jaką posiadał na ich temat, postanowiły go zlikwidować. Horris w pełni je rozumiał i postanowił zginąć, stawiając zacięty opór. Callahan nie sprzeciwił mu się ani słowem, pozostawiając to życzliwym, acz ciężko myślącym krewnym i znajomym. Jego zdaniem dobra psychoza, podobnie jak solidny łyk whisky, mogła mieć wyłącznie dobroczynne działanie.

Teraz więc tylko skrzyżował ramiona i czekał, co będzie dalej.

— Trudno mi tak po prostu o tym mówić — westchnął Matt — szczególnie jeśli ksiądz uważa, że cierpię na demencję.

Callahan z najwyższym trudem zdołał zachować twarz pokerzysty, choć jedynym uczuciem, jakie mogłoby się ewentualnie na niej odbić, był podziw dla przenikliwości starego nauczyciela.

— Wręcz przeciwnie, odniosłem wrażenie, że można panu tylko pozazdrościć bystrości umysłu.

Matt westchnął ponownie.

— Niestety, jak ksiądz dobrze wie, bystrość wcale nie wyklucza szaleństwa. — Poprawił się w łóżku, przesuując nieco leżące wokół niego książki. — Jeżeli Bóg istnieje, to chyba postanowił wreszcie ukarać mnie za te wszystkie lata bezgranicznego zaufania do naukowego światopoglądu, kiedy nie uczyniłem nawet kroku naprzód nie mając uprzednio pewności, że stąпам po solidnym, w pełni realnym gruncie. Teraz po raz drugi tego samego dnia jestem zmuszony wygłosić twierdzenie, na którego poparcie nie mam nawet najmniejszego dowodu. W obrobie mej normalności mogę powiedzieć tylko tyle, że prawdziwość tego twierdzenia można zweryfikować bez najmniejszego kłopotu i mam nadzieję, że ksiądz potraktuje mnie przynajmniej na tyle poważnie, żeby taką weryfikację przeprowadzić, zanim nie będzie za późno. — Zachichotał niespodziewanie. — „Zanim nie będzie za późno”... Brzmi prawie jak cytat z sensacyjnych piśmideł z lat trzydziestych, prawda?

— Życie jest pełne melodramatów — zauważył Callahan myśląc jednocześnie, że jeśli tak miałyby być w istocie, to on już od dłuższego czasu żadnego nie widział.

— W takim razie pozwolę sobie powtórzyć pytanie, czy ostatnio, nawet w ciągu tego weekendu, nie zwrócił ksiądz uwagi na coś dziwnego.

— W związku z wampirami?

— W związku z czymkolwiek.

Callahan zastanowił się przez chwilę.

— Zamknięto wysypisko — powiedział wreszcie — ale ktoś wyłamał bramę, więc tam wjechałem. — Uśmiechnął się lekko. — Muszę przyznać, że nawet spodobał mi się pomysł, żeby samemu wywozić swoje śmieci. Jest to coś tak praktycznego i skromnego zarazem, że w pełni realizuje moje elitarne fantazje na temat biednego, lecz szczęśliwego proletariatu. Nie mogłem nigdzie znaleźć Duda Rogersa.

— Coś jeszcze?

— Hmm... Na porannej mszy nie było nikogo z Crockettów, a pani Crockett nie zdarzyło się już to od kilku lat.

— Może jeszcze coś?

— No, oczywiście biedna pani Glick...

Matt uniósł się na łokciu.

— Pani Glick? Co jej się stało?

— Umarła.

— Na co?

— Pauline Dickens twierdzi, że to był atak serca — odparł niezbyt pewnie Callahan.

— Czy ostatnio ktoś jeszcze umarł w miasteczku? — W normalnych warunkach byłoby to bardzo głupie pytanie, bo w tak niewielkich zbiorowościach zgony zdarzają się raczej rzadko pomimo wysokiej przeciętnej wieku mieszkańców.

— Nie — powiedział z zastanowieniem Callahan — ale trzeba przyznać, że od jakiegoś czasu śmiertelność wyraźnie wzrosła. Mike Ryerson, Floyd Tibbits, dziecko McDougallów. . .

Matt ze znużeniem pokiwał głową.

— To istotnie zastanawiające. Tak. . . Obawiam się jednak, iż już niedługo sprawy przybiorą taki obrót, że o większości z nich nikt nie będzie wiedział. Jeszcze kilka nocy i. . .

— Dlaczego nie przejdzie pan wprost do sedna sprawy? — zapytał Callahan.

— W porządku. Sam chyba ksiądz przyzna, że w ostatnim czasie sporo się tutaj działo, prawda?

Opowiedział o wszystkim od początku do końca, cytując relacje Bena, Susan i Jimmy'ego i niczego nie ukrywając. Kiedy umilkł, Ben i Jimmy mieli już za sobą mrozące krew w żyłach przeżycia, natomiast dla Susan dopiero się one zaczynały.

2

— I co, jestem wariatem? — zapytał.

— W każdym razie jest pan pewien, że zostanie za takiego uznany — odparł Callahan — choć wszystko wskazuje na to, że udało się panu przekonać zarówno pana Mearsa, jak i doktora. Nie, nie wydaje mi się, żeby był pan wariatem. Poza tym, jeśli wolno mi użyć takiej przenośni, zjawiska nadprzyrodzone stanowią dla mnie chleb powszedni.

— Ale. . .

— Pozwoli pan, że opowiem mu pewną historię. Nie mogę dać głowy za to, że jest prawdziwa, lecz zapewniam pana, że ja w nią wierzę. Jej bohaterem jest mój dobry przyjaciel, ojciec Raymond Bissonette, który od kilku lat jest proboszczem w Kornwalii, na tak zwanym Cynowym Wybrzeżu. Słyszał pan o tym miejscu?

— Czytałem.

— Jakieś pięć lat temu otrzymałem od niego list, w którym napisał, że został wezwany do leżącego na uboczu zakątka parafii w celu odprawienia uroczystości pogrzebowych „zgasłej przedwcześnie” dziewczyny. Jej trumna była wypełniona kwiatami dzikiej róży, co trochę go zdziwiło, ale proszę sobie wyobrazić jego zdumienie, gdy przekonał się, że usta dziewczyny otwarto za pomocą kija i nasypano do nich czosnku oraz dzikiego tymianku.

— Ależ to są...

— Tradycyjne środki zabezpieczające przed powrotem Wiecznie Żywych, zgadza się. Kiedy Ray zapytał o powód, dla którego to uczyniono, ojciec dziewczyny wyjaśnił mu ze spokojem, że została zabita przez incubusa. Wie pan, co to jest?

— Wampir seksualny.

— Dziewczyna była kiedyś zaręczona z młodym człowiekiem nazwiskiem Bannock, który od urodzenia nosił na szyi czerwone znamię. Na dwa tygodnie przed ustaloną datą ślubu, wracając do domu z pracy został potrącony przez samochód i zginął na miejscu. W dwa lata później młoda kobieta zaręczyła się z innym mężczyzną, ale zerwała zaręczyny jeszcze przed drugimi zapowiedziami, twierdząc, jakoby John Bannock przychodził do niej w nocy i czynił wyrzuty, że nie dochowała mu wierności. Jej obecnego narzeczonego znacznie bardziej niepokoiła możliwość, że dziewczyna zapadła na jakąś chorobę umysłową, niż zagrożenie wynikające z ewentualnych odwiedzin zza grobu. Tak czy inaczej, nieszczęśliwe dziewczę zgasło w kwiecie wieku i otrzymało chrześcijański pochówek.

Powodem, który skłonił Raya do napisania listu, było wydarzenie, jakie miało miejsce w dwa miesiące po pogrzebie. Podczas porannego spaceru Ray spotkał młodego mężczyznę z wyraźnym, czerwonym znamieniem na szyi, stojącego przy grobie dziewczyny. To jednak jeszcze nie koniec historii. Jedną z ulubionych rozrywek mego przyjaciela jest robienie tanim aparatem Polaroid zdjęć krajobrazu Kornwalii. Mam kilka z nich w swoim albumie i muszę przyznać, że są bardzo dobre. Otóż tego ranka akurat wziął ze sobą aparat i zrobił kilka zdjęć młodemu człowiekowi. Kiedy pokazał je w wiosce, reakcja ludzi była zdumiewająca: pewna starsza pani zemdląła, a matka zmarłej dziewczyny ukłękła na środku ulicy i zaczęła się modlić.

Gdy następnego dnia Ray wstał z łóżka i spojrzął na zdjęcia, okazało się, że postać młodego mężczyzny zupełnie zniknęła i że fotografie przedstawiają tylko kilka widoczków przykościelnego cmentarza.

— I ksiądz w to wierzy? — zapytał Matt.

— Och, tak. Podobnie jak chyba każdy, kto znalazłby się na moim miejscu. Przeciętny człowiek wierzy w siły nadprzyrodzone znacznie głębiej, niż wyobrażają to sobie najróżniejsi pisarze. Niemal wszyscy spośród tych którzy zajmują się szczególnie tym problemem, odnoszą się do wampirów, wilkołaków, strzyg i całej reszty menażerii z większym sceptycyzmem niż tak zwany przeciętny obywatel. Lovecraft był ateistą, Edgar Altan Poe kimś w rodzaju niedopieczonego transcendentalisty, religijność Hawthorne'a zaś wynikała raczej z przyzwyczajenia niż z autentycznej potrzeby.

— Ksiądz zdumiewająco dużo wie na ten temat — zauważył Matt.

Callahan wzruszył ramionami.

— Jako chłopiec bardzo interesowałem się okultyzmem i wszystkimi zwią-

zanymi z nim sprawami, a moje późniejsze powołanie kapłańskie nie tylko tego zainteresowania nie zmniejszyło, lecz chyba nawet rozbudziło jeszcze bardziej. — Westchnął z głębi piersi. — Jednak ostatnio zacząłem zadawać sobie poważniejsze pytania na temat istoty zła obecnego w naszym świecie i muszę stwierdzić, że natychmiast ulotniła się gdzieś połowa przyjemności — zakończył z kwaśnym uśmiechem.

— W takim razie... Czy zgodzi się ksiądz przeprowadzić dla mnie pewne badania? I czy miałby ksiądz coś przeciwko wzięciu ze sobą odrobiny święconej wody i kawałka hostii?

— W tym momencie wkracza pan na bardzo niepewny teologicznie grunt — powiedział z autentyczną powagą Callahan.

— Dlaczego?

— Nie mogę panu odmówić, a w każdym razie na pewno jeszcze nie w tej chwili. Przypuszczam nawet, że gdybym był trochę młodszy, zgodziłbym się bez najmniejszego wahania. — Uśmiechnął się gorzko. — Młodzi księża traktują zewnętrzne atrybuty Kościoła jako coś raczej symbolicznego niż praktycznego, przypominającego szamański pióropusz i magiczną laskę. Otóż ów młody ksiądz, którym nie jestem, mógłby łatwo uznać, że trochę pan zbzikował, ale jeżeli pomoże panu parę kropel święconej wody i kawałek hostii, to w porządku. Ja tego nie zrobię. Gdybym zabrał się za to, o co pan prosi, w tweedowym sweterku i z *Podręcznikiem egzorcysty amatora* pod pachą, byłaby to sprawa wyłącznie między mną a panem. Jeżeli jednak biorę ze sobą hostię, wtedy występuję jako urzędnik Kościoła katolickiego, zdecydowany wykorzystać wszelkie duchowe obrzędy, których znajomość wynika ze spełnianej przeze mnie funkcji. Mówiąc krótko, jestem wówczas reprezentantem Chrystusa. — Wpatrywał się z powagą w twarz Matta. — Może to zabrzmie głupio w ustach trochę cynicznego, zmęczonego życiem księdza, który w dodatku całkiem niedawno przechodził coś w rodzaju kryzysu wiary i wartości, ale ja nadal zbyt mocno wierzę w tajemniczą, mistyczną i świętą moc stojącego za mną Kościoła, żeby nie żywić poważnych obaw przed zbyt pochopnym zaakceptowaniem pańskiej propozycji. Kościół jest czymś więcej niż zlepkiem idei, jak uważa młodsze pokolenie. To także więcej niż duchowe harcerstwo. Kościół to Moc, której człowiek nie powinien nadużywać. — Zmarszczył brwi. — Czy pan mnie rozumie? Od tego bardzo wiele zależy.

— Rozumiem.

— Musi pan sobie zdawać sprawę z tego, że obowiązująca w Kościele katolickim koncepcja Zła przeszła w tym stuleciu radykalną metamorfozę. Czy domyśla się pan, czym zostało to spowodowane?

— Przypuszczam, że pracami Freuda.

— Wyśmienicie. Na początku dwudziestego wieku Kościół katolicki zyskał zupełnie nowego przeciwnika: zło przez małe „z”. Diabeł przestał być potworem z czerwonymi rogami, spiczastym ogonem i kopytami czy też wężem pełznącym

przez ogród, choć muszę przyznać, że każdy z tych obrazów ma znakomite oddziaływanie psychologiczne. Diabeł, w myśl ewangelii według Freuda, był olbrzymim, złożonym id, czyli naszą podświadomością.

— Jest to z pewnością bardziej wyrafinowana koncepcja niż krwistoczerwone zmory lub demony o tak wyczulonym powonieniu, że może je przepłoszyć lada pierdnięcie cierpiącego akurat na zaparcie księdza — zauważył Matt.

— Owszem, wyrafinowana, ale zarazem bezosobowa, niemiłosierna i niedotykalna. Freudowskiego diabła nie sposób się po prostu pozbyć, podobnie jak nie sposób odciąć sobie nogi lub ręki, nie tracąc przy tym ani kropli krwi. Kościół katolicki był zmuszony dokonać całkowitej rewizji swojego stosunku do zła, gdyż bombardowania Kambodży, wojna w Irlandii i na Bliskim Wschodzie, zabójstwa, zamieszki i miliony innych podobnych wydarzeń zasypują codziennie świat niczym plaga komarów. Znajduje się obecnie w trakcie zrzucania swego dawnego, szamańskiego stroju i przywdziewania nowego, w którym może aktywnie działać w społeczeństwie. Można powiedzieć, że Kościół dopiero teraz staje mocno obiema nogami we współczesnym świecie.

— W którym nie ma wiedźm, demonów i wampirów, a tylko maltretowanie dzieci, kazirodztwo i zanieczyszczanie środowiska — dokończył Matt.

— Otóż to.

— A księdzu zapewne bardzo się to nie podoba, prawda?

— Tak — przyznał cicho Callahan. — Uważam, że to ohydne. Zupełnie, jakby Kościół chciał wszystkim powiedzieć, że Bóg nie jest martwy, tylko trochę nienormalny. Myślę, że w takim razie już pan wie, jak brzmi moja odpowiedź. Co mam zrobić?

Matt wyjaśnił mu.

— Chyba zdaje pan sobie sprawę, że stoi to w rażącej sprzeczności do wszystkiego, co panu przed chwilą powiedziałem? — zapytał Callahan.

— Wręcz przeciwnie. Wydaje mi się, że to pozwoli księdzu wystawić Kościół — j e g o Kościół — na próbę.

— Zgadzam się, ale pod jednym warunkiem.

— Jakim?

— Że przed podjęciem tej wyprawy wszyscy pójdziemy najpierw do sklepu Strakera i pan Mears, jako nasz rzecznik, powie mu o naszych podejrzeniach. Dzięki temu będziemy mieli okazję obserwować jego reakcję.

Matt zmarszczył brwi.

— W ten sposób ostrzeżemy go.

Callahan potrząsnął głową.

— Przypuszczam, że nie będzie to miało większego znaczenia, jeśli natychmiast przystąpimy do działania.

— W porządku — powiedział Matt. — Zgadzam się, pod warunkiem jednak, że zyskamy akceptację Bena i Jimmy'ego.

— Dobrze. — Z piersi Callahana wyrwało się głębokie westchnienie. — Ufam, iż nie sprawię panu wielkiej przykrości mówiąc, że mam nadzieję, iż cała ta sprawa stanowi wyłącznie wytwór pańskiej wyobraźni? I że niczego nie pragnę tak bardzo, jak ujrzeć Strakera śmiejącego się do rozpuku z naszych podejrzeń?

— Skądże znowu.

— Naprawdę mam taką nadzieję. Zgodziłem się na więcej, niż pan przypuszcza, i bardzo się tego boję.

— Ja również — powiedział łagodnie Matt.

3

Jednak wracając do kościoła, nie czuł wcale strachu, tylko radosne uniesienie. Po raz pierwszy od wielu lat był całkowicie trzeźwy i nie miał najmniejszej ochoty na drinka.

Znalazłszy się na plebanii podniósł słuchawkę i wykręcił numer pensjonatu Evy Miller.

— Halo? Pani Miller? Czy mógłbym mówić z Benem Mearsem? Nie ma go? W takim razie zadzwonię jutro. Do widzenia.

Odłożył słuchawkę i podszedł do okna.

Czy Ben Mears popijał teraz piwo w jakimś przydrożnym barze, czy też wszystko, co mówił stary nauczyciel, było prawdą?

Jeśli tak... Jeśli tak...

Nie mógł usiedzieć w domu. Wyszedł tylnymi drzwiami i wdychając chłodne październikowe powietrze wpatrzył się w gęstniejącą ciemność. A może to wcale nie Freud? Może miało to jakiś związek z wynalezieniem elektrycznego światła, które zlikwidowało mroczne, cieniste zakątki w duszach ludzi w znacznie bardziej efektywny sposób niż drewniane kołki wbijane w serca wampirów?

Zło żyło nadal, ale teraz towarzyszył mu niemal zawsze blask fluorescencyjnych lamp na parkingu lub milionów stuwatowych żarówek wiszących pod sufitem. W tym rzeczowym, chłodnym świetle generałowie planowali strategiczne ataki jądrowe i nikt nie mógł nad tym zapanować, podobnie jak nad pędzącymi w dół zbrocza bez żadnych hamulców sankami. Ja tylko wykonywałem rozkazy. Tak, to prawda. Wszyscy jesteśmy żołnierzami, postępującymi zgodnie z otrzymanymi instrukcjami. Ale skąd one pochodziły? Zaprowadź mnie do swojego dowódcy. Gdzie jest jego biuro? Ja tylko wykonywałem rozkazy. Zostałem wybrany przez ludzi. A kto i c h wybrał?

Coś zatrzepotało nad jego głową i Callahan spojrział nerwowo w górę, wyrwany ze swoich pogmatwanych rozmyślań. Ptak? Nietoperz? Nieważne, odleciał.

Nasłuchiwał, chcąc wychwycić jakieś odgłosy miasteczka, lecz do jego uszu docierało tylko jęczenie telefonicznych drutów.

Tej nocy, gdy *kudzu* wypełźnie na twoje pole, będziesz spał jak zabity. Kto to napisał? Dickey?

Żadnych dźwięków. Żadnego światła, oprócz blasku latarni stojącej przed kościołem, pod którą nigdy nie pojawił się Fred Astaire, i żółtych migających lamp na skrzyżowaniu Brock Street i Jinter Avenue. Nie zapłakało nawet jedno dziecko.

Tej nocy, gdy *kudzu* wypełźnie na twoje pole, będziesz...

Uniesienie zniknęło bez śladu i Callahan poczuł bezlitosne, zapierające dech w piersi uderzenie przerażenia. Nie miało ono żadnego związku z jego życiem, honorem czy obawą przed ujawnieniem nałogu. Był to strach, jakiego nie doświadczył jeszcze nigdy w życiu, nawet podczas trudnych lat dorostania.

Bał się o swoją nieśmiertelną duszę.

CZEŚĆ TRZECIA
Wymarłe miasto

*I doszedł mnie głos z bezdennej otchłani:
Chodź do nas, dziecino, i śpij razem z nami.*

Stara piosenka rockandrollowa

*Przez skrzących luną okien dwoje
Widzi dziś pielgrzym z obcych stron,
Jak fantastycznie duchów roje
Płasają pod zgrzytliwy ton,
Podczas gdy w bramie dziką zgrają,
Miast wdzięcznych Ech,
Tłoczą się widma, które znają
Nie uśmiech — lecz tylko śmiech.*

Edgar Allan Poe: *Nawiedzony gród*
według Stanisława Wyrzykowskiego

Powiadam wam, to miasto jest zupełnie puste.

Bob Dylan

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Miasteczko (IV)

1

Z Almanachu farmera:

Zachód słońca w niedzielę, 5 października 1975 r. o 19.02, wschód słońca w poniedziałek, 6 października o 6.49. Długość nocy w Jerusalemie, trzynastego dnia po jesiennym przesileniu, wynosiła jedenaście godzin i czterdzieści siedem minut. Księżyc w nowiu. Przysłowie na poniedziałek brzmiało następująco: „Gdy słońce wschodzi, kończą się nocne żniwa”.

Z biuletynu stacji meteorologicznej w Portland:

Najwyższą temperaturę tej nocy zarejestrowano o 19.05 (62 stopnie Fahrenheita), najniższą o 4.06 (47 stopni). Zachmurzenie umiarkowane, bez opadów. Wiatr z północnego zachodu o prędkości od pięciu do dziesięciu mil na godzinę.

Z książki zgłoszeń policji okręgu Cumberland:

Nic.

2

Rankiem 6 października nikt nie ogłosił, że miasteczko Salem jest martwe, bo nikt o tym nie wiedział. Podobnie jak świeże zwłoki zachowywało jeszcze wszelkie pozory życia.

Ruthie Crockett, która, blada i dręczona nudnościami, spędziła cały weekend w łóżku, rano w poniedziałek zniknęła bez śladu, lecz nikt nie zwrócił na to uwagi. Jej matka leżała na posadzce w piwnicy za półkami z domowymi przetworami, nakryta zwojem malarskiego płótna, Larry Crockett zaś, obudziwszy się tego dnia wyjątkowo późno, pomyślał, że jego córka po prostu wyszła już do szkoły. Postanowił, iż nie pójdzie do biura. Czuł się słaby, wymięty i miał zawroty głowy. Pewnie grypa albo coś w tym rodzaju. Światło raziło boleśnie oczy. Wstał z łóżka i zaciągnął zasłony, o mało nie krzyknąwszy z bólu, gdy promienie słońca padły bezpośrednio na jego odsłonięte ramię. Któregoś dnia, jak się już lepiej poczuje, po prostu wymieni to okno. Musiało być coś nie w porządku z szybami, a gdyby

doszło do pożaru, to te smutne fiuty z firmy ubezpieczeniowej powiedziałyby, że to był samozapłon i nie wypłaciłyby ani centa. Tak, zrobi to, kiedy minie ta choroba. Pomyślał, czy nie byłoby dobrze napić się filiżanki kawy, lecz natychmiast chwyciły go nudności. Przez chwilę zastanowił się przelotnie, gdzie też może być jego żona, lecz niemal natychmiast przestał tym sobie zaprzętać głowę. Wrócił do łóżka, podrapał się ostrożnie po dziwnym zacięciu tuż pod szczęką, naciągnął prześcieradło aż na błądy policzek i natychmiast zasnął.

Tymczasem jego córka spała wraz z Dudem Rogersem w emaliowanej ciemności panującej we wnętrzu ogromnej zamrażarki wywiezionej na wysypisko — pogrążona w mrocznym świecie swej nowej egzystencji przyjęła z zadowoleniem jego zaloty wśród pnących się ku niebu stert śmieci.

Zniknęła także prowadząca miejską bibliotekę Loretta Starcher, ale w jej staropanieńskim życiu nie było nikogo, kto mógłby to zauważyć. Obecnie znajdowała się na drugim zakurzonym i zaniedbanym piętrze swej biblioteki. Było ono zawsze zamknięte (jedyne klucze do drzwi nosiła osobiście na szyi), chyba że znalazł się klient, który potrafił ją przekonać, iż dysponuje wystarczającą inteligencją, a przede wszystkim siłą moralną, żeby otrzymać specjalne zezwolenie.

Teraz spoczywała tam ona sama, niczym pierwsze wydanie zupełnie nowego rodzaju książki, równie lśniąca i czysta jak wtedy, gdy dopiero co wyszła spod prasy drukarskiej. Spowijająca ją folia, jeśli można użyć takiej przenośni, nigdy nie została rozerwana.

Również zniknięcie Virgila Rathbuna nie zwróciło niczyjej uwagi. Franklin Boddin obudził się o dziewiątej, zobaczył, że wyro Virgila jest puste, ale nic specjalnego na ten temat nie pomyślał i spróbował wstać z łóżka, żeby poszukać jakiegoś piwa, lecz natychmiast z powrotem opadł na posłanie, czując w nogach i potworny mętlik w głowie.

Boże, zdążył jeszcze pomyśleć przed zaśnięciem, co myśmy wczoraj pili? Benzynę?

A pod podłogą ich chałupy w chłodzie dwudziestoletnich liści i wśród nieprzeliczonego mnóstwa zardzewiałych puszek po piwie, wepchniętych tam przez dziury w deskach, leżał Virgil, czekając nadejścia nocy. Przez ciemne, oblepiające jego mózg błoto przebijały się wizje płynu bardziej ognistego od najwspanialszej whisky i lepiej kojącego pragnienie od najlepszego wina.

Eva Miller zauważyła rano brak Weasela Craiga, lecz nie miała czasu specjalnie się nad tym zastanawiać, kierując ruchem w kuchni, do której wpadali coraz to nowi mieszkańcy jej pensjonatu, żeby połknąć pośpiesznie śniadanie i popędzić na spotkanie kolejnego roboczego tygodnia. potem była zajęta doprowadzaniem pomieszczenia do porządku i zmywaniem talerzy po tym okropnym Groverze Verillu i wcale nie lepszym Mickeyu Sylvestrze, ignorującym uporczywie wiszący nad zlewem już od niepamiętnych czasów napis: „Zmywamy po sobie naczynia”.

Kiedy jednak do domu powróciła na dobre cisza, a poranne zamieszanie usta-

piło miejsca zwykłej, codziennej rutynie, zwróciła uwagę na jego nieobecność. W poniedziałki z Railroad Street wywożono śmieci i Weasel zawsze wynosił na ulicę wielkie torby z zielonego plastiku, skąd Royal Snów zabierał je swoją starą, rozklekotaną ciężarówką. Dziś jednak torby w dalszym ciągu stały przy kuchennych schodach.

Weszła na piętro i zapukała delikatnie do drzwi jego pokoju.

— Ed?

Żadnej odpowiedzi. Każdego innego dnia uznałaby, że pewnie znowu odsypia jakieś pijaństwo i sama wyniosłaby śmieci, zaciskając usta w odrobinę węższą kreskę niż zwykle, lecz tym razem poczuła ukłucie dziwnego niepokoju, więc nacisnęła klamkę i wsunęła głowę do środka.

— Ed? — powtórzyła niezbyt głośno.

Pokój był pusty. Wiszące w otwartym na oścież oknie zasłony kołysały się w lekkich podmuchach wiatru. Pościel na łóżku była rozgrzebana, więc zasłała je odruchowo, pozwalając rękóm wykonywać bez kontroli umysłu dobrze znane im czynności. Przechodząc na drugą stronę pośłania, nastąpiła na coś ze chrzęstem; spojrzawszy w dół zobaczyła na podłodze roztrzaskane lustro Weasela. Podniosła je i przyglądała mu się przez chwilę ze zmarszczonymi brwiami. Należało do jego matki, a kiedyś, choć było to już wtedy, gdy pił zdecydowanie ponad miarę, odrzucił nawet ofertę pewnego antykwariusza, który chciał mu za nie dać dziesięć dolarów.

Wzięła ścierkę do kurzu i powolnymi, starannymi ruchami zaczęła wycierać szkło pokryte siatką pęknięć. Wiedziała, że poprzedniego wieczoru Weasel wrócił zupełnie trzeźwy, po dwudziestej pierwszej zaś nie miał już gdzie kupić alkoholu, chyba że zabrałby się okazją do Della lub Cumberland.

Wyrzuciła ostre fragmenty do kosza, widząc przez ułamek sekundy swoje powtarzane wiele razy odbicie, po czym tknięta nagłą myślą zajrzała do kubła, ale nie dostrzegła tam żadnej butelki. Zresztą, Ed nie należał do samotnych pijaków.

Cóż, na pewno wkrótce się zjawi.

Mimo to niepokój pozostał. Choć nie chciała tego przyznać nawet sama przed sobą, zdawała sobie doskonale sprawę, że uczucia, jakie żywi dla Weasela, nie ograniczają się jedynie do przyjaźni.

— Proszę pani. . .

Drgnęła, wyrwana nagle z zamyślenia i spojrzała na stojącego w kuchni obcego. Był to mały chłopiec, ubrany w schludne spodnie i czystą niebieską koszulkę. Ma minę, jakby przed chwilą spadł z roweru, pomyślała. Gdzieś już widziała jego twarz, lecz nie potrafiła sobie przypomnieć nazwiska. Pewnie z którejś z tych nowych rodzin mieszkających przy Jointer Avenue.

— Czy tutaj mieszka pan Ben Mears?

Eva chciała już zapytać, dlaczego nie jest w szkole, ale zrezygnowała. Chłopiec miał bardzo poważną, nawet ponurą minę i mocno podkrążone oczy.

— Tak, ale jeszcze śpi.

— Mogę zaczekać?

Homer McCaslin przyjechał na Brock Street, do domu Nortonów bezpośrednio z domu pogrzebowego Greena. Była dokładnie jedenasta wieczorem. Pani Norton zalewała się łzami, a Bill Norton, choć na pozór zachowywał zupełny spokój, palił jednego papierosa za drugim i co chwila ocierał dłonią zatroskaną twarz.

McCaslin zgodził się podać wszystkim załogom radiowozów rysopis dziewczyny. Oczywiście, zadzwoni natychmiast, jak tylko czegoś się dowie. Tak, sprawdzi wszystkie szpitale w okolicy, bo zawsze tak się robi w tego rodzaju przypadkach (to samo dotyczyło kostnic). W duchu był przekonany, że pannica po prostu postanowiła odpocząć od domowej atmosfery. Matka przyznała, że ostatnio się posprzeczały i córka zapowiedziała, że się wyprowadzi.

Mimo to osobiście przejechał kilkoma bocznymi drogami, cały czas wsłuchując się w dobiegające z głośnika trzaski i szumy. Kilka minut po północy, gdy wracał już Brooks Road w kierunku miasteczka, światło reflektora skierowanego na pobocze wyłowiło z ciemności zaparkowany między drzewami samochód.

Zatrzymał radiowóz, cofnął i wysiadł. Samochód stał na od dawna nie używanej drodze służącej do zwózki drewna. Jasnobrązowy, dwuletni chevrolet Vega. McCaslin wydobyl z kieszeni przymocowany łańcuchem notatnik i świecąc sobie latarką znalazł miejsce, w którym zapisał numer rejestracyjny samochodu córki podany przez panią Norton. Ten sam. Wóz należał do dziewczyny, co czyniło sytuację znacznie poważniejszą. Położył dłoń na masce: zimna. Silnik nie pracował już od dłuższego czasu.

— Szeryfie?

Lekki, beztroski głos, przypominający dźwięk małych dzwoneczków. Dlaczego jego dłoń natychmiast sięgnęła do rękojści rewolweru?

Odwróciwszy się ujrzał prześliczną Susan Norton, idącą w jego kierunku pod rękę z nieznanym młodym mężczyzną o ciemnych, staromodnie zaczesanych do tyłu włosach. Kiedy McCaslin zaświecił mu w twarz, odniósł niesamowite wrażenie, że snop światła przechodzi przez nią na wylot, nie zatrzymując się na jej rysach. Obydwoje, chociaż szli, nie zostawiali za sobą w miękkiej ziemi najmniejszych śladów. Ogarnął go strach, poczuł ostrzegawcze napięcie mięśni... a potem wszystko minęło. Wyłączył latarkę i czekał bezradnie na dalszy rozwój wypadków.

— Szeryfie... — wyszeptwała pieszczotliwie.

— Jak to dobrze, że pan przyszedł — dodał nieznajomy.

A potem byli już przy nim.

Teraz jego policyjny samochód stał w nie używanym od lat odgałęzieniu Deep Cut Road, przykryty starannie gałęziami, pod którymi nie sposób było dostrzec nawet najmniejszego błysku chromowanej stali. Skulony McCaslin spał w bagażniku. Głos wzywający go w regularnych odstępach czasu przez radio pozostawał

bez odpowiedzi.

Tego samego ranka, tylko nieco później, Susan złożyła krótką wizytę matce, lecz nie uczyniła jej wielkiej krzywdy; niczym pijawka, która pożywiła się obficie na poruszającym się ociężałym pływaku, czuła się wypełniona i usatysfakcjonowana. Mimo to przyszła, bo przecież została tu zaproszona. Wieczorem pojawi się kolejny myśliwy. . . Wielu nowych myśliwych.

W poniedziałek rano Charles Griffen, z twarzą wykrzywioną sardonycznym uśmiechem, obudził swoją żonę kilka minut po piątej. Z zewnątrz dochodziło bolesne porykiwanie nie wydojonych krów. Potrzebował dokładnie czterech słów, żeby podsumować to, co dokonało się w nocy:

— Ci cholerni gówniarze pouciekali.

Nie była to jednak prawda. Danny Glick dopadł Jacka Griffena, Jack zaś poszedł później do pokoju swego brata Hala i wyzwolił go już na zawsze od łąkó w związanych ze szkołą, książkami i nieustępliwym ojcem. Teraz obydwaj spali w stercie siana, a w mrocznych czeluściach ich nozdrzy igrały złociste pyłki. Od czasu do czasu po twarzy któregoś z nich przemknęła mysz śpiesząca w sobie tylko wiadomym kierunku.

Teraz, gdy ziemię zalały potoki światła, wszystkie złe istoty udały się na spoczynek. Zaczynał się piękny, pogodny jesienny dzień. Miasteczko, nie wiedząc, że właściwie jest już martwe, budziło się powoli ze snu, nie pamiętając nic z tego, co działo się w nocy. Według *Almanachu farmera* w poniedziałek słońce miało zająć punktualnie o 19.00.

Dni stawały się coraz krótsze. Zbliżało się Święto Zmarłych, a wraz z nim zima.

3

— Ktoś na pana czeka na werandzie — powiedziała Eva Miller, kiedy za piętnaście dziewiąta Ben pojawił się w kuchni.

Skinąwszy głową wyszedł w kapciach przez tylne drzwi, spodziewając się ujrzeć Susan lub szeryfa McCaslina, ale jego gość okazał się małym, szczupłym chłopcem siedzącym na drewnianym stopniu i spoglądającym na miasteczko, które powoli rozpoczynało swą zwykłą poniedziałkową aktywność.

— Witam — powiedział Ben i chłopiec odwrócił się raptownie. Przyglądali się sobie przez niezbyt długą chwilę, lecz Ben odniósł wrażenie, iż trwa to niemal bez końca i przez moment wydawało mu się, że wszystko dokoła staje się jakies nierzeczywiste, nie tylko dlatego, że chłopiec pod względem fizycznym przypominał jego samego z dzieciństwa. Poczuł, jakby ktoś nagle włożył na jego ramiona ogromny ciężar i nabrał niezwykłej pewności, że do tego spotkania doprowadziło coś więcej niż zwykły przypadek. Było w tym coś z uczucia, jakiego doświadczył

spotkawszy Susan w parku, a jakie nasilało się później z każdą chwilą, bo z pozoru niewinna i żartobliwa rozmowa niosła w sobie załączki przyszłych wydarzeń.

Niewykluczone, że chłopiec także odczuł coś podobnego; jego oczy rozszerzyły się lekko, a dłoń zacisnęła kurczowo na balustradzie.

— Pan jest Ben Mears — stwierdził po prostu.

— Zgadza się. Obawiam się, że w tej chwili masz nade mną przewagę.

— Nazywam się Mark Petrie — powiedział chłopiec. — Mam dla pana złe wiadomości.

Wierzę ci, pomyślał Ben, starając się odpowiednio na nie przygotować, lecz gdy je usłyszał, doznał niemal szoku.

— Susan Norton jest teraz jedną z nich — powiedział Mark. — Barlow dopadł ją w swoim domu, a ja zabiłem Strakera. To znaczy, wydaje mi się, że zabiłem.

Ben usiłował coś wykrztusić, ale nie mógł. Na gardle zacisnęła mu się żelazna obręcz.

Chłopiec skinął ze zrozumieniem głową.

— Może pojechalibyśmy gdzieś pańskim wozem, żeby spokojnie porozmawiać. Nie chcę, żeby mnie ktoś tu zauważył. Jestem na wagarach, a ostatnio zdarłem trochę z rodzicami.

Ben odpowiedział coś, ale sam nie wiedział co. Po wypadku, w którym zginęła Miranda, znalazł się na chodniku, zupełnie zdrów, jeśli nie liczyć purpurowej szramy na grzbiecie lewej ręki. Kierowca ciężarówki wysiadł z kabiny i podszedł do niego, rzucając podwójny cień w blasku ulicznej lampy i reflektorów samochodu. Był potężnie zbudowanym, łysiejącym mężczyzną z długopisem wetkniętym w kieszonkę białej koszuli. Na skuwce widniał napis wykonany złotymi literami „Frank’s Mobil Sta”; reszta była schowana za materiałem, lecz Ben domyślił się bez trudu, że brakującymi literami były „tion”, to bardzo proste, drogi Watsonie, możesz mi wierzyć. Kierowca powiedział coś łagodnie, a potem ujął go za ramię, żeby pomóc mu wstać z chodnika i odprowadzić na bok, ale Ben dostrzegł tuż przy ogromnym kole ciężarówki but Mirandy, odtrącił rękę i ruszył w tamtą stronę, kierowca zaś powiedział: „Na twoim miejscu, koleś, nie robiłbym tego”. Wtedy Ben popatrzył na niego tępo, nawet nie draśnięty, jeśli nie liczyć purpurowej szramy na grzbiecie lewej ręki, pragnąc mu wyjaśnić, że jeszcze pięć minut temu nic takiego się nie zdarzyło, że w jakimś równoległym świecie on i Miranda skręcili w lewo przecznicę wcześniej i pojechali w kierunku zupełnie innej przyszłości. Zaczął zbierać się tłum, na który składali się przede wszystkim ludzie wychodzący ze sklepu z alkoholem i niewielkiego baru mlecznego. Ben odczuwał dokładnie to samo co teraz: nadzwyczaj złożone, wzajemne oddziaływanie doznań fizycznych i psychicznych stanowiących początek pogodzenia się z losem. Żołądek zdaje się spadać w przepaść; drętwieją wargi; w ustach zbiera się rzadka piana; w uszach rozlega dokuczliwe dzwonięcie; moszna kurczy się niczym woreczek z wysuszonej skóry; umysł stara się odwrócić od tego, co się

zdarzyło, tak jak człowiek chroniący twarz przed oślepiającym światłem. Po raz wtóry odtrącił życzliwe dłonie kierowcy i podszedł do buta. Podniósł go. Obejrzał dokładnie. Wsadził do środka palce — poczuł wyraźne ciepło jej stopy. Trzymając but w dłoni postąpił jeszcze dwa kroki naprzód i pod przednimi kołami ujrzał jej nogi w żółtych wranglerach, które z takim wdziękiem wciągnęła niedawno w mieszkaniu. Nie sposób było uwierzyć, żeby dziewczyna, która je zakładała, teraz nie żyła, ale zrozumienie już czaiło się w jego żołądku, ustach i jądrach. Jęknął głośno i właśnie w tej chwili reporter zrobił zdjęcie, które następnie ukazało się w gazecie prenumerowanej przez Mabel Werts. Nogi w jasnych spodniach, jedna w bucie, druga bez. Ludzie wpatrujący się w bosą stopę tak, jakby nigdy w życiu czegoś takiego nie widzieli. Zrobił jeszcze dwa kroki, nachylił się i...

— Chyba będę wymiotował — powiedział.

— W porządku.

Ben zgiął się wpół, trzymając kurczowo klamki swego citroena. Zamknął oczy, dając się ogarnąć ciemności, w której pojawiła się uśmiechnięta twarz Susan, wpatrującej się w niego swymi prześlicznymi oczami. Otworzył raptownie swoje, bo przyszło mu nagle na myśl, że chłopak może kłamać albo być jakimś psychopata, lecz nie przyniosło mu to żadnej ulgi. Dzieciak nie wyglądał na nikogo takiego. Obejrzał się i spojrzał chłopcu prosto w twarz — dostrzegł w niej tylko głęboką troskę.

— Chodźmy — powiedział.

Ruszył natychmiast, gdy tylko Mark wszedł do samochodu. Eva Miller spoglądała na nich ze zmarszczonymi brwiami przez kuchenne okno. Działo się coś niedobrego. Czuła to, podobnie jak tego okropnego dnia, kiedy zgiął jej mąż.

Podeszła do telefonu i wykręciła numer Loretty Starcher. Czekwała bardzo długo, lecz nikt nie podniósł słuchawki. Dokąd mogła pójść? Na pewno nie do biblioteki, bo ta była w poniedziałki zamknięta.

Usiadła, wpatrując się z zadumą w aparat. Wyczuwała unoszącą się w powietrzu zapowiedź czegoś strasznego, być może równie strasznego, jak wielki pożar w roku 1951.

Wreszcie ponownie zdjęła słuchawkę z widełek i zadzwoniła do Mabel Werts, która aż kipiała od najświeższych wiadomości, nie mogąc doczekać się następnych. Żadna z nich już od lat nie pamiętała takiego weekendu.

4

Ben jechał przed siebie bez żadnego celu, słuchając relacji Marka. Chłopiec rozpoczął ją od chwili, gdy przy oknie jego pokoju zjawił się Danny Glick, a zakończył na odwiedzinach, jakie miał tej nocy.

— Jesteś pewien, że to była Susan?

Mark skinął głową.

Ben zawrócił raptownie i popędził z powrotem Jointer Avenue.

— Dokąd pan jedzie? Czy do...

— Nie, nie tam. Jeszcze nie teraz.

5

— To tutaj. Proszę się zatrzymać.

Ben zahamował, wyłączył silnik i obaj wysiedli z samochodu. Znajdowali się na Brooks Road u podnóża Wzgórza Marstenów, tuż przy leśnej drodze, na której Homer McCaslin znalazł chevroleta Susan. Promienie słońca padły na lśniącą karoserię. Nie odzywając się ani słowem, ruszyli przed siebie zarośniętą drogą. Między głębokimi koleinami rosła wysoka trawa. Gdzieś w górze zaświergotał ptak.

Niebawem natrafili na samochód.

Ben przystanął z wahaniem, ponownie czując wzbierające mu w żołądku nudności. Ręce miał pokryte lodowato zimnym potem.

— Idź zobaczyć — wykrztusił.

Mark zajrzał przez szybę od strony kierowcy.

Kluczyki są w stacyjce — oznajmił.

Kiedy Ben ruszył w kierunku samochodu, nadepnął na leżący na ziemi twardy przedmiot. Spojrzawszy pod nogi dostrzegł rewolwer kalibru 38, bardzo podobny do tych, jakich używała policja. Schylił się i wziął go do ręki.

— Czy to? — zapytał Mark, zbliżając się do niego z kluczykami w dłoni.

— Nie wiem. — Upewnił się, czy broń jest zabezpieczona, po czym wsadził ją do kieszeni, a następnie wziął od chłopca kluczyki i wraz z nim podszedł do chevroleta, czując się tak, jakby to wszystko robił we śnie. Ręce drżały mu tak bardzo, że dopiero za drugim razem udało mu się wetknąć kluczyk do zamka bagażnika i przekręcić. Podniósł klapę, starając się przez chwilę o niczym nie myśleć.

Zajrzeli razem do środka. Bagażnik był pusty, jeśli nie liczyć zapasowego koła i lewarka. Ben dopiero teraz poczuł, że wstrzymał oddech i wypuścił powietrze z głośnym westchnieniem.

— Co teraz? — zapytał Mark.

Ben odpowiedział dopiero wtedy, gdy nabrał pewności, że jego głos będzie brzmiał w miarę normalnie.

— Pojedziemy do mojego przyjaciela Matta Burke, który chwilowo jest w szpitalu. On czytał sporo na temat wampirów.

— Uczy w szkole średniej, prawda? Czy wie o wszystkim?

— Owszem, podobnie jak jego lekarz.

— Doktor Cody?

— Tak jest.

Rozmawiając ani na chwilę nie spuszczała wzroku z samochodu, jakby stanowił on jedyną pamiątkę po dawno wymarłym plemieniu, którą niespodziewanie udało im się odkryć w lesie w pobliżu miasteczka. Otwarty bagażnik ział czernią niczym rozdziawione do krzyku usta; Ben zamknął go, a głucho trzaśnięcie odbiło się echem w jego sercu.

— Kiedy z nim porozmawiamy, pojedziemy do Domu Marstenów i rozprawimy się z tym sukinsynem. Mark nie poruszył się.

— To nie będzie takie łatwe, jak pan myśli. Ona też tam będzie. Jest tam już teraz.

— Pożałuje, że w ogóle się tu zjawił — wyszeptał Ben. — Chodźmy.

6

Kiedy wpół do dziesiątej weszli do pokoju Matta, zastali tam Jima Cody'ego. Lekarz obrzucił Bena poważnym spojrzeniem, a następnie zerknął ze zdziwieniem na chłopca.

— Mam dla ciebie niedobre wiadomości, Ben. Susan Norton zniknęła.

— Jest teraz wampirem — powiedział głucho Mears. Matt poruszył się gwałtownie w łóżku.

— Jesteś pewien? — zapytał ostro Jimmy.

Ben wskazał ruchem głowy na chłopca i przedstawił go mężczyznom.

— W sobotę wieczorem Mark przeżył odwiedzin Danny'ego Glicka. Resztę sam wam opowie.

Mark powtórzył relację, którą wcześniej przedstawił Benowi. Kiedy skończył, pierwszy odezwał się Matt:

— Ben, nawet nie potrafię wyrazić, jak bardzo mi przykro.

— Chcesz, żebym ci dał coś na uspokojenie? — zapytał Jimmy.

— Dziękuję. Wiem, jakiego lekarstwa mi trzeba. Muszę rozprawić się z Barlowem. Jeszcze teraz, przed zmierzchem.

— W porządku — Cody skinął głową. — Odwołałem wszystkie wizyty. Zadzwoń też do biura szeryfa, ale McCaslin zniknął bez śladu.

— To wiele wyjaśnia -: powiedział Ben, kładąc na stoliku rewolwer. W sterylnym, szpitalnym pokoju wydawał się dziwnie nie na miejscu.

— Gdzie go znalazłeś? — zapytał Jimmy, biorąc broń do ręki.

— Przy samochodzie Susan.

— W takim razie możemy w przybliżeniu odtworzyć, co się stało. Kiedy McCaslin zostawił nas w domu pogrzebowym, pojechał prosto do domu Nortonów, gdzie zapisał sobie markę, model i numer rejestracyjny jej samochodu.

W drodze powrotnej postanowił na wszelki wypadek przejechać bocznymi drogami i...

W pokoju zapadła cisza. Nikt nie miał ochoty przerwać jej jako pierwszy.

— Zakład Foremana jest ciągle zamknięty — podjął wreszcie Jimmy. — A staruszkowie, którzy przesiadują u Crossena, narzekają na Duda Rogersa. Nikt nie widział go prawie od tygodnia i wysypisko jest ciągle zamknięte.

Popatrzyli na siebie ponuro.

— Wczoraj wieczorem rozmawiałem z ojcem Callahanem — oznajmił Matt. — Zgodził się do nas przyłączyć pod warunkiem, że wy dwaj, i Mark, oczywiście, zajrzycie najpierw do sklepu i pogadacie ze Strakerem.

— Nie wydaje mi się, żeby on mógł dzisiaj z kimkolwiek rozmawiać — stwierdził spokojnie Mark.

— Czego się dowiedziałeś? — zapytał Jimmy Matta. — Może nam się coś przydać?

— Cóż, chyba udało mi się złożyć kilka fragmentów łamigłówki. Straker jest na pewno człowiekiem. Pełni rolę osobistego strażnika i opiekuna. Musiał zjawić się w miasteczku na długo przed Barlowem, żeby przeprowadzić odpowiednie przygotowania i złożyć Czarnemu Ojcu wymagane ofiary. Musicie wiedzieć, że nawet Barlow ma swego pana. — Obrzucił ich poważnym spojrzeniem. — Przypuszczam, że nikt nigdy nie znajdzie śladu Ralphie'ego Glicka. Był dla Barlowa czymś w rodzaju biletu wstępu.

— Sukinsyn — wycedził Jimmy.

— A Danny Glick? — zapytał Ben.

— Dostał go Straker jako nagrodę od swojego Mistrza. Pierwsza krew dla wiernego sługi. Później Barlow zaczął już zajmować się wszystkim osobiście. Przed jego pojawieniem się Straker zrobił dla niego jeszcze jedną rzecz. Który z was zgadnie, jaką?

Przez chwilę panowała cisza, a potem wyraźnie i spokojnie odezwał się Mark:

— Pies, którego znaleziono na bramie cmentarza.

— Co takiego? — zdumiał się Jimmy. — A na co mu to było?

— Białe oczy — powiedział tajemniczo chłopiec i spojrzał pytająco na Matta, który z pewnym zaskoczeniem skinął głową.

— Ślęczałem całą noc nad książkami nie wiedząc, że mamy w naszym gronie prawdziwego specjalistę. — Na policzkach chłopca pojawił się rumieniec. — Mark ma rację. Według ludowej tradycji jednym ze sposobów na odstraszenie wampira jest namalowanie białych „anielskich oczu” nad prawdziwymi oczami czarnego psa. Doc był cały czarny, jeśli nie liczyć dwóch białych plamek nad ślepiami, które Win nazywał reflektorami. W nocy pies biegał bez uwięzi, a kiedy Straker go zauważył, zabił i powiesił na bramie cmentarza.

— A co z tym Barlowem? — zapytał Jimmy. — W jaki sposób dostał się do miasteczka?

Matt wzruszył ramionami.

— Nie mam pojęcia. Wydaje mi się, iż musimy przyjąć, tak jak chcą tego wszystkie legendy, że jest bardzo stary. Niewykluczone, że zmieniał imię dziesięć, a może nawet tysiąc razy. Mógł mieszkać w dowolnym kraju na Ziemi, choć podejrzewam, że pochodzi z Rumunii lub Węgier. W każdym razie sposób, w jaki dostał się do Salem, nie ma żadnego znaczenia, choć wcale nie byłbym zdziwiony, gdyby okazało się, że maczał w tym palce Larry Crockett. Barlow jest tutaj i tylko to się liczy.

A teraz słuchajcie, co musicie zrobić: przede wszystkim weźcie ze sobą kołek i rewolwer szeryfa McCaslina, na wypadek, gdyby Straker jednak żył. Kołek musi przejść dokładnie przez serce, bo inaczej wszystko na nic. Jimmy tego dopilnuje. Kiedy już go zadźgacie, odetniecie mu głowę, wepchniecie w usta czosnek i położycie ją w trumnie twarzą do dołu. W większości książek i filmów martwy wampir natychmiast rozpada się w proch, ale nie jest powiedziane, że tak będzie w rzeczywistości. Jeśli nie, trzeba będzie wrzucić trumnę do bieżącej wody. Osobiście proponowałbym Royal River. Macie jakieś pytania?

Nie mieli.

— Dobrze. Każdy z was musi przy sobie mieć święconą wodę i kawałek hostii, a przed wyruszeniem powinniście wyspowiadać się u ojca Callahana.

— Zdaje się, że nikt z nas nie jest katolikiem — zauważył Ben.

— Ja jestem — odezwał się Jimmy. — Tyle tylko, że nie praktykującym.

— Mimo to pójdziecie do spowiedzi. Wyruszyście czysti, obmyci w krwi Chrystusa.

— W porządku — skinął głową Ben.

— Powiedz mi, czy spałeś z Susan? Wybacz, że o to pytam, ale...

— Tak — powiedział po prostu.

— W takim razie to ty musisz wbić kołek, najpierw w serce Barlowa, a potem w jej. Tylko ty spośród nas jesteś w to zaangażowany osobiście. Odegrasz rolę męża. Nie wolno ci się zawahać. Pamiętaj, że to oznacza dla niej wyzwolenie.

— W porządku — ponownie skinął głową.

— A przede wszystkim pamiętajcie o tym, żeby nie patrzeć mu w oczy. Jeśli to uczynicie, obezładni was i zwróci jednego przeciw drugiemu. Chyba nie zapomnieliście, co było z Floydem Tibbitsem? Z tego powodu posiadanie broni będzie się wiązało z pewnym niebezpieczeństwem. Jimmy, jeśli to ty będziesz niość rewolwer, zostań trochę z tyłu, a kiedy zajmiesz się badaniem Barlowa lub Susan, oddaj go Markowi albo Benowi.

— Dobrze.

— Pamiętajcie, żeby kupić czosnek. I róże, jeśli to możliwe. Jimmy, czy ta mała kwaciarnia w Cumberland jeszcze działa?

— „The Northern Belle”? Chyba tak.

— W takim razie po jednej białej róży dla każdego. Wepnijcie je we włosy albo powieście na szyi, wszystko jedno. Powtarzam raz jeszcze: nie patrzcie mu w oczy! Mógłbym wam jeszcze powiedzieć sto innych rzeczy, ale nie chcę was zatrzymywać. Jest już dziesiąta, a ojciec Callanan może przeżywać chwile zwątpienia. Będę wam towarzyszył myślą i modlitwą. Takiemu staremu agnostykowi jak ja pacierz nie przechodzi łatwo przez gardło, ale mam wrażenie, że ostatnio bardzo się zmieniłem. Czy to Carlyle powiedział, że kiedy człowiek wyrzuca Boga ze swego serca, wtedy na jego miejscu natychmiast pojawia się Szatan?

Kiedy nikt na to nie odpowiedział, Matt westchnął z głębi piersi.

— Jimmy, chciałbym obejrzeć twoją szyję.

Cody zbliżył się do łóżka i uniósł brodę. Rana składająca się z dwóch wyraźnych ukłuc goiła się bez żadnych komplikacji.

— Czujesz ból albo swędzenie?

— Nie.

— W takim razie miałeś dużo szczęścia.

— Coś mi się wydaje, że więcej, niż mogłem przypuszczać.

Na twarzy Matta pojawiło się nagle ogromne zmęczenie.

— Jeśli można, chętnie skorzystałbym z tabletki, którą zaproponowałaś Benowi.

— Powiem pielęgniarce.

— Prześpię się, kiedy wy zajmiecie się swoim zadaniem — powiedział Matt.

— Potem zostanie nam jeszcze jedna sprawa... Ale na razie wystarczy. — Spojrzał na Marka. — Dokonałeś wczoraj nie lada wyczynu, chłopcze. To, co zrobiłeś, było głupie i nierozważne, ale godne podziwu.

— Susan za to zapłaciła — powiedział Mark, zaciskając z całej siły dłoń.

— Tak, a ciebie może to dopiero czekać. Ciebie albo nawet was wszystkich. Nie lekceważcie go! A teraz wybaczone mi, lecz jestem ogromnie zmęczony. Czytałem prawie całą noc. Dajcie mi znać, gdy tylko skończycie.

Kiedy wyszli na korytarz, Ben spojrzał na Jimmy'ego i zapytał:

— Czy on ci kogoś nie przypominał?

— Owszem — odparł Jimmy. — Van Helsinga.

7

Kwadrans po dziesiątej Eva Miller zeszła do piwnicy po dwa słoiki zawekowanej kukurydzy dla pani Norton, która, według słów Mabel Werts, nadal leżała w łóżku. Eva spędzała zawsze niemal cały wrzesień w zaparowanej kuchni, pasteryzując wypełnione warzywami słoiki i zalewając parafiną domowe galaretki. Na półkach w piwnicy stało ponad dwieście słoików — robienie zapasów na zimę

stanowiło dla Evy jedną z największych przyjemności. Później, na początku zimy, na półkach pojawi się jeszcze legumina.

W chwili, gdy otworzyła drzwi, w jej nozdrza uderzył wstrętny zapach. — A niech to licha! — mruknęła pod nosem i zaczęła schodzić ostrożnie na dół, jakby zanurzała się w basenie z zatrutą wodą. Jej mąż osobiście wykopał piwnicę, wykładając ściany grubą warstwą ciosanego kamienia, aby zachować niską temperaturę. Zdarzało się nieraz, że przez jedno z wąskich, wentylacyjnych okienek wlaźli do środka piżmoszczur lub kuna i zdychał, nie mogąc wydostać się na zewnątrz. Podobnie było zapewne i tym razem, choć nie mogła sobie przypomnieć, żeby kiedykolwiek odór był aż tak silny.

Przeszła powoli wzdłuż ścian, mrużąc oczy, by dostrzec cokolwiek w wąłym blasku pięćdziesięciowatowych żarówek. Trzeba tu wkręcić siedemdziesiątki piątki, pomyślała. Zdjąwszy z półki dwa słoiki kukurydzy z etykietkami sporządzonymi jej starannym pismem (w każdym na samym wierzchu leżał kawałek czerwonej papryki) kontynuowała inspekcję, nie omijając nawet wąskiej przestrzeni między jedną ze ścian a dużym wieloprzewodowym piecem. Nic.

Dotarła ponownie do schodów i oparwszy dłonie na biodrach rozejrzała się dookoła ze zmarszczonymi brwiami. W piwnicy panował znacznie większy porządek, odkąd dwa lata temu ściągnęła dwóch chłopaków Larry'ego Crocketta i kazała im postawić za domem schowek na narzędzia. Piec ze swoimi rurami rozchodzącymi się niemal we wszystkich kierunkach przypominał impresjonistyczną rzeźbę bogini Kali. Obok stały dodatkowe okna, które założy, gdy tylko nadejdą pierwsze, październikowe chłody, bo ogrzewanie kosztuje teraz masę pieniędzy, oraz nakryty folią stół bilardowy Ralpa. Odkurzała go starannie raz do roku, choć od chwili śmierci męża w 1959 nikt go nie używał. I to właściwie wszystko. Jeszcze tylko pudło z książkami, które zbierała z myślą o szpitalu w Cumberland, szufla do śniegu z ułamaną rączką, skrzynka z jakimiś narzędziami Ralpa i waliza wypełniona starymi zasłonami, teraz pewnie już porządnie zawilgoconymi.

Wstrętny zapach ani trochę nie osłabł.

Jej wzrok spoczął na małych drzwiczkach prowadzących do komórki, w której trzymała ziemniaki i warzywa. Dzisiaj nie miała zamiaru tam wchodzić, a poza tym ściany niewielkiego pomieszczenia były wykonane z betonowych płyt, więc nie mogło być nawet mowy o tym, żeby dostało się tam jakieś zwierzę. Mimo to...

— Ed? — zapytała nagle, zupełnie bez powodu. Drgnęła, przestraszona brzmieniem swojego głosu.

Pojedyncze słowo zginęło bez echa w pogrążonej w półmroku piwnicy. Dlaczego to powiedziała? Co, na litość boską, mógłby tutaj robić Ed Craig? Pić? Szczerze mówiąc, nie potrafiła sobie wyobrazić bardziej ponurego i mniej nadającego się do tego celu miejsca niż jej piwnica. Już raczej zaszyłyby się w lesie z tym swoim kolegą, Virge'em Rathbunem.

Pomimo to stała jeszcze przez chwilę, taksując wewnątrz uważnym spojrzeniem. Smród był potworny, po prostu potworny. Miała nadzieję, że obejdzie się bez dezynsekcji.

Zerknąwszy po raz ostatni na drzwiczki do komórki, zaczęła wspinać się po schodach.

8

Ojciec Callahan wysłuchał ich uważnie. Kiedy skończyli swoją relację, wskazówki zegara pokazywały kilka minut po wpół do dwunastej. Siedzieli w chłodnym, przestronnym salonie plebani!, a słońce wpadało przez szerokie, frontowe okna, kładąc się na podłodze grubymi krechami. Obserwując tańczące w złotych promieniach pyłki Callahan przypomniał sobie widziany gdzieś żart rysunkowy: sprzątaczką spogląda z zaskoczeniem na podłogę, z której starła fragment swego cienia. On sam czuł się teraz bardzo podobnie. Po raz drugi w ciągu dwudziestu czterech godzin zetknął się z czymś absolutnie nieprawdopodobnym, tyle że teraz to coś znalazło potwierdzenie w słowach znanego pisarza, chłopca sprawiającego bardzo korzystne wrażenie i powszechnie szanowanego lekarza. Mimo to nieprawdopodobne pozostawało nadal nieprawdopodobnym. Nie można zetrzeć swojego cienia. Ale teraz coraz więcej przemawiało za tym, że coś takiego jednak się stało.

— Znacznie łatwiej byłoby mi w to uwierzyć, gdybyście postarali się o awarię elektryczności i burzę gradową — powiedział.

— To prawda — odparł poważnie Jimmy, unosząc bezwiednie dłoń do szyi.

— Zapewniam księdza.

Callahan wstał z fotela i wyjął z czarnej torby Cody'ego dwa zaostrome kije baseballowe.

— Proszę się uspokoić, pani Smith — powiedział, obracając jeden z nich w dłoniach. — To nie będzie bolało.

Nikt się nie roześmiał.

Odłożył kije na miejsce, podszedł do okna i wyjrzał na Jointer Avenue.

— Jesteście wszyscy bardzo przekonujący — przyznał. — A ja muszę chyba dodać jeszcze jeden szczegół, o którym nie wiecie. — Odwrócił się do nich. — W oknie sklepu Barlowa i Strakera pojawiła się tabliczka z napisem „Nieczynne do odwołania”. Poszedłem tam o dziewiątej rano, żeby porozmawiać z tajemniczym panem Strakerem o podejrzeniach naszego wspólnego znajomego, pana Burke'a. Sklep jest zamknięty na cztery spusty.

— Musi ojciec przyznać, że to potwierdza słowa Marka — zauważył Ben.

— Być może. A jeśli to tylko przypadek? Pytam was jeszcze raz: Czy jesteście pewni, że musicie do tego mieszać Kościół katolicki?

— Tak — odparł Ben — ale damy sobie radę i bez niego, jeśli będziemy musieli. Jeżeli okaże się, że nie ma innego sposobu, to pójdę tam nawet sam.

— Nie trzeba — powiedział ojciec Callahan. — Proszę ze mną do kościoła, panowie. Wysłucham waszej spowiedzi.

9

Ben, z głową pękającą od kołaczących się rozpaczliwie myśli, ukląkł niezgrabnie w konfesjonale wypełnionym wonią mrocznej stęchlizny. Przed oczami przesuwały mu się jeden za drugim surrealistyczne obrazy — Susan w parku; pani Glick cofająca się przed sporządzonym naprędce krzyżem, z ustami szeroko otwartymi niczym czarna, ziejąca rana; ubrany jak strach na wróble Floyd Tibbits wyskakujący z jego samochodu; Mark Petrie zaglądający przez boczną szybę do wnętrza chevroleta Susan. Po raz pierwszy i zarazem ostatni zaświtała mu nadzieja, że wszystko to było jedynie koszmarnym snem, i jego znękany umysł uczeplił się jej rozpaczliwie.

Jego spojrzenie padło na jakiś przedmiot w kącie konfesjonału. Ze zdziwieniem podniósł z podłogi napoczęte pudełeczko miętowych drażetek, które zapewne wypadło z kieszeni jakiegoś chłopca. Dotknięcie zupełnie jednoznacznej rzeczywistości. Koszmar rozgrywał się naprawdę.

Usłyszał skrzypienie otwierających się, a później zamykających drzwiczek. Podniósł wzrok, lecz nic nie zobaczył, za drewnianą kratką wisiała bowiem gruba zasłona.

— Co powinienem zrobić? — zapytał kratkę.

— Powiedz: „Przebacz mi, Ojcze, bo zgrzeszyłem”.

— Przebacz mi, Ojcze, bo zgrzeszyłem — powtórzył Ben, dziwiąc się, jak niezwykle brzmi jego głos w niewielkiej, zamkniętej przestrzeni.

— A teraz wyznaj mi swoje grzechy.

— Wszystkie? — zapytał ze zdziwieniem.

— Postaraj się dokonać reprezentatywnego wyboru — odparł sucho Callahan.

— Zdaje się, że mamy jeszcze coś do zrobienia przed zachodem słońca. Ben zaczął mówić, usiłując mieć cały czas przed oczami Dziesięć Przykazań i posługiwać się nimi jak czymś w rodzaju sita. W miarę, jak brnął coraz dalej, wcale nie było mu łatwiej. Zamiast katharsis doznawał nasilającego się z każdą chwilą uczucia zakłopotania, wynikającego z obnażania przed obcym człowiekiem najbardziej wstydliwych tajemnic swego życia. Mimo to rozumiał, że rytuał ten może stać się czymś nieodparcie fascynującym, niczym płyn do mycia okien dla nałogowego alkoholika lub dziurka od klucza w drzwiach dziewczęcej łazienki dla dorastającego chłopca. W tym akcie psychicznego wymiotowania kryło się coś średniowiecznego i niesamowitego. Przyszła mu na myśl scena z Bergmanowskiej

Siódmej pieczęci, w której tłum odzianych w łachmany pokutników, chłostających się po grzbietach cierniowymi gałęziami, idzie przez miasto dotknięte plagą czarnej śmierci. Ohyda takiego obnażania się (jednak na przekór sobie zmusił się do tego, żeby nie kłamać, choć gdyby chciał, mógłby to uczynić bez większego problemu) uczyniła zadanie czekające go jeszcze tego samego dnia niemal namacalnie realnym; prawie widział słowo WAMPIR, wypisane na czarnej tablicy swojego umysłu, nie wielkimi wołami, używanymi na filmowych plakatach, lecz niedużymi literkami, zajmującymi niewiele miejsca. Czuł się zupełnie bezsilny, chwycony w szpony obcego sobie rytuału, przeniesionego jakby z innej epoki. Konfesjonał mógł stanowić bezpośredni łącznik z czasami, kiedy wilkołaki, strzygi i upiory stanowiły powszedni składnik panującej wszędzie dokoła ciemności, którą rozpraszał jedynie wąski promień światła rzucany przez Kościół. Po raz pierwszy w życiu poczuł niesamowity, powolny puls stuleci i ujrzał swoje istnienie jako ledwie dostrzegalną iskierkę migoczącą w otchłani, której widok, gdyby ją dostrzec w całej okazałości, doprowadziłby do szaleństwa każdego człowieka. Matt nie powiedział im o tym, że w koncepcji ojca Callahana Kościół pełnił rolę Mocy, lecz Ben doskonale to w tej chwili rozumiał. Czuł ją w tym zatechłym, małym pudełeczku, napierającą zewsząd, pozostawiającą go nagim i godnym pożalowania. Odbierał to tak, jak nie potrafiłby żaden katolik, obcujący ze spowiedzią niemal od wczesnego dzieciństwa.

Kiedy wreszcie wyszedł, wciągnął z ulgą w płuca chłodne powietrze wpadające przez szeroko otwarte drzwi świątyni. Dotknąwszy dłonią karku poczuł, że zebrały się tam grube krople potu.

— Jeszcze nie skończyliśmy — rozległ się głos Callahana. Ben wszedł bez słowa z powrotem, ale już nie uklęknął. Jako pokutę otrzymał dziesięć „Ojcze nasz” i dziesięć „Zdrowaś Mario”.

— Nie znam tej modlitwy — powiedział.

— Dostaniesz karteczkę z tekstem — odparł głos z drugiej strony zasłony.

— Będziesz mógł się modlić w drodze do Cumberland. Ben zawahał się przez chwilę.

— Wie ksiądz, Matt miał rację mówiąc, że to będzie trudniejsze, niż nam się wydawało.

— Naprawdę?

Ben nie mógł się zdecydować, czy w głosie Callahana była tylko uprzejmość, czy także niedowierzanie. Opuścił wzrok na swoje dłonie i zobaczył, że w dalszym ciągu ścisną pudełko miętowych drażetek, które zdążyło się już zamienić w bezkształtną, przepoconą miazgę.

10

Zbliżała się pierwsza, kiedy wszyscy wsiedli do dużego buicka Jimmy'ego i ruszyli w drogę. Nikt nie odezwał się ani słowem. Ojciec Callahan miał na sobie sutannę, komżę i białą stulę obrębianą fioletem. Dał każdemu małą fiolkę ze święconą wodą i pobłogosławił ich znakiem krzyża. W dłoniach trzymał niewielkie, srebrne cyborium z kilkoma komunikantami.

W Cumberland zatrzymali się najpierw przed biurem Cody'ego. Jimmy zostawił silnik pracujący na wolnych obrotach i wszedł do środka; kiedy się ponownie zjawił, miał na sobie luźny, sportowy płaszcz obciążony rewolwerem szeryfa McCaslina, a w prawej ręce duży młotek.

Ben przez chwilę nie mógł oderwać wzroku od narzędzia, kątem oka widząc, że podobnie zachowują się Mark i ojciec Callahan. Młotek był wykonany z błękitnej stali i miał trzonek wyposażony w gumowy, perforowany uchwyt.

— Okropny, prawda? — zauważył Jimmy.

Ben wyobraził sobie, jak za pomocą tego młotka wbija drewniany kołek między piersi Susan, i poczuł, jak żołądek wywraca mu się powoli na drugą stronę, niczym wykonujący ewolucję samolot.

— Tak — wykrztusił, zwilżywszy językiem wargi. — Rzeczywiście okropny.

Następnie podjechali do supermarketu, gdzie Ben i Jimmy wykupili cały dostępny zapas czosnku, czyli dwanaście pudełek wypełnionych po brzegi białymi główkami.

— Cieszę się, że nie umówiłam się na dzisiaj z żadnym z was — powiedziała kasjerka, unosząc wysoko brwi.

— Ciekawe, skąd się bierze takie działanie czosnku? — mruknął z zastanowieniem Ben, kiedy szli do samochodu. — Czy to werset z Biblii, a może jakieś starożytne przekleństwo. . .

— Podejrzewam, że chodzi o zwyczajną alergię — odparł Jimmy.

— Alergię?

Callahan usłyszał ostatnie słowa i kazał sobie powtórzyć, o czym rozmawiali.

— Zgadzam się z doktorem Codym — powiedział. — To istotnie może być alergja. . . zakładając, że czosnek rzeczywiście odstrasza wampiry. Pamiętajcie, że do tej pory nikt tego jednoznacznie nie dowiódł.

— To śmiesznie brzmi jak na księdza — zauważył Mark.

— Dlaczego? Skoro już mam uwierzyć w istnienie wampirów (a wszystko wskazuje na to, że muszę, przynajmniej na jakiś czas), to czemu miałbym uważać je za istoty żyjące w oderwaniu od wszystkich naturalnych praw? Co prawda, tradycyjne przekazy podają, że nie można dostrzec ich w lustrze, że potrafią przemieniać się w nietoperze, ptaki i wilki (są to tak zwane psychopompy) oraz przeciskać się przez szczeliny niedostrzegalne gołym okiem, ale z drugiej strony

wiemy przecież, że widzą, słyszą i mówią, czemu więc miałyby być pozbawione zmysłu smaku? Przypuszczam, że znają także uczucia niewygody i bólu. . .

— A miłość? — zapytał Ben, wpatrując się przed siebie nieruchomym spojrzeniem.

— Nie — pokręcił głową Jimmy. — Nie sądzę, żeby wiedziały, co to miłość.

Zatrzymał samochód na niewielkim parkingu przy budynku kwaciarni, za którym można było dostrzec dach sporej szklarni.

W chwili gdy otworzyli drzwi, zadźwięczał dzwonek, a nozdrza ich uderzył skoncentrowany aromat wielu gatunków kwiatów. Ciężki, słodkawy zapach przywiódł Benowi na myśl ceremonię pogrzebową.

— Witam panów — powiedział wysoki mężczyzna w ogrodniczym kombinezonie, trzymając w dłoni doniczkę wypełnioną ziemią.

Ben ledwie zdążył wyjaśnić, czego potrzebują, kiedy mężczyzną potrząsnął głową.

— Przykro mi, ale trochę się spóźniłście — powiedział, nie pozwalając mu dokończyć. — W ubiegły piątek przyjechał jakiś człowiek i wykupił wszystkie róże, jakie miałem na składzie — czerwone, białe i żółte. Następna dostawa będzie dopiero w środę, więc gdyby chcieli panowie zamówić. . .

— Jak wyglądał ten człowiek?

— Niezwykle — odparł właściciel kwaciarni, odstawiając doniczkę. — Wysoki, kompletnie łysy, o przenikliwym spojrzeniu. Sądząc po zapachu palił jakieś zagraniczne papierosy. Obracał trzy razy, żeby zabrać wszystkie kwiaty. Załadował je do bardzo starego samochodu, zdaje się, że był to dodge. . .

— Packard — poprawił go Ben. — Czarny packard.

— Widzę, że pan go zna.

— W pewnym sensie.

— Zapłacił gotówką. To dziwne, jeśli weźmie się pod uwagę sumę. Gdyby pan się z nim skontaktował, może odstąpiłby panu kilka.

— Może.

— Jest jeszcze jedna kwaciarnia w Falmouth. . . — odezwał się Callahan z powątpiewaniem w głosie, gdy znaleźli się z powrotem w samochodzie.

— Nie! — przerwał mu ostro Ben. — Nie! — Pozostali spojrzeli na niego z przestachem, słysząc wyraźną nutę hysterii. — A jeżeli pojedziemy tam i okaże się, że Straker był już wcześniej, to co? Gdzie spróbujemy w następnej kolejności? W Portland? Kittery? A może w Bostonie? Nie rozumiecie, co się dzieje? On przewidział każdy nasz ruch! Po prostu wodzi nas za nos!

— Zastanów się, Ben — próbował go uspokoić Jimmy. — Czy nie powinniśmy chociaż. . .

— Nie pamiętasz, co opowiedział Matt? „Nie wolno wam wierzyć, że nic wam nie grozi tylko dlatego, że on nie może działać w dzień”. Spójrz na zegarek, Jimmy.

— Piętnaście po drugiej — stwierdził ze zdumieniem Jimmy i obrzucił ich niedowierzającym spojrzeniem, jakby wątpił w dokładność swojego zegarka.

Jednak była to prawda; z każdą chwilą cienie robiły się coraz dłuższe.

— Spodziewał się nas — powiedział Ben. — Wyprzedzał nie o krok, ale co najmniej o cztery kroki. Jak mogliśmy przypuszczać, że o n nic o nas nie będzie wiedział? Że nie weźmie pod uwagę możliwości zdemaskowania? Musimy natychmiast ruszać, bo jeżeli nie, to spędzimy resztę dnia dyskutując o tym, ile diabłów pomieści się na łebku szpilki.

— On ma rację — odezwał się niemal szeptem Callahan. — Chyba rzeczywiście lepiej przestańmy gadać i bierzmy się do roboty.

— W takim razie, jazda! — wykrzyknął Mark.

Jimmy ruszył z piskiem opon. Właściciel kwaciarni stał jeszcze dłuższą chwilę, spoglądając w ślad za samochodem z nalepką „lekarz” na szybie, w którym siedzieli mały chłopiec i trzech mężczyźni, w tym ksiądz, wrzeszcząc do siebie o jakichś nieprawdopodobnych wariactwach.

11

Cody podjechał do Domu Marstenów nie od miasteczka, lecz od strony Brooks Road. On rzeczywiście góruje nad Salem, pomyślał Callahan, spoglądając w górę na budynek. Dziwne, że nigdy wcześniej nie zwróciłem na to uwagi. To znakomite miejsce, wysoko na wzgórzu, nad skrzyżowaniem Jointer Avenue i Brock Street. Znakomite miejsce i niemal pełna panorama miasteczka. Dom był duży i zaniedbany, a z okiennicami zatrzaśniętymi na głucho przypominał ogromny, wycięty z jednej bryły sarkofag, symbol ostatecznej zagłady.

Popełniono w nim samobójstwo i morderstwo, co oznaczało, że stał teraz na przeklętej ziemi.

Callahan otwierał już usta, żeby powiedzieć to na głos, ale w ostatniej chwili zrezygnował.

Cody skręcił w Brooks Road i na chwilę budynek zniknął za drzewami. Niebawem jednak ich zasłona wyraźnie się przerzedziła, a zaraz potem samochód wjechał na zarośnięty podjazd. Czarny packard stał przed garażem. Jimmy wyłączył silnik i wyciągnął rewolwer McCaslina.

Callahan niemal natychmiast poczuł, jak przytłacza go atmosfera panująca w tym miejscu. Wyjął z kieszeni krzyż należący jeszcze do jego matki i powiesił na szyi, obok własnego. W pozbawionych liści gałęziach drzew nie śpiewał żaden ptak. Długa, zmierzwiona trawa wydawała się znacznie bardziej sucha, niż wynikałoby to z pory roku, szara ziemia zaś sprawiała wrażenie ubogiej i wyjąłowej.

Na ganek prowadziły zniszczone, spaczone schody, a na jednym z drewnianych słupów podtrzymujących daszek widać było wyraźnie miejsce, z którego

niedawno zdjęto tablicę zakazującą wstępu. We frontowych drzwiach pod starą, zardzewiałą klamką lśnił nowy zamek.

— Może spróbujemy przez okno, jak Mark. . . — zaczął niepewnie Jimmy.

— Nie — odparł Ben. — Wejdziemy przez drzwi. Wyłamiemy je, jeśli będzie trzeba.

— Nie sądzę, żeby to było konieczne — powiedział Callahan głosem, który nawet jemu samemu wydał się obcy i niezwykły. Kiedy wysiedli z samochodu, nie zastanawiając się stanął na czele małej grupki i poprowadził ją naprzód z zapalem, o którym sądził, że już nigdy nie będzie mu dane go odczuwać. Dom wydawał się nachylać nad nimi, wydychając zło przez każde, nawet najmniejsze pęknięcie w łuszczącej się warstwie farby. Mimo to Callahan nie zawahał się ani przez moment. Minął czas rozważań, nadszedł czas działania. Ostatnie kilka kroków pokonał jakby gnany niemożliwą do przewyciężenia siłą.

— W imię Boga Wszechmogącego! — zawołał donośnym, ochryplym głosem, na którego dźwięk pozostała trójka skupiła się ciasniej wokół niego. — Rozkazuje, aby złe moce opuściły ten dom! Odejdź, siło nieczysta! — I właściwie nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, uderzył w drzwi krzyżem ściskanym w dłoni.

Błysnęło jaskrawe światło, powietrze zapachniało ozonem (później wszyscy zgodzili się, że było tak w istocie) i rozległ się przeraźliwy trzask, kojarzący się z krzykiem starych desek. Żarówka wisząca nad wejściem na wykrzywionym pałku nagle eksplodowała, a znajdujące się po lewej stronie duże okno rozpadło w drobny mak, zasypując trawnik szklanymi odłamkami. Jimmy krzyknął głośno; zamek zgnieciony jakby pod prasą leżał u ich stóp na podłodze ganku. Mark nachylił się, żeby go podnieść, lecz odskoczył raptownie z bolesnym syknięciem.

— Gorący — stwierdził, dmuchając na palce.

Callahan odsunął się od drzwi, drżąc na całym ciele i spojrział na trzymany w dłoni krzyż.

— Jest to bez wątpienia najbardziej zdumiewająca rzecz, jaka przydarzyła mi się w życiu — stwierdził. Uniósł wzrok w górę, jakby spodziewając się dojrzeć tam oblicze Boga, lecz ujrzał jedynie przesuujące się obojętnie chmury.

Ben pchnął drzwi, które otworzyły się bez żadnego problemu, ale zaczekał, aż ojciec Callahan wejdzie pierwszy do środka. Kiedy wszyscy znaleźli się w hallu, ksiądz spojrział pytająco na Marka.

— W piwnicy — powiedział chłopiec. — Schody są w kuchni. Straker leży na górze, ale. . . — zastanawiał się przez chwilę ze zmarszczonymi brwiami. — Coś jest inaczej, niż było. Nie wiem co, ale jestem tego pewien.

Najpierw skierowali się na piętro. Choć tym razem Ben nie szedł sam, zbliżając się do drzwi na końcu krótkiego korytarza poczuł, jak włosy jeżą mu się pod wpływem starego, dobrze znanego strachu. Oto teraz, niemal dokładnie w miesiąc po powrocie do miasteczka, będzie miał okazję po raz drugi w życiu zajrzeć do tego pokoju. Kiedy Callahan otworzył drzwi, spojrział od razu w górę. . . i krzyknął

przeraźliwie, zanim zdołał nad sobą zapanować.

Jednak tym razem na linie zwieszającej się z belki nie wisił Hubert Marsten ani jego duch.

Był to Straker, z rozciętym szeroko gardłem, powieszony głową do dołu niczym świnia w rzeźni. Wpatrywał się w nich niewidzącym, szklanym spojrzeniem wytrzeszczonych oczu.

W jego ciele nie pozostała ani kropla krwi.

12

— Dobry Boże — wyszeptał ojciec Callahan. — Dobry Boże. . .

Powoli weszli do środka: Callahan i Cody nieco z przodu, Ben i Mark za nimi, przytuleni ciasno do siebie.

Ktoś najpierw związał stopy Strakera, a następnie podciągnął go w górę. Benowi przemknęła niewyraźna myśl, że ten ktoś musiał dysponować wręcz niesamowitą siłą; dłonie mężczyzny wisiły bezwładnie kilka centymetrów nad podłogą.

Jimmy dotknął czoła, a następnie ręki Strakera.

— Nie żyje od co najmniej osiemnastu godzin — stwierdził i otrząsnął się jak po wyjściu z zimnej wody. — Boże, ależ to okropne! Nie rozumiem, kto i po co. . .

— To zrobił Barlow — powiedział Mark, wpatrując się w ciało nieruchomymi oczami.

— Straker nie spisał się zbyt dobrze — uzupełnił Jimmy. — Obawiam się, że nie zasłużył sobie na wieczne życie. Ale dlaczego w taki sposób, głową do dołu?

— Robili to już za Aleksandra Macedońskiego — odezwał się Callahan. — Wieszali ciało wroga lub zdrajcy głową na dół, żeby spoglądał w stronę piekła, a nie nieba. W ten sposób ukrzyżowano świętego Pawła, łamiąc mu najpierw nogi.

— Ciągłe nas zwodzi — wychrypiał Ben. — Zna tysiące sposobów. Chodźmy.

Ruszyli za nim korytarzem, w dół po schodach, do kuchni. Kiedy się tam znaleźli, na czoło ponownie wysunął się ojciec Callahan. Przez chwilę spoglądali na siebie w milczeniu, a potem wzrok Bena spoczął na drzwiach do piwnicy, podobnie jak dwadzieścia pięć lat wcześniej na innych drzwiach, piętro wyżej, za którymi czekała odpowiedź na nie sformułowane pytanie.

13

Kiedy ksiądz otworzył drzwi, Mark poczuł ten sam, zgniły odór, lecz jego uwagi nie umknęła pewna różnica: zapach był nieco słabszy i nie wywoływał takiego dreszczu przerażenia.

Callahan zaczął schodzić pierwszy. Mark musiał zebrać w sobie wszystkie siły, żeby zagłębić się w ślad za nim w wypełnioną śmiercią ciemność.

Jimmy włączył latarkę wydobytą z torby; wąski strumień światła omiotł podłogę, przebiegł po ścianie, zatrzymał się na podłużnej skrzyni, a potem padł na stół.

— Patrzcie — wyszeptał Cody. Leżała tam czysta, świeża koperta.

— To jakiś podstęp — powiedział Callahan.- Lepiej jej nie dotykać.

— Nie — odezwał się głośno Mark, doświadczając jednocześnie uczucia ulgi i rozczarowania. — Jego tutaj nie ma. Uciekł. Zostawił nam list, na pewno pełen obrzydliwych rzeczy.

Ben podszedł do stołu, wziął kopertę, obrócił ją dwukrotnie w dłoni — w blasku latarki widać było wyraźnie, jak drżą mu palce — i wreszcie rozerwał ją jednym ruchem.

W środku znajdowała się pojedyncza kartka papieru. Stłoczyli się wokół niej, a gdy Jimmy skierował na nią światło latarki, okazało się, że jest pokryta eleganckim, drobnym pismem. Czytali ją razem, Mark nieco wolniej od pozostałych.

4 października

Moi szanowni, młodzi Przyjaciele!

Jak to miło z Waszej strony, że zechcieliście do mnie zajrzeć!

Nigdy nie mam nic przeciwko towarzystwu; w moim długim, częstokroć samotnym życiu stanowiło ono zawsze bardzo miłe urozmaicenie. Gdybyście zjawili się wieczorem, miałbym przyjemność powitać Was osobiście, ponieważ jednak podejrzewałem, że przybędziecie za dnia, uznałem za Stosowne oddalić się na jakiś czas.

Pozostawiłem Wam mały dowód mych przyjaznych uczuć: ktoś bardzo bliski i drogi dla jednego z Was znajduje się teraz w miejscu, w którym i ja spędzałem moje dni aż do chwili, gdy uznałem, że inne lokum może się dla mnie okazać znacznie bardziej korzystne. Ona jest cudowna, Panie Mears, nadzwyczaj s m a k o w i t a, jeśli wolno mi będzie użyć tego wyrażenia. Już jej nie potrzebuję, więc zostawiłem ją wam, byście mogli (jak to się u Was mówi?), aha, „rozgrzać się” przed główną czekającą nas atrakcją albo, jeśli wolicie, rozbudzić Wasze apetyty. Przekonajmy się, w jaki sposób poradzicie sobie z przystawką, mając myśli zaprzątnięte już najważniejszym daniem.

Szanowny Paniczu Petrie, pozbawiłeś mnie najwierniejszego i najpotężniejszego sługi, jakiego kiedykolwiek posiadałem, zmuszając mnie pośrednio do tego, bym wziął udział w jego unicestwieniu. W tym

przypadku wpadłem w pułapkę swego własnego apetytu. Nie wątpię, że osiągnąłeś to podstępem, lecz mimo to z góry cieszę się na spotkanie z Tobą. Najpierw jednak, jak mi się wydaje, zajmę się Twymi rodzicami. Jeszcze dziś wieczór... a może jutro... albo pojutrze. Potem przyjdzie kolej na Ciebie. Gwarantuję Ci, że dołączysz do mego chłopięcego chóru jako mały kastrat.

Ojciec Callahan, a więc jednak przekonali Cię, żebyś tu przyszedł? Spodziewałem się tego. Od chwili, gdy zjawilem się w tym miasteczku, przyglądałem Ci się dosyć uważnie niczym doświadczony szachista, który bada ustawienie figur przeciwnika. Wbrew temu, co myślisz. Kościół katolicki nie jest wcale moim najstarszym przeciwnikiem! Ja byłem już stary, kiedy on dopiero się rodził, a jego członkowie kryli się w katakumbach Rzymu, malując sobie na piersi znak ryby. Byłem już potężny, kiedy ta zbieranina czcicieli chleba i wina nie dysponowała jeszcze niemal żadną siłą. Mój kult liczył sobie wiele wieków, podczas gdy zwyczaj Twego Kościoła dopiero się rodziły. Mimo to jestem daleki od tego, żeby Cię nie doceniać. Czerpię swą mądrość zarówno ze Zła, jak i Dobra. Nie jestem zadufany w swoje siły.

Pomimo to pokonam Cię jednak. Jak, pytasz? Czyż Callahan nie nosi na sobie munduru Białych? Czyż Callahan nie porusza się zarówno w dzień, jak i w nocy? Czyż nie istnieją zaklęcia i czary, pogańskie i chrześcijańskie, o których poinformował go jego dobry przyjaciel Matthew Burke? Po trzykroć tak, ale nie zapominaj, że ja jestem starszy od Ciebie i przepotężny. Nie jestem wężem, lecz ojcem wszystkich węży.

Twierdzisz, że to nie wystarczy? Masz rację. Ostatecznie bowiem, „Ojciec” Callahan, to Ty pogrążysz samego siebie. Twoja wiara w Dobro jest miękka i słaba, a to, co mówisz o miłości, nie opiera się na rzeczywistej wiedzy. Dopiero gdy nauczysz o zawartości butelki, wkraczasz na dobrze sobie znany grunt.

Moi szanowni Przyjaciele — Panie Mears, Panie Cody, Paniczku Petrie, Ojciec Callahan — rozgoście się tak, jak tylko macie na to ochotę. Szczególnie polecam doskonale wino, zakupione specjalnie dla mnie przez nieszczęśliwie zmarłego, poprzedniego właściciela tego domu, którego nigdy nie było mi dane osobiście poznać. Raczcie się tym trunkiem, o ile będziecie mieli na to ochotę, uporawszy się z czekającym Was zadaniem. Obiecuję, że spotkamy się jeszcze osobiście, a wtedy sam będę mógł przekazać każdemu z Was wyrazy mojej najszczerzej przyjaźni.

Tymczasem adieu.

BARLOW

Ben wypuścił list z drżącej dłoni i spojrzął na pozostałych. Mark stał z zaciśniętymi pięściami i wyrazem twarzy kogoś, kto ugryzł zgniły owoc, Jimmy wyglądał jak mały, przestraszony chłopiec, a ojciec Callahan wpatrywał się przed siebie błyszczącymi oczami, z ustami przypominającymi wąską, białą kreskę.

Niemal jednocześnie wszyscy trzej spojrzeli mu prosto w twarz.

— Chodźmy — powiedział.

Razem przeszli do drugiej części piwnicy.

14

Kiedy Nolly Gardener zatrzymał przy krawężniku radiowóz i wysiadł z niego, jednocześnie podciągając spodnie i drapiąc się po siedzeniu, Parkins Gillespie stał na schodach wzniesionego z cegieł budynku Rady Miejskiej z przyłożoną do oczu lornetką.

— Co jest, Park? — zapytał Nolly, wchodząc na schody. Parkins bez słowa podał mu lornetkę i wskazał kciukiem Dom Marstenów.

Nolly uniósł szkła do oczu. Najpierw zobaczył starego packarda, a potem zaparkowanego przed nim nowego buicka. Powiększenie nie było wystarczające, żeby odczytać numer rejestracyjny.

— To chyba wóz doktora Cody'ego, nie? — zapytał, opuszczając lornetkę.

— Zdaje się, że tak. — Parkins wetknął sobie w usta pallmalla i potarł zapałkę o ścianę budynku.

— Nigdy nie widziałem tam żadnego innego samochodu oprócz tego packarda.

— Ja też nie — odparł z zamyśleniem Parkins.

— Myślisz, że powinniśmy tam pojechać i rzucić okiem? — zapytał Nolly z niezwykłym dla niego brakiem entuzjazmu.

— Nie — powiedział Gillespie. — Wydaje mi się, że nie powinniśmy się w to wtrącać.

Wyjąwszy z kieszeni kamizelki zegarek, otworzył srebrną kopertę ruchem zwiadowcy sprawdzającego punktualność przyjazdu ekspresu. 15.41. Porównał godzinę ze wskazaniem zegara na wieży, zatrzasnął kopertę i schował czasomierz do kieszeni.

— Co wyszło z Tibbitsem i małym McDougalem? — zapytał Nolly,

— Nie wiem.

— Aha — odparł lekko zdziwiony zastępca szeryfa. Parkins był znany ze swojej małomówności, ale teraz bił własne rekordy. Ponownie spojrzął przez lornetkę; żadnych zmian.

— Spokojnie dzisiaj — podjął Nolly kolejną próbę.

— Tak — mruknął Parkins, obrzucając spojrzeniem swych wyblakłych, niebieskich oczu Jointer Avenue i zaczynający się tuż za nią park. Zarówno ulica, jak i park były niemal zupełnie puste. Brakowało nawet matek z dziećmi i spacerowiczów przechadzających się wokół Pomnika Ofiar Wojny.

— Ostatnio w miasteczku dzieją się dziwne rzeczy — brnął dalej, nie zrażony Nolly.

— Rzeczywiście — przyznał pogrążony w głębokich rozważaniach Parkins.

Zdesperowany Gardener postanowił poruszyć jedyny temat, który zawsze wywoływał zainteresowanie szefa: pogodę.

— Chmurzy się — zauważył. — Wieczorem może padać. Gillespie spojrzął w niebo. W górze sunęło gnane wiatrem stado baranków, a z południowego zachodu nadciągał jednolity wał ciemnych chmur.

— Masz rację — powiedział i wypluł niedopałek papierosa.

— Park, dobrze się czujesz?

Parkins Gillespie zastanowił się głęboko.

— Nie — odparł wreszcie.

— Co się z tobą dzieje, do diabła?

— Wydaje mi się, że po prostu cholernie się boję.

— Czego? — zapytał ze zdumieniem Nolly.

— Nie wiem — powiedział Parkins, odbierając mu lornetkę. Zaczął ponownie przypatrywać się Domowi Marstenów, podczas gdy jego zastępca stał jak trafiony gromem, daremnie usiłując odzyskać mowę.

15

Bezpośrednio za stołem, na który Ben rzucił list od Barlowa, piwnica zakrecała, tworząc jakby dużą literę L. Znaleźli się w tej jej części, która służyła do przechowywania wina. Hubert Marsten musiał istotnie być nie lada koneserem, pomyślał Ben. Wszędzie dokoła stały duże i małe gąsiory, pokryte grubą warstwą kurzu i pajęczyn, a cała przeciwna ściana zastawiona była specjalnym regałem z ukośnymi otworami; z niektórych wciąż jeszcze sterczały szyjki butelek, a w tych, które eksplodowały, rozlewając po brudnej podłodze płyn przeznaczony dla czyjegoś wybrednego podniebienia, gnieździły się teraz pająki. Zawartość innych zamieniła się z pewnością w ocet, o czym świadczył ostry zapach, zmieszany z wonią powolnego rozkładu.

— Nie — powiedział rzeczowo Ben, jakby mówił o jakiejś zwyczajnej rzeczy.

— Nie mogę.

— Musisz — odparł ojciec Callahan. — Nie twierdzą, że to będzie łatwe albo że po tym poczujesz się lepiej, ale po prostu musisz, i już.

— Kiedy nie mogę! — krzyknął Ben, a jego słowa odbiły się echem od ścian piwnicy.

Pośrodku, na czymś w rodzaju niskiego podium leżała nieruchomo Susan Norton, oświetlona blaskiem latarki Jimmy'ego. Jej ciało od ramion aż po stopy okrywało zwykłe, białe płótno; zbliżyli się do niej, nie mogąc ze zdumienia wykrztusić ani słowa.

Za życia była ładną dziewczyną, która kiedyś, przypadkiem, rozminęła się o włos z oszałamiającą urodą. To, że nie można było nazwać jej absolutną piękną, wynikało nie tyle z jakichś uszczerbków w jej wyglądzie, co raczej z nudy i bezbarwności życia, jakie prowadziła. Dopiero teraz osiągnęła to, czego nie udało się jej uzyskać wcześniej.

Śmierć nie wycisnęła na niej żadnego piętna. Na twarzy kwitły zdrowe rumieńce, a usta, choć nie tknięte szminką, miały intensywną, czerwoną barwę. Czoło było nieskazitelnie białe, cera kremowa, gęste rzęsy zaś rzucały na policzki długie cienie. Jedną ręką, lekko zgiętą w łokciu, leżała wzdłuż boku, a druga spoczywała na talii. Jednak ogólne wrażenie, jakie sprawiała, nie kojarzyło się z anielską niewinnością, lecz z zimną, obojętną doskonałością. W wyrazie jej twarzy było coś, co przywodziło Jimmy'emu na myśl młode Wietnamki, niektóre za ledwie trzynastoletnie, przyklękające na jakiś czas przed żołnierzami w ciemnych alejkach za barami nie po raz pierwszy ani nawet nie setny. Tamte dziewczynki zepsuło nie zło, tylko zbyt szybko zdobyta wiedza o świecie. Zmiana, która zaszła w twarzy Susan, zdawała się świadczyć o czymś innym, ale na razie nie potrafił powiedzieć, o czym.

Callahan wysunął się krok naprzód i dotknął palcami wypukłości jej piersi.

— Tutaj — powiedział. — W serce.

— Nie — powtórzył Ben. — Nie mogę.

— Bądź jej kochankiem — przemówił do niego łagodnie ksiądz. — Bądź jej mężem. Nie skrzywdzisz jej, Ben, tylko ją wyzwolisz. To będzie bolało tylko ciebie.

Ben wpatrywał się w niego tępym spojrzeniem. Mark wydobyl z torby Jimmy'ego jeden z kołków i wręczył mu go bez słowa. Kiedy Ben wyciągnął rękę, odniósł wrażenie, że ta ma kilka mil długości.

Jeżeli nie będę myślał o tym, co robię, to może...

Ale to mu się nie uda. Niespodziewanie przyszedł mu na myśl fragment *Draculi*, tego zabawnego utworu literackiego, który teraz zupełnie przestał go bawić. Były to słowa, jakie van Helsing wypowiedział do Arthura Holmwooda, kiedy ten stanął przed takim samym, okropnym zadaniem: „Zanim dotrzemy do spokojnych, słodkich wód, czeka nas przeprawa przez gorzkie i wzburzone”. Czy kiedykolwiek dane im jeszcze będzie zaznać jakiejś słodyczy?

— Zabierzcie to! — jęknął. — Dajcie mi spokój!

Żadnej odpowiedzi.

Poczuł, że jego czoło, policzki i ramiona pokrywają się zimnym potem. Kawałek drewna, który jeszcze cztery godziny temu był zwykłym kijem do baseballu, teraz wydawał się ważyć niesamowicie dużo, jakby skoncentrowała się na nim jakaś niewidzialna, tytaniczna siła.

Uniósł zaostrzony kołek i przyłożył go do jej lewej piersi, tuż nad ostatnim, zapiętym guzikiem bluzki. Drewniany grot pozostawił małe zagłębienie w skórze; kąćki ust zaczęły mu drżeć w niemożliwym do opanowania grymasie.

— Ona żyje — wychrypiał z wysiłkiem. Była to ostatnia linia obrony.

— Nie — odparł nieubłaganie Jimmy i pokazał im wskazanie ciśnieniomierza, którego rękaw owinął wokół ramienia dziewczyny: 00/00. Następnie przyłożył do jej piersi stetoskop, pozwalając każdemu wsłuchać się w panującą tam ciszę.

Ktoś wsunął Benowi do drugiej dłoni jeszcze jeden przedmiot; nawet w wiele lat później nie mógł sobie przypomnieć, kto to zrobił. Młotek. Młotek z zestawu dla majsterkowiczów z gumowym, perforowanym uchwytem. Metal błyszczał złowróźnie w świetle latarki.

— Zrób to szybko i wyjdź na zewnątrz — powiedział Callahan. — My zajmujemy się resztą.

„Zanim dotrzemy do spokojnych, słodkich wód, czeka nas przeprawa przez gorzkie i wzburzone”.

— Boże, wybacz mi — szepnął.

Uniósł młotek i uderzył nim z całej siły.

Narzędzie trafiło w kołek trochę z boku; wspomnienie potwornej wibracji, jaka przeszła przez naostrzony kij, miało mu towarzyszyć już do końca życia. Susan otworzyła raptownie swoje niebieskie oczy, a z miejsca, w którym zagłębiło się drewniane ostrze, buchnął zdumiewająco silny strumień krwi, zapryskując mu dłoń, koszulę i policzki. Po piwnicy momentalnie rozszedł się jej gorący, miedziany zapach.

Dziewczyna wiła się i szarpała, młóćąc wściekle powietrze rękami i wybijając szaleńczy rytm drgającymi konwulsyjnie piętami. Kiedy w potwornym grymasie rozwarła szeroko usta, ukazały się niesamowite, zwierzęce kły, z jej gardła zaś zaczęły się wydobywać nieludzkie ryki. Strumyki krwi pojawiły się także w kącikach ust.

Młotek podnosił się i opadał... Podnosił i opadał...

Mózg Bena wypełniło krakanie ogromnych, czarnych kruków, za którymi nadciągnął rozkołysany korowód wstrętnych, niemożliwych do zapamiętania obrazów. Jego dłoń, kołek, uderzający regularnie młotek — wszystko było skąpane we krwi. Latarka trzymana przez Jimmy'ego w drżącej dłoni zamieniła się w stroboskop, oświetlając krótkimi błyskami oszalałą, wykrzywioną twarz Susan. Jej długie zęby wbijały się raz za razem w wargi, szarpiąc je na strzępy, a krew tryskała na śnieżnobiałe płótno, które Jimmy tak delikatnie zsunął z ramion dziewczyny, tworząc tam wzory podobne do chińskich ideogramów.

Potem, zupełnie nagle, wijące się ciało wygięło się w łuk, usta zaś rozwarły się tak szeroko, że szczęki powinny natychmiast wyskoczyć z zawiasów. Z rany na piersi trysnęła ciemniejsza niż do tej pory krew, niemal czarna w niepewnym, przyćmionym świetle — kołek dotarł do serca. Wrzask wydobywający się z tych ziejących mrokiem ust brał swój początek w najdawniejszych, przechowywanych w komórkach wspomnieniach o początku gatunku, a nawet jeszcze głębiej, w najodleglejszych zakamarkach ludzkiej duszy. W następnej chwili z ust i nosa pociekła obficie krew, a także coś jeszcze; w przyćmionym świetle był to jedynie ledwie dostrzegalny cień, sugestia czegoś zniszczonego i oszukanego. Niemal natychmiast wtopiło się w ciemność i zniknęło.

Susan opadła bezwładnie na drewniany podest. Spomiędzy zmasakrowanych warg wyrwało się coś w rodzaju słabego westchnienia i Benowi przez chwilę wydawało się, że widzi znowu taką Susan, jaką spotkał w parku, pogrążoną w lekturze jego książki.

Było już po wszystkim.

Wypuściwszy z dłoni młotek, cofnął się o krok z wyciągniętymi przed siebie w rozpaczliwym geście rękami, niczym dyrygent, który stracił panowanie nad zbuntowaną orkiestrą.

Callahan położył mu dłoń na ramieniu.

— Ben. . .

Odwrócił się i uciekł.

Potknął się na schodach, przewrócił, lecz podpierając się rękami uparcie dążył do światła. Koszmar dziecka i koszmar dorosłego mężczyzny połączyły się w jeden. Gdyby teraz się obejrzał, ujrzałby tuż za sobą Hubie'ego Marstena (albo Strakera), z uśmiechem na opuchniętej, zielonkawej twarzy i długimi kłami wysuwającymi się spod warg. Krzyknął słabo i rozpaczliwie.

— Pozwólcie mu wyjść — usłyszał za sobą głos Callahana.

Wypadł z kuchni tylnymi drzwiami, potknął się ponownie i rozciągnął jak długi na ziemi, ale dźwignął się natychmiast na kolana, a potem na nogi i obejrzał za siebie.

Nic.

Dom, pozbawiony resztek gnieźdzącego się w nim zła, po prostu stał bez żadnego celu. Był ponownie zwykłym, starym domem.

Ben odchylił do tyłu głowę i w ciszy panującej na zarośniętym chwastami podwórzu łapał powietrze głębokimi, gwałtownymi haustami.

16

Jesienią w Salem noc zapada w następujący sposób: najpierw słońce przestaje promieniować ciepłem; powietrze staje się chłodniejsze, przypominając o tym, że

już wkrótce nadejdzie długa, mroźna zima. Na niebie pojawiają się rzadkie obłoki, a cienie wydłużają się, tracąc wyraźnie na gęstości, bo nie ma liści na drzewach ani opastych chmur na niebie, które mogłyby nadać im solidniejszą konsystencję. Są to ponure, wstrętne cienie, wgryzające się w ziemię niczym zęby.

Kiedy słońce zniża się ku horyzontowi, jego dobrotliwa, żółta barwa pogłębia się i rozpala, aż wreszcie zamienia się we wściekle pomarańczowe płomienie. Nad linią widnokładu pojawia się wówczas czerwono-pomarańczowo-fioletowa zasłona chmur, która czasem rozsuwa się, przepuszczając niewinne, żółte promienie, stanowiące nostalgiczne wspomnienie minionego lata.

Jest szósta wieczór, pora kolacji. (W Salem obiad jada się w południe). Mabel Werts, obciążona tak bardzo w tym wieku szkodliwymi fałdami tłuszczu, zasiada do pieczonej piersi kurczęcia i filiżanki herbaty Liptona, starając się ani na chwilę nie oddalić zbytnio od telefonu. Mężczyźni mieszkający w pensjonacie Evy szykują, co który z nich ma: gotowe, mrożone porcje, mięso z puszek, ciasta kupowane w sklepie, tak bardzo niepodobne do tych, które przed laty w każdą sobotę piekły ich matki, lub podgrzane hamburgery od McDonalda w Falmouth. Eva siedzi przy stole w salonie, grając z Groverem Verrillem w remibrydża i fukając co chwila na pozostałych, żeby nie zapomnieli pozmywać po sobie naczyń i w ogóle przestali się tak bez przerwy kręcić. Żaden z nich nigdy nie widział jej w takim nastroju, ale wszyscy wiedzą, co jest tego przyczyną; wszyscy, z wyjątkiem jej samej.

Państwo Petrie jedzą w kuchni kanapki, usiłując odgadnąć, co kryło się za tajemniczym telefonem od miejscowego katolickiego księdza, ojca Callahana. „Wasz syn jest ze mną. Czuje się dobrze. Wkrótce odstawię go do domu. Do widzenia”. Zastanawiali się, czy nie zawiadomić Parkinsa Gillespie, lecz postanowili jeszcze trochę poczekać. W swym różniącym się zawsze od rówieśników synu wyczuli ostatnio pewną zmianę, a w dodatku, choć sobie tego nie uświadamiali, pamiętali cały czas o losie, jaki spotkał braci Glick.

Milt Crossen je na zapleczu swego sklepu chleb z mlekiem. Apetyt przestał mu dopisywać w chwili, gdy w 1968 roku zmarła jego żona.

Delbert Markey, właściciel zajazdu noszącego jego imię, pochłania metodycznie pięć hamburgerów przyrządzonych własnoręcznie z musztardą i stertą świeżej cebuli, a następnie przez cały wieczór będzie żalił się przed każdym, kto zechce go wysłuchać, na potworną nadkwasotę żołądka. Gospodyni Callahana, Rhoda Curless, nic nie je. Martwi się o księdza, który zniknął nie bardzo wiadomo gdzie. Harriet Durham wraz z rodziną je kotlety schabowe, a Carl Smith, wdowiec od roku 1957, jednego gotowanego ziemniaka, popijając go butelką Moxie. Boddinowie mają smażoną szynkę z brukselką. Eeech, jęczy rozpaczliwie Richie Boddin, krzywiąc się na brukselkę. Żryj albo dostaniesz w dupę, mówi ojciec. Sam też jej nie znosi.

Reggie i Bonnie Sawyer jedzą zeberka z pieczonymi ziemniakami, na deser

zaś czeka ich budyń czekoladowy z sokiem malinowym — ulubione potrawy Reggie'ego. Bonnie, której siniaki dopiero co zaczęły blednąć, podaje w milczeniu, z opuszczonymi oczami, Reggie zaś wchłania wszystko z powolną, flegmatyczną konsekwencją, wspomagając trawienie trzema puszkami piwa. Bonnie je na stojąco. Jest jeszcze zbyt obolała, zęby usiąść przy stole. Nie ma apetytu, ale je, żeby nie rozżłościć męża. Tamtej nocy, kiedy stłukł ją na kwaśne jabłko, wyrzucił do klozetu wszystkie pastylki i zgwałcił ją brutalnie. Od tamtej pory gwałci ją co wieczór.

Za piętnaście siódma większość posiłków została już zjedzona, papierosy i fajki wypalone, stoły posprzątane. Odbywa się zmywanie naczyń i ustawianie ich w suszarkach. Dzieci zasiadają przed telewizorami, gdzie spędzą czas aż do chwili, gdy pójdą do łóżek.

Roy McDougall, spaliwszy na patelni kolejny stek, klunie na głos, ciska wszystko do zlewu, chwyta kurtkę i jedzie do Della, zostawiając żonę śpiącą w sypialni. Dzieciak nie żyje, baba chła, kolację diabli wzięli. Pora się upić albo wziąć przyczepę na hak i spieprzać z tego dziadowskiego miasteczka.

W niewielkim mieszkaniu przy Taggart Street, kończącej się ślepym zaułkiem tuż za budynkiem Rady Miejskiej, Joe Crane doświadcza na sobie braku łaskawości bogów. Spałaszowawszy talerz płatków owsianych, zasiada właśnie w fotelu przed telewizorem, kiedy nagle czuje potworny ból, paraliżujący mu lewą część tułowia wraz z ramieniem. Co jest, pompka?, przemyka mu przez myśl. Ma rację. Udaje mu się wstać z fotela i przebyć połowę drogi do telefonu, zanim ból ponawia uderzenie, tym razem z siłą parowego młota. Mały telewizor papla bez chwili przerwy i miną aż dwadzieścia cztery godziny, zanim ktoś natrafi na ciało Joego. Jego śmierć, która nastąpiła o 18.51, jest jedynym zgonem spowodowanym przyczynami naturalnymi spośród wszystkich, jakie tego dnia mają miejsce w Jerusalemie.

O 19.00 feeria barw nad horyzontem przygasa do rozmiarów wąskiej, pomarańczowej kreski, jakby jakaś ogromna kłapa zatrzasnęła się nad rozżarzone paleniskiem. We wschodniej części nieba zaczynają pojawiać się pierwsze gwiazdy, płonąca stałym blaskiem niczym jaskrawe diamenty. O tej porze roku nie ma w ich poświęceniu ani litości, ani ukojenia dla zakochanych. Są całkowicie obojętne.

Dla małych dzieci nadchodzi pora pójścia do łóżka. Rodzice pakują je pod kołdry słuchając z pobłażliwym uśmiechem na ustach próśb o jeszcze minutkę, o jedną, maleńką minutkę i wyrozumiale otwierają drzwi szafy, aby pokazać im, że nie czai się tam nic groźnego.

Jednocześnie wszędzie wokół budzą się do życia okropności nocy. Nadchodzi czas wampirów.

17

Kiedy Jimmy i Ben weszli do pokoju, Matt był pogrążony w drzemce, ale obudził się niemal natychmiast, zaciskając palce na trzymanym w prawej dłoni krzyżu.

Obrzucił spojrzeniem Jimmy'ego, przeniósł je na twarz Bena... i tam pozostawił.

— Co się stało?

Jimmy zrelacjonował mu pokrótce. Ben milczał jak zakłęty.

— A co z jej ciałem?

— Callahan i ja ułożyliśmy je twarzą do dołu w wielkiej skrzyni, chyba tej samej, w której przybył do miasteczka Barlow. Godzinę temu wrzuciliśmy ją do Royal River, wypełniwszy uprzednio kamieniami. Pojechaliśmy tam samochodem Strakera; jeśli ktoś nawet nas zauważył, to podejrzenie padnie na niego.

— Dobrze się spisaliście. Gdzie są Callahan i chłopiec?

— Pojechali do domu Marka. Jego rodzice muszą się o wszystkim dowiedzieć. Barlow groził im osobiście.

— Myślisz, że w to uwierzą?

— Jeśli nie, Mark postara się przekonać swego ojca, żeby do ciebie zadzwonił.

Matt skinął głową. Sprawiał wrażenie bardzo zmęczonego.

— Chodź tu, Ben — powiedział. — Usiądź przy mnie na łóżku. Ben podszedł z nieobecny, oszołomionym wyrazem twarzy. Zająwszy wskazane miejsce położył dłonie na kolanach; jego oczy przypominały dwie wypalone papierosem dziury.

— Wiem, że na razie nie można cię pocieszyć — powiedział Matt, biorąc w swoje dłonie jego rękę. — Pociechę przyniesie ci czas. Ona dopiero teraz znalazła spokój.

— Zrobił z nas głupców — odezwał się głucho Ben. — Okpił nas wszystkich i każdego z osobna. Jimmy, pokaż mu list.

Jimmy podał Mattowi kopertę. Stary nauczyciel wyjął z niej kartkę, rozłożył i przeczytał uważnie tekst, poruszając lekko wargami.

— Tak, to on — stwierdził, chowając list do koperty. — Jego ego jest większe, niż sobie wyobrażałem. Aż się cały trzęsę.

— Zostawił ją dla żartu — powiedział ponuro Ben — a sam dawno uciekł. Walka z nim przypomina walkę z wiatrakami. Traktuje nas jak małe żuczki, uwiązające się pilnie ku jego ucieście.

Jimmy otworzył usta, chcąc coś wtrącić, ale Matt potrząsnął delikatnie głową.

— Mylisz się — odparł. — Gdyby mógł zabrać ze sobą Susan, na pewno by to zrobił. Nie zostawiałby dla żartu tych, którzy do niego należą, bo nie jest ich przecież wcale tak wielu. Zastanów się przez chwilę, Ben, i przeanalizuj, co mu zrobiliście. Przede wszystkim zabiliście jego wiernego sługę, Strakera, a z jego

własnych słów wynika, że zmusiliście go, by powodowany swym nienasyconym apetytem sam przyłożył do tego rękę. Wyobraź sobie, co musiał czuć, gdy obudzony się ze snu stwierdził, czego dokonał mały, nie uzbrojony chłopiec!

Z trudem usiadł nieco wyżej na łóżku. Ben wpatrywał się w niego spojrzeniem, w którym po raz pierwszy od chwili, gdy pozostali uczestnicy wyprawy opuścili Dom Marstenów i znaleźli go na podwórzu, pojawiła się iskierka zainteresowania.

— Uważasz, że to nie jest zwycięstwo? — ciągnął dalej Matt. — Przecież wygnaliście go z jego własnego domu! Jimmy powiedział mi, że ojciec Callahan skropił piwnicę święconą wodą i zapieczętował drzwi hostią, więc jeśli Barlow tam wejdzie, natychmiast umrze... i dobrze o tym wie.

— Jakie to ma znaczenie, skoro uciekł? — zapytał markotnie Ben.

— Uciekł — powtórzył spokojnie Matt. — Jak myślisz, gdzie spędził dzisiejszy dzień? W bagażniku jakiegoś samochodu? W piwnicy domu jednej ze swych ofiar? A może w zgłiszczach starego kościoła metodystów na moczarach, który spłonął w 1951 roku? Gdziekolwiek to był, czy przypuszczasz, że mu się tam podobało i że czuł się bezpieczny?

Ben nic nie odpowiedział.

— Jutro zaczniecie polowanie. — Matt ścisnął mocniej jego dłoń. — Nie tylko na Barlowa, ale i na wszystkie drobniejsze ryby. Zapewniam cię, że po dzisiejszej nocy będzie ich bardzo dużo. Ich głód nigdy nie jest do końca zaspokojony. Jedzą tak długo, aż nie mogą się poruszać. Noce należą do niego, lecz w dzień będziecie go tropić bez chwili przerwy, aż wreszcie wystraszy się i ucieknie albo wyciągniecie go z jego kryjówki, wrzeszczącego z przerażenia!

Ben uniósł głowę, a na jego twarzy pojawił się wyraz upiornego uniesienia.

— Tak będzie — wyszeptał ochryple. — Tak będzie, ale nie jutro, tylko jeszcze dziś...

Matt chwycił go za ramię i potrząsnął z zadziwiającą siłą.

— Nie teraz. Dzisiejszą noc spędzimy wszyscy razem: ty, ja, Jimmy, ojciec Callahan, Mark i jego rodzice. On wie o wszystkim i boi się... Tylko szalenie odważyłby się stanąć nocą twarzą w twarz z Barlowem, a żaden z nas nie jest szalony. — Przymknąwszy oczy milczał przez chwilę, a potem dodał łagodnie: — Wydaje mi się, że zaczynam go poznawać. Leżę w tym szpitalnym łóżku i usiłuję go przechytryć, starając się postawić w jego sytuacji. Żyje już wiele wieków i jest bardzo inteligentny, lecz cechuje go także ogromny egocentryzm, czego dowód stanowi ten list. Nic w tym dziwnego — jego ego rosło niczym perła, warstwa za warstwą, aż wreszcie osiągnęło niespotykane rozmiary. Jest przepełniony dumą, żądza zaś zemsty, która go bez wątpienia rozsadza, może i powinna budzić lęk, lecz nie jest wykluczone, iż uda się ją jakoś wykorzystać przeciw niemu.

Otworzył oczy i popatrzył poważnie na obu mężczyzn, a następnie uniósł trzymany w dłoni krzyż.

— Jego to zatrzyma, ale może nie zatrzymać kogoś, kim się posłuży, tak jak kiedyś uczynił to z Floydem Tibbitsem. Mam wrażenie, że tej nocy podejmie próbę wyeliminowania wszystkich lub przynajmniej części z nas. — Spojrzał na Jimmy'ego. — Wydaje mi się, że pomysł posłania Marka i Callahana do domu chłopca nie należał do najlepszych. Powinniśmy byli ściągnąć ich tutaj, o niczym nie mówiąc, a teraz jesteśmy rozdzieleni. Szczególnie niepokoję się o Marka. Jimmy, zadzwoń do nich. Zaraz.

— W porządku. — Lekarz uniósł się z miejsca. Matt przeniósł spojrzenie na Bena.

— Zostaniesz z nami? Będziemy razem walczyć?

— Tak — odparł Ben chrapliwym głosem. — Tak.

Jimmy wyszedł z pokoju, poszedł do pokoju pielęgniarek i odszukał w książce telefonicznej numer rodziców Marka. W chwilę później, stojąc z przyciśniętą do ucha słuchawką, poczuł, jak włosy jeżą mu się na głowie z przerażenia; zamiast normalnego sygnału rozlegało się nieprzyjemne pischczenie świadczące o uszkodzeniu linii.

— Dopadł ich — wyszeptał.

Siostra oddziałowa podniosła wzrok na jego twarz i zmartwiała, widząc malującą się na niej wyraz.

18

Henry Petrie był wykształconym człowiekiem. Skończył Northeastern, a następnie uzyskał magisterium i doktorat w Massachusetts Institute of Technology. Zrezygnował z zupełnie zadowolającej posady nauczyciela akademickiego i związał się z wielką firmą ubezpieczeniową Prudential trochę z ciekawości, a trochę w nadziei na lepsze dochody. Miał ochotę sprawdzić, czy jego pomysły z dziedziny ekonomii sprawdzają się w praktyce równie dobrze, jak w teorii. Sprawdzały. W przyszłym roku miał nadzieję zdać egzaminy rządowe, a w lata osiemdziesiąte wkroczyć już jako urzędnik na wysokim, państwowym stanowisku. Mark z pewnością nie odziedziczył swej nieskrępowanej niczym fantazji po ojcu; logika, jaką kierował się w życiu Henry Petrie, była niezłomna, a świat uporządkowany do granic możliwości. Należał do Partii Demokratycznej, lecz w roku 1972 głosował na Nixona — nie dlatego, iż wierzył w jego uczciwość (wielokrotnie powtarzał żonie, że uważa Richarda Nixona za prymitywnego krętacza o poziomie umysłowym zbliżonym do windziarza u Woolwortha), lecz dlatego, że alternatywę stanowił postrzelony były pilot, który w krótkim czasie doprowadziłby do ruiny ekonomicznej kraju. Kontrkulturze końca lat sześćdziesiątych przyglądał się z chłodną tolerancją zrodzoną z przekonania, iż i tak w krótkim czasie legnie ona w gruzach, nie mając żadnego systemu monetarnego, na którym mogłaby się

oprzeć. Miłość, jaką żywił do żony i syna, nie była może szaleńcza — nikt nie napisałby namiętnego poematu o człowieku, który własnoręcznie ceruje skarpetki — ale za to mocna i trwała. On sam przypominał prostą strzałę, wierząc przede wszystkim w siebie oraz naturalne prawa fizyki, matematyki, ekonomii, a także (w nieco mniejszym stopniu) socjologii.

Wysłuchał opowieści swego syna i proboszcza, popijając kawę oraz zadając pomocnicze pytania w chwilach, gdy nić narracji stawała się niebezpiecznie wątła lub poplątana. W miarę, jak rosło podniecenie żony i nasilał się stopień nieprawdopodobieństwa historii, jego spokój stawał się coraz bardziej niewzruszony. Kiedy za pięć siódma padły ostatnie słowa, ogłosił flegmatycznym tonem swój werdykt:

— To niemożliwe.

— Mówiłem księdzu, że tak będzie — powiedział Mark z głębokim wescchnieniem. Rzeczywiście, przewidział to, gdy jechali z plebanii starym samochodem Callahana.

— Henry, czy nie sądzisz, że powinniśmy...

— Chwileczkę.

To słowo, a także uniesiona od niechcenia dłoń zawsze ją uciszały. June Petrie wyprostowała się i objęła mocno Marka, odsuwając go trochę od księdza. Chłopiec nie przeciwstawił się.

— Spróbujmy wyjaśnić sobie to złudzenie, czy cokolwiek to jest, jak dwaj rozsądni ludzie — zaproponował uprzejmie Henry ojcu Callahanowi.

— To może się okazać niemożliwe — odparł równie uprzejmie Callahan. — Ale oczywiście, możemy spróbować. Zjawiliśmy się tutaj, panie Petrie, ponieważ Barlow wyraźnie groził panu i pańskiej żonie.

— Czy rzeczywiście wbiliście dziś po południu kołek w ciało dziewczyny?

— Zrobił to pan Mears.

— Czy zwłoki jeszcze tam są?

— Zostały wrzucone do rzeki.

— Jeśli to prawda, to znaczy, że wplątał ksiądz mojego syna w poważne przestępstwo. Mam nadzieję, że zdaje sobie ksiądz z tego sprawę.

— Owszem. To było konieczne, panie Petrie. Gdyby zechciał pan po prostu zatelefonować do szpitala...

— Och, jestem pewien, że wasi świadkowie wszystko potwierdzą — powiedział Petrie z doprowadzającym do szału półuśmiechem na ustach. — W całym tym obłędzie to właśnie jest najbardziej fascynujące. Czy mogę zobaczyć list, który otrzymaliście od Barlowa?

Callahan zaklął w duchu.

— Ma go doktor Cody. Powinniśmy wszyscy pojechać do szpitala — dodał, tknięty nagłą myślą. — Gdyby wysłuchał pan...

Ojciec Marka pokręcił głową.

— Najpierw chciałbym porozmawiać jeszcze chwilę z księdzem. Zaznaczyłem już, że wierzę w wiarygodność wszystkich świadków. Doktor Cody jest lekarzem naszej rodziny i wszyscy bardzo go lubimy. Jestem także przekonany, że Matthew Burke jest człowiekiem godnym największego szacunku... w każdym razie jako nauczyciel.

-A mimo to... -podsunął Callahan.

— Pozwoli ksiądz, że powiem szczerze, co myślę. Czy uwierzyłby ksiądz relacji dziesięciu poważnych ludzi twierdzących, że widzieli w parku miejskim gigantycznego żuka, gwizdzącego Yankee Doodle i wymachującego flagą Konfederatów?

— Gdybym był pewien, iż są to istotnie poważni ludzie i że na pewno nie żartują, byłbym gotów uwierzyć ich słowom.

— Na tym właśnie polega różnica między nami — oświadczył Henry Petrie z wciąż tym samym uśmiechem.

— Pański umysł jest zamknięty w nieprzepuszczalnej skorupie — powiedział Callahan.

— Nie wydaje mi się. Po prostu jest już ukształtowany.

— To sprowadza się do tego samego. Proszę mi powiedzieć: czy firmie, w której pan pracuje, zależy na tym, aby kierujący nią ludzie podejmowali decyzje wyłącznie na podstawie swoich wewnętrznych przekonań, a nie obiektywnych faktów? To nie jest logika, panie Petrie, tylko hipokryzja.

Z twarzy gospodarza zniknął uśmiech.

— Przyznaję, iż wasza opowieść jest bardzo poruszająca. Udało się księdzu wciągnąć mego syna w coś obłąkanego, a prawdopodobnie także niebezpiecznego. Będzie ksiądz miał dużo szczęścia, jeśli nie stanie za to przed sądem. Zgoda, zadzwonię do waszych przyjaciół i porozmawiam z nimi, a potem wszyscy tam pojedziemy, żeby omówić całą rzecz dokładniej.

— Jak to miło z pańskiej strony, że zechciał pan na chwilę zrezygnować ze swoich zasad — odparł sucho Callahan.

Henry Petrie przeszedł do salonu i podniósł słuchawkę telefonu, lecz zamiast znajomego sygnału usłyszał jedynie głuchą ciszę. Linia była uszkodzona. Zmarszczywszy brwi nacisnął kilkakrotnie na widełki; bez rezultatu. Odłożył słuchawkę i wrócił do kuchni.

— Zdaje się, że telefon nie działa — oznajmił. Dostrzegł szybkie, nerwowe spojrzenie, jakie wymienił Callahan z jego synem. Bardzo go to zirytowało.

— Mogę was zapewnić — powiedział odrobinę ostrzejszym tonem, niż zamierzał — że nie trzeba wampirów, by uszkodzić linię telefoniczną.

W tej samej chwili zgasły światła.

19

Jimmy wrócił biegiem do pokoju Matta.

— Telefon w domu Marka nie działa. Myślę, że o n już tam jest. Na Boga, zachowaliśmy się jak głupcy...!

Ben zerwał się z łóżka, a twarz Matta pokryła nagle sieć głębokich zmarszczek.

— Widzicie, jak on działa? — wyszeptał. — Gdybyśmy mieli jeszcze choć godzinę światła... Ale nie mamy. To już się stało.

— Musimy tam natychmiast jechać — powiedział Jimmy.

— Nie! Nie wolno wam! Przez wzgląd na życia wasze i moje, nie wolno!

— Ale oni...!

— Im już nic nie możemy pomóc. Zanim dojedziecie, to co ma się stać, już dawno się stanie.

Dwaj mężczyźni stali niezdecydowani przy drzwiach. Matt zebrał w sobie wszystkie siły i przemówił do nich spokojnie, lecz dobitnie:

— On jest nadzwyczaj dumny i ma bardzo rozbudowane ego. Są to cechy, które możemy wykorzystać, ale nie wolno nam także zapominać o jego ogromnej inteligencji. W liście, który mi pokazaliście, wspomina o szachach. Nie wątpię, iż jest wyśmienitym graczem. Nie rozumiecie, że mógłby dokonać swego dzieła, nie przerywając połączenia telefonicznego? Zrobił to, aby mieć pewność, że związał jedną z figur białych! Zna się znakomicie na strategii i wie, że przeciwnika jest znacznie łatwiej pokonać wtedy, gdy jego siły ulegną rozproszeniu, a on sam nie dysponuje dokładnym przeglądem sytuacji. Umożliwiliście mu wykonanie pierwszego ruchu, rozdzielając się na dwie grupy, a jeśli teraz pojedziecie do Petrie'ego, dokonacie dalszego podziału. Samotny, przykuty do łóżka stanowiłbym łatwą zdobycz pomimo wszystkich krucyfiksów, książek i zakłęb. Wystarczy, żeby przysłał tu kogoś z nożem albo pistoletem. Wtedy pozostalibyście tylko wy dwaj, pędzący przez noc ku zagładzie. Kiedy rozprawi się z wami, całe miasteczko należy do niego. Rozumiecie?

— Tak — przyznał z ociąganiem Ben.

Matt opadł z powrotem na poduszkę.

— Możesz mi wierzyć, że nie mówię tego ze względu na siebie ani nawet ze względu na was. Chodzi mi o to miasto. Niezależnie od wszystkiego ktoś musi pozostać, żeby powstrzymać go jutro po wschodzie słońca.

— Masz rację. Nie dostanie mnie, dopóki nie pomszczę Susan.

W pokoju zapadła cisza. Dopiero po dłuższej chwili przerwał ją Jimmy.

— Może uda im się jakoś uciec — powiedział z namysłem. — Mam wrażenie, że on nie docenia Callahana, a jestem całkowicie pewien, że popełnił ten błąd w stosunku do chłopca. Mark to twardy zawodnik.

— Miejmy nadzieję — odparł Matt i przytknął oczy. Zaczęło się długie oczekiwanie.

20

Ojciec Donald Callahan stał przy ścianie obszernej kuchni państwa Petrie, trzymając wysoko nad głową krzyż swojej matki promieniujący wyraźną, niesamowitą poświatą. Po przeciwnej stronie pomieszczenia Barlow ścisnął jednym ramieniem szyję Marka, drugim wykręcając mu do tyłu obie ręce. Pośrodku, wśród szczątków rozbitego okna, leżeli bez ruchu Henry i June Petrie.

Callahan był zupełnie oszołomiony. Wszystko wydarzyło się tak szybko, że nie zdążył jeszcze w pełni tego sobie uświadomić. W jednej chwili prowadził w rzeczowym blasku elektrycznego światła spokojną, choć nie układającą się po jego myśli rozmowę z ojcem Marka, by w następnej znaleźć się w samym centrum szaleństwa, w którego istnienie tamten tak stanowczo nie chciał uwierzyć.

Usiłował teraz pośpiesznie zrekonstruować przebieg wydarzeń.

Petrie wrócił z pokoju i oświadczył, że telefon nie działa; zaraz potem zgasty światła; June Petrie krzyknęła przeraźliwie; ktoś przewrócił krzesło. Przez kilka chwil błakali się po omacku w ciemności, nawołując nawzajem, a potem okno nad zlewozmywakiem rozsypało się w drobny mak, zasypując ostrymi odłamkami szalki i podłogę wyłożoną linoleum. Wszystko to nastąpiło w ciągu nie więcej niż trzydziestu sekund.

Następnie do kuchni wsunął się ogromny cień i Callahan dopiero wtedy zdołał wyrwać się spod mocy paralizującego jego ruchy zaklęcia. Wiszący na szyi krzyż, na którym zacisnął kurczowo palce, natychmiast rozjarzył się niesamowitą poświatą.

W jej blasku ujrzał Marka, usiłującego przeciwną do pokoju bezwładne ciało matki oraz jego ojca, przypatrującego się z rozwartymi ze zdumienia ustami rozwojowi wydarzeń urągających wszelkiej logice. Za nimi, znacznie wyżej, unosiła się blada, wykrzywiona uśmiechem twarz jakby z obrazów Frazetty; miała długie, ostre kły i płonące czerwienią oczy, kojarzące się z wrotami do piekieł. Ręce Barlowa wysunęły się błyskawicznie do przodu (Callahan zdążył jednak zwrócić uwagę na szczupłe, nadzwyczaj długie palce), chwyciły głowy Henry'ego i June Petrie i z ogromną siłą uderzyły jedną o drugą. Rozległ się donośny, mrozący krew w żyłach trzask. Barlow spełnił pierwszą ze swych pogroźek.

Mark krzyknął przeraźliwie i bez zastanowienia rzucił się na przeciwnika.

— Ach, więc tu jesteś! -zawołał Barlow głębokim, donośnym głosem, chwytając bez najmniejszego trudu szarpiącego się wściekle chłopca.

Callahan ruszył naprzód, ścisnąjąc w uniesionej dłoni rozjarzony nadnaturalnym światłem krzyż.

Triumfalny uśmiech Barlowa natychmiast ustąpił miejsca rozpaczliwemu grymasowi przerażenia. Cofnął się raptownie w kierunku wybitego okna, zasłaniając chłopcem jak tarczą. Pod ich stopami zatrzeszczało potłuczone szkło.

— W imię Boga Ojca. . . — zaczął Callahan.

Na dźwięk boskiego imienia Barlow zawył przeciągle, jak po smagnięciu biczem, odsłaniając aż po dziąsła swe długie, błyszczące kły. Widać było wyraźnie, że wszystkie mięśnie karku ma napięte jak postronki.

— Nie zbliżaj się! — prychnął. — Nie zbliżaj się, szamanie, bo rozetnę chłopcu tętnice!

Na potwierdzenie swych słów schylił błyskawicznie głowę niczym atakujący grzechotnik; ostre zęby minęły szyję Marka nie więcej niż o ćwierć cala.

Callahan zatrzymał się.

— Do tyłu! — rozkazał Barlow, ponownie z uśmiechem. — Każdy z nas powinien zostać po swojej stronie szachownicy, nie uważasz?

Callahan wycofywał się powoli, trzymając cały czas krzyż wyciągnięty przed sobą na poziomie oczu. Krucyfiks płonął błękitnym ogniem, a część zamkniętej w nim mocy zdawała się emanować na dłonie i ramiona, wprawiając w drżenie napięte do granic możliwości mięśnie.

Stali naprzeciw siebie po dwóch stronach kuchni.

— Nareszcie razem! — powiedział Barlow z uśmiechem. Jego inteligentna twarz o wyrazistych rysach była nawet na swój sposób przystojna, choć w pełgającym blasku nabierała chwilami cech niemal kobiecych. Callahan zastanawiał się, gdzie mógł już ją widzieć; wreszcie przypomniał sobie, doświadczając jednocześnie paroksyzmu strachu, jakiego nie zaznał jeszcze nigdy w życiu. Była to twarz pana Flipa, jego osobistego straszdyła, które w dzień spało w szafie, a wychodziło nocą, kiedy matka zamknęła drzwi sypialni. Nie wolno mu było używać nocnej lampki, rodzice bowiem postanowili jednomyślnie, że musi pokonać dziecinne strachy, a nie ulegać im, więc co wieczór, nim na schodach ucichły kroki matki, drzwi szafy uchylały się odrobinę, on zaś wyczuwał (a może naprawdę widział?) kryjącą się w mroku twarz i płonące oczy pana Flipa. Teraz wreszcie potwór wyszedł z szafy i wpatrywał się w niego nad ramieniem Marka, krzywiąc w szkaradnym uśmiechu czerwone, zmysłowe usta.

— Co teraz? — zapytał Callahan zupełnie nie swoim głosem. Patrzył na długie, delikatne palce Barlowa, spoczywające na szyi chłopca. Mógł na nich dostrzec niewielkie, błękitne plamki.

— To zależy. Co mi dasz za tego chłoptasia? — Nagłym ruchem szarpnął wykręcone do tyłu ręce Marka, najwyraźniej mając ochotę zaakcentować swe słowa jego krzykiem, lecz chłopiec srodze go zawiódł; wypuścił przez zaciśnięte zęby wstrzymywane w płucach powietrze, ale nie wydał z siebie żadnego dźwięku.

— Będziesz jeszcze wrzeszczał! — syknął Barlow, wykrzywiając usta w grymasie zwierzęcej nienawiści. — Będziesz wrzeszczał, aż wyplujesz sobie płuca.

— Przestań! — krzyknął Callahan.

— A niby czemu? — Nienawiść znikła, ustępując miejsca czarującemu uśmiechowi. — Czy mam go teraz wypuścić, oszczędzając na następną noc?

— Tak!

— W takim razie będziesz musiał odłożyć ten krzyż i zmierzyć się ze mną na równych zasadach — wycedził Barlow. — Białe przeciw czarnym, twoja wiara przeciwko mojej.

— Dobrze — odparł nieco mniej pewnie Callahan.

— Więc zrób to!

Pełne usta rozchyliły się w wyrazie oczekiwania. Wysokie, białe czoło błyszczało w rozświetlającym pomieszczeniu blasku.

— Mam ci uwierzyć, że go wypuścisz? Już prędzej wsadziłbym sobie grzechotnika za koszulę, wierząc, że mnie nie ukąsi!

— Ale ja ci ufam. Patrz!

Uwolnił Marka i odsunął się o krok, unosząc w górę puste ręce. Chłopiec stał przez chwilę bez ruchu, jakby nie wierząc w to, co się stało, a potem podbiegł do swoich rodziców.

— Uciekaj, Mark! — krzyknął Callahan. — Uciekaj! Mark spojrzał na niego szeroko otwartymi oczami.

— Chyba nie żyją. . .

— Uciekaj!!!

Chłopiec wyprostował się powoli i obejrzał na Barlowa.

— Już niedługo, mały braciszku — odezwał się ten kojącym tonem. — Już niedługo ty i ja. . .

Mark splunął mu w twarz.

Barlow wstrzymał oddech, a na jego twarzy pojawił się grymas wściekłości, przy którym poprzedni wyglądał na to, czym był w istocie: przedstawieniem obliczonym na tani efekt. Przez chwilę czerwone oczy wypełniło szaleństwo większe, niż u jakiegokolwiek mordercy.

— Cofnij się! — wrzasnął Callahan, wysuwając raptownie do przodu swój krzyż.

Barlow zaskrzeczał przeraźliwie i zasłonił twarz dłońmi przed blaskiem jeszcze bardziej intensywnym, niż do tej pory. Gdyby Callahan znalazł w sobie dość odwagi, żeby pójść dalej, mógłby go w tym momencie pokonać.

— Zabiję cię — powiedział Mark i wybiegł z kuchni.

Barlow wydał się nagle wyższy; czarne, zaczesane do tyłu włosy zmierzwiły mu się. Miał na sobie czarny garnitur i nienagannie zawiązany krawat w kolorze ciemnego wina — Callahan odniósł wrażenie, że stanowi nieodłączną część otaczającej go ciemności. Głęboko osadzone oczy płonęły niczym rozżarzone węgle.

— Teraz kolej na ciebie, szamanie.

— Jestem księdzem! — parsknął Callahan.

Barlow uklonił się szyderczo.

— Księżę... — powiedział, a słowo to zabrzmiało w jego ustach jak rechot żaby.

Callahan nie mógł podjąć decyzji. Dlaczego miałby odkładać krzyż? Najlepiej byłoby zwieść go dzisiaj, umówić się na ostateczne spotkanie następnej nocy, a jutro...

Jednak jakaś głębiej ukryta część jego umysłu wysyłała nieustanne ostrzeżenia. Odrzucenie wyzwania wampira mogło pociągnąć za sobą konsekwencje znacznie poważniejsze od tych, jakie potrafił sobie wyobrazić. Jeżeli nie odważy się na odłożenie krzyża, przyzna w ten sposób, że... Że co? Mój Boże, gdyby to wszystko nie działo się tak nagle, gdyby był czas na zastanowienie, przemyślenie...

Blask krzyża zaczął wyraźnie przygasać.

Wpatrywał się w niego rozszerzonymi z przerażenia oczami, czując w żołądku rozpalony kłębek strachu. Kiedy przeniósł spojrzenie na Barlowa, zobaczył, że ten zbliża się do niego powolnym, krokiem z szerokim, niemal lubieżnym uśmiechem na ustach.

— Nie podchodź! — wychrypiał, cofając się o krok. -Rozkazuję ci w imię Boga Wszechmogącego!

Barlow roześmiał mu się prosto w twarz.

Intensywny jeszcze niedawno blask zamienił się w ledwo dostrzegalne żarzenie. Na oblicze wampira ponownie wypełzły ruchome cienie, malując je w tajemnicze, barbarzyńskie wzory.

Callahan cofnął się jeszcze o krok i oparł pośladkami o ustawiony przy ścianie stół.

— Nie masz już dokąd iść — zauważył Barlow współczującym tonem. W jego oczach migotały ogniki szatańskiej wesołości. — Przykro widzieć, jak rozpada się w proch czyjaś wiara. No, cóż...

Krzyż zadrżał w dłoni Callahana i zgasł zupełnie, zamieniając się ponownie w kawałek plastiku, kupiony przez jego matkę za wygórowaną cenę w jakimś sklepie z pamiątkami w Dublinie. Emanująca z niego moc, której nie oparłyby się najgrubsze mury i kamienie, zniknęła bez śladu. Mięśnie zapamiętały jej niezwykle drżenie, lecz nie potrafiły go odtworzyć.

W ciemności Barlow wyciągnął rękę i wyszarpnął mu krzyż z dłoni. Callahan wydał słaby okrzyk — ten sam, który wibrował w duszy, lecz nigdy w gardle, pewnego dziecka pozostawianego sam na sam z panem Flipem, wpatrującym się w nie z głębi szafy przez szparę między nie domkniętymi drzwiami snu. Kolejny odgłos, jaki rozległ się w pograżonej w mroku kuchni, był jeszcze bardziej potworny: suchy trzask łamanego krzyża i słabe stuknięcie, z jakim upadł na podłogę.

— Bądź przeklęty! — załkał rozpaczliwie.

— Już za późno na melodramat — rozległ się w ciemności przepętniony czymś bardzo podobnym do współczucia głos Barlowa. — Zresztą, nie ma takiej potrzeby. Zdaje się, że zapomniałeś o doktrynie swego Kościoła, czyż nie tak? Krzyż... chleb i wino... konfesjonał... to tylko symbole. Gdy zabraknie wiary, krzyż zamienia się w zwykły kawałek drewna, chleb w upieczoną mąkę, a wino w kwaśny sok z winogron. Gdybyś zdecydował się w porę odłożyć krzyż, miałbyś szansę mnie pokonać. Szczerze mówiąc, liczyłem na to, bo już dawno nie spotkałem godnego siebie przeciwnika. Ten chłopiec jest wart dziesięciu takich fałszywych kapłanów.

Niespodziewanie ramiona Callahana znalazły się w uścisku niewiarygodnie silnych dłoni.

— Myślę, że teraz z ulgą powitałbyś zapomnienie, jakie niesie śmierć. Dla tych, którzy mi służą, nie istnieją wspomnienia, tylko pragnienie służenia swemu Panu. Mógłbym cię wykorzystać, posyłając z powrotem między twoich przyjaciół, lecz czy istnieje taka potrzeba? Bez ciebie i tak niewiele znaczą, a poza tym chłopiec powie im o tym, co się tutaj stało. Istnieje kara, która będzie dla ciebie tysiąc razy cięższa do zniesienia, fałszywy kapłanie.

Callahanowi przemknęły przez myśl słowa Matta: „Są rzeczy gorsze od śmierci”.

Próbował się wyrwać, lecz dłonie trzymały go w uścisku niemożliwym do zerwania. Jedna z nich odsunęła się na chwilę; rozległ się szelest przesuwającego się po ciele materiału.

— Przyjdź do mnie, fałszywy kapłanie. Poznaj prawdziwą religię. Przyjmij moją komunie.

Callahana ogarnęła lodowata fala zrozumienia.

— Nie! Nie...

Ale uścisk był bezlitosny. Jego głowa przesuwiała się coraz bardziej do przodu, aż wreszcie usta dotknęły chłodnej, cuchnącej skóry na gardle wampira, tuż nad pulsującą wyraźnie tętnicą. W następnej chwili poczuł, jak w twarz tryska mu strumyk gorącej krwi. Wstrzymał oddech, po raz ostatni próbując się wyrwać, ale rozpaczliwe kręcenie głową dało tylko tyle, że rozmazał sobie krew na twarzy niczym indiańskie, wojenne barwy.

A potem przełknął pierwszy haust.

21

Ann Norton wysiadła z samochodu, pozostawiając kluczyki w stacyjce i ruszyła przez szpitalny parking w kierunku jasno oświetlonego wejścia. W górze gwiazdy skryły się za grubą warstwą chmur; wkrótce miało zacząć padać. Ona jednak nie uniosła głowy, tylko szła sztywno przed siebie ze wzrokiem utkwionym w jakimś odległym punkcie.

Bardzo różniła się od kobiety, którą Ben Mears poznał podczas kolacji, na jaką Susan zaprosiła go do swego domu. Tamta była średniego wzrostu, ubrana w zieloną, wełnianą suknię, może niespecjalnie kosztowną, ale na pewno w bardzo dobrym gatunku. Nie była piękną kobietą, lecz dzięki swemu bardzo zadbanemu wyglądowi i starannej fryzurze stanowiła po prostu przyjemny widok.

Teraz miała na bosych stopach rozczłapanie kapcie, na nogach wyraźnie widać było duże żyłki (które straciły nieco na intensywności, bo ciśnienie krwi uległo wyraźnemu zmniejszeniu). Na nocną koszulę narzuciła żółtą, złachmanioną podomkę, wzmagający się z każdą chwilą wiatr rozwiewał jej włosy pozlepiane w grube strąki, a na wyjątkowo bladej twarzy zwracały na siebie uwagę podkrążone oczy.

Ostrzegała Susan, ostrzegała ją przed Mearsem i jego przyjaciółmi, ostrzegała ją przed człowiekiem, który ją zabił. Tym, kto go do tego namówił, był Matt Burke. Działali w zмовie. Wiedziała o tym, bo o n jej to powiedział.

Przez cały dzień była chora, śpiąca i nie mogła wstać z łóżka. Kiedy wreszcie po południu udało się jej zapaść w płytką drzemkę, a mąż zszedł na dół, żeby odpowiadać szeryfowi na jakieś głupie pytania w związku z zaginięciem kilku osób, o n odwiedził ją we śnie. Miał twarz przystojną, arogancką i zarazem miłą, orli nos, zaczesane do tyłu włosy i pełne, fascynujące usta odsłaniające błyszczące zęby, gdy się uśmiechał. . . A jego oczy. . . Były czerwone i hipnotyzujące. Kiedy spojrzał na ciebie, nie mogłaś po prostu odwrócić wzroku, a przede wszystkim nie chciałaś tego robić.

Powiedział jej wszystko, a także to, co ona musi zrobić, żeby połączyć się znowu ze swoją córką i wieloma innymi, a także z n i m. . . W rzeczywistości chodziło jej wyłącznie o niego, żeby zechciał dać jej to, czego pragnęła i pożądała — swoje dotknięcie; ich wzajemne połączenie. W kieszeni podomki spoczywał rewolwer jej męża. Weszła do głównego hallu i spojrzała w kierunku recepcji, gotowa rozprawić się z każdym, kto by chciał ją zatrzymać. Nie, wcale nie za pomocą rewolweru; tego użyje dopiero w chwili, gdy znajdzie się w pokoju Burke'a. O n tak jej powiedział. Gdyby nie wykonała tego zadania, nie przyjdzie już więcej do niej, by w ciemności składać na jej ustach płonące pocałunki.

Za biurkiem siedziała młoda dziewczyna w białym czepku na głowie, zajęta rozwiązywaniem krzyżówki w świetle lampki stojącej po jej lewej stronie. W głębi korytarza pojawił się jakiś posługacz, lecz skręcił w przeciwnym kierunku i odszedł, odwrócony do niej plecami.

Kiedy pielęgniarka usłyszała kroki Ann, uniosła głowę i spojrzała na nią ze służbowym uśmiechem na ustach, lecz uśmiech natychmiast zniknął, gdy ujrzała bladą, ubraną w nocny strój kobietę o nieprawdopodobnie podkrążonych oczach. Same oczy, czarne i puste, zdawały się błyszczeć jakimś niesamowitym światłem. Pewnie jakaś pacjentka, która wyszła na nocną przechadzkę.

— Proszę pani. . .

Ann Norton, niczym jakiś upiorny kowboj z krainy cieni, wyciągnęła z kieszeni rewolwer i wycelowała go w głowę pielęgniarki.

— Odwróć się — powiedziała.

Siedząca za biurkiem kobieta otworzyła szeroko usta i wciągnęła konwulsyjnie powietrze.

— Nie krzycz. Zabiję cię, jeśli to zrobisz.

Pielęgniarka zbladła jak ściana.

— Odwróć się.

Kobieta wstała z krzesła i odwróciła się powoli. Ann Norton zamachnęła się trzymanym w dłoni pistoletem, mając zamiar uderzyć z całej siły w kark pielęgniarki, lecz dokładnie w tym momencie ktoś podciął ją, przewracając na podłogę.

22

Rewolwer upadł z łoskotem na posadzkę.

Ann nie krzyknęła, lecz wydając wściekłe, syczące odgłosy popęzła w jego kierunku; to samo uczynił zdumiony i przestraszony mężczyzna, który przewrócił ją na podłogę, lecz widząc, że nie ma szans na złapanie rewolweru przed nią, kopnął broń jeszcze dalej.

— Na pomoc! — krzyknął. — Na pomoc!

Ann Norton obejrzała się na niego przez ramię i syknęła przeraźliwie, a potem, z twarzą wykrzywioną grymasem nienawiści, rzuciła w kierunku rewolweru. Nadbiegł posługacz, którego widziała przed chwilą na końcu korytarza, i podniósł broń.

— Boże, on jest nabity! — wykrzyknął.

Zaatakowała, celując zakrzywionymi jak szpony palcami w twarz i pozostawiając na czole i policzkach mężczyzny krwawe bruzdy. Posługacz trzymał rewolwer poza jej zasięgiem, lecz ona uparcie dążyła do celu.

Pierwszy mężczyzna doskoczył od tyłu i chwycił ją za ramiona (później zeznawał, iż było to tak, jakby złapał w objęcia worek pełen węży). Ciało pokryte żółtą podomką było gorące i odrażające, każdy mięsień naprężony i drgający.

Usiłowała się wyrwać, gdy posługacz zamachnął się i uderzył ją w szczękę. Błysnęła białkami oczu i osunęła się bezwładnie.

Dwaj mężczyźni popatrzyli w milczeniu na siebie.

Dopiero teraz pełniąca dyżur pielęgniarka zaczęła przeraźliwie krzyżeć, przyciskając do ust złożone dłonie, co upodabniało jej wrzaski do odgłosów buczka przeciwmgielnego.

— Co wy tu macie za szpital, do cholery? — wykrztusił wreszcie przestraszony mężczyzna.

- Diabli wiedzą — odparł posługacz. — A co się właściwie stało?
- Przyszedłem w odwiedziny do siostry. Urodziła dziecko. W pewnej chwili podchodzi do mnie ten dzieciak i mówi, że widział, jak przed chwilą weszła tu kobieta z rewolwerem w rękę.
- Jaki dzieciak?
- Człowiek, który przyszedł w odwiedziny do siostry, rozejrzył się dookoła. Hall wypełniał się ludźmi, lecz żadnego z nich nie można było określić mianem „dzieciaka”.
- Nie widzę go, ale przed chwilą był tutaj. Ten rewolwer jest naładowany?
- Jasne, że tak.
- Co to za szpital, do cholery? — zapytał ponownie mężczyzna.

23

Zobaczyli dwie pielęgniarki biegnące w kierunku windy i usłyszeli jakiś dobiegający z dołu krzyk. Ben spojrzął na Jimmy’ego, a ten ledwie dostrzegalnie wzruszył ramionami. Matt drzemał z otwartymi ustami.

Ben zamknął drzwi i zgasił światło. Jimmy skulił się w nogach łóżka, a kiedy na korytarzu rozległy się kroki, które zawahały się wyraźnie przy drzwiach pokoju, Ben przycisnął się do ściany. Po chwili drzwi uchyliły się ostrożnie i do środka zajrzała czyjaś głowa; Ben chwycił ją jedną ręką w półnelsona, drugą zaś przycisnął intruzowi do twarzy ściskany w dłoni krzyż.

— Niech pan mnie puści!

Mała dłoń uderzyła bezsilnie w jego pierś. W chwilę później zapłonęło światło i Matt, który usiadł na łóżku mrugając niepewnie powiekami, ujrzał Marka Petrie’ego próbującego na próżno wyrwać się z uścisku Bena.

Jimmy zerwał się ze swego miejsca i podbiegł do drzwi. Wydawało się, że chce objąć chłopca, lecz w ostatniej chwili zawahał się.

— Podnieś brodę.

Mark zrobił to, pokazując wszystkim nie naruszoną szyję. Jimmy odprężył się.

— Chłopcze, w życiu nie ucieszyłem się tak bardzo na czyjś widok. Gdzie jest ojciec Callahan?

— Nie wiem — odparł głucho Mark. — Barlow złapał mnie i zabił moich rodziców. Rozbił im głowy. Obydwoje nie żyją. Potem powiedział księdzu, że puści mnie, jeśli on odłoży swój krzyż. Ojciec Callahan obiecał, że to zrobi. Uciekłem, ale zanim uciekłem, naplułem mu w twarz. Zabiję go.

Zachwiał się, jakby za chwilę miał upaść. Całe czoło i policzki miał w zadrapaniach, biegł bowiem co sił przez las tą samą drogą, którą nie tak dawno szli po raz ostatni Danny i Ralphie Glick. Przechodząc przez Taggart Stream zamoczył

spodnie do kolan. Ktoś go podwiózł, ale nie pamiętał kto. Wiedział tylko tyle, że w samochodzie grało radio.

Ben nie wiedział, co ma powiedzieć.

— Biedny chłopiec — wyszeptał Matt. — Biedny, dzielny chłopiec. Z twarzy Marka zaczęło znikać spowodowane szokiem otępienie. Zamknął oczy, a jego usta wykrzywiły się w grymasie rozpacz.

— M-m-moja mama. . .

Zatoczył się bezwładnie i wpadł w ramiona Bena, który przycisnął go mocno do piersi czując, jak płynące obfitym strumieniem łzy wsiąkają w jego koszulę.

24

Ojciec Donald Callahan nie miał pojęcia, jak długo błąkał się w ciemności. Zataczając się szedł Jinter Avenue w kierunku centrum miasteczka, minawszy swój stojący na podjeździe samochód, wędrując na przemian to chodnikiem, to znowu środkiem jezdni. W pewnej chwili, wjeżdżając lewymi kołami na krawężnik, minął go o włos przeraźliwie trąbiący samochód. Kiedy wreszcie znalazł się w pobliżu żółtych, migających świateł, zaczęło padać.

Na ulicy nie spotkał nikogo, kto mógłby być świadkiem jego chwiejnej wędrówki. Salem zupełnie opustoszało na noc, chyba jeszcze bardziej niż zwykle. Tylko u Spencera siedziała przy kasie panna Coogan, pogrążona w lekturze jakiegoś czasopisma z historiami miłosnymi. Na zewnątrz, pod oświetlonym szyldem przedstawiającym wyciągniętego w skoku, niebieskiego psa, migotał czerwony neon z napisem AUTOBUS.

Ludzie bali się i trudno było im się dziwić. Jakaś część ich duszy wyczuła zbliżające się niebezpieczeństwo, w związku z czym tej nocy wszystkie drzwi w Salem były zamknięte tak, jak nigdy do tej pory.

Callahan był zupełnie sam na ulicy, ale on nie miał już czego się bać. Roześmiał się, nagle bowiem wydało mu się to bardzo zabawne, lecz dźwięk, jaki wydobył się z jego gardła, przypominał histeryczny szloch. Żaden wampir nie śmie go nawet dotknąć. Innych, owszem, ale nie jego. Został naznaczony przez Pana i będzie chodził wolno, aż Pan zechce go ponownie wezwać do siebie.

Zamajaczyła przed nim wieża kościoła św. Andrzeja.

Zawahał się, a następnie ruszył prowadzącym do świątyni chodnikiem. Będzie się modlił, nawet całą noc, jeśli to okaże się konieczne. Nie do tego nowego Boga, Boga gett, społecznego sumienia i darmowych obiadów, lecz do starego Boga, który ogłosił swą wolę ustami Mojżesza i wskrzesił z martwych swego syna. Daj mi jeszcze jedną szansę. Boże. Pokutą może być całe moje życie, ale błagam Cię, daj mi jeszcze jedną szansę. . .

Wspiał się po szerokich schodach, w poszarpanej, zabłoconej sutannie i z twarzą pokrytą zaschniętą krwią Barłowa.

Dotarłszy do szczytu przystanął na chwilę, a potem sięgnął do klamki. W tym samym ułamku sekundy, kiedy jej dotknął, z metalu trysnął błękitny płomień, odrzucając go wstecz. Potworny ból wypełnił jego głowę, pierś i żołądek i Callahan stoczył się bezwładnie po schodach, na które przed chwilą z takim trudem się wdrapał.

Leżał w strumieniach deszczu na chodniku czując, jak dłoń płonie mu żywym ogniem. Zbliżył ją do oczu; była strasznie poparzona.

— Nieczysty... — wymamrotał. — Jestem nieczysty... Dźwignąwszy się na nogi objął się z całej siły ramionami i drżąc na całym ciele stał w strugach deszczu, a niedostępny dla niego kościół wznosił się wysoko nad jego głową.

25

Mark Petrie usiadł na łóżku Matta dokładnie w tym samym miejscu, które zajmował Ben, gdy zjawił się w szpitalu wraz z Jimmym. Oczy, choć zaczerwienione i opuchnięte, były suche, a chłopiec najwyraźniej zdołał już wziąć się w garść.

— Chyba zdajesz sobie sprawę z tego, że Jerusalem znalazło się w rozpaczliwej sytuacji? — zapytał Matt.

Mark skinął głową.

— Nawet w tej chwili Wiecznie Żywi plądrują je bez żadnych przeszkód, dopadając coraz to nowych ludzi. Tej nocy jeszcze nie uda im się dotrzeć do wszystkich, ale jutro czeka was okropne zadanie.

— Matt, powinieneś się trochę przespać- powiedział Jimmy. — Nie bój się, będziemy tutaj. Nie wyglądasz zbyt dobrze. Cały czas jesteś w okropnym stresie i...

— Miasto przestaje istnieć, a ty chcesz, żebym smacznie spał? — Oczy błyszczały niestrudzenie w jego zawziętej twarzy.

— Jeżeli chcesz nam pomóc w decydujących momentach, musisz nabrać nieco sił — nie ustępował Jimmy. — Mówię ci to jako twój lekarz.

— W porządku, jeszcze tylko chwilkę. Jutro wszyscy trzej musicie wrócić do domu Marka. Przygotujecie kołki, bardzo dużo kołków.

Powoli docierało do nich znaczenie tego, co mówił.

— Ile? — zapytał cicho Ben.

— Wydaje mi się, że co najmniej trzysta, ale na waszym miejscu przygotowałbym nawet pięćset.

— To niemożliwe — zaprotestował zduszonym głosem Jimmy. — Nie może ich być aż tak dużo!

— Wiecznie Żywi mają ogromne pragnienie — odparł Matt. — Lepiej być przygotowanym na najgorsze. Wyruszycie razem. Nie wolno wam się rozdzielać,

nawet za dnia. Zaczniecie od jednego krańca miasteczka i będziecie stopniowo przesuwając się w kierunku drugiego.

— Nigdy nie uda nam się znaleźć ich wszystkich — zaproponował Ben. — Nawet, jeśli zaczniemy o świcie, a skończymy równo z zachodem słońca!

— Musicie zrobić wszystko, co tylko możliwe. Ludzie powinni wam zacząć wierzyć. Może nawet pomogą, kiedy udowodnicie im, że mówicie prawdę. A wtedy, kiedy nadejdzie zmrok, on będzie musiał zaczynać prawie wszystko od początku. — Westchnął ciężko. — Musimy chyba pogodzić się z myślą, że straciliśmy ojca Callahana. To niedobrze. Mimo to musicie działać dalej, ale bądźcie ostrożni i przygotowani na to, że nie obejdziecie się bez kłamstw. Jeśli was zamkną, wszystko pójdzie na nic. A jeżeli jeszcze o tym nie pomyśleliście, to pomyślcie teraz: istnieje całkiem prawdopodobna możliwość, że niektórzy spośród nas, a może nawet wszyscy, przejdą przez to tylko po to, by później stanąć przed sądem pod zarzutem wielokrotnego morderstwa.

Popatrzył kolejno każdemu z nich w twarz. To, co zobaczył, chyba go w pełni usatysfakcjonowało, bo następnie skoncentrował uwagę wyłącznie na Marku.

— Z pewnością wiesz, jakie jest najważniejsze zadanie?

— Tak. Barlow musi zginąć.

Matt uśmiechnął się melancholijnie.

— Obawiam się, że najpierw trzeba go znaleźć. — Spojrzał uważnie na chłopca. — Czy zauważyłeś, usłyszałeś lub poczułeś dzisiaj coś, co pomogłoby nam zlokalizować jego kryjówkę? Pomyśl dobrze, nim odpowiesz. Wiesz najlepiej z nas wszystkich, jakie to ważne.

Mark zastanowił się. Ben jeszcze nigdy w życiu nie widział, żeby ktoś tak dosłownie i całkowicie zastosował się do polecenia. Chłopiec oparł brodę na dłoni i przymknął oczy, bez wątpienia analizując po kolei wszystkie wydarzenia upiornego wieczoru.

Wreszcie otworzył oczy, spojrzał ze smutkiem na trzech mężczyzn i wzruszył ramionami.

— Nic.

Twarc Matta wyraźnie się wydłużyła, ale mimo to jeszcze nie rezygnował.

— Może jakiś liść, który przykleił się do jego ubrania? Szczególny rodzaj błota na butach? Nitka albo kawałek materiału? — Rozpaczliwie uderzył pięścią w łóżko. — Boże, cokolwiek!

Mark nagle wyprostował się i spojrzał na niego rozszerzonymi oczami.

— Co? — Matt chwycił go za łokieć. — Mów, co sobie przypomniałeś?

— Niebieska kreda — powiedział Mark. — Jedną ręką chwycił mnie za szyję, o tak, i mogłem widzieć jego dłoń. Miał długie, białe palce, a na dwóch z nich były wyraźne ślady niebieskiej kredy.

— Niebieska kreda. . . — powtórzył z namysłem Matt.

— Szkoła — odezwał się Ben.

— Ale nie ogólniak — odparł Matt. — Wszystkie przybory zamawiamy u Dennisona w Portland. Krede przysyłają nam tylko białą i żółtą. Wiem, bo przez ostatnie kilkanaście lat mam ją ciągle pod paznokciami.

— A lekcje rysunku? — nie rezygnował Ben.

— Używają tam tuszu, nie kredy. Mark, jesteś pewien, że to była kreda?

Chłopiec skinął głową.

— Przypuszczam, że niektórzy nauczyciele matematyki i fizyki używają kolorowej kredy, ale nie potrafię sobie wyobrazić, gdzie można by się schować w tej budzie. Zresztą, sam ją widziałeś, Ben — jedno piętro, prawie same szyby. Codziennie kręci się tam masa ludzi, nie wyłączając kotłowni.

— Na zapleczu sceny? Matt wzruszył ramionami.

— Tak, tam jest nawet dość ciemno, ale jeśli w moim zastępstwie przygotowaniami do przedstawienia zajęła się pani Rodin — uczniowie mówią na nią „pani Rodan”, bo tak nazywał się potwór w jakimś japońskim filmie science fiction — to tam również roiłoby się od ludzi. Nie, to dla niego zbyt duże ryzyko.

— W takim razie pozostają szkoły podstawowe — odezwał się Jimmy. — Z pewnością w młodszych klasach uczą rysunków i założę się o sto dolarów, że używają do tego kolorowej kredy.

— Ta przy Stanley Street została zbudowana jednocześnie z naszą — odparł Matt. — Wygląda prawie tak samo — przestronna, jednopiętrowa, bardzo przeszklona. Nie sądzę, żeby interesowały go takie budynki. Z pewnością woli te stare, ciemne, jak na przykład. . .

— Szkoła przy Brock Street — dokończył Mark.

— Tak. — Matt spojrzał na Bena. — To drewniana budowla, dwa piętra plus piwnica, wzniesiona mniej więcej w tym samym czasie, co Dom Marstenów. Ostatnio w miasteczku mówiło się sporo, że jest w każdej chwili zagrożona pożarem i między innymi dlatego znalazły się pieniądze na budowę dwóch nowych. Dwa czy trzy lata temu w New Hampshire spłonął podobny budynek. . .

— Pamiętam — mruknął Jimmy. — W Cobbs Ferry, zgadza się?

— Tak. Zginęło wtedy troje dzieci.

— Czy szkoła przy Brock Street jest jeszcze używana? — zapytał Ben.

— Tylko parter. Mają ją całkowicie zamknąć za dwa lata, kiedy oddadzą do użytku drugie skrzydło tej przy Stanley Street.

— Myślisz, że Barlow mógł się tam ukryć?

— Chyba tak — odparł Matt, jednak bez większego przekonania. — Miałby do dyspozycji dwa piętra z zupełnie pustymi salami. Okna zostały zabite deskami, bo dzieciaki rzucały kamieniami w szyby.

— W takim razie, to musi być tam — stwierdził stanowczo Ben.

— Na to wygląda — przyznał Matt, na którego twarzy dopiero teraz pojawiło się ogromne zmęczenie. — Ale to wydaje mi się zbyt proste, zbyt przejrzyste.

— Niebieska kreda... — mruknął pod nosem Jimmy, wpatrując się przed siebie niewidzącymi oczami.

— Naprawdę, nie wiem. — Głos Matta zdradzał dręczącą go rozterkę. — Po prostu nie wiem.

Jimmy otworzył swoją czarną torbę i wydobyl z niej buteleczkę wypełnioną pastylkami.

— Popij dwie odrobiną wody — polecił. — Natychmiast.

— Nie mogę. Jest tyle spraw, które trzeba przemyśleć. Zbyt dużo...

— Zbyt dużo by nas kosztowało, gdybyśmy mieli cię utracić — powiedział stanowczo Ben. — Jeśli ojciec Callahan rzeczywiście przepadł, to ty jesteś teraz dla nas najważniejszy. Zrób, co ci mówi.

Mark przyniósł z łazienki szklanekę wody i Matt niechętnie ustąpił.

Było piętnaście po dziesiątej.

W pokoju zapadła cisza. Benowi przemknęła myśl, że Matt sprawia wrażenie zastrasząco wycieńczonego. Jego siwe włosy wydawały się rzadsze niż zwykle, a w ciągu tych kilku dni długie, pełne stresów życie wyryło na jego twarzy wyraźne ślady. W pewnym sensie wydawało się słuszne, że gdy wreszcie pojawiło się prawdziwe niebezpieczeństwo, to przybrało taką właśnie, mroczno-fantastyczną postać. Matt przez całe swoje dotychczasowe życie miał do czynienia ze złem występującym w symbolicznej formie nocnej lampki stojącej na biurku, które wyłaniało się z kart książek przy blasku, by zniknąć bez śladu o świcie.

— Boję się o niego — powiedział cicho Jimmy.

— Wydawało mi się, że to nie był groźny atak — odparł Ben.

— To nawet nie był atak, tylko drobny zator. Ale z następnym nie pójdzie już tak łatwo. Jeśli ten koszmar szybko się nie skończy, on tego nie przeżyje. — Delikatnie dotknął dłoni starego nauczyciela, żeby zbadać mu puls. — Dla nas to byłaby prawdziwa tragedia.

Siedzieli wokół łóżka, czuwając na zmianę według ustalonego harmonogramu. Matt przespał spokojnie całą noc, a Barlow się nie pojawił.

Był zajęty gdzie indziej.

26

Panna Coogan czytała właśnie historię zatytułowaną *Jak usiłowałam udusić swoje dziecko* w piśmie *Życiowe zdarzenia*, kiedy otworzyły się drzwi i wszedł pierwszy klient tego wieczoru.

Nie pamiętała, żeby kiedykolwiek był taki mały ruch. Nie przyszła nawet Ruthie Crockett ze swoimi koleżankami, żeby napić się po szklance lemoniady, a Loretta Starcher nie odebrała swojego *New York Timesa*. Gazeta zwinięta w ciasny

rulon leżała cały czas pod ladą. Loretta była jedyną osobą w miasteczku, która regularnie prenumerowała „*Timesa*” (wymawiała tytuł właśnie w ten sposób, w cudzysłowie). Po dokładnym przestudiowaniu każdego numeru wykladała go następnego dnia w czytelnicy.

Po kolacji nie pojawił się także pan Labree, choć akurat w tym mogło nie kryć się nic niezwykłego. Pan Labree był wdowcem mieszkającym w dużym domu na Szkolnym Wzgórzu niedaleko Griffenów i panna Coogan doskonale wiedziała, że nigdy nie jadał kolacji w domu, tylko jechał do Della, gdzie zamawiał hamburgera i piwo. Zapowiedział jej kiedyś, że gdyby nie wrócił do jedenastej (a według jej zegarka pozostało jeszcze piętnaście minut), to ma wyjąć klucz z kasy i sama zamknąć interes. Zdarzało się tak już nieraz, ale pannę Coogan zawsze niepokoiła myśl, co by się wydarzyło, gdyby późno wieczorem zjawił się ktoś pilnie potrzebujący jakiegoś lekarstwa.

Czasem brakowało jej ruchu, jaki zaczynał się zwykle mniej więcej o tej porze, gdy kończył się seans w kinie po drugiej stronie ulicy, teraz już nieczynnym i niemal całkowicie zdemolowanym. Ludzie kupowali lemoniadę, lody i cukierki, a pary nastolatków trzymały się za ręce, umawiając na następne spotkanie. Żyłoby się wtedy może trochę ciężiej, ale za to na pewno pełniej. Dziewczynki były zupełnie inne niż Ruthie Crockett i jej koleżanki — rozwrzeszczane, machające cyckami i powbijane w dzinsy tak ciasne, że widać dokładnie zarys majtek, jeżeli akurat mają je na sobie. Nostalgia przyćmiła nieco wyrazistość wspomnień o klientach sprzed lat, którzy, choć już zdążyła o tym zapomnieć, irytowali ją dokładnie tak samo, jak dzisiejsza młodzież. Kiedy otworzyły się drzwi, uniosła z nadzieją głowę, jakby spodziewała się ujrzeć jednego z maturzystów z roku 1964 trzymającego za rękę dziewczynę, z którą przyszedł na szklanekę czekolady ze śmietaną i orzechami.

Zamiast nich zobaczyła jednak dorosłego mężczyznę o znajomej twarzy. Przez chwilę nie mogła skojarzyć jej z nazwiskiem, ale gdy podszedł do lady, trzymając w dłoni niewielką walizeczkę, sposób, w jaki się poruszał, i charakterystyczne nachylenie głowy pomogły jej pamięci.

— Ojciec Callahan! — powiedziała, nie potrafiąc ukryć zdumienia, bo jeszcze nigdy nie widziała go bez sutanny, a przynajmniej koloratki. Tym razem miał na sobie zwyczajne, czarne spodnie i ciemną koszulę z rozpiętym kołnierzykiem.

Nagle poczuła dziwny strach. Ubranie było czyste, włosy miał starannie uczesane, ale w jego twarzy było coś... coś...

Przypomniała sobie dzień sprzed dwudziestu lat, kiedy wróciła ze szpitala, w którym zmarła na niespodziewany udar mózgu jej matka. Brat, gdy podzieliła się z nim tragiczną wiadomością, wyglądał dokładnie tak samo, jak teraz ojciec Callahan: twarz miała zacięty, ostry wyraz, a oczy, puste i nieprzytomne, przypominały wypalone dziury. Zaczerwieniona skóra dokoła ust sprawiała takie wrażenie, jakby zbyt dokładnie ją golił lub tarł bardzo długo rącznikiem, usiłując zetrzeć

brud albo jakąś plamę.

— Chcę kupić bilet na autobus — powiedział.

— Więc to tak, pomyślała. Biedaczysko, widocznie przed chwilą odebrał telefon z wiadomością o śmierci kogoś bliskiego.

— Oczywiście — odparła. — A dokąd?

— Na pierwszy autobus.

— Ale dokąd?

— Wszystko jedno — powiedział, rozbijając w proch jej przypuszczenia.

— Chwileczkę... Muszę zobaczyć... — Odszukała rozkład jazdy i spojrzała na niego, całkowicie zbita z tropu. — Dziesięć po jedenastej jest autobus do Portland, Bostonu i Nowego...

— Może być — przerwał jej. — Ile płacę?

— A gdzie... To znaczy, dokąd...

— Do końca — powiedział głucho i niespodziewanie uśmiechnął się. Jeszcze nigdy w życiu nie widziała na ludzkiej twarzy równie przerażającego uśmiechu. Bezwiednie cofnęła się o krok. Jeśli mnie dotknie, zacznę krzyczeć, pomyślała. Będę wrzeszczeć co sił w płucach.

— W t-t-takim razie t-to będzie do Nowego Jorku — wyjąkała. — Dwadzieścia dziewięć dolarów i siedemdziesiąt pięć centów.

Callahan z pewnym trudem wyciągnął z tylnej kieszeni portfel, bowiem, jak zauważyła dopiero teraz, jedną rękę miał zabandażowaną. Położył na ladzie dwudziestkę i dwie jedynki, a kiedy ona rozsypała stos blankietów, sięgając po właściwy, dodał jeszcze piątkę i trochę drobnych.

Wypisywała bilet najszybciej, jak tylko mogła, ale to i tak było dużo za wolno. Czowała na sobie jego martwe spojrzenie. Przybiwszy stempel odsunęła blankiet na drugą stronę lady, żeby uniknąć dotknięcia jego dłoni.

— B-b-będzie ksiądz musiał poczekać na zewnątrz — wymamrotała. — Za pięć minut zamykam.

Zgarnęła pieniądze do kasy, nie usiłując nawet ich przeliczyć.

— Nie szkodzi — powiedział, wkładając bilet do kieszonki na piersi. — I Bóg naznaczył Kaina swoim piętnem, aby nie zabił go nikt z tych, którzy go spotkają — dodał, nie patrząc na nią. — I Kain odszedł sprzed oblicza Boga i zamieszkał jako uciekinier na ziemi, po wschodniej stronie Edenu. Tak mówi Pismo, panno Coogan.

— Naprawdę? — zapytała zduszonym głosem. — Przepraszam, ale chyba już musi ksiądz wyjść. Pan Labree... on może wrócić łąda chwila, a nie lubi... nie lubi, kiedy...

— Oczywiście — powiedział i odwrócił się, żeby odejść, ale przy drzwiach zatrzymał się i spojrzał na nią swymi pustymi oczami. — Zdaje się, że pani mieszka w Falmouth, prawda?

— Tak...

— Ma pani samochód?
— Tak, oczywiście. Ksiądz naprawdę musi już wyjść...
— Więc proszę dzisiaj jechać szybko do domu, panno Coogan. Niech pani zamknie od środka drzwi samochodu i nie zatrzymuje się nawet wtedy, gdyby zobaczyła pani kogoś znajomego.
— Nigdy nie zabieram autostopowiczów — odparła z godnością.
— A kiedy już pani dotrze do domu, proszę trzymać się z daleka od Salem. Tutaj wydarzyło się wiele złego.
— Nie wiem, o czym ksiądz mówi, ale i tak musi ksiądz poczekać na zewnątrz — powiedziała czując, że jeszcze chwila, a zemdleje.
— Dobrze.
Wyszedł ze sklepu.
W tej samej chwili uświadomiła sobie, jak głęboka cisza panuje w całym pomieszczeniu. Czyżby naprawdę przez cały wieczór nie przyszedł tu nikt oprócz ojca Callahana? Tak. Zupełnie nikt. Tutaj wydarzyło się wiele złego.
Pośpiesznie zaczęła gasić światła.

27

Miasteczko spowijała głęboka ciemność.
Dziesięć minut przed północą Charlie'ego Rhodessa obudziło donośne trąbienie. Usiadł raptownie w łóżku, przytomniejąc w mgnieniu oka.
Autobus!
A zaraz potem:
Cholerne bachory!
Gówniarze próbowali już kilka razy. Znał ich, te małe, podstępne padalce. Kiedyś wypuścili powietrze z opon; nie przyłapał nikogo na gorącym uczynku, ale wiedział doskonale, kto to zrobił. Poszedł wtedy do tego wymoczkowatego dyrektora i powiedział, że to Mike Philbrook i Audie James. Nie musiał ich widzieć, żeby wiedzieć, że to oni.
Jest pan pewien, Rhodes?
Chyba panu mówię, no nie?
Ta galaretowata zgnilizna nie mogła zrobić nic innego, jak zawiesić ich w prawach ucznia. W tydzień później wezwano go do gabinetu.
Rhodes, dzisiaj zawiesiliśmy w prawach ucznia Andy'ego Garveya.
Tak? Wcale się nie dziwię. Co zbroił?
Bob Thomas przyłapał go, kiedy spuszczał powietrze z kół autobusu.
Dyrektor zmierzył go długim, uważnym spojrzeniem.
A nawet jeśli to był Garvey, a nie Philbrook i James, to co z tego? Zawsze trzymali się razem i coś tam bez przerwy knuli, więc każdy z nich jednakowo zasługiwał sobie na to, żeby ścisnąć mu jądra w imadle.

A teraz z zewnątrz dobiegało wściekłe trąbienie klaksonu, zabójcze dla akumulatora i nerwów Charlie'ego.

TUUT, TUUUUT, TUUUUUULUUUUUUT...

— Czekajcie, sukinsyny! — wyszeptał, wyslizgując się z łóżka. Nie zapalając światła wciągnął spodnie. Światło wystraszyłoby tych małych skurwieli, a jemu zależało na tym, żeby tego uniknąć.

Kiedy indziej ktoś podłożył na siedzenie kierowcy krowi placek, ale i tym razem doskonale wiedział, czyja to była sprawka. Można to odczytać w ich oczach. Nauczył się tego służąc na wojnie w żandarmerii. Rozwiązał sprawę krowiego placka na swój sposób: przez trzy dni wyrzucał gówniarza z autobusu w odległości czterech mil od domu. Łobuz przyszedł w końcu do niego zalewając się łzami.

Ja nic nie zrobiłem, panie Rhodes. Dlaczego każe mi pan wysiadać?

Według ciebie krowi placek na siedzeniu to nic?

Przysięgam na Boga, że to nie ja!

Jedno trzeba było im przyznać: nawet własnej matce potrafiliby nałgać bez zmrużenia oka, co z całą pewnością robili. Po kolejnych dwóch dniach gówniarz wreszcie się przyznał, ale Charlie wysłał go na spacer jeszcze raz, żeby dostał dobrą nauczkę. Dopiero wtedy jeden z mechaników poradził mu, żeby dał już sobie spokój.

TUUUUUUUUUUUUUT...

Błyskawicznie wciągnął na grzbiet koszulę i złapał stojącą w kącie starą raketę tenisową. Jezu, ależ zło dzisiaj komuś dupę!

Wyszedłszy przez tylne drzwi podkraść się na mały, usytuowany z tyłu domu parking, na którym trzymał swój żółty autobus. Czuł się spięty, lecz jednocześnie pewny siebie, zupełnie jak podczas wojny.

Przystanął za krzewem oleandra i spojrzał na autobus. Tak, widział ich: gromada cieni za czarnymi, dziwnie przezroczystymi szybami. Nagle poczuł, jak wzbiera w nim krwawa wściekłość, a jego dłoń zacisnęła się na uchwycie rakiety z taką siłą, że aż zaczęła drżeć. Wybili sześć... nie! Siedem... osiem... Osiem okien w j ego autobusie!

Zakradł się od tyłu, a następnie wzdłuż żółtego boku do drzwi dla pasażerów. Były otwarte. Przystanął na chwilę, a potem jednym susem wskoczył do środka.

— Dobra, szczeniaki! Nie ruszać się z miejsc! Ty, odpieprz się od tego klaksonu, bo...

Chłopak siedzący przy kierownicy odwrócił głowę w jego kierunku i uśmiechnął się szeroko. Charlie poczuł, że zbiera mu się na mdłości. Był to Richie Boddin, biały jak ściana, z wyjątkiem czarnych, rozżarzonych oczu i soczyście czerwonych ust.

A jego zęby...

Charlie Rhodes obrzucił spojrzeniem wewnątrz autobusu.

Czy to Mike Philbrook? A to Audie James? Boże, chłopcy Griffena, Hal i Jack, siedzący na samym końcu ze źdźbłami siana we włosach! Ale przecież oni nie jeżdżą moim autobusem! Mary Kate Greigson i Brent Tenney, przytulone do siebie. Jedna w nocnej koszuli, druga w dżinsach i flanelowej koszuli, założonej nie dość, że tył na przód, to jeszcze na lewą stronę, jakby dziewczyna nagle zapomniała, jak należy się ubierać.

I Danny Glick. Boże, przecież... przecież on nie żyje od dwóch tygodni!

— Słuchajcie — wykrztusił Charlie, pokonując opór zmartwiałych warg. — Słuchajcie, szczeniaki...

Rakieta wyślizgnęła mu się z dłoni. Rozległo się soczyste sapnięcie, gdy Richie Boddin, z twarzą wciąż wykrzywioną potwornym uśmiechem, pociągnął za lewarek zamykający pneumatyczne drzwi. Pasażerowie autobusu, wszyscy, ilu ich było, zaczęli podnosić się z miejsc.

— Nie — wyszeptał Charlie, próbując się uśmiechnąć. — Słuchajcie, to jakaś pomyłka... To ja, Charlie Rhodes! Wy... Wy...

Potrząsnął głową, wyciągając w ich stronę dłonie, jakby chciał pokazać, że należą naprawdę do niego, Charlie'ego Rhodesa. Cofał się krok za krokiem, aż wreszcie oparł się plecami o szeroką, przednią szybę.

— Nie... — wychrypiał. Zbliżali się, szeroko uśmiechnięci.

— Błagam, nie...

Zniknął pod kłębem ciała.

28

Ann Norton zmarła podczas krótkiej podróży windą z parteru szpitala na pierwsze piętro. Jej ciałem wstrząsnął krótki dreszcz, a z kącika ust pociekła strużka krwi.

— W porządku — mruknął jeden z posługaczy. — Możesz wyłączyć syrenę.

29

Eva Miller miała sen.

Był to dziwny sen, graniczący z koszmarem. Wielki pożar z roku 1951 szalał pod bezlitosnym niebem, błękitnym nad horyzontem, a niemal zupełnie białym i gorącym nad głową. Słońce błyszczało na dnie tej ogromnej, odwróconej misy niczym miedziana, lśniąca moneta. Wszędzie unosił się gryzący zapach dymu. W miasteczku zaprzestano wszelkiej działalności; ludzie stali na ulicach, spoglądając na południowy wschód, w kierunku moczarów i na północny zachód, w kierunku lasu. Dym czuć było w powietrzu już od samego rana, lecz teraz, o pierwszej po południu, za pastwiskiem Griffena widać było wyraźnie jaskrawe,

wijące się płomienie. Ten sam wiatr, który umożliwił pożarowi pokonanie przeciwności, teraz zasypywał Salem białym popiołem, przypominającym padający nie wiadomo czemu w środku lata śnieg.

Ralph jeszcze żył, ale był w tartaku, walcząc o jego uratowanie. We śnie jednak wszystko się pomieszało, bo znalazło się w nim miejsce także dla Eda, choć w rzeczywistości poznała go dopiero jesienią w roku 1954.

Zupełnie naga obserwowała pożar z okna sypialni na piętrze. W chwili, gdy od tyłu dotknęły jej bioder szorstkie, brązowe dłonie, wiedziała, że to Ed, choć nie mogła dostrzec nawet śladu jego odbicia w szybie.

Nie teraz, Ed, próbowała powiedzieć. Jeszcze za wcześnie. Prawie o dziewięć lat.

Jednak jego dłonie były uparte. Przeniosły się na jej brzuch, jedna z nich zaczęła delikatnie gładzić okolice pępka, a potem obie powędrowały w górę i chwyciły mocno jej piersi.

Chciała mu powiedzieć, że stoją w oknie i że w każdej chwili może ich zobaczyć ktoś ze zgromadzonych na ulicy, lecz słowa nie chciały przejść jej przez gardło, a w następnej chwili poczuła jego usta na ramieniu, karku, wreszcie szyi.

Gryzł ją, wysysając z niej krew, a ona po raz ostatni spróbowała zdobyć się na protest. Nie rób tego, Ralph może zobaczyć. . .

Tym razem jednak również jej się nie udało, a potem przestała o tym w ogóle myśleć. Nie obchodziło jej, kto ich zobaczy, nagich i złączonych w uścisku.

Czując wciąż na szyi jego usta i zęby wpatrywała się zamglonym spojrzeniem w ogień. Unosił się z niego gęsty, czarny jak noc dym, który wzbijał się ku metalicznemu niebu, zamieniając dzień w noc. Mimo to płomienie były doskonale widoczne, pulsując szkarłatem i czerwienią niczym zbuntowane kwiaty w sercu mrocznej dżungli.

A potem rzeczywiście zapadła noc i miasteczko zniknęło jej sprzed oczu, lecz ogień dalej szalał w ciemności, przyjmując coraz to nowe, fantastyczne kształty, aż wreszcie zamienił się w obrysowaną krwawym konturem twarz o orlim nosie, głęboko osadzonych, rozpalonych oczach, pełnych, zmysłowych ustach częściowo zasłoniętych obfitymi wąsami i zaczesanych do tyłu włosach.

— Szafa na strychu — usłyszała dobiegający z jakiegoś wielkiego oddalenia głos, lecz nie miała najmniejszych wątpliwości, że należał do niego. — Powinna być w sam raz. A potem przygotujemy schody. . . Lepiej zawczasu o wszystkim pomyśleć.

Głos ucichł. Płomienie przygaśły.

Pozostała tylko ciemność i ona, pogrążona w niej całkowicie, śniąca lub dopiero zaczynająca śnić. Przemknęła jej niewyraźna myśl, że sen będzie długi i słodki, choć z gorzkawym posmakiem i całkowicie nieuchwytny.

Odezwał się inny głos, głos Eda.

— Wstań, kochanie. Musimy zrobić, co nam kazał.

— Ed? To ty, Ed?

Ujrzała nad sobą jego twarz, nie ognistą, lecz przerażająco bladą i dziwnie pustą. Mimo to kochała go chyba bardziej, niż kiedykolwiek. Marzyła o tym, żeby ją pocałował.

— Chodź, Evo.

— Czy to sen, Ed?

— Nie, to nie sen.

Przez chwilę poczuła ogromny strach, lecz zaraz potem przykre uczucie zniknęło, a zamiast niego pojawiło się zrozumienie. I głód.

Rzuciwszy przelotne spojrzenie w lustro dostrzegła tylko swoją pustą, pogrążoną w mroku sypialnię. Drzwi na strych były zamknięte, a klucz znajdował się w dolnej szufladzie komody, lecz to nie miało żadnego znaczenia. Teraz nie będą potrzebowali już żadnych kluczy.

Prześlizgnęli się jak cienie przez szparę między krawędzią drzwi a futryną.

30

O trzeciej nad ranem krew płynie w żyłach wolniej, niż zwykle, a sen jest wyjątkowo głęboki. Dusza jest wówczas albo pogrążona w błogosławionej nieświadomości, albo miota się rozpaczliwie, rozglądając z przerażeniem wokół siebie. Nie istnieją żadne stany pośrednie. O trzeciej nad ranem świat, ta stara dziwka, nie ma na twarzy żadnego makijażu i widać, że brakuje mu nosa i jednego oka. Wesołość staje się płytka i krucha, jak w zamku Poego otoczonym przez Czerwoną Śmierć. Nie ma grozy, bo zniszczyła ją nuda, a miłość jest tylko snem.

Parkins Gillespie powłócząc nogami przemierzył odległość dzielącą jego biurko od ekspresu do kawy. Wyglądał jak bardzo chuda małpa, wyniszczona jakąś ciężką chorobą. Na biurku leżała plansza „Samotnika”. W nocy kilka razy słyszał przeraźliwe krzyki, przeciągły, rozdzierający uszy dźwięk klaksonu, a także tupot czyichś pośpiesznych kroków. Nie wyszedł, żeby zbadać, co kryje się za tymi tajemniczymi odgłosami. Na jego pooranej głębokimi bruzdami, zapadniętej twarzy wyryły swe piętno myśli, które nie dawały mu spokoju tej nocy. Powiesił sobie na szyi krzyż, medalik ze świętym Krzysztofem i hippisowski znak pokoju; gdyby ktoś go zapytał, dlaczego to zrobił, nie potrafiłby udzielić jasnej odpowiedzi, ale z całą pewnością przyniosło mu to pewną ulgę. Postanowił, że jeśli uda mu się przetrwać tę noc, z samego rana pojedzie gdzieś bardzo daleko, zostawiając na półce swoją odznakę szeryfa.

Mabel Werts siedziała przy stole w kuchni przed filiżanką zimnej kawy. Po raz pierwszy od sześćdziesięciu lat żaluzje w oknach były zaciągnięte, a lornetka schowana do futerału. Po raz pierwszy od sześćdziesięciu lat nie chciała niczego widzieć ani słyszeć. Noc aż kipiała od ponurych plotek, z którymi nie chciała mieć nic wspólnego.

Zawiadomiony telefonicznie Bill Norton znajdował się w drodze do szpitala w Cumberland (wezвано go wtedy, gdy jego żona jeszcze żyła). Jego twarz zamieniła się w drewnianą, niewzruszoną maskę. Wycieraczki szurały po szybie zgarniając deszcz, który wyraźnie przybrał na sile. Bill starał się o niczym nie myśleć.

W miasteczku było jeszcze sporo innych osób pogrążonych w spokojnym śnie lub czuwających, lecz nie dotkniętych jeszcze rozprzestrzeniającym się złem. Prawie wszyscy mieszkali samotnie, nie mając w Jerusaleem krewnych ani znajomych, większość zaś z nich w ogóle nie zdawała sobie sprawy z tego, co się dzieje.

Mimo to ci, którzy nie spali, pozapalali w swych domach wszystkie światła, tak że ktoś przejeżdżający o tej porze przez Salem (a było kilka takich samochodów, zmierzających do Portland lub gdzieś na południe), zdumiałby się widząc w głębokiej czerni te porozrzucane nieregularnie wyspy jasności. Może nawet zwolniłby na chwilę, spodziewając się zobaczyć jakiś wypadek lub pożar, a nie ujrawszy nic takiego przyspieszył ponownie, przestając natychmiast o tym myśleć.

Najdziwniejsze było to, że nikt spośród tych, którzy nie spali, nie znał prawdy. Możliwe, iż niektórzy ją podejrzewali, lecz ich podejrzewania były równie nie sprecyzowane i nie do końca ukształtowane jak trzymiesięczny płód. Mimo to bez wahania powyciągali z szuflad, komód i szafek wszystkie religijne symbole, jakie posiadali, właściwie nie zdając sobie sprawy z tego, co robią, podobnie jak kierowca prowadzący samochód przez długi czas w pewnej chwili zaczyna bezwiednie pogwizdywać. Przechodząc powoli i ostrożnie z pokoju do pokoju, włączali wszystkie światła, starając się za wszelką cenę nie patrzeć w okna.

To przede wszystkim: nie patrzeć w okna.

Spośród wszystkich strasznych, niewyobrażalnych rzeczy jedna ewentualność przyćmiewała grozą pozostałe: spojrzeć Gorgonie prosto w twarz.

31

Hałas wdzierał się w jego sen jak gwóźdź wbijany w pień starego dębu; powoli, cal za cal. W pierwszej chwili Reggie Sawyer pomyślał, że śni mu się coś związanego ze stolarstwem i jego mózg, pogrążony w półcieniu panującym na granicy snu i jawy podsunął mu natychmiast wspomnienie o tym, jak wspólnie z ojcem budowali nad Bryant Pond drewnianą chatę.

Jednak zaraz potem zaświtała mu dziwna myśl, że to nie sen, lecz odgłosy uderzeń prawdziwego młotka. Kiedy w ułamek sekundy później obudził się, zupełnie zdezorientowany, regularny, jakby taktowany metronomem łomot uderzył w jego uszy z całą siłą. Ktoś walił pięściami we frontowe drzwi.

Jego wzrok najpierw spoczął na Bonnie, która spała obok niego zwinęta w kłębek pod kocem, a następnie na budzik; 4.15.

Wstał, wymknął się po cichu z sypialni i zamknął za sobą drzwi. Zapaliwszy światło w hallu ruszył już do drzwi wejściowych, lecz nagle zatrzymał się, tknięty wewnętrznym przecuciem i utkwiał w nich zdumione, niedowierzające spojrzenie.

Dlaczego ktoś miałby się dobijać o tej porze? Gdyby wykorkował ktoś z rodziny, zawiadomiono by ich telefonicznie, a nie w taki sposób.

Reggie był w 1968 roku przez siedem miesięcy w Wietnamie. To był bardzo niedobry rok dla amerykańskich chłopców i miał okazję widzieć prawdziwą walkę. W tamtych dniach budziłeś się tak, jakbyś zapalał lampę: śpisz, a w ułamek sekundy później jesteś już czujny i gotów do akcji. Pozbył się tego przyzwyczajenia niemal zaraz po tym, jak wrócił do Stanów i był z tego bardzo dumny, choć nigdy nikomu się nie chwalił. Dzięki Bogu, okazał się czymś więcej, niż maszyną. Nacisnąć guzik A i Johnny budzi się, nacisnąć guzik B i Johnny zabija kilku żółtków.

Ale teraz, bez żadnego ostrzeżenia, senność i powolność ruchów zniknęły natychmiast, nie pozostawiając najmniejszego śladu.

Ktoś jest na zewnątrz. Pewnie ten gówniarz Bryant, nabąblowany po dziurki w nosie, gotów walczyć i zginąć w obronie swojej damy,

Nie zapalając światła wszedł do salonu, gdzie na ścianie nad imitacją kominka wisiała dubeltówka. Złamał ją i załadował, a następnie wystawił głowę z salonu i spojrzął na frontowe drzwi. Łomot nie ustawał, regularny, choć pozbawiony jakiegokolwiek rytmu.

— Wejść! — zawołał Reggie.

Walenie ucichło, a po chwili kłamka zaczęła się powoli przekręcać. Kiedy zatrząsk puścił, drzwi otworzyły się i stanął w nich Corey Bryant.

Reggie poczuł, jak serce kurczy mu się ze strachu. Bryant miał na sobie to samo ubranie co wtedy, gdy Reggie wyrzucił go z domu, tyle tylko, że teraz było znacznie bardziej sfatygowane i brudne. Do spodni i koszuli przykleiło się kilka zeschniętych liści, a brudna smuga, biegnąca niemal przez całą twarz, podkreślała błądźliwość skóry.

— Nie podchodź bliżej — powiedział Reggie, odbezpieczając broń. — Tym razem jest naładowana.

Jednak Corey Bryant ruszył do przodu, z utkwionym w Sawyerze spojrzeniem pustych oczu i wyrazem twarzy, który był bardziej przerażający od największej nawet nienawiści. Co chwilę zwilżał wargi ruchliwym językiem, z butów zaś oblepionych błotem ściekały brudne krople, znacząc każdy jego krok. W sposobie, w jaki się poruszał, było coś ostatecznego, co porażało obserwatora swoją bezwzględnością i brakiem litości. W butach chlupotała głośno woda. Nie istniało takie zakłęcie, które mogłoby go powstrzymać.

— Jeszcze dwa kroki, a rozwalę ci łeb — ostrzegł go Reggie ochrypłym, suchym głosem. Chłopak najwyraźniej zwariował. Nagle z przerażającą jasnością

Reggie zdał sobie sprawę, że będzie musiał go zastrzelić.

— Stój — powtórzył, tym razem starając się, żeby zabrzmiało to możliwie swobodnie i od niechcienia.

Corey nie stanął. Jego utkwione w twarzy Sawyera oczy przypominały ślepią wypchanego szopa. Przez chwilę w hallu rozbrzmiewały tylko odgłosy jego mokrych stąpień.

Potem rozległ się przeraźliwy krzyk Bonnie.

— Wracaj do sypialni — rzucił przez ramię Reggie i wyszedł do hallu, żeby znaleźć się między nimi. Bryant znajdował się w odległości dwóch kroków. Biała ręka, zadziwiająco sztywna, wyciągnęła się, by złapać za lufę dubeltówki.

Reggie nacisnął obydwa spusty.

W niewielkiej przestrzeni huk wystrzałów zabrzmiał niczym uderzenie gromu. Strumienie ognia wystrzeliły na mgnienie oka z obu luf, a w powietrzu rozszedł się smród palonego prochu. Bonnie ponownie wrzasnęła, jeszcze donośniej, niż przed chwilą. Koszula na piersi i brzuchu Coreya przestała po prostu istnieć, lecz na białym ciele, które wyłoniło się spod jej strzępów, nie sposób było dostrzec żadnych śladów. Przypatrujący się temu z wybałuszonymi oczami Reggie odniósł nawet wrażenie, że nie jest to wcale ciało, tylko jakaś częściowo materialna substancja w rodzaju gęstej zasłony z gazy.

W następnym ułamku sekundy dubeltówka została z potworną siłą wyrwana mu z rąk, a on sam pchnięty na ścianę. Oszołomiony, osunął się po niej na podłogę, a Bryant minął go, kierując się w stronę Bonnie. Stała w drzwiach sypialni, trzymając się kurczowo futryny, lecz Reggie widział, że w jej oczach utkwionych w twarzy Coreya nie było nic poza obłąkanym pożądaniem.

Chłopak obejrzał się przez ramię i obdarzył go szerokim uśmiechem, przypominającym uśmiech walających się na pustyni krowich czaszek. Bonnie wyciągnęła przed siebie drżące ręce. Przez jej twarz, niczym następujące po sobie słońce i cień, przesuwały się żądza i przerażenie.

— Najdroższy... — wyszeptała. Reggie zaczął wrzeszczeć.

32

— To już Hartford, kolego — powiedział kierowca. Callahan spojrział przez szerokie, panoramiczne okno na obcy krajobraz, tym dziwniejszy, że oświetlony nierzeczywistym blaskiem wstającego dnia. W Salem duchy ciemności wracały już do swoich kryjówek.

— Wiem — odparł.

— Mamy dwudziestominutowy postój. Wyjdzie pan, żeby zjeść kanapkę albo coś w tym rodzaju?

Callahan wyciągnął z tylnej kieszeni portfel, o mało go przy tym nie upuszczając. Dziwne, ale poparzona dłoń wcale go nie bolała, tylko stała się niemal

zupełnie bezwładna. Ból byłby lepszy, bo przynajmniej realny. W ustach czuł idiotyczny, nadpsuty smak śmierci. I to wszystko? Tak. W zupełności wystarczyło.

Podał kierowcy dwudziestkę.

— Mógłby mi pan kupić butelkę?

— Według przepisów...

— Reszta, oczywiście, dla pana.

— Nie chcę mieć zarzyganego autobusu. Za dwie godziny będziemy w Nowym Jorku i tam kupi pan sobie, co będzie chciał.

Obawiam się, że bardzo się mylisz, przyjacielu, pomyślał Callahan. Zajrzał jeszcze raz do portfela, żeby sprawdzić jego zawartość. Dziesiątka, dwie piątki, trochę drobnych. Dołożył jeszcze dziesiątkę i podał obydwu banknoty zabandażowaną dłonią.

— Wystarczy jedna butelka. I proszę zatrzymać resztę.

Kierowca przeniósł spojrzenie z trzydziestu dolarów na ciemne, zapadnięte oczy; przez chwilę miał mrożące krew w żyłach wrażenie, iż rozmawia z żywą czaszką, która zdążyła już zupełnie zapomnieć, co to takiego uśmiech.

— Trzydzieści baksów za butelkę? Chyba pan oszalał. — Mimo to wziął pieniądze i ruszył wąskim przejściem w kierunku przodu autobusu. Zanim zniknął w drzwiach, odwrócił się i spojrzał na Callahana. — Tylko bez żadnego rzygania, rozumiemy się?

Callahan skinął głową jak mały chłopiec, przyjmujący zasłużoną reprimendę.

Kierowca mierzył go jeszcze przez chwilę uważnym spojrzeniem, po czym wysiadł.

Coś taniego, pomyślał Callahan. Żeby spaliło język i ścisnęło gardło. Żeby zabiło ten okropny, słodkawy smak albo przynajmniej przytłumiło go do chwili, gdy znajdzie jakieś miejsce, w którym będzie mógł zacząć pić na serio. Pić, tylko pić i nic więcej...

Bał się, że lada chwila załamie się i zacznie płakać, ale na szczęście nie miał łez. Czuł się zupełnie suchy i pusty w środku. Był tylko ten... smak.

— Niech pan się pośpieszy.

Odwrócił twarz do okna. Po drugiej stronie ulicy siedział na cementowych schodkach jakiś chłopak ze skrytą w dłoniach twarzą. Callahan nie spuszczał go z oka aż do chwili, gdy autobus ponownie ruszył, ale chłopak nawet nie drgnął.

33

Ben poczuł na ramieniu dotknięcie czyjejś ręki i otrząsnął się momentalnie z płytkiego snu.

— Już rano — szepnął Mark tuż przy jego uchu.

Otworzył oczy, zamruął raptownie, żeby pozbyć się zlepijącego powieki kleju, i spojrzął przez okno na świat. Świt nadszedł pod osłoną jesiennego, niezbyt intensywnego deszczu. Na drzewach rosnących wokół trawnika otaczającego północne skrzydło szpitala pozostała już tylko nie więcej niż połowa liści, a czarne gałęzie rysowały się na tle szarego nieba niczym litery jakiegoś nieznanego alfabetu. Prowadząca łagodnymi łukami na wschód szosa numer trzydzieści lśniła niczym skóra fok; jakiś samochód, jadący z włączonymi światłami, pozostawił na niej niknące, czerwone odbicie.

Ben dźwignął się na nogi i rozejrzył dookoła. Pierś Matta unosiła się w regularnym, choć płytkim oddechu; Jimmy także jeszcze spał, wyciągnięty na obszernym fotelu. Na widok pokrywającej jego policzki szczeciny, zupełnie nie licującej z godnością lekarza, Ben przesunął dłonią po swojej własnej twarzy; drapało jak diabli.

— Chyba już pora ruszać, prawda? — zapytał Mark.

Ben skinął głową, starając się nie myśleć o tym, co czeka ich w zaczynającym się dopiero dniu. Jedyne, co może im pomóc, to nie planować niczego na dłużej niż dziesięć minut do przodu. Ujrawszy determinację malującą się na twarzy chłopca poczuł coś w rodzaju mdłości. Podszedł do Cody'ego i szarpnął go za ramię.

Jimmy otrząsnął się w fotelu jak pływak wychodzący z głębokiej wody. Kiedy otworzył oczy, przez chwilę malowało się w nich paniczne przerażenie, a potem popatrzył na nich nieprzytomnym spojrzeniem.

Kiedy wreszcie doszedł do siebie, natychmiast się odprężył.

— Och, to był tylko sen — westchnął z ulgą. Mark skinął ze zrozumieniem głową.

— Już dzień! — powiedział Jimmy takim tonem, jakim notoryczny biedak mógłby zawołać „Pieniądze!”, po czym wstał, podszedł do łóżka i delikatnie zbadął Mattowi puls.

— Jak on się czuje? — zapytał Mark.

— Chyba lepiej, niż wieczorem — odparł Jimmy. — Ben, powinniśmy raczej skorzystać z windy dla personelu, na wypadek, gdyby wczoraj ktoś zauważył Marka. Trzeba unikać zbędnego ryzyka.

— Czy pan Burke może zostać sam? — zaniepokoił się Mark.

— Wydaje mi się, że tak — powiedział Ben. — Musimy zaufać jego przezorności. Barlow byłby zachwycony, gdyby udało mu się unieruchomić nas tutaj na cały dzień.

Przemknęli się na palcach przez korytarz i zjechali windą do kuchni. O tej porze, prawie piętnaście po siódmej, panował tam ożywiony ruch.

— Cześć, doktorze — powiedział jeden z kucharzy. Poza nim nikt nie zwrócił na nich uwagi.

— Dokąd najpierw? — zapytał Jimmy. — Szkoła przy Brock Street?

— Nie — pokręcił głową Ben. — Przed południem kręci się tam zbyt wielu ludzi. Mark, o której godzinie kończą zajęcia młodsze klasy?

— Około drugiej.

— W takim razie będziemy mieli jeszcze masę czasu. Teraz jedziemy do domu Marka. Po kołki.

34

W miarę, jak zbliżali się do Jerusalem, wewnątrz buicka wypełniała coraz bardziej gęsta atmosfera strachu i rozmowa zupełnie się nie kleiła. Kiedy Jimmy skręcił z autostrady przy oświetlonym, zielonym drogowskazie z napisem DROGA NUMER 12 JERUSALEM, OKRĘG CUMBERLAND, Ben przypomniał sobie, że właśnie tędy wracał z Susan po ich pierwszej randce; chciała wtedy obejrzeć jakiś film, w którym ścigano by się samochodami.

— Jest coraz gorzej — powiedział Jimmy. Jego blada, chłopięca twarz zastygła w grymasie strachu i wściekłości. — Boże, prawie czuć to w powietrzu.

Rzeczywiście, pomyślał Ben. Nie był to jednak zapach fizyczny, lecz raczej psychiczny. Wyczuwany podświadomie odór otwartych grobów.

Szosa była niemal zupełnie pusta. Po drodze minęli stojącą na poboczu furgonetkę Wina Purintona. Silnik pracował na wolnych obrotach, więc Jimmy zatrzymał samochód, a Ben wysiadł, zajrzał do skrzyni ładunkowej i przekręcił kluczyk tkwiący w stacyjce. Kiedy wrócił do buicka, Jimmy spojrzał na niego pytająco, lecz Ben potrząsnął głową.

— Nie ma go tam; Już się prawie kończyło paliwo, więc musiał zniknąć kilka godzin temu.

Jimmy z wściekłością uderzył pięścią w kolano. Kiedy jednak wjechali do miasteczka, powiedział z ulgą:

— Patrzcie, Crossen otwiera interes.

Istotnie, Milt nakrywał przezroczystą folią stojak z gazetami, rozmawiając z Lesterem Silviusem ubranym w żółty płaszcz przeciwdeszczowy.

— Ale nie ma nikogo z pracowników — zauważył Ben.

Milt dostrzegł ich i pomachał ręką; Ben odniósł wrażenie, iż jego twarz była poorana gęściejszą niż zwykle siecią zmarszczek. Na drzwiach Domu Pogrzebowego Foremana w dalszym ciągu wisiała tabliczka z napisem „Zamknięte”. Zamknięty był także sklep przemysłowy, podobnie jak apteka Spencera. Jimmy zatrzymał samochód na wysypanym żwirem podjeździe przed budynkiem starej pralni; nad oknem widniał napis ułożony ze złotych liter: BARLOW I STRAKER, ATRAKCYJNE MEBLE. W drzwiach wisiała kartka z krótką informacją napisaną tym samym charakterem pisma, co list znaleziony w piwnicy Domu Marstonów: „Nieczynne do odwołania”.

— Po co tu się zatrzymujemy? — zapytał Mark.

— Żeby sprawdzić, czy przypadkiem nie schował się tutaj — odparł Jimmy.
— To tak oczywiste miejsce, że łatwo można by je przeoczyć. Poza tym wydaje mi się, że celnicy czasem znaczą kredą skrzynie, które już są po odprawie.

Kuląc się w deszczu, przeszli na tył budynku, gdzie Jimmy owinął sobie rękę płaszczem, wybił szybę w drzwiach i otworzył je od środka.

Powietrze było ciężkie i stęchłe, jakby pomieszczenie stało zamknięte nie kilka dni, lecz kilkaset lat. Ben wetknął głowę do salonu sprzedaży, lecz nie dostrzegł tam żadnego miejsca nadającego się na kryjówkę. Niezbyt licznie porozstawiane przedmioty świadczyły o tym, że Straker niespecjalnie dbał o zaopatrzenie sklepu.

— Chodź tutaj! — zawołał ochryplym głosem Jimmy i Benowi serce podskoczyło do gardła.

Jimmy i Mark stali przy podłużnej skrzyni, której wieko udało im się już częściowo podważyć za pomocą lekarskiego młotka Cody'ego. Przez szparę widać było fragment białej dłoni i ciemny rękaw.

Ben z furią zaatakował skrzynię gołymi rękami, podczas gdy z drugiego końca Jimmy mozolił się ze swoim młotkiem.

— Pokaleczysz się! — ostrzegł go. — Uważaj, bo...

Ale Ben nie słyszał. Odrywał deskę za deską, nie zwracając uwagi na drzazgi i gwoździe. Dopadli go, dopadli tego ohydneho krwiopijcę! Przyłoży mu kolec do piersi i wbije, tak jak wbijał go już w pierś Susan. Po oderwaniu jeszcze jednej, kruchej listwy spojrział prosto w martwą, sinoblada twarz Mike'a Ryersona.

Przez chwilę stali bez ruchu, a potem niemal jednocześnie wypuścili wstrzymane w płucach powietrze.

— Co teraz zrobimy? — zapytał Jimmy.

— Musimy szybko jechać do domu Marka — odparł Ben, nie kryjąc rozczarowania. — Wiemy, gdzie go potem znaleźć, a na razie i tak nie mamy nawet jednego kołka.

Przykryli skrzynię połamanymi deskami.

— Lepiej pokaż mi swoje ręce — powiedział Jimmy. — Masz całe poharatane.

— Później. Chodźmy już.

Nikt nie powiedział tego na głos, ale wszyscy z ulgą znaleźli się ponownie na świeżym powietrzu. Dotarli do domu Marka chyba szybciej, niż którykolwiek z nich by sobie tego życzył.

Obok forda Pinto, stanowiącego własność Henry'ego Petrie, stał samochód ojca Callahana. Mark pobrał i odwrócił wzrok.

— Nie mogę tam wejść — wymamrotał. — Przepraszam. Zaczekam w samochodzie.

— Nie masz za co przepraszać, chłopcze.

Jimmy zatrzymał wóz, wyłączył silnik i wysiadł. Ben zawahał się przez chwilę, a następnie położył Markowi dłoń na ramieniu.

— Wszystko w porządku?

— Jasne.

Ale jego wygląd wcale tego nie potwierdzał. Drżała mu broda, a w oczach miał zupełną pustkę, lecz w chwili, gdy skierował ich spojrzenie na Bena, pustka wypełniła się natychmiast bólem i łzami.

— Przykryjcie ich, dobrze? Jeżeli nie żyją, to koniecznie ich przykryjcie.

— Oczywiście.

— Chyba lepiej, że tak się stało — wyszeptał Mark. — Mój tata... On byłby bardzo groźnym wampirem. Kiedyś może nawet tak groźnym, jak Barlow. Zawsze chciał być najlepszy.

— Staraj się o tym nie myśleć — poradził mu Ben, ale niemal od razu zawstydział się tych wyświechtanych słów. Mark spojrzał na niego i uśmiechnął się słabo.

— Drewno leży za domem — powiedział. — Pójdzie wam szybciej, jeśli skorzystacie z tokarki ojca. Stoi w piwnicy.

— Dobrze — skinął głową Ben. — Trzymaj się, Mark.

Lecz chłopiec odwrócił już wzrok, ocierając dłonią ściekające mu po policzkach łzy.

Dwaj mężczyźni weszli do domu.

35

— Ani śladu Callahana — powiedział Jimmy, kiedy przeszukali już dokładnie wszystkie pomieszczenia.

— W takim razie musimy przyjąć, że wpadł w ręce Barlowa.

Bena wiele kosztowało wypowiedzenie tego zdania. Spojrzał na złamany krzyż trzymany w dłoni; jeszcze wczoraj wisiał na szyi księdza. Był to jedyny ślad świadczący o tym, że Callahan był we wnętrzu domu. Znaleźli krzyż przy ciałach rodziców Marka. Obydwoje nie żyli, gdyż jakaś monstrualna siła po prostu zgmiotła im czaszki. Ben przypominał sobie, do czego była zdolna pani Glick, i nagle poczuł strach.

— Musimy ich przykryć — odezwał się do Jimmy'ego. — Obiecałem to Markowi.

36

Użyli do tego narzuty ściągniętej z kanapy stojącej w jadalni. Ben usiłował zdystansować się do tego, co robią, lecz okazało się to niemożliwe. Kiedy mieli już odejść, zauważył, że spod kolorowego materiału wystaje czyjaś dłoń (starannie wypielęgnowane paznokcie wskazywały na to, że należała do June Petrie)

i wepchnął ją nogą, krzywiąc się z wysiłku, jakim musiał opłacić udaną próbę zapanowania nad swoim żołądkiem. Kształty ciał rysujące się pod przykryciem były zupełnie jednoznaczne, przypominając mu zdjęcia z Wietnamu, przedstawiające żołnierzy niosących swych zabitych kolegów w czarnych korkach, absurdalnie podobnych do toreb na kije golfowe.

Obładowani naręczami starannie przyciętych szczap zeszli do piwnicy.

Był to teren, nad którym niepodzielną władzę sprawował Henry Petrie, nadając mu wyraźne piętno swojej osobowości. Trzy mocne żarówki wisały nad warsztatową częścią pomieszczenia, rzucając silne światło na elektryczny hebel, małą piłę tarczową, tokarkę do drewna i wyżynarkę. Na stole leżały elementy dużego domku dla ptaków, obok zaś sporządzone bardzo starannie plany. Ojciec Marka wykonywał tę pracę fachowo, choć bez polotu, a teraz już nigdy nie miał jej dokończyć. Podłoga była starannie zamieciona, a w powietrzu unosił się przyjemny zapach trocin.

— To nic nie da — powiedział nagle Jimmy i wypuścił z ramion swój ładunek. Szczapy rozsypały się z głośnym stukotem po podłodze. — Mamy jeszcze stos drewna na podwórzu — dodał, a potem wybuchnął głośnym, histerycznym śmiechem.

— Jimmy...

Nie pozwolił dojść Benowi do głosu.

— Rozprawimy się z wampirami za pomocą sterty drewna z podwórka Henry'ego Petrie. A czemu nie mamy wykorzystać nóg od krzesel albo kijów do baseballu?

— Masz jakiś lepszy pomysł?

Jimmy spojrział na niego i opanował się z wyraźnym wysiłkiem.

— Lepiej zajmijmy się poszukiwaniem skarbów — powiedział. — Na pastwisku Griffena, czterdzieści kroków na wschód pod wielkim głazem. Boże, Ben, możemy przecież wyjechać z miasta! Możemy, prawda?

— Chcesz zrezygnować?

— Nie. Ale nie załatwimy tego dzisiaj. Minie wiele tygodni, zanim znajdziemy ich wszystkich, o ile w ogóle nam się uda. Jak myślisz, dasz radę? Dasz radę robić tysiąc razy to, co zrobiłeś Susan? Będziesz wyciągał ich z cuchnących szaf i nor, żeby wbić im w serce drewniany kołek, a oni będą wrzeszczeć, wić się i wyrywać ze wszystkich sił. Czy dasz radę robić to na przykład przez miesiąc i nie zwariować?

Ben spróbował się nad tym zastanowić, lecz jego myśli natrafiły na gładką, szarą ścianę.

— Nie wiem — powiedział po prostu.

— A co z chłopakiem? Myślisz, że o n da radę? Jest bardziej niż pewne, że trafi prosto do wariatkowa. Matt tymczasem umrze, mogę ci to zagwarantować. Jak sądzisz, co zrobimy, kiedy gliny zainteresują się tym, co tutaj się dzieje? Co

im wtedy powiemy? „Przepraszam sierżancie, ale muszę dziś jeszcze zadźgać jednego wampira” To im powiemy, Ben?

— Skąd mam wiedzieć, do diabła? Czy ktoś dał nam czas na to, żebyśmy się nad tym zastanowili?

Obydwaj w tej samej chwili uświadomili sobie, że stoją naprzeciw siebie i krzyczą co sił w płucach.

— O, rety... — stęknął Jimmy.

Ben opuścił spojrzenie.

— Przepraszam.

— Nie, to moja wina. Obydwaj działamy pod ogromną presją. Barlow nazwałby to chyba końcową rozgrywką. Przeciągnął dłonią po swoich rudych włosach i rozejrzał się dokoła bez specjalnego celu. W pewnej chwili jego oczy rozszerzyły się, gdy spostrzegł na stole jakiś przedmiot leżący obok rozłożonego planu. Wziął go do ręki; był to czarny, kopiowy ołówek.

— Może to będzie najlepszy sposób... — mruknął z zastanowieniem.

— O czym myślisz?

— Zostań tutaj, Ben, i zacznij przygotowywać kołki. Jeśli mamy to w ogóle zrobić, musimy zająć się tym w jakiś sensowny sposób. Ty będziesz stanowić nasz dział produkcyjny, a ja z Markiem wezmę na siebie rozpoznanie terenu. Przeszukamy miasto, zaznaczając ich kryjówki ołówkiem, jutro zaś zjawimy się tam ponownie z kołkami.

— A jeśli zauważą znaki i przeniosą się gdzie indziej?

— Nie wydaje mi się. Pani Glick nie sprawiała wrażenia osoby zbyt dobrze kojarzącej fakty. Podejrzewam, że oni funkcjonują bardziej dzięki instynktowi niż logicznemu myśleniu. Po jakimś czasie zapewne zmartwieją i zaczną sobie wyszukiwać lepsze kryjówki, ale na razie nasze zadanie będzie podobne do wybierania ryb z balii.

— Dlaczego ja mam zostać?

— Bo ja znam miasto, a ono zna mnie, podobnie jak znało mego ojca. Ci, którzy jeszcze żyją, pozamykali się w domach. Jeśli ty zaczniesz dobijać się do drzwi, na pewno ci nie otworzą, lecz jeśli to będę ja, większość zdobędzie się na odwagę. Poza tym wiem, gdzie mogą być dobre kryjówki i dokąd prowadzą boczne ścieżki. Na tym polega moja przewaga. Wiesz, jak obsługiwać tę tokarkę?

— Tak — skinął głową Ben.

Jimmy miał oczywiście rację. Poczul wyrzuty sumienia, w gruncie rzeczy bowiem ucieszył się, że nie będzie musiał zaglądać i m w twarze.

— To dobrze. Bierz się do roboty. Już minęło południe.

Ben odwrócił się, ale niemal od razu zatrzymał, tknięty nagłą myślą.

— Gdybyś zaczekał pół godziny, dałbym ci od razu kilka kołków.

— Hm... Wydaje mi się... To znaczy, chyba jutro... — wymamrotał Jimmy, unikając jego spojrzenia.

— W porządku — odparł Ben. — W takim razie ruszajcie. Może zajrzycie tu około trzeciej? Moglibyśmy wtedy sprawdzić szkołę.

— Dobra.

Jimmy ruszył ku schodom, lecz nie wiedząc czemu odwrócił się jeszcze i obrzucił spojrzeniem Bena, stół, narzędzia i wiszące w równych odstępach żarówki.

Coś... Zniknęło, nim na dobre się pojawiło.

Ben stanął przy tokarce i uniósł wzrok.

— Coś jeszcze?

— Tak. Miałem to już na końcu języka, ale mi uciekło. Ben uniósł brwi.

— Kiedy popatrzyłem na ciebie, jakby jakaś klapka otworzyła mi się w mózgu, ale teraz nie mogę sobie przypomnieć.

— Jakaś ważna sprawa?

— Nie wiem.

Zaszurał niepewnie nogami. Ten widok... Ben nachylony nad tokarką, oświetlony mocnym blaskiem... Nic z tego. Z każdą chwilą przelotne wrażenie stawało się coraz bardziej odległe.

Wspiąwszy się na schody obejrzał się raz jeszcze. Jakby już to gdzieś widział, ale gdzie? Wyszedł przez tylne drzwi i skierował się do samochodu. Deszcz zamienił się w mżawkę.

37

Widok samochodu Roya McDougalla stojącego w środku tygodnia przed wejściem do przyczepy kazał Jimmy'emu spodziewać się najgorszego.

Ściskając w dłoni swą czarną torbę, wysiadł wraz z Markiem z samochodu. Przekonawszy się, że dzwonek nie działa, zastukał do drzwi. Stukanie, a potem walenie nie wywołało żadnej reakcji ani w przyczepie McDougallów, ani w sąsiedniej, odległej o nie więcej niż dwadzieścia jardów. Przed tamtą również stał samochód.

Jimmy nacisnął klamkę, lecz drzwi były zamknięte.

— Na tylnym siedzeniu leży mój młotek — powiedział do Marka. Chłopiec przyniósł go i Jimmy wybił matową szybę, a następnie sięgnął do środka i otworzył zatrask. Wewnętrzne drzwi stały otworem. Weszli do środka.

Natychmiast poczuli znajomy, ohydny zapach zgnilizny i śmierci. Był nie tak silny, jak w piwnicy Domu Marstenów, ale równie odrażający. Wilgotny, zatruty odór. Jimmy przypomniał sobie, jak w dzieciństwie podczas ferii wiosennych jeździł wraz z kolegami na rowerach po okolicy, zbierając odsłonięte przez topniejący śnieg butelki po piwie i różnych napojach. W jednej z nich (po oranżadzie) znajdowała się na pół zgniła, polna mysz, która weszła do środka zwabiona słodkim smakiem resztek napoju i została tam już na zawsze, nie mogąc wydostać

się na zewnątrz. W chwili, gdy zaleciał go bijący z butelki smród, natychmiast zzieleniał na twarzy i zwymiotował. Unosząca się w przyczepie woń była bardzo podobna — mdła, słodko-kwaśna, zapleśniała. Poczł, że jego żołądek usiłuje fiknąć koziołka.

— Są gdzieś tutaj — odezwał się Mark.

Rozpoczęli metodyczne poszukiwania: kuchnia, salon, dwie maleńkie sypialnie. Wydawało im się, że w szafie w jednej z nich znaleźli to, czego szukali, lecz okazało się, że to tylko sterta starych ubrań.

— Nie ma tu piwnicy? — zapytał Mark.

— Nie, ale jest sporo miejsca pod podłogą.

Obeszli przyczepę z zewnątrz, natrafiając po chwili na małe, metalowe drzwiczki umocowane w niezbyt solidnie wykonanej podmurówce. Były zamknięte na starą kłódkę. Jimmy rozwalił ją kilkoma uderzeniami młotka, a kiedy otworzyli drzwiczki, smród buchnął ze zdwojoną siłą.

— Są tam — powiedział Mark.

Zerknąwszy do środka Jimmy ujrzał trzy pary stóp; jedna była w ciężkich, roboczych butach, druga w kapciach zrobionych na drutach, trzecia zaś, maleńka, była bosa.

Oto sympatyczna scenka rodzinna, przemknęła mu szalona myśl. Nagle odniósł wrażenie, iż znalazł się w jakimś obcym, fantastycznym świecie. Najgorzej będzie z dzieckiem. Czy znajdą w sobie dość sił, żeby zrobić t o małemu dziecku?

Postawił ołówkiem znak na metalowych drzwiczkach i powiesił na miejscu rozbitą kłódkę.

— Idziemy do sąsiadów — powiedział.

— Niech pan zaczeka — poprosił Mark. — Wyciągniemy jedno z nich na zewnątrz.

— Po co?

— Może zabije ich dzienne światło i nie będziemy musieli robić tego za pomocą kołków.

Jimmy poczuł nagły przyptyw nadziei.

— Dobrze, spróbujmy. Kogo chcesz?

— Nie dziecko — odparł szybko Mark. — Mężczyznę. Niech pan złapie za jedną nogę.

— W porządku — wychrypiał Jimmy. Gardło miał zupełnie suche, a kiedy spróbował przełknąć ślinę, okazało się, że nie ma jej w ustach ani odrobiny.

Mark położył się na brzuchu, chwycił za but Roya McDougalla i pociągnął z całej siły. Jimmy wczołgał się za nim, walcząc z ogarniającą go klaustrofobią, złapał za drugi i wspólnie wyciągnęli Roya na rzednącą coraz bardziej mżawkę.

Żaden z nich nie spodziewał się tego, co nastąpiło w chwilę potem. Natychmiast, gdy tylko dzienne światło padło na jego ciało, McDougall zaczął wić się

i przewracać z boku na bok, niczym człowiek, którego ktoś usiłuje wyrwać z głębokiego snu. Ciekły po nim strużki parującego gwałtownie potu, skóra zaś wyraźnie zwiotczała i nabrała żółtej barwy. Przewracając oczami za na wpół przykniętymi powiekami kopał mokre liście, a jego górna warga odchyliła się ku górze, odsłaniając długie, ostre kły. Zaciskające się kurczowo dłonie zataczały bezradnie szerokie kręgi; kiedy jedna z nich otarła się o koszulę Marka, ten odskoczył raptownie z okrzykiem obrzydzenia.

Po pewnym czasie Roy przewrócił się na brzuch i zaczął powoli pełznąć z powrotem do kryjówki, żłobiąc głęboką bruzdę w miękkim podłożu. Raptowne pocenie, które rozpoczęło się w chwili, gdy znalazł się na świetle dziennym, ustało natychmiast, gdy tylko ponownie skrył się w cieniu.

Kiedy wreszcie dotarł na swoje miejsce, przewrócił się z powrotem na wznak i znieruchomiał.

— Niech pan zamknie drzwiczki — poprosił Mark zduszonym głosem. — Błagam, niech je pan zamknie.

Jimmy zrobił to, mocując zerwaną kłódkę najlepiej, jak potrafił. Widok Roya McDougalla, wijącego się w mokrych, butwiejących liściach niczym oszołomiony wąż, wrył mu się głęboko w pamięć. Wątpił, czy uda mu się kiedykolwiek pozbyć tego wspomnienia, nawet gdyby żył sto lat.

38

Przez dłuższą chwilę stali w słabnącym deszczu, spoglądając sobie bez słowa prosto w oczy.

— Idziemy do sąsiadów? — przerwał wreszcie milczenie Mark.

— Tak. Z pewnością McDougallowie zaatakowali ich jako pierwszych.

Tym razem poczuli znajomy zapach już przed drzwiami przyczepy. Na tabliczce koło dzwonka widniało nazwisko Evans. Jimmy skinął głową; David Evans. Pracował jako mechanik samochodowy w Gates Falls. Był przed kilku laty jego pacjentem.

Dzwonek działał, lecz nikt nie reagował. Znaleźli panią Evans w łóżku, a dwoje dzieci, ubranych w identyczne piżamy ze scenami z „Kubusia Puchatka”, w stojącym przy ścianie kojcu. Odszukanie Dave’a Evansa zajęło im nieco więcej czasu. Ukrył się w nie wykończonej nadbudówce nad garażem.

Jimmy narysował przekreślone kółko na drzwiach przyczepy i garażu.

— Na razie dobrze nam idzie — zauważył. — Mamy stuprocentową skuteczność.

— Mógłby pan zaczekać minutkę? — poprosił nieśmiało Mark. — Chciałbym umyć ręce.

— Oczywiście. Mnie też to się przyda. Evansowie chyba nie będą mieli nic przeciwko temu, jeśli skorzystamy z ich łazienki.

Weszli ponownie do środka. Jimmy usiadł w jednym z foteli w salonie i zamknął oczy; wkrótce potem usłyszał, jak Mark odkręca wodę w łazience.

Obraz, który ukazał mu się pod opuszczonymi powiekami, przedstawiał stół w domu pogrzebowym, nakryte prześcieradłem ciało Marjorie Glick, jej dłoń, wysuwającą się niespodziewanie spod przykrycia. . .

Otworzył oczy.

Ta przyczepa była w znacznie lepszym stanie, niż poprzednia, o wiele bardziej zadbana. Nigdy nie miał okazji poznać pani Evans, lecz wyglądało na to, że bardzo chlubiła się swoim domem. W małym pomieszczeniu, łączącym się z salonem, które zapewne w oryginalnych planach przyczepy nosiło nazwę „komórki na bieliznę”, były zgromadzone zabawki martwych dzieci. Biedne dzieciaki; miał nadzieję, że lubiły się bawić, kiedy jeszcze mogły korzystać z dobrodziejstw słonecznego światła. Znajdował się tam między innymi trójkołowy rowerek, kilka wielkich, plastikowych ciężarówek, model stacji benzynowej, wspaniała koparka na kołach (na pewno bez przerwy toczyły się o nią zawzięte kłótnie) oraz miniaturowy stół bilardowy.

Przeniósł już spojrzenie gdzie indziej, gdy nagle doznał porażającego olśnienia.

Niebieska kreda.

Trzy żarówki umieszczone w równych odstępach.

Mężczyźni przesuwający się dookoła stołów, wcierający w końcówki kijów kredę, otrzepujący ją z palców. . .

— Mark! — ryknął, prostując się raptownie w fotelu. — Mark!

Chłopiec przybiegł, żeby dowiedzieć się, o co chodzi, nie zdążywszy nawet założyć z powrotem koszuli.

39

Wpół do trzeciej odwiedził Matta jego dawny uczeń (matura w 1964 roku, piątka z literatury, trójka z wypracowań). Natychmiast zwrócił uwagę na stosy książek dobranych pod dość szczególnym kątem i zapytał, czy Matt będzie się doktoryzował z okultyzmu. Nazywał się Herbert albo Harold.

Kiedy Herbert-albo-Harold wszedł do pokoju, Matt czytał książkę zatytułowaną *Tajemnicze zniknięcia*, lecz powitał z radością pretekst, który pozwolił mu przerwać lekturę. Cały czas podświadomie czekał na telefon, choć zdawał sobie doskonale sprawę, iż Ben i Mark będą mogli wejść na teren szkoły przy Brock Street najwcześniej kilka minut po trzeciej. Zżerał go niepokój o ojca Callahana, a w dodatku dzień zdawał się upływać z zastraszającą szybkością, wbrew powszechnemu przekonaniu, że w szpitalu czas mija wolniej, niż gdziekolwiek indziej. Po raz pierwszy w życiu czuł się jak naprawdę stary człowiek.

Zaczął opowiadać Herbertowi-albo-Haroldowi historię miasteczka Momson w stanie Vermont, którą właśnie czytał. Wydała mu się szczególnie interesująca, bo jeśli była prawdziwa, mogła stanowić zapowiedź tego, co miało się wydarzyć w Salem.

— W Momson zniknęli wszyscy mieszkańcy — poinformował swego byłego ucznia, który słuchał go uprzejmie, lecz z niezbyt starannie maskowanym znużeniem. — To takie małe miasteczko w północnym Vermont, do którego można dojechać między stanową drogą numer 2 albo stanową 19. Według spisu z 1920 roku, liczyło sobie trzystu dwunastu mieszkańców. W sierpniu 1923 roku pewna kobieta z Nowego Jorku zaczęła się poważnie niepokoić, ponieważ już od ponad dwóch miesięcy nie otrzymała od swojej siostry mieszkającej w Momson żadnej wiadomości. Pojechała do niej z mężem i przepadła bez śladu. Dopiero to nadało tej sprawie znaczny rozgłos, choć nie mam żadnych wątpliwości, iż tubylcy wiedzieli o wszystkim znacznie wcześniej. Tak więc siostra i jej mąż zniknęli bez śladu, podobnie jak wszyscy mieszkańcy miasteczka. Domy i zabudowania gospodarcze stały nienaruszone, a na jednym ze stołów stał świeżo podany obiad. To niezwykle zdarzenie wywołało wówczas sporą sensację. Nie wydaje mi się, żebym miał ochotę zatrzymać się tam wtedy na noc... Autor książki twierdzi, iż mieszkańcy pobliskich osad opowiadali jakieś dziwne historie o duchach, goblinach i temu podobnych. Na niektórych drzwiach znaleziono magiczne znaki i krzyże, widoczne ponoć do dzisiejszego dnia. Zobacz, na tym zdjęciu jest „centrum” Momson — bar, sklep i stacja benzynowa. Jak sądzisz, co mogło tam się wydarzyć?

Herbert-albo-Harold posłusznie spojrział na fotografię. Zwykła, mała osada, dosłownie kilka domów na krzyż. Niektóre miały pozapadane dachy, prawdopodobnie od ciężaru śniegu. Mogła leżeć w dowolnej części kraju. Przejeżdżając przez nią po ósmej wieczorem, trudno było się domyśleć, że ktokolwiek tam mieszka, bo o tej porze zwijali już wszystkie chodniki. Staruszek najwyraźniej trochę zdziwaczał z wiekiem. Herbertowi-albo-Haroldowi przyszła na myśl jego ciotka, która pod koniec życia doszła do wniosku, że córka zamordowała jej ukochaną papugę i przemycała teraz zmielone mięso ptaka w kotletach i hamburgerach. Starym ludziom przychodzą do głowy różne dziwne pomysły.

— To bardzo interesujące — powiedział, odrywając wzrok od książki. — Czy jednak nie uważa pan... Panie Burke? Panie Burke, czy coś się stało? Siostró! S i o s t r o !

Spojrzenie Matta znieruchomiało, utkwione w jakimś punkcie na ścianie. Jedną dłonią chwycił kurczowo krawędź kołdry, podczas gdy drugą przycisnął mocno do piersi. Miał niesamowicie bladą twarz, a na środku czoła widać było delikatne pulsowanie.

Za wcześniej, pomyślał. Za wcześniej...

Ból uderzał coraz silniejszymi falami, wpychając go w ciemną otchłań. Za-

wsze najłatwiej potknąć się na ostatnim stopniu, przemknęła mu niewyraźna myśl, a potem runął w bezdenną przepaść.

Herbert-albo-Harold zerwał się z krzesła i wybiegł z pokoju, przewracając stos książek. Korytarzem nadchodziła już szybkim krokiem pielęgniarka.

— Coś się stało panu Burke — poinformował ją Herbert-albo-Harold, ścisnąc w dłoni książkę ze wskazującym palcem na stronie ze zdjęciem Momson w stanie Vermont.

Pielęgniarka skinęła krótko głową i weszła do pokoju. Matt leżał z głową zwieszającą się z łóżka i zamkniętymi powiekami.

— Czy on...? — zapytał nieśmiało Herbert-albo-Harold. Było to wszystko, co miał w tej chwili do powiedzenia.

— Chyba tak — odparła pielęgniarka, wciskając jednocześnie przycisk wzywający zespół reanimacyjny. — Musi pan wyjść.

Teraz, kiedy już wszystko było wiadome, odzyskała spokój i nawet zaczęła żałować dopiero co zaczętego obiadu.

40

— Przecież w Salem nie ma sali bilardowej — powiedział Mark. — Najbliższa jest w Gates Falls. Myśli pan, że on przeniósłby się tak daleko?

— Na pewno nie — odparł Jimmy. — Ale sporo ludzi ma stoły bilardowe w swoich domach.

— Tak, to prawda.

— Jest coś jeszcze — dodał Jimmy. — Już prawie to mam.

Oparł się ponownie, zamknął oczy i zasłonił twarz dłońmi. To „coś” kojarzyło mu się z plastikiem. Dlaczego? Plastikowe zabawki, plastikowe naczynia turystyczne, plastikowe plandeki, którymi nakrywa się zimą łódki...

Nagle pod zaciśniętymi powiekami pojawił się ostry i wyraźny obraz stołu bilardowego nakrytego wielką, plastikową płachtą. Była także ścieżka dźwiękowa, a na niej głos: „Chyba powinnam go sprzedać, zanim zaszkodzi mu wilgoć. Ed Craig mówi, że płótno może zacząć pleśnieć, ale przecież ten stół należał do Ralpha, więc...”

Jimmy otworzył oczy.

— Wiem, gdzie jest — oznajmił. — Wiem, gdzie jest Barlow. W piwnicy pensjonatu Evy Miller.

Mówiąc to czuł niezachwianą, spokojną pewność. Markowi momentalnie zaświeciły się oczy.

— Więc chodźmy po niego!

— Zaczekaj.

Podszedł do telefonu, odszukał w książce numer pensjonatu Evy i wykręcił go pośpiesznie. Czekał długo, słysząc miarowy sygnał. Jedenaście... Dwanaście... Odłożył słuchawkę, czując, jak ogarnia go niepokój. U Evy mieszkało co najmniej dziesięć osób, wśród nich kilku starszych mężczyzn na emeryturze. Zawsze ktoś kręcił się po domu. Zawsze, aż do tej pory.

Spojrzał na zegarek: piętnaście po trzeciej. Czas uciekał w zastraszającym tempie. Podjął decyzję.

— Chodźmy.

— A co z Benem?

— Nie możemy go zawiadomić, bo w twoim domu nie działa telefon. Jeżeli pojedziemy prosto do Evy, to zostanie nam jeszcze sporo czasu, nawet gdyby okazało się, że nie mam racji. Jeśli jednak znajdziemy tam Barlowa, to wrócimy po Bena i razem załatwimy tego drania.

— Zaraz, tylko założę koszulę! — zawołał Mark i pobiegł do łazienki.

41

Oblepiony mokrymi liśćmi citroen Bena stał nadal na parkingu przy pensjonacie. Deszcz przestał padać, ale za to zerwał się dość silny wiatr. Szyld z napisem PENSJONAT „U EVY” kołysał się i skrzypiała oświetlony szarym, popołudniowym blaskiem skrytego za gęstymi chmurami słońca. Dom zdawał się czekać na coś w złowróżbnym milczeniu; Jimmy’emu natychmiast skojarzył się z Domem Marstenów. Ciekawe, czy tutaj też ktoś popełnił samobójstwo, pomyślał. Eva na pewno mogłaby coś na ten temat powiedzieć, lecz należało wątpić, czy teraz ktokolwiek miałby odwagę ją zapytać...

— Wspaniały pomysł — powiedział niespodziewanie na głos. — Wybrać sobie na rezydencję jedyny w mieście pensjonat, a następnie otoczyć się swymi dziećmi.

— Jest pan pewien, że nie powinniśmy pojechać po Bena?

— Później. Chodźmy.

Wysiedli z samochodu i ruszyli w kierunku werandy. Wiatr szarpał za ich ubrania i targał włosy. Wszystkie cienie wydawały się nienaturalnie wyciągnięte, dom zaś sprawiał wrażenie, jakby nachylał się nad dwiema osamotnionymi sylwetkami.

— Czujesz? — zapytał Jimmy.

— Tak. Bardziej, niż gdziekolwiek do tej pory.

— Masz odwagę tam wejść?

— Tak — odpowiedział krótko Mark. — A pan?

— Wierzę, że tak.

Wspięli się po drewnianych schodkach i Jimmy nacisnął klamkę; drzwi były otwarte. Kiedy znaleźli się w zawsze nienagannie czystej kuchni, smród uderzył ich nozdrza z potworną siłą, jakby stanęli nad hałdą gnijących śmieci.

Jimmy doskonale pamiętał swoją rozmowę z Eva. Miała miejsce przed czterema laty, wkrótce po tym, kiedy rozpoczął własną praktykę. Eva przysłała wtedy na okresowe badanie. Przez wiele lat była pacjentką jego ojca, a kiedy on zastąpił go w tym samym gabinecie w Cumberland, zgłosiła się do niego bez zastanowienia. Rozmawiali o Ralphie’ m, nieżyjącym wówczas od dwunastu lat, i Eva wyznała mu, że duch zmarłego męża wciąż jeszcze odwiedza jej dom; co jakiś czas zdarzało się jej znajdować na strychu lub w wielokrotnie przeglądanych szufladach biurka stare, zapodzione gdzieś dawno temu przedmioty. Poza tym, w piwnicy był jeszcze ten stół bilardowy. Powiedziała, że chyba jednak powinna się go pozbyć, bo zajmował masę miejsca, które mogłaby wykorzystać na coś innego, ale ponieważ należał do Ralph’a, wciąż jakoś nie mogła się zdobyć na to, żeby dać ogłoszenie w gazecie lub lokalnym programie radiowym.

W chwili, gdy otworzyli drzwi do piwnicy, z zaczynającej się tuż za nimi ciemności buchnął skondensowany, niemal gęsty odór. Jimmy sięgnął ręką do włącznika światła; nie działał. Barlow już się o to zatroszczył.

— Rozejrzyj się, czy nie znajdziesz jakiejś latarki albo świecy — polecił Markowi.

Chłopiec zaczął myszkować po kuchni, zaglądając po kolei do wszystkich szuflad. Zauważył, że z wiszącej nad zlewozmywakiem suszarki zniknęły wszystkie noże, lecz nie zwrócił na to większej uwagi. Jego serce uderzało w powolnym, bolesnym rytmie; zdawał sobie doskonale sprawę z tego, iż dawno już przekroczył awaryjny próg wytrzymałości. Nie myślał już, a tylko reagował. Bez przerwy wydawało mu się, że dostrzega kątem oka jakiś ruch, lecz kiedy odwracał się w tamtą stronę, okazywało się, że to tylko złudzenie. Wojenny weteran z łatwością rozpoznałby objawy tego, co na froncie określa się jako „zmęczenie bitewne”.

Nie znalazłszy niczego w kuchni wyszedł do hallu i zaczął przeglądać stojącą tam szafkę. W trzeciej szufladzie natrafił na długą, czterobaterijną latarkę.

— Już mam, prosz. . . — zawołał, wracając do kuchni. Przerwał mu donośny łoskot, a potem odgłos głuchego uderzenia.

Drzwi do piwnicy stały otworem.

A z dołu dobiegał przeraźliwy krzyk.

42

Kiedy Mark wyszedł wreszcie z piwnicy, dochodziło już dwadzieścia po czwartej. Patrzył przed siebie pustym, tępym wzrokiem, a całą koszulę miał wymazaną krwią.

Potem zaczął krzyżeć.

Głos wydobywał się gdzieś z głębi brzucha, przeciskał przez ciasną szczelinę gardła i wylatywał z szeroko otwartych ust. Krzyżał tak długo, aż poczuł, że czarna mgła zaczyna powoli ustępować z jego mózgu, a w napiętych strunach głosowych pojawił się ostry, przenikliwy ból. Mimo że dał w ten sposób upust szarpącemu go przerażeniu, rozpacz, wściekłości i rozczarowaniu, to jednak w ślad za nim z pograżonej w ciemności piwnicy wydostała się świadomość ogromnej odpowiedzialności, a także wiedza o tym, że gdzieś tam, w dole, w dalszym ciągu czai się Barlow. Poza tym zbliżał się zmierzch.

Znalazłszy się na werandzie wciągał przez chwilę łączywie ogromne hausty chłodnego powietrza. Wiedział, że musi jak najprędzej dotrzeć do Bena, lecz jednocześnie jego mięśnie trwały w ołowianym letargu. Jaki to miało sens? Barlow i tak zwycięży. Musieli chyba oszaleć, żeby mu się przeciwstawić. A teraz Jimmy zapłacił za to najwyższą cenę, tak samo jak Susan i ojciec Callahan.

Jednak po pewnym czasie odzyskał zdolność ruchu. Nie. Nie, nie, nie!

Na uginających się nogach zszedł powoli z werandy i wszedł do buicka Jimmy'ego. Kluczyki tkwiły w stacyjce.

Jedź po Bena. Spróbuj jeszcze raz.

Nie sięgał nogami pedałów, ale mimo to przesunął siedzenie maksymalnie do przodu i przekręcił kluczyk. Silnik ryknął donośnie. Przesunął dźwignię zmiany biegów, nacisnął gaz i samochód skoczył raptownie do przodu. Przerażony, wdepnął natychmiast z całej siły hamulec; wielki buick znieruchomiał z piskiem opon, a on rąbnął głową w kierownicę. Rozległo się świdrujące w uszach trąbienie.

Nie potrafię go prowadzić!

Nagle jakby usłyszał spokojny, opanowany głos swego ojca: Musisz bardzo uważać, kiedy będziesz uczył się jeździć, synu. Samochody stanowią jedyne środki komunikacji, którego właściwie nie dotyczą prawa federalne, w związku z czym wszyscy kierowcy są amatorami, a niektórzy z nich mają skłonności samobójcze. Dlatego musisz zachować nadzwyczajną ostrożność. Naciskaj na pedał gazu tak, jakby leżało pod nim nadtłuczone jajko. Prowadząc samochód z automatyczną skrzynią biegów, taki jak nasz, w ogóle nie ożywaj lewej stopy. Potrzebna ci jest tylko prawa; przede wszystkim pamiętaj o hamulcu, a dopiero potem o gazie.

Mark zdjął nogę z hamulca i samochód ruszył wolno przed siebie. Kiedy przednie koła uderzyły w krawężnik, ponownie zahamował. Przednia szyba pokryła się wilgotną mgiełką; przetarł ją dłonią, zamazując sobie dokładnie pole widzenia.

— Cholera — mruknął.

Ruszył jeszcze raz, wykonał szeroki, niepewny skręt, zawadzając po drodze o chodnik po drugiej stronie ulicy i pojechał w kierunku swego domu. Musiał cały czas wyciągać szyję, żeby zobaczyć cokolwiek nad kierownicą. Sięgnąwszy po

omacku prawą dłonią włączył radio, nastawiając je na pełen regulator. Po policzkach jedna za drugą ściekały mu łzy.

43

Ben szedł Jointer Avenue w kierunku centrum miasteczka, gdy zza zakrętu wyłonił się brązowy buick Jimmy'ego, poruszający się zabimi skokami i jadący zygzakiem od krawężnika do krawężnika. Kiedy zaczął machać obiema rękami, samochód zwolnił, wjechał prawym przednim kołem na chodnik i raptownie stanął.

Pracując nad ostrzeniem kołków, stracił zupełnie poczucie czasu; gdy wreszcie spojrzął na zegarek, przekonał się ze zdumieniem, iż jest już prawie dziesięć po czwartej. Wyłączywszy tokarkę wetknął kilka kołków za pasek i poszedł na górę do telefonu, ale w chwili, gdy do niego dotarł; przypomniał sobie, że jest nieczynny.

Czując, jak ogarnia go coraz większy niepokój, wybiegł na zewnątrz i zajrzał do obu samochodów, Callahana i Petrie'ego; w żadnym nie było kluczyków. Mógłby właściwie przeszukać kieszenie ojca Marka, lecz jakoś nie potrafił się na to zdobyć. Zamiast tego ruszył szybkim krokiem w kierunku centrum miasteczka, rozglądając się za brązowym buickiem Jimmy'ego. Miał zamiar skrócić do szkoły przy Brock Street, gdy zza zakrętu wyłonił się znajomy samochód.

Ben podbiegł do wozu od strony kierowcy i otworzył drzwiczki. W wozie siedział Mark... sam. Wpatrywał się tępo w Bena i poruszał lekko ustami, lecz nie wydobywał się z nich żaden głos.

— Co się stało? Gdzie Jimmy?

— Nie żyje — wykrztusił wreszcie chłopiec. — Barlow znowu nas przechytrzył. Schował się w piwnicy w pensjonacie pani Miller. Jimmy też tam jest. Zszedłem, żeby mu pomóc, a potem sam nie mogłem wydostać się na zewnątrz. W końcu wypełzłem po desce, którą oparłem o próg, ale przez chwilę myślałem, że będę musiał tam zostać aż... aż do zachodu słońca.

— Dlaczego miałbyś tam zostać? O czym ty mówisz?

— Jimmy domyślił się, skąd ta niebieska kreda. Byliśmy wtedy w jednym z domów na Zakręcie. Niebieska kreda. Stoły bilardowe. W piwnicy pani Miller stoi taki stół, który kiedyś należał do jej męża. Jimmy zadzwonił do niej, ale nikt nie odbierał, więc tam pojechaliśmy. -

Uniósł już zupełnie suchą twarz i spojrzął na Bena. — Kazał mi poszukać lartarki, bo nie było światła, tak jak w Domu Marstenów. Zauważyłem, że na suszarce nad zlewozmywakiem nie ma ani jednego noża, ale niczego się nie domyśliłem. Można powiedzieć, że go zabiłem, bo to moja wina, to wszystko moja wina...

Ben chwycił go za ramiona i potrząsnął mocno.

— Przestań, Mark! Natychmiast przestań!

Chłopiec przyłożył obie dłonie do ust, jakby chcąc powstrzymać wzbierający potok histerycznych słów. Jego wpatrzone w Bena oczy były wielkie i nieruchome.

— Znalazłem latarkę w szafce w hallu, ale właśnie wtedy usłyszałem hałas i krzyk. Ja... ja też bym spadł, ale on mnie ostrzegł. Ostatnią rzeczą, jaką powiedział, było „Uważaj, Mark”.

— Jak to się stało?

— Barlow po prostu odsunął schody — odparł Mark bezbarwnym głosem. — Odciał je poniżej drugiego stopnia zostawiając fragment poręczy, żeby na pierwszy rzut oka wyglądały jak całe. W ciemności Jimmy niczego nie zauważył.

— A noże? — zapytał Ben, usiłując zmusić podchodzący mu do gardła żołądek, by wrócił na swoje miejsce.

— On powbijał je w kawałki drewna, a potem ułamał rączki i poustawiał na podłodze ostrzami do góry.

— O, mój boże... — jęknął bezradnie Ben. — O, Boże... — Położył Markowi dłoń na ramieniu. — Jesteś pewien, że Jimmy nie żyje?

— Tak. On... Noże tkwią w kilku miejscach. Krew... Ben spojrzał na zegarek. Za pięć piąta. Powróciło uczucie osaczenia i braku czasu.

— Co teraz zrobimy? — zapytał Mark.

— Pojedziemy do miasta. Zadzwońmy najpierw do Matta, a potem do Parkinsa Gillespie. Musimy wykończyć Barlowa przed zachodem słońca.

Mark uśmiechnął się gorzko.

— Jimmy też tak mówił, ale on robi z nami, co chce. Chyba powinien się za to wziąć ktoś lepszy od nas.

Ben spojrzał uważnie na chłopca, przygotowując się psychicznie do zrobienia czegoś obrzydliwego.

— Mówisz tak, jakbyś się bał — powiedział.

— Bo się boję — odparł Mark, nie podejmując zaczepki. — A pan nie?

— Boję się — przyznał Ben — ale przede wszystkim jestem wściekły. Straciłem dziewczynę, którą bardzo lubiłem, a chyba nawet kochałem. Obydwoj straciliśmy Jimmy'ego. Ty straciłeś matkę i ojca. Leżą w waszym salonie pod narzutą z kanapy. — Z najwyższym trudem zmusił się do najgorszego:

— Chcesz wrócić i popatrzeć?

Mark odsunął się od niego, odwracając przerażoną, pełną bólu twarz.

— Chcę, żebyś był ze mną — ciągnął Ben nieco łagodniejszym tonem, gardząc sobą za to, co robił. Jego słowa przypominały przemowę trenera drużyny piłkarskiej przed jakimś ważnym meczem. — Nie interesuje mnie, kto już próbował go powstrzymać. Nie obchodzi mnie, nawet jeśli był to sam Atylla. Teraz ja się tym zajmę. Bardzo cię potrzebuję. — Była to szczerza, całkowicie bezradna prawda.

— Dobra — powiedział Mark, spoglądając na swoje dłonie, które zetknęły się i zacisnęły w przerażonej pantomimie.

— W takim razie weź się w garść — poradził mu Ben. Chłopiec utkwił w jego twarzy bezradne spojrzenie.

— Właśnie próbuję — wyszeptał.

44

Stacja benzynowa Sonny'ego przy Jointer Avenue była otwarta, sam zaś Sonny James (który ozdobił największą szybę, tuż przy piramidzie puszek z olejem, wielkim plakatem swego wykonującego muzykę country imiennika) wyszedł, żeby ich osobiście obsłużyć. Był niedużym, przypominającym gнома człowieczkiem o rzadkich, ostrzyżonych zawsze na jeża włosach, przez które przeświecała różowa skóra.

— Jak się pan ma, Mears? Gdzieżeś pan podział swoją Cytrynę?

— Zepsuła się, Sonny. Gdzie Pete?

Pete Cook był współnikiem i pomocnikiem Sonny'ego. W przeciwieństwie do niego, mieszkał w miasteczku.

— Nie przyszedł dzisiaj, ale kit mu w ucho. I tak nie ma ruchu. Zupełnie, jakby wszyscy w tej dziurze odwalili nagle kitę.

Ben poczuł, jak w żołądku zaczyna mu kipieć histeryczny, ponury śmiech. W każdej chwili mógł podejść mu do gardła i trysnąć przez usta niemożliwym do zahamowania strumieniem.

— Proszę do pełna — wykrztusił, opanowując się z najwyższym trudem. — Czy mogę skorzystać z telefonu?

— Jasne. Czołem, chłopcze. Co to, dzisiaj nie w szkole?

— Dostałem zwolnienie — wyjaśnił Mark. — Miałem krwotok z nosa.

— Mój brat też je ciągle miewał. To oznaka wysokiego ciśnienia krwi. Musisz na siebie uważać, synu. — Szurając nogami obszedł dookoła samochód Jimmy'ego i otworzył wlew paliwa.

Ben wszedł do środka niewielkiego budynekczku, stanął przy wiszącym na ścianie automacie telefonicznym i wykręcił numer szpitala.

— To szpital w Cumberland. Z kim mam pana połączyć?

— Chciałbym mówić z panem Burke, pokój 402. Odpowiedziało mu niepewne milczenie. Ben miał już zapytać, czy może Matta przeniesiono do innego pokoju, kiedy głos odezwał się ponownie:

— Czy mogę wiedzieć, kto mówi?

— Nazywam się Benjamin Mears. — Myśl o śmierci Matta zakradła się nagle do jego umysłu niczym długi cień. Nie, to niemożliwe. Nie teraz. — Czy wszystko w porządku?

— Pan jest członkiem rodziny?
— Bliskim przyjacielem. On chyba nie...
— Pan Burke zmarł dzisiaj o godzinie 15.07. Gdyby zechciał pan chwilę poczekać, sprawdziłabym, czy przyszedł już doktor Cody. Może on mógłby...

Głos mówił dalej, lecz Ben przestał cokolwiek słyszeć, choć w dalszym ciągu trzymał słuchawkę przyciśniętą do ucha. Dopiero teraz zdał sobie z przerażającą jasnością sprawę, jak bardzo liczył na to, że Matt pomoże im jakoś dotrzeć do końca tego koszmaru. A teraz Matt nie żył. Powtórny atak serca. Było to tak, jakby sam Bóg nagle odwrócił od nich Swoją twarz.

Tylko Mark i ja.

Susan, Jimmy, ojciec Callahan, Matt.

W milczeniu mocował się z paniką szarpiącą mu szponami serce.

Odruchowo odwiesił słuchawkę, ucinając w połowie jakieś pytanie.

Wyszedł na zewnątrz. Zegarek wskazywał dziesięć po piątej. Niebo nad zachodnim horyzontem zaczynało się wyraźnie przejaśniać.

— Razem trzy dolary siedem centów — poinformował go radosnym tonem Sonny. — To chyba wóz doktora Cody'ego, nie? Te nalepki zawsze przypominają mi film, który kiedyś widziałem, o takiej bandzie świrusów, którzy kradli wyłącznie samochody z nalepką „lekarz”, bo...

Ben wręczył mu trzy jednodolarowe banknoty.

— Muszę już jechać, Sonny. Przepraszam. Mam kłopoty. Twarz Sonny'ego wykrzywiła się współczująco.

— Przykro mi, panie Mears. Niedobre wiadomości od wydawcy?

— Coś w tym rodzaju.

Usiadł za kierownicą, zatrzasnął drzwiczki i ruszył ostro z miejsca, zostawiając na stacji samotną, niedużą postać w żółtym skafandrze.

— Matt nie żyje, prawda? — zapytał Mark przypatrując mu się uważnie.

— Tak. Atak serca. Skąd wiesz?

— Zobaczyłem to na pańskiej twarzy.

Było piętnaście po piątej.

45

Parkins stał na niewielkim, zadaszonym ganku budynku Rady Miejskiej, paląc papierosa i spoglądając w kierunku zachodniego horyzontu. Kiedy podeszli do niego Ben i Mark, odwrócił się z ociąganiem w ich stronę. Jego stara, smutna twarz przypominała szklanę z wodą, jaką przynoszą gościom w najpodlejszych barach.

— Jak pan się miewa, szeryfie? — zapytał Ben.

— Znośnie — odparł Parkins, koncentrując uwagę na ostrym kawałku skórki przy paznokciu swego kciuka. — Widziałem, jak jeździcie po miasteczku w tę i z powrotem. Zdaje się, że niedawno chłopak sam prowadził, co?

— Tak — przyznał Mark.

— O mało nie miał czołowego zderzenia. Minęli się o włos.

— Szeryfie, chcielibyśmy opowiedzieć panu o tym, co się tutaj dzieje — oświadczył Ben.

Parkins Gillespie oparł dłonie na balustradzie otaczającej ganek i wypluł przed siebie niedopałek papierosa.

— Nie chcę o niczym słyszeć — odparł spokojnie, nie patrząc na nich.

Obaj wytrzeszczyli ze zdumienia oczy.

— Nolly nie przyszedł dzisiaj do biura — ciągnął Parkins tym samym, flegmatycznym tonem. — Coś mi się widzi, że już nigdy nie przyjdzie. Wczoraj wieczorem zameldował przez radio, że przy Deep Cut Road znalazł samochód Homera McCaslina. Od tamtej pory już się więcej nie zgłosił. — Powoli, jakby czynił to pod wodą, sięgnął do kieszeni koszuli, wyciągnął kolejnego pallmalla i ścisnął go z namysłem w palcach. — Te cholerne papierosy kiedyś mnie zabiją — oświadczył niespodziewanie.

Ben spróbował jeszcze raz.

— To człowiek, który wynajął Dom Marstenów. Nazywa się Barlow. Jest teraz w piwnicy pensjonatu Ewy Miller.

— Naprawdę? — zapytał Parkins bez specjalnego zdziwienia. — Wampir, no nie? Zupełnie jak w tych komiksach, które sprzedawali dwadzieścia lat temu.

Ben nic nie odpowiedział. Czuł się coraz bardziej jak człowiek pograżony w niemożliwym do przerwania śnie, którego wrzucono w tryby koszarnej, działającej bez chwili przerwy maszyny.

— Wyjeżdżam stąd — oznajmił Parkins. — Już wszystko załadowałem do samochodu. Na półce w biurze zostawiłem rewolwer i odznakę. Rezygnuję z posady. Pojadę do siostry w Kittery. Mam nadzieję, że to wystarczająco daleko.

— Ty tchórzliwa kupo gówna. — Ben zdziwił się nieco, słysząc swój spokojny głos. — Miasto jeszcze żyje, a ty bierzesz dupę w troki.

— Właśnie, że nie żyje — odparł Gillespie, zapalając papierosa. — Dlatego o n tutaj przybył. Jest martwe, dokładnie tak samo jak on. Umarło co najmniej dwadzieścia lat temu. Z całym krajem dzieje się dokładnie to samo. Kilka tygodni temu pojechaliśmy z Nollyrn do kina w Falmouth, na krótko przed tym, jak je zamknęli. W tym jednym filmie zobaczyłem więcej krwi i gwałtu niż przez dwa lata w Korei. A gówniarze żarli kukurydzę i zaśmiewali się do rozpuku. — Wskazał ruchem dłoni miasteczko, oświetlone złotymi, przedzierającymi się przez szczeliny między chmurami, promieniami zniżającego się ku zachodowi słońca. — Oni nie mają nic przeciwko temu, żeby być wampirami. Ale nie ja. Wieczorem przyszedłby do mnie Nolly. Wyjeżdżam.

Ben wpatrywał się w niego bezradnym wzrokiem.

— Wam też radzę, żebyście zapakowali się do wozu i zmiatali, gdzie pieprz rośnie. Miasto da sobie radę bez was... jeszcze przez pewien czas. A potem to i tak nie będzie miało żadnego znaczenia.

Rzeczywiście, pomyślał Ben. Dlaczego tego nie zrobimy?

Mark odpowiedział za nich dwóch:

— On jest zły, proszę pana. On jest naprawdę bardzo zły.

— Naprawdę? — odparł uprzejmie Parkins i skinął głową, wypuszczając z ust kłęb dymu. — Cóż, niech i tak będzie. — Spojrzał w kierunku budynku ogólniaka. — Coś mi się wydaje, że dzisiaj mieli nieszczęśliwą frekwencję. Autobusy spóźniały się po kilkadziesiąt minut, dzieciaki ledwo trzymały się na nogach, nauczyciele dzwonili do domów, ale nikt nie odpowiadał. Jeden z nich przyszedł nawet do mnie, ale go uspokoiłem. Taki mały łysol, któremu wydaje się, że wie, co robi. Przynajmniej nauczyciele stawili się w komplecie. Prawie wszyscy mieszkają poza miastem. Mogą teraz uczyć jeden drugiego.

— Nie wszyscy mieszkają poza miastem — powiedział Ben, myśląc o Matcie.

— Nieważne. — Parkins skierował spojrzenie na kołki zatknięte za pasek Bena. — Tym chcecie go załatwić?

— Tak.

— Możecie wziąć mój rewolwer. Nolly strasznie mi go zazdrościł. Uwielbiał nosić przy sobie broń. Biedak, w miasteczku nie było ani jednego banku, który ktoś mógłby obrabować. Ale na pewno będzie z niego dobry wampir, jak tylko zorientuje się, na czym to polega.

Mark wpatrywał się w szeryfa z coraz większym przerażeniem w oczach i Ben zrozumiał, że musi natychmiast go stąd zabrać.

— Chodźmy — powiedział do Marka. — Nie przekonamy go.

— Mnie też tak się wydaje — skinął głową Parkins, przyglądając się uważnie domom swymi wyblakłymi, okolonymi siecią zmarszczek oczami. — Ależ spokój. Widziałem Mabel Werts, jak patrzyła przez lornetkę, ale chyba nie bardzo miała na co. Za to wieczorem...

Ben i Mark wrócili do samochodu. Było prawie wpół do szóstej.

46

Za piętnaście szósta brązowy buick zatrzymał się przed kościołem św. Andrzeja. Ciężki wieży sięgał aż na drugą stronę ulicy, do plebanii, niczym jakaś złowroga wróżba. Ben wziął leżącą z tyłu torbę Jimmy'ego i wyrzucił z niej wszystko na siedzenie. Znalazłszy kilka niewielkich ampulek wylał ich zawartość przez okno, zachowując puste buteleczki.

— Co pan robi?

— Nabierzemy w nie święconej wody. Chodźmy. Wbiegli po szerokich schodach i już mieli otworzyć drzwi, kiedy Mark zatrzymał się i wyciągnął rękę.

— Niech pan spojrzy.

Klamka była czarna i lekko zdeformowana, jakby po silnym wyładowaniu elektrycznym.

— Wiesz, co to może znaczyć? — zapytał Ben.

Mark potrząsnął głową.

— Nie, ale... — Odepchnął od siebie nie sformułowaną do końca myśl. Weszli do środka. Wnętrze kościoła było chłodne, szare i wypełnione charakterystyczną, ciężką ciszą, wspólną świątyniom wszystkich wyznań i wiar.

Po obydwu stronach przejścia stały rzędy drewnianych ławek, a za nimi dwa anioły z misami wypełnionymi święconą wodą. Ich spokojne twarze, emanujące współczującym zrozumieniem, były lekko pochylone, jakby wysłannicy niebios chcieli ujrzeć swoje odbicie w nieruchomej wodzie.

Ben wrzucił ampułki do kieszeni.

— Umyj twarz i ręce — polecił. Mark zerknął na niego z niepokojem.

— To chyba święto... święto...

— Świątokradztwo? Na pewno nie w tej sytuacji. Pośpiesz się. Zanurzyli dłonie w wodzie i spryskali nią twarze, tak jak czyni to człowiek, który po przebudzeniu chce jak najszybciej stanąć przytomnie naprzeciw czekającego na niego świata.

Kiedy Ben napełniał pierwszą ampułkę, za ich plecami rozległ się niespodziewanie ostry głos:

— Co tu robicie?

Odwróciwszy się Ben ujrzał Rhodę Curless, gospodynię ojca Callahana, która siedziała w jednej z ławek, przesuując między palcami paciorki różańca. Miała potargane włosy i czarną sukienkę, spod której wysuwała się również czarna halka.

— Gdzie ksiądz? Co wy tutaj robicie? — Powtórzyła głosem balansującym na krawędzi hysterii.

— Kim pani jest? — zapytał Ben.

— Rhoda Curless. Prowadzę dom ojca Callahana. Gdzie on jest? Czego tu chcecie? — Ścisnęła dłonie tak mocno, że aż zbiały jej palce.

— Ojciec Callahan wyjechał — powiedział Ben najłagodniej, jak tylko potrafił.

— Och, — Zamknęła na chwilę oczy. — Czy ścigał to, co opanowało miasto?

— Tak.

— Wiedziałaś — wyszeptwała. — Niepotrzebnie o to pytałam. To wspaniały człowiek. Niektórzy twierdzili, że nigdy nie uda mu się dorównać ojcu Bergeronowi, ale on nie tylko mu dorównał, lecz nawet go przerósł! — Otworzyła szeroko

oczy. Z lewego wy płynęła samotna łza i stoczyła się po policzku. — Już chyba nie wróci, prawda?

— Nie wiem — odparł Ben.

— Wszyscy plotkowali o tym, że pije — ciągnęła, jakby nie słysząc jego odpowiedzi. — A czy istniał kiedykolwiek jakiś irlandzki ksiądz, który od czasu do czasu nie zajrzałby do kieliszka? To nie był żaden delikatny maminsynek, tylko prawdziwy mężczyzna! — Jej ostry głos wzbił się oskarży cielsko aż pod wysokie sklepienie. — On był prawdziwym księdzem, a nie jakimś świętoszkowatym mięczakiem!

Ben i Mark słuchali bez specjalnego zdziwienia, nie odzywając się ani słowem. Tego dnia nie sposób było czemukolwiek się dziwić. Nawet nie myśleli już o sobie jako o mścicielach albo zbawcach; przygniecenii ciężarem wydarzeń starali się po prostu przeżyć.

— Czy dobrze się czuł, kiedy widzieliście go po raz ostatni? — zapytała, wpatrując się w nich przenikliwym spojrzeniem.

— Tak — odparł Mark, mając przed oczami Callahana stojącego w kuchni z uniesionym nad głową rozjarzonym krzyżem.

— A teraz chcecie dokończyć to, co on zaczął?

— Tak — powtórzył Mark.

— W takim razie bierzcie się do roboty! — fuknęła. — Na co jeszcze czekacie?

Zerwawszy się z miejsca odeszła szybkim krokiem ku drzwiom kościoła, niczym samotny żałobnik wychodzący z ceremonii pogrzebowej, która nigdy się nie odbyła.

47

Dziesięć po szóstej nareszcie znaleźli się ponownie w pensjonacie Evy Miller. Słońce wisiało nisko nad wierzchołkami sosen, zalewając ziemię krwawą poświatą.

Ben zatrzymał samochód na parkingu i spojrział w okno swego pokoju. Zastłona była odsunięta, dzięki czemu mógł dostrzec maszynę stojącą na biurku, a obok niej stos zapisanego papieru przygnieciony szklanym, kulistym przyciskiem. Wydało mu się niesłychanie dziwne, że widzi to wszystko ostro i wyraźnie, jakby świat znowu był normalny, bezpieczny i uporządkowany.

Przeniósł spojrzenie na usytuowaną z tyłu domu werandę. Bujane, wiklinowe fotele, na których pocałował pierwszy raz Susan, stały obok siebie w tym samym miejscu. Kuchenne drzwi były otwarte, tak jak zostawił je Mark.

— Nie mogę... — wymamrotał Mark. — Po prostu nie mogę. Skulił się na siedzeniu, spoglądając przed siebie wielkimi, przerażonymi oczami.

— Musimy tam wejść we dwóch — powiedział Ben, wyjmując z kieszeni dwie ampułki ze święconą wodą. Chłopiec odsunął się gwałtownie, jakby zawierały jakąś żrącą truciznę. — Chodźmy. — Nie dysponował już żadnymi argumentami.

— No, chodźmy.

— Nie.

— Mark. . .

— Nie!

— Potrzebuję cię, Mark. Zostaliśmy już tylko my dwaj.

— Chyba już dosyć zrobiłem! — krzyknął Mark. — Nie dam rady więcej! Nie rozumie pan, że nie potrafię teraz na niego spojrzeć?

— Musimy to zrobić we dwóch. Doskonale o tym wiesz. Chłopiec wziął z jego dłoni ampułki i przycisnął je do piersi.

— O, Boże. . . — wyszeptał, po czym spojrzał na Bena i skinął z determinacją głową. — W porządku — powiedział.

— Gdzie jest młotek? — zapytał Ben, gdy wysiedli z samochodu.

— Wziął go Jimmy.

Weszli po drewnianych schodkach na werandę. Wiatr przybrał na sile, a z czerwonej tarczy słońca lały się potoki szkarłatnych promieni. W kuchni poczuli od razu wilgotny, niemal namacalny zapach śmierci. Drzwi do piwnicy stały otworem.

— Boję się — wyszeptał Mark drżącymi wargami.

— Nie dziwię ci się. Gdzie jest latarka?

— Na dole. Zostawiłem ją, kiedy. . .

— W porządku. — Stanęli przy zejściu do piwnicy. Tak jak powiedział Mark, fragment schodów widoczny we wpadających przez okno promieniach słońca wyglądał na nienaruszony.

— Chodźmy.

48

Schodzę po własną śmierć, pomyślał zupełnie spokojnie Ben.

Nie czuł strachu ani żalu, bo wszystkie uczucia dotyczące go osobiście zniknęły pod wpływem otaczającej go, przytłaczającej atmosfery niewyobraźalnego zła. Ześlizgując się ostrożnie po przystawionej przez Marka desce, pogrążał się jednocześnie w lodowatym, niewzruszonym spokoju. Zauważył, że jego dłonie promieniują niezwykłym blaskiem, jakby miał na nich jakieś niewidzialne rękawiczki. Nie zdziwiło go to.

„To będzie koniec zaszłości światowych. Prawdziwym cesarzem jest cesarz lodów śmietankowych”. Kto to powiedział? Matt? Ale Matt nie żyje. Podobnie

jak Susan. I Miranda. Wallace Stevens też już umarł. Na twoim miejscu, koleś, nie robiłbym tego. Ale on spojrzał. Więc tak się wygląda, kiedy już jest po wszystkim. Jak coś połamanego i rozbitego, co było wypełnione w środku różnymi kolorowymi płynami. To nie było jeszcze najgorsze. Na pewno nie tak okropne, jak jego śmierć. Jimmy powinien mieć w kieszeni płaszcza rewolwer McCaslina. Ben zabierze go, a gdyby nie udało im się przed zachodem słońca dotrzeć do Barlowa, zabije najpierw chłopca, a potem siebie. Nie było to zbyt dobre rozwiązanie, ale i tak lepsze niż to, co mogłoby ich czekać.

Stanąwszy na podłodze piwnicy pomógł zejść chłopcu. Spojrzenie Marka na ułamek sekundy spoczęło na skulonym, nieruchomym kształcie, a potem szybko skierowało się w inną stronę.

— Nie mogę... — wyszeptał.

— W porządku.

Odwrócił się, a Ben przykleknął, odsunawszy uprzednio nogą sterczące groźnie w górę ostrza i delikatnie odwrócił Jimmy'ego na plecy. Na twoim miejscu, koleś, nie robiłbym tego.

— Och, Jimmy...

Miał wrażenie, że przeciskające mu się przez gardło słowa drapią je do krwi. Podłożył lewe ramię pod głowę Jimmy'ego, prawą ręką wyciągając po kolei wbite głęboko w ciało noże. Było ich sześć.

Odszukał młotek, rewolwer i latarkę, a następnie nakrył zwłoki jakimiś starymi zasłonami, które znalazł na pobliskiej półce.

Wyprostowawszy się włączył latarkę; choć plastikowa obudowa pękła w jednym miejscu, żarówka działała bez zarzutu. Omiótł pomieszczenie strumieniem światła. Nic. Skierował go pod stół bilardowy. Też nic, podobnie jak w wąskiej przestrzeni za piecem. Pod ścianami piętrzyły się półki z przetworami, między nimi zaś wisiła szafka ze starannie poukładanymi narzędziami. Odpiłowane schody stały wepchnięte w najdalszy kąt, tak by nie można ich było dostrzec z kuchni. Wyglądały jak prowadzące donikąd rusztowanie.

— Gdzie on może być? — mruknął Ben, spoglądając na zegarek. Dwadzieścia trzy po szóstej. O której miał nastąpić zachód słońca? Nie pamiętał dokładnie, lecz na pewno nie później niż o 18.55. Oznaczało to, że pozostało im zaledwie pół godziny.

— Gdzie on jest? — krzyknął głośno. — Czuję go, ale nie mogę znaleźć!

— Tam! — zawołał Mark, wskazując przed siebie fosforyzującą dłoń. — Co to?

Ben skierował tam snop światła. Kredens.

— Za mały — powiedział. — Poza tym, stoi przy samej ścianie.

— Spróbujmy go odsunąć.

Ben wzruszył ramionami, lecz gdy podeszli do kredensu i chwycili z dwóch stron, poczuł wzbierające powoli podniecenie. Zapach, smród, czy jak to nazwać,

był tu wyraźnie silniejszy, niż gdzie indziej.

Zerknął w górę, na otwarte drzwi do kuchni. Wpadający przez nie poblask z każdą chwilą stawał się coraz ciemniejszy, tracąc swój złocisty odcień.

— Nie dam rady! — wysapał Mark.

— Przewróćmy go — odparł Ben. — Zaprzyj się z całej siły. Mark nachylił się, opierając ramieniem o drewnianą ściankę. Jego twarz świeciła tym samym blaskiem, co ręce.

— Już!

Pchnęli jednocześnie i stary kredens runął z przeraźliwym brzękiem tłukącej się w jego wnętrzu wyprawowej porcelany Evy Miller.

— Wiedziałem! — wykrzyknął triumfalnie Mark.

W ścianie piwnicy znajdowały się niskie drzwi, sięgające do połowy piersi, zamknięte na nową kłódkę.

Po dwóch silnych uderzeniach młotkiem stało się jasne, że zamknięcie jest solidniejsze, niż na to wygląda.

— Jezus, Maria — mruknął Ben, czując rozpacz podchodzącą mu do gardła. Być tak blisko i dać się załatwić pięciodolarowej kłódce...

Nie. Jeśli będzie musiał, przegryzie ją własnymi zębami. Poświecił latarką dookoła; stożek światła padł na półkę z narzędziami. Na dwóch wystających gwoździach wisiała nowiutka siekiera z gumowym pokrowcem naciągniętym na ostrze. Doskoczył do niej dwoma susami, zerwał ze ściany i zdjął pokrowiec, a następnie wyciągnął z kieszeni ampułkę z wodą święconą. Wysunęła mu się z drżących rąk i rozbiła na podłodze, więc pośpiesznie sięgnął po następną, otworzył i wylał jej zawartość na ostrze siekiery. Metal natychmiast rozjarzył się niezwykłą jasnością, kiedy zaś Ben chwycił oburącz drewniane stylisko, poczuł, że jest to jedyna dobra i właściwa rzecz, jaką mógł w tej chwili uczynić. Jego mięśnie wezbrały niezwykłą siłą, a kiedy zamarł na ułamek sekundy w bezruchu, trzymając przed sobą rozsiewające delikatny blask narzędzie, tknięty nieokreślonym impulsem przyłożył na chwilę ostrze do czoła. Po raz pierwszy od wielu tygodni wyzwolił się z pęt strachu i niepewności, choć zmagął się w dalszym ciągu z przeciwnikiem niewrażliwym na zwykłe, nawet najbardziej mordercze ciosy.

W jego żyłach płynęła nadludzka moc, szumiąc cicho jak prąd pod wysokim napięciem.

Ostrze rozjarzyło się jeszcze bardziej.

— Niech pan to zrobi! — odezwał się błagalnym tonem Mark. — Szybko!

Ben stanął pewnie w rozkroku, zamachnął się siekierą i opuścił ją migotliwym łukiem. Ostrze wbiło się do połowy w drewno. Posypały się drzazgi.

Ben wyciągnął siekierę, uniósł ją ponownie i opuścił jeszcze raz... i jeszcze raz... i jeszcze. Czuł, jak pracują mięśnie ramion i pleców, poruszając się z nieomylną pewnością i odczuwał podniecenie, jakiego nie zaznał jeszcze nigdy w życiu. Po każdym uderzeniu w powietrzu robiło się gęsto od pryskających we

wszystkie strony kawałków drewna. Po piątym ciosie ostrze przeszło na drugą stronę; Ben w gorączkowym pośpiechu zaczął poszerzać otwór.

Mark wpatrywał się w niego ze zdumieniem. Zimna, błękitna poświata spłynęła po stylisku na jego ramiona, aż wreszcie wydawało się, że cały został objęty niebieskim ogniem. Głowę miał przekrzywioną w bok, mięśnie karku napięte do granic możliwości, jedno oko otwarte i lśniące, drugie zamknięte. Koszula pękła mu na plecach, odsłaniając mięśnie pracujące niczym okrętowe liny. Wyglądał jak człowiek opętany, lecz Mark zdawał sobie podświadomie sprawę, że to opętanie nie ma nic wspólnego z chrześcijaństwem; dobro, o które walczyli, było znacznie bardziej podstawowe, słabiej zdefiniowane. Przypominało znajdowane czasem w ziemi samородki złota, nie mając w sobie żadnych cech skończonej formy. Było Mocą poruszającą największe koła wszechświata.

Drzwi komórki na warzywa nie mogły się jej oprzeć. Siekiera poruszała się z nieprawdopodobną szybkością, zamieniając się w tęczę łączącą ramiona Bena z ostatnią przeszkodą, jaką napotkał na swej drodze.

Uderzywszy po raz ostatni odrzucił siekiere i uniósł do oczu ręce; jarzyły się oślepiającym blaskiem.

Wyciągnął je do Marka, lecz ten cofnął się odruchowo o krok. — Kocham cię — powiedział Ben.

Podali sobie dłonie.

49

Komórka była mała i prawie pusta, jeśli nie liczyć kilku zakurzonych butelek, jakichś skrzyń, wielkiego kosza wypełnionego starymi ziemniakami, puszczającymi we wszystkie strony blade pędy... oraz ciał. Trumna Barlowa stała pod najdalszą ścianą, oparta o nią niczym egipski sarkofag; w świetle latarki wydawało się, że po jej brązowych ozdobach pełzają tajemnicze ogniki.

Przed trumną i wokół niej leżały ciała ludzi, których Ben znał i z którymi mieszkał pod jednym dachem: Eva Miller, a obok niej Weasel Craig; Mabe Mullican z ostatniego pokoju na pierwszym piętrze; John Snow, który utrzymywał się z zasiłku i był tak pokręcony przez artretyzm, że rano z najwyższym trudem wstawał z łóżka; Vinnie Upshaw; Grover Verrill.

Minęli ich i stanęli nad trumną. Ben spojrzął na zegarek: 18.40.

— Zaciągniemy ją tam, gdzie leży Jimmy — powiedział.

— Waży chyba z tonę — zauważył Mark.

— Damy sobie radę.

Nachylił się i chwycił za prawy górny róg trumny. Brązowe okucia błyszcząły obojętnie w świetle latarki. Wiekowe drewno było nieprzyjemne w dotyku, przypominając kamień wygładzony upływem lat. Mimo to wystarczyło lekkie dotknięcie, żeby się poruszyła.

Ben odepchnął ją od ściany, mając wrażenie, iż pomaga mu w tym jakiś ogromny dźwig, i uchwycił spód podłużnej skrzyni. Coś przesunęło się z łoskotem we wnętrzu.

— Teraz podnieś ze swojej strony — polecił chłopcu. Mark zrobił to z nadzwyczajną łatwością.

— Chyba dałbym radę nawet jednym palcem! — powiedział, jednocześnie zdziwiony i dumny z siebie.

— Możliwe. Wreszcie wszystko układa się po naszej myśli, ale musimy się śpieszyć.

Przenieśli trumnę przez roztrzaskane drzwi. Wydawało się, że może utknąć w najszerszym miejscu, ale gdy Mark nachylił się i pchnął nieco mocniej, przeszła z donośnym chrobotem.

Postawili ją tuż przy zwłokach Jimmy'ego, przykrytych starymi zasłonami Evy Miller.

— Mamy go, Jimmy — wyszeptał Ben.- Mamy sukinsyna.

Ponownie spojrzął na zegarek: 18.45. Światło wpadające przez otwarte drzwi kuchni miało barwę szarego popiołu.

— Czy już? — zapytał Mark. Spojrzeli na siebie nad trumną.

— Już — powiedział Ben.

Mark stanął obok niego i obaj popatrzyli na zamki i pieczęcie broniące dostępu do wnętrza trumny. Jednak kiedy tylko nachylili się i położyli dłonie na krawędzi wieka, rozległ się suchy trzask, a pokrywa bez trudu dała się unieść do góry.

We wnętrzu trumny leżał Barlow, patrząc w górę nieruchomymi oczami.

Był teraz młodym człowiekiem o lśniących, czarnych włosach rozsypanych w czarną aureolę na aksamitnej poduszce. Miał zdrową, rumianą cerę, jego policzki zaś były koloru czerwonego wina. Spod pełnych, lekko rozchylnych warg wysuwały się długie, ostre kły, białe z żółtawymi smugami.

— On... — zaczął Mark, lecz nie skończył.

Czerwone oczy Barlowa ożyły triumfalnym, szyderczym blaskiem i poruszyły się, natrafiając na spojrzenie chłopca. Mark znieruchomiał, wpatrując się w nie z wyrazem osłupienia na twarzy.

— Nie patrz na niego! — krzyknął Ben, lecz było już za późno. Odepchnął Marka, ale ten z przeraźliwym skowytom zaatakował go, zmuszając do cofnięcia się o kilka kroków i sięgając do jego kieszeni po rewolwer szeryfa McCaslina.

— Mark, przestań!

Ale chłopiec go nie słyszał. Jego twarz była pusta niczym dokładnie starta tablica, z gardła zaś wydobywało się skomlenie małego, schwytanego w pułapkę zwierzątka. Chwycił w obie dłonie rewolwer i Ben musiał użyć wszystkich swoich sił, żeby skierować broń jak najdalej od nich obu.

— Mark! — ryknął. — Na litość boską, obudź się!

Rewolwer wypalił z donośnym hukiem. Pocisk przeleciał tuż obok jego skroni. Ścisnął ręce Marka i uderzył z całej siły kolanem. Chłopiec zatoczył się do tyłu, a rewolwer upadł na podłogę. Mark błyskawicznie odzyskał równowagę i rzucił się po niego, lecz Ben nie namyślając się, zdzielił go pięścią w twarz.

Poczuł wyraźnie, jak wargi chłopca rozgniatają się na zębach; Mark osunął się na kolana. Ben kopnął rewolwer w kąt piwnicy, a gdy chłopiec usiłował poczołgać się w tamtym kierunku, ponowił uderzenie.

Mark osunął się bezwładnie na podłogę. Poczucie siły i słuszności działania zniknęło bez śladu. Był znowu tylko Benem Mearsem i bardzo, ale to bardzo się bał.

Wpadający przez otwarte drzwi prostokąt światła przybrał barwę ciemnego fioleto. Zegarek wskazywał 18.51.

Miał wrażenie, iż jakaś potworna siła przekreśla mu głowę, zmuszając go, żeby spojrzeć w oczy leżącego w trumnie potwora.

Popatrz na mnie, mały człowieczku. Popatrz na Barlowa, dla którego stulecia były tym, czym dla ciebie chwile spędzone wieczorem z książką przy kominku. Popatrz na władcę ciemności, którego chciałeś zabić tym śmiesznym patyczkiem. Spójrz na mnie, skrybo. Ja zapisywałem karty ludzkiego losu, a moim atramentem była ludzka krew. Spójrz na mnie i pograż się w rozpacz!

Jimmy, nie mogę tego zrobić. Już za późno, a on jest dla mnie zbyt silny...

SPÓJRZ NA MNIE!

18.53.

— Mamo? — jęknął słabo Mark. — Mamo, gdzie jesteś? Boli mnie głowa... Tu jest zupełnie ciemno...

Dołączy do mego chłopięcego chóru...

Ben wyszarpnął zza pasa jeden z kołków i natychmiast wypuścił go z dłoni. Krzyknął rozpaczliwie, gdy słońce opuściło umierające miasteczko, głaszcząc na pożegnanie ostatnimi promieniami dach Domu Marstenów.

Nagle schylił się i podniósł zaostrozony palik. Ale gdzie podział się młotek?

Gdzie jest ten pieprzony młotek?

Przy drzwiach komórki. Usiłował rozbić nim kłódkę.

Pobiegł tam i podniósł go z podłogi.

Mark siedział pod ścianą z paskudnie poharatanymi ustami. Dotknąwszy ich dłonią spojrział ze zdumieniem na krew.

— Mamo! — zawołał. — Gdzie jest moja mama?

18.55. Granica między dniem a nocą.

Ben rzucił się w kierunku trumny, ściskając w lewej dłoni kołek, a w prawej lekarski młotek Jimmy'ego.

Rozległ się donośny, triumfalny śmiech. Barlow, z czerwonymi oczami płonącymi diabelską radością, unosił się już do pozycji siedzącej. W chwili, gdy jego

spojrzenie napotkało wzrok Bena, ten poczuł, jak błyskawicznie opuszczają go siły.

Ostatnim, konwulsyjnym wysiłkiem uniósł kołek nad głową i opuścił go w dół, rozcinając ze świstem powietrze. Zaostrzony koniec przebił koszulę Barlowa i utkwiał w jego ciele.

Z gardła Barlowa wydobył się odgłos przypominający wycie zranionego wilka. Siła uderzenia wtłoczyła go z powrotem do trumny; wystawały z niej tylko jego szponiaste, machające dziko ręce.

Ben uderzył młotkiem. Odpowiedziało mu kolejne wycie, a w ułamek sekundy później ręka Barlowa chwyciła jego zaciśniętą na kołku dłoń. Ben wskoczył do trumny, przygniatając kolanami nogi wampira.

— Puść mnie! — ryknął Barlow.

— To dla ciebie, ty sukinsynu! — wyszlochał Ben. — Dla ciebie, pijawko! Specjalnie dla ciebie!

Młotek opadł po raz drugi. Z rany trysnął strumień lodowatej krwi, oślepiając go na chwilę. Głowa Barlowa wiła się wściekle na atlasowej poduszce.

— Puść mnie! Nie śmiesz tego zrobić, nie śmiesz, rozumiesz?!

Ben uderzał raz za razem. Krew buchnęła także z nozdrzy Barlowa, jego ciało zaś zaczęło drgać i skakać niczym nadziana na oścień ryba. Zakrzywione palce sięgnęły do twarzy Bena, wbijając mu się w policzki.

— PUŚĆ MNIE!

Po jeszcze jednym ciosie młotkiem tryskająca z rany krew zmieniła kolor na niemal zupełnie czarny, zaraz po tym zaś rozpoczął się całkowity rozkład. Trwał nie dłużej niż dwie sekundy; zbyt krótko, by potem można było w to uwierzyć, a jednocześnie dość długo, żeby powracać bez końca w nocnych koszmarach.

Skóra żółkła, stwardniała i złuszczyła się jak farba na starych płótnach. Oczy zbieleły, żeby zaraz potem się zapaść, włosy zaś posiwiały i wypadły niczym garść białych piór. Ciało zaczęło się kurczyć, a usta rozszerzać, aż wreszcie wargi zupełnie zniknęły, odsłaniając owal wyszczerzonych zębów. Paznokcie poczerniały i odpadły, potem w eleganckim, czarnym garniturze pozostały same kości, głowa zaś zamieniła się w żółtą czaszkę. Przez chwilę kościotrup drgał jeszcze konwulsyjnie i Ben z okrzykiem przerażenia wyskoczył z trumny, lecz hipnotyzująca siła ostatniej przemiany Barlowa była tak ogromna, iż nie sposób było oderwać od niej oczu. Nagle szczęki rozwarły się w niemym krzyku, czaszka odwracała się to w jedną, to drugą stronę, a pozbawione ciała palce chwytaly rozpaczliwie za krawędź trumny.

Zapachy docierały i znikwały w krótkich, następujących bezpośrednio po sobie powiewach: gazy, zgnilizna, pleśń, kwaśny pył, a potem już nic. Kości palców rozsypały się jak zużyte ołówki, puste oczodoły powiększyły się w bezcielesnym wyrazie zdumienia i przerażenia, to samo stało się z jamą nosową, aż wreszcie czaszka rozpadła się niczym waza z tysiącletniej porcelany. Dezintegracja do-

tknęła całego szkieletu, i ubranie spoczęło na dnie trumny niczym brudny, nikomu niepotrzebny, rzucony byle gdzie łach.

Mimo to jeszcze przez chwilę drobinki pyłu wirowały wściekle w powietrzu, a potem Ben poczuł coś w rodzaju raptownego powiewu wiatru, który owionął go, wywołując dreszcz przerażenia i pognął w ciemność. W sekundę później rozległ się donośny huk, gdy jakaś ogromna siła wypchnęła na zewnątrz wszystkie okna pensjonatu.

— Uważaj! — rozległ się krzyk Marka. — Z tyłu!

Ben obejrzał się i zobaczył, jak z komórki na warzywa wypełzają Eva, Weasel, Mabe, Grover i wszyscy pozostali. O tej porze świat należał wyłącznie do nich.

Mark nie przestawał ani na chwilę krzyczeć. Ben chwycił go za ramiona i potrząsnął.

— Woda święcona! — wrzasnął prosto w jego udręczoną twarz. — Nie mogą nas dotknąć!

Krzyk zamienił się w rozpaczliwy szloch.

— Właż na górę! Prędko! — polecił mu Ben. Musiał podsadzić chłopca na deskę i pchnąć go, zmuszając do wspinaczki. Kiedy nabrał pewności, że Mark nie spadnie, odwrócił się, żeby stawić czoło Wiecznie Żywym.

Stali półkolem w odległości jakichś piętnastu stóp, wpatrując się w niego z nienawiścią.

— Zabiłeś naszego Pana — odezwała się Eva Miller głosem, w którym niewiele brakowało, a doszukałby się autentycznej rozpacz. — Jak mogłeś to zrobić?

— Wróć tu — powiedział do niej. — I zajmę się wami wszystkimi. Wspiął się po pochyłej desce, która ugięła się pod jego ciężarem, ale wytrzymała. Znalazłszy się w drzwiach rzucił przez ramię jeszcze jedno spojrzenie; milcząca gromada skupiła się wokół trumny. Przypominali mu ludzi, którzy po wypadku tłoczyli się nad ciałem Mirandy.

Rozejrzał się w poszukiwaniu Marka i dostrzegł go leżącego twarzą w dół przy drzwiach prowadzących na werandę.

50

Powtarzał sobie bezustannie, że chłopiec tylko zemdłał i że nie stało mu się nic złego. Możliwe, iż tak było w istocie, bo tętno miał wyraźne i regularne. Wziął go w ramiona i zaniósł do swego samochodu.

Uruchomił silnik natychmiast, jak tylko usiadł za kierownicą. Kiedy wyjeżdżał z parkingu na ulicę, poczuł niemal fizyczne uderzenie spóźnionej reakcji na ostatnie wydarzenia. Z najwyższym trudem udało mu się powstrzymać szukający ujścia krzyk.

Wiecznie Żywi wylegli na ulice.

Zalewany na przemian falami zimna i gorąca, z głową wypełnioną dzikim rykiem, skręcił w lewo w Jinter Avenue i zaczął oddalać się od miasteczka.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Ben i Mark

1

Mark odzyskiwał stopniowo przytomność, pozwalając, żeby jednostajny szum silnika przywołał go do rzeczywistości pozbawionej jakichkolwiek wspomnień, a nawet myśli. Jednak kiedy otworzył oczy i spojrzął przez okno, strach chwycił go natychmiast w swoje szpony. Zapadła już niemal całkowita ciemność. Rosnące po obu stronach drogi drzewa przybrały postać ciemnych, rozmazanych plam, a mijające ich samochody miały włączone światła. Z ust wydobył mu się głuchy jęk, dłoń zaś zacisnęła się kurczowo na krzyżu wiszącym na jego szyi.

— Uspokój się — powiedział Ben. — Jesteśmy już dwadzieścia mil za miastem.

Chłopiec sięgnął przed nim, o mało nie powodując niekontrolowanego skrętu, i zablokował od środka drzwi kierowcy, a następnie to samo uczynił ze swoimi, by potem skulić się na brzeżku fotela. Miał nadzieję, że znowu pograży się w cudownej nicości, pozbawionej okropnych, budzących przerażenie wspomnień.

Jednostajny szum silnika działał uspokajająco. Mmmmmmmmm. . . Bardzo miłe. Zamknął oczy.

— Mark?

Lepiej nie odpowiadać.

— Mark, nic ci nie jest?

Mmmmmmmmmmmmmmmmmmm.

— Mark. . .

Głos odpłynął gdzieś daleko. Jak dobrze. Powróciła nicość, otulając go swoją szarością.

2

Kiedy tylko wjechali na teren New Hampshire, Ben zatrzymał się w przydrożnym motelu, wpisując ich do książki meldunkowej jako Bena Cody'ego z synem.

Mark wszedł do pokoju, ściskając krzyż w wyciągniętej przed siebie ręce i rzucając dokoła szybkie, wystraszone spojrzenia osaczonego zwierzątka. Nie wypuszczał krzyża z dłoni dopóty, dopóki Ben nie zamknął drzwi na klucz i nie powiesił na kłamce swego własnego krucyfiks. Ben włączył na trochę telewizor. Dwa afrykańskie państwa wszczęły ze sobą wojnę. Prezydent miał katar, ale raczej nie było to nic groźnego. Jakiś człowiek w Los Angeles oszalał i zastrzelił czternaście osób. Prognoza pogody przewidywała deszcz, a w północnym Maine nawet przelotne opady śniegu.

3

Miasteczko Salem spało pogrążone w mrocznym śnie, a wampiry zaludniły jego ulice niczym wypełzające z zakamarków mózgu złowrogie wspomnienia. Niektórym z nich udało się zachować coś w rodzaju prymitywnej przebiegłości: Lawrence Crockett zadzwonił do Royała Snowa i zaprosił go do swego biura na partyjkę pokera. W chwili, gdy Royal otworzył drzwi, dopadł go Lawrence wraz ze swoją żoną. Glynis Mayberry zatelefonowała do Mabel Werts, powiedziała, że boi się siedzieć sama w domu i zapytała, czy nie mogłaby przyjść i poczekać u niej, aż jej mąż wróci z Waterville. Mabel zgodziła się z żalosną ulgą, kiedy zaś w dziesięć minut później otworzyła drzwi, ujrzała na progu zupełnie nagą Glynis szczerzącą w uśmiechu długie, ostre kły. Zdażyła nawet wrzasnąć, ale tylko jeden raz. Gdy Delbert Markey wyszedł tuż po ósmej ze swego świecącego pustkami baru, z głębokiego cienia wyszli szeroko uśmiechnięci Carl Foreman oraz Homer McCaslin i oświadczyli, iż wpadli, żeby się trochę napić. Milta Crossena odwiedzili tuż przed zamknięciem sklepu wszyscy jego najstarsi klienci i bywalcy, George Middler zaś zjawił się z wizytą u kilku spośród dokonujących zawsze u niego zakupów chłopców, zwykle przyglądających mu się spod oka albo z domyślnym uśmiechem na ustach; wreszcie mógł zrealizować swoje najbardziej mroczne fantazje.

Turyści w dalszym ciągu przejeżdżali przez Jerusalem szosą numer 12, dostrzegając jedynie znak ograniczający prędkość do trzydziestu pięciu mil na godzinę. Znalazłszy się po drugiej stronie miasteczka przyspieszali ponownie do sześćdziesięciu i tylko nieliczni poświęcali mu jedną, przelotną myśl: Boże, cóż to za cholerna dziura!

Salem nie zdradzało nikomu swoich tajemnic, a Dom Marstenów spoglądał na nie z góry niczym zdetronizowany król.

4

Ben wrócił następnego dnia o świcie, zostawiwszy Marka w motelu. Po drodze zatrzymał się przy sklepie w Westbrook, gdzie kupił łopatę i oskard.

Salem leżało spokojnie pod przykryciem z ciemnych chmur, z których jednak jeszcze nie zaczął padać deszcz. Po ulicach poruszało się bardzo niewiele samochodów. Sklep Spencera był otwarty, ale w Excellent Cafe zielone żaluzje szczelnie zasunięte, z okien zniknęły jadalospisy, a małą, czarną tablicę, na której informowano o specjalności zakładu i nadzwyczajnych obniżkach cen, wytarto do czysta.

Widok pustych ulic sprawił, że w kościach poczuł dziwny chłód, przed oczami zaś zobaczył okładkę jakiejś płyty widzianą przed wieloma laty; znajdowało się na niej wykonane z profilu na ciemnym tle zdjęcie pokrytej silnym makijażem twarzy transwestyty, a poniżej tytuł: „Oni przychodzą tylko w nocy”.

Najpierw zatrzymał się przed pensjonatem Evy. Wszedł na piętro, otworzył drzwi swego pokoju i obrzucił go spojrzeniem: wyglądał dokładnie tak, jak go zostawił. Wyciągnął spod biurka pusty kosz na śmieci i postawił go na środku pokoju, a następnie wrzucił do niego cały maszynopis swojej książki, zwinawszy uprzednio w stożek pierwszą stronę. Podpalił ją, a gdy zajęła się na dobre ogniem, włożył do kosza. Płomienie najpierw skosztowały ostrożnie pokrytych maszynowym pismem kartek, by zaraz potem zabrać się ochoczo do uczy. Pierwsze poddały się narożniki, zwijając się, czerniejąc i błyskawicznie zamieniając w popiół. Z kosza zaczął się unosić biały dym, więc Ben nachylił się ponad biurkiem i otworzył okno.

Ręka, którą się podparł, natrafiła na szklaną kulę, towarzyszącą mu w życiu od chłopięcych lat, która stanowiła trofeum z pierwszej wizyty w domu potwora. Wystarczyło nią potrząsnąć, żeby zobaczyć, jak sypią się płatki śniegu.

Zrobił to, trzymając ją przed oczami tak samo, jak dwadzieścia kilka lat temu. Poprzez białą zamieć można było dostrzec mały domek z piernika i prowadzącą do niego ścieżkę. Piernikowe okiennice były zamknięte, lecz obdarzony wyobraźnią chłopiec (na przykład taki, jak Mark Petrie) mógł bez trudu wyobrazić sobie, że jedna z nich uchyla się lekko, odpychana białą dłonią, a zza szyby uśmiecha się blada, szczerząca długie zęby twarz, zapraszając cię do tego domku stojącego tuż za granicą rzeczywistego świata, gdzie czas jest tylko mało wiarygodną bajką. Taka twarz istotnie wpatrywała się w niego z napięciem, blada i wygłodniała, jedna z tych, które już nigdy nie miały ujrzeć słonecznego blasku ani błękitnego nieba.

Ta twarz należała do niego.

Cisnął kulę w kąt pokoju, gdzie rozprysnęła się na kawałki.

Wszedł pośpiesznie, żeby przypadkiem nie zobaczyć, co wy dostało się z rozbitego szkła.

5

Kiedy zszedł do piwnicy po ciało Jimmy'ego, okazało się, iż jest to najtrudniejsza wyprawa, jaką przedsięwziął w życiu. Trumna stała w tym samym miejscu, co poprzedniego dnia, pusta... choć niezupełnie. Leżał w niej drewniany kołek, a także coś jeszcze. Ben poczuł, że żołądek podchodzi mu do gardła. Zęby. Zęby Barlowa — wszystko, co po nim zostało. Kiedy nachylił się i wziął je w rękę, zatrzasnęły się, usiłując go ukąsić. Z okrzykiem odrazy rzucił je na podłogę; rozsypały się jak garść białych kamyczków.

— O, Boże — szepnął, wycierając dłoń w koszulę. — Boże, spraw, żeby to już był koniec.

6

Jakimś cudem udało mu się wytaszczyć z piwnicy ciało Jimmy'ego, w dalszym ciągu spowite w stare zasłony Evy Miller. Ułożył je w bagażniku brązowego buicka, a następnie pojechał do domu Marka, wioząc na tylnym siedzeniu oprócz czarnej, lekarskiej torby oskard i łopate. Resztę przedpołudnia i kilka godzin popołudniowych spędził na niewielkiej polance w połowie drogi między domem rodziny Petrie a strumieniem, kopiąc głęboki na cztery stopy grób. Złożył w nim zwłoki Jimmy'ego i rodziców Marka, zawinięte w narzutę z kanapy.

Wpół do trzeciej zaczął zasypywać mogiłę. W miarę, jak wydłużały się otaczające go cienie, pracował coraz szybciej, wiedząc, że kąpiący obficie z jego czoła pot nie bierze się wyłącznie z fizycznego wysiłku. O czwartej zakończył pracę. Udeptawszy ziemię najlepiej, jak mógł, wrócił do miasteczka samochodem Jimmy'ego; zaparkował wóz przed Excellent Cafe, zostawiając kluczyki w stacyjce.

Przystanął na chwilę, rozglądając się dookoła. Opuszczone domy zdawały się nachylać nad ulicą z groźnym trzeszczeniem. Deszcz, który zaczął padać około południa, siąpił powoli, jakby z nieba kapały łzy. Niewielki park, miejsce pierwszego spotkania z Susan, był zaniedbany i pusty. Okna w budynku Rady Miejskiej zasłaniały grube kotary. Na drzwiach biura Larry'ego Crocketta w dalszym ciągu wisiała tabliczka z beztróskim napisem „Zaraz wracam”. Panowała zupełna cisza, jeśli nie liczyć delikatnego szemrania deszczu.

Ruszył przed siebie Railroad Street, zakłócając spokój odgłosem swoich kroków. Dotarwszy do pensjonatu zatrzymał się ponownie i jeszcze raz rozejrzał dookoła; żadnego ruchu.

Miasteczko było martwe. Wiedział to z całą pewnością, tak samo jak to, że Miranda nie żyje, kiedy zobaczył jej leżący na asfalcie but.

Rozpłakał się.

Płakał jeszcze, gdy mijał ustawioną przy wyjeździe z Salem tablicę. Znajdował się na niej napis następującej treści: „Wyjeżdżasz z Jerusalem, małego, miłego miasteczka. Mamy nadzieję, że jeszcze do nas wrócisz”.

Kiedy skręcił w drogę dojazdową do autostrady. Dom Marstenów skrył się za gęstą zasłoną drzew. Nacisnął gaz i ruszył na południe, do Marka, do swego życia.

EPILOG

*Pośród tych wyludnionych miast
Na cyplu otwartym na podmuchy południowego wiatru
Gdzie ciągnące się przed nami pasmo wzgórz
skrywa cię przed moim wzrokiem
Któż zliczy, jak wiele razy chcieliśmy o wszystkim
zapomnieć?
Kto przyjmie naszą ofiarę złożoną na początku
jesieni?*

George Seferis

*Teraz nie ma już oczu.
Węze, które kiedyś trzymała,
Pożerają jej ręce.*

George Seferis

1

Fragmenty z teczki wycinków prasowych Bena Mearsa (wszystkie wycinki pochodzą z ukazującego się w Portland dziennika *Press-Herald*):

19 listopada 1975 (str. 27):

JERUSALEM — Rodzina Charlesa V. Pritchetta, która zaledwie w ubiegłym miesiącu zakupiła położoną w miasteczku Jerusalem w okręgu Cumberland farmę, postanowiła wyprowadzić się stamtąd z uwagi na tajemnicze, rozlegające się nocami odgłosy. Właścicielem usytuowanej na Szkolnym Wzgórzu farmy był uprzednio Charles Griffen, do jego ojca zaś należała niegdyś także mała mleczarnia, wchłonięta w roku 1962 przez wielkie zakłady ze Slewfoot. Niestety, nie udało nam się dotrzeć do Griffena, który sprzedał swoje gospodarstwo poprzez pośrednika za, jak się wyraził Charles Pritchett, „bardzo okazyną cenę”. Amanda Pritchett powiedziała swemu mężowi po raz pierwszy o „dziwnych hałasach” rozlegających się w stodole wkrótce po tym, jak...

4 stycznia 1976 (str. 1):

JERUSALEM — W tym niewielkim miasteczku, położonym w południowej części stanu Maine, wydarzył się wczoraj wieczorem lub dziś nad ranem dziwny wypadek. Na podstawie widocznych na szosie śladów policja doszła do wniosku, że samochód, zanim wypadł z szosy i uderzył w słup linii wysokiego napięcia, jechał z bardzo dużą prędkością. Pojazd uległ całkowitemu rozbiciu i choć na przednich siedzeniach i tablicy rozdzielczej pozostały wyraźne ślady krwi, nie znaleziono w nim żadnych ludzi. Według policji, właścicielem samochodu był pan Gordon Philips, zamieszkały w Scarborough. Jego sąsiad twierdzi, iż rodzina Philipsów wyjechała w odwiedzin do krewnych w Yarmouth. Nie wyklucza się, że pan Philips, jego żona i dwoje dzieci wydostali się w szoku z rozbitego pojazdu i odeszli w niewiadomym kierunku. Plany akcji poszukiwawczej, którą...

14 lutego 1976 (str. 4):

CUMBERLAND — Dziś rano w biurze Szeryfa Okręgowego zgłoszono zaginięcie pani Fiony Coggins, wdowy mieszkającej samotnie przy Smith Road w zachodnim Cumberland. Siostrzenica zaginionej, pani Gertrudę Hersey, poinformowała policję, że jej ciotka była dość poważnie chora i praktycznie unieruchomiona w domu. Zastępcy szeryfa prowadzą energiczne do-

chodzenie, lecz twierdzą, iż jest jeszcze za wcześnie na...

27 lutego 1976 (str. 6):

FALMOUTH — Dziś nad ranem podeszły wiekiem farmer i wieloletni mieszkaniec Falmouth John Farrington został znaleziony martwy w swojej stodole przez zięcia, Franka Vickery. Vickery zeznał, iż Farrington leżał twarzą w dół na sianie, ściskając w dłoni widły. Według wstępnej opinii okręgowego lekarza sądowego, doktora Davida Rice'a, przyczyną zgonu Farringtona był najprawdopodobniej gwałtowny krwotok wewnętrzny lub...

20 maja 1976 (str. 17):

PORTLAND — Strażnicy leśni okręgu Cumberland otrzymali ze Stanowego Urzędu Ochrony Przyrody ostrzeżenie przed stadem dziczyńskich psów, które najprawdopodobniej grasuje w rejonie Jerusalem — Cumberland — Falmouth. W ciągu ostatniego miesiąca znaleziono wiele owiec z rozszarpаныmi gardłami i brzuchami; niektóre spośród nich zostały niemal dokładnie wypatroszone. Oto, co powiedział strażnik Upton Pruitt: „Jak wiecie, sytuacja w południowym Maine znacznie się pogorszyła, gdyż...”

29 maja 1976 (str. 1):

JERUSALEM — Poważne podejrzenia wzbudziło zniknięcie rodziny Daniela Hollowaya, która niedawno sprowadziła się do tego niewielkiego, położonego w okręgu Cumberland miasteczka i zamieszkała w domu przy Taggart Stream Road. Policja została zaalarmowana przez dziadka Daniela Hollowaya, którego zaniepokoiło to, że w domu wnuka od kilku dni nikt nie odbiera telefonu.

Hollowayowie wraz z dwojgiem dzieci sprowadzili się na Taggart Stream Road w kwietniu i niemal od razu zaczęli się skarżyć przed rodziną i znajomymi na „dziwne hałasy”, jakie podobno rozlegały się po zapadnięciu zmroku.

Na przestrzeni ostatnich miesięcy Jerusalem stało się miejscem wielu tajemniczych wydarzeń, w wyniku których zniknęło bez śladu...

4 czerwca 1976 (str. 2):

CUMBERLAND — Pani Elaine Tremont, wdowa mieszkająca w małym domku przy Back Stage Road w niewielkim miasteczku, leżącym w zachodniej części okręgu, została dziś rano przywieziona do szpitala, gdzie stwierdzono atak serca. Reporter naszej gazety dowiedział się od niej, że gdy oglą-

dała telewizję, usłyszała w pewnej chwili skrobanie do okna, a kiedy tam spojrzała, dostrzegła za szybą jakąś twarz.

„Uśmiechała się”, powiedziała pani Tremont. „To było coś strasznego. Nigdy w życiu tak się nie bałam, jak właśnie wtedy, a odkąd przy Taggart Stream Road, zaledwie milę ode mnie, zabito tę rodzinę, bałam się niemal bez przerwy”.

Pani Tremont miała na myśli rodzinę Daniela Hollowaya, która zniknęła bez śladu w ubiegłym tygodniu. Policja poszukuje ewentualnego związku między tymi wydarzeniami, lecz...

2

Mężczyzna i chłopiec przyjechali do Portland w połowie września i zamieszkali na trzy tygodnie w miejscowym motelu. Byli przyzwyczajeni do wysokich temperatur, lecz po suchym klimacie Los Zapatos wysoka wilgotność tutejszego powietrza dawała im się mocno we znaki. Obydwaj często korzystali z motelowego basenu i spędzali dużo czasu wpatrując się w niebo. Mężczyzna codziennie kupował *Press-Heralda*; tym razem egzemplarze były świeże, bez śladów niszczącego działania czasu ani psiego moczu. Interesowała go niemal wyłącznie prognoza pogody i wszelkie wzmianki dotyczące miasteczka Salem. Dziewiątego dnia po ich przybyciu do Portland w Falmouth zniknął kolejny człowiek. Jego psa znaleziono martwego na podwórzu. Policja wszczęła energiczne śledztwo.

6 października mężczyzna wstał wcześniej z łóżka i wyszedł przed motel. Większość turystów odjechała już z powrotem do Nowego Jorku, New Jersey, Pensylwanii, Kalifornii, na Florydę i do Ontario, pozostawiając po sobie śmieci, dolary, miejscową ludność, a także najpiękniejszą porę roku na tych terenach.

Tego ranka powietrze było inne niż zwykle. Zapach spalin dochodzący z autostrady stał się jakby nieco mniej intensywny, z horyzontu zniknęła obecna tam zawsze do tej pory delikatna mgiełka, na polach zaś nie pojawiły się kłaczkowate mlecznobiałej mgły. Poranne niebo było zupełnie czyste, a powietrze chłodne. Wszystko wskazywało na to, iż tej nocy skończyło się późne, przedłużone lato.

Chłopiec wyszedł na dwór i stanął obok niego.

— Dzisiaj — powiedział mężczyzna.

3

Dochodziło już południe, kiedy znaleźli się przy zjeździe z autostrady prowadzącym do Salem. Bena nawiedziło bolesne wspomnienie dnia, w którym dotarł do tego samego miejsca zdecydowany rozprawić się z dręczącymi go demonami, przekonany o tym, że na pewno mu się to uda. Wtedy było cieplej niż dzisiaj,

nie wiał silny, zachodni wiatr, a późne lato dopiero się zaczynało. Minął wówczas dwóch chłopców z wędkami.

Dobiegający z radia głos oznajmił, że ogłoszono piąty, czyli niemal najwyższy, stopień zagrożenia pożarowego. Ostatnie większe opady deszczu zarejestrowano w południowej części stanu Maine na początku września. Spiker ostrzegł kierowców, żeby nie wyrzucali z samochodów niedopałków papierosów, następnie zaś puścił piosenkę o facecie, który z miłości postanowił skoczyć z wieży ciśnień.

Kiedy znaleźli się w miejscu, gdzie droga numer 12 zamienia się w Jointer Avenue, Ben dostrzegł od razu brak żółtego, sygnalizacyjnego światła, migającego na skrzyżowaniu głównych ulic. Najprawdopodobniej nie było już nikomu potrzebne.

Jechali powoli przez miasteczko, a Ben czuł spowijający go coraz ciasniej strach, podobny do starego, znalezionego na strychu płaszcza, który właściwie jest za ciasny, ale jeszcze da się go jakoś włożyć. Mark siedział sztywno obok niego, ściskając w dłoni przywiezioną aż z Los Zapatos buteleczkę ze święconą wodą. Był to pożegnalny prezent od ojca Gracona.

Wraz ze strachem pojawiły się okrutne wspomnienia.

Zamiast szyldu SPENCER'S pojawił się nowy, z napisem LAVERDIERE'S, lecz nic nie wskazywało na to, żeby interes szedł lepiej, niż do tej pory. Zamknięte na głucho okna pokrywała gruba warstwa kurzu, znad wejścia zaś zniknął symbol Greyhounda. W drzwiach Excellent Cafe wisiała krzywo tabliczka DO SPRZEDANIA, a wszystkie stoliki i krzesła przeniesiono chyba do jakiegoś lokalu cieszącego się większą popularnością. Nieco dalej, na budynku starej pralni w dalszym ciągu widniał napis informujący o tym, że znajduje się tam sklep Barłowa i Strakera, lecz złocenia zniknęły już bez śladu z wypukłych liter, okno wystawowe zaś było brudne i puste. Benowi przemknęła myśl, czy też Mike Ryerson w dalszym ciągu leży w skrzyni na zapleczu; niemal od razu poczuł zupełną suchość w gardle.

Na skrzyżowaniu zwolnił jeszcze bardziej i spojrzał w kierunku domu Nortónów. Dokoła budynku wyrosła wysoka, żółta trawa, a w niektórych oknach ziały czarne dziury po wybitych szybach.

Zatrzymał samochód przy krawężniku. Pomnik Ofiar Wojny górował w dalszym ciągu nad parkiem, który zamienił się w dziką gęstwinię trawy, drzew i krzewów. Siedzawka właściwie przestała istnieć, wypełniona bujnymi wodorostami, zielona farba odłaziła z ławek wielkimi płatami, huśtawki zaś zardzewiały do tego stopnia, że przy najlżejszym poruszeniu z pewnością zaczęłyby potępieńczo skrzypieć, psując całą zabawę.

Przewrócona na bok zjeżdżalnia leżała ze sterczącymi w górę nogami niczym martwa antylopa, a w rogu piaskownicy widać było porzuconą przez jakieś dziecko lalkę. W jej oczach z czarnych guzików zdawało się lśnić niewysłowione prze-

rażenie, jakby podczas długich, samotnych nocy patrzyła na wiele niewyobrażalnych okropieństw. Całkiem możliwe, że było tak w istocie.

Ben przeniósł wzrok w górę, na Dom Marstenów, gapiący się na miasteczko tym samym, złowrogim spojrzeniem pozamykanych na głucho okiennic. Teraz był zupełnie niegroźny, ale po zachodzie słońca. . .

Deszcz z pewnością zdążył już splukać święconą wodę, którą skropił go ojciec Callahan. Gdyby tylko chcieli, mógł się ponownie stać ich świątynią, mroczną latarnią rzucającą swój ponury blask na martwe miasteczko. Czy spotykają się tam, na górze? Czy wędrują przez pograżone w ciemności pomieszczenia, odprawiając rytuał ku czci Tego, który stworzył ich Stwórcę?

Odwrócił raptownie wzrok.

Mark przyglądał się domom stojącym przy ulicy. W większości z nich zasłony były zaciągnięte, w innych widać było opustoszałe pokoje. Te sprawiały znacznie bardziej wstrząsające wrażenie, bo wydawało się, że patrzą na intruzów bezmyślnym wzrokiem umysłowo chorych.

— Są tam teraz — wyszeptał Mark. — W tych domach. W łóżkach, szafach i piwnicach. Pod podłogami. Ukryci. . .

— Uspokój się — powiedział Ben, ruszając z miejsca.

Wyjechali z miasteczka. Ben skręcił w Brooks Road i minęli Dom Marstenów, otoczony płataniną wysokiej trawy i drobnych, żółtych kwiatów.

Mark nagle wyciągnął przed siebie rękę i Ben spojrzał we wskazanym kierunku. W trawie widniała wydeptana do gołej ziemi ścieżka, prowadząca od drogi aż do frontowego wejścia. W chwilę potem dom został z tyłu, a Ben poczuł przyływ ogromnej ulgi; każdy obrót kół oddalał ich od tego, co najgorsze.

Wysiedli z samochodu na Burns Road, niedaleko cmentarza na Wzgórzu Spokoju. Pod ich stopami trzeszczało wysuszone poszycie. W powietrzu unosił się intensywny zapach jałowca i cykanie świerszczy. Doszli do niewielkiej polany, z której widać było zawieszoną na gigantycznych słupach linię przesyłową wysokiego napięcia.

— Podobno wtedy, w 1951 roku, wszystko zaczęło się właśnie tutaj — powiedział Ben. — Wiatr wiał prosto z zachodu. Najprawdopodobniej ktoś wyrzucił niedopałek papierosa i to wystarczyło. Ogień przedarł się przez moczary, a potem już nikt nie mógł go zatrzymać.

Wydobył z kieszeni paczkę pallmalli, spojrzał na nie z zadumą, a następnie rozdarł celofan, wyjął papierosa i zapalił, po raz pierwszy od wielu miesięcy. Mimo to papieros bardzo mu smakował.

— Mają swoje kryjówki, ale jeśli je stracą, wielu może zginąć podjął na nowo.

— Wielu, lecz nie wszyscy. Rozumiesz?

— Tak — odparł Mark.

— Nie są zbyt inteligentni. Następnego dnia z pewnością nie zdołają się dobrze ukryć, więc powinno wystarczyć kilku ludzi szukających w najbardziej oczy-

wistych miejscach. Może uda się oczyścić miasteczko przed nadejściem pierwszych śniegów, a może nie uda się nigdy. Nie ma żadnej gwarancji, ale bez czegoś, co je wypłoszy, nie byłoby najmniejszej szansy.

— Wiem.

— To będzie wstrętne i niebezpieczne.

— Wiem.

— Choć mówią, że ogień oczyszcza. . . — zauważył z zadumą Ben. — Chyba przydałoby się nam takie oczyszczenie, nie uważasz?

— Tak — odparł ponownie Mark.

— Musimy już iść — oświadczył Ben.

Zaciągnął się głęboko papierosem i rzucił go na stertę suchych gałązek i liści. Biała wstążka dymu wzbiła się w powietrze na wysokość dwóch lub trzech stóp, a następnie została rozproszona przez wiatr. W odległości około dwudziestu stóp leżał pień wielkiego, zwałonego drzewa.

Jak zahipnotyzowani wpatrywali się w gęstniejącą smugę dymu.

Pojawiły się pierwsze języki ognia. Do ich uszu dobiegł odgłos strzelających w płomieniach gałązek.

— Dziś w nocy nie zabijają ani jednej owcy i nie odwiedzają żadnej farmy — powiedział cicho Ben. — Dziś w nocy będą uciekać. A jutro. . .

— Ty i ja — wyszeptał Mark, zaciskając pięści. Na jego twarzy pojawiły się żywe rumieńce, a w oczach dzikie błyski.

Wrócili do samochodu i odjechali.

Na małej polance w pobliżu linii wysokiego napięcia ogień rozprzestrzenił się coraz gwałtowniej, podsycany mocnym, wiejącym z zachodu wiatrem.

październik 1972 – czerwiec 1975